

KATE ELLIOTT

KSIĄŻĘ PSÓW

(PRINCE OF DOGS)

Tłumaczyła Joanna Wołyńska

Wydanie oryginalne: 1997

Wydanie polskie: 2001

TMN

Dla Jaya

Prolog

1.

Całą wiosnę udało im się utrzymać przy życiu, ukrywając się w opuszczonej dzielnicy garbarzy, wychodząc tylko w nocy w poszukiwaniu żywności. Po kilku nocach uciekania przed psami i chowania się w dziurach przywykli do smrodu. Lepiej cuchnąć jak garbarze, rzekł Matthias, niż zostać rozszarpanym przez psy.

Anna przemyślała to w ciszy. Niewielką satysfakcję sprawiała jej świadomość, że gdyby zostali złapani przez dzikich Eików, gdyby psy dopadły ich i wydarły ręce z ramion, nogi z bioder, to smród kurzego łajna odstraszyłby na pewno te ohydne psy – i by ich nie zjadły. Albo gdyby zjadły, to ich ciała, tyle razy zanurzone w taninie z kory dębu, że ich skóra zaczęła wyglądać jak wygarbowana, otrułyby zwierzęta; a potem, z Komnaty Światła, gdzie jej duch zamieszkałby po śmierci w błogosławionym pokoju, przyglądałaby się, jak konają w okrutnych mękach.

Całą wiosnę podkradali jedzenie, ponieważ ci, którzy uciekli z miasta, nie mieli czasu niczego zabrać. A ci, którzy nie uciekli, byli martwi. A przynajmniej tak wynikało z obserwacji. Na wpół zjedzone ciała leżały rozciągnięte na ulicach i alejach, a wiele domów cuchnęło gnijącym mięsem. Ale znaleźli zapasy warzyw w piwnicach i beczułki piwa w domach. Raz lekkomyślnie zakradli się do kuchni w pałacu burmistrza i znaleźli smakołyki. Annę zemdliło od nadmiaru słodyczy. Jęczącą, z dłonią zaciśniętą na ustach, by utrzymać w sobie zawartość żołądka, bolącego tak strasznie, że sądziła, iż eksploduje, Matthias pogonił do garbarni, aby mogła zwymiotować do dołów, pełnych kurzych odchodów zmieszanych z wodą, które pochłonęłyby zapach świeżych ludzkich wymiocin.

Potem psy przestały szwendać się po garbarniach. Być może Eikowie przestali polować na ludzi albo sądzili, że nie warto nikogo ścigać w pustym mieście. Może popłynęli w dół rzeki, polować na bujniejszych pastwiskach. Ale żadne z dzieci nie odważyło się wspiąć na mury, aby zobaczyć, ile Eikowych okrętów leżało na brzegu. Od czasu do czasu widzieli Eików spacerujących po murach, patrzących na północ, w stronę morza. Co jakiś czas słyszeli skomlenie i wycie psów i, raz, krzyki człowieka, nie wiedzieli, mężczyzny czy kobiety. Trzymali się znajomych szlaków i przebywali głównie w małej szopie, w której Matthias

sypiał, odkąd zeszłej zimy, przed atakiem Eików, rozpoczął terminować u garbarza. Opuszczony, zapomniany w zamieszaniu podczas ataku i beznadziejnej obrony każdej ulicy miasta, miał na tyle rozumu, aby wraz z młodszą siostrą schronić się we wstrętnych garbarskich dołach, kiedy ujrzał psy polujące w mieście. Ocalili, gdy tylu innych zginęło.

Ale z nadejściem lata skończyły się zapasy i musieli kopać w zapuszczonych ogrodach w poszukiwaniu na wpół zdziczałych warzyw, które przebiły się przez chwasty. Nauczyli się polować na szczury, bo tych było pełno w opuszczonych budynkach, tłuszciochy spalone rozkładającymi się trupami. Anna przekonała się, że ma talent do rzucania kamieniami, i zabijała mewy, pewne siebie gołębie, a raz nawet pechowego kota.

Z nadejściem lata przybyło więcej Eików i przywiedli ze sobą ludzkich niewolników, plony dalekich zniw.

Pewnego pięknego letniego poranka Eikowie przyprowadzili do garbarni ludzkich niewolników, aby tam pracowali. Dzieci uciekły na strych i ukryły się za wyprawionymi skórami, które zawieszono na belkach, by wyschły. Kiedy usłyszeli głosy i skrzypienie drabiny pod wspinającym się ciałem, Matthias podsadził Annę na jedną z wielkich belek. Strach dodał jej tyle sił, że wciągnęła go, wspinającego się po nierównej ścianie, na górę. Skulili się, tuląc do belki i drżąc ze strachu. Smród garbarni już ich nie chronił. W podłodze na odległym końcu strychu otworzyła się kłapa.

Anna stłumiła szloch, kiedy usłyszeli pierwsze szeptane słowa – Eiki mówiącego w języku, którego nie rozumieli. Pies zaszczekał i wypadł na zewnątrz. Jakby w odpowiedzi ludzki głos – na dole, przy dziurach – zawył z bólu, a potem zaczął krzyczeć na próżno i niezrozumiale, aż w końcu, miłosiernie, krzyk urwał się w charkocie. Oczy Anny wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach; złapała drewniany Krąg Jedności, dar umierającej matki, wiszący na cienkim rzemieniu na jej chudej piersi i przesunęła palcami po gładkiej okrągłości w cichej modlitwie, jaką tyle razy podpatrywała u matki, choć ta modlitwa bez słów nie uchroniła jej przed śmiertelną chorobą.

Na szczeblach zabrzmiały kroki. Ciało okryte metalem i płótnem wspinało się na strych. Mężczyzna stęknął, ludzki odgłos, krótki a jednocześnie znajomy, człowieczy.

Eika znów przemówił, tym razem w rozpoznawalnym, choć łamanym wendyjskim.

– Jak szybko to będą gotowe?

– Będę musiał je obejrzeć. – Mężczyzna wypowiadał starannie każde słowo. – Najprawdopodobniej wszystkie są gotowe, jeśli wiszą tutaj od... – zawahał się, a potem złapał urywany oddech. Czy widział zabójstwo, czy tylko jak oni, słuchał? – Od wiosny.

– Liczę je – powiedział Eika. – Zanim ty wchodzisz, liczę te skóry. Mniej jedna do mnie przyjdzie, kiedy gotowe, zabijam jeden niewolnika za każdą mniej skórę. Zaczynam od ciebie.

– Rozumiem – odparł mężczyzna, ale dzieci nie mogły go ujrzeć, tylko słyszały, a uczuć wyrażonych przez jego głos nie mogły zrozumieć.

– Przynieś jak gotowe – powiedział Eika. Drabina zaskrzypiała i tym razem rozpoznali ciche dźwięczenie zbroi, kiedy Eika opuszczał strych i oddalał się tam, gdzie przebywali Eikowie, gdy nie polowali i nie zabijali.

Dzieci wisały na belce, modląc się, by mężczyzna odszedł.

Zamiast tego przechadzał się po strychu. Odgarniał skóry, dotykał, badał. Liczył. Luźna klepka zaskrzypiała mu pod stopą. Cichy szelest skór ocierających się o siebie znaczył jego przejście, a wirowanie powietrza pachnącego skórą w ciemnym pomieszczeniu, spowodowane jego ruchami, opływało ich niby oddech nadciągającej śmierci, bo zdemaskowanie oznaczało śmierć.

W końcu wyczerpało to Annę, trzy zimy młodszą od Matthiasa. Z gardła wyrwał jej się dźwięk, niby skomlenie szczenięcia, zanim zdołała go zdławić. Ciche, wolne kroki umilkły, ale wciąż słyszeli jego oddech, urywany w mroku.

– Kto tu? – wyszeptał mężczyzna, a potem wymamrotał modlitwę do Pani.

Anna zacisnęła usta, przymknęła powieki i płakała bezgłośnie, wolną dłonią ściskając Krąg. Matthias sięgnął po nóż do pasa, ale był zbyt wystraszony, by wydobyć go z pochwy. Nawet tak cichy dźwięk mógłby ich wydać.

– Kto tu? – zapytał mężczyzna ponownie, jego głos drżał, jakby on też się bał.

Dzieci nie odpowiedziały. W końcu, dzięki Pani, odszedł.

Odczekali chwilę i zsunęli się z belki.

– Muszę siusiu – jęknęła Anna, ocierając nos. Ale nie odważyli się opuścić strychu; chociaż, prędzej czy później, będą musieli to uczynić albo głodować. Wysusiała się w najdalszym, ciemnym kącie, i miała nadzieję, że mocz wyschnie, zanim ktokolwiek przyjdzie na górę. Nowi niewolnicy w garbarni mieli zadanie – skóry trzeba było umyć, zeszkrobać z nich sierść i mięso, jamy wypełnić kąpielą, przełożyć skóry korą dębową, wymoczyć w kwasie albo, po skończonym garbowaniu, wypłukać i wygładzić przed suszeniem. Na innych strychach też czekały schnące skóry, gotowe do oczyszczania. Nie było powodów, aby ktoś tu znów przychodził tego dnia.

Ale wieczorem usłyszeli kroki na drabinie. Tym razem nie mieli czasu na wspięcie się na belkę. Przywarli do najodleglejszej ściany, owijając się krowią skórą.

Zamiast rozmów usłyszeli ciche stuknięcie czegoś stawianego na drewnie. A potem kłapa się zamknęła i kroki oddaliły. Po chwili Matthias wyszedł.

– Anna! Cicho! – szepnął.

Wysunęła się i znalazła go, ważącego w jednej dłoni kawałek koziego sera, a w drugiej bezkształtny bochenek chleba. Grubo strugana drewniana miska stała pusta przy kłapie. Bojaźliwie patrzyła na skarby.

– Jeśli je zjemy, będzie wiedział, że tu jesteśmy.

Matthias ułamał kawałek sera, obwąchał go i wsadził do ust.

– Zjemy teraz część – rzekł. – A co to za różnica? Jeśli dziś stąd nie uciekniemy, odkryją

nas prędzej czy później. Resztę jedzenia zostawimy na potem.

Przytaknęła. Wiedziała, kiedy się klócić, a kiedy siedzieć cicho, bo sprzeczka była bezsensowna. Dał jej kawałek sera; smakował słono i ostro. Chleb był suchy jak zboże, a po nim zachciało jej się pić. Matthias podzielił resztę jedzenia na dwie porcje i dał jej jedną. Oboje mieli skórzane sakiewki na takie rzeczy, przywiązane do pasów. W zrujnowanym mieście było wiele przedmiotów pierwszej potrzeby, zabranych z opuszczonych domów i sklepów, a jeśli były cenne, złupionych ze zmarłych. Wody, odzienia, noży czy łyżek, a nawet całego drewnianego domu pełnego pięknych malowanych mebli i cienkiego lnu im nie brakło; tylko jedzenia i bezpieczeństwa.

Poczekali, aż na drewnianą podłogę nie padał przez szpary w ścianach żaden promień światła, a szarego cienia nie odróżniali od czarnego. Wtedy Matthias otworzył klapę i jak najciszej mógł, przechylił się przez krawędź.

– Pani!

Odezwał się mężczyzna, nie Matthias. Anna zamarła. Matthias stęknął i padł na podłogę.

– Hejże – powiedział mężczyzna – nie wyciągaj na mnie noża. Nie skrzywdzę cię. Na Panią, nie sądziłem, że jakaś dusza przetrwała w tej trupiarni. Z ciebie zaledwie dzieciak.

– Wystarczająco duży na czeladnika – mruknął Matthias, urażony jak zawsze, bo głos tego człowieka brzmiał jak głos wuja, z tym samym wyrzutem. Tylko że, pomyślała Anna, ten mężczyzna mówił ze zdziwieniem i litością, a nie z pogardą, kiedy nazwał Matthiasa dzieckiem. Ogarnęło ją nagle przecucie, że temu mężczyźnie można zaufać, w przeciwieństwie do wuja, a poza tym, gdyby schwytano teraz Matthiasa, lepiej było umrzeć z nim niż toczyć dalej walkę, której sama nie mogła wygrać. Spuściła nogi i szybko zeszła po drabinie.

Matthias zaklął cicho. Mężczyzna zaś jęknął głośno, a potem zatkał usta dłonią i rozejrzał się szybko wokół, ale byli sami. Nikt tak późno nie łąził po garbarniach. Oświetlał ich księżyc w pierwszej kwadrze, a wąskie, upiorne cienie przecinały dziury dziwnymi wzorami. Anna złapała brata za rękę i ścisnęła mocno.

– O Pani, jeszcze młodsze – powiedział w końcu mężczyzna. – Myślałem, że to kot. Jest was więcej?

– Tylko nas dwoje – odpowiedział Matthias.

– O Boże. Jak udało się wam przetrwać?

Matthias skinął ku dziurom, a potem zdał sobie sprawę, że mężczyzna mógł nie dostrzec tego gestu.

– Aż do teraz było wystarczająco dużo jedzenia. Chowaliśmy się tutaj, żeby psy nas nie wyczuły.

Mężczyzna spojrział na Annę, nagle podszedł bliżej i schwycił jej podbródek. Matthias rzucił się w ich kierunku, unosząc nóż, ale Anna powiedziała:

– Nie.

Zatrzymał się więc i czekał.

Po chwili mężczyzna puścił ją i cofnął się, pocierając palcem oczy.

– Dziewczynka. Jesteś dziewczynką, nie starszą od mojej małej Mariyi. Pani jest łaskawa, że jedną oszczędziła.

– Gdzie jest twoja córka? – zapytała Anna, ośmielona. Ten mężczyzna jej nie przerazał.

– Zginęła – odparł ostro. – Podczas napadu Eików na moją wioskę, niecały miesiąc temu. Wszystkich zabili.

– Ciebie nie – rzekła Anna rozsądnie, widząc, że wyglądem przypomina żywego, a nie cień zmarłego; nie, żeby kiedyś widziała upiora, ale słyszała opowieści o takich, co wracali straszyć w Dziady.

– Oj, zabili mnie, dziecko – odparł gorzko. – Zabili wszystko prócz tego widma. Teraz jestem ledwie ciałem bez duszy, ich niewolnikiem, robiącym to, co każą, aż im się znudzę i nakarmią mną psy. – Choć mówił, jakby życie go wyczerpało, ciągle drżał, wspominając psy.

Anna przemyślała to i uznała, że większość pojęła.

– Co z nami zrobisz? – zapytała. – Czy Eikowie nas nie zabiją, jak nas znajdują?

– Zabiją – odrzekł. – Nigdy nie zostawiają dzieci przy życiu. Chcą tylko dorosłych niewolników, wystarczająco silnych, by dla nich pracowali. Ale słyszałem od jednego z niewolników, że w Gencie nie ma dzieci ani trupów dzieci, po prostu żadnych dzieci. To opowieść, którą szepczą w nocy, w ciemności, że święta, która czuwa nad miastem, wyprowadziła dzieci w bezpieczne miejsce albo do Komnaty Światła. Nie wiem dokąd.

– To prawda – mruknął Matthias. – Wszystkie dzieci znikły, ale nie wiem, gdzie się podziały.

– A gdzie są wasi rodzice? – zapytał mężczyzna. – Dlaczego nie zabrano was w bezpieczne miejsce jak innych?

Anna wzruszyła ramionami, nie pamiętała bowiem rodziców na tyle dobrze, by ich oplakiwać. Ujrzała, że brat zgarbił się pod ciężarem nieszczęścia, które wciąż zatapiało w nim szpony.

– Umarli cztery lata temu – powiedział Matthias. – Tata utopił się w czasie połowu, a mama zmarła parę miesięcy później wskutek gorączki. To byli dobrzy ludzie. A potem poszliśmy do wuja. Uciekł, kiedy weszli Eikowie. Nie myślał o nas. Pobiegłem do domu, złapałem Annę, ale wtedy już wszędzie toczyły się walki. Nie mogłem nawet dotrzeć do katedry, gdzie się większość schroniła, więc ukryliśmy się tutaj. I tu zostaliśmy.

– To cud – mruknął mężczyzna. Nocną ciszę przerwało szczekanie psów i ostry okrzyk, którego żadne z dzieci nie zrozumiało. Mężczyzna podskoczył.

– Przychodzą koło północy, by nas policzyć – rzekł. – Muszę wracać. Nie wydam was, przysięgam na Palenisko naszej Pani. Niech mnie Bóg swym mieczem powali, jeśli to uczynię. Przyniosę jutro więcej jedzenia, jeśli zdołam.

I zniknął, odchodząc w noc.

Ulżyli sobie szybko do jednej z dziur pełnej łąna i wody, a potem zatrzymali się, by popatrzeć na niezwykle czyste niebo, ciemność tak twardą, że patrzenie w gwiazdy niemal bolało. Znów usłyszeli psy i Matthias popchnął Annę na drabinę. Wspięła się, a on wszedł za nią i zamknął kłapę. Po chwili wahania, bez słów, pożarli resztę chleba i sera – i czekali na jutro.

2.

Następnego nocy, długo po zachodzie słońca, mężczyzna przyszedł znów, zapukał lekko w kłapę i rzekł:

– Jestem waszym przyjacielem.

Matthias ostrożnie otworzył kłapę i spojrzął w dół. Po chwili zszedł. Anna podążyła za nim. Mężczyzna dał im chleb i obserwował w ciszy, jak jedli. Mogła go tej nocy widzieć nieco wyraźniej – księżyc rósł, a jego ćwiartka powoli pęczniała, idąc do pełni. Mężczyzna nie był specjalnie wysoki, miał szerokie ramiona rolnika i twarz jak księżyc w pełni.

– Jak was zwa? – zapytał w końcu z wahaniem.

– Wołają mnie Matthias, a to jest Anna, skrót od Joanny. Nasza mama ochrzciła nas po uczniach błogosławionego Daisana.

Mężczyzna skinął głową, jakby wiedział to od zawsze, a może chciał tylko pokazać, że rozumiał.

– Ja jestem Otto. Przykro mi, że mogłem przynieść tylko chleb. Nie karmię nas dobrze, a nie odważę się poprosić innych, by podzielili się swoją porcją. Nie wiem, czy mogę im ufać, bo nie są moimi krewnymi. Każdy mógłby donieść Eikom w zamian za jakąś nagrodę, na przykład więcej chleba.

– To bardzo miłe z waszej strony, że nam pomagacie – powiedziała Anna dziarsko, bo pamiętała, że mama zawsze uczyła ją, by była grzeczna i dziękowała za otrzymywane prezenty.

Mężczyzna zdusił szloch, a potem z wahaniem dotknął jej włosów. Równie szybko odsunął się od niej.

– Może, jak ja, inni chętnie by pomogli, jeśli znaczyłoby to, że ujrzymy, jak dwoje ucieka z łap dzikusów. Eikowie nie wybierają sobie ulubieńców. Nigdy nie widziałem, aby próbowali nastawiać niewolników przeciw sobie, traktując jednych lepiej od drugich. Wszystkich nas mają w pogardzie i traktują tak samo. Pracuj albo zdechniesz.

– Czy tylko tutaj, do garbarni – zapytał Matthias – przyprowadzili niewolników?

– Otworzyli też kuźnie, ale nie mają tu nikogo zaznajomionego z kowalstwem. Ale jesteśmy niewolnikami i można nas poświęcić. – Jego głos stwardniał. – To zrządenie losu, że przysłali mnie do garbarni, choć nigdy nie czułem takiego smrodu. Szepczą, że przy palenisku codziennie ktoś się parzy, a Eikowie mogą równie dobrze poderznąć poparzonemu

gardło, jak pozwolić mu się wyleczyć, jeśli nie może się podnieść i pracować. Widziałem tych Eików. Widziałem, jak jednego wepchnięto w ogień. Nie poparzył się. Gorąco nie zostawiło śladów na jego ciele. Nie mają skóry, nie taką, jak my. To rodzaj łusek, jak u węża, ale grubszych i gęstszych. Smoczy pomiot. – Charknął i splunął, jakby chciał się pozbyć smaku słów z ust. – Pomiot smoków i ludzkich kobiet, ale nie wiem, jak mogło dojść do takiego nienaturalnego stosunku. Ale nie mówmy o tym przy dziecku.

– Nie widziałem niczego, czego ona też by nie widziała – powiedział cicho Matthias, ale Anna poczuła natychmiast, że te proste słowa mężczyzny, chroniące ją, zjednały mu zaufanie jej brata.

Skończyła chleb i pragnęła, by było go więcej, ale wiedziała, że nie należy prosić. Być może oddał im całą swoją rację. Prośenie o więcej byłoby niegrzeczne.

– Zrządzenie losu – wyszeptał mężczyzna gorzko. – Los byłby dla mnie łaskawszy, gdyby pozwolił mi zginąć z moimi dziećmi. Ale nie. – Potrząsnął głową, obracając się, rzucając nerwowo spojrzenie przez ramię, bo na pewno miał powód do zdenerwowania, jak wszyscy. – We wszystkim jest jakiś cel. Oszczędzono mnie, abym mógł was odnaleźć. – Zrobił krok w przód, ujął dłoń Matthiasa jedną ręką, a drugą delikatnie dotknął włosów Anny. – Znajdę sposób, żebyście stąd uciekli, przyrzekam. Muszę już iść. Powiedziałem im, że każdej nocy o tej porze idę do latryn, więc muszę już wracać. Eikowie to dziwne stworzenia. Są bez wątplenia dzicy, jednak czyści; ale pewnie to dowód na to, że „ścieżka Nieprzyjaciela wyłożona jest równo czystymi kamieniami, bo obmywają ją łzy słabych”. Możemy się wypróżniać tylko tam w jednym miejscu, tak samo sikać tylko gdzie nam każą, chyba że na skóry. Dlatego możemy wyjść i mieć kilka chwil wolności, nawet w nocy, bo oni nie mogą znieść odoru naszych ludzkich ciał w pobliżu siebie. Ale nie odważę się zostać dłużej.

Przyszedł znów następnej nocy, i następnej, i jeszcze następnej, przynosząc im odrobinę jedzenia, wystarczającą jednak, by odpędzić głód. Raz przyniósł też wino w bukłaku, bo w pobliżu jam było niewiele wody, a i ta o podłym smaku.

Szybko odkrył, że Matthias więcej wiedział o procesie garbowania niż jakikolwiek z niewolników przysłanych do pracy; podczas trzymiesięcznego terminu Matthias nauczył się podstaw oczyszczania i garbowania skór, wystarczająco, aby wiedzieć, co się robiło na każdym etapie i jakim narzędziem. Traktował chłopca grzecznie, nawet z dobrocią, ale to Annę uwielbiał. Siadywała mu na kolanach, a on gładził jej włosy i raz czy dwa, zapomniawszy się, nazwał ją „Mariya”.

Nikt nie chodził po skóry na ich strych. Otto wyjaśnił, że jego zadaniem było ich pilnowanie, a niewolnicy nie mieli czasu, żeby wtrącać się w pracę innych. Po kilku następnych nocach zaczął przynosić więcej jedzenia.

– Eikowie zwiększyli nam racje. Przywieźli więcej niewolników do pracy w piekarniach, ale też, mój chłopcze, to co mi przekazałeś, a ja powtórzyłem innym, pomaga nam w pracy. Są z nas zadowoleni, więc karmią lepiej. – Księżyc stał w pełni i Anna mogła dostrzec wyraz

jego twarzy, jak zawsze ponury. – Ale jak słyszę, tym wziętym do kuźni los nie sprzyja. Tyle trupów się stamtąd wyciąga, ilu żywych wchodzi. Bestie! – Zasłonił oczy dłonią, ale mogła dojrzeć usta wygięte w gniewnym grymasie. – Niedługo skóry wyschną i zostaną wywiezione, i nie będzie już waszej kryjówki.

– Powieszają więcej skór, prawda? – spytała Anna.

– Och, dziecko. – Przytulił ją do piersi. – Oczywiście, ale nie mogę was tu wiecznie ukrywać. Popytałem tu i tam, ale nie wiem, jak was wydostać z miasta, oprócz...

– Oprócz czego? – zapytał Matthias, bo on też rozmawiał z Anną o sposobie ucieczki z miasta. Prawdopodobnie mogli dokonać tego wiosną, gdyby nie byli tak wystraszeni, ale się bali, a psy włóczyły się po mieście każdej nocy. A teraz, kiedy w mieście byli niewolnicy, a każdej bramy strzeżono, tak przynajmniej podejrzewał, będzie jeszcze trudniej uciec.

– Nie wiem. To tylko opowieść, ale czy można w nią wierzyć. – Otto przytulił Annę, jego usta dotknęły jej włosów w ojcowskim pocałunku. – Słyszałem, jak niektórzy gadali, że jakieś stworzenie, demon, jest więziony w katedrze. Mówią, że czarownik Eików zwabił go z niebios, gdzie takie stworzenia żyją i uwięził go w ludzkim ciele. Trzyma go przykutego do swego tronu.

Anna zadrżała, ale na kolanach Ottona czuła się bezpiecznie; obejmował ją tak pewnie.

– Myślę sobie tak – ciągnął wolno. – Magowie mówią, iż demony znają sekrety ukryte przed ludźmi. Jeśli to prawda, że ukochana święta miasta ocaliła dzieci, jeśli to prawda, że powiodła je ukrytą drogą z katedry w bezpieczne miejsce, to czy ten demon nie znałby ukrytego przejścia? Bo czy demony nie mogą zaglądać w przeszłość i przyszłość, dalej, niż sięgnie ludzkie oko? Jeśli ofiarujecie temu stworzeniu jakiś dar i jeśli nienawidzi Eików tak samo jak my, czy nie zdradziłby wam sekretu wyjścia? To oczywiście niewielka szansa, ale nie potrafię wymyślić nic innego. Bramy są strzeżone dzień i noc, a psy biegają po mieście. – Zadrzał, wszyscy zadrżeli na myśl o psach. – Jesteście dziećmi. Święta uśmiechnie się do was jak do innych.

– Ty też pójdziesz, prawda, papo Otto? – Anna oparła głowę na jego piersi.

Płakał cicho, łzy płynęły mu po twarzy.

– Nie odważę się – powiedział. – Nie odważę się spróbować.

– Mógłbyś z nami uciec – rzekł Matthias. – Bóg okaże ci łaskę za twoją dobroć okazaną nam, którzy nie jesteśmy twoimi krewnymi.

– Bóg tak, ale Eika nie. Nie znacie ich. To dzicy, ale przebiegli jak łasice. Znaczą każdego niewolnika i gdy jeden niewolnik zniknie, resztę ustawia się przed psami i spuszcza je z łańcucha. W ten sposób, jeśli jakiś niewolnik spróbuje uciec, wie, co się stanie z tymi, którzy zostali. Nie przyczynię się do śmierci tych, z którymi pracuję. Nie mogłem nic zrobić, by uratować moją rodzinę. Nie ocaleł siebie, zabijając przez to innych, równie niewinnych, jak moje drogie dzieci. Ale wy dwoje moglibyście uciec, gdybyście odnaleźli demona i porozmawiali z nim.

– Ale co moglibyśmy mu zanieść? – zapytał Matthias. – Nic nie mamy... – urwał i Anna poznała po przebiegłym wyrazie twarzy, że wpadł na jakiś pomysł. Sięgnął do buta i wydobył ozdobę ich dużej kolekcji noży, znajdujących tu i tam przy ciałach. Ten, złupiony z trupa grubasa odzianego w bogate szaty, na jakie mógł sobie pozwolić tylko zamożny kupiec albo szlachcic, miał dobre ostrze i pięknie zdobioną rękojeść, wykutą na kształt smoczey głowy ze szmaragdami wprawionymi w oczy. W ten sposób Anna i Matthias zaufali Ottonowi całkowicie; nóż był zbyt cenny, by pokazywać go komuś, kto mógł się na niego połasić i z łatwością odebrać chłopcu i jego młodszej siostrze.

Otton zrobił wielkie oczy, nawet w słabym świetle księżyca wartość noża była ewidentna.

– To ładna rzecz – rzekł. – I wartościowy dar, jeśli się dostaniecie tak daleko.

– Ale jak wejdziemy do katedry? – zapytał Matthias. – Mieszka tam wódz Eików, prawda? Czy kiedykolwiek wychodzi?

Powolny, cichy letni wietrzyk, bryza wiejąca znad rzeki, muskał włosy Ottona, gdy się namyślał. Anna wyczuwała odległy zapach żelaza i ognia, zaledwie wspomnienie, zagłuszane odorem garbarni tuż obok. Mężczyzna w końcu westchnął.

– Czas, by zaufać innym. Tej informacji sam nie uzyskam. Módlmy się, dzieci, do Pani i Pana. Módlmy się, abyśmy my, słabi śmiertelnicy, połączyli się przeciw naszym pogańskim wrogom, bo teraz musimy zaufać innym, którzy nie są naszymi krewnymi, tyle tylko, że wszyscy należymy do rodzaju ludzkiego, broniącego się przed dzikimi.

I odszedł.

Następnej nocy przyprowadził kobietę, kulawą, przestraszoną i zmęczoną. Długo wpatrywała się w dzieci i rzekła w końcu:

– To cud, że przetrwały rzeź. To znak od świętej Krystyny. – Odeszła, a on dał im conocną porcję jedzenia.

Kolejnej nocy przyprowadził młodego mężczyznę o szerokich ramionach, tak przygarbionego, że wyglądał jak człowiek dwa razy starszy. Ale ujrawszy dzieci, wyprostował się i stał się znów mężczyzną dumnym ze swej młodości i siły.

– Pokażemy tym przekętym dzikusom – rzekł cicho. – Nigdy ich nie dostaną. Pokonamy ich. To doda nam siły w nadchodzących dniach.

Nazajutrz Otto przywiódł krępą kobietę, która wciąż nosiła szaty diakonisy, choć były poplamione, podarte i brudne. Skinęła głową, widząc dzieci – nie zdziwiona, bo na pewno słyszała już o nich. Dotknęła czołem złożonych dłoni.

– Módlmy się – wymruczała.

Anna od dawna się nie modliła. Zapomniała litanii, ale dotknęła gładkiego drewna swego Kręgu Jedności jednym palcem, kiedy diakonisa szeptała święte boskie słowa, ponieważ taką modlitwę dziewczynka знаła najlepiej. Otto patrzył na nią jak zwykle: ze łzami w oczach.

– To znak od Boga – powiedziała diakonisa po modlitwie. – W ten sposób osądzą, czy warci jesteśmy uwolnienia od męki, jeśli ocalimy te dzieci, które nie są naszymi krewnymi, a

jednak to prawdziwie nasze dzieci, oddane w nasze ręce, tak jak wszyscy żyjący w Kręgu Jedności są dziećmi Pani i Pana.

Otto przytaknął poważnie.

Diakonisa położyła dłoń na ramieniu Matthiasa, jakby go błogosławiła.

– Ci, którzy chodzą po wodę nad rzekę, mówili z tymi, którzy noszą wodę do kuźni, a spośród tych z kuźni niektórzy dostarczają broń do katedry, gdzie wódz zasiada na tronie i wszystkiego pilnuje. Inni niewolnicy, którzy zamiatają i czyszczą katedrę, czasami spotykają się z tymi, co przynoszą broń i taką informację nam przekazali.

Urwała, słysząc hałas, ale był to tylko wiatr targający okiennicą.

– Wódz opuszcza katedrę cztery razy dziennie, aby zabrać psy do toalety...

– Toalety? – spytała Anna.

To pytanie wywołało pierwszy słaby uśmiech, jaki Anna widziała na twarzy niewolników.

– Latryn. Dziur wykopanych w ziemi, gdzie te stworzenia się wypróżniają, bo nawet one są niewolnikami swych ciał. Jak my wszyscy, obleczeni w śmiertelny kształt. Ale cicho, dziecko. Choć było to niewinne pytanie, musisz uważnie słuchać moich słów. Raz dziennie wszyscy Eikowie opuszczają katedrę, razem z psami i tymi nielicznymi niewolnikami, którzy im tam służą. Idą nad rzekę, by dokonać nocnych ablucji... – Podniosła dłoń, by powstrzymać pytanie Anny. – Wykąpać się. W tym czasie, kiedy nieszpory byłyby śpiewane, katedra jest pusta.

– Zostaje demon – rzekł Otto.

– O ile takie stworzenie rzeczywiście istnieje. Tak mówią niewolnicy, którzy tam sprzątają, ale być może ich umysły są pomieszane przez obecność dzikusów, gdyż nikogo nie dopuszczono blisko tego stwora, o którym mówią, że tkwi przykuty łańcuchem do świętego ołtarza. Z ich opisów przypomina bardziej psa niż człowieka. Jeden mężczyzna mówił, iż zna on ludzką mowę, ale inny rzekł, że potrafi tylko wyć, szczekać i skomleć. Musimy zaufać temu planowi, jeśli święta Krystyna ześle nam cud. Rozumiesz? – zapytała Matthiasa i patrzyła na niego uważnie w świetle zachodzącego księżyca, kiedy skinął głową na znak, że zrozumiał. Anna też kiwnęła głową i wzięła Matthiasa za rękę, tak była wystraszona.

– Dziś w nocy – powiedziała diakonisa. Spojrzała na Ottona i ten przytaknął, choć zacisnął dłoń.

– Dziś w nocy? – wyszeptała Anna. – Tak prędko...? – Odruchowo rzuciła się do przodu i otoczyła Ottona ramionami. Odzienie na nim zwiślało, tęgi niegdyś mężczyzna schudł z niedożywienia i rozpacz, ale jej nadal wydawał się potężny. Przytulił ją mocno do siebie i poczuła jego łyzy na policzkach.

– Musimy natychmiast wyruszyć – powiedziała diakonisa. – Możecie lada dzień zostać odkryci. To naprawdę cud, że was wcześniej nie znaleziono. – Zmarszczyła brwi, a światło księżyca wyrzeźbiło w jej twarzy ostre linie cierpienia. – Nie wiemy, czy jakiś głupiec nas nie

zdradzi, sądząc, że zasłuży się w oczach Eików. Ale u nich nikt nie zdobędzie przychylności. Oni nie są ludźmi. Nie mają litości dla swoich, a dla nas tym bardziej, więc my też nie okazemy im łaski. Już. Pożegnajcie się, dzieci. Nie zobaczycie więcej Ottona.

Anna zapłakała. Zbyt trudno było go zostawiać, jedyną prócz Matthiasa osobę, która od śmierci rodziców okazała jej dobroć.

– Nieście wieści – powiedział Otto. Wciąż trzymał Annę, ale wiedziała, że mówił do Matthiasa. – Nieście wieści, że jeszcze żyjemy w tym mieście, że uczyniono z nas niewolników. Powiedzcie o rosnącej sile Eików, że wykuwamy broń i robimy im zbroje.

– Wrócimy po was – rzekł Matthias głosem stłumionym przez łzy. Anna milczała. Tulila się do Ottona, który jak wszyscy cuchnął garbarnią, ale teraz był to dobry zapach, zapewniający bezpieczeństwo. Za garbarnią zaś leżał wielki świat, którego już nie знаła ani mu nie ufała.

– O Pani – szepnął Otto. Pocałował włosy Anny ostatni raz. – Może to gorzej, że daliście mi nadzieję. Będę na was czekał, z całych sił. Jeśli wy przeżyjecie, a ja przetrwam, i się spotkamy, będę dla was ojcem.

– Chodźcie, dzieci – rzekła diakonisa, biorąc ich za ręce po łagodnym wyswobodzeniu Anny z objęć Ottona.

Anna płakała, kiedy ich odprowadzano. Odwróciła się i spojrzała na Ottona. Patrzył za nimi, otwierając i zaciskając dłonie, a potem jego twarz znikła, zamazana nocą i odległością.

Diakonisa zaprowadziła ich na skraj rowu z nieczystościami, do którego wypróżniali się niewolnicy.

– Poczekajcie tutaj – nakazała. – Przyjdzie po was mężczyzna.

Odeszła do budynku, w którym sypiali niewolnicy. Jakiś czas później przyszedł młody mężczyzna, którego spotkali wcześniej.

– Chodźcie – powiedział, biorąc Annę na plecy. – Musimy biec całą drogę do kuźni. – I pobiegli, chowając się raz, by mężczyzna złapał dech, i drugi raz, gdy w pobliżu zawyły psy, ale żadnego nie spostrzegli. Tylko duchy przechadzały się w nocy po mieście. Anna tak dawno nie zapuszczała się na zrujnowane ulice, że otwarte przestrzenie i kwadratowe cienie, pustka wokół, sprawiły, że przeniknęły ją dreszcze.

Młody mężczyzna zostawił ich bezceremonialnie przy kolejnym rowie, również wypełnionym moczem i kałem. Ale unoszący się smród był to dobry, przyzwoity, ludzki zapach, a nie suchy, metaliczny odór dzikich.

Odnalazła ich tam kobieta. Najpierw przyglądała się im, a potem wyciągnęła dłonie, dotykając ich ust, włosów, łez.

– Jesteście prawdziwi – powiedziała. – Prawdziwe dzieci. Zamordowali moje. Chodźcie. Nie ma czasu. – Puścili się biegiem, klucząc, w labirynt miasta, do kolejnego rowu, do innej grupy niewolników. W ten sposób, od latryny do latryny, przebyli miasto.

– Tylko tu mamy odrobinę wolności – rzekł mężczyzna, który przejął ich w końcu w

poblizu katedry, a na wschodzie pokazał się pierwszy promyk światła. – Ci Eikowie, to dzikusy, ale nie mogą znieść najdelikatniejszego zapachu ludzkich szczyń czy gówna w poblizu. Widziałem, jak zabili człowieka, bo wypróżnił jelita nie tam, gdzie powinien, choć nie mógł temu zapobiec. Możemy więc wychodzić, by sobie ulżyć, pojedynczo, a jeśli powiemy, że nas męczy biegunka, dają nam trochę więcej czasu. Stop... Nikt z nas nie może zabrać was dalej. Ukryjcie się tutaj, pod tymi szmatami przy rowie. Eikowie nigdy tu nie przychodzą. Nie ruszajcie się i nie drzyjcie, nawet gdy usłyszycie psy. Być może was odkryją i zabiją. Ale wszyscy modlimy się, żeby tak się nie stało. Bądźcie cierpliwi. Przeczekajcie dzień. Poznacie po świetle i po odgłosach rogu, i po wielkości procesji, że idą nad rzekę. Bądźcie jednak ostrożni, bo nie wszyscy wychodzą; paru zostaje, by pilnować niewolników śpiących w budynku po drugiej stronie ulicy, zwanym mennicą. O ile mi wiadomo, kilku może też zostać w katedrze. Nie wiem, co jest wewnątrz. Tego musicie się sami dowiedzieć. Niech Bóg będzie z wami.

Zamknął ich dłonie w swoich, najpierw Anny, potem Matthiasa, na znak zbratania. Potem nakazał im położyć się i przykrył cuchnącymi, brudnymi szmatami. Anna słyszała oddalające się kroki. Coś wpełzło pod jej dłoń. Zdławiła jęk. Ani drgnęła, ledwo odważyła się oddychać. Ale po raz pierwszy od wielu dni i tygodni czuła w sercu dziwną lekkość. Długo zastanawiała się, co ją spowodowało i w końcu doszła do wniosku, że słowa Ottona: „Daliście mi nadzieję”.

Dziwne, niemal uduszona przez cuchnącą kupę szmat, zasnęła.

3.

Obudziło ją wycie. Poderwała się, lecz Matthias natychmiast pociągnął ją w dół i unieruchomił. Nie wydała żadnego dźwięku.

Szmaty obsunęły się. Umożliwiło to obserwację katedry i ulicy. Nie dalej jak pięć kroków od niej zatrzymał się mężczyzna, odwrócił się plecami do sterty szmat i nasikał do rowu. Potem, poprawiając ubranie, podszedł bliżej i przykucnął. Ze wszystkich niewolników, jakich widziała, on był najbardziej zadbany; brud nie wżarł się w jego tunikę, choć szczególnie czysta też nie była. Bawił się sznurem zawiązanym nisko na chudych biodrach. Spojrzał przez ramię w stronę katedry. Przez dziurę w łańcuchach Anna widziała na schodach innego niewolnika. Ta osoba – nie mogła rozpoznać, mężczyzna czy kobieta – zmywała lśniące, białe kamienne stopnie, używając ścierki i wiadra wody.

Mężczyzna odchrząknął i przemówił szybko:

– Kiedy tylko wszyscy przejdą ulicą, biegnijcie do nawy. Kryjcie się w cieniu, jeśli zdołacie i idźcie do końca, aż do ołtarza. Tam spotkacie demona. Zbliżajcie się do niego ostrożnie. Z tego co widzieliśmy, potrafi być agresywny. Nikt z nas z nim nie rozmawia. To zabronione.

Wstał i odszedł, i widzieli go po raz ostatni. Najpierw zniknął z ich ograniczonego pola widzenia, a potem, kiedy pojawił się na schodach, został nagle porwany przez psy.

Zatrąbił róg, ostrym, bolesnym dźwiękiem. Horda psów zbiegła po schodach, warcząc, szczekając, skomląc i wyjąc jak szalona. Anna zajęczała i wetknęła dłoń w usta, gryząc mocno, aby powstrzymać się od krzyku. To były potwory, wielkie i umięśnione, tak wysokie w kłębie jak ona, o długich, chudych bokach i masywnych barkach, o żółtych ślepiach, w których płonął diabelski ogień. Ich paszcze wciąż otwarte ukazywały wielkie zęby i czerwone jęzory. Rzuciły się na dwóch niewolników. Widać było tylko kłęb psów, kotłujących się, gryzących i skaczących. Zamknęła oczy i schwyciła Krąg. Matthias przełknął łzy; jego uścisk stał się mocniejszy. Nie odważyła się patrzeć. Nie chciała widzieć.

Zagrzmiał głos; głośny, głęboki, potężny krzyk. Zaciśnęła powieki tak mocno, jak mogła, ale Matthias ją szarpnął i otworzyła oczy. Teraz po stopniach schodzili Eikowie, ohydne stworzenia pokryte łuskami. Ale każdy, choć dzikus bez śladu człowieczeństwa, posiadał w sobie brutalną siłę oraz ślad zwierzęcej gracji w zachowaniu i brzydkiej, ostrej twarzy. Złapali rozszalałe psy za tylnie łapy i odciągnęli, zadając mocne ciosy pazurzystymi dłońmi albo drzewcami oszczepów. Eikowie wyli i szczekali na psy, jakby byli krewniakami potrafiącymi porozumieć się w zwierzęcych językach.

Za nimi szła najdziwniejsza para Eików, jaką dotychczas widziała. Pierwszy był wielki, barczysty, odziany w złote i srebrne łańcuchy wysadzone klejnotami, a towarzyszył mu Eika tak chudy jak ludzcy niewolnicy i ubrany tylko w jedną szmatę na biodrach. U jego pasa zwisała skórzana sakiewka i niósł małą drewnianą szkatułkę, opierając o biodro. Wielki Eika przedarł się przez szalejące psy i zaczął sam rozdawać ciosy, rycząc i śmiejąc się, kiedy odrzucał psy i odganiał je od łupu.

W końcu jeden pies wyrwał się i uciekł po schodach. Wielu wojowników podążyło za nim. Jakby oznajmiono w ten sposób ich porażkę, reszta psów umknęła przed gniewem wodza Eików – lub jego kaprysem, bo z jakiego innego powodu umieścił niewolników na schodach właśnie wtedy, wiedząc, co z nimi zrobią psy? – ruszając za innymi w stronę rzeki. Kiedy opuścili schody, ukazały się na nich zakrwawione strzępy...

Tym razem zamknęła oczy i nie patrzyła. Nakazywała sobie nie patrzeć, i słyszała tylko, jak Matthias przełykał ślinę, próbując zachować ciszę, bo jakkolwiek dźwięk oznaczałby ich zgubę.

W końcu wyszeptał:

– Odeszli. Zabrali te dwa... ich... ze sobą. Chodź, Anno. Nie trać nadziei teraz, kiedy jesteśmy tak blisko.

Rozgarnął łachmany, uwolnił się, skoczył na nogi i poderwał ją. Pobiegł, a ona za nim, potykając się, dysząc, sparaliżowana strachem prawie zapomniała, jak się biega, a jej nogi były sztywne po tyłu dniach unieruchomienia. Znaleźli się w cieniu murów katedry. Wbiegli po schodach. Krew wciąż zabarwiała kamień obok wywróconego wiadra, a strumyczki wody

zmieszanej z krwią sączyły się po stopniach na ulicę. Wszędzie leżały strzępy poplamione krwią.

Wielkie drzwi stały otworem, ale ponieważ słońce zachodziło za katedrą, niewiele światła przenikało do wnętrza przez wschodnie wejście. Wpadli do środka i Matthias natychmiast przywarł do ściany, pociągając Annę za sobą. Położył palec na ustach. Stali w cieniu i nasłuchiwali.

I usłyszeli... muzykę łańcuchów, przesuwających się, szepczących, jakby jakieś stworzenie wypróbowało ich granice i uznało je za niepokonane, jak zawsze.

Matthias poczołgał się, aby ukryć się za jedną z wielkich kamiennych kolumn, podtrzymujących sklepienie świątyni. Tu, w bocznej nawie, pozostawali w cieniu. Główna nawa, olbrzymia przestrzeń pośrodku katedry, była jaśniejsza, oświetlona przez okna wbudowane wysoko w południową i północną ścianę. Najjaśniejszy ze wszystkich był ołtarz, zalany światłem z siedmiu wysokich okien umieszczonych w półkolu w odległym końcu kościoła, otaczających Palenisko.

Obok ołtarza leżała sterta odpadków.

Matthias prześlizgnął się do następnego filaru, używając go jako kryjówki, by podejść bliżej ołtarza. Anna podążyła za nim. Chciała złapać go za pas, uwiesić się, ale nie uczyniła tego. Nauczyła się bowiem: aby poruszać się szybko, oboje musieli mieć swobodę ruchów.

Panowała cisza. Kamień tłumił dźwięk, a świat na zewnątrz wydawał się odległy w tym miejscu – niegdyś świętym, teraz obozowisku dzikich. Czuła ich piżmowy zapach na sobie w sposób, w jaki suche rzeczy, które przywarły do skóry, wywoływały łaskotanie palców i karku; wyczuwała go tak, jak burzę oznajmijącą swe nadejście, przez ów specyficzny zapach powietrza, na długo zanim rozlega się pierwszy grom, a pierwsza błyskawica rozcina ciemne niebo. To oni władali tą przestrzenią, niegdyś poświęconą Bogu.

Zrównała się z Matthiasem i oparła o zimny, cętkowany kamień. Dotknął jej szybko i skoczył ku następnej kolumnie.

Stos odpadków przy ołtarzu ożył.

Nie były to szmaty, ale psy, wyrwane ze snu, dźwigające się na nogi, zaalarmowane.

– Uciekaj – jęknął Matthias. Popchnął ją w tył, ku drzwiom, ale było za późno, a drzwi zbyt daleko. Nie biegali szybciej od psów, tylko się przed nimi ukrywali. A tu nie było gdzie się schronić.

Psy skoczyły ku nim. Anna, oszołomiona, zamarła.

– Nie! – wrzasnęła, bo Matthias wybiegł do głównej nawy, ku psom, próbując je odciągnąć, by ułatwić jej ucieczkę.

– Biegnij! Biegnij! – krzyknął.

Pobiegła do niego. Lepiej było umrzeć z nim, niż żyć bez niego. Lecz, o Pani, jakie to miało znaczenie? W tym mieście nie można było żyć inaczej niż w niewoli u Eików, o ile w ogóle można to nazwać życiem.

Dopadła brata tuż przed psami, wstrętnymi psami. Otoczyła go ramionami i przygotowała się na uderzenie, na śmierć. O Pani, proszę niech przyjdzie szybko.

Ochrypli krzyk – nieludzkie słowa, żadne słowa, jakie znała – dobiegł od ołtarza, przerywany odgłosami, które brzmiały jak warknięcia i skomlenie. Psy zamarły, ślizgając się po posadzce. Zatrzymały się o długość ciała od dzieci, warcząc, gapiąc się błyszczącymi żółtymi ślepiami. A kiedy padły kolejne słowa, odeszły z podkulonymi ogonami, ciągle warcząc, ale posłuszne stworzeniu, które powstało ze stosu łachmanów przy ołtarzu, stosu, który nie był odpadkami, tylko demonem we własnej osobie.

To nie był człowiek, na pewno nie. Tyle Anna mogła łatwo dostrzec w świetle przenikającym nawę. Był wysoki i o ludzkich kształtach, ale Eikowie też byli człekokształtni, choć nie spokrewnieni z ludźmi. Stworzenie okryło się skromnie odzieniem, lecz ubranie i tunika poznaczone zostały śladami zębów i wystrzępione, jakby przypadkiem. Jego przedramiona otaczał złoty materiał, też podarty w wielu miejscach, jakby go psy tarosiły, próbując się dostać do ciała. Nosiło na szyi żelazną obrozę, a do niej przymocowano gruby żelazny łańcuch, przybity do ciężkiego kamiennego bloku ołtarza, Paleniska Naszej Pani.

Wpatrywało się w nich oczami tak nieludzko zielonymi jak szmaragdy. Ten wzrok przypomniał Matthiasowi o podarunku. Wysunął sztylet z buta i podał rękojęcią do przodu.

– Chodźcie – rzekł demon ochryłym głosem.

Przejęci strachem, posłuchali, bo przemawiał tonem stworzenia przyzwyczajonego do posłuchu, a poza tym kontrolował psy, używając demonicznej magii. Dlaczego nie? Nie był człowiekiem, tylko stworem eterycznym, czymś, co bezcieleśnie fruwało w szerokich, nieprzenikniętych niebiosach, wysoko ponad ziemią, ponad zmiennym księżycem; nie obawiało się ludzkich dzieci ani nie wahało się im rozkazywać.

Podpełzli bliżej. Tym razem Anna trzymała mocno za pas Matthiasa jedną ręką, w drugiej zaciskając Krąg. Powstrzymała łzy, gryząc wargę, ale nie zadrżała, gdy otoczyły ich psy, obwąchujące im stopy i wypuszczające się w przód tylko po to, by ostre słowa demona osadziły je w miejscu.

Przysunęli się jeszcze bliżej, tak blisko, że Matthias wyciągnawszy dłoń, podał nóż demonowi. Ten wziął go i szybko rozejrzał się po zaciętej nawie, patrząc na kolumnady. Potem wepchnął cenną broń pomiędzy brudne szmaty, którymi się okrywał. Stał w ciszy, nasłuchując. Oni też milczeli, choć Anna nic nie słyszała, a Matthias nie wydał żadnego dźwięku.

Anna gapiła się. Myślała, że być może, kiedy czarownik zawiązał demona z niebios i gdy magia uwięziła go w ziemskim ciele, demon spróbował – nie mając wyboru – przybrać ludzki kształt. Bo bardzo przypominał człowieka: ludzkie oczy, choć o intensywnie zielonej barwie i trochę skośne w kąciakach, jakby zniekształcone; ludzka skóra, choć w kolorze brązu, jakby metal ukryty w ziemi przedarł się na powierzchnię; ludzka twarz, choć o szerokich, wystających kościach policzkowych; i ani śladu brody, choć bez wątpienia był rodzaju

męskiego. Ale czy Bóg nie stworzył ludzi kobietami i mężczyznami? Dlaczego miałby inaczej postąpić z demonami?

I mówił po ludzku, choć powoli, jakby nie miał wprawy. Do psów, w języku bestii, przemawiał płynnie.

– Dlaczego dałeś mi ten nóż? – zapytał. Tak samo głos, pomyślała, ludzki, ale ochryply, nie do końca uformowany.

Matthias wysunął podbródek, by dodać sobie odwagi, i spojrzał prosto na stwora.

– W zamian za sekret świętej Krystyny, która wyprowadziła dzieci w bezpieczne miejsce.

– Wyprowadziła je w bezpieczne miejsce – powtórzył stwór.

Patrzył na nich przez wieczność, nim Anna pomyślała, że nie zrozumiał słów Matthiasa i tylko naśladował dźwięki. Psy obwąchiwały jej stopy, a ciarki biegały jej po krzyżu jak setki robaków. Pochód Eików wróci lada chwila.

Stwór poderwał głowę jak pies słyszający nagły dźwięk.

– Szybko – rzekł. – Za schodami na wieżę są drzwi do krypty. W krypcie znajduje się droga, której szukacie. Uciekajcie. – I natychmiast zmienił się w obłąkańca. Złapał więżący go gruby łańcuch i szarpnął nim gwałtownie. Odrzucił w tył głowę i zawył, a psy zaczęły szczekać, wyc i skomleć tak strasznie, że ogłuszyły Annę.

Matthias złapał ją za rękę. Pobiegli w cień kolumnady i przez nawę. Demon zaś walił łańcuchem w podłogę jak dzika bestia, a psy szczekały i skakały wokół, niektóre sięgając do jego ciała i napotykając pięść lub łokieć.

– Boże, dopomóż biednemu stworzeniu – wyszeptał Matthias. Doszli do końca kolumnady, do długiego korytarza, prostopadłego do nawy, spowitego cieniami teraz, kiedy słońce już zaszło, wewnątrz pociemniało, a biedny, szalony demon zaprzestał wreszcie gwałtownych i bezcelowych prób uwolnienia się. Może i posiadał magię, by kontrolować psy, ale nie miał jej wystarczająco, by uwolnić się od czarownika Eików.

Dotarli do drzwi z ciemnego drewna poznaczonego długimi rysami, jakby ktoś je drapał, próbując wejść. Matthias położył dłoń na skoblu, ciągnąc ostrożnie, aby upewnić się, że się nie zaciął ani nie skrzypi.

W ciszy Anna pierwsza usłyszała odgłosy stóp na kamieniu. Odwróciła się i, ponieważ nie mogła się powstrzymać, głośno jęknęła ze strachu. Matthias spojrzał przez ramię. Poczula, jak zeszywniał, lecz sięgnął po nóż zatknięty za pasem.

Za późno.

Eika stał w cieniu nie dalej niż dziesięć kroków od nich, przy wielkich drzwiach. Wyszedł z ukrycia i patrzył na nich. Był wysoki, jak większość dzikich, ale raczej szczupły. Jego ciało błyszczało i lśniło w ostatnich promieniach słońca, padających przez wysokie okna, ponieważ nosił spódniczkę precudnej roboty, ze złotych i srebrnych łańcuszków wysadzanych klejnotami, które jak setki oczu wpatrywały się w nich, ostatecznie przyłapanych.

Była zbyt przerażona, by jęczeć. Powiodła palcem po gładkim drewnianym kółku, Kręgu

Boskiej Łaski, jak matka nauczyła ją wiele lat temu. Była to jedyna modlitwa, jaką знаła.

Stworzenie nie poruszało się, nie odchodziło i nie atakowało.

I wtedy Anna ujrzała najdziwniejszą rzecz, jaką w życiu widziała, dziwniejszą od rzezi i śmierci, i strasznych psów, i szczurów żerujących na wzdętym ciele. Stworzenie nosiło naszyjnik. Na prostym rzemieniu powiązanym w kilku miejscach, jakby się zerwał i został naprawiony, leżąc na lśniącej piersi pokrytej miedzianymi łuskami, wisiał Krąg Jedności, znak Kościoła. Taki sam jak jej.

Wciąż się nie ruszał ani nie podniósł głowy, by zawyc na alarm. Tylko podniósł palec i przesunął nim po kole, naśladując jej gest.

Matthias otrząsnął się, jakby się zbudził. Podniósł skobel, złapał Annę za ramię.

– Nie patrz – rzekł. – Nie patrz w tył. Idź za mną.

Wciągnął ją do środka, zatraskując za nimi drzwi. Choć nie było światła, potykając się, zeszli schodami do czarnej krypty.

Nikt i nic nie podążyło za nimi.

– To cud – wyszeptała. Zatoczyła się, kiedy stopnie się skończyły, a wstrząs przeszył jej ciało. Puściła Matthiasa. Po chwili, po omacku, odnalazła go i zacisnęła dłoń tak mocno, że aż stęknął z bólu, ale nie poluźniła chwytu. Nic nie widziała, nawet dłoni przed twarzą.

– Spójrz – szepnęła Matthias, jego szept zniknął w ciemności i usłyszała, jak oddalał się w ciemną, nieznaną, olbrzymią przestrzeń.

Najpierw ujrzała luminescencję, słabe światło. Potem, kiedy jej oczy przywykły, westchnęła i zakrztusiła się, bo kryptę wypełniały szkielety, będące w tym samym stadium rozkładu.

– Popatrz – szepnął Matthias. W ciemności dostrzegła jego wzniesione ramię i popatrzyła dalej, na światło tak słabe, że w ten sposób mógłby się ludziom objawiać oddech duszy. – Chodź! – powiedział nagle i rozpoczęli ponure poszukiwania drogi pośród mnóstwa szkieletów.

– To byli wojownicy – powiedział. – Popatrz, mają broje, czy co tam z nich zostało.

Niektórzy rzeczywiście nosili złote napierśniki ze znakiem czarnego smoka. Anna nie wiedziała, co to oznaczało. Tylko raz widziała pochód niosący sztandar, oznajmiający przejście szlachcica czy szlachcianki, na sztandarze było jakieś inne stworzenie, chyba pies albo koń. Tej tajemnicy – kim byli ci żołnierze? czy zginęli w ostatniej bitwie, kiedy zdobyto miasto? dlaczego wrzucono ich do tej krypty jak śmieci? – nie potrafiła rozwiązać.

Czaszki szczyrzyły zęby do nich, ale Anna już się ich nie bała. Byli martwi; walczyli, by ocalić ludzkich krewnych, siostry i braci, więc nie będą teraz niepokoić jej i Matthiasa. W ten sposób zdolna była odnaleźć drogę między ciałami, odsuwać je delikatnie na bok, jeśli zaszła taka potrzeba. Raz, kiedy zobaczyła nóż wystający spomiędzy żeber, wyciągnęła go i zabrała, dziękując biednemu zmarłemu, który go dla niej zachował. Nigdy nie wiesz, kiedy będziesz potrzebował noża.

Podążyli za światłem w głąb krypty, obok nagrobków świętych, które kiedyś były biskupinami i diakonisami, oraz poczciwych mężczyzn i kobiet, którzy pracowali dla Kościoła. Kiedy doszli do odległego kąta, znaleźli to, co obiecał im demon: schody prowadzące w głąb ziemi, rozświetlone tchnieniem światła, które ich tu przywiodło.

Anna poczuła nadzieję wzbierającą w sercu, promyk światła w ciemności i przerażeniu.

Matthias zawahał się, a później, nie odwracając się, zaczął schodzić ostrożnie, badając każdy stopień, zanim stanął na nim całym ciężarem ciała. Ciągle trzymał jej dłoń, a ponieważ bardziej niż cegokolwiek obawiała się go zgubić, musiała za nim podążyć. Ale spojrzała za siebie – choć widziała tylko ciemność – i wypowiedziała uroczystą przysięgę:

– Wrócimy po ciebie, papo Otto, po ciebie i innych, ale szczególnie po ciebie.

Schody były długie i ciemne. Drogę pokonywali po omacku, a kiedy wreszcie schody się skończyły, i wyszli z zakrętu, poczuła nagły powiew na ustach i coś dziwnego, czego nie smakowała od miesięcy: świeże powietrze nie przesycone śmiercią miasta, zapach zielonych roślin wyrastających z żyznej gleby, a nie ze szpar w popękanych kamieniach.

Szli długo, odpoczywając kilka razy, zawsze krótko.

Kiedy wyszli z tunelu, świtało.

Przed nimi rozpościerało się pole zdziczałego owsa i ujrzeli kilka budynków, wyglądających na opuszczone. Matthias, a za nim Anna, wspięli się na skałę przy jaskini. Spojrzeli w dół poprzez opuszczone pola na miasto, leżące jak klejnot na wyspie pośrodku rzeki. Z tej odległości trudno było odgadnąć, co się działo wewnątrz. Wyglądało jak doskonały model miasta, błyszczący lekko w porannym słońcu.

– Powinienem był go zabić – powiedział Matthias.

– Kogo zabić? – spytała. – Eikę? – Nie myśląc, złapała Krąg Jedności. Nie potrafiła przestać myśleć o Kręgu wiszącym na piersi dzikusa.

– Demona – odparł. – Powinienem był go zabić. Uwolniłby się wtedy z ludzkiego ciała i mógłby wrócić do domu w niebiosach. Czy nie byłaby to lepsza wymiana?

Anna pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby jakikolwiek człowiek mógł zabić demona. Nie są jak my. Nie mają naszej krwi i może nawet w ogóle nie mają krwi. Tylko byś go rozgniewał.

Westchnął.

– Może. Ale żal mi biednej duszy. Jeśli ma duszę.

Zawahała się, a potem spytała:

– Czy Eikowie mają dusze?

– Oczywiście, że nie!

– Ale tamten... widział nas, a jednak wypuścił. Nosił Krąg, Matthias. Jeśli nosił Krąg, to czy nie jest jednym z nas, bo też wierzy w Boga?

– Po prostu ukradł go z jakiegoś ciała i stanowi dla niego zdobycz. Nie wiem, czemu nas puścił. Może święta Krystyna nad nami czuwała i zaćmiła mu wzrok. – Odwrócił się plecami

do miasta i zaczął schodzić ze wzgórza. – Chodź, Anno. Nie wiem, jak daleko będziemy musieli iść, zanim znajdziemy ludzi.

Ale święta Krystyna, choć bez wątplenia ich ocaliła, nie zaślepiała Eiki. Anna to wiedziała. Widziała, jak dotknął Kręgu, naśladowując jej gest. Pozwolił im uciec, świadomie. Podobnie jak wszyscy ludzcy niewolnicy w mieście konspirowali, by ich uwolnić, i tak jak robiło się to tylko dla swoich krewnych.

To był piękny letni dzień. Byli wolni. Szli przez las, pili ze strumieni i zjedli, ostrożnie, kilka wilgotnych jagód. O zmierzchu Matthias dostrzegł ognisko. Zaskoczeni drwale – pozostawieni w lesie, by polowali i baczylili na wypady Eików – chętnie dali im jedzenie w zamian za jeden z zapasowych noży i pozwolili spać przy ogniu. Rankiem jeden z nich odprowadził dzieci do najbliższej wsi.

– Pozwólcie, że wam coś doradzę – powiedział drwal, mały, żylasty i radosny, bez jednego palca u lewej dłoni. – W Steleshamie jest teraz mało miejsca przez tych wszystkich uchodźców. Ale jesteście cenni ze względu na wieści, które przynosicie, więc nie sprzedawajcie ich tanio, to może uda się wam tam zostać. Poproś o termin, chłopcze, i o coś, czym zajmie się twoja siostra, aby o nią dbali, aż wyjdzie za mąż. Psiakrew! To jest cud. Nie sądziliśmy, że jeszcze ktoś ujdzie z życiem z miasta. Jak przetrwaliście? Jak uciekliście?

Matthias opowiedział mu skróconą historię, ale przy końcu nie wspominał o Eiku. Bo Eika nie należał do tej opowieści. A to właśnie on najbardziej trapił Annę. Nie odezwała się jednak. Wszyscy ludzie nienawidzili Eików. Mieli ku temu powody, bo Eikowie byli dzicy, a ich psy to najwstrętniejsze z żyjących stworzeń.

– Twój brat bez wątplenia znajdzie pracę u garbarza, dziecko – powiedział drwal do Anny. – Czy ty coś umiesz?

Nie zamierzała tego powiedzieć, lecz się jej wyrwało.

– Kiedy dorosnę, będę podróżować jak fratrzy. Zaniosę Święte Słowo i Krąg Jedności Eikom. Nie mogą być dzikusami.

Roześmiał się, ale przyjemnie, potrząsając głową, jak to zwykli czynić dorośli, kiedy dzieci mówiły coś, co oni uznawali za głupie. Matthias uciszył ją i wykrzywił twarz.

Ale dzień był bardzo piękny, byli wolni i może, jeśli przyniosą wieści o niewolnikach żyjących w mieście, to ktoś – jakiś szlachcic lub szlachcianka – mógłby poprowadzić wyprawę, aby ich uwolnić. O ile tylko papa Otto i reszta zdołaliby wytrzymać tak długo.

Myślała długo, idąc przez las. Ona i Matthias utracili ojca i matkę i oddano ich pod nieczułą opiekę wuja. Ale to nie wuj – jedyny żyjący krewny – ich ocalił. Próbował ocalić tylko siebie i miała nadzieję, że nigdy się nie dowie, czy nadal jest wśród żywych czy gnije z zapomnianymi trupami. To papa Otto – żaden ich krewny – i inni niewolnicy ich uratowali. Jeśli oni, którzy nie byli ich rodziną, zachowywali się jak krewni, czy nie było możliwe, że nawet Eikowie staną się braćmi? Przechowywała tę myśl w sercu jak dar. Matthias dał demonowi nóż, którego ten mógł użyć, by się bronić lub uwolnić, a w zamian demon dał im

wolność.

Jednak to samotny Eika powstrzymał swą dłoń i pozwolił im odejść.

CZEŚĆ PIERWSZA

WRÓŻBA Z GRZMOTU

Rozdział pierwszy

Muzyka wojny

1.

Wyczuł burzę, zanim pierwszy pomruk grzmotu ozwał się w oddali. Psy drżały niespokojnie i tarmosiły go, ale odpychał je, aż skomląc, zwinęły się u jego stóp.

Krwawe Serce wydawał się nie słyszeć odległego grzmotu. Wódz Eików siedział na tronie, tuż poza zasięgiem łańcuchów swego jeńca. Mierzył piszczele, które oczyszczono z mięsa, odrzucając te, których nie chciał. Odcinał końce kości, aż miał ich na kolanach pół tuzina, gładkich, białych, różnej wielkości i ostrym patykiem wydłubywał z nich szpik. Potem, używając kamiennego wiertła zamontowanego na patyku, wiercił dziury w pustych piszczelach. Pracował w ciszy, przerywanej jedynie dźwiękami obsydianowej piły, trzaskaniem drewna i jego stłumionymi stęknięciami, kiedy obracał patyk między dłońmi, by wywiercić otwór.

Wokół inne dźwięki tworzyły kontrapunkt do wysiłków Krwawego Serca: stary kapłan kuczał na marmurowej posadzce, rzucając kości w przypadkowy wzór, odczytywany i zaraz zmiotany; na zewnątrz na schodach katedry wojownicy Eików zajęci byli grą, do której służyła im głowa w worku; w oddali grzmiało, a rzeka Veser, cichy jej pomruk, zbyt nikły, by go usłyszały ludzkie uszy, śpiewała swą nieprzerwaną, znajomą pieśń.

Psy, oddaliwszy się, obgryzały odrzucone kości, próbując dostać się do szpiku. Najwierniejszy przyniósł kilka kości i upuścił je u jego stóp, porcję dla pana. Jeden Bóg wie, że ciągle był teraz głodny, ale nikt nigdy nie powie, że zniżył się do jedzenia ludzkich szczątków.

Walczył z morderczą rozpaczą. Nadchodziła falami, znikąd, z cieni albo zaklęć Krwawego Serca, które go tu trzymały, skutego nie tylko żelazem. Ogarnięty nagłym atakiem nie kontrolowanych drgawek, zacisnął łańcuchy w dłoniach i potarł nimi gwałtownie o marmurową posadzkę, aż otarł sobie skórę i wypolerował łańcuchy, nie uszkadzając jednak

ani trochę ich grubych ogniów.

Dopiero gdy psy wokół zaczęły warczeć, wyczuwając jego słabość, kiedy jego krew spłynęła na jasny marmur, formując rozety bólu na białym kamieniu, opamiętał się. Przywołał psy do porządku i podniósł wzrok.

Krwawe Serce wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Książę psów – powiedział głosem tak cichym jak trele ptaków w zaroślach. – Czy mam zrobić flet z twych kości, kiedy umrzesz?

– Nigdy mnie nie zabijesz – odparł ochryplym głosem. Czasami były to jedyne słowa, które potrafił wymówić.

Ale Krwawe Serce nawet nie słuchał. Podnosił wygładzone białe rurki do ust, jedną za drugą, sprawdzając ich dźwięk. Niektóre grały wysoko, inne nisko. Wymieniając flety, zagrał poszarpaną melodię, kiedy wreszcie rozbłysła błyskawica, widoczna w wielkich oknach katedry i rozległ się grzmot, a wojownicy Eików roześmiali się hałaśliwie i grali dalej w nagłym, gwałtownym deszczu.

2.

– Dwa miesiące! – Król Henryk przechadzał się, podczas gdy deszcz uderzał w płótno namiotu, spływając po nim i ściekając po masztach. – Straciłem dwa miesiące na tych przeklętych, upartych varreńskich szlachciców, kiedy mogliśmy maszerować do Gentu!

Liath schroniła się pod wozem; mając przed sobą nocną wartę, uzyskała pozwolenie na popołudniową drzemkę. Dzięki Pani deszcz nie przemoczył ziemi. Liath wciąż była sucha i teraz słuchała, jak królewscy doradcy, zebrani wokół Henryka, łagodzą jego gniew.

– Nie mogliście tak szybko opuścić Varre – powiedziała jego ulubiona kleryczka, siostra Rosvita, swym zwykłym łagodnym tonem. – Uczyniliście słusznie, Wasza Wysokość, to było jedyne wyjście. Wasz gniew na Eików jest usprawiedliwiony i gdy nadejdzie właściwy czas, ucierpią od waszej furii.

– Nigdy nie nadejdzie właściwy czas! – Henryk był wyjątkowo skwaszony. Liath ze swego miejsca widziała tylko nogi i torsy, ale każdy rozpoznałby króla po pasie, na którym wybito pieczęcie sześciu księstw, których diukowie winni byli posłuszeństwo władcy. Tego dnia rzucała się w oczy wściekłość, która promieniowała z niego, gdy przemierzał dywan. – Dokonałiśmy pięciu obłążeń w dwa miesiące.

– Żadne nie trwało dłużej niż pięć dni – powiedziała margrabina Judith z pogardą. – Żaden z tych varreńskich szlachciców nie miał odwagi walczyć, wiedząc, że Sabella została pokonana.

– Wasza Wysokość – włączył się Helmut Villam i reszta umilkła z szacunkiem, by posłuchać słów człowieka, który wiekiem i doświadczeniem w ciężkich bojach górował nawet nad Henrykiem. – Kiedy tylko lady Swanhilda podda się waszej władzy, możemy

ruszać na wschód. Wysłaliście tyle Orłów z wiciami, ile mogliście, do wendarskich diuków i szlachciców. Ale nie zapominajcie, że po bitwie, którą stoczyliśmy pod Kassel, wasze siły są zbyt osłabione, by atakować Eików w Gencie. Zebranie nowej armii wymaga czasu.

– Przekłeta Sabella – rzekł Henryk. – Byłem dla niej zbyt łagodny.

– To nasza siostra, Henryku – powiedziała biskupina Konstancja. Choć wyrzut był łagodny, tylko potężna młodsza siostra Henryka mogła sobie na niego pozwolić.

– Przyrodnia – mruknął król i przystanął.

– Jest bezpieczna pod moją pieczę w Autunie, dokąd niedługo powrócę – dodała Konstancja, która mimo młodego wieku posiadała autorytet kobiety znacznie starszej. Zamruczał, przyznając jej rację.

Zaczęli rozmawiać o stanie najnowszego oblężenia, rozpoczętego wczorajszego popołudnia i którą drogą ostatecznie pomaszerują na wschód poprzez północną Arconię z powrotem do Wendaru.

Deszcz osłabł i w końcu ustał. Liath wyczołgała się spod wozu, przypięła miecz i kołczan, zarzuciła sakwy na ramię i ruszyła polować na jedzenie. Racje były skąpe przez ostatnie tygodnie. Nakarmienie królewskiego orszaku nie było łatwe, a teraz, w letnie dni przed żniwami, okazało się jeszcze trudniejsze. To, że maszerowali przez ziemie wrogie królowi, nie polepszało sytuacji. Choć dawne królestwo Varre prawem sukcesji należało do Henryka, ilość krnąbrnych szlachciców i niechętnych duchownych w Varre zaskoczyła nawet Liath, która dawno temu przywykła do bycia wyrzutkiem.

Jednak mimo trudności, nigdy nie była tak szczęśliwa. Zazwyczaj miała co jeść i zapewnione schronienie pod wozem lub płótnem namiotu. Była wolna. Na razie jej to wystarczało.

Obóz rozłożył się nierównym półkolem wokół drewnianej palisady, zewnętrznych obwarowań fortecy lady Swanhildy. Dwie maszyny oblężnicze i trzy balisty stały w odległości strzału od palisady; pospiesznie wykopane okopy chroniły je z flanki, a ściana tarcz chroniła mężczyzn, którzy obsługiwali maszyny. Po obu stronach tarcz ustawiono rzędy pik, chroniące obóz przed szarżą kawalerii. Pierwsza linia powalanych błotem namiotów, niektórych uginających się pod ciężarem kałuż zebranych na płótnie, stała nieopodal tych pik, a namioty króla i szlachty umieszczono jeszcze dalej, prawie wśród drzew. Między namiotami i wozami widniały szerokie spłachcie ziemi, ale Henryk uważał, by nie zdeptać pól uprawnych. Potrzebował ziarna, by nakarmić swój orszak.

Niektórzy z obozujących ustawili stragany albo przywieźli towary na sprzedaż z pobliskich wsi. Zaiste, obóz wojskowy przypominał bardziej wielki, nie zorganizowany jesienny jarmark niż jakąkolwiek armię, którą Liath w życiu widziała.

W Aretuzie obowiązywała precyzyjna marszruta, a każdy namiot pełnił właściwą funkcję zależnie od bliskości namiotu cesarza.

W Andalli kalif posiadał swój własny obóz, otoczony parawanami z jaskrawego

materiału. Tylko uprzywilejowana garstka miała wstęp do obozu, a kalif ze swej samotni rozkazywał generałom, którzy wiedli oddziały do boju.

Z tamtego nieomal tragicznego przejścia przez pustynię na zachód od Kartiako, tyle lat temu, pamiętała cichą i śmiercionośną armię, której odzienie było koloru piasku i którą zdawały się nieść nagle podmuchy wiatru. Ona i tato, i tuzin innych, byli jedynymi, którzy przeżyli z setki dusz rozpoczynającej podróż w wielkiej karawanie. Była taka głodna i zbyt młoda, by zrozumieć, dlaczego nie było jedzenia pod koniec tej straszliwej podróży.

Teraz gapiała się, pochwycona przez smakowity zapach wieprzowiny pieczonej na rożnie. Krępa kobieta doglądająca pieczeni zmierzyła ją wzrokiem.

– Pieniądze? – zapytała. Mówiła ze śpiewnym varreńskim akcentem. – Co masz na wymianę?

Liath wzruszyła ramionami i ruszyła dalej. Miała tylko status Królewskiego Orła.

– Hej, przyjaciółko. – Lew zatrzymał się obok niej. Wymęczony i w znoszonej tunice, miał przyjazny uśmiech. – Nie odchodź tak. Służymy królowi, a tacy jak ona muszą nakarmić królewskie sługi.

Kobieta splunęła na ziemię.

– Jeśli będę karmiła darmo królewskie sługi wszystkim, co mam, to nie będę miała co do gęby rodzinie włożyć.

– Przyszłaś tu, żeby wyciągnąć od nas pieniądze, dobra kobieto – zaśmiał się Lew – więc nie narzekaj, jeśli musisz nakarmić tych, co pieniędzy nie mają. Przybyliśmy tu tylko dlatego, że wasi varreńscy panowie zbuntowali się przeciw władzy królewskiej. Inaczej nie zostalibyśmy zaszczytzeni widokiem twojej pięknej twarzy.

To przesądziło sprawę. Uśmiechnęła się, słysząc ten gładki komplement, a potem znów wpadła w złość.

– To nie moja wina, że szlachta się kłóci. I to nie lady Swanhilda przyłączyła się do królewskiej siostry, tylko jej lekkomyślny najstarszy syn, lord Karol. Biedna kobieta. Miała tylko chłopców i za bardzo ich kochała.

– Moja matka też miała tylko chłopców – odparł Lew. – Ale żaden z nas jej nie zawstydził. Dalej, daj tej wiernej Orlicy coś do jedzenia.

Kobieta niechętnie to uczyniła, podając świeży kawał wieprzowiny nabity na patyk. Lew wręczył Liath okrągły płaski chleb z razowej mąki wymieszanej z pastą z jagód, ich podstawową rację, kiedy nie zostało już nic innego. Jeszcze był ciepły.

– Dziękuję – odparła, niepewna, jak odpowiedzieć na taką dobroć inaczej, niż przedstawiając się – Jestem Liath.

– Mnie wołają Thiadbold. Jesteś tą Orlicą, która przyjechała z Gentu – dodał. – Pamiętamy cię. Ci z nas, którzy służą królowi, a nie mają szlachciców w rodzinie... – Uśmiechnął się. Miał burzę rudych włosów i brakło mu kawałka ucha, koniuszek został ucięty i zaleczył się w białą bliznę. – ...muszą o sobie dbać, jak my. Wypijesz z nami?

Obóz Lwów, rozbity w pobliżu królewskiego namiotu, został mocno przerzedzony. Pierwszy król Henryk założył dziesięć centurii Lwów. Teraz co najmniej pięć z tych centurii służyło we wschodnich marchiach, chroniąc miasta handlowe i główne forty przed napadami barbarzyńców. Nad obozem powiewały dwie flagi Lwów, oznajmiając, że z królem maszerowały dwie centurie. Ale nawet wliczając tych mężczyzn, którzy pełnili wartę, Liath nie wyobrażała sobie, aby więcej niż sześćdziesięciu z tych dwóch setek przeżyło ostateczną bitwę z Sabellą.

– Nie mogę – odpowiedziała z żalem. Nie była przyzwyczajona do siedzenia i gadania z żołnierzami – czy kimkolwiek innym, jeśli o tym mowa. Kilka innych Orłów uznało ją nawet za nieprzystępną i powiedziało jej to, będąc z natury niezależną grupą, której członkowie nie mieli oporów w rozmowach między sobą. – Dziś wieczorem mam wartę.

Skinał głową i pozwolił jej odejść.

W pobliskim lesie słyszała odgłosy bydła, trzymanego z dala od pól. Ci krnąbrni varreńscy szlachcice, którzy uciekli po klęsce Sabelli, przysłali żołnierzy w nadziei umknęcia królewskiej uwadze. Ponurzy żołnierze siedzieli w swoich obozach, pilnowani przez ludzi króla. Nieliczna garstka młodych lordziątek i ich nierozgarniętych siostr też przybyła, niektórzy jako zakładnicy, inni w nadziei na sławę wojenną pod Gentem czy też we wschodnich marchiach. Co najmniej kilku z nich posiadało broń, wyposażenie i konie, ale armia Henryka utraciła wiele ze swej potęgi.

Kiedy wróciła do królewskiego namiotu, kończyła oblizywać palce z resztek tłuszczu. Król poszedł do łóżka, a jego szlachetni towarzysze oddalili się do swych namiotów.

Hathui podała jej bukłak wypełniony piwem.

– Będziesz tego potrzebować – powiedziała. – Jeśli nie weźmiemy jutro tego przekłętego miasta, będziemy musieli pić wodę. Idę do łóżka. – Jako ulubiony Orzeł króla, sypiała tuż przy wejściu do namiotu, razem z jego osobistymi służącymi.

Liath dostała nocną wartę, bo tak dobrze widziała w ciemności, ale też lubiła ją, bo zostawała sama ze swymi myślami. Jednak w pewne noce myśli nie były dobrym kompanem. „Gent”.

Nie mogła znieść myśli o Gencie i o tym, co się tam wydarzyło. Czasami w nocy nadal śniła o psach Eików. Lepiej było nie zasypiać.

Niebo było zachmurzone. Nie mogąc obserwować gwiazd, spacerowała po mieście pamięci. Tylko samotnie w nocy, wolna od Hugona i opieki Wilkuna, podejmowała ryzyko intensywnej koncentracji, której potrzebowała do uporządkowania miasta i zapamiętywania.

Miasto stoi na wzgórzu, które jest wyspą. Siedem murów otacza gród, każdy przebity bramą. Wysoko, na płaskowyżu, stoi wieża.

Ale w swej podróży do miasta przechodzi przez trzecią bramę, nad którą wryto Kielich Niezmierzonych Wód. Wchodzi do czwartego domu po lewej, przechodząc pod arkadą na rogu.

Tutaj spoczywa jej kolekcja „Snów” Artemizji i tu wchodzi się do pierwszego korytarza i drugiej komnaty, księga pierwsza, rozdział drugi. Dlaczego dręczą ją te sny o psach Eików? Czy znaczą coś, co powinna zinterpretować, czy też są po prostu wspomnieniem tego okropnego ostatniego dnia w Gencie?

Ale Artemizja nie daje jej odpowiedzi, kiedy już odczytała przeróżne symbole w małej komnacie, każdy zabezpieczający część słów zapisanych w księdze.

„Pozwólcie sobie rzec, że jeśli chcecie nadać sens swemu snowi, musi on zostać zapamiętany od początku do końca, bo inaczej nie da się wytłumaczyć. Tylko jeśli zapamiętacie całość, możecie odkryć miejsce, do którego prowadzi wizja”.

Ale nigdy nie pamiętała początku ani końca snów, tylko nagły szal psów żerujących między jaśniejącymi nagrobkami zmarłych, w ciemnościach krypty katedry w Gencie.

Wiatr szumiał w drzewach. Otrząsnęła się i poprawiła. Kolana bolały ją od stania. Przy machinach oblężniczych płonęło kilka ognisk. Poruszyły się postaci, zmiana warty. Patrzyła, jak mężczyzna pochylił się, dorzucając do ognia, a potem wyprostował się i zniknął w ciemności. Zaczęło mżyć, pokropiło i ustąpiło ciężkiemu nocnemu bezruchowi, raczej lepkiemu niż gorącemu. Jeden ze służących w półśnie wyszedł z namiotu, zataczając się, ulżył sobie i wrócił.

Powoli chmury zaczęły znikać. Tu i ówdzie zaświeciły gwiazdy, poszarpane wzory uformowały się i utrwaliły, gdy tylko zdołała je rozpoznać. Malejąca ćwiartka księżycy zaświeciła w szczelinie, a potem znikła. W górze koło niebios obracało się i wschodziło zimowe niebo – niebo, widziane późnym latem i wczesną zimą, tutaj znaczące nadejście późnego letniego świtu. Pierwszy blask zabarwił namioty i palisadę na szaro, nabierając kolorów, kiedy w górze znikły najślabiej świecące gwiazdy.

U podnóża machin oblężniczych pojawiła się sylwetka mężczyzny, przemykającego wzdłuż tarcz. Wygaszono ognisko. Zaskoczona, ruszyła do przodu i ujrzała pół tuzina szarych figur przeskakujących przez tarcze i lądujących na ziemi.

Rajd z fortecy.

– Hathui! – wrzasnęła, a potem dobyła miecza i pognała w dół zbocza, krzycząc na alarm.

Zagrał róg, ludzie zaczęli wołać:

– Do broni! Do broni!

Gdy biegła wśród najdalszych namiotów, przyłączyli się do niej żołnierze, gnając na linię frontu. W dole mężczyzna krzyknął z bólu. Zadzwończyły miecze, szczęk broni i uderzenia ostrzy o tarcze. Nagły ogień wybuchł u stóp maszyny na lewo i w jego świetle ujrzała zamieszanie, kiedy mężczyźni skoczyli gasić płomień, a inni łapali płonące gałęzie, szukając wroga – albo by podpalać.

Szarzał świt. Jakby w odpowiedzi na wezwanie do broni, rozlegające się w obozie, otworzyły się wrota fortecy. Ponad czterdziestu jeźdźców, z proporczykami na kopiach, przegalopowało przez bramę i ruszyło ku maszynom.

Liath widziała, jak nadchodzą, słyszała głosy wokół, wykrzykujące ostrzeżenia, słyszała granie rogu w obozie króla Henryka, ale miała ważniejsze sprawy na głowie.

Napastnicy podpalili jedną balistę, a płomienie opierały się wodzie i kocem. Samotny Lew – nie rozpoznała go, widziała tylko kubrak – bronił drugiej balisty przed trzema atakującymi. Trzymał ich w szachu pochodnią i mieczem. Trup czwartego napastnika, niemal pozbawiony głowy, leżał u jego stóp. Jeszcze nie przyparli Lwa do balisty, ale uczynią to lada chwila.

„Orły nie walczą, obserwują”. Tak powtarzała Hathui. Ale on zginie bez jej pomocy.

Zanurkowała, parując ciosy i zajęła pozycję po jego lewej. Powitał ją zduszonym „...dobry”. Pomimo okoliczności wyczuła, że się uśmiechnął. Napastnicy zawahali się, mając do czynienia z dwojgiem zamiast jednego. Poruszyła się, gotując do ataku, a Lew zmienił pozycję i dostrzegła jego twarz. Miał rozrąbany policzek; przez sączącą się krew widać było zęby. Przyglądała się upiornemu uśmiechowi o chwilę za długo. Jeden z napastników zaskoczył ją z lewej. Obróciła się, sparowała uderzenie, ale jego siła rzuciła ją na kolana. Walczyła, mocując się z mężczyzną, który chciał ją powalić. Ranny Lew wepchnął pochodnię w twarz drugiego napastnika, oszołamiając go, a potem nadbiegło dwóch Lwów.

Jednym był Thiadbold. Poznała go po rudych włosach; nie miał czasu nałożyć hełmu. W ułamku sekundy wbił ostrze miecza w brzuch żołnierza, który z nią walczył. Stali nad nią objęci, ugodzony drżał, ramię z mieczem miał przyciśnięte do ciała przez mężczyznę, który zadał mu cios. Thiadbold opasał łup wolną ręką, trzymając go jak tarczę, dopóki nie upewnił się, że całe życie uszło z ciała. Miecz wypadł z bezwładnej ręki napastnika. Thiadbold cofnął się, pozwalając ciału upaść, wydobywając miecz.

Liath odturlała się w bok, a potem poderwała się, kiedy dwóch pozostałych napastników zaczęło się wycofywać – za wolno. Padli pod ciosami, krzycząc, aż znieruchomieli.

Ranny Lew odwrócił się, by gasić ogień na płonącej baliście. Krew ściekała mu na kaftan.

– Odwrót! – krzyknął Thiadbold, jego słowom wtórował ciężki łomot, tętent kopyt i złowieszczy niski dźwięk rogu. – Do obozu! Do króla!

Ujrzała wreszcie, co się naprawdę działo. Rajd na maszyny oblężnicze odwrócił ich uwagę od pik, chroniących flanki obozu. Jeźdźcy z zamku gnali naprzód z pełną prędkością i opuszczonymi kopiami. Ponieważ piki wyrwano z ziemi lub ścięto, droga do obozu leżała otworem.

– Mamy zbyt mało ludzi, by odeprzeć atak! – wrzasnął Thiadbold. – Orle! Odwrót!

Posłuchała, a oni zrobili jej miejsce za swymi plecami, ponieważ ze wszystkich ludzi walczących z wycieczką, biegnących do obozu, by odeprzeć atak ciężkiej jazdy, tylko ona nie miała żadnej zbroi.

Ranny Lew uratował pociski z balisty i wręczał je towarzyszom.

– Walcie tym – krzyczał, jego słowa były niewyraźne. – To nasza jedyna szansa na powstrzymanie ataku. Orle! – skinał na nią, z jego zranionego policzka wciąż sączyła się

krew. – Strzelaj w końskie pyski. Może to je przepłoszy.

Mężczyźni ruszyli naprzód w świetle poranka, formując linię tam, gdzie stały piki. Nowi dywersanci, zachęcani obronną postawą oddziałów królewskich, zabrali się za nie chronione maszyny.

– Król! – rozległ się krzyk z tyłu. – Król jedzie!

Przykucnęła za linią Lwów i żołnierzy, z których kilku trzymało pociski z balist, wyciągnięte przed siebie jak oszczepy. Kiedy reszta przygotowywała się, wbijając drzewce oszczepów w ziemię, ona schowała miecz i przygotowała łuk. Jej umysł zamarł i uciszył się. Nałożyła strzałę, naciągnęła cięciwę i strzeliła, ale w mroku straciła strzałę z oczu. Zalał ją grzmot kopyt; nie słyszała nawet słów stojącego obok Lwa. W fortecy nic się nie działo. Żadni piesi ani łucznicy nie podążyli za rajdem swego lorda za bramy. Nałożyła kolejną strzałę, naciągnęła...

Spadli na nich jeźdźcy. Miała tylko chwilę, by dostrzec ich kaftany z wyszytym łabędziem. Dowodzący, którego błyszcząca zbroja, hełm i biała końska derka jaśniały, pokonał ich wielkim skokiem. Jego towarzysze przedarli się, niektórzy skacząc, inni prac do przodu ciężarem koni. Tylko jeden się zatrzymał, krzycząc z bólu, kiedy oszczep trafił go w pierś i padł. Lew ściągnął jeźdźca z konia.

Podążyła za jeźdźcami końcem strzały, ale nie mogła jej zwolnić z obawy przed trafieniem któregoś z królewskich ludzi. W obozie zapanował chaos. Lord prowadzący atak nie interesował się nadbiegającą piechotą. Ze zbrojnymi za plecami pognął do namiotu, nad którym powiewał królewski sztandar: wielki proporzec z czerwonego jedwabiu z wyszytymi złotą nicią orłem, lwem i smokiem. Szarża niosła go przez obóz, roztrącając zdezorganizowane oddziały, stojące na drodze.

Król Henryk nie czekał na swych szlachciców. Odziany w kolczugę i misiurkę, dosiadł konia, schwycił lancę świętej Perpetui i teraz, z niecałym tuzinem jazdy, gnał w stronę napastników. Król wyjechał pomiędzy namiotów moźnych na wolną przestrzeń, oddzielając je od reszty obozu. Dał koniowi ostrogę, opuścił lancę i pędził naprzód, niesiony wściekłością. Inni, krzycząc, chcieli przerwać szarżę, ale królewskiego konia najwyraźniej ogarnęła ta sama długo tłumiona furia, która w końcu buchnęła płomieniem. Ci konni odczują gniew, którego Sabelli, królewskiej krewnej, oszczędzono.

Z przeciwnego końca nadjeżdżał lord i jego oddział, również w pełnym galopie. Kiedy mijali ostatni z namiotów obozu, wierzchołek lorda zaplątał prawą nogę w olinowanie, zrywając namiot; okrutna siła rzuciła konia i jeźdźca na ziemię.

– Wstawaj! – krzyknął Thiadbald, podnosząc Liath. Na ziemi wokół niej leżało kilku mężczyzn, jęcząc lub nie wydając już z siebie głosu. Jeździec, zrzucony z konia, był martwy.

Pobiegła z innymi na wzgórze.

Henryk ledwo miał czas na ściągnięcie wodzy, kiedy towarzysze lorda się rozpierzchli. Król przystawił swą lancę do piersi mężczyzny. Jego twarz zakryta była przyłbicą hełmu.

– Poddajcie się! – krzyknął król głosem, który poniósł się po obozie i zdusił bitwę w zarodku. Mężczyzna nie poruszył się, ale jego towarzysze jeden po drugim byli zabijani, rozbrajani albo zmuszani do podania się.

– Liath! Do mnie! – Liath podbiegła do Hathui i stanęła przy niej, dysząc. – Orły nie walczą – dodała Hathui cicho. – Obserwują. Ale dobrze się spisałaś, towarzyszko.

Henryk się nie poruszył, po prostu osadził swego cierpliwego konia i oparł grot lancy na piersi leżącego lorda.

Tak czekał, aż zgromadzili się wokół niego wendarscy szlachcice pod wodzą Villama, Margrabina Judith zarządziła sprzątanie: jeńcy zostali zebrani w jedną grupę, konie spętane, ognie wygaszone – chociaż dwie balisty obróciły się już w kupy popiołu.

Kiedy wstało słońce, brama fortecy znów się otworzyła. Wielka dama, dosiadająca gniadej klaczy ozdobionej złotem i srebrem jak stula biskupia, jechała między dwiema diakonisami w bieli i dwoma fratrami w brązowych szatach. Jej orszak, nie uzbrojony, podążał za nią. Z tyłu podniosły się już jęki, płacz i zawodzenie.

Henryk dał znak wolną ręką i jego ludzie rozstąpili się, by przepuścić lady Swanhildę. Zbliżyła się; jeden ze służących pomógł jej zsiąść; ukłękła przed królem.

– Błagam was, Wasza Wysokość – powiedziała głosem drżącym z rozpaczy. – Pozwólcie mi sprawdzić, czy mój syn jeszcze żyje. Błagam, okażcie nam miłosierdzie. To nie był mój plan. On jest lekkomyślnym młodzikiem, który nasłuchał się zbyt wielu poetów grających muzykę wojny.

– Lepiej byście zrobili, gdybyście stawili się przede mną wczoraj, gdy zajechałem – rzekł król, ale podniósł lancę.

Lady Swanhilda zdjęła hełm. Jej nagły jęk potwierdził to, czego jeszcze nie wszyscy się spodziewali. Młodzieniec był martwy, choć jego ciała nie nazaczył ślad wojny. Zginał, spadając z konia. Jego matka zaczęła płakać, jednak z godnością.

– To nie jest dla mnie przyjemne – powiedział nagle król głosem ochryplym od żalu. – Ja też straciłem ukochanego syna.

Przycisnęła dłoń do serca i długą chwilę wpatrywała się w nieruchomą twarz młodzieńca. Była starą kobietą, kruchą, o delikatnych kościach. Potrzebowała pomocy, by się podnieść. Ale w jej twarzy lśniła duma, kiedy patrzyła na króla, który wciąż jeszcze dosiadał konia; jego lanca została oddana pod opiekę Helmuta Villama.

– Przyłączył się do Sabelli, choć mu to odradzałam.

– A lojalność? – zapytała biskupina Konstancja, która pojawiła się po skończonej walce.

– Wasza Miłość. – Lady Swanhilda skłoniła głowę, więcej szacunku okazując biskupinie niż królowi. – Służymy panującemu.

Margrabina Judith parsknęła.

– Teraz, kiedy zostaliście do tego zmuszeni!

– Potrzeba niesie ze sobą okrutne wybory – odparła lady bez mrugnięcia okiem. – Zrobię,

co mi rozkażecie, bo muszę.

– Dajcie jej spokój – powiedział Henryk. – Nakarmcie nas dzisiaj, lady Swanhildo, dajcie trybut, którego żądam, i rano stąd odjedziemy.

– Jaki trybut? – Kilku wendarskich szlachciców parsknęło, słysząc, jak pokonana Varrenka kwestionuje zasady.

– Potrzebuję ludzi, koni i zbroi, aby odbić Gent, który wpadł w ręce Eików. To podatek, który nakładam na was i wszystkich varreńskich szlachciców, którzy podążyli za Sabellą. Walka z nią kosztowała mnie wiele sił, które wy i wasi ziomkowie mi zwróćcie.

Lady Swanhilda nalewała królowi wina i własnoręcznie obsługiwała go podczas uczty. Jej dzieci służyły jego dzieciom, margrabiom, biskupinie i kilku innym szlachcicom, których ranga nakazywała obsłużyć z równym szacunkiem. Liath, stojąca z Hathui za królewskim krzesłem, próbowała nie zwracać uwagi na burczenie we własnym żołądku. Była szczęściarą: dostanie resztki z uczty.

Jak zwykle, lady Tallia otrzymała przywilej zasiadania przy wuju, królu Henryku, ale młoda księżniczka ledwie skubała jedzenie, zadowolając się takimi okruszynami, że Liath zastanawiała się, w jaki sposób dziewczyna zachowywała się.

– Jak widzicie – powiedział Henryk do lady Swanhildy, wskazując Tallię. – Jeździ ze mną jedyne dziecko Sabelli. – Przyjrzał się uważnie trojgu dzieciom usługującym przy stole. Jedno, dziewczynka lat około dwunastu, miała twarz bladą od płaczu; jako dziedziczka ciotki, obsługiwała dzieciom króla, Theophanu i Ekkehardowi. Dwaj synowie Swanhildy podawali do stołu reszcie możnych. Jednym był chłopiec może ośmioletni, tak zdenerwowany, że służący chodził za nim krok w krok, pomagając ustawić talerze, nie tłukąc ich i nalać wina bez rozlewania. Drugi chłopiec był trochę starszy od Ekkeharda, jeszcze niedojrzały. Miał doskonałe maniery i śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

– To wszystkie wasze dzieci? – spytał Henryk.

Swanhilda nakazała służącemu przynieść więcej wina.

– Mam syna w klasztorze ufundowanym przez moją babkę. Ten chłopiec, Konstantyn... – wskazała na starszego – ...ma na wiosnę, gdy skończy piętnaście lat, wstąpić do scholi w Mainni.

– Niech lepiej wstąpi do mojej – powiedział król. – Siostra Rosvita nadzoruje młodych kleryków i dworskie interesy. Z radością będzie doglądać jego edukacji.

– Byłby to wielki zaszczyt – rzekła lady beznamiętnie, rzucając okiem na Tallię. Ona, jak inni zgromadzeni, rozumiała, że jej syn był teraz zakładnikiem gwarantującym matczyne dobre sprawowanie i poparcie.

Hathui chrząknęła, prostując plecy.

– Rzeczywiście – mruknęła do Liath. – Królewska schola znacznie się powiększyła przez ostatnie dwa miesiące, tylu młodych szlachciców z Varre do niej wstąpiło. Nieomal

nadrabiają brak księżniczki Sapientii.

Ten nagły, okazjonalny sarkazm Hathui nie przestawał zadziwiać Liath. Ale ponieważ Hathui zawsze się uśmiechała po swych komentarzach, Liath nie wiedziała, czy Orlica pogardzała szlachcicami, czy też uznawała ich za zabawnych.

Liath patrzyła na ruchy młodego Konstantyna, którego przywiedziono, by ukląkł przed królem i został mu przedstawiony. Pozwolono mu nawet ucałować królewską dłoń. Czy chciałaby takiego życia? Zostać oddaną do królewskiej scholi, gdzie mogłaby się uczyć, pisać i czytać, co tylko zapragnęła – i być za to chwaloną? Gdyby tato nie umarł...

Ale tato umarł. Został zamordowany.

Dotknęła lewego ramienia, na którym, gdy nie jeździła, miała zwyczaj nosić sakwy. Czuła się bez nich lekka, niemal naga, ale musiała zostawić wyposażenie owinięte w płaszcz w stajniach fortecy. Nienawidziła zostawiać juków, bojąc się, że ktoś ukradnie je, a wraz z nimi cenną książkę ukrytą wewnątrz. Przynajmniej tym razem zostawili Orła, aby pilnował ich rzeczy, podczas gdy oni towarzyszyli królowi i przypominali tym varreńskim panom o królewskiej świetności i daleko sięgającej potędze.

Lwy też tu były, stali pod ścianami. Dostrzegła Thiadbolda przy drzwiach, które prowadziły do wielkiego korytarza i kuchni. Rozmawiał z jednym z towarzyszy.

Ponad zgiełkiem rozmów usłyszała margrabinę Judith zwracającą się do króla. Dumna margrabina przerażała Liath, choć dziewczyna była pewna, że Judith nie wiedziała, kim była Liath i nie miała powodu, by łączyć anonimowego Orła ze swym synem. Hugo był teraz opatem w Firseburgu leżącym na zachód stąd, w północnej Varingii. Nie miał powodu, by pojawić się na królewskim dworze. Na początku obawiała się, że królewska podróż przez Varre może ich zaprowadzić tak daleko, ale podczas tej wyprawy Henryk nie miał powodu, by odwiedzać miejsca mu wierne.

– Zabiorę drużynę i pojedę na wschód, do mojej marchii – mówiła Judith. – Zbiorę tyle oddziałów, ile zdołam, ale z powodu nadchodzących żniw, zimy i wiosennego siewu nie będę mogła przed latem pomaszerować na Gent.

– A co z małżeństwem, o którym wspominałaś? – spytał król. – Czy to cię opóźni?

Podniosła brwi. Potężna kobieta mniej więcej w wieku Henryka urodziła pięcioro dzieci, z których troje wciąż żyło, i przeżyła dwóch mężów. W przeciwieństwie do lady Swanhildy te trudy jej nie pokonały. Wciąż mogła ruszać do bitwy, mimo iż miała synów i zięciów, którzy mogli ją zastąpić. Wbrew sobie Liath podziwiała siłę Judith – i wdzięczna była, że nie zwraca się ona przeciw niej.

– Młody mąż zawsze żądny jest wykazania się w boju – rzekła. To oświadczenie spowodowało chichoty i szczere życzenia szczęścia, na które odpowiadała z godnością: – Nie widzę powodu, dla którego nie miałby walczyć pod Gentem, kiedy już tam dotrzemy. Ale muszę wrócić do Austrii na ślub, a obiecałam, że odbiorę narzeczonego zeszłej wiosny. – Kąciki jej ust podniosły się i wyglądała na bardziej uradowaną tą perspektywą, niż Liath

uznała za możliwe. – Opóźnienie spowodowane rebelią Sabelli było nieoczekiwane. Mam nadzieję, że jego rodzina mnie nie skreśliła.

– Ale tu gorąco – mruknęła Liath.

– I to nie tylko z powodu rozmowy – odparła Hathui z uśmiechem. – Wyjdź na zewnątrz. Nie będziesz potrzebna.

Liath skinęła głową i odsunęła się od stołu. Przyciskając się do ściany, ujrzała szereg służących niosących następne danie, pieczone bażanty na półmiskach, z ogonami rozłożonymi na kształt wachlarzy. Z tego miejsca mogła usłyszeć rozmowę przy najbliższym stole, gdzie siedziała siostra Rosvita z klerykami.

– Mam nadzieję, że jest tak przystojny, jak powiadają o jej pierwszym mężu – rzekła jedna z kobiet.

– Jej pierwszy mąż nie był przystojny, droga siostrzo Amabilio – powiedział pyzaty młodzieniec siedzący obok Rosvity. – Był dziedzicem wielu ziem i fortuny, ponieważ jego matka przeżyła swe siostry i nie urodziła córki. Ten słynny kochanek margrabiny z Alby był taki przystojny. Prawda, siostrzo Rosvito? Byliście wtedy na dworze, prawda?

– Myślmy o Bożym dziele, bracie Fortunatusie. – Ale po wypowiedzeniu tych pobożnych słów Rosvita się uśmiechnęła. Słyszała na dworze ze swej wielkiej wiedzy i mądrych rad oraz tego, że nigdy nie wpadała w gniew. Po dwóch miesiącach na dworze królewskim Liath mogła ją tylko podziwiać z daleka – szczególnie po wysłuchaniu pochwał, które w Spokoju Serca piał na cześć siostry Ivar. – Nie mogę sobie teraz przypomnieć jego imienia, ale zaprawdę był uderzająco piękny, twarz z rodzaju tych, których się nie zapomina.

– Niezwykła pochwała z waszych ust, siostrzo Rosvito – powiedziała kobieta zwana Amabilią. – Nawet, jeśli pamiętacie wszystko.

Strumień półmisków i bażantów przepłynął. Liath pośpieszyła ku drzwiom.

– Thiadbold. – Zatrzymała się przy rudowłosym Lwie. – Co z tym, który dziś rano miał tak strasznie pociętą twarz? Przeżyje?

– Przeżyje, ale nie oczaruje już żadnej kobiety przystojną gębą, biedaczek.

– Czy będzie mógł nadal służyć w Lwach? Co się z nim stanie, jeśli nie? – Aż za dobrze wiedziała, co znaczyło nie mieć ani rodziny, ani domu.

– Lew, który jest niezdolny do służby z powodu rany otrzymanej w bitwie, może liczyć na szczerą zapłatę od króla, własną ziemię w marchiach lub na żuławach.

– Czy to nie są niebezpieczne i trudne do uprawy miejsca?

– Owszem, ale nie musisz służyć paniczykom, którzy domagają się trybutu i pańszczyzny. Król żąda tylko pełnienia służby w fortach w marchiach. Nawet mężczyzna z taką blizną jak biedny Johannes znajdzie sobie żonę, jeśli ma kawał ziemi do przekazania córkom. Zawsze można znaleźć silną kobietę, młodszą siostrę na przykład, która będzie chciała pójść na swoje i nie zwróci uwagi na paskudną bliznę. – Zawahał się, a potem przelotnie dotknął jej łokcia. – Ale wiedz, Orle, że my, Lwy, zapamiętamy, że przyszedł nam

z pomocą.

Za nimi, przy stole, król wstał i wznosił puchar, nakazując ciszę.

– Rankiem pomaszerujemy na wschód, ku Wendarowi – oznajmił. Kilku młodszych lordów wzniosło okrzyki, szczęśliwych z powodu ruszenia ku ziemiom, na których można było oczekiwać walki. – Ale nie radujmy się pod dachem żałobników. Pamiętajmy nauki świętej Katiny.

Ponieważ świętą Katinę prześladowały wizje wielkich nieszczęść czyhających na jej wioskę, tak jak dzikie zwierzęta w lesie czyhają na niewinną ofiarę, Liath zastanawiała się, co król Henryk chciał tą historią przypomnieć swemu orszakowi. Ale to był jej dzień, a wizje okazały się prawdziwe.

– Nie pozwól, by strach cię zaślepił – powiedziała biskupina Konstancja.

– Nie zapominaj o tym, co cię gnębi. – Król wpatrywał się ponad kielichem w wizję znaną tylko jemu. – To już sześćdziesiąt siedem dni, odkąd się dowiedziałem o śmierci... – Urwał. Nie mógł się zmusić, by głośno wypowiedzieć imię. „Niech lepiej nigdy tego nie robi”, pomyślała gorzko Liath, aby nie rozrywać serca nowym bólem. – Odkąd Smoki padły w Gencie.

Niektórzy młodzi lordowie w końcu sali wzniesli toast za odwagę legendarnych Smoków. Kilku z nich bez wątpienia miało nadzieję, że Henryk wyznaczy nowego kapitana i powoła nowy oddział Smoków, ale Liath nigdy nie słyszała, aby o tym wspominał. Pili za zmarłe Smoki, ale Henryk jedynie sączył wino.

Villam natychmiast zmienił temat, rozmawiając o powrocie. Mieli jechać na południowy wschód, aż dotrą do Hellweg, Wielkiej Drogi, która zaczynała się na wschodzie Arconii, przecinała północno-zachodnie Fesse i stamtąd biegła do Saony.

– Jest zbyt późno, by liczyć na dotarcie do Quedlinhamu na Mateuszów – rzekł król. – Żniwa się skończą. Ale możemy zdążyć ucztować z moją matką i siostrą na świętego Walentyna.

„Quedlinham”. Czy to nie tam posłano Ivara? Liath spojrzała na siostrę Rosvitę, która uśmiechała się po jakiejś uwadze siostry Amabilii. Wspomnienie o Ivarze powiodło jej myśli ku Hannie. Gdzie była teraz Hanna? Jak tam ich podróż, jej i Wilkuna? Kiedyś Hanna mówiła o Darre jak o mieście zbudowanym z pieśni poety, całym z niematerialnego tchnienia. A teraz je zobaczy.

– A potem – mówił król – pognamy na południe, na polowanie.

– A na co zapolujemy? – spytał Villam.

– Na oddziały i zapasy – rzekł Henryk ponuro. – Jeśli nie na ten, to na następny rok. – Myśl o Gencie nigdy nie opuszczała jego umysłu.

3.

Anna musiała pójść w las dalej niż kiedykolwiek, aby znaleźć jakiegokolwiek owoce. Lasy najbliższe Steleshamu zostały obrane do czysta przez uchodźców z Gentu. Matthias nie chciał, aby sama chodziła do lasu, szczególnie, że jego granica cofała się coraz bardziej, ponieważ uchodźcy zebrali wszelkie możliwe jagody i korzenie, wypasali bydło w poszyciu i ścinali drzewa na opał i schronienie.

Ona i Matthias długo przetrwali w Gencie zupełnie sami. Na pewno zdoła przeżyć kilka wypraw do lasu, w którym najgorszymi drapieżcami były wilki i niedźwiedzie – jeśli jakiegokolwiek jeszcze się tu pojawiały, ponieważ cała zwierzyna została wymieciona przez leśników, którzy strzegli dróg przed Eikami i dostarczali pani Giseli i uchodźcom w Steleshamie świeże mięso.

Ale nie starczało dla wszystkich. Nigdy nie starczało dla wszystkich.

Kijem wyrąbywała ścieżkę w poszyciu. Rzepy przyczepiły się do jej spódnicy. Osty raniły stopy. Miała pręgę na policzku i rozdarcie w chuście, która zaczęła o uschłą gałąź. Bojąc się zgubić drogę, robiła nacięcia na drzewach; ona i Matthias mieli pod dostatkiem noży, a cztery już przehandlowali za płótno i stałą dostawę jajek. Ale przystawanie, by naznaczyć co trzecie lub czwarte drzewo, opóźniało marsz – a stopy ją bolały od kamieni i korzeni.

Przed nią pojawił się gęsty krzew obwieszony jagodami, jasnoczerwonymi kuleczkami nie większymi od koniuszka jej małego palca. Ugryzła jedną ostrożnie; kwaśny smak wykrzywił jej twarz, a ostry sok poparzył język. Ale i tak zebrała wszystkie, wrzucając do woreczka. Może były trujące, ale pewne znachorki w obozie wiedziały, które można jeść na surowo, które trzeba ugotować, które nadawały się na barwnik, a które były po prostu do niczego. Przedzierając się przez krzak w poszukiwaniu jagód, znalazła prawdziwy skarb. Wśród korzeni zwałonego drzewa rosły dzikie cebule.

Padła na czworaki, by je wykopać. Matthias będzie z niej taki dumny.

Kiedy trzasnęła gałązka, odruchowo znieruchomiała. Nie odważyła się nawet podnieść głowy. Tylko ten bezruch ją uratował. Przeszli po drugiej stronie krzaka, a kiedy do siebie szeptali, po śpiewnym akcencie i twardych niezrozumiałych słowach poznała, że Eikowie przeszukiwali te lasy.

O Pani. Czy zmierzali do Steleshamu? Czy nigdy nie zostawią uchodźców w spokoju? Czy ją znajdą? Wiedziała, co robili z dziećmi.

Ale nie podnosiła zagrzebanych w ziemi dłoni, zapach cebuli drażnił jej nozdrza, i modliła się do Pana i Pani, poruszając bezgłośnie ustami. Jeśli tylko nie będzie się ruszać i pozostanie w ukryciu, przejdą obok, nie widząc jej. Wtedy pobiegnie i ostrzeże Matthiasa – i resztę.

Usłyszała skrzypnięcie, jak rysowanie paznokciem po garnku, syknięcie powietrza i nagły jęk. Wrzask wściekłości przeszył powietrze nawet nie dziesięć kroków od niej. Nie poruszyła

się. Zdusiła szloch, ściskając w dłoniach ziemię i cebule, kiedy za nią leśnicy rzucili się na Eików i rozgorzała walka.

„Nie uciekaj”, powtarzał zawsze Matthias. „Jeśli zaczniesz uciekać, zobaczą cię”. A poza tym, gdyby uciekła, pewnie już nigdy nie odnalazłaby tej grządki cebuli.

Mężczyzna wrzasnął. Gałęzie łamały się i trzaskały, a ciężkie ciało padło na ziemię tak niedaleko niej, że poczuła drżenie ziemi pod kolanami. Strzała wbiła się w drewno. Zadzwonił metal, ostrze napotkało ostrze. Mężczyzna wykrzyknął ostrzeżenie. Wiele stóp biegło przez poszycie i ktoś przeklinał.

A potem nagle podniosło się wiele głosów, poszycie się rozdarło i zabrzmiał odgłos, jakby wiele razy uderzano w ziemię – albo w ciało.

Cisza.

Nadal nie podnosiła głowy. Rzadki płyn zebrał się obok jej lewej dłoni, mocząc mały palec. Palił jak użądlenie pszczoły. Delikatnie spojrzała przez ramię.

Zauważyła wyciągniętą ku niej rękę. Wpatrywały się w nią oczy, wargi odsłaniały ostre zęby, usta otwierały szeroko w ostatnim grymasie. Każda część Anny, która nie była jej ciałem, zerwała się i uciekła z wrzaskiem przerażenia – ale szkolenie wzięło górę. Nie ruszyła się, a po chwili takiej paniki, że aż ją brzuch rozboleł, zrozumiała, że Eika padł martwy, nieomal prosto na nią.

Niedaleko usłyszała rozmawiających leśników.

– Widziałem tylko dwóch.

– Szpiegują w parach.

– A gdzie ich psy?

– O Panie, czyś ty kiedyś widział ich psy, chłopcze? Idź na zwiad z psami i wszyscy wokół wiedzą, że nadchodzisz. Nigdy nie szpiegują z psami i całe nasze szczęście. Przysięgam, psy trudniej zabić niż tych przeklętych dzikich.

– Co teraz robimy z tą dwójką?

– Zostawiamy, niech ich zeżrą muchy i robaki, o ile zdołają zjeść Eików.

Wstała, drżąc, wytarła palce z zielonego płynu, który wypłynął z gardła Eiki przesytego strzałą. Musiała zbierać. Cebule wychodziły łatwo, ale drżała podczas pracy, nawet wiedząc, że Eikowie już jej nie skrzywdzą.

– Hej tam! A to co?

Mężczyźni przedarli się przez poszycie i kiedy spojrzała w górę, zobaczyła dwóch przechodzących przez krzak, a potem gapiących się na pokruszone liście i na nią.

– A ja cię znam – powiedział jeden. – Ty jesteś dzieckiem, które wczesnym latem wyszło z Gentu. – Nie musiał pytać, co robiła. – Psiakrew, omal ci gardła nie poderżnęli, mała. Lepiej wracaj do miasta. – Gestem odprawił kompana. – Co tu znalazłaś, dziecko?

– Cebule – powiedziała, nagle przerażona, że je jej odbierze.

Ale tylko skinął głową, wyciągnął zza pasa pomalowany patyk i wetknął przy drzewie, by

zaznaczyć znalezisko.

– Nie zabierz teraz wszystkiego. Taki z wami problem, wszystko zabieracie i nie zostawiacie niczego na przyszłoroczny wysiew. Musisz dbać o to, co znajdziesz, tak jak rolnik zostawia ziarno na siew i nie piecze chleba ze wszystkiego.

Gapiała się na niego, czekając, aż sobie pójdzie, więc westchnął i cofnął się.

– Nie, dziecko, niczego ci nie zabiorę. Lepiej nam się żyje w lesie niż wam sierotom pod miastem. Gisela to przebiegła pani i wszystkich by was wzięła do siebie do pracy, gdyby miała miejsce. Idź już.

Poderwała się i uciekła, przyciskając do siebie cenne cebule. Kiedy już nie widziała leśników, zatrzymała się, by podkasać spódnicę, wpychając materiał pod pasek i robiąc kieszeń na swój skarb. Spojrzała przez liście na niebo. Było gorąco, nieprzyjemnie, ale już dobrze po południu – czas wracać, aby zdążyć przed zmrokiem. Zarzuciła chustę na plecy, przewieszając przez ramię i biodro. Wyćwiczonym gestem zaczęła w nią wkładać chrust: wszystko suche, spadłe z drzew i nie za ciężkie.

Tak obładowana przybyła do obozu późnym popołudniem. Węzełkiem z chrustem zakryła wybrzuszenie na spódnicy, ukrywając znalezione cebule, kiedy szła przez obóz ku garbarni. Kiedyś ten spłacheć ziemi też był lasem, w którym zbierano runo pod nadzorem Giseli, pani fortecy Stelesham, stojącej na pobliskim wzgórku. Teraz Anna widziała tylko pieńki tam, gdzie kiedyś rosły drzewa. Kozy pożarły całą trawę prócz szczelnie ogrodzonych i doglądanych grządek z warzywami. Wszystkie nasiona zostały już dawno wydziobane przez kury i gęsi, a ostatnia gałązka poszła w ogień. Kiedy padało, błoto spływające z każdej ścieżki zlewało się w rzekę brudu, która wiała się w labiryncie szałasów i chatek.

Tu, w Steleshamie, rozbiło zeszłej wiosny obóz wielu uchodźców z Gentu, wyrzuconych na brzeg jak drewno po powodzi. Wieści o tylu dzieciach rozbudziły współczucie albo chciwość w ludziach na zachód od fortecy i około jedną trzecią sierot zabrano do miasteczek i wsi, niektóre ku lepszemu losowi, inne, bez wątpienia, ku gorszemu.

Ale setki pozostały. Większość nie miała dokąd pójść. Niektórzy chcieli pozostać w sąsiedztwie Gentu, inni byli po prostu za słabi, by spróbować wędrówki ku odleglejszym osadom. Nawet niezadowolenie pani Giseli nie mogło ich zmusić, by się ruszyli.

Do tego obozowiska weszli Anna i Matthias tuż po Sobótce. Matthias miał szczęście i przehandlował wiedzę o Gencie za pracę w garbarni, leżącej za murami Steleshamu tuż obok osady uchodźców.

Teraz, w upale późnego lata, najsłabszych w obozie dopadła choroba. Niektóre znachorki nazywały ją biegunką, przekleństwem zesłanym przez rój złych pomocników Nieprzyjaciela. Jedni mówili, że to zaklęcie rzucone przez czarownika Eików, a jeszcze inni zrzucali winę na obecność maleficusów – złych czarodziei – ukrytych w obozie. Każdego dnia grupki desperatów odchodziły, szukając szczęścia gdzie indziej. Ale na miejsce każdego, kto odszedł, tydzień później przybywał następny, opowiadając historie o okropieństwach, jakich

dopuszcili się Eikowie w kolejnej wiosce nad Vesperem.

Do garbarni, gdzie Anna i Matthias sypiali w prowizorycznym schronieniu za schnącymi skórami, choroba jeszcze nie dotarła. Ale mieli jabłecznik i chleb, jedli jajka każdego dnia, a Anna podejrzewała, że smród garbarni odstraszał złe duchy.

Przechodząc przez obóz, modliła się, aby ostry zapach cebuli nie wydał jej tajemnicy. Mogła pobić tylko mniejsze dziecko, gdyby już do tego doszło.

– Usiądźcie, dzieci. Usiądźcie. Mój głos nie jest już taki, jak kiedyś, ale jeśli będziecie cicho, opowiem wam legendę o Helenie.

Anna zatrzymała się, chociaż wiedziała, że powinna spieszyć się do Matthiasa. Podpierając się grubą łaską, stary mężczyzna podszedł bliżej i z trudem usiadł na stołku podsunętym przez dziewczynkę. Wiele małych dzieci zgromadziło się wokół, unosząc buzie. Poznała go, tak jak poznała dzieci: to też uchodźcy z Gentu, jedyni, którzy uciekli przed atakiem Eików. Nie było tu starszych; jak Matthias, przejęły obowiązki dorosłych albo zostały zaadoptowane przez rolników na zachodzie. Pracowały w garbarni i zbrojowniach, pomagały kowalom, rąbały i nosiły drewno, karczowały las, obsiewały i doglądały pól, przynosiły wodę ze strumienia. Dzieci w wieku Anny i młodsze opiekowały się najmniejszymi, nawet tymi, które dopiero raczkowały, kiedy ich matki spędzały cały dzień na zapewnieniu im jedzenia i schronienia.

Starzec przebywał jako honorowym gościem w pałacu burmistrza w Gencie; był poetą, tak mawiał, przyzwyczajonym do śpiewania przed możnymi. Jednak jeśli to prawda, dlaczego burmistrz nie zabrał go ze sobą, kiedy wymieniał część bogactwa ocalonego z Gentu na pozwolenie osiedlenia się w murach Steleshamu? Starca zostawiono samemu sobie. Zbyt połamany, by pracować, opowiadał historie w nadziei na okruszki chleba albo łyk jabłecznika.

Odchrząknął, by zacząć. Jego głos był znacznie potężniejszy niż ciało.

– To historia wojny i kobiety. Skazana na wygnanie, nie raz, a dwa razy, najpierw z ukochanego Lassadaemonu, a potem ze swego drugiego domu, Ilios o czerwonych bramach, cierpiała z powodu gniewu okrutnej Mok, majestatycznej królowej Niebios, i ciężko pracowała w jarzmie tej rozsierdzonej królowej. Niebiosy chciały, by stąpała po ścieżce przygód. Ostatecznie jednak założyła swe miasto, a z czasem z jego domów wyrosły mury wspaniałego Imperium Dariyańskiego.

Poeta zawahał się, widząc, że słuchacze się wiercą, a potem znów zaczął – tym razem nie używając ostrego rytmu, przez który początek stawał się niezrozumiały.

– Helena była dziedziczką tronu Lassadaemonu. Ledwo go objęła, a pojawili się uzurpatorzy. O, bezwzględny Mernon i jego brat Menlos wkroczyli ze swą straszliwą armią na spokojne ziemie i zmusili biedną Helenę do poślubienia swego wstrętnego wodza, Menlosa.

– Czy byli jak Eikowie? – spytało dziecko.

– O, gorsi! Dużo gorsi! Pochodzili z plemienia Dorias, w którym kobiety sypiały z dzikimi Bwrami. – Odkasznął i rozejrzał się wokół, dostrzegając, że przyciągnął uwagę dzieci. Annie bardziej podobała się tak opowiadana historia. – Uwięzili Helenę w jej własnym pałacu, podczas gdy Mernon wyruszył na podbój... nieważne czego. Helena uciekła z wiernymi służącymi nad morze, gdzie znaleźli statek. Popłynęli ku Iliosowi, gdzie osiadł ród jej matki wiele lat wcześniej, zanim zbudowali wspaniałe, wielkie miasto o czerwonych bramach i złotych wieżach pod opieką jasnej Somorhas. Ale Mernon i Menlos modlili się do okrutnej Mok, bezlitosnej Królowej Niebios, a ponieważ była ona zazdrosna o piękną Somorhas, namówiła swego brata, Sujandana, Boga Morza, aby wysłał sztorm i zatopił statek Heleny. „Jak szybko nadciągnęła noc, zakrywając słońce! Jak wichry wokół wyły! Jak fale się podnosiły, najpierw podrywając dziób statku, a potem opadając tak nisko, że odsłaniały dno morza!”

Ponad ramieniem mężczyzny Anna wyraźnie widziała palisadę i ciężkie wrota Steleshamu. Wrota były zawsze zamknięte, nawet w dzień. Niektórzy powiadali, że lepiej trzymać z dala uchodźców, a nie bronić się przed atakiem Eików, bo wszyscy w obozie wiedzieli, że w Steleshamie nawet służący jadal codziennie chleb i fasolę. Teraz jedna z bram tego królestwa obfitości otwarła się, wypuszczając pięciu jeźdźców. Ruszyli traktem na południowy wschód, wzdłuż którego rozrzucone były schronienia uchodźców.

Opowieść poety – nawet, kiedy gnany sztormem statek został wyrzucony na wyspę pełną potworów – nie mogła konkurować z tym niezwykłym wydarzeniem. Anna pobiegła z innymi wzdłuż drogi, licząc na wieści.

– Dokąd jedziecie? – wołały dzieci do jeźdźców, kiedy mijali obóz. – Wyjeżdżacie?

– Nie! – odskrzyknęła kobieta odziana w skórzany kaftan, z krótkim oszczepem opartym o strzemię i dwoma nożami zatkniętymi za pas. – Jedziemy do fortecy księżnej Rotrudis, do Osterburga, gdzie ma być na Mateusze.

– Czy przybędzie na ratunek? – zapytało natychmiast kilkoro dzieci.

Reszta jeźdźców oddaliła się, ale młoda kobieta zatrzymała się, patrząc na dzieci ze zmarszczonym czołem i kręcąc głową.

– Nie wiem. Ale musimy prosić o pomoc. Codziennie spotykamy coraz więcej zwiadowców Eików. Coraz więcej wiosek spalonych. Ich krąg się poszerza. Niedługo nas dopadną. Tu jest już zbyt wielu ludzi. Pani Gisela nie może wszystkich utrzymać.

Jej towarzysze zawołali na nią i pognęła konia, opuszczając obóz.

Dzieci wróciły do starego poety, przekazując mu, co usłyszały.

Parsknął.

– Jakby pani Gisela utrzymywała kogoś oprócz swej rodziny i służących oraz tych, co mają pieniądze, aby zapłacić za jedzenie i opiekę. Szkoda, że nie ma tu biskupiny, by nakarmiła głodnych. – Anna nagle zauważyła, jaki był chudy. Bielmo pokrywało połowę jego lewego oka, a ręce nieustannie drżały.

– Kto to jest księżna Rotrudis? – zapytała.

Szkolony na śpiewaka i słuchacza, odnalazł ją w tłumie i skinął głową.

– Rotrudis to księżna Saony. Jest młodszą siostrą króla Henryka. Szkoda, że Smoki padły. To był straszliwy dzień.

– Dlaczego król nie przybył nam z pomocą? – zapytał chłopiec.

– Oj, chłopcze, musisz pamiętać, że świat jest ogromny i pełen niebezpieczeństw. Miesiące zabiera przekazanie wieści z jednego miejsca w drugie. – Widząc, że na ich twarzach strach zastąpił nadzieję, dodał szybko: – Ale nie wątpię, że król Henryk wie o upadku Gentu i rozpacza nad nim.

– Ale dlaczego nie przyjeżdża?

Wzruszył ramionami.

– Król może być wszędzie. Może nawet w tej chwili tu maszeruje. Skąd możemy wiedzieć?

– Widzieliście kiedyś króla? – zapytała Anna.

Był zaskoczony i chyba urażony jej pytaniem.

– Nie – odparł drżącym głosem, jego policzki się zaczerwieniły. – Ale śpiewałem przed jego synem, tym, który był kapitanem Smoków.

– Opowiedzcie nam jeszcze jakąś historię – powiedziało dziecko.

– Opowiedz nam o czymś, co się tobie przydarzyło, przyjacielu – rzekła nagle Anna, wiedząc, że powinna wrócić do garbarni, ale nie była zdolna do oderwania się od gawędziarza.

– O czymś, co się mnie przydarzyło – wymamrotał.

– Tak! Tak! – zawołała reszta dzieci.

– Nie chcecie usłyszeć więcej o życiu Heleny?

– A przydarzyło się to tobie? – zapytała Anna. – Byłeś na statku?

– Ale skąd, dziecko – odparł ze śmiechem. – To było tak dawno temu, że...

– Byłeś wtedy dzieckiem?

– Nie, mała. To się wydarzyło na długo, zanim Daisan otrzymał Święte Słowo Boże i nauczał prawdy o Jednościach, przynosząc Światło w Ciemności. To się stało dawno, dawno temu, zanim nawet postawiono mury, które widzisz w Steleshamie.

– Nigdy nie byłam w Steleshamie – wytknęła Anna. – A jeśli wydarzyło się to tak dawno, to skąd wiesz, że to prawda?

– Bo przekazywano to od poety do poety, linijka po linijce, nawet dawni skrybowie spisali tę opowieść, aby świat zapamiętał. – Uśmiechnął się łagodnie. Niezwykle, miał większość zębów, ale pewnie poeta lepiej traktował swe usta, wiedząc, że fortuna tkwiła w nich i tym, co pamiętał. – Ale opowiem wam historię, która się zdarzyła, gdy byłem młody. O Pani! Słyszeliście kiedyś o górach Alfar? Możecie sobie wyobrazić, moje dzieci, góry tak wysokie, że dotykają nieba? Że leży na nich gruby śnieg nawet w najgorętszy letni dzień? Te

góry musicie przejść, jeśli chcecie podróżować na południe, z królestwa Wendaru do królestwa Aosty. W Aostie znajduje się święte miasto Darre. To tam mieszka skoposa, Matka Świętego Kościoła.

– Jeśli góry są takie wysokie – zapytała Anna – to jak można przez nie przejść?

– Cicho – napomniął ją. – Nie przerywajcie pytaniami. Jest tylko kilka ścieżek przez góry. Tak wysoko biegną one nad zwyczajną ziemią, że człowiek mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć w nocy gwiazd. Ale każdy krok jest zdradliwy. Niezależnie od tego, jak czysty wstaje poranek, każdego dnia może rozpętać się oślepiająca burza – nawet w środku lata, bo tylko latem można przekroczyć góry.

Jednak nieliczni próbowali przejścia później. Nieliczni, jak ja, próbowali nawet tak późno, jak w octumbrze. Moja chęć była wielka... – podniósł dłoń, uprzedzając pytanie. – Chodziło o kobietę. Nie musicie pytać o więcej! Ostrzegano mnie przed próbą przejścia, ale byłem lekkomyślnym młodzikiem. Myślałem, że potrafię wszystko. I rzeczywiście, gdy się wspinałem, utrzymywała się ładna pogoda i nie kłopotalem się...

Pochylił się w przód, jego głos opadł do przenikliwego szeptu. Wszystkie dzieci zamilkły i naśladując go, pochyliły się do przodu.

– Śnieżyca rozpętała się bez ostrzeżenia. Było południe, piękny dzień, ciepły, a pomiędzy jednym a drugim krokiem otoczyła mnie burza. Nic nie widziałem, prócz wyjącego białego wiatru. Zimno przeszło mnie jak miecz, zatoczyłem się i padłem na kolana.

Ale nie poddałem się! Nie, kiedy ona czekała na mnie w odległym Darre. Brnąłem dalej, pełzłem, gdy już nie mogłem iść, a burza wciąż wokół mnie szalała. Zimno mnie oślepiało, nie czułem stóp. Potknąłem się, upadłem i stoczyłem po zboczach ku śmierci.

Znow urwał. Anna podeszła bliżej, zaciskając dłonie na cebulach. Nikt się nie odezwał.

– A jednak upadek mnie nie zabił. Próbowałem otworzyć zapuchnięte oczy. Gdy sięgnąłem przed siebie, poczułem trawę pod rękami. Tuż obok mnie płynął strumień, podpełzłem do niego i napiłem się świeżej wody. Oplukałem twarz i powoli odzyskałem wzrok. Nade mną, za stromym zboczem, po którym się stoczyłem, wciąż szalała burza. Kilka płatków śniegu przywianych wiatrem stopniało na mojej twarzy. Ale w tej dolinie było ciepło jak wiosną, kwitły krokusy i drzewa.

– Gdzie byłeś? – zapytała Anna, nie mogąc się powstrzymać.

Opuścił wzrok. Jego stare ramiona zgarbiły się, gdy westchnął, jakby przykro mu było wspominać.

– Nigdy się nie dowiedziałem. To był prawdziwy cud, że nie umarłem tamtego dnia. Był tam krąg drzew, głównie brzoź, mała łąka, ale nigdy nie dotarłem dalej. Na jej skraju stała chatka. Tam spałem i odzyskiwałem siły. Każdego ranka znajdowałem pod drzwiami jedzenie i picie: słodki chleb, mocny jabłecznik, gulasz z fasoli, ciasteczka jabłkowe. Ale niezależnie od tego, jak bardzo starałem się nie zasnąć, nigdy mi się to nie udało. Nigdy nie ujrzałem, co to za stworzenie przynosiło jedzenie. Kiedy byłem już wystarczająco silny, wiedziałem, że

czas odejść, więc odszedłem.

– Nigdy nie znalazłeś tego miejsca? – spytała Anna. Inne dzieci pokiwały głowami, zadziwione myślą o zaczarowanym miejscu, gdzie w cudowny sposób co rano zjawiało się jedzenie.

– Nie, chociaż trzy razy jeszcze podróżowałem tą przełęczą. Szukałem, ale droga była przede mną zamknięta. Teraz czasami zastanawiam się, czy nie był to tylko sen.

– Czy moglibyśmy wziąć go do siebie? – zapytała wieczorem, kiedy z Matthiasem w samotności urządzili sobie ucztę ze smażonych jaj i cebulowej potrawy. – To słaby starzec. Nie może dużo jeść i nie ma nikogo, kto by się nim zajął. Jest tu dla niego miejsce do spania. – Kiedy kłapa była opuszczona, by chronić ich przed wiatrem i deszczem, w małym szałasie rzeczywiście było miejsce dla jeszcze jednej osoby – zaledwie.

– Ale co nam z tego przyjdzie, Anno? – Matthias przełknął swą porcję raczej jak pies niż chłopiec, zjadając najpierw jajko. Teraz wycierał ścianki poczerńiałego garnka kawałkiem suchego chleba, zachowanego od obiadu.

– Papie Ottonowi nic z nas nie przyszło! – odparła. – Och, Matthias, on zna najwspanialsze historie.

– Ale nieprawdziwe. – Matthias oblizał ostatnie okruchy z ust i spojrzał tęsknie na kociołek, żałując, że nie było więcej do zjedzenia. Potem złapał Annę za nadgarstek i potrząsnął. – To historie, które zmyślił. Sam przyznał, że to mógł być sen, o ile to się w ogóle wydarzyło! Bajarze tak robią, żeby uwiarygodnić swoje opowieści: udają, że przytrafiły się im samym. – Pokręcił głową, wykrzywiając się i puścił ją. – Ale możesz tu przyprować tego starca, jeśli nie ma gdzie spać. To prawda, że papa Otto i inni niewolnicy w Gencie pomogli nam bezinteresownie. Musimy pomagać innym, jeśli zdołamy. A poza tym, jeśli będziesz się nim opiekować, może nie będziesz łaźnić po lesie i Eikowie cię nie zarzną!

Zmarszczyła czoło.

– Skąd wiesz, że jego opowieści nie są prawdziwe? Nigdy nie widziałeś podobnych rzeczy ani nie podróżowałaś tak daleko.

– Góry tak wysokie, że ich szczyty dotykają nieba! Śnieg przez cały rok! Wierzysz w to?

– A dlaczego miałabym nie wierzyć? Widzieliśmy tylko Gent, Stelesham i trochę lasu. – Oblizła z ust resztki jajka. – Założę się, że istnieje wiele dziwnych miejsc, tak fantastycznych jak opowieści poety. Zobaczysz. Przyprowachę go jutro. Założę się, że był w miejscach, o których nigdy nie słyszeliśmy. Poeci muszą tak robić, prawda? Może wie, jak wyglądają ziemie Eików. Może widział morze, przez które żeglowała Helena. Może naprawdę podróżował przez wielkie góry!

Matthias tylko parsknął i ponieważ się ściemniało, zwinął w koc. Wyczerpany całodzienną pracą przy dźwiganiu wody, popiołów i wapna, szybko zasnął.

Anna przytuliła się do niego, ale nie mogła zasnąć równie łatwo. Zamiast tego zamknęła oczy i marzyła o szerokim świecie, miejscach odległych od brudnego obozu i czyhających cieni Eików.

Rozdział drugi

W cieniu gór

1.

Wysoko w górze krążył jastrząb, punkcik na tle trzech górskich szczytów, dominujących na horyzoncie. Opadł, a potem złapał prąd wznoszący i wspiał się z rozpostartymi skrzydłami w błękit nieba. Tu, gdzie ludzkie drogi biegły najbliżej wielkich i nieprzeniknionych tajemnic niebios, Hanna wierzyła, że wszystko jest możliwe. Mogła uwierzyć, że odległy ptak, kołujący nad jej głową, nie był wcale jastrzębiem tylko kobietą lub mężczyzną w ciele ptaka – albo duchem, aniołem przebranym w zwykłe pióra, dogląającym ziemskich spraw z wysokości.

A może był to tylko jastrząb, polujący na kolację.

Lekki powiew wiatru dotarł do jej uszu i wydało jej się, że usłyszała odległy krzyk ptaka; wciąż powoli krążył po spirali. Kiedy czekała, niebo pociemniało z żywego błękitu popołudnia do intensywnej szaroniebieskiej zapowiedzi zmierzchu. Ciężko wspinał się po ostrych białych szczytach, kiedy słońce skrywało się na zachodzie.

Dokąd poszedł Wilkun i dlaczego tak długo nie wracał?

Ścieżka pięła się dalej pomiędzy wrzosami, otoczona kupami kamieni i wysoką skalną ścianą. Dalej trakt lekko opadał. Wilkun nakazał jej tu czekać, podczas gdy on poszedł dalej, znikając za wąskim przejściem w dolinie. Poprzez wyrwę Hanna widziała czubki drzew, sugerujące, że ziemia poniżej obfitowała w wiosenne rośliny. Widziała już inne takie doliny w tych górach, nagle uskoki i zaskakująco zielone wąwozy na wpół ukryte wśród poszarpanego krajobrazu. Oprócz zapachu ziół czuła dym z palenisk i odległy zapach kuźni.

Dlaczego Wilkun nie chciał, żeby towarzyszyła mu dalej?

„Zostań tu i obserwuj”, powiedział. „Ale pod żadnym pozorem za mną nie idź i nie pozwól na to innym”.

Co ukrywał? Jakich innych spodziewał się za swymi plecami, na tej ścieżce kozic, którą

nazywał drogą? Odwróciła się, by spojrzeć tam, skąd przybyli. Na początku wydawało jej się, że rzeczywiście idą zwierzęcą ścieżką wzdłuż szczytów górujących nad starym brukowanym traktem, który znaczył Przełęcz Świętej Barnarii. Ale kozice nie zostawiały za sobą kolein, chociaż nie mogła sobie wyobrazić, jak wciągnięto tu jakikolwiek wóz.

Było to bardzo dziwne.

Parę kroków wstecz dzięki wyrwie miała dobry widok na leżący poniżej trakt. Drogę zbudowali za czasów starego Imperium Dariyańskiego niezwykle mądry inżynierowie. Setki lat później nawet zimowe burze jej nie zmiotły, choć wiele kamieni było popękanych albo wyrwanych przez ciężar śniegu, potęgę lodu albo zwykłej upartej trawy. Wytrzymałość drogi zaskakiwała ją.

Jastrząb leniwie szybował w górze. Zamrugała, powstrzymując łzy, bo spojrzała na krawędź zachodzącego słońca. Przed jej oczami tańczyły punkciki; potem uświadomiła sobie, że to dwa ptaki dołączyły do pierwszego.

Bolał ją kark od gapienia się w górę, ale przez siedemnaście lat swego życia nigdy nie zdawała sobie sprawy, że mogło istnieć miejsce takie jak to. Znała morze i bagna, rzeki i wzgórza oraz ciemne połacie lasu. Widziała już dwór królewski i lśniąca paradę możnych w orszaku. Widziała Eików i ich przerażające psy z tak bliska, że mogła na nich napluć.

Ale zobaczyć takie góry! Ich szczyty były duchami, górującymi nad innymi stworzeniami pograżonymi we śnie, z ramionami i opuszczonymi głowami pokrytymi śniegiem głębszym, niż Hanna kiedykolwiek widziała. Zeszłej zimy wyśmiałyby każdego biedaka, który byłby na tyle głupi, by sugerować, że ona, Hanna, córka karczmarzy Birty i Hansala, będzie podróżować przez góry, nosząc odznakę królewskiego Orła. Zeszłej zimy jej ojciec i matka planowali ślub córki z młodym Johanem, wolnym rolnikiem, mężczyzną o prostych gustach, pozbawionym ciekawości, z oczami wiecznie wbitymi w ziemię.

Teraz, kiedy letnie kwiaty kwitły wzdłuż przełęczy w górach, ona – na szczęście niezamężna – podróżowała na południe przez góry Alfar, agentka króla z ważnym posłaniem do samej skoposy. Naprawdę, jej życie przybrało nagły i niespodziewany obrót. Jak odległy wydawał się teraz Spokój Serca!

Przez szczelinę widziała drogę w dole i dalej, częściowo za wzniesieniem, schronisko, w którym ich grupa zatrzymała się na noc. Kamienne budynki przylegały do podnóża góry. Schronisko prowadzili mnisi z Zakonu Świętego Serwicusza, pod opieką skoposy. Wedle Wilkuna, mnisi spędzali zimę na tych niegościnnych wysokościach. Kupiec z ich oddziału został kiedyś zasypany, a przynajmniej tak twierdził, obdarzając towarzyszy przerażającą opowieścią o ognistych salamandrach, ludożerstwie i mściwych duchach. Opowieść brzmiała prawdziwie, ale Wilkun stał w cieniu, kręcąc głową i marszcząc brwi.

Widziała śnieżne zasy na zacienionych stokach wzdłuż drogi oraz wielkie pola lodu i śniegu powyżej, uwiarygodniające opowieść, ale widziała też wiele kwiatów, jasnoniebieskich, maślanożółtych, szkarłatnych i pomarańczowych, rozrzuconych w ostrej

trawie i kosodrzewinie. Widziała niebo tak błękitne, że aż fioletowe, jak pomazane sokiem z buraków. Zaśmiała się. W ich grupie był bard, podróżujący do Darre, aby się wzbogacić i nigdy nie używał tak prozaicznych określeń, jak sok z buraków, by opisać niebo.

Nikt nie podróżował przez góry sam, nawet Królewskie Orły. Znaleźli oddział zbierający się w Genevie i dołączyli do niego. Teraz pomiędzy towarzyszami mieli barda, siedmiu fratrów, wysoko postawionego i potężnego prezbitera, wracającego do skoposy z ważnym pismem i tłumem kleryków oraz służących, a także wielu kupców, ich wozy i niewolników – oraz dwóch więźniów, których ona, Wilkun i dziesięciu Lwów eskortowało do pałacu skoposy w Darre.

Wiatr powiał od gór, a słońce schowało się za niskim szczytem. Błady dysk księżyca świecił lekko na ciemniejącym niebie. Zmrok. Zadrzała.

Gdzie był Wilkun? Jak miała zejść po tej ścieżce w ciemności? A jeśli spadł i się poranił?

Zakrakał ptak. Doznała nagłego, ohydneho uczucia, że ktoś ją obserwował.

Obróciła się i tam, na stercie kamieni znaczących krawędź wąskiej ścieżki, siedział jastrząb. Zaśmiała się nerwowo i powachlowała, bo nagle zrobiło jej się gorąco, mimo że powietrze szybko stygło. Jastrząb ani drgnął. Niezwykły, oczami ciemnymi jak bursztyn patrzył na nią bez mrugnięcia, aż poczuła dreszcze wzdłuż kręgosłupa.

Było coś jeszcze... wrażenie, że coś stało tam, gdzie ścieżka znikła z oczu. Coś, co jednocześnie istniało i nie istniało, postać dostrzeżona kątem oka, blada kobieta, której skóra miała barwę i strukturę wody. Ale kiedy spojrzała wprost, niczego nie dostrzegła, tylko cienie przesuwające się po skale niczym rozpryskujący się strumień o kamieniste dno.

Jastrząb poderwał się, machając skrzydłami. Schyliła się odruchowo i usłyszała westchnienie. Czy to ona je wydała, czy ktoś inny, ukryty?

Jastrząb zniknął. Pojawiło się światło. Wilkun, gwizdząc, nadszedł ścieżką wokół skały.

– Na Panią! – zaklęła. – Sądziłam, że nie wrócisz.

Zatrzymał się i rozejrzał, a potem podniósł brew i przeszedł obok niej, kierując się ku schronisku. Aby pozostać w kręgu światła, musiała się pośpieszyć; księżyc dopiero co zaczął rosnąć i nie dawał wystarczająco światła, aby mogła odszukać ścieżkę.

– Skąd wzięłeś latarnię? – spytała, zła, że czekała tak długo, ale nie dostała odpowiedzi.

– Och – odrzekł, podnosząc latarnię wyżej.

Nie zamierzał jej odpowiedzieć. Parskając, podążyła za nim, potykając się na skale czy kępie twardej trawy, wyrastającej niespodziewanie pośrodku ścieżki. Schronisko przed nimi wyglądało jak patyna na jeszcze czarniejszej skale; pojedyncza latarnia płonęła u wejścia. Światło paliło się co noc, sygnał dla każdego zagubionego wędrowca, prącego ku bezpiecznemu schronieniu jak dusza wspina się po śmierci ciała ku Komnacie Światła – przynajmniej tak powiedział bard, uważając to za poetycką przenośnię.

– Dokąd poszedłeś? – spytała Hanna, nie oczekując odpowiedzi. Wilkun żadnych nie udzielał. Patrzyła na jego plecy, pewny krok, szarosrebrny błysk włosów w ciemności,

kościstą dłoń przytrzymującą latarnię.

Hanna ufała Wilkunowi, ale nie do końca. Zachowywał swoje sekrety dla siebie, a miał je niewątpliwie. Zaczynając od tego, którego nigdy nie wyjaśnił: jak znalazł się tak szczęśliwie ostatniej wiosny w Spokoju Serca, akurat by wybawić jej drogą przyjaciółkę Liath od niewolnictwa? Uwolnił Liath i zabrał ją z wioski, czyniąc królewskim Orłem. Jak liść płynący za łódką, Hanna podążyła za nimi. Ona też została Orłem, opuściła wioskę, w której się urodziła, by rozpocząć te przygody. Wilkun nie był człowiekiem, któremu łatwo się zadawało pytania, ale Hannie zależało, by Liath pozostała bezpieczna. Pytała więc, choć sama Liath nie mogła się zdecydować. Skąd wiedział, że Liath była w Spokoju Serca, i w niebezpieczeństwie? Przed czym ją chronił? Wilkun nigdy się nie obraził za te pytania; oczywiście, nigdy też nie udzielił odpowiedzi.

Zostawili za sobą wąską ścieżkę oraz tajemniczą dolinę i szybko droga wzdłuż wzgórza wyprowadziła ich na dariyański trakt kilkaset kroków od schroniska. W górze rozkwitły gwiazdy jak jasne kwiaty; przed nimi latarnia kołysała się na wietrze.

Na ławce przy bramie siedział mnich w brązowej szacie, zakapturzony i milczący. Lampa wisząca na haku oblewała go kałużą jasnego światła. Widząc ich, podniósł dłoń i bez słowa otworzył bramę. Ponieważ była kobietą i nie miała wstępu do części klasztoru zamkniętej dla obcych, nie widziała wielu mnichów. Oczywiście tylko podczaszy – mnich zajmujący się zapasami – i opiekun gości mieli ochotę lub pozwolenie na rozmowę z gośćmi. Wiele zakonnic i mnichów składało śluby milczenia. Plotkowano, że braciszkanie w Owczej Głowie po wstąpieniu do nowicjatu nigdy już się nie odzywali, porozumiewając się tylko znakami dłoni.

Wilkun otworzył swą latarnię i zdmuchnął płomień. Razem minęli stertę śmierdzących odpadków. Żywopłot podrapał jej udo i wyczuła bogaty zapach roślin, kiedy przechodzili obok ogrodu. W końcu doszli do budynków: stajni, kuchni, piekarni, pieca i kuźni – ciemnych i pustych o tej godzinie, prócz jednej postaci siedzącej przy rozżarzonych węglach, doglądającej ognia. Schronisko mnichów od świętego Serwicusza było sławne, powiedział jej Wilkun, nie tylko dlatego, że niektórzy tu zimowali, pomimo śniegu, lodu i okrutnego zimna, ale też dlatego, że mieli własnego kowala.

Kiedy wchodzili do schroniska, młody mnich z odrzuconym kapturem przebiegł przez drzwi i skierował się ku infirmerii. Jego rudawe włosy i niezgrabne ruchy przypomniały Hannie nagle i boleśnie o jej mlecznym bracie Ivarze.

Czy dobrze się miewał? Czy wybaczył jej, że wybrała Liath, a nie wyjazd z nim?

Wilkun westchnął nagle i wyprostował ramiona. Wyrwana z zamyślenia, Hanna usłyszała ostre głosy z korytarza. Wspięli się na drewniane schody, ku pierwszej sali oświetlonej świecami i weszli w sam środek kłótni.

2.

– To schronisko jest zarezerwowane – powiedział mężczyzna o niezdrowej karnacji, którego Hanna natychmiast rozpoznała jako nieznośnego służącego prezbitera. – Dla tych, którzy przybywają konno. Zakwaterowanie zwykłych żołnierzy jest absolutnie niemożliwe.

– Ale więźniowie... – ten sprzeciw, podniesiony przez opiekuna gości, został natychmiast ucięty przez samego prezbitera, który wysunął się z cienia.

– Nie pozwolę, aby szuranie i szepty zakłócały mój spoczynek – rzekł wendarskim, naznaczonym silnym akcentem. Miał cienki, arystokratyczny głos, tak samo władczy jak głosy szlachty, którą obserwowała podczas pobytu na dworze królewskim. Oczywiście, on też był szlachcicem; patrząc na wiecznie wykrzywione usta, miękkie białe dłonie i budowę ciała wskazującą, że częściej ucztował niż pościł, nikt nie wziąłby go za rolnika czy ciężko pracującego rzemieślnika. – Dwaj strażnicy pilnujący więźniów muszą zostać przeniesieni. Jeśli oznacza to, że trzeba będzie przenieść również więźniów, trudno.

– Sugerujecie, że biskupina Antonia i brat Heribert mają mieszkać w stajniach, z pospólstwem? – zapytał Wilkun obojętnie.

Oczy prezbitera zapłonęły i wyglądał na mocno poirytowanego, jakby podejrzewał, że Wilkun go podjudzał.

– Sugeruję, Orle, abyście ty i twoi ludzie nie zakłócali mego odpoczynku.

– Wasz odpoczynek jest dla mnie wartością nadrzędną, Wasza Łaskawość – powiedział Wilkun bez ironii. – Ale przysiągłem królowi Wendaru i Varre, że dostarczę biskupinę Antonię i jej kłeryka do pałacu Jej Świątobliwości skoposy Clementii, do Darre. Ten budynek – wskazał grube ściany i mocne okiennice – zapewnia im godziwą ochronę. Wiecie, oczywiście, że biskupina Antonia oskarżona jest o czary i może być zdolna do okrutnych czynów.

Prezbiter zawarczał.

– Tym bardziej należy ją usunąć z tych kwater. – Skinął na swego sługę, obrócił się, zamiatając bogatą suknią i wspiął się po schodach, gdzie czekał już kolejny służący, gotów oświetlić mu drogę do komnaty.

Wilkun zwrócił się do opiekuna gości.

– Wybaczcie mi, bracie, że znów was niepokoję. Czy macie jakąś inną izbę, która posłuży naszym celom?

Opiekun spojrzął na sługę prezbitera, który głośno pociągnął nosem, złączył palce i niecierpliwie stuknął kciukami.

– Czasami zdarza się, że brata lub podróżnego niepokoją złe duchy, które wślizgnęły się do jego umysłu, a wtedy musimy go odizolować w zamkniętej izbie w infirmerii, dopóki ziołowe kąpiele czy leczenie nie wypędzą stwora z jego ciała. Nie wybrałbym tej izby dla biskupiny, nawet takiej, którą oskarżają o podobne, hm, działania, ale... – Zawahał się, być może obawiając się, że Wilkun zareaguje równie gwałtownie jak prezbiter, ale w końcu

zerknął znów na służącego. Lepiej obrazić królewskiego Orła niż prezbitera, szczególnie biorąc pod uwagę, przypomniała sobie Hanna, że opuścili już królestwo Henryka.

– Nada się doskonale – odparł Wilkun lekko. – Ale czy nie będzie kłopotać brata pielęgniarza?

– Nie sędzę. Teraz przebywa tam tylko jeden wiekowy mnich, zbyt słaby, by uczestniczyć w naszych codziennych zadaniach.

– Hanno – skinął na nią Wilkun. – Zbierz resztę Lwów. Kiedy brat pielęgniarz wszystko przygotuje, przetransportujemy więźniów do ich nowej celi.

Usatysfakcjonowany służący pobiegł na górę zanieść wieść swemu panu. Opiekun gości wykrzywił twarz, a potem szybko zapanował nad jej wyrazem, kierując się ku drzwiom. Hanna ruszyła za nim, ale Wilkun zawołał ją cicho. Odwróciła się i ujrzała, jak otworzył latarnię i sięgnął do środka. Wyszeptał jakieś słowo i dotknął czarnego knota, zapalając go. Odskoczyła, zaskoczona, ale wręczył jej zapaloną latarnię i nakazał odejść. Na zewnątrz Hanna uniosła latarnię, by oświetlić drogę do stajni.

Strażnicy ułożyli się już do snu na belach siana na stryszku, owinięci w płaszcze. Ocknęli się szybko. Wszyscy należeli do królewskich Lwów, byli przyzwyczajeni do nocnych alarmów i wczesnych pobudek, więc bez oporu podążyli za nią do schroniska. Służyli królowi i nie narzekali na wykonywane zadania. Taka była moc przysięg składanych Henrykowi.

Kiedy Hanna weszła, opiekun nerwowo potrząsnął pękiem kluczy i poprowadził ich korytarzem, na końcu którego przy zamkniętych drzwiach stały dwa Lwy. W izbie rozbudzona biskupina Antonia siedziała na jedynym krześle, a brat Heribert kulił się na skraju jednego z łóżek, dotykając srebrnego Kręgu Jedności wiszącego mu na piersi. Dywan, dowód uprzejmości, pokrywał gołą podłogę; okiennice zamknięto i zabarykadowano z zewnątrz.

– Wasza Miłość – powiedział Wilkun. – Wybaczcie, że wam przeszkadzam, ale okazało się nieuniknionym przeniesienie was do innej kwatery.

Biskupina Antonia, przysadzista kobieta w słusznym wieku, pełna była episkopalnej godności, władczości i łagodności jednocześnie.

– Żadne niezdolne przeszkody nie pokonają wiernego – powiedziała słodko – bo czyż w Świętej Księdze nie jest napisane: „Twe córki i synowie nie ulęką się jadu węża?”

Wilkun nie odpowiedział, tylko gestem nakazał jej i klerykowi wyjść. Heribert wstał i wyszedł pierwszy. Cichy, atrakcyjny, czysty młody człowiek, miał delikatne dłonie urodzonego szlachcica, który nigdy nie skalał ich zajęciem cięższym niż modlitwa, składanie szat czy pisanie na marginesie kapitulacza. Wszyscy mnisi w schronisku świętego Serwicusza mieli, jak Hanna, ręce stwardniałe od pracy, ale Heribert był klerykiem, który miał za zadanie modlić się, czytać, zostać skrybą w kancelarii episkopatu albo w królewskiej kaplicy. Antonia podążyła za nim ze złożonymi dłońmi, uśmiechając się i kiwając głową najpierw Wilkunowi, potem Hannie.

Łagodne spojrzenie, którym obdarzyła Hannę, strasznie zdenerwowało dziewczynę.

Biskupina Antonia zdawała się dobrą i mądrą staruszką, która przeżyła swe dni w zgodzie z Bogiem i Jednościami, pobłogosławioną bogatą rodziną i wieloma żyjącymi wnukami. Jednak oskarżeń o okrutne czary nawet Kościół nie mógł odeprzeć, a Hanna na własne uszy słyszała podczas rokowań przed bitwą króla Henryka z jego siostrą Sabellą, jak biskupina wypowiadała słowa pełne pogardy i wiedziała, że dobroduszość Antonii skrywała ciemniejszą i bardziej ohydłą prawdę.

Lepiej takim ludziom nie wchodzić w drogę. Albo, jak mówiono w Spokoju Serca, „lepiej nie odwracaj kamieni, chyba że naprawdę chcesz wiedzieć, co leży pod spodem”.

Ale po tym jednym spojrzeniu Antonia zapomniała o Hannie. Kiedy strażę eskortowały ich kamienną ścieżką ku infirmerii, monologowała do Wilkuna:

– Rozmyślałam nad słowami świętej Tekli, w jej *Liście do Dariyan*, gdzie mówi o prawie i grzechu. Czy boskie prawo nie jest ważniejsze od prawa grzechu?

Wilkun warknął. Jego usta zacisnęły się, jakby powstrzymywał słowa. Odwrócił się, by cień skrywał wyraz jego twarzy.

– A jednak czyż nie pozostajemy, poprzez naszą ignorancję, poprzez ciało, we władzy grzechu? – ciągnęła. – W jaki sposób osądzają ci, którzy nie oddali się w pełni dającemu życie prawu Boga Jedności i Świętego Słowa?

Wilkun nie odpowiedział. Doszli do schodów infirmerii. Tam czekał na nich brat pielęgniarz z latarnią w dłoni i pokazał im drogę do małej celi, w której naprędce ustawiono prycę przy pojedynczym łóżku. Kłaniał się kilka razy, kiwając w górę i w dół, a światło latarni podskakiwało, wywołując mdłości; najwyraźniej był zdenerwowany pomysłem zamykania świętej biskupiny w tak podłej kwaterze, ale podporządkował się nakazom zwierzchników – a Wilkun miał listy od króla i biskupiny Konstancji, na dowód kierowania misją.

Antonia i Heribert weszli do celi. Brat pielęgniarz zamknął za nimi drzwi, przekręcił klucz i powiesił go na kółku przy pasie. Dwa Lwy ustawiły się po obu stronach drzwi. Wilkun nakazał jeszcze dwóm spać na zewnątrz, pod zamkniętym oknem.

– Pod żadnym pozorem – skończył Wilkun, wpatrując się srogo w pielęgniarza – nikt nie może wejść do tej celi beze mnie.

A potem on, Hanna i sześciu Lwów wróciło do stajni. Na stryszku Hanna kopniakami zebrała siano na kupkę, rzuciła na nie swój płaszcz i zanim się położyła i okryła kocem, zdjęła buty. Wilkun położył się na sianie obok niej. Słyszała już chrapanie żołnierzy, leżących w drugim końcu stryszku.

Czekała długo, ale nie była śpiąca. Drzwi były otwarte, by wpuścić powietrze. Poprzez nie widziała czarny grzbiet góry, krechę w ciemności i spłacheć nieba błyszczący od gwiazd.

– Nie lubisz jej – wyszeptła w końcu, sądząc, że Wilkun też nie spał.

Zapadła cisza tak długa, że pomyślała, iż się pomyliła.

– Nie lubię.

– Ale gdybym nie wiedziała, o co ją oskarżają, gdybym ten jeden raz podczas rokowań z lordem Villamem nie słyszała, jak mówiła, w życiu bym nie podejrzewała, że jest... – zawahała się. Wilkun nic nie powiedział, więc ciągnęła. – Po prostu trudno uwierzyć, że mogła zrobić takie straszne rzeczy, z zimną krwią zamordować nienormalnego chłopca, aby wywołać stwory do kontrolowania woli hrabiego Lavastine’a, rzucić zaklęcie na guivre’a, aby jej słuchał i wysyłać swe sługi, by łapali żywych ludzi, którymi go karmili. Ona wygląda tak... na taką dobrą i szczodłą osobę, bardzo łagodną i współczującą. A poza tym jest biskupiną. Jak Pan i Pani mogą pozwolić komuś o tak złym sercu wstąpić do Ich Kościoła?

– To zaiste tajemnica.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała Hanny, która zmarszczyła brwi i przewróciła się na prowizorycznym sienniku. Siano przebiło się przez płaszcz i kłuło ją w plecy. Otarła pył zeszłorocznych traw z ust.

– Ale musisz coś wiedzieć!

– Ze strony matki spokrewniona jest z obecną królową Karonne, a rodzina ze strony ojca miała ziemie pod Mainni, gdzie kilkanaście lat temu wybrano ją na biskupinę. Czy sądzisz, że skoposa wybiera tylko tych, którzy najbardziej na to zasłużyli?

– Sądziłam, że mężczyźni i kobiety wstępują do Kościoła, by służyć Bogu, a nie zaspokajać swoje żądze i ambicje. Diakonisa Fortensja wiernie dba o naszą małą wioskę, chociaż mieszka o pół dnia drogi na północ, w kościele świętej Sirri. Mnisi w klasztorze na Owczej Głowie są... byli, bo Eikowie wszystkich zabili, słynni ze swego poświęcenia Pani i Panu.

– Niektórzy rzeczywiście wstępują do Kościoła, by służyć Bogu i wiernie to czynią przez całe życie. Niektórzy postrzegają Kościół jako możliwość awansu. A innych umieszcza się w nim wbrew ich woli.

Jak Ivara.

– Czy wszyscy w Kościele wierni są tylko Bogu? – ciągnął Wilkun. – A co z fratrem Hugonem? Poznałaś go, jak sądzę.

Hanna zamknęła oczy i odwróciła twarz, zawstydzona tak wyraźnymi wspomnieniami i zdradzieckim gorącem w gardle. Tylko nieoczekiwane przybycie Wilkuna ocaliło Liath przed służeniem Hugonowi przez całe życie. Pięknemu Hugonowi.

Wilkun zamruczał, ale może po prostu mościł się wygodniej na sianie. Nie powiedział nic więcej i pierwszy raz ona nie pytała. Miał dziwny, może wypracowany, sposób odwracania pytań. Przytuliła policzek do płaszcza i zamknęła oczy. Ciche chrapanie żołnierzy, pisk myszy wyruszających na żer i ciche odgłosy koni na dole ukołysały ją do snu.

3.

W nocy szczury wychodziły uctować na kościach. Cichy szmer ich pazurów na

kamieniu zaalarmował go, natychmiast wyrwał z drzemki. Większość psów spała; piszczały przez sen i waliły biczykami ogonów o podłogę katedry. Eikowie też spali, rozłożeni na kamieniach, jakby były im najbardziej miękkimi puchowymi materacami. Kochali kamień tak jak niemowlę kocha pierś matki i tulili się do niego, kiedy tylko mogli.

Tylko on nie spał. Nigdy nie spał, tylko drzemał, chwycił chwile snu. Potem podrywał się, kiedy jakiś pysk szturchał go badawczo albo gdy Eikowie śmiali się i dźgali go swymi oszczepami. Zrywał się też na głosy ludzi, krzyk bólu, beznadziejną prośbę. To było najgorsze, niewolnicy; wiedział, że z nastaniem lata Eikowie sprowadzili do miasta ludzkich niewolników, a nie mógł nic zrobić, by pomóc tym biedakom.

Gent padł, a on zginąłby w jego obronie, gdyby tylko mógł umrzeć. Taką klątwę nałożyła na niego matka, gdy się urodził: „Żadna znana ci zaraza go nie tknie, żadna rana zadana przez samca czy samicę go nie zabije”.

Nie mógł spać, a kiedy był przytomny, zastanawiał się, czy ataki szaleństwa, drgawki, okresy nieświadomości, po których się budził i zdawał sobie sprawę, że była noc zamiast świtu, to miłosierdzie zesłane mu z rąk Pani. Wykształcony człowiek mógł znać ćwiczenia umysłowe, aby pokonać to więzienie, złożone z łańcuchów i nierealności. Ale on znał się tylko na wojaczce. Taki był jego los, królewskiego bękarta, dziecka, którego narodziny zagwarantowały Henrykowi prawo do nazwania się dziedzicem tronu Wendaru i Varre: zostać wojownikiem i bronić ojcowskiego królestwa.

Zawsze był posłusznym synem.

Czy jego ojciec wysłał żołnierzy na ratunek? Król Henryk na pewno uznał go za zmarłego. Ale Gent trzeba uratować. Żaden król nie pozostawi tak ważnego miasta w rękach barbarzyńców.

A nawet gdyby go ocalono, czy jego ojciec chciałby go jeszcze znać, widząc, jakim stworzeniem stał się jego syn?

Ledwo przypominał sobie sen, w którym odwiedziło go dwoje dzieci – ale w Gencie nie było dzieci, już nie. Ona wyprowadziła je w bezpieczne miejsce, dawno temu.

Kiedyś dzieci się do niego garnęły, ale ta dwójka się go bała. Widziały nie księcia, lecz zwierzę; ujrzał to w ich oczach. Czy były jedynie odbiciami w jego umyśle? Wizja, poprzez którą mógł zobaczyć siebie, to, czym się stał? Czy też naprawdę tu były?

Kiedy szczury gmerały w odpadkach, wsunął dłoń pod łachmany, które zostały z jego odzienia – odnalazł nóż oraz odznakę. Ich nóż. Jej odznakę, odznakę Orłów. Tyle tylko, że nie należała do niej, była inną odznaką, mężczyzny, który padł i którego imienia nie pamiętał. Ale przedstawiała ją, zatrzymała jej ciepło, bo ona była ciepła niby gwiazda, co spadła na ziemię i została uwieczniona w ludzkim ciele, jak jego więziły łańcuchy.

Szczury grzebały wśród kości. Powoli wydobył nóż spod podartej tuniki. Ten nóż był darem, wymianą – chociaż on i tak zdradziłby dzieciom sekret tunelu świętej Krystyny. Powiedziałby, gdyż miał obowiązek im pomagać, pomagać wszystkim królewskim

poddanym. Był kapitanem Smoków zobowiązanym przysięgą wobec króla, ojca, chronić i bronić królewskich dóbr oraz wszystkiego i wszystkich, co podlegali władzy królewskiej.

Szczury jej nie podlegały.

Kości leżały w zasięgu jego łańcuchów, a on był szybki i cichy, zdradził go tylko szczęk ogniw, gdy się poruszył, przygważdżając jednego szczura do podłogi, drugiego łapiąc za ogon. Ten zapiszczał dziko i skrobał bezradnie pazurami. Zabił je. Psy zadrżały, budząc się. Eikowie spali.

Zawarczał na psy, każąc im leżeć, a one posłuchały. Jadały lepiej od niego, bo nie gardziły ludzkim mięsem. Obdarł szczury ze skóry i ponieważ nie miał ognia, zjadł je na surowo.

Nie lepszy od Eików, już nie człowiek, jeszcze nie pies, płakałby nad swym zdzieniem, ale zabrakło mu łez. Nigdy nie dostawał wystarczająco dużo picia. Czasami kapłan pamiętał, żeby mu postawić miskę. Raz zrobiła to niewolnica i została zabita.

Eikowie spali. Piłował łańcuchy nożem, ale tylko stępił ostrze. W końcu schował nóż i zwinął się pośród łańcuchów. Żelazna obroza na szyi rozorała mu skórę i przewrócił się, by złagodzić przeszywający ból. Orla odznaka chłodziła mu skórę przy sercu.

O Pani, gdyby tylko mógł przespać jedną noc cicho i bez snów, nie niepokojony. Gdyby tylko mógł odpocząć. Ale psy dyszały, rozbudzone, wężąc śmierć.

4.

– Obudź się.

Coś było nie tak. Hanna wiedziała to od razu, ale trzy oddechy zajęło jej zrozumienie, co to było. Ostry, zimny wiatr wtargnął na strych, rozrzucając siano i wyziębiając jej ciało, a zimne, delikatne coś osiadło na jej ustach. Nie myśląc, oblizła je. Śnieg.

Więcej śniegu opadło jej na twarz, wpędzonego z zewnątrz, kiedy wiatr się wzmaczał i wył wśród belek. Otwarte drzwi bezustannie trzaskały. Szczekał pies. Z oddali usłyszała krzyki na alarm, a potem wiatr zawiął tak mocno, że wstrząsnął fundamentami stajni i obudził wszystkich Lwów.

Przetoczyła się na dłonie i kolana, szukając na oślep butów. Dotknęła koca Wilkuna.

Wilkun zniknął.

Zaczął bić dzwon, tępym wibrującym dźwiękiem, który ją przeszywał. Wydawał się wołać grubym, natarczywym głosem: „Ogień! Burza! Atak! Pobudka! Pobudka!”

Złapała buty i wciągnęła je, a potem na czworakach wymacała klapę w podłodze i drabinę, po której zeszła na dół. Jeden z żołnierzy zawołał do niej, ale wiatr wył i świszczwał tak mocno, że nie mogła rozróżnić słów. Stała na podłodze, ściskając drabinę, próbując się pozbierać. Konie oszalały ze strachu; głos mnicha stajennego był jak szept pod naporem wiatru, kiedy próbował bezskutecznie uspokoić zwierzęta. Dzwon bił i bił, jakby sto nowych

dusz wstępowało po jego dźwięku przez siedem sfer nieba do Komnaty Światła.

– Hanno.

Rozejrzała się, ale nie mogła dostrzec Wilkuna, bo wokół panowała absolutna ciemność.

– Jestem przy drzwiach – powiedział.

Ostrożnie podeszła do niego. Kąsające zimno wpadało przez szczeliny w drewnianych drzwiach. Z każdym podmuchem drzwi trzęsły się i łomotały, a raz nawet wygięły się do wewnątrz, jakby wiatr próbował je wyważyć. Wilkun musiał się o nie oprzeć, by się nie otworzyły. Na górze trzaskanie drzwi nagle umilkło.

Coś ciężkiego uderzyło we wrota stajni. Drewno pękło i połamało się, ale drzwi się nie poddały, choć czuła, jak Wilkun się w nie wcisnął, aby im pomóc. A potem, jak szuranie myszy w ścianie, usłyszała głos z zewnątrz:

– Proszę. Błagam, jeśli jest ktoś w środku, wpuście mnie. – To był opiekun gości.

Wilkun natychmiast zdjął zasuwę. Wiatr szarpnął drzwiami, skrzydło uderzyło w Hannę, przeszywając bólem jej prawy bok, a kiedy się cofnęła, rozwarły się na oścież i rąbnęły w ścianę tak mocno, że górny zawias odpadł. Zakapturzona postać wpadła do środka, gnana dzikim wietrzyskiem.

To nie był wiatr. I nie burza, choć wiele ich widziała. Na wpół otepiała, Hanna gapiała się z niedowierzaniem. Nie widziała nawet cieni innych budynków i klasztoru. Nie widziała nawet nieba i księżyca. Cały świat był białoszary. Stali samotnie w samym środku dzikiej zamieci.

Nie słyszała już dzwonu.

Śnieg zawirował w stajniach, chłoszcząc jej twarz. W środku, w ciemności, koń zerwał się z uwięzi. Słyszała, jak stajenny przeklinał, zaganiając zwierzę z powrotem do boksu.

– Hanno! – Wilkun musiał wrzeszczeć, żeby go usłyszała. – Pomóż mi! – Złapali połamane drzwi i razem wstawili je w wyrwany zawias, a potem zatrzasnęli, chroniąc się przed lodowatym wiatrem. Pomimo zimna, pociała się ze strachu i wysiłku. Przejechała dłonią po połamanym drewnie i wbiła sobie drzazgę w momencie, kiedy Wilkun stęknął i zabezpieczył skobel.

– Nie mogę ryzykować rozpalenia ognia – powiedział. – Rozbita latarnia w takiej burzy i wszystko wokół poszłoby z dymem.

Opiekun gości osunął się na podłogę, a Hanna mogła odróżnić jego kształt po śniegu, który grubą warstwą osiadł na jego sukni i kapturze. Szeptał modlitwę po dariyańsku, w języku Kościoła. Nie rozróżniała słów. Brzmiały nieprzytomnie, jakby mężczyznę zżerała gorączka.

Ktoś zaklął na górze; jeden z żołnierzy, masywny cień w zbroi, zszedł po drabinie, przeklinając tak plugawie, że kilka chwil minęło, nim otrząsnęła się z szoku i zrozumiała, że mężczyzna nie był wściekły, lecz przerażony.

– Widzieliście je? – zapytał, kiedy ciężko opadł na ziemię. Na zewnątrz wiatr wył, a o

ściany walił grad jak kamienie; stajnia, jej drewniana konstrukcja, jęczała pod naporem ataku.

– Stwory – powiedział opiekun przerażonym głosem, podczas gdy wiatr świszczął, a grad uderzał w ściany i dach. – Pani Litościwa, chroń nas przed takimi wizjami. Chroń nas przed takimi stworami. Te stworzenia musiały zostać poczęte w kloace i wyrzucone z przeklętego łona w ciemność. Nadeszły z gór. Zleciały z wichrem. I cuchnęły tak strasznie, że włosy mi dęba stanęły i trząśłem się ze strachu, a goście wybiegli ze swych izb, krzycząc i płacząc, a jeden mógł tylko paplać jak dziecko i świecić się, jakby go podpalono.

– Opanuj się, bracie – zażądał Wilkun. – Powiedz nam, coś widział.

– Mówiłem wam! Były żywe, ale nie przypominały żadnego znanego mi zwierzęcia. Nie miały kończyn, tylko grube ciemne ciało, niby tułów, szeroki jak mój własny. Śpiewały strasznymi głosami w najbardziej odrażającym języku, jeśli to w ogóle był język. Wiatr przyniósł je z gór, a burza nadeszła z nimi, jakby to one ją wywołały, używając złej magii, bom nigdy nie widział podobnej śnieżycy, choć mieszkam w tym schronisku prawie dwadzieścia lat i wiernie służę Bogu i Jednościom, niech mi dopomogą. Na Pana Niebieskiego! Że ten widok straszliwy mi się objawił, bom siły nie miał...

– Cicho – powiedział Wilkun. Zadrżał. – Lwie, pilnuj dobrego braciszka. Hanno, odważysz się wyjść ze mną?

Biodro i ramię bolały ją od uderzenia drzwiami. Stąpięcie na prawą nogę wywoływało taki ból, że jęczała.

– Hanno?

– Pójdę – odparła.

Najpierw Wilkun znalazł linę wiszącą na ścianie i zawiązał ją najpierw wokół własnego pasa, a potem, na wyczucie, w talii Hanny. Lew oparł się o drzwi, kiedy Wilkun zdjął skobel, ale wiatr i tak pchnął żołnierza w tył, a ten zaparł się piętami o klepisko. Wilkun pociągnął Hannę za sobą. Razem wyszli na śnieżycę.

Zatoczyli się pod naporem wiatru. Sześć kroków dalej Wilkun zaczął do niej krzyczeć, ale ledwo go słyszała w ryku wichury. Spojrzała w tył. Nie widziała stajni; noc i burza pogrzebały ją w mroku. Ogarnęła ją panika. Nie mogła oddychać. Zwinęła dłonie w pięści, zmarzły tak szybko, że już ich nie czuła.

Uderzył wiatr. Musiała się schylić, zgiąć, aby nie przewróciła jej siła wichury oraz śniegu, oprócz tego czuła ból twarzy, piekący i bolesny; miała wrażenie, że zawierucha odarła góry z pokrywającej je ziemi, zrywając glebę i kamienie, by obnażyć kości.

Coś się o nią otarło. Wrzasnęła. Nie mogła się powstrzymać. Jakaś rzecz, jakiś stwór, ale niepodobny do żadnego stworzenia, które widziała, nawet we snach. A potem zniknął w mrokach nocy, ale był jeszcze drugi i trzeci, przemykające obok niej, niesione wiatrem. Wieże ciemności, były czarniejsze nawet od samej nocy, jak wejście w Otchłań, dziurę Nieprzyjaciela, w którą wpadają niegodziwcy i lecą, nigdy nie dotykając dna. Z nimi, z nich, wśród nich unosił się śwąd rozpalonego żelaza. Hanna usłyszała ich głosy niby szept

dzwonów zagłuszany wiatrem, bez słów, a jednak sensowne.

Z ciemności dobiegł ją niski dudniący ryk, wzbierający się w przerażający, miazdzący, łomoczący, przesywający grzmot, który trwał i trwał.

Lina zawiązana w pasie napięła się, kiedy Wilkun ją odwrócił i pchnął z powrotem ku stajniom.

– Biegnij! – wrzasnął. – Nie odważymy się...

Zatoczyła się. Macając, znalazła drzwi; drżąc, walczyła ze skoblem, w końcu otworzyli go i wpadli do środka. Żołnierz zatrzasnął i zaryglował drzwi za nimi. Ryk ją ogłuszył; wypełniał powietrze, jakby był jego częścią. A potem, powoli, opadł i ucichł, aż ostatecznie słyszeli tylko wiatr, nie kończący się, rwący wiatr i kanonadę deszczu, śniegu i gradu uderzających w drewniane ściany.

W środku było ciepło i ciemno. Zdenerwowane konie tupały; stajenny przemawiał kojąco. Hanna słyszała też resztę Lwów kręcących się po stajni, uspokajających zwierzęta. Opiekun gości szlochał cicho.

– Co to był za hałas? – spytała, gdy budynek trzeszczał i skrzypiał, wiatr szarpał dachem, a dźwięk dzwonów otumaniał. Bolały ją ramię i biodro. Potarła dłonie, aby je rozgrzać.

– Lawina – odparł opiekun przez łyżę. – O Pani, dobrze znam ten dźwięk, bo mieszkam w tych górach od dwudziestu lat. Blisko przeszła. Lęk mnie zdejmuję, że klasztor... – nie mógł dokończyć. Znow się rozplakał.

– Co to były za stwory? – spytała.

Wilkun jej odpowiedział.

– *Galla* – powiedział. Słowo brzmiało brzydko, obco, „g” było raczej gardłowym „gh”.

– Czym są galle?

– Czymś, o czym nie powinniśmy teraz rozmawiać, kiedy one się tu kręcą, bo mogłyby usłyszeć swe imię wypowiedziane po raz trzeci i szukać nas, którzy o nich wiemy – odpowiedział takim tonem, że wiedziała, iż nie powie nic więcej. – Musimy przeczekać burzę.

To była długa noc. Nie mogła spać, Wilkun też nie, ale chyba kilka Lwów tak. Poznała, że opiekun zapadł w niespokojny sen, bo jego szloch w końcu ucichł.

Tak jak burza. Z nadejściem świtu Wilkun wyszedł z Hanną u boku. Poranek był bezchmurny, niebo miało odcień delikatnego, rozmytego błękitu. Góry wznosiły się w chwale, białe szczyty lśniły we wstającym słońcu. Ani powiewu wiatru. Gdyby nie rozrzucone wszędzie szczątki, zniszczona brama i większość ogrodzenia, rozwleczone sąg drewna, okiennice wyrwane z zawiasów i kozy pałętające się w rozterce pośrodku ogrodu, nigdy by się nie domyśliła, że przeszła tędy jakaś burza. Dziwne, ule zostały nietknięte.

Ale infirmeria zniknęła.

Tam uwijali się mnisi i kupcy, ich rój huczał wokół sterty kamieni i ziemi, pokrywającej to, co niegdyś było infirmerią. Budowla z kamieni i drewna została zmieciona z powierzchni

ziemi, zrównana ze zboczem góry, które się na nią obsunęło.

Pobiegli. Mnisi zdolali wyciągnąć z gruzów ciała starego braciszka i dwóch Lwów. Z pozostałych dwóch rannych żołnierzy – Hanna rozpoznała ich jako tych stojących na warcie na zewnątrz, pod oknem celi Heriberta i Antonii – jeden miał złamaną nogę, a drugi leżał na ziemi i jęczał, cierpiąc od obrażeń wewnętrznych. Brat pielęgniarz klęczał obok, delikatnie badając jego brzuch. Twarz mnicha była mokra od łez.

– To stało się tak szybko – powiedział, podnosząc wzrok, gdy Wilkun uklęknął obok. – Wybiegłem, słysząc hałas, a potem zobaczyłem... nie, nie zobaczyłem, tylko poczułem, poczułem moc. A potem zeszła lawina. Niech mi Pani wybaczy, ale uciekłem, Dopiero gdy zorientowałem się, że jest już za późno i infirmeria zostanie zniszczona, przypomniałem sobie o biednym bracie Fusulusie, który był zbyt słaby, by się uratować.

– Oszczędzono was – powiedział Wilkun – bo macie jeszcze coś zrobić na tym świecie. Co z tym człowiekiem?

Pielęgniarz potrząsnął głową.

– Bóg zdecyduje, czy przeżyje.

Wilkun wstał i podszedł ku krawędzi lawiny. Hanna ruszyła za nim, ale trzymała się z tyłu, nie mając zamiaru podchodzić zbyt blisko. Widziała szkielet infirmerii pod ziemią i kamieniami, potężne kamienie wyrwane z ziemi, deski rozrzucone jak zapalki, łóżko wywrócone do góry nogami, z nietkniętym plecionym spodem, trzynóg ze złamaną nogą, suszone zioła niegdyś powiązane w pęczki, teraz walające się wszędzie na trawie.

– Co z więźniami? – spytał Wilkun, gdy wrócił do reszty.

Opat wystąpił naprzód. Pocieszał prezbitera, który już posłał służących do stajni, aby przygotowywali się do odjazdu.

– Nie możemy znaleźć ich ciał – powiedział. – To najbardziej denerwujące. Kamienie pogrzebały ich całkowicie. Spróbujemy ich wykopać, ale...

– Nieważne. – Wilkun obserwował wielką bliznę, szlak lawiny, znaczącej zbocze. Coś się poruszyło wśród skał i kilka kamyczków wylądowało u jego stóp. Cofnął się nerwowo. – Szukajcie, jeśli to bezpieczne. Straciliśmy więźniów.

– Co zrobicie? – spytał opat. – Co z dwoma rannymi? Brat pielęgniarz mówi, że tego biedaka nie można ruszać, a drugi nie będzie mógł chodzić przez wiele tygodni.

– Czy mogą tu zostać, dopóki nie wydobrzeją?

– Oczywiście. – Opat nakazał swym mnichom, aby odnieśli rannych.

– Chodź, Hanno – powiedział Wilkun. Ruszył z powrotem ku stajni, zostawiając Lwy do pomocy.

– Dlaczego tak powiedziałeś? Że „straciliśmy” więźniów. Nie, że nie żyją.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– A sądzisz, że nie żyją? Wierzysz, że ona leży pod skałami? Że któregoś dnia, jeśli mnisi przekopią budynek, znajdą dwa zmiażdżone ciała czy pokruszone kości?

– Oczywiście, że muszą nie żyć. Byli zamknięci w celi. Jak mogli uciec... – Urwała, widząc wyraz jego twarzy. – Nie wierzysz, że zginęli.

– Nie. To nie była normalna burza.

Nienormalna burza. Śnieżycą w samym środku ciepłego lata. Dziwne nienaturalne stwory, które nazwał galla, krążące wokół, cuchnące paleniskiem.

– Dokąd ona się uda, Hanno? Takie pytanie musimy sobie postawić. Dokąd się uda? Kto ukryje taką, jak ona?

– Nie wiem.

– Sabella mogłaby, gdyby zdołała do niej dotrzeć. Ale Sabella sama jest w więzieniu, więc Wendar i Varre są na razie dla Antonii zamknięte. – Westchnął ostro i zatrzymał się przy drzwiach stajni, odwrócił się, by spojrzeć na góry, tak spokojne, tak czyste nad nimi. – Powinienem był wiedzieć. Powinienem był się na to przygotować. Ale nie doceniłem jej mocy.

– Dokąd my się udamy?

Zastanowił się.

– Niestety, obawiam się, że musimy się rozdzielić. Jedno z nas musi podążyć do Darre, aby oskarżyć biskupinę Antonię przed skoposą. W ten sposób będziemy przygotowani, niezależnie od tego, co Antonia zamierza uczynić. Jedno z nas musi wrócić do Henryka, ostrzec go i mieć nadzieję, że nam uwierzy. – Uśmiechnął się nagle, robiąc kwaśną minę, a Hanna przypomniała sobie, jak bardzo go lubiła. – Lepiej, żebyś to była ty, Hanno. Zabierzesz czterech Lwów, ja dwóch, a kiedy będę wracał, odbiorę tych, którzy tu zostają, o ile przeżyją.

Przyzwyczała się do Wilkuna i teraz, nagle, przestraszyła się podróży bez niego.

– Jak długo ci to zajmie? Jak szybko wrócisz do Wendaru?

Wzruszył ramionami.

– Nie umiem powiedzieć. Może będę mógł przekroczyć tę przełęcz na jesieni, ale najprawdopodobniej nie wrócę aż do przyszłego lata. Ty musisz przekonać Henryka, dziecko. – Dotknął szybko jej Orlej odznaki, nowej i wciąż jasnej, jakby rozświetlało ją wspomnienie śmierci Manfreda. – Zasłużyłaś na to, Hanno. Nie sądzę, że nie sprostasz zadaniu. – Wszedł do stajni.

Hanna została na dworze, patrząc na trzy wielkie szczyty, tak piękne, tak ciche, tak spokojne w swej potężnej, czystej, żywej sile, że wydawało się niemożliwym do uwierzenia, że trzy kruche ludzkie życia zostały zniszczone w cieniu u ich stóp. Jak je nazwał bard? „Żonka”. Mnich. Lęk. Osłoniła oczy przed wschodzącym słońcem i rozejrzała się za jastrzębiem, ale żaden ptak nie fruwał tego poranka po czystym niebie.

Wróci do Wendaru, na dwór królewski, nie zobaczywszy miasta Darre ani pałacu świętej skoposy, ani pewnie żadnych elfów czy dziwnych nieludzkich stworów. A jednak znaczyło to również, że szybciej wróci do Liath.

Myśl o Liath przywiodła myśl o Hugonie, choć nie chciała o nim myśleć. Piękny Hugo. A

wspomnienie tego, co zrobił, przypomniało jej Ivara. Na Panią, gdzie był teraz Ivar? Czy bezpiecznie dotarł do Quedlinhamu? Czy podoba mu się tam? Czy pogodził się ze swym losem? Czy wciąż się mu opierał?

Rozdział trzeci

Klasztor

1.

Ivar nienawidził Quedlinhamu. Nienawidził klasztoru, nienawidził codziennych monotonnych modlitw, a najbardziej nienawidził dormitorium nowicjuszy, które było wąskim barakiem i w którym spędzał wszystkie noce pogrążony w nieszczęsnej ciszy wraz z resztą. A najgorsze było to, że dzięki skrupulatnemu wyliczaniu dni na mszy i w modlitewnikach wiedział dokładnie, ile dni upłynęło, odkąd go tu uwięziono.

Sto i siedemdziesiąt siedem dni temu, na świętą Bonfilię, klęczał przed główną bramą na zimnym deszczu i po nocy kompletnego przemoczenia został wpuszczony na teren Quedlinhamu. Nawet mu nie pokazali słynnego kościoła. Zamiast tego nowi opiekunowie natychmiast zaprowadzili go do nowicjatu i zamknęli razem z resztą nieszczęsnych duszyczek, skazanych na ten czyściec.

Duszyczek rodzaju męskiego, oczywiście. Quedlinham był klasztorem, w którym opatka, matka Scholastyka, rządziła mnichami i mniszkami, którzy żyli oddzielnie, lecz modlili się razem. Z dormitorium nowicjuszy wychodziło się na krużganek, dziedziniec otoczony kolumnami. Przez sam jego środek przebiegał wysoki drewniany płot, dzieląc go na dwa mniejsze dziedzińce, jeden dla nowicjuszy, drugi dla nowicjuszek, które miały dormitorium po drugiej stronie.

Ivar codziennie modlił się krótko przy płocie, chyba, że pogoda była ohydna, raz o poranku zaraz po tercji i raz po południu, przed nieszporami. Lub przynajmniej wydawał się modlić. Tak naprawdę, podczas tych jedynek chwil bez dozoru studiował sztachety. Przez ostatnie pięć miesięcy on i jeszcze trzech nowicjuszy obejrzało płot cal po calu, każdą sztachetę, każdą belkę, każde pęknięcie, szczelinę i sęk. Ale nie odnalazł żadnej szparki, przez którą mógłby spojrzeć na drugą stronę.

Czy nowicjuszki były młode? Prawie na pewno. Jak on, większość z nich oddana została

Kościółowi – za ich zgodą lub wbrew niej – przez rodziny, gdy dziewczęta dorosły.

Czy były ładne? Być może. Krótco po przyjeździe postawił przed sobą zadanie: poznać każdą nowicjuszkę z twarzy i imienia. To pozwalało mu nie oszaleć, mimo iż wiedział, że było to złe i wbrew zasadom. A może dlatego, że było to wbrew zasadom.

Teraz jego towarzysz z nowicjatu, Baldwin, skończył wydlubywanie brudu spod paznokci nożem do golenia i wbił ten nóż w małą szczelinę między dwiema deskami. Dłubał, jak przypuszczał Ivar, na próżno, by poszerzyć szparę na tyle, aby przez nią spojrzeć. Baldwin w każdym razie się nie poddawał. Ten jasnowłosy nowicjusz wiedział, że zawsze dostanie to, czego chciał.

Przyczłapał Ermanrich i padł obok Ivara. Drżał na zimnym jesiennym wietrze, który Ivar uznał za przyjemny po gorącym lecie w zamknięciu, ale Ermanrich, choć najpotężniejszy z całej czwórki, miał też największą skłonność do gorączkowania i kataru. Zakaszłał, otarł zażawione oczy i zerknął na pracę Baldwina.

– Musi być tu gdzieś słabe miejsce – mruknął Ermanrich. Skubał swe paznokcie, brudne od kopania ziemi w ogrodzie po zebraniu jarzyn. – Hathumod mówi, że cały pierwszy rok uważa Baldwina za bardzo przystojnego. – Hathumod była kuzynką Ermanricha w drugim roku nowicjatu. Komunikowała się z nim w tajemniczy sposób, którego Ivar jeszcze nie pojął.

– A co Hathumod myśli o Baldwinie? – zapytał.

– Nie chce powiedzieć.

Baldwin spojrział na nich, uśmiechnął się i wrócił do pracy.

Miał powody, by chęć się swym wyglądem, ale wedle niego samego to właśnie wygląd zesłał go do klasztoru. Rzeczywiście, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Ivar kiedykolwiek widział... oprócz fratra Hugona.

Na Panią! Nawet myśl o tym draniu Hugonie złościła Ivara, więziła w pułapce bezsilnej wściekłości. Próbował uwolnić Liath, a w zamian zrobiono z niego głupca i skazano na to życie. Wszystko to wina Hugona, przekłętego, aroganckiego, przystojnego bękarta. Co się stało z Liath? Czy nadal była konkubina Hugona? Przynajmniej, jeśli wieści były prawdziwe, miała przy sobie Hannę.

Nie miał żalu do Hanny za jej wybór – służbę u Liath, a nie u niego. Liath bardziej potrzebowała Hanny, a poza tym tu w Quedlinhamie nie wolno mu było rozmawiać z żadną kobietą prócz matki Scholastyki. Wziął ze sobą dwóch służących, którzy dbali o jego ubranie, ślali mu łóżko i z innymi służącymi sprząтали dormitorium, a poza tym wykonywali wszelkie prace, na które on nie miał czasu, ponieważ jego głównymi obowiązkami jako nowicjusza były modlitwa i nauka. Gdyby przywiózł Hannę, posłano by ją do pracy jako kucharkę czy praczkę i nigdy by jej już nie ujrzał. Lepiej, że została z Liath.

Westchnął ciężko.

Ermanrich dotknął jego ramienia, choć nowicjuszom nie wolno było się dotykać, okazywać wzajemnie uczuć czy współczucia. Mieli poświęcić się tylko Bogu.

– Znów o niej myślisz – powiedział okrągły chłopiec. – Czy naprawdę była taka ładna jak Baldwin?

– Absolutnie nie – odparł Ivar, a potem uśmiechnął się, bo Ermanrich zawsze go bawił. – Była ciemna...

– Ciemna jak diuk Konrad Czarny? – spytał Baldwin, nie podnosząc głowy znad dłubania. – Raz go spotkałem.

– Spotkałeś? – zdziwił się Ermanrich.

– No dobrze, nie spotkałem. Raz go widziałem.

– Nie wiem, czy są podobni – powiedział Ivar. – Nigdy nie widziałem diuka Konrada. Dlaczego jest taki ciemny?

– Jego matka pochodziła ze wschodu. Była księżniczką z kraju Jinna. – Baldwin był skarbnicą plotek o szlacheckich rodach z Wendaru i Varre. – Jeden z sułtanów ze wschodu dał ją w prezencie jednemu z Arnulfów, nie pamiętam któremu. Konrad Starszy, który był wtedy diukiem Waylandu, miał na nią oko i ponieważ król Arnulf był mu winien przysługę, poprosił o dziewczynę. Była wtedy ledwie dzieckiem, ale bardzo ładnym, jak mówili. Konrad wychował ją na dobrą daisanitkę, bo pochodziła spośród pogańskich czcicieli ognia. Kiedy osiągnęła odpowiedni wiek, wziął ją na swoją konkubinę, ale ze wszystkich jego żon i konkubin tylko ona zaszła z nim w ciążę. Może знаła jakieś wschodnie czary, ponieważ plotkowano, że Konrad był bezpłodny w wyniku klątwy, rzuconej na niego przez jedną z Zaginionych, którą zgwałcił jako chłopak.

Ermanrich znów zakaszłał i podniósł brew.

– Nie wierzysz mi? – spytał Baldwin; jego policzki drgały od powstrzymanego uśmiechu.

– A w którą część mam uwierzyć?

– A co potem? – przerwał Ivar, próbując wyobrazić sobie Jinnijkę, ale miał przed oczami tylko Liath. Myśl o niej wywoływała ból serca.

– Urodziła chłopca, drugiego Konrada, którego znacie jako Konrada Czarnego. Odziedziczył marchię po ojcu. Wiecie, ona nadal żyje, ta Jinnijka. Nie znam jej starego imienia, ale ochrzcili ją porządnym daisanickim imieniem, Mariya czy Miryam. Coś w tym stylu.

– Pozwolili bękartowi dziedziczyć? – Ermanrich był sceptyczny.

– Nie, nie. Pod koniec życia, kiedy miał wyznaczać następcę, Konrad Starszy ogłosił, że cały czas był z nią ożeniony. Najpierw sprowadził diakonisę, aby zaświadczyła, że była obecna podczas ceremonii, ale się okazało, że miała tylko dziesięć lat, kiedy to małżeństwo miało zostać zawarte. Ostatecznie Konrad zapisał wielki kawał ziemi biskupinie i ona się zgodziła, że Bóg usankcjonował związek przed narodzinami dziecka. Patrzcie! Zrobiłem otwór! – Pochylił się i przytknął swój idealny nos do drewna, zamknął jedno oko, a drugim wpatrywał się w maleńką szparę. Potem się cofnął, kręcąc głową. – Widzę tylko kurzajki.

Wiedziałem, że będą miały kurzajki.

– Najdroższy Baldwin, skazany przez kurzajki na życie w klasztorze – rzekł Ermanrich, jakby ogłaszał wyrok. – A teraz odsuń się i pozwól mi spróbować.

– Cicho – powiedział Ivar. – Idzie lord Reginar ze swymi psami.

Lord Reginar miał sforeę pięciu „psów” – drugorocznych nowicjuszy – i szczupłą twarz o niezdrowym wyglądzie, spowodowanym głównie przez wiecznie skwaszoną minę.

– A to co? – zapytał, zatrzymując się przy trzech pierwszorocznikach. Przytknął do ust kawałek bardzo cienkiego płótna, jakby ich odór go denerwował. – Czyżbyście się modlili? – Oczywiście coś insynuował, ale co: nie wiedzieli.

Ivar stłumił chichot. Pogarda Reginara była tak żalosna, szczególnie porównana do pogardy Hugona, że zawsze go rozśmieszała. Ale syn hrabiego nigdy nie śmiał się z syna księżnej, który na dodatek nosił złoty torkwes, symbolizujący królewską krew i odległego pretendenta do tronu.

Ermanrich złożył dłonie i oparł się o płot, zasłaniając wyraźne ślady cięć. Zaczął mamrotać psalm śpiewnym głosem używanym podczas modlitw.

Baldwin uśmiechnął się szeroko do młodego lorda.

– Jakże to miło z waszej strony, żeście nas dziś raczyli obdarzyć swą uwagą, lordzie Reginarze – powiedział bez śladu sarkazmu.

Ermanrich się zadławił.

Reginar znów dotknął ust chusteczką, ale nawet on – najmłodszy syn księżnej Rotrudis i siostrzeniec matki Scholastyki oraz króla Henryka – nie był odporny na czar Baldwina.

– To prawda – rzekł – że dwaj ludzie z marchii i syn jakiegoś hrabiego nie mogą liczyć, że ktoś taki jak ja zwróci na nich uwagę codziennie, ale przecież macie prawo spać obok mnie jak inni. – Wskazał swych akolitów, nierozróżnialne zbiorowisko chłopców z dobrych rodzin, którzy mieli nieszczęście wstąpić do klasztoru w zeszłym roku, wraz z Reginarem i z potrzeby – lub musu – znaleźli się na jego orbicie.

– Błagam was – powiedział słodko Baldwin – nie zapominajcie o naszym towarzyszu Zygfydzie. Jestem pewien, że on również nie jest nieczuły na zaszczyt, jaki nam okazujecie.

Ermanrich rozkaszał się okrutnie. Jeden z chłopców za plecami Reginara zachichotał, a młody lord odwrócił się i uderzył go na odlew. Potem odwrócił się i odszedł, z psiarnią biegnącą za nim truchcikiem.

W tym momencie Zygfyd wybiegł z dormitorium, z rozpromienioną twarzą, szaty powiewały wokół niego. Nie zauważył Reginara. Nigdy go nie zauważał. I to była najgorsza obraza, choć Reginar nigdy nie zrozumiał, że Zygfyd zwracał uwagę tylko na swoje studia, modlitwy i – teraz – trzech przyjaciół.

– Usłyszałem najwspanialszą wiadomość – powiedział Zygfyd, gdy się przy nich zatrzymał. Ukląkł z wprawą nabytą przez lata ćwiczeń, ponieważ Zygfyd, jak sam radośnie przyznawał, wiedział już w wieku pięciu lat, kim chciał być: mnichem.

– To było okrutne – rzekł Ermanrich.

– Co? – spytał Zygryd.

Baldwin uśmiechnął się.

– Biedny Reginar. Nie może znieść, że jego własna ciotka, matka Scholastyka, upodobała sobie syna zwykłego rządcy i obdarza swymi łaskami – i naukami – tak nisko urodzone stworzenie miast swego siostrzeńca.

– Ojej – powiedział Zygryd. Nagle się zmartwił. – Nie chciałem, żeby ktokolwiek był zazdrosny. Nie walczyłem o uwagę matki Scholastyki, a jednak... – jego twarz przybrała wyraz czystej kontemplacji – mieć przywilej studiowania z nią i bratem Metodiuszem...

– Wiesz, co mówią – wtrącił się Baldwin, nim Zygryd zaczął recytować – oczywiście z pamięci – jakiś upiorny tekst źródłowy sprzed stuleci, który studiował dziś w celi matki Scholastyki.

– Nie – odparł Ermanrich. – A co mówią?

– Że lorda Reginarą umieszczono w klasztorze tylko dlatego, że własna matka go nienawidzi. Gdyby pozwoliła mu przyjąć święcenia fratra i zostać prezbiterem, musiałby zgodnie z tradycją odwiedzać ją co trzy lata dopóki ona żyje, więc uznała, że lepiej oddać go do klasztoru i nie musieć go nigdy więcej oglądać, jeśli nie będzie miała ochoty.

Ermanrich parsknął, zakrztusił się i zaczął dziko śmiać.

Zygryd spoglądał smutno na Baldwina i tylko kręcił głową, jakby chciał przypomnieć, że Pan i Pani nie lubią tych, którzy mówią źle o bliźnich.

– Ja w to wierzę – mruknął Ivar.

– Przykro mi, Ivar – powiedział szybko Baldwin. – Nie chciałem przypominać ci o twojej własnej sytuacji.

– Nic się nie stało – odparł. – Co się stało, już się nie odstanie. Co to za wieść, Zygrydzie?

– Dwór króla Henryka ma przybyć tutaj, do Quedlinhamu, na świętego Walentyna. Oczekują króla dziś lub jutro!

– Skąd wiesz? – zapytał Ermanrich. – Nawet Hathumod nie wie, bo gdyby wiedziała, to by mi powiedziała.

Zygryd zaczerwienił się. Miał wrażliwą twarz, której wyraz był ciekawy ze względu na konflikt, jaki toczyły jego samotnicza natura i umiłowanie studiów z prawdziwą sympatią do towarzyszy.

– Obawiam się, że podsłuchałem. To było złe, wiem, ale nie mogłem się doczekać, żeby wam powiedzieć, bo wiedziałem, że będziecie chcieli usłyszeć! Wyobraźcie sobie! Król!

Baldwin ziewnął.

– A, tak, król. Spotkałem króla.

– Naprawdę go spotkałeś? – chciał wiedzieć Ermanrich. Pod kolumnadą pojawił się nauczyciel. Wszyscy zerwali się na nogi i ze skruszonym wyrazem twarzy ustawili się w

szeregu. Jako pierwszorocznicy zajmowali miejsce na końcu, ustawieni w parę. Przed nimi szedł Reginar z akolitami, a przed Reginarem – choć ten nie znosił kogokolwiek przed sobą – stali pokorni trzeciorocznicy.

Kiedy wymaszerowali z dormitorium i podążyli drogą do kościoła, Ivar wyciągnął szyję na widok odzianych w brąz nowicjuszek. Za starania dostał po plecach trzcinką. Bolało, ale ból mu pomógł. Pomógł pamiętać, że jest Iwarem, synem hrabiego Harla i hrabiny Herlindy. Nie był naprawdę mnichem, nie z powołania jak Zygfyrd, ani nie pogodził się ze swym losem jak Ermanrich, szósty z siedmiu synów hrabiny z marchii, która ku swemu przerażeniu nigdy nie urodziła córki i zmuszona była uczynić najstarszego syna spadkobiercą, a potem szybko oddać zbywających chłopców do klasztoru, aby nie walczyli między sobą o ziemię po jej śmierci. I w odróżnieniu do Baldwina nie uciekł przed nie chcianym małżeństwem, błagając o oddanie Kościołowi.

Nie. Zmuszono go do nałożenia kaptura. Zmuszono, bo kochał Liath, a ona kochała jego, i zabrałby ją Hugonowi. W ten sposób Hugo zemścił się na Ivarze.

Nie. Nie przeszkadzał mu ból czy zamknięcie w nowicjacie. Ból, nawet trzcinka, przypominały codziennie, że zemści się na Hugonie i ocali przed nim Liath. Nieważne, że Hugo – choć bękart – wyrastał ponad najmłodszego syna hrabiego. Nieważne, że matka Hugona, potężna margrabina, była znaną ulubienicą króla Henryka.

Nienawidząc Quedlinhamu, Ivar zachowywał siły, by nienawidzić Hugona. Kiedyś, gdzieś, Ivar się zemści.

2.

Krwawe Serce miał synów. Wraz z upływem czasu Sanglant nauczył się, jak ich rozpoznać: po ozdobach. Tylko synowie Krwawego Serca mogli wprawiać klejnoty w zęby; kolcze spódniczki, które nosili, delikatne jak koronka, było pozłacane i srebrzone, z wplecionymi półszlachetnymi kamieniami i oślepiającymi klejnotami; stylizowany czerwony grot strzały, symbol hegemonii ich ojca, odznaczał się spośród kolorowych malunków, którymi ozdabiali swe piersi.

Podczas gdy lato przeszło w jesień i powietrze w głównej nawie katedry stygło, synowie przychodzili i odchodzili ze swego ulubionego miejsca przed tronem Krwawego Serca. Wyruszały na ekspedycje, z których przywozili złoto, bydło, niewolników i zbiór nieprzerwanie fascynujących drobiazgów: orle pióro, kupon niebieskiego jedwabiu, miecz w pochwie inkrustowanej złotem, wazy z rogu i marmuru, strzałę z lotkami zrobionymi ze stalowoszarych piór gryfa, turkusowy naszyjnik z sześcioramiennymi gwiazdami wykładanymi złotem, srebrną patelnię, pierścień z krwawnikową kameą, lniany obrus wyszywany jedwabiem, ułamki skamieniałego smoczego ognia wyszlifowane w cienkie ostrza, masę zielonych paciorków, przezroczyste anielskie łzy zawieszane na sznurku jak

naszyjnik, jedwabne baldachimy i poduszki. Krwawe Serce rzucił jedną Sanglantowi, ale psy rozdarły ją na strzępy i pierze fruwało, wirując w nieruchomym powietrzu przez resztę dnia.

Jeden z synów nawiedzał katedrę częściej niż inni, Sanglant nie wiedział, ulubiony czy w niełasce. Łatwo było go odróżnić od reszty; na piersi nosił drewniany Krąg Jedności, niewątpliwie złupiony z trupa i wziął na siebie niezwykle obowiązek doglądania raz dziennie niewolnika, przynosząc wiadro i szmaty i czyszcząc miejsce w granicy łańcuchów, w którym więzień się załatwiał. Sanglant znosił to upokorzenie w milczeniu. Miłosierdziem było nie kazać mu gnąć w gorszym gnoju od tego, w którym tkwił.

Albo Krwawe Serce był nieprzewidywalny, albo odgrywanie takiego służyło jego celom.

Dzień po dniu przybywało coraz więcej Eików, aż w końcu zalali katedrę. Byli jak rój szarańczy, wszyscy gnębili go, kłując oszczepami, plując, szczując psami, aż tunika, którą owiązał sobie przedramiona, legła w strzępach na podłodze, a jego skóra zmieniła się w siekaninę krwawiącą z zadrapań i ugryzień. Zagoją się. Zawsze się goiły, czysto i bez infekcji. Kilka psów zginęło i zostaną pożarte przez jego sforę i w końcu przez niego; nie mógł pogardzić tym jedzeniem, bo miał go tak mało. Psy, które przed nim umknęły, zostały zabite przez swych własnych towarzyszy.

Eikowie kibicowali tym starciom, otaczając go, wrzeszcząc i wykrzykując słowa zachęty. Rozumiał z ich języka tak mało, że nie wiedział, czy liczyli na jego zgon, czy też jego życie było im wystarczającą rozrywką. Śpiewali długo w noc i wydawali się nie potrzebować snu, a on nie mógł spać, wśród czekających psów i ciekawskich Eików, przychodzących na niego popatrzeć i wybuchnąć zawodzącym śmiechem na widok półludzkiego księcia wśród psów. Krwawe Serce obserwował wszystko ze swego tronu, a kapłan siedział u jego boku, od czasu do czasu drapiąc sobie pierś, rzucając kości, by odczytać przyszłość, gładząc drewnianą skrzynekę, którą zawsze ze sobą nosił.

Ale w końcu, dnia gorącego od ciepła zgromadzonych ciał i oziębianego widmowym światłem wpadającym przez okna, Krwawe Serce wstał i zawył.

– Który z was przyniósł mi największy skarb? – wykrzyknął, przynajmniej tak się Sanglantowi wydawało, bo natychmiast wystąpili synowie ze wspianymi skarbami, niektóre Sanglant widział już wcześniej, inne były nowe: złote kielichy, naszyjnik ze szmaragdów, miecz o tak złowrogim pięknie i zabójczo łagodnej smukłości, że mógł pochodzić tylko z kuźni na wschodzie, welon tak wspianale utkany, że zdawał się pajęczyną zdjętą z gałęzi i wyszytą srebrem i perłami, pierścienie spuchnięte od drogich kamieni, relikwiarz z kości słoniowej, złota i pereł, qumański kołczan...

Sanglant zamknął oczy. Musiał pochylić się w przód i oprzeć na rękach, porażony tak potężnym wspomnieniem Liath idącej przed nim przez stajnie, z ciałem ozdobionym łukiem rzeźbionym w gryfa pożerającego łańczę, że aż zadrżał. Jego psy warknęły, zawsze wyczulone na słabość. Krwawe Serce wyszczeekał słowa, a Sanglant zerwał się na równe nogi, gotowy do walki. Nigdy nie powiedzą, że nie walczył do ostatniego tchu.

Ale uwaga Krwawego Serca skupiła się gdzie indziej. Wezwał przed swe oblicze jednego z synów, tego, który nosił Krąg. Młody i prosty, był mniej masywny niż bracia, ale było w nim jeszcze coś innego, coś, co Sanglant rozpoznawał, ale nie potrafił nazwać, chyba że inteligencją.

Krwawe Serce wskazał skarby, rozsypane jak liście u jego stóp. Przemówił, pokazując na ostatniego z synów. Co on mu przyniósł?

Eikowie zawyli, a psy zaczęły szczekać i warczeć. Bez zezwolenia na opuszczanie miasta trudno się było spodziewać, by ten Eika znalazł i przyniósł skarb. Ale być może był w niełasce, a Krwawe Serce wybrał ten moment, by to okazać.

Młody Eika stał spokojnie wśród wycia i hałasu. W końcu pozostali umilkli, widząc, że go nie przestraszą. Nie odezwał się od razu. Począł, a kiedy przemówił, zwrócił się wyłącznie do ojca i co niezwykle, w dobrym wendarskim.

– Przynoszę ci najcenniejszy skarb – powiedział głosem tak łagodnym jak dźwięk kościanych fletów, na których Krwawe Serce codziennie grał. – Mądrość.

– Mądrość! – Krwawe Serce wyszczerzył się, pokazując klejnoty. – A co to takiego?

– Który z twych synów potrafi mówić językiem ludzi?

– A niby dlaczego mieliby to robić? Jaki pożytek z ludzi? Są słabi, a będąc słabymi, umierają. Weźmiemy od nich to, czego chcemy i odejdziemy.

– Jeszcze nie wymarli. – Nie spojrzał na Sanglanta. – Rodzaj ludzki jest liczny jak muchy na ścierwie. Choć jesteśmy silniejsi, jest nas mniej.

Mrucząc, reszta zaczęła się niecierpliwie podczas tej rozmowy, którą tylko garstka rozumiała.

– I co z tego, że jest nas mniej – rzekł Krwawe Serce – skoro oni są słabsi? – Ale ku zaskoczeniu Sanglanta nadal mówił wendarskim. – I co z tego, skoro nadal będziemy zabijać dwudziestu za każdego z braci, który zginie?

– Dlaczego musimy zabijać tak wielu, skoro moglibyśmy zyskać więcej, mordując mniej?

Śmiech Krwawego Serca długo i złowrogo odbijał się echem w nawie. Nagle splunął pod nogi młodego Eiki.

– Wracaj do fiordu Rikin. Jesteś za młody, aby tu dłużej przebywać. Uwięzienie cię osłabiło, nie jesteś wystarczająco silny, by walczyć w tej wojnie. Wracaj do domu, zostań z Matkami. Dowiedz swej wartości w fiordach, podporządkuj mi resztę plemion i być może pozwolę ci wrócić. Ale dopóki mam cię w niełasce, niech nikt spośród mych synów nie mówi do ciebie językiem prawdziwych ludzi, a tylko w mowie Miękkich. Rzekłem.

Odwrócił się, splunął ku Sanglantowi i siadł na tronie. Kapłan przetłumaczył słowa skrzeczącym głosem, a potem rozpoczęło się zamieszanie, tak głośne wycie, śmiech i ostre słowa, walenie drzewcami oszczepów o kamienną podłogę, tupanie, że Sanglant ogłuchł.

Książę Eików stał na swym miejscu, obojętny na kpiny i obelgi. Kiedy wreszcie Krwawe Serce zaczął rozdawać podarki ulubionym wojownikom, wyszedł po cichu, nie oglądając się

na jasny świat poza tym więzieniem z kamieni i drewna. Powiew wiatru dotknął ust Sanglanta. Obliznął je, wilgoć deszczu niemal raniła jego wysuszony język.

Wolny, mimo że w niełasce.

Szaleństwo spadło jak chmura, co zakrywa słońce. Ale tym razem z nim walczył, opierał się. Nie chciał popaść w szaleństwo w obecności tak wielu, rzeczywiście jak zwierzę. Ale otoczyły go psy i czarna chmura opadła, zapomniał o wszystkim prócz lęku, że zostanie tu na zawsze, w łańcuchach.

3.

Wspaniałe jesienne światło wpadało przez okna scholi. Iwarowi, skapanemu w takim cieple, głowa opadła. Jednak gdy nauczyciel zatrzymał się przy nim, poderwał się natychmiast.

– *Mundus, munde, mundi, mundo, mundum, mundo*, Ivarze. Na pewno, gdybyś się wysilił, bez problemu opanowałbyś dariyański. Ermanrich, uważaj. Tak, Baldwinie, oczywiście, że dobrze ci idzie; po prostu potrzebujesz ćwiczeń. Spójrz, w wołaczu masz *mundi*, a nie *mundo*.

Nauczyciel ruszył pomiędzy drugorocznych, których studia dariyańskiego, języka starego Imperium, a teraz kościoła daisanickiego, były bardziej zaawansowane niż pierwszoroczniaków – oprócz Zygryda, który dariyańskim władał biegle w mowie i piśmie.

Ivar ziewnął i z trudem wyrzył słowo na woskowej tabliczce. Pisał i czytał powoli, bo przed wstąpieniem do klasztoru opanował jedynie alfabet. *Mundus*, świat. Ivar bardzo chciał być teraz w szerokim świetle. Pokręcił się, próbując wygodnie usiąść na twardej drewnianej ławce, ale oczywiście było to niemożliwe. W klasztorze nie było wygody; należało zawsze czuć się niedobrze z powodu swej małości w obliczu majestatu Pańskiego.

Jednakże, jeśli pochylił się trochę w przód, mógł zanurzyć się w blasku słonecznym padającym na stół. Ciepło przenikało zgrzebną wełnę tuniki. Pochwycony w jego władanie, Ivar drzemał nad swoją tabliczką, podczas gdy nauczyciel, przemawiając do trzeciorocznych nowicjuszy, rozwdził się nad elegancją stylu w omawianym *Mieście Boga* świętej Augustyny.

Coś trąciło stopę Ivara, który zachrapał i ocknął się, wypuszczając z ręki rylec. Ten potoczył się na podłogę, a Iwarowi wydało się, że odgłos upadku porównywalny był z hukiem walącego się filaru w kościele.

Ale Fortuna mu dziś sprzyjała, choć wczoraj, kiedy przyłapano go na próbie podglądania nowicjuszek, najwyraźniej była gdzie indziej. Ermanrich – bo to on go zbudził – dał szybki znak wolną dłonią: „Patrz”.

Nauczyciel podszedł do drzwi i rozmawiał cicho z bratem Metodiuszem, przeorem klasztornej połowy Quedlinhamu i pełnomocnikiem matki Scholastyki. W końcu odwrócił się, zmierzył uczniów wzrokiem i dał znak: „Wstańcie”.

Wstali. Ivar pochylił się, by podnieść rylec z podłogi i położył go obok tabliczki, raz jeden unikając kary, którą otrzymałby za nieuwagę.

– Chodźcie. – Brat Metodiusz postąpił w przód. – Dostąpiliście zaszczytu uczestniczenia we wjeździe króla Henryka. Proszę, zachowajcie ciszę i pokornie pochylcie głowy. – Jego oczy lśniły i Ivar pomyślał, że braciszek powstrzymuje uśmiech. – Bez wątpienia Pan i Pani wybaczą wam jedno spojrzenie na wspaniałość królewskiego orszaku, gdy będzie was mijał, a wy nie okażecie się wystarczająco silni, by oprzeć się takiej pokusie.

Dał znak w języku znanym wszystkim mnichom: „Chodźcie”. Nowicjusze szybko ustawili się w szeregu, ponieważ wyćwiczyli się już w posłuszeństwie. Ale nawet oczy Zygryda powiększyły się w zachwycie na myśl o ujrzeniu króla.

Ivar, oczywiście, nigdy nie widział króla. Spokój Serca i północna marchia Wendaru leżały zbyt daleko na północ, były zbyt opustoszałe i biedne, aby wzbudzić królewskie zainteresowanie; hrabiowie północnej marchii rządili, jak chcieli, dopóki ich rządy nie stały w sprzeczności z interesami monarchy. Nic podobnego nie zdarzyło się za życia Ivara, ale jego ojciec, hrabia Harl, jak przez mgłę przypominał sobie ekspedycję królewskich Smoków – elitarnej kawalerii – wysłaną, by stłumić rebelię na północy, wiele lat temu, za panowania Arnulfa Młodszego.

Tu, w Quedlinhamie, oczywiście mogli się spodziewać częstych królewskich wizyt. Henryk lubił spędzać Wielki Tydzień w klasztorze zarządzanym przez swą siostrę, matkę Scholastykę; mieszkała tu też jego owdowiała matka, królowa Matylda, która przywdziała habit. Na jesieni król i jego dwór często tu odpoczywali w drodze na polowania w Lesie Thurińskim.

Król! Nawet Ivar, który bardzo się starał nie lubić w Quedlinhamie wszystkiego z wyjątkiem nowych przyjaciół, nie mógł powstrzymać podniecenia. Kiedy szli schodami z klasy i przechodzili przez dormitorium, po raz pierwszy dostrzegł, jakie zamieszanie wybuchło w klasztorze. Służący zamiatali chodniki i czyścili białe mury. Kobiety wietrzyły koce i materace w pokojach gościnnych. Ustawione w rzędy wozy czekały przy kuchniach, wyładowane warzywami, beczułkami piwa, kosztami pszenicy i żyta oraz dzbanami miodu. Klatki z kurczętami stały przy pieńkach i pół tuzina służących pracowało gorączkowo, odrąbując ptakom łebki, podczas gdy inni wrzucali martwe kurczęta do wielkich kotłów z wrzątkiem, aby łatwiej je było oskubać. Zaszlachtowane świny i krowy zwisały z belek pod okapem w rzeźni. Ogień huczał w piecach chlebowych i zapach jedzenia rozchodził się w powietrzu.

Nowicjusze przyłączyli się do zebranych mnichów i razem przeszli pod wielkim łukiem wieńczącym bramę. Aż do czasów pierwszego Henryka Quedlinham był fortecą, częścią rozległych włości, które jego żona, Lucienna z Attomaru, wniosła w posagu. Razem oddali i fortecę, i jedyną córkę Kunegundę Kościołowi; w wieku szesnastu lat została pierwszą opatką – pierwszą „matką” – Quedlinhamu. Podczas jej długich rządów klasztor rozrósł się i zaczął

przyjmować mnichów – i ta nieszczęsna decyzja zaowocowała oddaniem Ivara, wbrew jego woli, do owego wspaniałego miejsca.

Ale nawet te ponure myśli nie mogły zgasić Iwarowego entuzjazmu, kiedy cała społeczność w przepisowej ciszy opuszczała zamknięcie i szła brukowaną drogą, która wiodła przez miasto. Wyszli za mury i szli co najmniej milę. Minęli mieszczan stojących przy drodze, którzy porzucili swe zajęcia i przyprowadzili dzieci, by obejrzały króla. Dopiero co obsiane pola oziminy odziane były w jesienny płaszcz brązowej ziemi poznaczonej delikatną zielenią. Z tyłu widniało wzgórze, na którym stała stara forteca, zamieniona w klasztor; wieże kościoła przecinały niebo, sięgając ku Bogu. Zatrzymali się po obu stronach drogi, dwa rzędy prosto odzianych braciszków i siostrzyczek, oraz służących pracujących dla Boga i dla nich – razem pewnie ze dwie setki ludzi.

Ivar usłyszał królewski orszak, nim go ujrzał. Usłyszał hałas wielu stóp, kopyt i kół, oraz poczuł delikatną wibrację, jakby drzenie rozchodzące się od stóp. Usłyszał śpiew, wiele głosów połączonych w radosnym psalmie. Siła połączonych głosów, ich potęga, sprawiła, że zadrzał z radości; nawet śpiewanie mnichów i mniszek w Quedlinhamie nie potrafiło oddzielić go od własnego „ja” i stworzyć kogoś nowego, kogoś, kto dołączyłby do konkordii, siły otaczającej króla.

*Śpiewam o lojalności i sprawiedliwości.
Zaspiewam Wam psalm,
Panie i Pani, którzy jesteście Bogiem w Jedności.
Podążą drogą rozsądku i niewinności, cokolwiek się zdarzy.
W domu moim zagoszczę z czystym sercem.
Żadnych złych celów sobie nie postawię.
Znienawidzą nielojalność.
Uciszą tych, co roznoszą plotki za plecami innych.
Nie zasiądą przy stole z tymi, co są dumni i butni.
Na towarzyszy swych wybiorą najlojalniejszych;
Służyć mi będą ci, którzy są bez winy.
Dzień po dniu wszystkich niegodziwych będą uciszać
I radować się będę wszelkim boskim dobrem na ziemi.*

Nauczyciel zawsze nakazywał swym uczniom trzymać głowy pochylone i oczy wbite w ziemię, ponieważ w ten sposób umniejszali swe osoby i podkreślali, że nic nie znaczą. Ale kiedy kawalkada zbliżyła się i dało się słyszeć głosy setki lub więcej ludzi, Ivar nie mógł się opanować. Musiał spojrzeć.

Ermanrich obok zadrzał, a Baldwin westchnął z zaskoczeniem. Tylko Zygfryd pozostał z przepisowo opuszczoną głową.

Na przedzie jako herold jechała Orlica. Nosiła płaszcz obrębiony szkarłatem i brązową Orlą odznakę; patrzyła na drogę przed sobą; miała ostrą, interesującą twarz, szerokie ramiona i wygląd osoby pewnej siebie i swej pozycji. W prawej ręce trzymała drzewce oparte o strzemiono. Ponieważ nie było wiatru, chorągiew wisiała martwo, okrywając dłón królewskiego Orła.

Za nią jechało sześcioro młodych szlachciców, którym przypadł w udziale zaszczyt zajęcia miejsca na czele pochodu. Oni też trzymali proporce, po jednym z każdego księstwa, którym władał król Henryk: Saony, Fesse, Avarii, Varingii, Arconii i Waylandu. Ivar domyślał się, że dwoje dziewcząt i czterech chłopców było mniej więcej w jego wieku; dziewczę trzymające sztandar Arconii miało włosy jasne jak zboże i palce tak delikatne, że zastanowił się, skąd brała siłę do trzymania drzewca. Ciekawiło go, czyim była dzieckiem. Gdyby tylko wysłali go na dwór zamiast do Quedlinhamu, mógłby dumnie jechać na czele takiego przemarszu – przybycia – jak ten! Jego wzrok spoczął na jeźdźcach, którzy jechali za heroldami.

W tej grupie szlachciców, wspaniale odzianych w cienkie wyszywane lniane tuniki, buty z cienkiej skóry, peleryny obszyte futrem albo płaszcze z bogato barwionej wełny, król Henryk natychmiast przyciągał wzrok. Ivar nigdy przedtem go nie widział, ale natychmiast się domyślił, że mężczyzna w średnim wieku w centrum grupy był królem, choć nie nosił korony. Nie potrzebował jej. Nosił swą władzę, niby płaszcz zarzucony na ramiona. Nie był odziany lepiej czy gorzej od innych, ksiązę wśród towarzyszy, ale skórzany pas, spinający go w talii, z wytłoczonymi symbolami sześciu księstw, składających się na królestwo Wendaru i Varre oraz wiele drobnych gestów otaczających go jeźdźców czyniło go primus inter pares, pierwszym pomiędzy równymi. Z grzbietu pięknej kasztanki przyglądał się mnichom i mniszkom, z których większość wpatrywała się w ziemię, aprobując ich pokorę.

Kiedy przejeżdżał obok nowicjuszy, jego wzrok spotkał się z Iwarowym. Król podniósł brew z zainteresowaniem lub naganą. Ivar zaczerwienił się i spuścił oczy.

Widział przesuwające się buty, słyszał głosy wielu ludzi, złączone w pieśni: królewskie Lwy miały zaszczyt maszerowania zaraz za królem. Zatrzymali się nagle i pieśń się urwała, zastąpiona ciszą pięknego jesiennego dnia, skrzypieniem skóry, pochrapywaniem koni, szczekaniem psa.

Ermanrich poruszył się i wyszeptał do Baldwina:

– Szkoda, że nie jestem bliżej.

Ivar, zaskoczony, spojrział w bok, jak Zygfryd. Ich pole widzenia było częściowo ograniczone przez Lwy, potężnych mężczyzn w zbrojach i złotych kubrakach z wyszytym czarnym lwem, ale za milites – żołnierzami – i szlachcicami król wyjechał naprzód, by powitać matkę Scholastykę, mając tylko Orła za towarzyszkę.

Matka również dosiadała wierzchowca, jak przystawało damie z królewskiego rodu, gdy wita brata; jechała na mule, którego szara sierść lśniła tak bardzo, że zdawała się niemal biała.

W granatowych szatach, ozdobionych tylko złotym Kręgiem Jedności wiszącym na szyi, z włosami okrytymi białym welonem i twarzą spokojną i niewinną, matka Scholastyka była równie królewska, jak jej starszy brat. Oczywiście, kobieta jej rangi nie mogła zsiąść z wierzchowca, by powitać kogokolwiek prócz skoposy, ale król też nie mógł tego uczynić. Henryk podjechał więc do niej i rodzeństwo skłoniło się ku sobie, całując się na powitanie w policzki.

– I gdybyś – ciągnął Ermanrich szeptem – zabrał trzcinkę brata Zasznurowane Usta...

Baldwin zaczął chichotać.

– ...i przyłożyłbyś nią klaczy po zadzie, jak myślisz, co by się stało?

Zygfyrd parsknął i szybko zakrył usta. Ivara tak opanowała Ermanrichowa wizja ośmieszenia króla albo matki Scholastyki, że zachichotał.

Wspomniana trzcinka ścięła go po tyłku, aż jęknął. Ermanrich stłumił wrzask, kiedy i jego przywołano do porządku.

– Cisza – syknął nauczyciel, stając za czterema chłopcami. Oczywiście, nie uderzył ani Baldwina, ani Zygfyda, który wyglądał, jakby czuł się okropnie winny, bo czyż nie śmiał się z żartu Ermanricha? Ivar przygryzł wargę i powstrzymał łzy; pośladki go piekły. Ermanrich jak zwykle uśmiechał się krzywo. Był niezwykle zamknięty i rzadko kiedy okazywał ból. Nauczyciel odchrząknął i Ivar szybko spojrział w dół, w momencie, kiedy król i jego siostra rozdzielili się, a służący chwycił muła za wodze, aby opatka i król mogli razem poprowadzić pochód do klasztoru.

Przed Iwarem przemaszerowały Lwy, potem reszta podjazdu, tupot nóg i kopyt, trzeszczenie wozów. W pobliżu miasta ludzie wykrzykiwali wiwaty na widok króla.

Tyłek wciąż Iwarowi dokuczał. Niemal czuł na karku oddech nauczyciela, ale ten w końcu odszedł. Nagle, niby od elfiego postrzału, zaswędziało go kark. Gdyby nie podniósł głowy, przeoczyłby ją.

– Liath! – prawie runął do przodu. Trzej chłopcy poderwali głowy. Baldwin gwizdnął cicho.

Liath! Nigdy by jej z nikim nie pomylił: ciemne włosy, złotobrazowa skóra, wysoki wzrost i szczupłe ciało. Nosila płaszcz i odznakę królewskich Orłów. Nosila odznakę królewskich Orłów! W jakiś sposób uwolniła się od Hugona.

Ukłuła go zazdrość, najgorsze z uczuć, jakie przeżywał. „Kto jej pomógł?” Nie chciał dzielić tego zwycięstwa, jej wdzięczności, z nikim innym. Czy sama się uwolniła? Na pewno nie. Hugo nigdy nie pozwoliłby jej odejść. Może Hugo nie żył; ale nawet ta myśl nie satysfakcjonowała Ivara. On, Ivar, syn Harla i Herlindy, miał być tym, który zabije Hugona albo – jeszcze lepiej – poniży go.

Kiedy wozy odjeżdżały, mógł tylko patrzeć na jej oddalające się plecy, na gruby warkocz sięgający do pasa. Przyglądała się uważnie szeregom zakapturzonych mnichów, którzy skromnie schylali głowy, aby nikt nie dojrzał ich twarzy. Wiedziała, że tu był, prawda? Na

pewno pamiętała, że wysłano go do Quedlinhamu tylko dlatego, że próbował jej pomóc.

Patrząc, jak odjeżdżała, nieomal płakał, a jednocześnie przepełniała go taka radość, że był pewien, iż od niego aż biła. Teraz, minawszy ostatnią linię służących, przestała się przyglądać. Spojrzała prosto przed siebie, utkwiała wzrok w jakimś niewidocznym punkcie, może w wieżach kościoła, których złote kopuły błyszczały w słońcu. Zniknęła, kiedy królewski orszak wjechał do Quedlinhamu, a tabor – wozy, produkty, służący, konie, namioty, meble, cała olbrzymia kawalkada towarzysząca królowi – przetoczył się, kurząc mu w twarz.

Ciągle za nią patrzył, wyzywająco unosząc głowę tak długo, jak przesuwiał się orszak, ze służbą dworaków na końcu. Przeszukiwał ciżbę, rozglądając się za Hanną. Hanna przysięgła trwać przy Liath. Ale nie było po niej śladu.

Uderzenie trzcinką zaskoczyło go. Tym razem dostał po ramionach i krzyknął głośno, tak zabolalo.

– To nieprzyzwoite, żeby się tak gapić – powiedział zimno nauczyciel. – Zwracasz na siebie uwagę.

Ivar powstrzymał się od odpowiedzi. Teraz nie mógł się złościć. Musiał planować. Liath przyjechała do Quedlinhamu i choć nowicjusze nieczęsto wychodzili poza dormitorium i dziedziniec, choć zawsze ich strzeżono, znajdzie sposób, aby powiadomić Liath, że tu jest. Znajdzie sposób, by ją zobaczyć, porozmawiać z nią. Dotknąć jej.

Nawet myśl o tym była grzechem.

Ale miał to w nosie.

Przejechał ostatni wóz. Mnisi i mniszki ustawili się za królewskim orszakiem. W Quedlinhamie zabrzmiały dzwony. Ktoś na przedzie zaczął śpiewać i inni dołączyli się, zmierzając ku miastu.

*Boże, ustanów króla mocą Twej sprawiedliwości,
Nadaj Twe prawo królewskiemu dziedzicowi,
Aby on dobrze rządził Twoim ludem
I sprawiedliwy był dla biednych i cierpiących.*

Droga stała się już kłębem wirującego, dławiącego kurzu, który wzniecała jeszcze histeryczna banda mieszczan, biegnąca za mnichami. Ich podniecenie samo w sobie było żywym stworzeniem, wielkim, niebezpiecznym i radosnym. Czyż nie był to król? Później miała się odbyć ceremonia, gdy król obmyje się i powita w odosobnionych komnatach swą świętą matkę. Królowa Matylda nie miała sił na publiczne powitanie. A potem odprawiona zostanie msza w kościele, do którego wepchnie się tylu ludzi, ile zdoła, aby ujrzeć króla w ceremonialnych szatach i koronie, otoczonego nimbem władzy, jego uświęcona obecność przypomni o łasce Boga i ziemskiej władzy Henryka. Po jutrzejszej uczcie na świętego

Walentyna mieszczenie będą mogli poskarżyć się królowi, ponieważ zostanie w mieście aż do Wszystkich Świętych. Dopiero wtedy on i jego orszak odjadą do Lasu Thurińskiego, gdzie zapolują. Ivar zazdrościł im wolności polowania.

Ale miał swe własne łowy. Na pewno, w podnieceniu następnych trzech dni, Zasznurowane Usta straci swą czujność. Zapomni o dokładnym pilnowaniu. I w jakiś sposób Ivar skontaktuje się z Liath.

4.

Liath przepatrywała szereg mnichów wzdłuż drogi, ale ich głowy pozostały schylone, twarze ukryte. Wjechała więc do Quedlinhamu, przejechała przez miasto krętą drogą, która prowadziła na szczyt wzgórza, gdzie grube mury chroniły mnichów i zakonnice przed pokusami świata; tak powiedział jej tato. Czy był on tu kiedyś braciszkiem?

Za bramą klasztoru służący odebrali konie i poprowadzili je do stajni. Skoczyła za nimi, zerwała sakwy z konia i przerzuciła je przez ramię – a potem usłyszała swe imię ponad odgłosami koni i wozów.

– Liath! – krzyknęła Hathui.

Liath przepchnęła się przez tłum, unikając psa rwącego się na smyczy, wdepnięcia w kupę świeżego nawozu i poczekała, aż szlachcianka, nadal dosiadająca szarego wałacha, przejedzie przed nią.

– Chodź. Mamy towarzyszyć królowi. – Hathui wygładziła tunikę i wyprostowała brązową odznakę spinającą płaszcz. Potem zmarszczyła brwi. – Powinnaś zostawić rzeczy przy koniu. Myślę, że w klasztorze będą bezpieczne!

Liath uśmiechnęła się fałszywie.

– Ja nie myślałam. Po prostu je złapałam.

Hathui uniosła brew. Nie była kobietą, która dawała się łatwo wyprowadzić w pole.

– Co masz tak cennego w tej sakwie, że nigdy z niej oka nie spuszczasz?

– Nic! – Oczywiście, powiedziała to zbyt szybko. Poprawiła torby na ramionach, przesuwając wewnętrzną kieszeń, która poplątała się z kołczanem. – Nic ważnego dla nikogo poza mną. Coś, co tato mi zostawił. Jediną rzecz, jaka mi po nim została.

– Tak, mówiłaś to już – odparła Hathui tonem osoby, która nie wierzy w to, co usłyszała.

– Ale jeśli Wilkun nie ma nic przeciwko, to ja też nie. Rozmówi się z tobą, kiedy wróci.

Co, dzięki Pani, może nastąpić za wiele miesięcy. Choć strasznie tęskniła za Hanną, Liath nie żałowała, że nie ujrzy Wilkuna aż do przyszłego roku, kiedy on i Hanna przekroczą góry i wrócą z Darre na dwór królewski. Lubiła Wilkuna, ale bała się mu zaufać.

Mnisi wchodzili przez bramę. Rozejrzała się za bladą, znajomą twarzą Ivara.

– Chodź, Liath, chodź. My czekamy na króla. Król nie czeka na nas. Na co się tak gapisz?

Liath strząsnęła dłoń starszej kobiety i poszła za nią przez dziedziniec. Przed nimi król i

jego zaufani towarzysze zgromadzili się przy schodach prowadzących ku portalowi kościoła.

– Znam kogoś, kto jest tu nowicjuszem...

– Ivara, syna hrabiego Harla i lady Herlindy.

Liath rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Skąd wiesz?

– Hanna mi powiedziała. Opowiedziała mi wszystko o Ivarze, swym młecznym bracie.

Poczuła ukłucie zazdrości, że Hanna tak się zaprzyjaźniła z tą twardą kobietą z marchii. Liath lubiła Hathui, ale nigdy nie czuła się przy niej swobodnie. Nie odważyła się zaufać nikomu po śmierci taty. Prócz Hanny nikomu teraz nie ufała. Może oprócz Ivara, jeśli potrafi go znaleźć.

Nikomiu, prócz Sanglanta – a on nie żył.

– Nie był mi przeznaczony, nawet gdyby żył – wyszeptała.

– Co? – spytała Hathui. Liath pokręciła głową, nie odpowiadając. – Hanna mówiła, że Ivar cię kochał – dodała Hathui zmienionym głosem. – Czy nadal czujesz się winna, że frater Hugo skazał go na życie mnicha, choć chłopak tego nie pragnął? Tylko dlatego, że wszedł Hugonowi w drogę?

– Hanna wiele ci opowiedziała – rzekła Liath zdławionym głosem.

– Jesteśmy przyjaciółkami. Tak jak i my mogłybyśmy, ale jesteś tak dziwnym, odległym stworzeniem, bardziej zbłąkanym duchem niż kobietą... – Hathui urwała, nie dlatego, że nie chciała urazić Liath: Hathui zawsze mówiła, co myślała i nie chciała nikogo urazić, ale ponieważ dotarły do króla. Król Henryk dostrzegł Hathui i gestem nakazał jej, by szła za nim, gdy wchodzili do kościoła. Liath potknęła się o własne stopy, starając się ich dogonić, nie znając innego miejsca niż u boku Hathui. Pomiedzy tyłoma szlachcicami mogła istnieć w spokoju, bo dla nich była jedynie dodatkiem do króla, jak korona, berło czy tron, a nie żywą osobą, którą zauważali. Była tylko Orłem, posłańcem, kierowanym kaprysem króla.

Hanna miała prawo mówić Hathui, co chciała, miała prawo uznawać ją za przyjaciółkę. Wilkun, Hathui i nieszczęsny, nieżyjący Manfred – troje Orłów, które wybawiły ją od Hugona – na pewno znali lub domyślili się prawdy o jej związku z Hugonem, wiedzieli, że grzał ją w swym łóżku, choć był fratrem zaślubionym Kościołowi, że zrobił jej dziecko, a potem pobił niemal na śmierć, bo mu się sprzeciwiła, tak że poroniła. W końcu, złamana wyczerpaniem i strachem, oddała mu *Księgę tajemnic* i wszystko, co ta symbolizowała: poddała mu się.

Ocaliło ją jedynie przybycie Wilkuna i dwojga jego towarzyszy. Oni ocalili ją przed Hugonem; nie uciekła mu. Liath spojrzała na plecy Hathui, kroczącej tuż za królem. Hathui zawsze okazywała Liath szacunek i nigdy nią nie pogardzała, choć wiedziała, że ta była niewolnicą i konkubiną księdza. Hathui może i była tylko córką kmiecia, ale chłopcy z marchii słynęli z dumy. Sam król uznał za stosowne okazać Hathui swe łaski. Podczas czterech miesięcy, jakie Liath spędziła na dworze królewskim, widziała, jak często król wzywał do

siebie Hathui, jak od czasu do czasu pytał ją o radę. To był rzeczywiście niezwykle zaszczyt dla kobiety wywodzącej się z prostych chłopów.

Tak, Hanna jak najbardziej miała prawo uznawać Hathui za przyjaciółkę. Ale Liath czuła nieustanny lęk: a jeśli Hanna woli Hathui? A jeśli mniej kochała Liath, coraz bardziej lubiąc Hathui? To było wstrętne, niedobre podejrzenie co do Hanny i Hathui. Liath nawet teraz słyszała, co powiedziałby tato, gdyby żył, a ona mu się zwierzyła: „Krzak róży może zakwitnąć więcej niż raz”.

Ale tato nie żył. Zamordowano go. I została jej tylko Hanna. Desperacko nie chciała jej stracić. „Nie ma co się martwić o osła”, powtarzał tato, „który stoi spokojnie w stajni, kiedy ty musisz ocalić przed lisem zagubione kurczęta”.

W tym momencie Hathui spojrzała na nią przez ramię i uśmiechnęła się krzepiąco. Weszły do kościoła. W nawie było zaskakująco jasno, w długim, przestronnym korytarzu, którego sufit zdobiły drewniane kasetony. Podwójny rząd łukowych okien, umieszczonych wysoko na ścianie ponad kolumnadą, zapewniał światło. Orszak podążył do przodu, aby Henryk i jego siostra mogli uklęknąć przed Paleniskiem. Liath podziwiała równoległe rzędy kolumn, dwie okrągłe przedzielone jedną kwadratową, aby wydzielić główną nawę. Orły, smoki i lwy zdobiły kapitele, starannie wyrzeźbione w kamieniu; te symbole władzy służyły do przypomnienia gościom i postulantom, kto tu rządził, pierwszy po Bogu. Podłogę wyłożono jasnym, żółtobezowym granitem. Próbowwała, przesądna, nie stąpać po szparach w połączeniach płyt.

Król wspiął się na schody kończące nawę i ukląkł przed Paleniskiem. Liath uklękła z innymi, z których wielu zostało zmuszonych do zajęcia wyjątkowo niewygodnej pozycji na schodach. Jej kolano przygniotło płaszcz Hathui, więc biedaczka nie mogła się pochylić, ale w kościele zapadła taka cisza, że Liath nie odważyła się poruszyć, by uwolnić materię od swego ciężaru.

Matka Scholastyka wypowiadała modlitwę, na którą odpowiadali zebrani szlachcice. Liath nie mogła oderwać oczu od Paleniska, gdzie błyszczący relikwiarz, cały wycięty z bloku kryształu i wyrzeźbiony na kształt sokoła, spoczywał obok dłoni matki Scholastyki. W pobliżu relikwiarza leżała księga tak bogato zdobiona klejnotami i pozłacana, że zdawała się świecić.

Pobłogosławiony i poświęcony, Henryk wstał, zrzucił płaszcz w ręce czekającego służącego i skinął na Hathui oraz dwoje najbardziej zaufanych doradców: jednorękiego Helmuta Villama i kleryczkę, Rosvitę z Korvei. Hathui skinęła na Liath i dwie Orlice podążyły za notablami, którzy zeszli ze schodów i opuścili kościół mniejszymi drzwiami, prowadzącymi do prywatnych kwater matki opatki i jej sług.

W niczym nie wyróżniającym się pokoju tuż za prywatnym dziedzińcem opatki król Henryk uklęknął przy niskim łóżku, na którym leżała jego matka. Ucałował jej dłoń na powitanie, jak każdy syn szanujący rodzicielkę.

– Matko.

Delikatnie dotknęła jego powiek.

– Płakałeś, moje dziecko. Skąd ta żałość? Czy ciągle oplakujesz chłopca?

Ukrył twarz nawet przed nią, jednak nie na długo. Żądań matki trzeba usłuchać. W końcu schował twarz w kocu z szorstkiej wełny – odpowiednim dla zwykłej zakonnicy, ale na pewno nie dla królowej – i zapłakał z żalu, podczas gdy inni odwrócili wzrok.

W obecności króla wszyscy klęczeli. Liath, z tyłu, obserwowała ich twarze. Hathui wpatrywała się bez mrugnięcia w kamienną posadzkę celi, mając na twarzy szacunek i współczucie. Stary margrabia, Helmut Villam, otarł łzę z policzka. Matka Scholastyka zmarszczyła się z niechęcią – nie na widok płaczącego mężczyzny, bo oczywiście zdolność łatwego i szczerego okazywania żalu była królewską cnotą, tylko patrząc na olbrzymi żal, który Henryk wciąż nosił w sobie po śmierci syna, będącego, mimo wszystko, tylko bękartem. Inteligentna twarz kleryczki pozostawała bez wyrazu, ale spojrzała na Liath, jakby poczuła na sobie jej wzrok, a Liath natychmiast opuściła oczy. „Nie pozwól, by cię zauważyli”, powtarzał tato. „Bezpieczniej jest się ukrywać”.

– Już, dziecko – powiedziała stara królowa. Choć jej ciało było słabe, a głos drżący, duch najwidoczniej nie ugiął się pod jarzmem choroby. – Osusz łzy. Pół roku minęło od śmierci chłopca i to śmierci z honorem, prawda? Czas pozwolić mu odejść. Mamy przecież dzień zmarłych. Pozwól mu odejść, niech jego duch wstąpi, jak należy, przez siedem sfer, aż w końcu odpocznie w błogosławionej Komnacie Światła. Twój żal wiąże jego duszę z ziemią.

– To pogańskie słowa – syknęła matka Scholastyka.

– Czyż to nie pogańskie święto, choć nadaliśmy mu daisaniczną nazwę? – odparła królowa. Wcześniej zameżna, urodziła co najmniej dwoje dzieci, nim była w wieku Liath, tak przynajmniej obliczyła dziewczyna. Była co najwyżej czternaście lat starsza od Henryka, swego pierworodnego. Jej włosy, odsłonięte w prywatności celi, nadal miały kilka brązowych pasemek pomiędzy białymi. Choroba, która ją toczyła, wynikała nie tyle z wieku, co dolegliwości cielesnych. – Ciągle mówimy o dniu zmarłych i modlimy się do wszystkich świętych, kiedy wielkie prądy niebios przybliżają do siebie żywych i zmarłych, tak bardzo, że moglibyśmy nawet się dotknąć, gdybyśmy umieli patrzeć.

Liath stłumiła szloch. Kiedy słuchała starej królowej, przypomniła sobie tatę tak wyraźnie, że nieomal, kątem oka, mogła go dostrzec obok siebie.

– To forma szacunku – ciągnęła stara kobieta – o którą, jak sędzę, Bóg się na nas nie pogniewa.

Matka Scholastyka skłoniła posłusznie głowę, bo choć była panią Quedlinhamu i matką wszystkich zakonnicy, w tym Matyldy, była też jej córką. Matylda, niegdyś królowa, nadal zachowała władzę i tytuł, choć już nie zasiadała na tronie.

– Henryku, musisz pozwolić mu odejść albo będzie błąkał się tu po wsze czasy, uwięziony przez twój żal.

– A jeśli on nie może umrzeć jak my? – zapytał Henryk ochryple. – A jeśli krew jego matki nie pozwala mu wstąpić do Komnaty Światła? Jeśli skazany jest na wieczne błądzenie po ziemi pod postacią cienia? Czy nigdy się nie połączymy w świętym blasku Światła?

– Rolą Pana i Pani jest osądzać – powiedziała ostro matka Scholastyka – a nie naszą kłopotać się o to bez ustanku. Wiele ksiązek napisano na temat, czy Zaginieni mieli dusze, ale to nie miejsce i czas, by nad tym debatować. Chodź, Henryku. Męczysz naszą matkę.

– Nie – odparła stara królowa. – Nie jestem zmęczona. Jeśli opowiesz mi o swym żalu, Henryku, może go złagodzisz. – Spojrzała po nich wzrokiem bystrzejszym, niż Liath się spodziewała po kobiecie przykutej do łóżka. – Villam tu jest.

Liath nagle uświadomiła sobie, że Helmut Villam był rówieśnikiem królowej Matyldy. Mimo utraty ręki posiadał żywotność osoby znacznie młodszej. Margrabia podszedł, pocałował jej dłoń i odszedł. Królowa pozdrowiła Rosvitę, zamykając jej dłonie w swoich na znak przyjaźni.

– Jak się ma moja *Historia*? – zapytała z łagodnym uśmiechem.

Uśmiech kleryczki był krótki, lecz słodki.

– Mam nadzieję ukończyć pierwszą księgę w tym roku, Wasza Wysokość, abyście mogła ją przeczytać i poznać wspaniałe czyny pierwszego Henryka i jego syna, Starszego Arnulfa.

– Nie ociągaj się, siostrzyczko, bo twe słowa niezwykle mnie ciekawią, a obawiam się, że już niedługo zabawię na ziemi.

Rosvita skłoniła się, dotykając czołem pomarszczonych dłoni królowej. Potem wstała i odsunęła się.

– A to kto? – spytała królowa, patrząc na Orlice.

Henryk spojrzał w tył. Wydawał się zaskoczony. Potem dostrzegł Hathui.

– Moja wierna Orlica – powiedział krótko. Popatrzył za Hathui: Liath zadrżała, gdy jego władczy wzrok spoczął na niej. Przez moment przypominał wzrok Hugona, przesywający, władny; jak błyskawica, która mogła ją spopielić. Jednak Henryk tylko ją zauważył i nie zwrócił szczególnej uwagi. – Ona była w Gencie. Razem z Wilkunem widziała zniszczenie Smoków i śmierć... – Głos mu się załamał, niezdolny do wypowiedzenia imienia utraconego syna.

– Razem z Wilkunem – powiedziała królowa w zamyśleniu, jakby to imię coś dla niej znaczyło. Liath wpatrywała się w szary kamień, jego nierówną powierzchnię i grube ziarno. Tej skromnej mnisiej celi nie zdobiły polerowane marmury ani granit. – Podejdz, dziecko.

Nie odmawia się królowej, nawet jeśli nałożyła habit, nie, kiedy mówiła takim tonem. Liath podniosła się i dała siedem małych kroków, a potem znów uklękła. Dopiero wtedy podniosła wzrok.

Szare oczy, chłodne jak zimowe burzowe chmury, a jednak pełne spokoju, napotkały spojrzenie Liath.

– Jesteś być może jakąś krewną Konrada Czarnego? – spytała królowa Matylda. –

Nigdzie indziej nie widziałam podobnego kolorytu, może tylko w... – wykonała szybki gest dłonią, przecięcie powietrza palcami. Matka Scholastyka podniosła się i opuściła celę. Henryk wciąż ścisnął matkę za rękę leżącą spokojnie na wełnianym kocu. Matylda miała najdelikatniejsze nadgarstki, jakie Liath widziała u dorosłego. Jej małe dłonie były zniszczone od pracy, ponieważ królowa słynęła z tego, iż służyła wraz ze zwykłymi zakonnice, tak wielka była jej pokora. – Nie jesteś krewną?

Liath pokręciła głową, nie ufając gardłu.

– Byłaś w Gencie?

Przytaknęła. Pani, błagam, niech jej ta wiedza wystarczy; niech nie każe Liath znów opowiadać tej strasznej, rozrywającej serce historii, niech nie każe jej znów tego wszystkiego przeżywać; ostatniej wizji w ogniu, Sanglanta ugodzonego toporem Eiki i Krwawego Serca radującego się nad jego ciałem, wyciągającego w zakrwawionej dłoni złoty torques, symbolizujący królewskie pochodzenie księcia.

W tejże chwili Liath uświadomiła sobie, że królowa Matylda nie nosiła złotego torquesu, w przeciwieństwie do syna i córki. Ale nie urodziła się w królewskich rodach Wendaru i Varre. Weszła do rodziny przez małżeństwo. Teraz, pod spokojnym, szarym, ale przenikliwym spojrzeniem Liath nie mogła sobie przypomnieć, skąd pochodziła Matylda, z jakiego rodu, jakiego kraju – tyle tylko, że rządziła krajem u boku Arnulfa, była jego drugą żoną i że teraz przyglądała się Liath z zaciekawieniem i odrobiną zrozumienia.

– Znałaś Sanglanta – powiedziała.

Liath kiwnęła głową, bojąc się nie odpowiedzieć. „Kochałam Sanglanta”. Ale księżę nie był dla niej; nawet Wilkun go od niej odganiał. „Tą drogą nie odważę się pójść”, powiedział Sanglant, bo czyż nie był posłusznym synem? „Bądź spętana, jak ja, przeznaczeniem, które inni dla ciebie wybrali. W ten sposób będziesz bezpieczna”.

Ale przeznaczenie, które wiązało Sanglanta, kapitana Smoków i królewskiego bękartą, było niczym w porównaniu z przeznaczeniem, z którym walczyła, którego więzów nawet nie znała. Całe szczęście, pomyślała gorzko, że zginął. Bezpiecznie było kochać tylko tych, którzy nie żyli.

Wyraz twarzy ją zdradził.

– Ostatnia – powiedziała królowa, pojmując wszystko. – Jeśli nie pierwsza. Na tyle ładna, aby każdy zrozumiał, czemu go kusiło. Wystarczy, dziecko. Możesz odejść.

Liath była upokorzona. Zostać rozszyfrowana, przejrzana tak łatwo, przez kobietę, która jej nawet nie znała! Henryk wpatrywał się żałośnie w przeciwległą ścianę, obojętnie obracając sygnet na palcu, nie zwracając uwagi. Villam wyszedł na słońce. Tylko Hathui i Rosvita wszystko widziały. Być może królowa przemówiła zbyt cicho, by usłyszały. Liath posłusznie spuściła głowę i wycofała się, wciąż na kolanach, w bezpieczny cień Hathui.

Ale królowa – dziewczyna sprowadzona z dalekiego kraju, by poślubić starszego i pewnie obojętnego jej mężczyznę – na pewno musiała się nauczyć studiować twarze i odczytywać

intrygi w każdej zmarszczce i grymasie. W końcu osadziła swojego syna na tronie Wendaru i Varre, mimo żądań jego starszej siostry przyrodniej – jedyne żyjącego dziecka Arnulfa z pierwszego i, jak twierdzili niektórzy, bardziej prawego związku. Nie należało nie doceniać Matyldy, niezależnie od tego, jak słaba była teraz.

Liath pozwolono odejść, choć Hathui została z królem, a ten wyglądał na zdecydowanego spędzić trochę czasu z matką. Na zewnątrz nikt nie kazał jej biegać na posyłki ani nosić głupich wieści. Oczywiście nie miała wstępu do głównego klasztoru, ale kiedy dwór królewski zjeżdżał do Quedlinhamu, nie sposób było powstrzymać gości od spacerowania po terenach i ogrodach klasztornych. Wspięła się na mur i znalazła punkt, z którego widziała całą fundację.

Wszystkie klasztory – czy to męskie, czy żeńskie – budowano na tym samym planie ogólnym, sporządzonym trzy stulecia temu przez świętą Benedyktę, założycielkę Reguły. Liath widziała plany różnych klasztorów, a kiedy coś ujrzała i zapisała w pamięci, odnalezienie informacji zajmowało chwilę. „Matylda”. Przeszukała miasto pamięci. Za bramą ozdobioną Tronem Cnoty znajdowały się sale królestwa. Znalazła tę ozdobioną smokiem, lwem i orłem Wendaru i weszła. Henryk siedział samotnie na tronie, bo jego królowa, Sophia, umarła. Za nim, oddzielona zasłoną, leżała komnata Arnulfa młodszego, mającego po prawej swą pierwszą żonę, Berengarię z Varre, a po lewej Matyldę. Siedzący posąg Matyldy trzymał w prawej dłoni zwój z imionami dziewięciorga dzieci, a w lewej, oznaczającej pochodzenie, mały sztandar z wyszytym godłem królestwa Karrone.

Liath cofnęła się do sali Karrone. Tam, pomiędzy zmarłymi i żyjącymi członkami rodziny królewskiej, wykutymi w kamieniu, znalazła Matyldę. Wnuczka Berty, księżniczki i późniejszej królowej Karrone, pierwszej, która wypowiedziała wasalstwo Salii i koronowała się na królową. Córka jedyne go syna Berty, Rodulfa, najmłodszego z pięciorga dzieci zasiadających na tronie wedle sukcesji. Ponieważ widziała kroniki mnichów od świętego Galia, Liath mogła nawet przypomnieć sobie daty ich panowania i śmierci. Rodulf rządził od roku 692 do 710. Po jego śmierci o tron Karrone ubiegało się dwoje następców: jego siostrzenica Marozia i wnuk, Henryk. Marozia objęła panowanie na mocy prawa bliższego pokrewieństwa, a Henryk, dopiero co koronowany król Wendaru i Varre, był jeszcze zbyt słaby, by z nią walczyć. W zamian ożenił swego młodszego brata Benedykta z jej córką, też Marozia; ta para rządziła teraz górzystym królestwem Karrone jako królowa i król małżonek.

Liath pamiętała to wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy. Tylko w głównej wieży, najwyższym miejscu miasta, były drzwi, których nie mogła otworzyć – za nimi znajdowały się tajemnice taty, których jej nie zdradzał. Potrząsnęła niecierpliwie głową i rozejrzała się po klasztorze, poszukując małego budynku z własnym dziedzińcem, położonego z dala od innych: nowicjatu.

W końcu nowicjusze będą musieli z niego wyjść, aby się modlić, zaspokoić potrzeby fizjologiczne, pracować. Reguła nakazywała, by wszystkie mniszki i mnisi spędzali część

dnia na pracy fizycznej, „ponieważ wtedy są naprawdę pracownikami Pańskimi, gdy żyją z pracy własnych rąk”.

Usiadła i czekała na promienie ciepłego jesiennego słońca, otulając się ściśle płaszczem. Zadygotała, czując nagły powiew zimnego wiatru na karku i ogarnęła ją niezrozumiała panika, serce jej waliło, oddech się rwał, a dłonie drżały jak w napadzie padaczki. Ale Hugona tu nie było. Nie było. Nadal miała książkę, a do tego broń. Aby się uspokoić, dotknęła ich jak talizmanów: krótkiego miecza spoczywającego na lewym udzie; noża zatkniętego w pochwie; łuk, kołczan i strzały przyjemnie obciążały plecy.

Na Panią! Na pewno była teraz bezpieczna przed Hugonem.

Drzwi rozwarły się i podwójny szereg ubranych na brązowo nowicjuszy, z pokornie spuszczonej głowami, wyszedł i pomaszerował kamiennymi, a potem wydeptanymi ścieżkami do ogrodów. Liath poderwała się i poszła za nimi. Niektórzy szlachcice wylegiwali się na jesiennej trawie i podziwiali późne kwiaty w herbarium; w przeciwieństwie do Liath ignorowali nowicjuszy – wszyscy, prócz dziewczyny o słomianych włosach, w której Liath rozpoznała Tallię.

Kiedy szereg nowicjuszy mijał Tallię, ta padła na kolana i pochyliła głowę w modlitwie. Liath uważała pobożność dziewczyny za drażniącą i przesadną, ale inni ją wychwalali. Liath zbyt dużo czasu spędziła w drodze, by zachwycać się tym, że Tallia niszczyła swe suknie, myjąc nimi Paleniska w kościołach, ścierając sobie dłonie do krwi. Szlachcianka, która miała wiele sukien, mogła sobie pozwolić na podobne fanaberie, ci, którzy nie mieli nic, nie. Tallia mogła pościć przy każdej okazji i odmawiać sobie mięs, słodczy i przysmaków, ale przynajmniej miała czego sobie odmawiać. Liath podróżowała z tatą przez osiem lat. Widziała twarze wychudzone głodem, bo żniwa były liche; widziała dzieci wygrzebujące z piachu cenne ziarna pszenicy, żyta i owsa.

Niektórzy spośród nowicjuszy zwracali uwagę na szlachtę. Podnosili głowy, zaciekawieni – jak ona byłaby zaciekawiona na ich miejscu. Pilnujący nauczyciel przechodził wzdłuż szeregu i wymierzał razy trzcinką. Przekopywali ogrody, w których część ziemi była jeszcze sucha i spękana po lecie, a część świeża i wilgotna tam, gdzie nowicjusze ją wczoraj wrzucyli. Motykami, szpadlami i łopatami rozpoczęli kopać to, co zostało.

Liath zeszła po stromych kamiennych schodach i zaczęła krążyć po terenie. Tallia podeszła na skraj ogrodu i Liath dostrzegła, jak błagała nauczycielkę – bo w ogrodzie pracowali zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, choć na jego przeciwległych krańcach, jak należało. Po chwili nauczycielka uległa i wręczyła Tallii szpadel. Dziewczyna szybko przeskoczyła niski murek, oddzielający zioła od warzyw i z większym entuzjazmem niż wprawą zaczęła kopać u boku innych nowicjuszek, obojętna na plamy pojawiające się na obrąbku i kolanach jej złocistej lnianej szaty.

Liath zatoczyła krąg i stanęła na wschód od nowicjuszy, udając, że przygląda się wieżom kościoła. Zajęła się płaszczem, błyskając szkarłatnym obszyciem.

Nagle go dostrzegła, złapanego ze wzrokiem w niej utkwionym i szpadlem wbitym w ziemię. Szturchnął chłopaka obok. O Pani! Nawet z tej odległości Liath widziała, że jego towarzysz był niezwykle przystojny. Przystojniak szturchnął kolejnego, a ten następnego, aż wreszcie gapiły się na nią cztery pary oczu.

Ivar! Wpatrywał się w nią w oszołomieniu przez długie chwile, a potem wyprostował się, wyrwał szpadel z ziemi, jakby zamierzał podbiec i powitać ją – a potem znów się zgarbił i wbił narzędzie w glebę. Jak wszyscy, posłuszni zapracowani nowicjusze, w momencie, kiedy mijali ich nauczyciel z trzciną, który najpierw popatrzył na nich, a potem na Orlicę, która robiła z siebie przedstawienie tak blisko chronionych nowicjuszy.

Rozmowa z Ivarem będzie niemożliwa.

Niemożliwa.

W tejże chwili dojrzała długi, wąski budynek z wieloma drzwiami, daleko od klasztoru: latryny. Nawet święci mnisi musieli podporządkować się potrzebom ziemskiej powłoki. Popatrzyła na Ivara. Jedną ręką wbijał szpadel w grunt, bez skutku, ale sprawiając wrażenie, jakby pracował, a drugą dawał znaki. Choć tato nauczył ją języka znaków, używanego przez mnichów i zakonnice, stała zbyt daleko od Ivara, by odczytać, co mówił, a nie odważyła się podejść bliżej, bo nauczyciel już ją zauważył. Zamiast tego, wiedząc, że Ivar ją obserwował, ostentacyjnie wyciągnęła ramię nad głową i powoli opuściła je, aż jej dłoń wskazała latryny. A potem odwróciła się i pomaszerowała do długiego budynku.

Wybrała drzwi na chybił trafił – nie na końcu, nie w środku – szarpnęła je, zatrzymała się, by Ivar ją zauważył i weszła na drewnianą platformę, zamykając się w ciemności.

Bogini! Jak tu cuchnęło moczem i ekskrementami! Ale miała miejsce, by się obrócić, a także, ponieważ to był królewski klasztor, posypaną piaskiem deskę z dziurą wyciętą pośrodku. Usiadła na jej skraj, uważając, aby majtający się koniec płaszcza nie wpadł do dziury i zakryła nim usta i nos. Tak odgradzona trochę przed smrodem ludzkich odchodów przez zapach dobrej, czystej wełny, czekała.

Czekała długo, tak długo, że smród przestał jej bardzo przeszkadzać, a pojedyncze odgłosy, kiedy drzwi się otwierały, a ludzie – mnisi, mniszki, dworzanie – załatwiali się, zaczęły układać się w monotony rytym. Nagle ktoś pociągnął za sznur na drzwiach. Cofnęła się w mrok, kiedy się otwarły.

Odziana w brąz postać szybciotko wślizgnęła się do środka. Liath wstała, a ponieważ przestrzeń między drzwiami a deską była tak wąska, a jej lewa noga zdrętwiała, zatoczyła się. Ivar złapał ją i mocno do siebie przycisnął. Kaptur mu opadł. Stała tam, sztywna i otepiała, a on zaczął powtarzać jej imię, jakby nie znał innych słów i pocałował najpierw jej szyję, a potem, kiedy się opanował, ucho, policzek i w końcu usta.

– Ivar – wsunęła dłoń między ich ciała. Był wyższy, niż go zapamiętała, pełniejszy, szerszy w ramionach. Jego uścisk – obcy i jednocześnie bardzo znajomy – przypomniał jej o dawno minionych nocach w Spokoju Serca, kiedy ona, on i Hanna śmiejąc się, uciekali przed

burzą i chronili się w stajniach gospody. Ale mieli tak mało czasu. – Ivar! – powiedziała nagląco, odsuwając się.

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz – szepnął, wilgotnymi wargami dotykając jej skóry. – Powiedz, że za mnie wyjdiesz, Liath, a znajdziemy sposób, by stąd uciec i pojedziemy w świat. Nic nas nie powstrzyma. – Wziął głęboki oddech, by mówić dalej, ale stęknął. – O Boże! Co za smród!

Stłumiła śmiech w szorstkim materiale jego habitu; ukrył twarz w jej włosach. Po chwili płakali cicho. Otoczyła ramionami jego tors i mocno się przytuliła. Nie miała rodziny, nie został jej nikt prócz Ivara i Hanny.

– Oj, Liath – wyszeptał. – Co my zrobimy? Co zrobimy?

5.

Noc nadeszła jak zwykle, po tym czy po następnym dniu, nie wiedział. Nie miał już żadnego poczucia czasu, czuł tylko kamień pod sobą, deszcz – lub jego brak – na dachu, psy warczące wokół, niewolników wykonujących polecenia, zgarbionych i przerażonych, oraz Eików wchodzących i wychodzących z katedry, zawsze w ruchu. Czasami zostawiali go samego na dni i noce, których już nie mógł zliczyć, bo na zewnątrz wciąż był świat, choć on już zapomniał, jak wyglądał. Większość psów odchodziła z nimi, choć garstka zawsze z nim zostawała. Nigdy nie był naprawdę sam. Może i lepiej, że nigdy nie był naprawdę sam. Bez psów zapomniałby, że naprawdę istniał.

Czasami, kiedy go opuszczali, jedynie gapił się w pustkę albo na wzory na marmurze, żyłki biegnące w nicość, albo na blizny na rękach i nogach, w różnych stadiach gojenia, niektóre nadal krwawiące, inne zaróżowione, jeszcze inne swędzące, reszta biała po zaleczonych ranach.

Czasami opanowywała go tak porywająca energia, że zataczał kręgi w zasięgu łańcuchów, rzucał się, biegał w miejscu albo walczył z urojonym przeciwnikiem wyimaginowanym mieczem czy oszczepem, stare ćwiczenia, które opanował tak dobrze, że ciało znało je na pamięć, choć on teraz nie potrafił już nazwać ruchów. Tylko łańcuchy go powstrzymywały. Zawsze go powstrzymywały, żelazna obroża, ciężkie okowy rozrywające kostki i nadgarstki.

– Dlaczego jeszcze nie umarłeś? – dopytywał się z irytacją Krwawe Serce, gdy wracał, albo w poranki, gdy światło wlewało się przez otwarte drzwi i witraże lśniły historiami ze Świętych Ksiąg: błogosławiony Daisan i siedem cudów; *Wizja świętej Tekli*; świętego Mateusza *Wizja Otchłani*; *Objawienie świętej Joanny*: „Tam są psy i mordercy, cudzołźnicy i czarownice, wszyscy, którzy lubują się w kłamstwie; tylko ci, których szaty są czyste, przestąpią bramy błogosławionego miasta”.

Psem był teraz. Mordercą nazwała go kiedyś matka młodego szlachcica, który zbuntował

się przeciw władzy królewskiej i za bunt zapłacił życiem swoim i swych popleczników; bez wątpienia rodziny barbarzyńców atakujących granice Wendaru i zabitych w uczciwej walce przez jego Smoki też go za takiego uznawały, ale nigdy nie przybyły na dwór, by rozmawiać z nim lub z królem. Cudzołożnik – no cóż, nie żałował ani jednego stosunku z kobietą i nigdy nie słyszał, aby one żałowały.

Użyłby czarnoksiężstwa, by wyrwać się z tej męczarni, gdyby tylko wiedział jak. Ale o tym darze, który ponoć lud jego matki miał we krwi, nic nie wiedział. Porzuciła go, więc przyjął dziedzictwo ludu swego ojca. Szkolony, by walczyć i dzielnie umrzeć, nie umiał niczego innego. Nie miał niczego innego.

Brazowa odznaka wbiła się boleśnie w staw między ramieniem a barkiem, kiedy się poruszył, próbując znaleźć wygodną pozycję, aby łańcuchy nie ocierały go do żywego.

Odznaka Orłów. Jej obraz pojawił się w jego umyśle tak wyraźnie, jakby widział ją wczoraj. Choć tyle zapomniał, pamiętał jej imię: Liath.

„Moje serce nie jest ze mną, lecz z kimś innym, a ona znajduje się daleko stąd”. Czy to prawda? Czy też było to tylko wyzwanie, tarcza ochraniająca przed zaklęciami Krwawego Serca? A jeśli była to prawda? Czy mogła to być prawda?

Poza tym więzieniem rozciągał się świat, wyobraził sobie. Ale kiedy wyobrażał sobie życie, widział wojnę, bitwę, jego wierne Smoki umierające wokół. To wyobrażenie zawsze prowadziło tutaj, przed ołtarz w jakiejś katedrze, do którego był przykuty. Jak się nazywało miasto?

Ona by wiedziała.

Gent. To w Gencie czekał, uwięziony, czasami szarpiąc łańcuchy, piłując je nożem, kiedy Eików nie było, ale nie mógł się uwolnić.

Ale tak jak święty mąż uwalnia się od świata przez kontemplację Boga, tak i na pewno on mógł się uwolnić z więzienia, kontemplując świat zewnętrzny. Nie był mnichem, aby medytować nad Panem i Panią, choć z pewnością powinien. Zbyt był niespokojny, by osiągnąć święty pokój, nie uczony dyscypliny umysłu.

Świat przechodził z jesieni w zimę. Było zimno. Umierające słońce odrodzi się, jak twierdziła Stara Wiara, a potem powróci wiosna. A on wciąż będzie zakuty.

Ona poprowadziła innych ku wolności. Jeśli tylko wyobrazi sobie, że idzie z nią przez pole owsa, Krwawe Serce nie będzie mógł go tknąć.

6.

Młoda Tallia, którą słomiane włosy i suknia tegoż koloru czyniły niemal bezbarwną, klęczała na twardej kamiennej podłodze przed matką Scholastyką, starannie unikając dywanu, jakby bała się, że ulegnie pokusie luksusu, jeśli podłoży coś pod obtarte kolana.

– Błagam was! – wykrzyknęła. – Niczego bardziej nie pragnę, niż oddać me życie

Kościółowi, przez pamięć kobiety, której imię noszę, biskupiny Tallii z Pairri, córki wielkiego cesarza Taillefera. Jeśli pozwolicie mi wstąpić do nowicjatu w Quedlinhamie, będę wiernie służyć. Będę pokorna, jak to przystoi zakonnicy Boga. Będę usługiwać ubogim i obmywać stopy trędowatym.

Król krążąc po komnacie, odwrócił się:

– Oświadczało się już kilku o ciebie, ale nie miałem zamiaru tych oświadczyń rozważać...

– Błagam cię, wuju! – Tallia posiadała zastanawiającą umiejętność tryskania łzami przy każdej sposobności. Rosvita nie sądziła, by udawała: dziewczyna była pobożna jak męczennica, zapewne w wyniku życia z Sabellą i tym biednym idiotą, diukiem Berengarem, swym ojcem. – Pozwól mi poślubić Boga, nie mężczyznę.

Henryk podniósł oczy, jakby błagał Boga, aby dał mu cierpliwość. Rosvita słyszała ten argument z tuzin razy podczas ostatnich sześciu miesięcy; Tallia chyba nauczyła się przemowy na pamięć i wiedziała, że Henryk miał dosyć tej dewocji.

– Nie sprzeciwiam się twemu powołaniu – powiedział król, odwracając się i przemawiając niemal cierpliwie – ale jesteś dziedziczką, Tallio, nie tak łatwo cię odsunąć od świata.

Dziewczyna rzuciła jedno rozpaczliwe spojrzenie królowej Matyldzie, spoczywającej na sofie, a potem skrzyżowała dłonie na piersi, zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

– W każdym razie – rzekła matka Scholastyka, zanim dziewczyna rozpędziła się w odmawianiu psalmu – zgodziliśmy się, król Henryk i ja, że na jakiś czas zamieszkaś z nowicjuszkami w Quedlinhamie. Ale tylko dopóty, dopóki nie zostanie podjęta decyzja co do twych dalszych losów.

W ten sposób Henryk i Scholastyka czynili z Tallii zakładniczkę w samym środku najsilniejszej królewskiej marchii. Ale Tallia płakała z wdzięczności i została wreszcie, dzięki Bogini, odprowadzona przez nauczycielkę.

– Wydaje się zagorzała w swym powołaniu – powiedziała w ciszy królowa Matylda.

– Rzeczywiście – odparł Henryk tonem osoby rozeźlonej. – Jej posty przeszły do legendy.

Matka Scholastyka uniosła brew. Zajmowała się sowim piórem, którego używała do pisania, leżącym przy jej prawej dłoni: dotykała go, gładziła koniuszkiem palca, w końcu spojrzała na matkę.

– Nadmierna pobożność też może być przejawem pychy – powiedziała sucho.

– Czego ty byłaś najlepszym przykładem – odparła Matylda z leciutkim uśmiechem – gdy byłaś młoda.

– Czego byłam najlepszym przykładem – powtórzyła matka Scholastyka bez uśmiechu. W prywatnym gabinecie, do którego wstęp miała jedynie rodzina i służący klerycy, zdjęła biały welon, odsłaniając włosy, jaśniejsze niż Henryka, mocno przyprószone siwizną. Wyglądała na młodszą o dziesięć lat od brata, choć dzieliły ich tylko trzy wiosny. Nad tą sprzecznością często debatowano w tekstach kościelnych. Kobiety, pobłogosławione

zdolnością dawania życia i krwawienia, cierpiały, jeśli skorzystały z tego błogosławieństwa, natomiast te, które oddały życie i płodność w darze Kościołowi, pozostając świętymi dziewicami, często dożywały sędziwego wieku. Matyllda, która urodziła dziesięcioro dzieci i owdowiała, mając trzydzieści osiem lat, wyglądała na równie starą i zniszczoną, co matka Otta, opatka Korvei, tyle tylko, że matka Otta dożywała dziewięćdziesiątki, a Matyllda miała ledwie pięćdziesiąt sześć lat.

Te myśli powróciły do Rosvity, gdy klęczała wśród wiernych w quedlinhamskim kościele późnym popołudniem tego dnia. W oddali zagrzmiało, gdy matka Scholastyka wygłaszała ostatnie słowa homilii.

– Pani nie błogosławi nas za darmo. Tak Bóg uczy ludzkość. Choć rodzenie dzieci to bez wątpienia błogosławieństwo, sposób w jaki my, śmiertelni, poznać możemy choć trochę nieśmiertelność, wszystkie ziemskie stworzenia skażone są odwiecznymi ziarnami pierwotnej ciemności, która przypadkiem wymieszała się z czystymi żywiołami światła, wiatru, ognia i wody. I ci z nas, którzy żyją w świetle, skażeni są ciemnością. Tylko poprzez nauki błogosławionego Daisana, tylko poprzez oślepiającą glorię Komnaty Światła możemy się oczyścić i osiągnąć miejsce u boku Pana i Pani. Koniec kazania.

Chór – mniszki i mnisi z Quedlinhamu – odśpiewał *Te Deum*, hymn ku chwale Boga. Ich głosy brzmiały idealnie, chór nawykły był do wspólnego śpiewania. Przy akompaniamencie tej muzyki wkroczył do kościoła orszak króla.

Rosvita stłumiła ziewnięcie. Było tak ponuro o tej porze roku, a ona miała już swoje lata i z trudem przychodziło jej stać – albo klęczeć – całe nabożeństwo. Od ilu lat podróżowała z dworem królewskim? Ile razy widziała wnoszone sześć chorągwi, symbolizujących władzę króla? Jak często widziała ceremonie namaszczenia, odziewania i koronowania króla w dni świąteczne? Jednak teraz, kiedy król Henryk wstępował ku kamiennemu ołtarzowi, złapał ją za gardło znajomy skurcz podniecenia.

Z gołą głową, lecz odziany w złotogłów i wyszywane złotem buty, król Henryk uklęknął przed swą siostrą, matką Scholastyką, oddając się Pani przed Jej ołtarzem. Wszyscy uklękli wraz z królem. Opatka uczesała jego świeżo ścięte włosy grzebieniem z kości słoniowej, wysadzany klejnotami. Namaściła go olejem, od prawego ucha do lewego, przez czoło i na szczycie głowy.

– Niech Pan i Pani ukoronują cię koroną swej chwały, niech namaszczą cię olejem swej łaski – powiedziała.

Wspomagana przez lokalnych szlachciców, wybranych do tej czynności, nałożyła płaszcz na ramiona króla; obsyty gronostajem, utkany z najprzedniejszej białej wełny, płaszcz wyhaftowany był herbami sześciu księstw: smokiem Saony, orłem Fesse, lwem Avarii, ogierem Waylandu, jastrzębiem Varingii – i guivre'em Arconii.

– Poły tego płaszcza spoczywające na ziemi – ciągnęła opatka – będą ci przypominać, byś trwał w wierze i zachował pokój.

Rosvita zadrżała, myśląc o guivrze – strasliwym stworze podobnym do bazyliuszka – którego obecność niemal dała Sabelli zwycięstwo w bitwie pod Kassel.

Ale Sabella nie wygrała. Mnich i chłopiec zabili guivre'a, co było na pewno znakiem boskiego niezadowolenia z planów Sabelli, chcącej przejąć tron brata. Szczęście Henryka – prawowitego władcy – dopomogło mu.

Matka Scholastyka wręczyła Henrykowi berło, długą laskę wyrzeźbioną z hebanu i wysadzaną klejnotami; jej szczyt zdobiła smocza głowa z błyszczącymi rubinowymi oczami.

– Przyjmij to berło cnoty. Panuj mądrze i dobrze.

Król oparł się na berle, kiedy Scholastyka ukoronowała go na oczach wszystkich obecnych.

– Ukoronuj go, Boże, sprawiedliwością, chwałą, honorem i wspaniałymi czynami.

Z tłumu podniosło się westchnienie radości i zachwytu na rzadki widok króla ukoronowanego przed Bogiem i swym ludem.

– Niech nam żyje wiecznie król Henryk! – zawołał ktoś z tłumu. Przyłączyli się do niego inni i okrzyk zmienił się w ryk aprobaty.

Ze swego miejsca przy stopniach do Paleniska Rosvita obserwowała zgromadzonych dworzan, zakonników i szlachtę przybyłą z okolicznych majątków, by ucztować z królem i jego orszakiem. Próbowwała w ich wyrazie twarzy odczytać uczucia. Niewielu tutejszych szlachciców lubiło niedawno uwięzioną Sabelle. Ale w innych księstwach pozycja króla nie była tak mocna. Dlatego musiał bezustannie podróżować po kraju; aby ludzie go widzieli; aby przypominać szlachcicom za pomocą takich ceremonii, że Henryk posiadał władzę królewską; i dlatego mógł zażądać od nich oddziałów i danin na toczone przez siebie wojny – w tym wypadku na odbicie Gentu.

Zagrzmiało, okna się zatrzęsły, a jedno dziecko z tyłu nawy zaczęło płakać.

Co niósł grom? Tak zwani fulgutari twierdzili, że potrafili odczytać przyszłość, studiując dźwięk i obraz burzy, kierunek gromów i błyskawic. Gromy wstrząsające kościołem i błyskawice rozświetlające popołudniowe niebo zdawały się podkreślać moc Henryka, jakby Bóg Jedności przypominał zgromadzonym, kogo obdarzył swą łaską.

Ale może burza wróżyła inne rzeczy. Wróżenie z gromu zostało zakazane przez Kościół jak wszystkie inne wróżby, bo ludzie muszą zaufać Bogu, a nie szukać wiedzy o tym, co nadejdzie. Nawet myślenie o pogańskich praktykach było świętokradztwem.

Deszcz uderzył w okna. Boczne drzwi otworzono, pozwalając biednym wejść do kościoła w szeregu. Nikt nie narzekał, choć czekając, przemokli na wylot. Z wdzięcznością oczekiwali możliwości bycia dotkniętymi i pobłogosławionymi przez króla Henryka, bo czyż nie było powszechnie wiadomym, że dotyk namaszczonego króla uzdrawiał?

Rosvita znów ziewnęła. Powinna przyglądać się błogosławieństwom, ale widziała tę scenę, choć bez dramatycznego wtóru gromu i błyskawic, tyle razy podczas wiecznych królewskich podróży. Czy poganie mogli przepowiedzieć przyszłość z dźwięku i widoku

błyskawic? Na pewno nie. Tylko anioły i demony powietrza mogły zajrzeć w przyszłość i przeszłość, bo nie były istotami Czasu jak ludzie. Ale, niestety, nigdy nie mogła się oprzeć podobnym myślom, nieważne jak świętokradczym. Zostanie przeklęta za swą ciekawość: matka Otta powtarzała jej to często, choć z uśmiechem.

Grzmot zabrzmiał na północnym zachodzie, deszcz ustał, kiedy ostatni biedni i chorzy tłoczyli się przed Henrykiem, by otrzymać błogosławieństwo. Szlachta kręciła się niespokojnie, denerwowała ich pogoda albo obawa, że król Henryk zażąda od nich wysokich trybutów w czasie nadchodzącej wojny.

Odśpiewano wreszcie ostatni hymn. Szczęśliwa paplanina wypełniła kościół, kiedy król wyprowadzał orszak na zewnątrz. Uczta Wszystkich Świętych odbędzie się w królewskiej jadalni. Rosvita podążyła z resztą orszaku, szlachcicami i mieszczanami, którzy nie mogli się doczekać uczestniczenia w posiłku, nawet jeśli dostaną tylko suchy chleb u drzwi. Roześmiała się, kiedy jej żołądek zawtórował cicho odległemu gromowi.

Rankiem, wciąż nękana natrętnymi myślami o gromach i znakach, udała się do wspianiałej biblioteki Quedlinhamu. Powinna pracować nad swą *Historią Wendarczyków*, ale wiedziała z doświadczenia, że dopóki nie zaspokoila dręczącej ciekawości, nie była w stanie skupić się na niczym innym.

Rosvita najpierw zabrała się za wielką encyklopedię Izydory z Sewiyi – *Etymologie* – która zawierała opisy różnych form czarodziejstwa i magii. Ale znalazła tam tylko drobną wzmiankę o fulgurarich.

Nie usatysfakcjonowana, Rosvita odłożyła książkę do szafki i zamknęła drzwiczki. Biblioteka dawno przestała się mieścić w długiej komnacie i teraz przyległe pomieszczenia mieściły nadmiar książek. Stała w takim pomieszczeniu; *Etymologie* umieszczono tu nie dlatego, że uznano je za nieważne, o nie, ale ponieważ, pomyślała złośliwie Rosvita, biblioteka w Quedlinhamie była nie uporządkowana i prowadzona niekompetentnie. Nie obowiązywał w niej logiczny porządek, a żeby dowiedzieć się, w której szafie odnaleźć daną książkę, musiała szukać w katalogu – umieszczonym na pulpicie w głównej sali. Rosvita westchnęła. „W gniewie zachowaj miłosierdzie”. Niewątpliwie jej grzechy były większe niż przewiny bibliotekarza.

Kiedy wracała przez ciemne pokoje, dojrzała postać w płaszczu, stojącą w słabym świetle wpadającym przez wąskie okienko w murze; jedną z królewskich Orłów.

Zatrzymała się w cieniu i zapatrzyła – nie na młodą Orlicę, bo rozpoznała ją od razu po wzroście i kolorycie skóry, ale na to, co robiła. Klerycy nie zwracali uwagi na Orły, wywodzące się spośród dzieci zarządców, chłopów, rzemieślników i kupców. Klerycy pisali listy, kapitularze i posłania, które, zalakowane, wręczano królewskim posłańcom. Orły przносиły wieści; nie czytały ich.

Bardzo niewiele było edukowanych jak niesławny Wilkun, i jak, najwyraźniej, ta młoda dziewczyna.

Orlica stała w świetle zbyt słabym, by ludzkie oko odcyfrowało w nim zawilości kaligrafii, i czytała książkę. Jej palec przesuwiał się po linijkach tekstu, a usta poruszały, profil otaczały drobinki kurzu unoszące się w świetle. Była tak pochłonięta czytaniem, że nie zauważyła obecności Rosvity.

W ciszy klasztoru w Korvei, gdzie zakonnice porozumiewały się językiem znaków, Rosvita opanowała sztukę czytania z ruchu warg. Używała tej zdolności, by odkryć rzeczy ukrywane przed nowicjuszami. Teraz, wiedzona ciekawością, próbowała odgadnąć sylaby i dźwięki z ruchu warg młodej kobiety...

...i została pokonana. Orlica nie czytała ani po wendarsku, ani po dariyańsku, tylko w zupełnie innym języku, którego Rosvita nie potrafiła „usłyszeć”. Gdzie taka młódka nauczyła się czytać? I co, do licha, czytała?

Rosvita wyszła z komnaty, przeszła pod łukiem i skierowała się do głównej sali, oślepią nagłym blaskiem. Tutaj, przy osobnych stolikach, czytało kilka zakonnice. Szafki stały pod ścianami, zamknięte. Katalog spoczywał na pulpicie rzeźbionym w sowy spoglądające z dębów. Był otwarty. Rosvita spojrzała na tytuły zapisane na stronicy: *Wieczna geometria* świętego Piotra z Aronu, *De Principiis* Origena, *Tetrabiblos* Ptolomei i *Zij al-hazarat* Abu Ma'shara.

Rosvita zamrugła, zaskoczona. Czy to tę książkę czytała dziewczyna? Rozpoznała język, zapisany po dariyańsku, choć nie znała jinnijskiego. Czy dziewczyna miała przodków z Jinny, na co wskazywała jej cera? Czy nauczono ją czytać po jinnijsku? To dopiero była zagadka. Młoda Orlica zasługiwała na uwagę.

Sądząc po reszcie dzieł, książka zdawała się traktować o sprawach astronomii. Nawet tutejsza bibliotekarka, mimo wszystkich wad, musiała skatalogować książki o stanie pogody, obok tych traktujących o niebiosach. Rosvita leniwie przerzucała kartki, nie będąc pewną, czego szuka, ale nie mogła znaleźć niczego, co zaspokoiłoby jej pragnienia.

Wyrwana z zamyślenia, wrzuciła ramionami i rozejrzała się po sali. Widziała stąd skryptorium, w którym mniszki i mnisi pracowali w ciszy, pisząc korespondencję i kopiując psalmy i stare teksty. Klasztor niedawno otrzymał od pokrewnej instytucji sześć papirusów zapisanych po dariyańsku i aretuzańsku. Przepisywano je na pergaminie i oprawiano.

Przyciągnięta światłem i cichym pomrukiem ze skryptorium, Rosvita przeszła obok szafek i dalej do komnaty. Kilku zgromadzonych nowicjuszy obserwowało skrybów przy pracy, w którą sami się zaangażują, kiedy tylko zostaną mnichami. Jeden niespokojny chłopiec, z odrzuconym kapturem odsłaniającym rude loki i piegowatą twarz, przysunął się do nauczyciela i pokazał znak: „Latryny”. Z widocznym obrzydzeniem nauczyciel wydał zgodę. Bez wątplenia biedny chłopak został wysłany do klasztoru wbrew swej woli i nie radził sobie z dyscypliną; Rosvita widywała takich nowicjuszy w Korvei.

Nagle, wstrząśnięta, rozpoznała chłopaka. Ivara nie było jeszcze na świecie, kiedy wstępowała do Korvei i właściwie spotkała go tylko dwa razy. Może się pomyliła; może to

wcale nie był Ivar, tylko jakiś młodzik z północy, o podobnym kolorze skóry i włosów. Ale ich ojciec, hrabia Harl, napisał do niej nie dalej jak pół roku temu, zawiadamiając, że Ivar wstąpił do nowicjatu w Quedlinhamie. To musiał być on.

Ivar wybiegł ze skryptorium, nie zauważając Rosvity. Ale ruszył do biblioteki, zamiast wypaść na zewnątrz. Tymczasem trzech innych nowicjuszy zajmowało nauczyciela, zadając mu pytania o pergamin leżący na biurku. Najwyraźniej nie chcieli, by zauważył, dokąd udał się Ivar.

Wobec tego Rosvita podążyła za nim.

Przeszedł przez główną salę i zniknął w ciemnych pomieszczeniach. Weszła ostrożnie i szybko usłyszała głosy, tak ciche, że gdyby nie nasłuchiwała, uznałaby je za powiew wiatru na zewnątrz. Nasłuchując kierunku dźwięku, jak fulgurtari ruchów burzy, udało jej się podkraść dostatecznie blisko, by podsłuchiwać, nie będąc widzianą.

– Ale twe śluby...

– Nic mnie nie obchodzą! Przecież wiesz. Ojciec zmusił mnie, bym został tu nowicjuszem, tylko dlatego, że... – urwał. – Nie jestem jak Zygfyrd, nie mam powołania. I nie będę jak Ermanrich, który zrezygnował na długo przed...

– Ale czy tak łatwo jest zostać zwolnionym z tych ślubów? Na Panią, Ivarze, pochlebiasz mi...

– Nie chcesz za mnie wyjść!

Rosvita nieomal upadła i zdradziła swą obecność, ale zachowała na tyle bystrości umysłu, by oprzeć dłoń na drzwiach jednej z szafek; tej samej, zauważyła z krzywym uśmiechem, w której spoczywały *Etymologie* Izydory. Rozpoznała obraz wyrzeźbiony w dębowym drewnie. Była to święta Donna z Pens, słynna bibliotekarka pierwszego klasztoru, założonego przez świętą Benedyktę, trzymająca zwój i pióro. Gdyby tylko bibliotekarka z Quedlinhamu wzięła przykład ze świętej, ten wspaniały zbiór książek nie byłby tak nie uporządkowany.

Na Pana i Panią! Jej młodszy braciszek, nowicjusz, chciał poślubić jakąś nieznaną, bezimienną kobietę! Ich ojciec się wścieknie.

– Ivarze – powiedziała bezimienna spokojnie. Jej akcent był lekki, ale niezwykły. – Posłuchaj mnie. Wiesz, że nie mam nic, żadnej rodziny...

Tego jeszcze brakowało, zakochał się w jakiejś sierocie! Nic dziwnego, że hrabia Harl wysłał go do klasztoru – miało go to uchronić przed kłopotami.

– ...ani nikogo, kto by mnie znał. Mam schronienie wśród Orłów – Orłów! – Na pewno rozumiesz, że nie mogę cię poślubić, jeśli nie zapewnisz mi podobnego bezpieczeństwa.

Orlica, którą wcześniej Rosvita dostrzegła w tej komnacie, czekała na umówione spotkanie! Rosvita nie mogła za nic przypomnieć sobie imienia kobiety. Kleryczka oparła się o rzeźbione drzwi szafki i przygotowała się na długie czekanie, podczas gdy jej brat oddał się namiętnemu, choć szeptanemu, błaganu o miłość, małżeństwo i każdą ziemską rzecz, której, przybываяc sześć miesięcy temu do Quedlinhamu, przysiągł się wyrzec na zawsze.

7.

– Opuszczę klasztor – skończył Ivar. – Wyruszymy na wschód i zaciągniemy się na służbę w marchiach. Tam zawsze potrzebują żołnierzy...

– Nie rozumiesz? – rzekła z lekką niewiarą w jego szczerość. Czyżby nie wierzyła, że dotrzyma słowa? Czy nie rozumiała, że zrobiłby dla niej wszystko? – Dopóki nie znajdziesz takiego miejsca, dopóki nie będę pewna, że ono istnieje, nie mogę opuścić Orłów. Jak możesz mnie o to prosić?

– Bo cię kocham!

Westchnęła, przesuwając dłonią po ustach i wzdychając przez palce. Chciał je ucałować, ale się nie odważył. Po ich pierwszym uścisku – w latrynach – stała się nie tyle chłodniejsza, co odległa.

– Ja też cię kocham, ale jak brata. Nie mogę cię kochać – zawahała się – w ten sposób. – Milczenie stało się dłuższe i głębsze. – Kocham innego mężczyznę.

– Kochasz innego! – Wściekły, wypowiedział pierwsze imię cisnące się na usta. – Hugona!

Zamarła, zimna i śmiertelnie sztywna.

– Na Panią, Liath, wybacz mi. Nie chciałem tego powiedzieć. Wiem...

– Nieważne. – Otrząsnęła się. Przyćmione światło znajdowało drogę wśród stłoczonych szafek pełnych książek, książek wśród książek na książkach, tak wielu, że sam ich ciężar zdawał się go miażdżyć jak stos kamieni. Tak jak zmiażdżyły go słowa Liath. – On nie żyje. Ufam ci, Ivarze, ale gdyby udało się przezwyciężyć wszystkie przeszkody i poślubiłbyś mnie, musiałbyś zrozumieć, że nigdy cię nie pokocham tak, jak kochałam jego.

„Gdyby”. Gdybanie bardzo się Ivarowi spodobало.

– Bogini! – Na chwilę położyła rękę na jego ramieniu. Ciepło jej ciała paliło go przez szorstki habit. – Jestem taka samolubna. Ale jestem sama na świecie. Muszę się bronić.

– Nie, jestem tutaj – złapał jej dłonie w uścisku braterstwa. – Zawsze tu jestem. A Hanna na pewno jest z tobą. – W latrynie nie miał czasu zapytać o Hannę, tylko zaaranżować to spotkanie i pocałować ją. W nocy śnił o Liath i zawstydzził się po przebudzeniu, ale reszta, Baldwin, Ermanrich i Zygfyrd, pomogła mu ukryć ślady.

– Hannę wysłano na południe z Wilkunem, dostarczyć biskupinę Antonię... – potrząsnęła głową, zniecierpliwiona. – Nie wiesz nic o tym. Błagam, Ivarze, zrozum, że... potrzebuję ochrony nie tylko przed Hugonem. Są... są jeszcze inne stworzenia, które ściagały mnie i tatę przez lata, aż w końcu dopadły i zabiły go, a ja nawet nie wiem, czym one są. Na Panią. – Pochyliła się ku niemu, jednak nie po to, by go objąć, jak oczekiwał, ale by wyszeptać, jakby obawiała się, że ściany i czekające w ciszy książki ją usłyszą. – Rozumiesz?

Rok temu Ivar odgoniłby te zmartwienia machnięciem ręki i snułby wspaniałe plany,

które spaliły na panewce. Ale był już starszy i, dziw nad dziwy, nauczył się czegoś.

– W porządku – powiedział tak spokojnie, jak tylko mógł, bo wciąż się o niego opierała. – Nie poślubisz nikogo prócz mnie.

Zaśmiała się urywanie, jakby szlochała.

– Nigdy nie mogłabym go poślubić. Jeśli nie jego, to ciebie, bo tobie mogę zaufać. – Ale powiedziała to tęsknie, jakby wciąż opłakiwała tamtego, którego imienia nie odważyła się wypowiedzieć na głos.

Ivar poczuł, że mógłby latać, taki był szczęśliwy. Ufała mu.

Z biegiem czasu, pomyślał, zapomni o tamtym. Z biegiem czasu będzie kochać tylko Ivara i pamiętać jak przez mgłę, że mówiła tak o innym, martwym mężczyźnie. Umarły nie był rywalem dla żywego. A ponieważ się uczył, po raz pierwszy pomyślał, a nie działał pod wpływem impulsu. Była sierotą, potrzebowała krewnych, klanu, rodziny. Trzeba było się zmierzyć z Hugonem: ale Ivar pragnął zemsty na Hugonie i znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli on będzie miał Liath, Hugo pojawi się prędzej czy później. Pozostawała tylko kwestia wydostania się z klasztoru. Musiał znaleźć drogę ucieczki. Ale to trzeba zaplanować.

– To potrwa – powiedział w końcu, ociągając się. – Poczekasz na mnie?

Uśmiechnęła się smutno.

– Pozostanę Orłem. Tyle ci mogę obiecać. Oni są teraz moją rodziną.

– Cicho – powiedział nagle, odsuwając ją od siebie. Szelest, raczej myszy niż wiatru, dobiegł z oddalonego kąta komnaty. – Jest tu kto? – spytał Ivar.

Wynurzyła się cicho zza rzędu szafek. Rozpoznanie jej w słabym świetle zajęło Ivarowi kilka chwil, a potem ze zdziwienia opadła mu szczeka.

– Czy ty jesteś moją siostrą Rosvitą? – zapytał.

– Do licha – zakląła Liath. Odskoczyła od niego.

– Tak, Ivarze. – Kiedy tylko kleryczka przemówiła, był pewien. – Bracie – ciągnęła, z twarzą bez wyrazu, ale oczami rozświetlonymi... śmiechem? gniewem? Nie znał jej i nie był w stanie ocenić. – Mój braciszku nowicjuszu – dodała, wskazując na szorstki habit. – To absolutnie wbrew przepisom. Będę musiała donieść matce Scholastyce.

Ivar ucieszył się, słysząc te słowa.

– Doskonale – powiedział, prostując się. – Pójdę z ochotą.

Postawienie przed obliczem matki Scholastyki za grzech obcowania z kobietą na pewno oznaczało, że opatka wyrzuci go z Quedlinhamu raz i na zawsze.

Było to tak poważne oskarżenie, że Ivar czekał tylko przez sekstę, południowe modlitwy, klęcząc jak pokutnik na kamiennej podłodze przed pustym krzesłem matki Scholastyki, zanim drzwi się otworzyły i opatka wkroczyła do celi. Towarzyszyła jej Rosvita. Ivar nie mógł odczytać nic z wyrazu twarzy siostry. Żałował, że jej nie znał, że nie mógł się domyślić, co

powiedziała opatce, czy była współczująca, czy wroga jego sprawie. Nie wiedział i nie odważył się zgadywać.

– Nie pozwoliłam ci podnieść wzroku, bracie Ivarze – powiedziała matka Scholastyka.

Opuścił oczy, patrzył na przesuwane się stopy, których tańca nie umiał śledzić. Ku jego przerażeniu Rosvita wycofała się, zostawiając go ze wspaniałą przeoryszą. Złożył dłonie, zaciskając mocno palce i przygryzł dolną wargę dla dodania sobie odwagi. Bolały go kolana. Leżał tu dywan, ale pouczono go w ostrych słowach, aby nie klękał na niczym, co złagodziłoby pokutę.

Matka Scholastyka usiadła na krześle. Obserwowała go długą chwilę, wiedział o tym, choć nie odważył się spojrzeć w górę. Bruzda w kamieniu wbiła mu się w prawe kolano. Bolało go tak, że niemal płakał, ale nie odważył się poskarżyć.

„Poskramia żelaznym wędzidłem”, mawiali wszyscy. Była młodszą siostrą króla. Dlaczego w ogóle pomyślał, w tej chwili wolności w bibliotece, że będzie mógł stawić jej czoło?

Odchrząknęła, zanim się odezwała.

– Z doświadczenia wiemy – powiedziała – że gdy król wraz z dworem przybywa do Quedlinhamu, przebiega, jak zmarszczki na wodzie za łódką, dreszcz niepokoju wśród tych nowicjuszy i nielicznych zakonników, którzy nie są w owej chwili zadowoleni ze złożonych ślubów. Zawsze kilkoro, uwiedzionych przez kolory, zamieszanie i podniecenie opłakuje stratę świata i próbuje podążyć za królem. Naszym obowiązkiem jest uchronić te słabe duszyczki przed szaleństwem, bo to przemijająca pokusa, niebezpieczna, ale jak sądzę, przewidywalna.

– Ale ja nigdy nie chciałem...

– Nie pozwoliłam ci przemówić, bracie Ivarze.

Schylił się, wbijając paznokcie w dłonie. Nie potrzebowała unosić głosu, by go przestraszyć i upokorzyć.

– Ale zamierzam ci na to pozwolić. Nie jesteśmy barbarzyńcami jak Eikowie czy Qumanowie, by więzić cię tylko z chęci wzbogacenia się. Chodzi nam o twą duszę, Ivarze. Duszę, którą oddano nam pod opiekę. To wielki ciężar i olbrzymia odpowiedzialność – urwała. – Teraz możesz mówić, bracie.

Przy okazji pozwolenia na mówienie przesunął kolano z raniącej bruzdy. Wziął oddech. Kiedy już zaczął, nie mógł ukryć pasji.

– Nie chcę tu być! Pozwólcie mi odejść z królem. Pozwólcie mi zostać Smokiem...

– Smoki zostały zniszczone.

– Zniszczone? – Wiadomość ta ostudziła jego wściekłość.

– Zostali pokonani przez siły Eików w Gencie.

„Zniszczone”. Próbując to zrozumieć, spojrzał na nią. Nigdy wcześniej jeszcze nie widział matki Scholastyki z tak bliska; tylko niezwykli nowicjusze, jak Zygfyrd, kontaktowali

się z opatką. Miała ładną twarz, włosy wepchnięte pod prostą lnianą chustę, która związana była na głowie i opadała prosto na ramiona. Nosiła ciemnoniebieskie suknie, odróżniające ją od innych zakonnic, wysadzany klejnotami złoty Krąg Jedności zwieszał się na jej pierś, a na szyi miała złoty torkwes, oznaczający przynależność do królewskiego rodu. Jej wzrok pozostał zimny; nie poruszyło jej ani to spotkanie, ani okoliczności, w których przyprowadzono Ivara. Nagle zdał sobie sprawę, że sądziła już wiele chłopców i dziewcząt, którzy skarżyli się na to samo, co on.

Jej konsekwencja go nie złamie! Był synem szlachciców, choć nie króla.

– Więc... więc potrzebować będą więcej Smoków – wyrzucił. – Pozwólcie mi odejść, proszę. Pozwólcie mi służyć królowi.

– Nie ja podejmuję takie decyzje.

– Jak możecie mnie powstrzymać, jeśli odmówię złożenia ślubów, kiedy skończę nowicjat? – zapytał.

Uniosła brew.

– Ależ ty już przysiągłeś oddać się Kościołowi, złożyłeś obietnicę pod bramami.

– Nie miałem wyboru!

– Wypowiedziałeś słowa. Ja za ciebie nie mówiłam.

– Czy przysięga złożona pod przymusem jest ważna?

– A czy ja lub ktoś inny przykładał ci nóż do gardła? Ty przysiągłeś.

– Ale...

– I – dodała, podnosząc dłoń, na której nosiła dwa piękne pierścienie, jeden z czystego złota, drugi z opalem. – Twój ojciec dodał do ciebie wspaniałe wiano. Nie zaprzysięgamy się łatwo ani w małżeństwie... – jęknął, gdy urwała. Jej wzrok był przeszywający i bezlitosny. – ...ani Kościołowi. Jeśli przysięgę można złamać tak łatwo jak pióro... – podniosła ze stołu sówie pióro i pokazała mu – ...to jak możemy sobie ufać? – Odłożyła pióro. – Przysięgi czynią z nas ludzi honoru. Jakiej kobiecie czy mężczyźnie, którzy wyrzekli się swego pana i pani można znów zaufać? Ty złożyłeś przysięgę Panu i Pani. Chcesz ją złamać i żyć poza Kościołem do końca swych dni?

To brzmiało o wiele bardziej poważnie. Żaden człowiek, który najpierw przysiągł, a potem złamał dane słowo, nie posiadał honoru. Bolały go kolana i krzyż. Kaptur opadł, a kraj habitu złożył się na dwoje pod lewą łydką i denerwująco wpijał w ciało.

– Nie. Ja... – urwał. Czy naprawdę wyobrażał sobie kilka godzin temu, że wygra w dyskusji z matką Scholastyką?

– Dlaczego teraz, Ivarze? – Ona też poruszyła się na krześle, jakby bolały ją plecy i przez chwilę szczerze jej tego życzył. – Jesteś dobrym chłopcem, nigdy się nie buntowałeś. Czy to przez przyjazd króla?

Zaczerwienił się. Oczywiście, na pewno już wiedziała.

– Kusi cię obecność tylu kobiet nie związanych przysięgami – ciągnęła, jakby się z nim

drocząc, choć jej głos ani ton się nie zmieniły. – Nie wstydz mi się do tego przyznać, Ivarze. Rozumiem, że my, zaprzysiężeni Kościołowi, musimy walczyć z pokusami ciała, by być godnymi. Ci, którzy nadal żyją w świecie, również do tego dążą, ale inaczej. My w Kościele zmagamy się, by odrzucić ciemność, stać się przezczystą izbą, pozbyć się kalającej cząstki mroku, która tkwi w każdym z nas, jest częścią nas. Bo czyż błogosławiony Daisan nie nauczał, że choć natura nas wiąże, Bóg okazał nam łaskę, dając wolność?

– „Trzymaj się z dala od zła” – odparł posłusznie Ivar, któremu wbijano do głowy te powiedzenia – „któremu nie chcesz się poddać”.

– Dobro to nasz stan naturalny, Ivarze. Cieszymy się, gdy postępujemy właściwie. A błogosławiony Daisan powiedział: „Zło to dzieło Nieprzyjaciela, i czynimy je, gdy nie jesteśmy panami samych siebie”.

– Ale... ale ja nie chcę tak żyć. Nie tak. Chcę...

– Jesteś pewien?

– To nie kobiety... to nie wszystkie...

– Jedna kobieta?

Zdradził się, ale nieważne. I tak wiedziała. Wziął urywany oddech, zakłuło go w płucach. Co się stało z Liath? A jeśli wyrzucono ją z Orłów?

– Kobieta podróżująca z królewskim dworem – ciągnęła matka Scholastyka głosem pozbawionym emocji. Nie pozbawionym, nie – mówiła, jakby nie odczuwała emocji, gwałtownych uczuć, które rozsadały go od środka.

O Panie. Wspomnienie uścisku Liath – nawet w smrodzie latryn...

– To także minie, Ivarze. Widziałam to wiele razy.

– Nigdy! – Zerwał się na równe nogi. – Zawsze będę ją kochał! Zawsze! Kochałem ją, zanim tu przybyłem i nigdy nie przestanę jej kochać. Obiecałem, że ją poślubię...

– Ivarze, błagam, opanuj się i zachowaj godność.

Dysząc z gniewu i frustracji, znów uklęknął.

– Błogosławiony Daisan rzekł: „Żądza jest różna od miłości, a przyjaźń to nie to samo, co łączenie się w złym zamiarze. Powinniśmy bez trudu zrozumieć, że fałszywa miłość zwie się pożądaniem i nawet jeśli niesie czasowe zaspokojenie, olbrzymia jest różnica między nim a prawdziwą miłością, której pokój trwa na wieki, nie cierpiąc ni kłopotów, ni straty”.

Nie mógł mówić. Wpatrywał się w jedno z malowanych okien, które wpuszczało światło do gabinetu. Gałąź stuknęła w szybę, szarpana wiatrem, a ostatni liść kołysał się bezradnie, gotowy spaść.

– Musisz uzyskać zgodę ojca na ślub. Prawda?

Nie musiał odpowiadać. Chciał płakać ze wstydu. Nic nie szło tak, jak zaplanował.

– Nie sądz, że podchodzę do tego lekko, dziecko – powiedziała. Rzucił na nią okiem, bo w jej głosie pojawiła się nuta współczucia. Rzeczywiście, wyraz jej twarzy mógł nazwać niemal współczującym. – Widzę, że jesteś stały w postanowieniach i pełen pasji w uczuciach.

Ale nie wolno mi pozwolić ci odejść. Zostałeś mi oddany w opiekę przez ojca i rodzinę, przysięgłeś, sądziłam, że z własnej woli i przyjęto cię do tego klasztoru. Postępowałabym niemądrze, gdybym pozwalała każdemu młodemu powodowanemu najdrobniejszym impulsem odchodzić stąd.

– To nie impuls!

Uniosła dłoń, nakazując ciszę.

– Być może nie. Jeśli to nie impuls, jak twierdzisz, czas go nie osłabi. Wyślę wiadomość do twego ojca i poczekaasz na jego odpowiedź. Twoja propozycja nie jest zobowiązaniem, którego można się podjąć, ot tak sobie, jak i nie powinniśmy od niechcenia wstępować do Kościoła. – To był jej delikatny wyrzut. – A poza tym należy brać pod uwagę również tę młodą kobietę. Kim ona jest? Ma imię, jak się przekonałam: niezwykle, aretuzańskie. Kim są jej krewni?

– Nic o niej nie wiem – przyznał w końcu. – Naprawdę. Nikt w Spokoju Serca nie wiedział.

– Czy to szlachcianka?

Zamrugął. Cisza była chyba lepszym wyjściem. Liath i jej ojciec pilnie strzegli swych sekretów. A jej ojciec umarł i tylko Liath twierdziła, że został zamordowany; szeryf Liudolf orzekł zgon z przyczyn naturalnych.

– Odpowiedz mi, dziecko.

Nie podobał mu się poważny wzrok matki Scholastyki.

– Chy...chyba. Jej ojciec był wykształcony.

– A matka?

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie miała matki. To znaczy... nigdy nie znaleźmy jej matki.

– Jej ojciec był wykształcony? A może był mnichem, który zbłądził? O, tak, masz to wypisane na twarzy.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale wszyscy sądziliśmy, że musiał być kiedyś mnichem, może fratrem...

– Gdyby opuścił Kościół, nie mówiłby o tym głośno. Wykształcony w klasztorze, z którego uciekł. Jesteś pewien, że była jego dzieckiem?

– Tak! – wrzasnął, obrażony w imieniu Liath.

– A nie konkubina lub służącą?

– Nie! Oczywiście, że byli ojcem i dzieckiem.

– To może wszystko wyjaśnić – powiedziała matka Scholastyka w zadumie; wydawało się, że zapomniała o istnieniu Ivara, a już na pewno za nic miała jego obrazę. – Stąd potrafi czytać po jinnijsku.

Czytać po jinnijsku? Co jeszcze Liath skrywała w sobie, o czym mu nigdy nie powiedziała? Przeszyło go nagle, mdlące przekonanie, że frater Hugo zainteresował się Liath

nie tylko z powodu jej piękna i młodości.

– Ciemna cera. Upadły mnich. Może moja matka miała rację. Frater może podróżować z misjami w cztery strony świata, nawet do jinnijskich pogan, którzy czczą Astereosa, boga ognia. Taki mężczyzna mógł zostać uwiedzony zapachami i eliksirami Wschodu, mógł wyrzec się swych ślubów i zapłodnić wschodnią kobietę, a potem, jako dobry daisanita, odmówił zostawienia dziecka, które wyrosłoby na poganę. To wyjaśniałoby koloryt jej skóry i umiejętność czytania po jinnijsku. Cóż, Ivarze. – Nagła zmiana tematu wystraszyła go; jej brak zainteresowania jego osobą. – Dobrze, że się przede mną wypowiedział. Wracaj do nowicjatu. Będziesz się uczył. Będziesz posłuszny. Za jakiś czas, jeśli będziesz wypełniał obowiązki i pozostaniesz cichy i pokornego serca, wezwę cię tu znowu i oznajmię, jaką odpowiedź dał mi twój ojciec.

Posłuchanie było skończone. Dała mu znak, by odszedł i wiedział, że protestowanie nie miało sensu. Ale nie mógł nie zapytać, nawet, jeśli miał zostać za to ukarany:

– Co się stanie z Liath? Znaczy, przez to, co zrobiłem.

Obdarzyła go nagłym uśmiechem, którego moc powaliła go, jakby ujrzał błysk Komnaty Światła w całym jej blasku poprzez szczelinę w bramie.

– Po raz pierwszy podczas posłuchania wspomniałeś o jej potrzebach, a nie o własnych. Służy jako królewski Orzeł i nie słyszałam narzekań na jej służbę. Będzie trwać. Już. – Skłonił głowę na złożone ręce, pozwolono mu ucałować pierścień z opalem i wycofał się z pokoju, potykając na progu.

Zasznurowane Usta już na niego czekał, ponury jak chmura gradowa. Miłosiernie oszczędził mu trzcinki.

– Możesz być pewien – powiedział nauczyciel głosem nie znoszącym sprzeciwu – że ty i twoi koleżkowie, których współuczestnictwo w tej sprawie zostało dostrzeżone, pozostaniecie w nowicjacie przez resztę królewskiej wizyty, a później będziecie pilnie strzeżeni. Nawet nie myśl o ucieczce. Radziliśmy sobie z tym już wcześniej.

Groźby nauczyciela okazały się prawdziwe. Dwór opuścił klasztor następnego dnia i mimo iż inni nowicjusze wyszli z budynków i ustawili się przy drodze, by wyjazd odbył się z większą pompą, Ivar, Baldwin, Ermanrich i Zygryd zostali. Przeczekiwali na dziedzińcu, na zmianę ryjąc nożami w płocie.

– Ona naprawdę cię kocha? – spytał Baldwin.

– A dlaczego niby cię to dziwi? Jestem aż tak brzydki? – Ivar miał ochotę go trzepnąć.

Baldwin przyjrzał mu się badawczo, a potem wzruszył ramionami.

– Nie.

– Ale ona jest Orłem – powiedział Ermanrich – więc nie może być szlachetnie urodzona. Dlaczego ojciec miałby ci pozwolić na poślubienie kobiety z plebsu?

– Ale jej ojciec był wykształconym zakonnikiem – zaprotestował Ivar. – Musiał pochodzić ze szlacheckiego rodu! – Rozmyślanie nad tym tylko pogarszało sprawę, ale nie

mógł przestać myśleć. Matka Scholastyka obiecała wysłać wiadomość do jego ojca. Musiał zachować cierpliwość: a Liath obiecała czekać.

Zygryd zabrał się do pracy, używając noża Baldwina i próbował poszerzyć otwór, aby można było przez niego patrzeć. Popatrzył przez ramię na pusty dziedziniec i zwrócił się do reszty:

– Kiedy czekałem na lekcję – wyszeptał – słyszałem, że córka Sabelli ma być tutaj trzymana, dopóki król Henryk nie zdecyduje się wydać jej za mąż albo pozwolić jej wstąpić do nowicjatu.

– Ach – rzekł Baldwin. – Młoda panna Tallia. Spotkałem ją kiedyś.

Ermanrich parsknął.

– Och! – powiedział Zygfryd tonem człowieka, który znalazł zmię w łóżku. – Nie sądziłem, że to zadziała.

– Cicho – upomniął go Baldwin. – Ermanrich, przesuń się tutaj. Ivar, na kolana, jakbyś się modlił. Chodź tutaj.

Zygryd wykonał zadanie. Wepchnął jedną wąską deszczułkę za drugą i oto powstała szpara, przez którą mogli dostrzec kawałek sąsiedniego dziedzińca.

Baldwin schylił się i rozplaszczył twarz na ogrodzeniu. Westchnął i odskoczył:

– Tam ktoś jest! – syknął. – Nowicjuszka!

– A ma kurzajki? – zapytał Ermanrich.

– Bądź poważny! – Baldwin znów przyłożył prawe oko do szpary, zamykając lewe i wykrzywiając twarz, żeby lepiej widzieć. Po chwili cofnął się i wyszeptał: – Kłęczy naprzeciwko nas. Sądzę, że to lady Tallia!

Ermanrich zagwizdał.

Nawet Ivar był pod wrażeniem.

– Pozwól mi spojrzeć – zażądał. Baldwin cofnął się i Ivar przykleił twarz do płotu. Drewno drapało. Czuł na karku oddech Ermanricha, jakby używając siły woli, chłopak mógł spojrzeć oczami Ivara.

Odrzuciła kaptur i natychmiast ją rozpoznał: dziewczynę o pszenicznych włosach, która niosła sztandar Arconii, księstwa swego ojca, na czele procesji tego dnia, gdy Henryk przyjechał do miasta. Tylko trzy dni temu! Ile się przez ten czas wydarzyło.

Modliła się, złożywszy chude dłonie i dotykając knykciów ustami. A potem, nagle, otworzyła oczy i spojrzała wprost na niego. Miała oczy w najjaśniejszym odcieniu błękitu, jakby tunikę w kolorze indygo wyprano tyle razy, że w niciach pozostało tylko wspomnienie barwy.

– Kim jesteś? – wyszeptała.

Ivar odskoczył od płotu.

– Powiedziała coś! – ogłosił Ermanrich. Przytknął twarz do ogrodzenia. – To wy jesteście lady Tallia? – wyszeptał.

Baldwin odciągnął Ermanricha i zajął jego miejsce, nie zważając na pomruki protestu.

– Nie możecie na mnie patrzeć – powiedziała cicho, głosem niby wiatr głaszczący włosy Ivara. Spadł mu kaptur i szybko go naciągnął, spoglądając w stronę budynków. Służącego, który miał ich pilnować, nie było w zasięgu wzroku. – Nie przystoi się tak gapić – ciągnęła. W ciszy dziedzińca dokładnie słyszeli jej głos. Zawahała się, a potem mówiła dalej: – Ale skoro już mamy tę możliwość rozmowy, to z pewnością z woli Boga, prawda?

– Och, na pewno – powiedział Baldwin radośnie, choć spełniając jej życzenie, odsunął się od szpary. – Czy będziesz zakonnica?

Zygryd wydał z siebie zduszony odgłos i natychmiast zajął pozycję do modlitwy. Służący pojawił się znowu, okrągły, nabity w sobie mężczyzna, bez wątpienia rozgniewany zadaniem pilnowania czterech nieposłusznych nowicjuszy, co uniemożliwiło mu przypatrywanie się odjazdowi króla. Wszyscy czterej zgarbili się, udając pogrążonych w modlitwie.

Stojąc na krużganku, służący nie mógł słyszeć słabego głosu Tallii, ale oni tak.

– Moim największym pragnieniem jest zostać zakonnica. Chyba że mogłabym zostać diakonisą, ale oni wypuszczą mnie w świat tylko po to, bym poślubiła jakiegoś chciwego szlachcica.

– Dlaczego chciałabyś być diakonisą? – zapytał Zygfryd. – W klasztorze możemy poświęcić cały nasz czas na naukę i kontemplację.

– Ale diakonisa żyjąca w świecie może nieść prawdziwe Słowo Boże tym, którzy tkwią w ciemności. Gdyby wyświęcono mnie na diakonisę, mogłabym głosić Święte Słowa Odkupiciela tak, jak nauczył mnie ich frater Agius, któremu Bóg udzielił swej łaski i uczynił męczennikiem.

W oddali ozwał się niski odgłos grzmotu, niby bęben oznajmiający odjazd króla. Ivar czuł deszcz w powietrzu. Ciemne chmury gromadziły się nad ich głowami.

– Kto to jest Odkupiciel? – spytał Ermanrich z wyrazem skonfundowania na swej okrągłej, przyjaznej twarzy.

– To herezja – wyszeptał Zygfryd, ale się nie ruszył.

Baldwin się nie ruszył.

Ivar się nie ruszył. Chciał znów usłyszeć jej słowa. Miała monotony, fascynujący głos, czysty i pełen cichej pobożności. A poza tym była młodą kobietą.

– Błogosławiony Daisan nie został zrodzony ze śmiertelników, tylko z naszej Pani, która jest Bogiem. On jedyny urodził się bez skazy ciemności. I cierpiał. Z rozkazu cesarzowej Thaisannii, zamaskowanej, został za swe nauki żywcem odarty ze skóry, jak to robiono z przestępcami i zdrajcami Imperium Dariyańskiego i jego władcy. Wydarto mu serce, a tam, gdzie jego krew spłynęła na ziemię, rozkwitły róże.

Zygryd nakreślił Krąg przeciw urokowi: przeciw najbardziej niebezpiecznej i błędnej herezji. Ale nie odszedł. Nikt z nich się nie ruszył. Zostali tu schwytni, oczarowani, kiedy

grzmot odezwał się bliżej i pierwsze krople deszczu spadły wokół nich.

– Ale przez swe cierpienie, swe poświęcenie, zbawił nas od grzechów. Nasze odkupienie zawdzięczamy temu poświęceniu. Bo choć umarł, zmartwychwstał. Bogini w swej mądrości odkupiła go, bo czyż nie był Jej jedynym synem?

Mogła mówić dalej, pewnie mówiła, ale zerwał się wiatr i błyskawica przecięła zniżające się chmury, a grzmot rozległ się tuż nad nimi. Siekący deszcz pognał ich na krużganki. Czy ona też uciekła, Ivar nie wiedział, ale wyobrażał ją sobie, wciąż klęczącą, przemoczoną przez ulewny deszcz, wypowiadającą heretyckie modlitwy. Obraz ten niezmiernie go niepokoił przez wiele następnych nocy.

Rozdział czwarty

Na skrzydłach burzy

1.

Król i jego dwór ruszyli z Quedlinhamu na południe, Liath natomiast popędziła na północny zachód, poprzez górzysty kraj, zanieść wiadomość księżnej Rotrudis, królewskiej siostrze. Jechała Osterwaldwegiem, trawiastym traktem, który wiodł z Quedlinhamu na północ i zakręcał na wschód przy zbiegu rzek Ailer i Urness, dopływów Veseru. Rankiem trakt, pokryty szronem, błyszczał w słońcu, jakby anioł pokrył go swym słodkim oddechem. Wieczorem wozy, słońce i nagle jesienne deszcze zmieniły drogę w błoto, które zamarznie przez noc.

Wiatr wiał bezustannie i był zimny, ale późnymi popołudniami świeciło słońce. Wtedy Liath znajdowała sobie słoneczną plamę, a jej koń pasł się na skraju drogi. Jeśli trakt był pusty, otwierała *Księgę tajemnic* i czytała słowa, które od dawna znała na pamięć albo wgryzała się w aretuzańskie głosy środkowej księgi, najstarszego z tekstów. Niestety, nie mając czasu na naukę ani nauczyciela, zapomniała już większość z tej niewielkiej części aretuzańskiego, którą poznała dzięki Hugonowi. Jednak może gdyby zapomniała wszystko, rzeczywiście uwolniłaby się od niego.

Czasami, sfrustrowana własną ignorancją, zamykała oczy i wyobrażała sobie tatę obok, na cichej drodze. Ciepło słońca było jak jego obecność, kojąca i pewna; dziwne, nigdy nie mogła go sobie wyobrazić w pochmurne dni. Być może jego dusza, mieszkająca teraz w spokoju Komnaty Światła, mogła ją dojrzeć tylko wtedy, kiedy nic nie zakrywało siedmiu sfer niebios.

„Czy sądzisz”, wyobraziła sobie, jak pytał, „że dusze mają wzrok? Czy też jest to zmysł zarezerwowany dla posiadaczy ziemskich ciał?”

„Próbujesz mnie oszukać, tato”, odpowiadała. „Anioły i demony nie mają ziemskich ciał. Mają ciała z czystych żywiołów, z ognia, światła, wiatru i powietrza, a jednak widzą i ich

wzrok jest bystrzejszy od ludzkiego. Widzą i przeszłość, i przyszłość. Mogą dostrzec dusze gwiazd”.

„Niektórzy twierdzili, że są one duszami gwiazd stałych”. I tu rozpocząłby się spór nad wolną wolą, Losem i prawem natury. A jeśli nie ten, to inny, bo tato miał wspaniały własny skarbiec, wiedzę zdobytą podczas lat nauki i chociaż jego „miasto pamięci” nie było tak wypieszczone jak Liath – ponieważ nauczył ją sztuk, które opanował pod koniec życia – robiło wrażenie. Tyle wiedział i zamierzał nauczyć swą córkę wszystkiego, szczególnie zaś sekretów matematyków, wiedzy o gwiazdach i ruchach planet poprzez niebiosa.

Nagły powiew wiatru zatrzepotał kartkami otwartej książki, leżącej na jej kolanach. Sypnęło śniegiem, choć niebo było czyste. Zimny wiatr przywiał wspomnienia.

Skrzydła, opadające na okap. Nagły powiew białego śniegu przez komin, choć nie było zimy.

Uśpiona i czujna, związana milczeniem. Rozbudzona, nie mogąca się ruszyć, a jednocześnie wciąż śpiąca. Ciemność przy gwoździła ją, jakby była ciężkim okryciem.

Głos jak dzwon, słyszany w powiewie wiatru. Zabrzmiały dwa ostre uderzenia strzał wbijających się w drewno.

– *Twe słabe strzały nic ci nie dadzą – rzekł głos. – Gdzie ona jest?*

– *Tam, gdzie jej nie znajdziesz – odparł tato.*

– *Liath – powiedział głos jak dzwon, dochodząc znikąd i zewsząd jednocześnie.*

Z dziko bijącym sercem nie odważyła się ruszyć, ale musiała patrzeć. Śnieg wirował wokół niby wspomnienie burzy, płatki topniały na słońcu. Lekki blask rozjaśnił trakt na zakręcie, wirowanie powietrza jak trzepotanie przejrzystych skrzydeł, białych jak samo powietrze.

Coś zbliżało się ku niej drogą.

Strach ukąsił głęboko, zamknął się na jej gardle jak dziób gryfa, nie mogła złapać tchu. Na pewno nie mogła uciec. Głos taty dzwonił jej w uszach: „Bezpieczniej jest pozostać w ukryciu”.

Nie poruszyła się.

– *Liathano.*

Usłyszała je, wyraźnie, głos, niby echo dzwonów bijących długo w cichej nocy. Ujrzała je, choć nie było ziemskim stworzeniem. Nie szło drogą, a raczej nad nią płynęło, jakby nie było zdolne dotknąć swym eterycznym ciałem gęstej gleby świata śmiertelnych. Nadchodziło szlakiem z północy, bez twarzy, o człekopodobnych członkach, ciele i ze skrzydłami anioła.

Wołało ją, pociągająco, melodyjnie, głosem o ohydny basowym brzmieniu. Chciało, by odpowiedziała. Zmuszało ją do odpowiedzi.

Ale tato ochronił ją przed magią. Milcząca, spokojna jak kamień, nie poruszyła się. Wstrzymała oddech. Liść zdmuchnięty przez wiatr spłynął po jej ramieniu i opadł na książkę, za nim drugi, jakby sama ziemia próbowała ją ukryć.

Stworzenie przeszło obok, ruszyło na południe i w końcu znikło jej z oczu. Pojedyncze białe pióro zawirowało za nim i spadło na ziemię. Było tak jasne, że świeciło jak najczystsze szkło. Przywiązane do rzemyka wiszącego na szyi złote pióro, które dostała od czarownika Aoi, parzyło ją, ostrzegając.

Nadal siedziała bez ruchu. Była zbyt oszołomiona, by się poruszyć. Trwało to tak długo, że w końcu trzy na wpół zdziczałe świnie o chudych bokach, z potężnymi kłami i zjeżoną szczecina, wyszły na ścieżkę, żeby obwąchać jasne zjawisko. Kiedy tylko jedna ze świń szturchnęła pióro ryjem, strzeliło ono iskrami, zapaliło się i rozwiało w wirze dymu. Świnie zakwiczały i uciekły.

Liath zaśmiała się niemal histerycznie, ale kiedy tylko atak minął, ogarnął ją taki gniew, że ledwie zdołała schować książkę, tak drżały jej ręce. Czy to taki stwór zamordował tatę? Może właśnie ten? Mocowały się w niej gniew i przerażenie, gniew wygrał. Nie zobaczyło jej. Magia taty nadal ją chroniła; zaklęcie, które nałożył na nią dawno temu, nie umarło wraz z nim.

Z gniewem przyszło objawienie: przez wszystkie lata wierzyła, że był kiepskim czarownikiem, podczas gdy on całą swą moc wkładał w ukrywanie Liath.

– Przysięgam ci, tato – wyszeptała, stojąc przy koniu i patrząc w niebo, z którego, być może, spoglądała na nią, więzioną w ciele, jego dusza – że dowiem się, co cię zabiło.

„Nie, Liath, musisz być ostrożna”, wyobraziła sobie jego słowa. Zawsze tak się bał.

I miał powody. Czy to ten eteryczny demon ich ścigał, czy czarownik, maleficus, który przywiódł stwora ze sfery ponad Księżycem i zmusił do wykonywania swych poleceń?

– Będę jak myszka – wyszeptała. – Nigdy mnie nie zobaczą. Przysięgam ci, tato. Nie pozwolę, żeby mnie schwytali. – Wydawało jej się, że to go zadowoliło.

Odległe stado owiec pojawiło się na wzniesieniu i znikło jej z oczu, amorficzne ciało strzeżone przez niewidoczne psy i pojedynczego pasterza. Nie chciała zostawać tutaj, gdzie minęła się ze stworzeniem o włos. Pełna zrozumienia i nadal znieczulona przez nieziemski widok oraz przerażający, mdlący strach, który ją ogarnął, gdy stwór wymówił jej imię, dosiadła konia i ruszyła dalej. Dziś, trzeciego dnia od wyjazdu z Quedlinhamu, powinna dotrzeć o zmroku do pałacu w Goslarze, przynajmniej tak twierdziła Hathui. Na Boginię, niech tak się stanie; nie chciała spać sama tej nocy. A z Goslaru, jeśli pogoda się utrzyma, miała cztery dni jazdy do Osterburga, ulubionego miasta i fortecy księżnej Rotrudis.

Ale kiedy wjechała wieczorem do Goslaru, okazało się, że stacjonował w nim już potężny orszak. Stajenny zabrał jej konia i poprowadzono ją od razu do wielkiej sali. Tam, na krześle rzeźbionym w smoki i wyściełanym złotymi poduszkami wyszytymi w czarny smoczy wzór, przypominający kształtem symbol królewskich Smoków, czekała księżna Rotrudis we własnej osobie.

– Jaką wieść przysyła mi Henryk? – zapytała bez ceregieli, kiedy tylko Liath przed nią uklękła. Nie przypominała reszty rodzeństwa, którą Liath poznała: Henryka, matki

Scholastyki i biskupiny Konstancji; nie była ani ładna, ani wspaniałej postawy. Mała, pękata, z szerokimi, czerwonymi dłońmi chłopki, miała nos, który wydawał się złamany o jeden raz za dużo i dziobate policzki. A jednak każdy natychmiast rozpoznawał w niej jedną z wielkich księżąt królestwa.

– Król Henryk wypowiada te słowa, pani – rozpoczęła Liath posłusznie. – „Od Henryka, króla Wendaru i Varre, do Rotrudis, księżnej Saony i Attomaru i ukochanej krewnej, taka oto prośba. Teraz, kiedy zbliża się zima, czas by przygotować letnią kampanię. Musimy odeprzeć Eików z Gentu, ale do tego czynu potrzebować będziemy wielkiej armii. Połowa mych sił poległa pod Kassel. Zebrałem, co mogłem w Varre, żądając więcej, ale wy także musicie ponieść ten ciężar. Wyślijcie posłania do waszych szlachciców, aby zwiększyli trybuty i wyślijcie oddziały do Steleshamu po dniu świętego Sormasa. Z tego miejsca zaatakujemy Gent. Niech się tak stanie. Te słowa, wypowiedziane w obecności naszej błogosławionej matki, przedstawiają moje życzenia w tej kwestii”.

Rotrudis parsknęła, pociągnęła łyk wina i nakazała dorzucić dREW do paleniska.

– Łatwo powiedzieć – oburzyła się – kiedy Eikowie teraz pustoszą moje księstwo. Gent im nie wystarczył. Moje własne miasto, Osterburg, zostało zaatakowane!

– Zaatakowane! – Wspomnienie upadku Gentu było jak cios miecza i Liath cofnęła się, przerażona.

– Odparliśmy ich – powiedziała księżna. – Przekłęci dzicy mieli tylko dziesięć okrętów. – Wręczyła złoty puchar służącej, ładnej dziewczynie odzianej w białą, lnianą suknię. Rotrudis ze stęknieniem podniosła się i podeszła spojrzeć na Liath. Wsunąwszy koniec laski pod brodę Orlicy, uniosła jej głowę, by przyjrzeć się twarzy. – Jesteś krewną Konrada Czarnego? – spytała. – Jego bękartem, na przykład?

– Nie, pani. Nie jestem spokrewniona z diukiem Konradem.

– Dobrze gadasz – powiedziała księżna. – I tak jesteś za stara, aby być jego dzieckiem. – Utykała i jedną stopę miała spuchniętą, a kiedy ciężko opadła na krzesło, poduszki aż jęknęły. Służąca podbiegła, by umieścić stopę na wyściełanym taboreciku. Na wszystkich ścianach wisiały bogate arrasy, przedstawiające grupę młodych dam ścigających najpierw jelenia, potem panterę, a w końcu gryfa. – Wobec tego powiesz to mojemu drogiemu bratu Henrykowi. Na Boga, gdzie on teraz jest, jeśli wolno mi spytać?

– On i dwór pojechali na południe...

– Bez wątpienia na polowanie w Lesie Thurińskim!

– Tak, pani.

– A moje wioski płoną, napadane przez Eików! Och, bez wątpienia będzie twierdził, że musi osobiście dręczyć każdego lorda z południa, aby zdobyć oddziały na wojnę w lecie. Wojna każdego lata, taki jest Henryk. – Wyciągnęła dłoń i służąca wręczyła jej złoty puchar. Księżna przyjrzała się zawartości i zmarszczyła brwi. – Hej, dziecko, mój puchar jest pusty. – Chłopiec w białej tunice podbiegł, zabrał naczynie i wrócił z napełnionym. Kleryczka

pochyliła się i szepnęła księżnej do ucha.

Liath żałowała, że szlachta nie pomyślała o położeniu przed swymi krzesłami poduszek lub dywanów, aby kolana klęczących tak nie cierpiały.

– Prawda – skomentowała Rotrudis wypowiedź kleryczki i skupiła swą uwagę na Liath. – Powiedz Henrykowi, że oczekuję od niego większej pomocy. Ci Eikowie są jak muchy kłębiące się wokół padliny. A jeśli nie mogę czekać do lata?

– Nie mam dalszych wiadomości od króla, pani. Ale... – urwała.

– Ale? Ale! Mów. Nie jestem taka głupia, by myśleć, że Orły nie dostrzegają tego, co umyka oczom innych.

– To prawda, pani, że siły Henryka zostały mocno przetrzebione pod Kassel. Jego oddział Lwów zmniejszył się z dwóch setek do ledwie sześćdziesięciu ludzi i chociaż posłał po centurie do marchii, nie ma gwarancji, że będą oni w stanie przebyć tak szybko daleką drogę, ani czy książęta w marchiach ich puszcza.

– Ha. Qumanowie nie zaatakowali od lat. Sądzę, że nie ma zagrożenia. Ale mów. Co z lordami z Varre?

– Oni też ucierpieli pod Kassel, choć pod sztandarem Sabelli. Ale król zebrał od nich zaciąg i oczekuje, że nowy zostanie przysłany na wiosnę.

– Nie wystarczy! Musiałam wysłać mego syna Wichmana i jego bandę młodych, lekkomyślnych koleżków do Steleshamu, by przywrócić porządek. Czym ryzykował Henryk?

Tego było za wiele. Rozwścieczona Liath spojrzała prosto w oczy księżnej.

– Król Henryk stracił w Gencie syna!

Dworzanie zamruczeli, zaszokowani jej tonem, ale księżna tylko się zaśmiała.

– Tu cię boli! Tak, książę Sanglant i Smoki zginęli w Gencie, ale przecież po to chłopaka hodowano, prawda?

– Hodowano? – powiedziała zaszokowana Liath.

– Cisza! Już dosyć dziś powiedziałaś. Teraz posłuchasz mych słów i powtórzysz je wiernie memu bratu. Potrzebuję pomocy, i to wkrótce. Wedle mych raportów w promieniu dnia drogi od Gentu nie uchwalała się żadna wioska, połowę żywności z wiosk oddalonych o trzy dni ukradziono, moich ludzi zarżnięto, a pozostali przy życiu są przerażeni, żniwa były kiepskie, a nie ma szans na wiosenne siewy, jeśli nie odeprzemy Eików. Eikowie płyną w górę Vesperu, kiedy im ochota przyjdzie, choć zima może zatrzymać ich wiosła w lodzie, ale żadne szlaki wodne nie są bezpieczne i na pewno nie będą, kiedy zaczną się wiosna. Powiedz Henrykowi: wiem, gdzie jest nasza królewska siostra Sabella. Jeśli on mi nie pomoże, ona to zrobi i przyprowadzi ze sobą lordów, którzy przysięgali jej wierność, skoro Henryk tego nie potrafi.

Urwała, pociągnęła wina, jęknęła, poruszywszy stopą na taborecie.

– Zrozumiałaś wszystko?

Liath ledwo mogła mówić, tak ją oburzyła wzmianka o Sabelli.

– Pragniecie, abym taką wiadomość przekazała królowi Henrykowi?

– A mówiłabym coś takiego, gdybym nie chciała, żebyś mu ją powtórzyła? Twoim obowiązkiem nie jest zadawanie pytań, Orle. Masz jeździć. Wynoś się. Skończyłam z tobą.

Liath wstała i wycofała się w najdalszy kąt sali. Czy miała natychmiast wyruszyć w zmrok? Gdzie wszystko mogło się zdarzyć? Ale służący poprowadził ją do stołu z tyłu sali, podczas gdy szlachta rozpoczęła wieczorną ucztę. Tutaj, wraz z resztą służby, nakarmiono ją po królewsku, posiłkiem złożonym z gęsi, kuropatwy, zapiekanej ryby, pasztetu i chleba do woli, podlanego ostrym jabłecznikiem. Uczta szlachciców trwała, śpiewano, tańczono i opowiadano, a kiedy zniknął ostatni półmisek, nadal pito tak ostro, że Liath zastanawiała się, na jak długo starczy zapasów.

W końcu wstała od stołu i zwinęła się w kącie, ale w nocy wciąż budziły ją śmiechy, a poprzez mgłę dymu i światła pochodni widziała szlachtę pijącą, śpiewającą, siłującą się i przechwalającą, kiedy wracali do stołu, by pić dalej. Dopiero o świcie, kiedy wstała z trudem i przygotowywała się do wyjazdu, przestali się bawić i poszli spać.

2.

Król Henryk i jego orszak byli na polowaniu, kiedy wjechała przez szeroką bramę, wyznaczającą północną granicę królewskich terenów łowieckich w Lesie Thurińskim. Siedem dni zajęło jej przybycie tutaj, z postojem w Quedlinhamie na zmianę koni. Tym razem w klasztorze widziała tylko stajnie; nie miała szans, aby ponownie skontaktować się z Ivarem. Na szlaku nie dostrzegła śladu tajemniczego stwora, który przeszedł tak blisko niej.

Wielki dwór i baraki, kuchnie, kuźnia, szopy, stajnie i kilka domków dla gości składało się na rezydencję króla. Budynki otaczała duża łąka, ograniczona z jednej strony rzeczką, a z drugiej palisadą. Gdzieś tam przemykali służący. Liath słyszała kwik świń, zarzynanych na wieczorną ucztę. Prawdziwa armia kręciła się wokół kuchni, zbudowanej z daleka od dworu na wypadek pożaru, a na brzegu rzeki wietrzono pościel i prano odzienie.

Gdy tylko przekroczyła bramę, stajenny zabrał jej konia i poinformował, że król wyjechał na cały dzień. Liath ucieszyła się, że ominęło ją polowanie. Nie czerpała przyjemności ze ścigania jakiegoś biednego, przerażonego stworzenia: zbyt przypominało jej to o własnym losie.

Położyła siodło i uprząż w pustym boksie, gdzie znalazła znajome wyposażenie Hathui, juki i zwinięty koc. Hathui pojechała z królem. Liath kucnęła, by otworzyć juki, położyła dłoń na książce i zawahała się. Czy demon pojawił się, wyszedł ją, ponieważ otworzyła książkę na trakcie? Czy też dlatego, że przypomniała sobie śmierć taty? A może pojawienie się stwora było jedynie zbiegiem okoliczności? Zamknęła i zapięła klapę torby, wsunęła ją pod siodło i wyszła.

Był piękny, hałaśliwy jesienny dzień, pełen chmur i zapachów dochodzących z kuchni.

Suche żółte i pomarańczowe liście osiadały na butach Liath, przywiane przez wiatr. Kozy pasły się pod lasem na drugim brzegu rzeki, pilnowane przez samotnego pasterza. Nikt jej nie zauważył. Wszyscy byli zbyt zajęci.

Poranne słońce znikło, zaćmione zwiastunami nadciągającej burzy. Była pora sztormów, przychodzących jeden po drugim. Zadrzała, myśląc o Eikach, nawałnicy przypędzonej z północy; wspomnienie upadku Gentu wciąż bolało.

Ale świat zewnętrzny wydawał się tak odległy tutaj, w środku lasu. Nikt tu nie mieszkał: ani wolni kmiecie, ani chłopci pańszczyźniani nie uprawiali ziemi na stromych wzgórzach i w zalesionych dolinach. Thurin pozostał dziczą, w której król zwykł polować jesienią.

Zimny wiatr wpędził ją pod dach w poszukiwaniu schronienia. Ale ku jej zdumieniu i konsternacji w wielkiej sali przebywali klerycy, pół tuzina w czystych tunikach. Sądziła, że oni również wybrali się na łowy.

Siedzieli w ciszy przy długich stołach, przy których wieczorami ucztował król. Załatwiali królewskie interesy, podczas gdy król oddawał się przyjemnościom. Gęsie pióra pochylały się równo, maczane w inkauscie, litery kręciły się na pergaminie albo welinie.

Liath cofnęła się, lecz za późno. Na krześle tuż przy drzwiach siedziała siostra Ivara, Rosvita. Podniosła wzrok, dostrzegła Liath i skinęła ku niej. Oprawiona książka, pergaminowe strony złożone na czworo i gdzieniegdzie jeszcze nie rozcięte, leżały przed nią. Palce kleryczki powalane były atramentem.

Liath zbliżyła się ostrożnie.

– Wróciłaś, Orle – powiedziała kleryczka.

– Tak, siostrze. Przynoszę posłanie od księżnej Rotrudis do króla.

– Szybko opuściłaś Quedlinham – stwierdziła Rosvita – i pewnie nie zabawiłaś tam długo, wracając.

O Pani! Tyle się ostatnio wydarzyło, że Liath ledwo myślała o Ivarze. Co zawsze powtarzał tato? „Kiedy wilk trzyma twą rękę w paszczy, połaskocz go drugą po brzuchu”.

– Co piszecie? – spytała Liath, ale świeżo zapisane litery zauroczyły ją i przeczytała na głos:

Potem Henryk, zrodzony z Kunegundy, księżnej Saony i jej męża, Arnulfa z Avarii, został księciem po śmierci swej matki, jako że jego starsze siostry zmarły wcześniej. Ale królowa Konradina, która często wystawiała odwagę młodego księcia na próbę, bała się złożyć w jego ręce władzę równą sile jego matki. W ten sposób królowa wywołała oburzenie całej armii wendarskiej. Później chwaliła nowego i najszlachetniejszego diuka wieloma słowami, obiecując mu wielką władzę i opromienienie go chwałą. Jednak wendarscy żołnierze nie dali się przechytrzyć. Królowa, widząc, że byli jeszcze bardziej wrogo nastawieni niż zwykle i rozumiejąc, że nie mogła otwarcie zniszczyć młodego diuka, znalazła sposób, by zdradziecko go zgładzić.

Wysłała swego brata wraz z armią do Wendaru, by spustoszył kraj. Ale kiedy dotarł do

miasta zwanego Gent, podobno twierdził w swej pysze, iż największe niebezpieczeństwo grożące mu ze strony Wendarczyków to fakt, iż nie odważą się oni wychylić nosa zza murów i nie będzie mógł z nimi walczyć. Nim skończył mówić, Wendarczycy runęli na niego i w starciu wycięli w pień jego Arcończyków, Salian i Varingijczyków, dokonując takiej rzezi, iż – jak mówi poeta – Otchłań zaprawdę musi być miejscem olbrzymim, jeśli pomieściła wszystkich zabitych.

Eberhard, brat królowej, nie musiał się dłużej obawiać, iż Wendarczycy się nie pojawią, ponieważ ujrzał ich przed sobą i zbiegł.

– Historia! – wykrzyknęła Liath. Popatrzyła na Rosvitę i ujrzała, że starsza kobieta przypatrywała się jej z wiele mówiącym uśmiechem na ustach. Wszyscy klerycy przestali pisać i gapili się na to dziwo, królewskiego Orła, który potrafił czytać w języku wykształconych ludzi Kościoła, dariyańskim.

O Pani. Znów się zdradziła i tym razem przed królewską scholą, orszakiem dumnych kleryków.

– Pracuję nad historią Wendarczyków – potwierdziła Rosvita, w przeciwieństwie do reszty zupełnie nieporuszona. – Opowiadam tu o tym, jak pierwszy Henryk, diuk Saony, stał się królem Wendaru po śmierci królowej Konradiny.

– Co napiszecie dalej? – zapytała Liath, mając nadzieję, że odwróci jej uwagę.

Rosvita zakaszłała grzecznie, a reszta natychmiast wróciła do pracy. Odłożyła pióro, wspaniałą orlą lotkę, bez wątpienia znak wielkiej sympatii króla lub jego matki, obok książki.

– Królowa Konradina została ranna w bitwie i powalona chorobą oraz najwyraźniej pozbawiona już wcześniejszego szczęścia, wezwała swego brata Eberharda i przypomniała mu, że ich rodzina posiadała wszelkie cechy, na których opierała się godność władcy, wszystkie, prócz szczęścia. Dała Eberhardowi insygnia ich królewskich przodków: świętą lancę, berło, złoty torkwes oraz koronę i nakazała oddać je diukowi Henrykowi i złożyć mu hołd. Niedługo potem umarła, dzielna i odważna kobieta, niepokonana tak w domu, jak i na polu walki, znana ze swej liberalności...

– Tak w łóżku, jak i poza nim – powiedział jeden z kleryków, a reszta zachichotała, a potem umilkła, gdy Rosvita pokazała „Cisza”.

– Eberhard ofiarował Henrykowi skarby i siebie, zawarł z nim układ pokojowy i przyjaźń. Przyjaźni tej wiernie dochował do końca. A potem, w mieście znanym jako Kassel, w obecności wielkich książąt królestwa, uczynił Henryka królem.

– Oczywiście – powiedziała Liath. – A teraz prawnuk pierwszego Henryka, nasz Henryk, jest królem Wendaru i Varre. – Skłoniła się lekko, cofając. – Wybaczcie, że was niepokoiłam, siostró. Zostawię was, abyście mogli pracować.

Odwróciła się i wybiegła, a potem oparła o ścianę i podziękowała Pani i Panu, że umknęła pytaniom kleryków. Lekki zapach wapna ze świeżo umytych ścian palił ją w nozdrzach i wypalał zazdrość. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej tamtego ledwie

pamiętanego dnia dziewięć lat temu, sama mogłaby złożyć śluby i zostać kleryczką. Mogłaby bezpiecznie siedzieć w towarzystwie sobie podobnych, pisać, czytać i rozmawiać. Jakie to dziwne, że Ivar cierpiał tam, gdzie ona odnalazłaby szczęście. Ale tak się nie stało.

Widok kleryków wciąż napawał ją tęsknotą i dumą. Powędrowała do stajni, czując nagłą potrzebę ponownego dotknięcia książki, nawet jeżeli ten gest sprowadzał na nią niebezpieczeństwo.

Słabe światło w stajni było jak płaszcz tajemnicy narzucony jej na ramiona, dodawało odwagi. Wyjęła *Księgę tajemnic* z sakwy i delikatnie ją otworzyła. Czekwała przez chwilę, ale żaden chłodny powiew nie zmałował spokoju stajni. Nawet jej salamandrowe oczy nie potrafiły nic odczytać w panującym tu mroku. Wobec tego po prostu usiadła, dotykając książki, okucia, grubej skóry, pergaminowych stronic i delikatnego wnętrza księgi, zapisanego atramentem na papirusie.

Położyła na niej policzek, wdychając suchy zapach. Książka taty. Wszystko, co po nim zostało i wszystko, co jej dał. O Pani. Dał jej dosłownie wszystko, co miał: moc, która w nim tkwiła. Wątpiła w to tylko dlatego, że nie rozumiała.

Ona nigdy nie będzie bezpieczna. Już się nie zastanawiała nad przesadną czujnością taty, grymasami i ostrożnością, uwagą poświęcaną najmniejszym drobiazgom w każdym klasztorным schronisku, w każdej samotnej karczmie czy pasterskim szałasie, w których im przyszło nocować. Już nie.

Wydawało się, że Hugo lepiej rozumiał potęgę taty niż ona. Wiatr zatargał drzwiami stajni i rozejrzała się wokół, ale to był zwykły podmuch. Mogła wyczuć deszcz, choć jeszcze nie spadł, słyszeć szelest gałęzi szarpanych podmuchami nadchodzącej wichury, zwiastunami burzy. „Hugo”.

I nagle, jakby samo imię było zaklęciem, zatrzęsła się, zadrżała okrutnie i przytuliła księgę do piersi, powstrzymując łzy. Nie powinna, nie mogła poddać się dawnemu lękowi. Uciekła przed nim.

– Orle. Liath.

Podskoczyła, przerażona i obróciła się, ale było za późno. Została doścignięta, osaczona i przyszpilona.

Rosvita ją dopadła.

3.

Rosvita wiedziała, że za swą ciekawość zostanie przeklęta, więc przestała ze sobą walczyć i poddała się pokusie.

Starannie odcisnęła bibułką atrament i zostawiła otwartą książkę, by wyschła, odsunęła krzesło i wstała, by podążyć za młodą Orlicą. Od incydentu w quedlinhamskiej bibliotece nie mogła przestać myśleć o tej młódce.

Na dziedzińcu ujrzała ją znikającą w stajniach, więc ruszyła za nią, znajdując ją w pustym boksie, gdzie siedziała sama w ciemności.

– Orle. Liath.

Kiedy tylko powiedziała te słowa, zobaczyła przedmiot, który dziewczyna przyciskała do piersi niby przestraszone dziecko. Była to książka. Zdziwiona i zaskoczona, Rosvita zadziałała, nie myśląc. Dała krok w przód i wyjęła księgę z objęć Orlicy. Dziewczyna krzyknęła i skoczyła, ale Rosvita już wycofała się ku drzwiom, więc Orlica zmuszona była pójść za nią, niby głodny pies deptający po piętach kobiecie obgryzającej soczyste wieprzowe żeberko.

– Błagam was... – wyjąkała dziewczyna, szara ze strachu. Była wysoka, ale tak szczupła, że zdawała się krucha.

Rosvita widząc takie uosobienie nędzy i rozpacz, natychmiast się poddała. Oddała książkę i kiedy tylko dziewczyna przycisnęła ją lewym ramieniem, pożałowała swej wielkoduszności. Nie mogła dojrzeć tytułu przez fałdy płaszcza Orła. Co, na Boginię, robił Orzeł z książką? I co to było za dzieło? Ale Rosvita za mądra była na próby bezpośredniego ataku.

– Nie mogę przestać się zastanawiać, gdzie kobieta taka jak ty nauczyła się płynnie czytać po dariyańsku – powiedziała. – Wykształcono cię w klasztorze?

Dziewczyna zawahała się, wykrzywiając krnąbrnie usta. A potem z wysiłkiem rozpoznała twarz. Rosvita zbyt wiele lat spędziła na przyglądaniu się twarzom, aby nie rozpoznać kogoś, kto chciał pozostać nie zauważony, ale jak przy takiej urodzie ta młoda dziewczyna chciała pozostać nie zauważona, Rosvita nie potrafiła sobie wyobrazić.

– Tato mnie uczył – odparła w końcu.

– Mówiłaś o nim królowej Matyldzie, prawda? Należał do Kościoła?

Wzruszyła ramionami, nie chcąc odpowiadać.

– Być może opuścił Kościół, zanim się urodziłaś – zasugerowała Rosvita, próbując mówić ze współczuciem, przebić się przez mur, który zbudowała wokół siebie dziewczyna. – Czy ma rodzinę? Czy znasz swych krewnych?

– Powiedziano mi, że ma kuzynów w Bodfeldzie. Ale wyrzekli się go po... – urwała.

Rosvita dostrzegła słaby punkt dziewczyny: zapomniała się, gdy już zaczęła mówić.

– Po tym, jak cię uznał za swoje dziecko? Czy już wtedy opuścił Kościół?

– Nie wiem – odparła dziewczyna niegrzecznie.

– Przepraszam. Ale moja matka przeorysza często mi powtarzała, że moja ciekawość jest niewybaczalna. – Rosvita uśmiechnęła się. Dziewczyna nieomal odwzajemniła uśmiech. Ostry błękit jej oczu, niebieskich niby szafiry albo serce ognia, nie pasował do ciemnej skóry. – A twoja matka?

– Umarła. Dawno temu.

– A teraz Wilkun wziął cię na swoją uczennicę. Być może znałaś go wcześniej?

– Nie... – potrząsnęła niecierpliwie głową. – Przyjął mnie do Orłów. Ocalił mnie od... – przycisnęła ramię mocniej do boku, skrywając księgę.

Na Panią! Czy ona ukradła ją z biblioteki w Quedlinhamie?

Czas na bezpośrednie pytanie.

– Co to za książka?

Rosvita nigdy nie widziała nikogo tak słabego i przerażonego. Czy dziewczyna ukradła księgę? Czy powinna wobec tego domagać się sprawiedliwości i zmusić ją do powiedzenia prawdy, czy też lepiej pozostać miłosierną i pozwolić jej wyznać winę w swoim czasie?

– To... mój tato mi ją dał – powiedziała w końcu szybko dziewczyna. – To jedyna rzecz, jaka mi po nim została.

Grzmot zabrzmiał bliżej. Deszcz skropił włosy kleryczki i spłynął na jej ręce, odbierając jej spokój myśli, którego nigdy nie osiągała na długo. Tyle myśli ją gnębiło niby dokuczliwe krople: stary brat Fidelis i spadek po nim, *Żywot świętej Radegundis*, który jej dał; jego ostatni szept o Siedmiu Śpiących, demonach, ludziach lub innych stworzeniach, których mocy się obawiał; straszliwe i zagadkowe zniknięcie syna Villama, Bertholda i jego sześciu towarzyszy w kamiennym kręgu nad Hersfordem; jej *Historia*, nad którą naprawdę musiała pracować, jeśli zamierzała ją skończyć, zanim stara królowa umrze; książka, którą ta krucha dziewczyna tak mocno do siebie przyciskała.

„Książka”. Rosvita uświadomiła sobie, jakby wraz z grzmotem przyszło objawienie, że kiedyś, gdzieś, musi zajrzeć do tej księgi.

Nagle, kiedy pojawiła się błyskawica i nowy grzmot rozdarł ciszę, dziewczyna przemówiła:

– Czy umiecie czytać po aretuzańsku?

Rosvita uniosła brew.

– Owszem, umiem. Uczyłam się od samej królowej Sophii. – Dziewczyna milczała w odróżnieniu od ryczących niebios. Widząc lukę, Rosvita ciągnęła: – Chciałabyś nauczyć się aretuzańskiego? Bardzo dobrze czytasz po dariyańsku.

Przygryzła wargę. Kusiło ją.

„Pokusa”. To Rosvita rozumiała. Wiedziała, jak się dba o tę przywarę, choć z pewnością popełniała grzech.

– Mogę cię uczyć aretuzańskiego. Widziałam, jak w bibliotece czytałaś pracę Jinnijczyka, jak mniemam jednego z astronomów. Było to, zanim Ivar...

– Ivar – wyszeptała dziewczyna, wyglądając na zażenowaną.

– Mój brat Ivar – przytaknęła Rosvita i natychmiast dostrzegła, jakiego klina mogła użyć, aby rozsadzić skorupę dziewczyny. – Czy kiedykolwiek o mnie wspominał? Jak sądzę, znałaś go w Spokoju Serca, zanim wstąpił do zakonu.

– Zawsze mówił o was z szacunkiem – przyznała – choć nigdy nie chciał pójść w wasze ślady!

– Mam powód, by tak sądzić.

Orlica zaczerwieniła się i odwróciła wzrok, zażenowana albo przypomnieniem sceny w bibliotece, albo faktem, że ktoś ją podglądał.

– Ufa wam.

Rosvita ostrożnie wzięła oddech, ważąc słowa. Ten moment był przełomowy. Mogła wszystko zdobyć lub stracić.

– Siostro!

Nieomal zakłęta na głos, powstrzymała się. Spojrzała w kierunku głosu i skrzywiła się. Mężczyzna w średnim wieku o ciemnych włosach i banalnej twarzy, królewski Orzeł, prowadził konia przez bramę na dziedziniec.

– Proszę, siostro, przywożę ważną wiadomość. – Podprowadził utykającego konia i stanął przed nią. – Siostro – powtórzył z szacunkiem.

Szlag by trafił! Dzięki temu dziewczyna uciekła, znikając niby zwierzę ścigane przez psy. Zbyt późno już było na przywołanie jej z powrotem, a poza tym Rosvita znała swe obowiązki: mężczyzna był zdrożony, zmęczony i chyba bolały go nogi.

– Skąd przybywasz? – spytała grzecznie. W końcu to nie była jego wina, przynajmniej nie całkowicie. W ten sposób Bóg przypominał jej o obowiązkach.

– Jestem posłańcem księżniczki Sapientii.

– Sapientii!

– Miałem jechać pół dnia drogi przed nią, aby upewnić się, że jej kwatery zostaną odpowiednio przygotowane, ale koń mi okulał i... – urwał, uciszony dzwonieniem upręży, głosami i śmiechem, które przyniósł nagły podmuch wiatru. Błyskawica rozjaśniła ciemne niebo; grzmot, niemal nad nimi, przetoczył się, wprawiając w drzenie okiennice. Zaczęło padać.

Jeźdźcy pojawili się w bramie, śmiejąc się, nie zważając na burzę i deszcz. Był to mały orszak, liczył sobie dwudziestu ludzi, kilka wozów i idących obok służących, ale orszak szlachcianki. Przemoczony sztandar oblepiał drzewce. Konie nosiły bogate derki, a żołnierze dobre zbroje.

Księżniczka jechała na czele. Rosvita oceniła, że mogła być co najwyżej w czwartym miesiącu, biorąc pod uwagę, że ruszyła na wyprawę ledwie pół roku temu, ale księżniczka była tak szczupła, że nawet poprzez grubą wełnę podróżnej tuniki Rosvita dostrzegła wiele mówiące zaokrąglenie brzucha.

Jednak wzrok kleryczki niemal natychmiast oderwał się od Sapientii i przeskoczył na mężczyznę jadącego nonszalancko u jej boku.

Rosvicie opadła szczeka. Bez słów wiedziała, że ten mężczyzna był ojcem nie narodzonego dziecka Sapientii. Poznała to, jak wszyscy mogli poznać, po drobnych, intymnych gestach wymienianych przez niego i księżniczkę. Prawdę mówiąc, była zgorszona, choć po tylu latach na królewskim dworze uważała się za odporną na zgorszenie.

Orzeł, stojący obok, mruknął, widząc jej zdumienie:

– Tego się nikt nie spodziewał.

A jednak, po chwili zastanowienia, Rosvita doszła do wniosku, że wcale nie była zaskoczona. Żałoba Henryka uczyniła go niezdolnym do wyprawienia najstarszego prawego dziecka na wyprawę, jak nakazywała tradycja. Złożył ten obowiązek na barki Judith, margrabiny Olsatii i Austrii.

A to, oczywiście, był nieunikniony rezultat.

4.

Wepchnęła książkę do sakwy, przeklinając pod nosem samą siebie. Dlaczego nieustannie się zdradzała? Czy nie lepiej byłoby przestać grać kogoś, kim nie była: zwykłego, niewykształconego Orła? Dlaczego nie zaufać tej kobiecie? Wyglądała na godną zaufania, a poza tym była siostrą Ivara.

Jednak Rosvita wiele lat przeżyła na królewskim dworze. Nie mogła być prostą kobietą, tak nieskomplikowaną jak Ivar; mogła zostać wplątana w wiele intryg nieznanymi Liath, niebezpiecznych dla Liath. Jako dobra kapłanka na pewno nie wysłucha ze współczuciem opowieści o demonach i zakazanej wiedzy matematyków.

„Nigdy nie będę wiedziała. Nigdy się nie zorientuję, komu ufać. Dlatego tato powiedział mi: »Nie ufaj nikomu«”.

Rozległ się grzmot. Cała stajnia zatrzęsała się od trzasku i ryku. Podskoczyła przerażona, nienawidząc się za to, że ciągle się bała. Gdyby tylko Hanna wróciła, ale nie spodziewała się jej przez wiele miesięcy. A z Hanną wróci Wilkun i jego przekłete pytania, a także baczna obserwacja.

Ale czy Rosvita nie była bardziej godna zaufania niż Wilkun? Liath lubiła Wilkuna i to było najgorsze, ale nie mogła mu ufać. Znał jej rodziców. Wiedział, czym była, czegoś od niej chciał, tak jak Hugo chciał...

Ale nie zamierzała myśleć o Hugonie. Nie mogła. Hugo wyglądał na kogoś, komu można było zaufać. Piękny Hugo. Dotknęła policzka, wspominając ból, kiedy ją bił.

– Uwolniłaś się od Hugona – wyszeptała, aby skończyć z tymi nieustannymi, bezwocnymi, niepotrzebnymi spekulacjami.

Niebo grzmiało i grzmiało, dokładnie nad nią. Zadrzała, opanowana nagłą, intensywną falą lęku, który zdawał się być żywym stworzeniem, demonem, który zatopił w niej swe szpony i zaciskał je, wyszarpując krew, wewnętrżności i wysysając z niej całego ducha. Deszcz bębnił o dach.

Nagle drzwi stajni otworzyły się i do środka wpadł korowód służących. Mówili wszyscy naraz, plotkując, podnieceni, liczni. Wsunęła się do boksu, w którym leżał ekwipunek jej i Hathui. Kryjąc się w cieniu, słuchała: Sapientia wysłana na wędrowkę po bitwie pod Kassel,

wróciła triumfalnie na dwór królewski, nosząc dziecko, które, jeśli urodzi się żywe i zdrowe, zagwarantuje jej prawo do ogłoszenia się następczynią ojca.

Zaraz za nimi wrócili myśliwi, uciekając przed burzą. Każdy boks potrzebny był dla koni. Liath zebrała pakunki swoje oraz Hathui i wrzuciła je na strych, gdzie ułożyła je bezpiecznie w kącie. Trochę to potrwało. Schodziła innym z drogi. Była kolejnym anonimowym służącym, kimś, kogo się nie dostrzega.

Ale, niestety, nie wiecznie.

Hathui, przemoczona na wylot, weszła po drabinie na drewnianą podłogę strychu. Wyżeła wodę z płaszcza. Włosy miała przyklejone do głowy i karku.

– Wróciłaś! – powiedziała z zaskoczeniem.

– Owszem.

– Powinnaś czekać na króla – ofuknęła ją Hathui. A potem, oderwana od tematu przez zamieszanie na dole, dodała: – Słyszałam, że księżniczka Sapientia wróciła, ale jej nie widziałam.

– Ja też nie – odparła Liath. – Ona i jej orszak musieli jechać tuż za mną.

– Przyjechali zachodnim szlakiem. – Hathui podniosła sakwy i koc. – Jadę do Quedlinhamu, by zanieść wieści królowej Matyldzie i matce Scholastyce. A ty musisz iść do króla. Natychmiast.

Liath posłusznie pokiwała głową. Wepchnęła sakwy w kąt i ukryła je pod rzuconym na wierzch kocem. Hathui powiesiła sobie pled na szyi i kiwając do Liath, szybko zeszła po drabinie. Liath podążyła za nią.

Wciąż lało. Poczekała, aż Hathui dostała nowego konia, dopiero co osiodłanego. Skulona w bocznych drzwiach, stała pod okapem, a woda spływała po dachu i zbierała się u jej stóp w kałużę, deszcz zmieniał suchy, pylisty dziedziniec w bajoro błota. Hathui wyszła ze stajni, wskoczyła na konia i pogalopowała przez bramę prosto w paszczę burzy. Liath patrzyła przez dziedziniec na bieloną ścianę wielkiego dworu, w którym toczyło się życie, ucztowano i spano. Nie zmienił się przez godzinę, odkąd weszła tam w poszukiwaniu samotności. Jednak teraz znów poczuła falę strachu, jakby przyniósł ją deszcz, tak ohydny napływ paniki, że kolana niemal się pod nią ugięły.

Nie mogła poddać się staremu lękowi. Dotknęła rękojeści miecza, jej „dobrego przyjaciela” i poruszyła ramionami, by poczuć przyjemny ciężar łuku, Poszukiwacza Serc i kołczanu pełnego strzał.

Odepchnęła się od ściany i skoczyła w deszcz, gnając tak szybko, jak mogła po rozmięklej ziemi. Przebiegła dziedziniec przemoczona tylko w połowie, a Lew stojący pod okapem uśmiechnął się do niej i otworzył drzwi. Popłynęło ciepło i dym. Weszła do budynku.

Bardzo się zmienił. Pracowici klerycy zostali wyparci przez głośnych, mokrych, roześmianych, chełpliwych dworzan, szlachtę dopiero co przybyłą z polowania. Choć duża, sala wydawała się zatłoczona, cuchnęła mokrą wełną i spoconymi, jowialnymi mężczyznami i

kobietami. Liath przepychała się między nimi ku palenisku na drugim końcu sali, gdzie stało królewskie krzesło. Z każdym krokiem rozdzierała ją panika, pazurzasta dłoń rwała jej duszę, dążąc na oślep przez brukowane ulice miasta pamięci drogą ku zamkniętej wieży. Musiała zmuszać stopy do każdego kroku.

Co się z nią działo? Dlaczego ogarnął ją strach?

O ile łatwiej byłoby się odwrócić i uciec. Ale tak robił tato i w końcu go to nie ocaliło. Aby żyć, musiała starać się lepiej niż on.

Rozstąpili się przed nią, czyniąc przejście dla królewskiego Orła. Henryk siedział na krześle, wyglądał na zmęczonego. Jedną dłonią bawił się psią smyczą, splątaną i całą w węzłach. Drugą położył na biodrze; bez ustanku otwierał ją i zamykał. Był roztargniony, spoglądał w kierunku dwojga swych młodszych dzieci, siedzących przy ogniu, niewątpliwie ich nie widząc. Sapia stąła obok, nerwowo przestępując z nogi na nogę, nieustannie rzucając spojrzenia ku grupie ludzi klęczących u jej stóp. Jej dworzanie pochylali się nad pięknie rzeźbioną skrzynią, w której prawdopodobnie trzymała swe odzienie i pamiątki z uświęconej wędrówki, której pomyślny wynik uznawał ją godną roli królowej po śmierci Henryka.

Zagrzmiało, wstrząsając posadami domu i okiennicami, a zaraz potem dał się słyszeć drugi huk, odbijając się echem w sali i uciszając rozmowy. Dworzanie księżniczki wstali i ustawili się w nowy wzór, rozświetlony i skupiony przez mężczyznę stojącego pośrodku, mężczyznę, na którego patrzyła Sapia, nie spuszczać zazdrosnego i chciwego spojrzenia z jego twarzy.

Z jego pięknej twarzy.

Kiedy grzmot umilkł, Liath usłyszała delikatne syczenie i trzaskanie gałęzi na palenisku.

„Hugo”.

CZEŚĆ DRUGA

CAPUT DRACONIS

Rozdział piąty

Dłoń Pani

1.

Wiatr rani jego skórę, ale nie dba o to. Zwykły mróz, zwykłe smaganie śniegu niesionego wiatrem nie są w stanie wygonić go z dziobu okrętu. Żeglujecie na skrzydłach sztormu, pędząc ku północnej krainie, by rozerwać gardła tych wodzów, którzy odmówili odsłonięcia ich przed jego ojcem, Krwawym Sercem. Taki ma obowiązek.

Jego bracia z miotu śmiali się i wyli z radości, ponieważ uznali to za karę. Czyż nie okazał swej słabości, dając się pojmać Miękkim? I czy nie okazuje tej słabości, nosząc na piersi koło? Koło, które jest znakiem Boga Miękkich?

Wie, że Krwawe Serce chciał, aby ten obowiązek był karą. Wysłany do północnego kraju, dziedziny StarejMatki i MądrychMatek, nie zdobędzie łupów i chwały, najeżdżając przez całą zimę ziemie Miękkich wokół miasta zwanego Gent, nazywanego przez Krwawe Serce Hundse, „traktować jak psa”.

Ale jego bracia widzą tylko czubki własnych nosów. Nie rozumieją, a on im nie mówi, że nosi krąg nie dlatego, że wierzy w Boga Miękkich, ale raczej na znak swego związku z Alainem Henrissonem, człowiekiem, który go uwolnił. Nie rozumieją, że ich brat, w niełasce wracający do północnego kraju, będzie tym, który przystawi pazury do gardel buntowniczych watażków.

Kiedys, gdzieś, Krwawe Serce umrze. Samce zawsze umierają. StaraMatka zawsze sztywnieje, starzeje się i w końcu wpina do fjallu MądrychMatek. Tam, ze swymi matkami, babkami i prababkami z niezliczonych pokoleń śnić będzie o przeszłości i przyszłości, i o gwiazdach, które tkwią niby myśli rozciągnięte w fjallu niebios, zbyt stromym, by wspięły się do niego ludzkie nogi.

A kiedy Krwawe Serce umrze, kogo będą pamiętać wodzowie z północnego kraju? Tych, którzy najeżdżali i łupili na południu, daleko od domu? Czy tego, który wpadł do ich domów,

złupił ich złoto, zabrał i zabił ich niewolników? Tego, przed którym obnażyli gardła?

Jęki i szlochy niewolników przeszkadzają mu. Psy się niepokoją, ale już nie pozwala im pożerać posłusznych niewolników. Tę lekcję dał mu Alain: czyn nie może być rządzony odruchem. Inne SkalneDzieci wioślując, spoglądają na niego gorzko: chcą go wyzwać, ale nie mają odwagi. Nie wywalczyli sobie prawa do męskiej formy, wychodząc z gniazda Krwawego Serca. Pochodzą z innych gniazd, innych dolin, innych grobli. Służą Krwawemu Sercu i jego szczeniakom. Nie wyzywają go.

Ale wciąż patrz. Nie odważy się zdradzić przed nimi z najmniejszą słabością, bo nie będą dla niego walczyć, gdy nadejdzie czas pokonania buntowniczych wodzów, niezależnych, którzy najeżdżają tak, jak to SkalneDzieci czyniły przed hegemonią Krwawego Serca: jak im się podoba, bez koordynacji, bez wizji, która ich prowadzi. Nie są lepsi od psów! Czasami zastanawia się, jak zdołali osiągnąć wiek męski, ale nie przejmuje się tym. Odpowiedź na to pytanie znają tylko MądreMatki i StaraMatka.

Schodzi z dziobu i idzie przez kołyszący się statek. Uderzenia fal, ich powstawanie i opadanie są dla niego niby drugi oddech; nie myli się, choć fale są strome tutaj, gdzie morze śpiewa z radością dla nadchodzącej burzy.

Staje na rufie, gdzie kulą się niewolnicy. Nieszczęsne stworzenia. Jeden z brodą, jak wszystkie starsze samce, przez moment patrzy na nie go wyzywająco; potem, przypominając sobie, samiec opuszcza szybko wzrok i kuli ramiona, czekając na śmiertelny cios. Inny zabiłby samca za to spojrzenie. Ale on wie lepiej.

Pilnuj silnych. Za jakiś czas mogą stać się użytecznymi narzędziami.

Pochyla się i przyciska koniuszek pazura delikatnie, ale stanowczo do kącika oka niepokornego samca, jakby mówiąc: „Zauważyłem cię”.

A potem odwraca się do innych, znajdując tę, która tak jęczy, piszczy i stęka. Bije od niej odór krwi i nieczystości. To samica w średnim wieku, z wynędzniałą twarzą, chuda, ze spódnicami uwalanymi krwią i kałem, znakiem choroby, który już nauczył się rozpoznawać. Każdy Miękki, wydalający z siebie taką wstrętną mieszankę krwi, ropy i smrodu umiera po jednym, góra trzech dniach w okrutnych męczarniach. W Gencie niektórzy z jego braci zakładali się, ile dni przeżyje człowiek powalony chorobą. Ale on zauważył, że choroba rozprzestrzenia się na innych, jeśli szybko nie usunie się jej źródła. Po co to żałosne stworzenie ma tu leżeć, wijąc się z bólu we własnych odchodach?

On, oczywiście, nie ma zamiaru brudzić sobie pazurów jej płynami. Podnosi oszczep, którego żelazne ostrze jest wspaniałym śmiertcionośnym narzędziem. Przystawia ostrze do piersi samicy. Ona jęczy i lka, trzymając się za brzuch, a inni odsuwają się, jednak nikt nie próbuje go powstrzymać. Boją się go. Z pewnością wiedzą, że jest skazana. Nawet modlitwa do ich Boga nie może jej uratować.

Oto kolejna lekcja, której nauczył się od Alaina: być miłosiernym. Jednym pchnięciem przebija jej pierś.

* * *

Alain zerwał się, dysząc, z rękami zaciśniętymi na piersi. Ból, który poczuł, zniknął, kiedy Smutek i Furia zadrżały, obudziły się i lizały go po rękach, dopóki się nie uspokoił. Sen był taki prawdziwy. Ale wszystkie sny o Piątym Synu były bardzo realne. Krew, którą wymienili tyle miesięcy temu, w jakiś sposób nieodwracalnie ich złączyła. Widział oczami Piątego Syna i znał jego myśli. Podczas snu żył w twardej jak metal skórze Eiki.

Drżąc, pozwolił dwóm czarnym ogarom, aby go lizały, dopóki nie minęła fala obrzydzenia. Po obrzydzeniu przyszedł wstyd. Jakie miał prawo osądzać innych, nawet Eikę?

Zamigotał płomyczek, przeświecający przez zasłonę oddzielającą jego część namiotu od części ojca.

„Mojego ojca”.

Zasłona została odrzucona. Hrabia Lavastine zajął do niego, w jednej ręce trzymając kaganek, w drugiej cienki materiał.

– Alain? Usłyszałem twój krzyk.

Alain zwiesił nogi z pryczy i spojrzał na ojca. Gdyby wstał, byłby od niego wyższy o pół głowy; o tak wstydlivej porze, kiedy hrabia nosił tylko lnianą tunikę i gatki, wołał siedzieć. Lavastine puścił zasłonę i podszedł do Alaina.

– Wszystko w porządku? – dotknął policzka chłopca wierzchem dłoni. Nie był to czuły gest, hrabia takich nie miewał, ale samo okazanie niepokoju głęboko Alaina wzruszyło.

– Tak. Miałem zły sen.

Strach przyłazł z drugiej części namiotu i skubnął Furię. Lavastine poklepał je lekko, nieuważnie i oba psy uwalily się razem, zmieniając się w czarną masę ciała.

– Martwisz się bitwą.

Na Panią, sen był tak realistyczny, że Alain zapomniał o czekającym ich nazajutrz zadaniu.

– Nie – odparł szczerze. – Nękają mnie sny o księciu Eików.

Lavastine zaczął chodzić. Strach ziewnął, przeciągnął się, niemal podążył za swym panem, a potem obnażył zęby, nieuważnie skubnął Furię i znów zasnął.

– Nie obawiaj się mego gniewu, Alainie. Byłeś ze mną szczerzy i wybaczyłem ci uwolnienie dzikiego. Czy to Eików się boisz? Może obawiasz się, że księżę będzie wśród nich i kiedy przyjdzie co do czego, nie będziesz mógł go zabić?

– Nie ma go wśród nich. Płynie na północ. Jego ojciec wysłał go do kraju, aby przywołał do porządku wodzów, którzy nie uznali jeszcze Krwawego Serca wodzem wszystkich Eików. Królem, jak my byśmy powiedzieli.

Kiedy tylko skończył mówić, Alain uświadomił sobie, jak dziwnie musiały zabrzmieć jego słowa. Lavastine odwrócił się i w ciepłym świetle świecy wykrzywił twarz w grymasie, który nie był ani uśmiechem, ani wyrazem ciepła czy rozbawienia.

– Synu. – Przez ostatnie miesiące napawał się tym słowem. – Jeśli naprawdę masz sny, które są jednocześnie prawdziwymi wizjami, życzę sobie, abyś nigdy nie mówił o nich nikomu prócz mnie. Ani diakonisie, ani innym duchownym.

– Dlaczego nie?

– Bo mogliby uznać, że zostałeś dotknięty przez Boga i spróbować mi cię odebrać. Dopóki żyję, nie pozwolę ci odejść.

Alain zadrżał.

– Nie mów tak – wyszeptał. – Nie mów o śmierci.

Lavastine wyciągnął dłoń, zawahał się, a potem dotknął ciemnej głowy chłopca, niemal czule, a na pewno zaborczo.

– Nie pozwolę ci odejść, Alainie, nigdy – powtórzył. Kręcąc głową niby otrzepujący się pies, poszedł do swej części namiotu, zawieszając na kołku płócienne wejście. – Czuję poranek – rzekł. – Wstawaj, synu. Czas się przygotować do bitwy.

Ogary wstały i obudziły służących, którzy pospieszyli przynieść zapalone latarnie i ubranie. Odziali hrabiego i jego dziedzica w watowane kubraki, by osłonić ciało przed wgnieceniami od zbroi. Alain spędził lato na ćwiczeniach w pełnym rynsztunku, przyzwyczajając się do jego wagi i ułożenia na ciele; ciężkiej kolczugi, miękkiego skózanego kaptura, na który służący nałożył misiurkę, a na nią nasadził stożkowy hełm zdobiony brązem. Drugi służący obwiązywał nogi Alaina skózanymi pasami od kostek do kolan. Ta zbroja była znacznie lepsza od wszystkiego, na co mógł liczyć jako ciura.

Nie myślał o bitwie, o ile do niej dojdzie, kiedy służący zapinał mu na biodrach pas z krótkim mieczem. Oszczep wziął z drabinki sprzed namiotu. Długie dębowe drzewce wzmocniono błękitnym rzemieniem, wijącym się przez całą jego długość i puszczone tuż przed ostrzem. Stajenni przyprowadzili konie. Bez ceregieli Alain wskoczył na swojego. Był urodzonym jeźdźcem: Lavastine kilka razy emfaticznie oznajmił, że była to pewna oznaka szlacheckiej krwi Alaina. Mógł się urodzić, choć tak naprawdę zaczął się uczyć jazdy konnej tamtego dnia w miesiącu sormas, kiedy Lavastine ogłosił go swym synem i następcą. Był niewprawy i niedoświadczony w tej sztuce, zwłaszcza jeśli chodziło o potyczki toczone z siodła. Ale synowi hrabiego nie przystawało walczyć na piechotę. Wobec tego miał jechać.

Lavastine dosiadł swego wspaniałego siwego ogiera, Szarej Grzywy i skinął na Alaina, jakby chciał powiedzieć: „Jesteś gotów?”

Alain przytaknął. Nie rozczaruje ojca.

Czyż całe życie nie marzył, by ruszyć na wojnę? Jego przybrany ojciec, Henri kupiec i ciotka Bel obiecali oddać go Kościołowi, by przeżył swe dni w klasztorze na Smoczym Ogonie. Ale tego burzliwego wiosennego dnia, kiedy Eikowie wymordowali wszystkich mnichów i spalili klasztor, objawiła mu się Pani Bitew. Dała mu różę, która nigdy nie wiodła i nie łamała, różę, którą nosił schowaną w lnianej sakiewce, zawieszanej na rzemyku na szyi. Odebrała od niego przysięgę. „Służ mi”. Przyrzekł jej służyć w zamian za ocalenie Osny

przed atakiem Eików, ale też dlatego, że z całego serca tego pragnął. I z tego powodu wciąż czuł się winny wobec człowieka, który go wychował i w dobrej wierze obiecał Kościołowi.

Ptaki śpiewały, otaczało ich szare światło prześwitu, rysując szkielety drzew na tle połąci nieba. Nad drzewami świeciły gwiazdy. Szkolony na nawigatora, Alain nie mógł się oprzeć pokusie śledzenia konstelacji i zastanawiania się nad ich znaczeniem. Wędrujące gwiazdy poruszały się pod sferą gwiazd stałych, najwyższą z siedmiu, ponad którymi leżała Komnata Światła. Z ich nici przędła się moc zawiadująca Losem, której splot wprawne ręce potrafiły rozwikłać. A przynajmniej takie chodziły słuchy, choć nauki te zostały zakazane przez Kościół.

Blady różowy punkt Aturny, Maga, lśnił przy zenicie w konstelacji Sióstr, a Mok, planeta mądrości i hojności, odbywała swą zwykłą wędrówkę przez Lwa. Na zachód od Aturny klejnot siedmiu gwiazd, leżących blisko siebie i znanych jako Korona, świecił tak jasno, że wydało mu się, iż pomiędzy rodzeństwem ujrzał tajemniczą siódmą siostrę. Łuk i Strzała, której grot rozjaśniała niebieska gwiazda Seirios, wycelowane ku Łucznikowi w pasie z klejnotów i z lewym ramieniem naznaczonym czerwienią: gwiazdą Vulneris. Ale kiedy Alain patrzył, przypominając sobie wiedzę otrzymaną od przybranego ojca, gwiazdy zbladły. Niedługo światło wschodzącego słońca zniszczy je, tak jak hrabia zamierzał zniszczyć obóz Eików.

Lavastine podniósł rękę, nakazując ciszę. Jego żołnierze uciszyli się i podeszli ku niemu. Byli to kawalerzyści, dwudziestu doświadczonych ludzi, najlepsi wojownicy. Piechota już stała na swoim miejscu. Zwiadowcy czołgali się właśnie ku brzegowi, by wykonać rozkazy.

Lavastine, kiedy tylko mógł, nie zostawiał niczego przypadkowi.

Ruszyli powoli; uzbrojeni służący trzymali wodze i prowadzili konie po podmokłym terenie. Ziemia stała się bardziej sucha, gdy przeszli przez las, a potem poczerniałym polem, które niegdyś rodziło owies, wreszcie wyszli na piaszczyste wzgórze nad plażą. Tam, na kamiennym wzniesieniu tuż przy ujściu rzeki Eikowie zbudowali zimowy obóz.

Morze błyszczało i drżało na wschodzie, dotknięte pierwszymi promieniami słońca, rozlewającymi się po falach. Wśród łodzi leżących na plaży, niby echo słonecznego blasku, wybuchł ogień.

– Naprzód – powiedział Lavastine spokojnie. Zawsze był spokojny.

Alain pocił się z podniecenia. Być może kiedyś bardowie będą śpiewać o tej bitwie. Ruszył za ojcem, a reszta jezdnych ustawiła się wokół, chroniąc ich. Żaden szlachcic nie wysyłał swej jazdy w pole samej; było to niehonorowe i nielojalne. I tak syn Lavastine'a: bękart dopiero niedawno uznany za oficjalnego dziedzica, musiał być zdolny do wyruszenia do walki.

Lavastine tylko raz spojrzął na Alaina, jakby chciał powiedzieć: „Nie zawieź mnie”.

W obozie Eików rozległ się alarm: szczekanie psów i dźwięk rogu. Eikowie wyroili się jak szerszenie ze swego schronienia i wypadli za palisadę ratować okręty.

Łucznicy ukryci w krzakach na stromym zboczu zapalili strzały od węgla, niesionych w wydrążonych tubach i zaczęli szyc w obóz. Piechota, która szła wzdłuż brzegu, odcięła zaskoczonych Eików od ujścia rzeki. A z tyłu, niby pazurzasta łapa, nadjechał Lavastine ze swą kawalerią.

Alain wykorzystywał wszystkie swe umiejętności, by dotrzymać kroku innym, utrzymać równowagę, nie wypuścić z ręki oszczepu, nie dać się zrzucić i nie zwracać uwagi na setki rzeczy, które działy się wokół. Płócienne namioty paliły się wściekłym, parszającym płomieniem. Okręty nie płonęły tak jasno, ale tuzin kształtów miotał się wokół, tłumiąc płomienie i wyjąc z wściekłości, podczas gdy lekko uzbrojeni zwiadowcy zmykali w bezpieczne miejsce.

Kawaleria uderzyła w pierwszy szereg Eików, tych, którzy ich dostrzegli i przygotowali się do walki. Alain szarżował wprost na jednego z nich. Nawet nie nadstawił oszczepu, nie parował, po prostu jechał, mając nadzieję, że koń wiedział, co robi. On nie miał zielonego pojęcia. Ledwo był świadom, że obok Lavastine uderzył swym oszczepem, trafiając w pierś Eiki, pchnął i pojechał dalej, zostawiając broń. Żołnierze gnali za nim, zostawiając w tyle masę stratowanych Eików. W oddali większa grupa barbarzyńców zwarła się z piechotą. Walcząc pieszo, Eikowie mieli przewagę nad mniejszymi, słabszymi ludźmi. Rąbiąc toporami i używając tarcz jak broni, waląc i tnąc, Eikowie przebijali się przez żołnierzy. Ale nawet w szale bitewnym kilku odwróciło się, słysząc wrzaski braci i tętent kopyt.

Był wśród nich. Miedziano, brązowo, złoto, srebrno lub żelaznoskórzy, przypominali stwory odlane z metalu na ludzką modłę, ale wcale nie byli ludźmi. Jeden się na niego zamierzył, szczerząc białe zęby, włosy miał w kolorze kości. Sparował oszczepem, poczuł, że ostrze topora utkwilo w owiniętym skórą drzewcu. Pociągnął, nagle ogarnięty paniką, gdy Eika rzucił tarczę i dobył noża. Przerażony Alain puścił oszczep i gdy stwór cofnął się z upiornym grymasem zastygłym na ustach, wyciągnął miecz, podniósł go i...

...w tej chwili, z wytraconym z równowagi Eiką przed sobą, otoczony walczącymi żołnierzami, odpychającymi Eików, kiedy Lavastine krzychał, by ich popędzić, nim ojciec rozejrzał się i ujrzał go zmrożonego, tchórza, zrozumiał, że nie potrafił tego zrobić.

Nie potrafił zabić.

Eika odrzucił topór, miecz i skoczył ku niemu z nożem, złowieszczym obsydianowym ostrzem. Alain spróbował unieść swój krótki miecz, by sparować cios, ale nagłe uświadomienie sobie tego uczucia sparaliżowało go.

Nie potrafił zabić.

Nie był nic wart. Nigdy nie zostanie żołnierzem. Zawiódł ojca.

I zginie.

Słońce zaświeciło mu w oczy, oślepiając. Czy też zaćmiła mu wzrok śmierć, której nie poczuł, nóż zatopiony w oku albo gardle? Puścił wodze i odruchowo wyciągnął rękę, by osłonić się przed światłem. Otoczył go cień. Stalowszary, szeroki miecz przeciął jego pole

widzenia. Eika upadł, cięty w pół skoku i potoczył się po ziemi.

Alain jęknął i poszukał wodzy, nim koń poczuł, że nikt go nie kontrolował; ale to był tresowany rumak bojowy. Parł naprzód z innymi. Kto nadjechał? Kto go ocalił? Kto był świadkiem jego tchórzostwa?

Odwrócił się. Jej wzrok był jednocześnie odległy i przeszywający. Róża płonęła na jego piersi jak rozżarzony węgiel przyciśnięty do skóry.

Dała koniowi ostrogę, a jego wierzchowiec nie słuchał Alaina, tylko jej, choć go nie tknęła, choć nie trzymała jego wodzy.

– Trzymaj się mnie – nie wiedział, czy wypowiedziała te słowa, czy rozbrzmiały mu w głowie. „Jestem Panią Bitew”. Jej straszliwe piękno zostało wykute w trudzie, bólu i dzikim szaleństwie bitwy. Pchnęła swego białego konia i z Alainem u boku runęła na Eików, uderzając na boki, ruszając się z taką gracją, że pojął, iż od tylu lat ruszała do walki, że nie potrzebowała już zastanawiać się, jak zabijać.

Za nią jechał Lavastine, ponury i skupiony na swym zadaniu. Bitwy go nie bawiły; stanowiły obowiązek. Zatrzymał cios i uderzył, powalając srebrnołuskiego Eikę; ten padł, a Lavastine spojrział przez kobietę, zauważył Alaina i walczył dalej.

Kawaleria spychała Eików na czekający szereg piechoty. Złapani między wrogów, Eikowie walczyli z pozbawioną nadziei furią lub próbowali uciec. Alain, z Panią Bitew u boku, pozostał nietknięty. Ona powalała wszystkich dzikich, którzy się na niego rzucali lub zamierzali toporem czy oszczepem. On zdołał nie spaść z konia. U jej drugiego boku Lavastine walczył z niezmiennym spokojem.

Alain ściągnął konia w lewo, aby nie stratować piechoty. Dwa szeregi spotkały się w końcu. Lavastine odbił w bok i krzykiem skierował Alaina i tuzin innych ku brzegowi. Niektórzy Eikowie pognali prosto ku okrętom; inni walczyli z nadciągającymi jeźdźcami. Ale barbarzyńcy zostali pokonani. Każdy walczył o własne życie lub śmierć. Jeden okręt spuszczone do połowy na wodę; Eikowie szarpali się o miejsce na pokładzie, łapali wiosła, spychali korab ku prądowi. Dwa okręty płonęły, oleisty dym kłuł Alaina w nos, wyciskając łzy z oczu i zaćmiewając wzrok.

– Ściągnij wodze! – krzyknął Lavastine.

Alain zamrugał, powstrzymując łzy i przesunął dłonią po oczach.

– Dobra robota – powiedział hrabia.

Alain otarł łzy z policzków i z zaskoczeniem spojrział na ojca. „Dobra robota”? Do kogo mówił?

Otoczyli ich żołnierze, trzymając broń w pogotowiu. Czekali na brzegu, gdzie piasek przechodził w trawiastą glebę i patrzyli na okręt niesiony prądem, na wiosła młójące wodę, pchające go na pełne morze. Kilka strzał wystrzelonych z okrętu spadło na płyciznę albo zaplątało się w wodorosty.

Pani Bitew zniknęła. Na swej piersi czuł tylko mały, chłodny pakiecik, skórzaną

sakiewkę.

Żołnierze rozglądali się wokół, otrząsając się po bitwie. Kilku Eików skoczyło do rzeki i popłynęło za oddalającym się okrętem. Większość konała na ziemi. Kilku ludzi odniosło rany, jeden lub dwóch śmiertelnie, ale taktyka Lavastine'a naznaczona była prostą efektywnością, jak wszystko w życiu hrabiego.

– Dobra robota, synu – powtórzył Lavastine. Podniósł miecz; ohydny płyn o zielononiebieskim połysku skorodowanej miedzi splamił ostrze. Trzymając go wysoko, zwrócił się do żołnierzy: – Moi zaufani towarzysze, widzieliście właśnie, jak chłopak sprawdził się w bitwie.

– Widziałem, jak powalił czterech, panie – przemówił jeden z kawalerzystów. – Szał bitewny go ogarnął. Blask od niego bił. Z radością pójdę za lordem Alainem. – Ku swemu przerażeniu, Alain dostrzegł w oczach żołnierza szacunek.

Kiedy tylko padły te słowa, inni zaczęli mówić. Oni też widzieli niezmierną poświatę wokół młodzieńca.

– Ale ja nic nie zrobiłem – zaprotestował. – Bałem się. Ochroniła mnie dłoń Pani Bitew, to ona powaliła Eików.

Zanim zamknął usta, pożałował, że je otworzył. Całkowicie przeinaczyli jego słowa. Nikt z nich jej nie widział. Uznali jego wypowiedź za skromność, pobożność. Wierzyli, że dokonał tych czynów, gdy w rzeczywistości dowiódł, iż był niegodny i ocaliła go tylko jej interwencja.

Kilku mężczyzn nakreśliło Krąg na piersiach. Inni mruczeili w zachwycie i zaskoczeniu. Kolejni skłonili głowy. Lavastine patrzył na niego twardo, a potem wykrzywił usta w grymasie, który uważał za uśmiech.

– Bóg Jedności położył na tobie dłoń, synu – rzekł z dumą. – Zostałeś stworzony na wojownika.

2.

Lavastine i jego orszak czcili dzień świętego Walentyna w fortecy żony lorda Godfryda, Aldegundy. Całe lato Lavastine szkolił Alaina w sztuce wojennej i zasadach dobrego zachowania, niezbędnych – wręcz pożądanym, biorąc pod uwagę szczegóły narodzin Alaina – by chłopak zrobił wrażenie na szlachcicach, zarządcach i służących, wiernych Lavastine'owi. Alain odziedziczył dobra ojca, ale musiał osiąść wiele innych cech, by rządzić po nim jako hrabia. Lavastine miał ich w bród: porywczność, waleczność, odwagę, liberalność oraz twardą determinację, by bronić swych włości i bliskich.

– Czy dobrze cię traktują? – spytał Lavastine wieczorem, kiedy szykowali się na ucztę podawaną w wielkiej sali.

– Tak, ojcze. – Alain stał nieruchomo, podziwiając wyszywaną błękitną tunikę

Lavastine'a, podczas gdy służący owijał łydki chłopaka pasami lnu, wiążąc luźne nogawice. Sprzączka z kawałeczków emalii, przedzielonych granatami osadzonymi w złocie, spinała wąski skórzany pas, który podtrzymywał tunikę, by sięgała nad kolana; wciąż zadziwiało go bogactwo pasa. Sama tunika, wełniana, ufarbowana została na głęboki niebieski odcień. Rozpoznawał kolor tkaniny tkanej i farbowanej w Osnie przez jego ciotkę Bel i panią Garie, które wykształciły swe córki i dalekie krewne w sztuce tkactwa.

„Ale to już nie jest moja ciotka Bel. To zwykła wieśniaczka, która mnie wychowała”.

Tak postanowił Lavastine. Alain nie miał wieści od swej dawnej rodziny, odkąd hrabia posłał Bel i Henriemu scetty jako wynagrodzenie za lata opieki nad Alainem. Czy zapomnieli o nim tak szybko, że nawet nie przysłali ani słowa o tym, jak się miewali oni, Stacy, Julien i mała Agnes?

Tę myśl i zdradzieckie ukąszenie smutku w sercu zatrzymał dla siebie.

Wreszcie wszystko było gotowe; w towarzystwie rodziny nie potrzebowali nosić broni. Ogary zamknięto na zewnątrz, ponieważ wprowadzone do nieznanego pomieszczenia zagrażałyby innym. Alain podążył za Lavastine'em z komnat, w których, jako goście honorowi, mieli tej nocy spać. Weszli razem do wielkiej sali. Każdy arras w zamku został wywietrzony i powieszony na ścianach. Ogień buzował na palenisku, gdzie sześć miesięcy wcześniej Lavastine – zaczarowany przez biskupinę Antonię – podniósł rękę na swego krewniaka Godfryda i jego młodą żonę.

A teraz Alain poczuł, że wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Wybaczyli Lavastine'owi szaleństwo sprowadzone przez obcego, ale Alain nie sądził, aby lord Godfryd i reszta wierzyli, że hrabia naprawdę zamierzał uczynić swym dziedzicem nieznanego dziecko z nieprawego łoża.

Wszyscy byli strasznie uprzejmi, gdy zajmował miejsce po prawicy ojca. Miejsce to, najzaszczytniejsze, kiedyś należało do lorda Godfryda; był on najbliższym krewnym hrabiego, dopóki nie pojawił się Alain.

Lady Aldegunda, gospodyni, zasiadła po lewej ręce Lavastine'a. Po modlitwie nakazała służącym rozlewać wino przy głównym stole i jablecznik przy stołach dla służby. Podążyła hrabiemu kielich, który on jako gość honorowy i ona jako gospodyni mieli dzielić; skłonił głowę, oddając jej naczynie, by piła pierwsza.

– Wnieśmy toast – powiedział lord Godfryd z przytłumionym uśmiechem przylepionym do twarzy – za nowo odkrytego syna i dziedzica mego kuzyna Lavastine'a. – Napił się i podał puchar Alainowi.

Żołnierze Lavastine'a spełnili toast ochoczo, wiwatując. Ludzie Aldegundy i Godfryda byli mniej mu radzi, wręcz niechętni. Lavastine przyglądał się zgromadzonym, których była jakaś pięćdziesiątka, ze zmrużonymi oczami i wykrzywioną twarzą, ale nie skomentował. Nie był głupcem. Musiał wiedzieć, że wielu wolało kuzyna w trzeciej linii od syna z nieprawego łoża. Służący wnieśli pierwsze danie, drób: kurczaki, gęsi, kuropatwy i przepiórki, tak mocno

doprawione, że Alain obawiał się o swój żołądek.

– Nie znaleźliście więcej zimowych obozów? – spytał Godfryd Lavastine’a, przechylając się przez Alaina.

Lavastine podniósł kielich do ust i lekko machnął ręką.

Alain podskoczył.

– Nie, lordzie Godfrydzie – odparł posłusznie, widząc, że ojciec pragnął, aby odpowiedział. – Nie znaleźliśmy więcej. Eikowie nie mają w zwyczaju zimować w tych stronach.

Usta Godfryda wygięły się w uśmiechu.

– Zaiste nie, lordzie Alainie. Po raz pierwszy Eikowie zostali na naszych brzegach po Mateuszach, a jednak moi ludzie spalili miesiąc temu ich obóz. A teraz przynosicie wieść, że nie dalej niż tydzień temu zniszczyliście drugi. Zastanawiam się, czy Eikowie chcą rozpocząć nową kampanię. A jeśli pragną naszej ziemi na równi z naszym złotem?

– Czy są rolnikami? – spytał Alain.

Godfryd zamrugął. Aldegunda zabrała Lavastine’owi puchar i odpowiedziała za męża. Była rok czy dwa młodsza od Alaina, a jej pierwsze dziecko spało w kołysce na piętrze.

– Sądzę, że dzicy nie znają się na uprawie ziemi. Mój ród ma tu włości od czasów cesarza Taillefera. Wszystko, czego pragną Eikowie, to złoto i inne dobra: niewolnicy, żelazo, monety, klejnoty, które mogą ze sobą zabrać.

– Ale po co chcieliby ziemi, jeśli nie pod uprawę? – zapytał Alain. – Albo na pastwiska dla bydła? – Zorientował się, że zadał złe pytanie. O takie rzeczy pytałaby ciotka Bel. Reszta szlachty zgromadzonej przy stole odwróciła się, by posłuchać i zobaczyć, jak robi z siebie głupca.

Nie da im tej satysfakcji. Nie będzie się wstydził, że ciotka Bel wpoila mu zdrowy rozsądek.

– Jeśli Eikowie stawiają zimowe obozy, musimy zadać sobie pytanie, po co robią to teraz, w tym roku, skoro nie czynili tak wcześniej. Mają ponoć wśród siebie jednego, który jest im królem, Krwawe Serce. Przedtem zawsze nas najeżdżali. Każdy okręt miał swojego wodza. Teraz jeden Eika zjednoczył wiele plemion, wziął Gent, to samo miasto, w którym król Arnulf Starszy koronował swe dzieci i ogłosił ich pretensje do tronów Wendaru i Varre.

Możni zaszemrali, zapominając, że nie ufali Alainowi. Ten przypomniał bowiem o ich żalu do króla Arnulfa, dziadka obecnego władcy. Kiedyś, jako księżęta, hrabiowie i szlachta Varre, koronowali własnego suwerennego władcę i toczyli własne wojenki o wpływy na varreńskim dworze. Teraz, wyrzutkowie na dworze zdominowanym przez Wendarczyków, czekali niezadowoleni. Niektórzy z obecnych tu mężczyzn wzięli udział u boku Sabelli w buncie przeciw Henrykowi. Kobiety wysyłały żywność i złoto, zasilając kasę Sabelli i utrzymując jej armię. Sabella była więźniem, a bunt się zakończył; Lavastine zaprzysiągł wierność królowi Henrykowi, a w zamian za to Henryk uznał bękarta hrabiego za

prawowitego dziedzica.

Bękart, który musiał przed nimi dowieść swej wartości.

– Niektórzy Eikowie uznają króla – ciągnął – podczas gdy inni stawiają zimowe obozowiska na varreńskich brzegach. Co to oznacza?

– Rzeczywiście – dodał Lavastine. – Co to oznacza, lordzie Godfrydzie? Czy próbowałeś rozwiązać tę zagadkę, kuzynie?

Wyraz twarzy Godfryda świadczył, że nie próbował. Pociągnął łyk wina, by ukryć zmieszanie i odstawił puchar na stół. Kilku żołnierzy zaśmiało się; ludzie Lavastine'a, którzy widzieli Alaina w bitwie i teraz zdawali się chętni do podążenia za nim dokądkolwiek, równie posłusznie jak Furia i Smutek.

„Nie jestem godzien”.

A jednak, jeśli Pani Bitew objawiła się jemu, a nie innym, czy nie była to oznaka godności? Czyż nie nosił róży, znaku jej łaski?

Służąca napełniła puchar Godfryda i zatrzymała się na chwilę wystarczająco długą, by spojrzeć na Alaina wyzywająco i z widocznym zainteresowaniem; zaczerwienił się, oblany falą gorąca. Dlaczego nie? W sali było tak gorąco, że rozgrzałoby się i najzimniejsze serce.

– A czy ty, lordzie Alainie, ukułeś jakąś teorię na temat tego, co powoduje Eikami? – zapytała Aldegunda ostrym głosem, jakby groziła. Aldegunda, kobieta o słodkiej twarzy i nieledwie dziewczynka, nie zaakceptowała Alaina, a mimo mariażu z Godfrydem Lavastine nie miał nad nią władzy. Jej rodzina posiadała własne ziemie i zamki, powiązania ze szlachtą Varre i królami Wendaru. Dała znak i służąca odeszła, by zatroszczyć się o inne kielichy.

– Owszem – jego rumieniec pociemniał, gdy usłyszał własne słowa. Brzmiały tak pysznie. Ale synowi hrabiego uchodziła pewna arogancja; w gruncie rzeczy oczekiwano jej po nim.

– Mów. – Lavastine przechylił swój puchar.

Alain pozwolił sobie na łyk wina dla kurazu, wspaniałego wina sprowadzonego z Salii, zanim podjął wątek.

– Sądzę, że Krwawe Serce zamierza stać się rywalem króla Henryka albo króla Lothaira z Salii. Ale kiedy nastaje nowy król albo królowa, zawsze znajdują się możni, których drażni jego panowanie. Niektórym z wodzów może się nie podobać podporządkowanie innemu Eice, nawet takiemu, który jest ponoć potężnym czarownikiem. Jeśli jednak ich lud chce się przypodobać Krwawemu Sercu, ci wodzowie i lojalni im żołnierze mogli zostać wypędzeni ze swych ziem jako buntownicy. Być może dlatego tu zimują. Nie mają do czego wracać.

– Możliwe – warknął Godfryd, osuszając ich wspólny kielich. Jego żona natychmiast nakazała służącemu dolać wina.

– Ale czy nie jest możliwe – zapytał starszy mężczyzna, którego Alain znał jako Meginhera, jednego z wielu wujów Aldegundy, woja o znacznej sławie – że te zimowe obozy zbudowano na rozkaz tegoż Krwawego Serca?

– A dlaczego zakładamy – wtrąciła się ostro Aldegunda – że Eikowie w ogóle zachowują się podobnie do nas? Przecież to dzicy, prawda? Niby dlaczego mieliby działać jak my? Co my tak naprawdę o nich wiemy?

„Wiem, co widzę w mych snach”. Ale nie mówił o snach na głos. Ojciec mu zabronił. Skłonił się przed mądrością Aldegundy, bo choć młoda, była kobietą, panią na tych włościach, stworzoną na podobieństwo Pani, rządzącej Paleniskiem Życia. Mężczyźni zostali stworzeni do cięższej pracy i choć z pewnością przewyższali kobiety w walce i znoju, wszyscy wiedzieli, a matki Kościoła często na ten temat pisały, że kobieta posiada większe inklinacje ku wysiłkowi umysłowemu i sztuce. Te błogosławieństwa, na równi z rodzeniem dzieci, zesłane im zostały przez naszą Panią, Matkę Życia.

– Niewiele wiemy o Eikach – uciął Lavastine. – Jednak dopóki utrzymuje się dobra pogoda, ja, mój syn i towarzyszący nam żołnierze będziemy patrolować wybrzeże tak długo, jak się da. Potem pomaszerujemy na zachód do zatoki Osna. Jak wiecie, ostatni i najgorszy atak Eików miał miejsce właśnie tam dwie wiosny temu.

– Ach. – Lord Godfryd pochylił się w przód, nagle zainteresowany. – W Zatoce Osny jest wioska. Czy to nie tam cię wychowano, lordzie Alainie? Pamiętam, że przybyłeś do fortecy Lavas wraz z innymi rolnikami, którzy mieli odsłużyć rok.

– Naprawdę? – zapytał Alain, zaskoczony, że tak ważny człowiek jak Godfryd mógł dostrzec nic nie znaczącego kmiotka jak on.

Ale Godfryd szybko opuścił wzrok, a Alain spojrzał na ojca i dostrzegł, że Lavastine utkwiał obojętny, i przez to wielce zawstydzający, wzrok w kuzynie.

Meginher parsknął i uniósł puchar, pociągając zdrowo. Służący zataczali się pod ciężarem pieczonego dzika i golonek, przybranych pieprzem. Alain nie mógł się powstrzymać od myśli o Półgłówku, który całe życie jadł owsiankę, do której czasami dorzucano zbywającej fasoli czy rzepy. Biedny bękart... jak Alain, tyle tylko, że życie Półgłówka potoczyło się inaczej. Nigdy nie pozwolono mu jeść tak dobrej stawy, prócz resztek ze stołu, o ile zdołał je zebrać, nim je rzucono świniom.

– Oczywiście – powiedział Lavastine, podając kielich gospodyni, która dopełniła go winem. – Każdy natychmiast dostrzegał twą wartość, Alainie, ponieważ postanowione zostało, że zajmiesz miejsce między magnatami i możnymi, prawda? Dwukrotnie już wykazałeś się w bitwie. – Powiedział to głośno i dobitnie, by wszyscy w sali go usłyszeli. Wskazał kapitana swej jazdy. – Mam rację, kapitanie?

Żołnierz wstał. Wraz z innymi klęknął przed Alainem cztery dni temu, po bitwie, nie tylko dlatego, że tak nakazał Lavastine.

– Walczę dla hrabiów Lavas, odkąd byłem podrostkiem, i nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Pamiętam, jak chłopak zabił guivre'a w bitwie pod Kassel. A jednak, widząc, jak jedzie na swą pierwszą bitwę jak prawdziwy żołnierz, jak uderza na prawo i lewo, nie okazując strachu, z taką siłą, taką wściekłością, że blask od niego bił, jakby go sam Bóg i

święci naznaczyli, jak zabija Eików wokół siebie, zrozumiałem, że urodził się, by zostać wojownikiem. – Reszta: ludzie Lavastine’a, którzy przetrwali bitwę, uderzali w stół kieliszkami, rękojeściami noży i pustymi talerzami, wykrzykując poparcie.

Alain skoczył na równe nogi.

– To dłoń Pani Bitew, nie moja, zabijała Eików – stwierdził.

– Siadaj – rzekł miękko Lavastine i Alain siadł, posłuszny jak psy.

Inni zamruczeli, ale lord Godfryd nie podnosił już tematu służby Alaina w fortecy Lavas, a pani Aldegunda zaczęła mówić o rzeczach bardziej niewinnych: tegorocznych żniwach, nowym pługu i o tym, jak łagodne lato i jesień zapowiadały bogate plony, które zaowocują obfitymi podatkami.

Wniesiono trzecie danie, cielęcinę i jagnięcinę doprawione kminkiem, pieprzem oraz innymi egzotycznymi przyprawami i garniturami. Kiedy Alain wybierał potrawy, poeta, szkolony na dworze króla Salii, a teraz zarabiający na kolację śpiewaniem po siedzibach wielmożów, wygłaszał długi i zawły panegiryk na cześć saliańskiego cesarza Taillefera.

Jak dawni żeglarze, stawiam żagiel, by me wątle członki zmagaly się ze sztormami, aby mój statek zmierzył się z falami. Wzrok mój utkwilem w latarni, co błyszczy z dala. Światło to zowią Taillefer. Patrzcie! Słońce nie dorównuje blaskiem cesarzowi, który opromienia ziemię swą niezmierną miłością i wielką mądrością.

Poeta dalej głosił w tym stylu cnoty dawno zmarłego cesarza, a Alain zastanawiał się, gdzie możni byli w stanie pomieścić to jedzenie, które wpychali w swe żołądki podczas uczty. On od czasu do czasu chodził głodny jak wszyscy, ale nigdy nie cierpiał; ciotka Bel była na tyle zamożna, że każdego roku mogła zrobić zapasy na wypadek katastrofalnie złych żniw. Ale widywał biednych, żyjących z dnia na dzień, ich bezustannie głodne, żebrzące pod kościołami dzieci o ramionach i nogach chudych jak patyki oraz twarzach, z których zniknęła nadzieja. Oczywiście, w dobrych latach ci ludzie znajdowali pracę i dawali sobie radę, ale w złych nawet zamożnym zaglądał w oczy głód.

Bo słońcu przypisanych jest dwanaście godzin ciemności, a Taillefer, jak gwiazda, lśni wiecznie. Stapa pierwszy pomiędzy wszystkimi i toruje drogę, by inni mogli pójść w jego ślady. Grubymi łańcuchami pęta niesprawiedliwych i pod ciężkim jarzmem zgina karki pysznych. Silną dłonią naucza niewiernych miłować Boga.

Służący wnieśli czwarte danie, czystą zupę z chlebem tak białym i miękkim, że zdawał się rozpluwać Alainowi na języku.

Taillefer to źródło wszelkiej cnoty i honoru. Jego osiągnięcia uczyniły go słynnym w

czterech stronach świata. Jest hojny, roztropny, sprawiedliwy, pobożny, uprzejmy, przystojny, niepokonany w walce, mądry w radach, współczujący biednym i łagodny dla słabych. Nigdy wcześniej nie było równie elokwentnego mówcy; słodyczą swych słów przewyższa nawet Marcję Tullię, oratorkę starożytnej Dariyi. Sam przedzierał się ścieżkami ukrytej wiedzy i zrozumiał jej wszystkie tajemnice, ponieważ to jemu Bóg objawił sekrety wszechświata. Poznał każdą tajemnicę matematyków i sekretne słowa, szlaki gwiazd i sposoby, w jaki można ich moc zebrać w ludzkie ręce. Żaden nawigator nie studiował niebios z większą uwagą.

Po zupie nastał czas na szarlotki, gruszki oblane miodem i krem. Mieszanina mleka, miodu i jajek topniała Alainowi w ustach niczym nektar i pomyślał, że mógłby znieść kolejny poemat wyliczający cnoty martwego cesarza, gdyby tylko w jego żołądku znalazło się miejsce na kilka kolejnych porcji kremu. Ale przede wszystkim chciał iść spać. Było już późno; paliły się świece i pochodnie, oświetlając ucztę i twarze kobiet i mężczyzn jedzących do syta, podających sobie puchary, dzielących szarlotkami, wstających, by rozprostować kości. Ludzie stałym strumieniem wypływali na dziedziniec, tak napojeni winem, że musieli sobie ulżyć i wracali. Niektórzy żołnierze, zniecierpliwieni dworskim poematem, domagali się *Złota Hevelów*. Zamiast tego uczony poeta oddał się długiej dygresji, najwyraźniej będącej częścią poematu, w której Taillefer nadzorował budowę nowego pałacu w Autunie, gdzie najczęściej wraz z dworem przebywał. Robotnicy pracowali z chęcią, wznosząc proste kolumny i wysoką cytadelę, ryjąc w ziemi, by znaleźć gorące źródła do uwielbianych przez cesarza term; ulubieni robotnicy budowali kościół, odpowiedni dla świętego króla. „Pracują jak pszczoły w lecie” – i w tym momencie poeta oddał się drugiej dygresji, tym razem traktującej o naturze pszczół.

Nastał czas, aby wyjść. Alain przeprosił i opuścił salę. Kiedy zanurzył się w zimną, jesienną noc, wziął głęboki wdech czystego powietrza. W środku dym z paleniska i pochodni przesycił powietrze ciężkim zapachem; Alainowi kręciło się w głowie od niego i od wina. Ciotka Bel nigdy nie podawała takiego trunku! Ani takiej obfitości potraw, każdej tak egzotycznej, jakby sprowadzono ją z baśniowych krain Wschodu. Ale zaczynał się już przyzwyczajać do uczt.

Poczuł się nagle winny, że los się do niego uśmiechnął, ruszył dalej w noc i wysikał się przy drzewie. Zimne powietrze wyostrzyło mu zmysły, więc usłyszał trzask patyka i szelest tkaniny przesuwającej się po gałązkach, zanim jeszcze dojrzał cień skradający się w jego kierunku. W pośpiechu zapiął spodnie i cofnął się, a potem odetchnął; to tylko jedna ze służących, która zabłądziła albo też wyszła za potrzebą.

– Lordzie Alainie – powiedziała. Potknęła się i krzyknęła cicho. Skoczył ku niej, wyciągając ramię, by ją schwycić. Przycisnęła się do niego. Miała twarde piersi, a jej biodra i brzuch były prowokacyjnie zaokrąglone pod suknią. – Noc jest zimna. Na stryszku z sianem jest znacznie cieplej niż tutaj.

Nagle poczuł, że jest mu o wiele cieplej niż powinno tej chłodnej nocy. W jakiś sposób jej wilgotne usta znalazły się na jego szyi; jej oddech pachniał kremem. W niepojęty sposób jej dłoń ześlizgnęła się na jego pośladki.

– Mój... mój ojciec czeka na mnie w środku.

– Zaiste będziesz w środku, mój panie, jeśli tylko zapragniesz.

Nagle gorąco przenikające ciało przeraziło Alaina, ale im bardziej ona go pieściła, tym bardziej je czuł. Niezgrabnie oparł dłonie na jej ramionach, kiedy ona pchnęła go do tyłu i przygwoździła do drzewa.

– Jesteś bardzo przystojny – wymruczała.

– Naprawdę? – zapytał zaskoczony. Żadna kobieta prócz znudzonej Withi nie okazała mu zainteresowania, zanim nie został dziedzicem Lavastine'a. Ale ta myśl znikła jak mgła w promieniach słońca, kiedy go pocałowała, przytulając się całym ciałem i ujęła jego dłonie, wskazując im drogę.

Jeśli to był ogień pożądania, nic dziwnego, że ludzie mu się poddawali. Ale całując ją, zamiast służącej miał przed oczami Tallię, a myśl o całowaniu jej, spotkaniu z nią w małżeńskim łóżku...

– Och – westchnęła kobieta. – Tak lepiej. Nie taki niedoświadczony, na jakiego wyglądasz, mój panie. – Wprawnie przesunęła dłońmi po pasie i rozpięła sprzączkę. – Mam brata, który przyszłej wiosny będzie gotów do służby. To dobry, silny chłopak. – Pas i przytrzymywana przez niego tunika opadły mu do kolan. – Byłby z niego świetny wojak.

W tej chwili mogła prosić o wszystko i dałby jej to. Poprowadziła jego dłonie i pomogła podciągnąć własną suknię, do kolan, do ud, obnażając blade nogi, do bioder...

W psiarni wybuchł nagle dziki tumult pomieszanego ujadania, wściekłego wycia i ludzkich pokrzykiwań, przerywanych wrzaskiem. Alain znał to wycie: ogary Lavastine'a. Jego ogary.

– Błagam – powiedział zdyszany jak po długim biegu. Spróbował się wykręcić z uścisku, nadział się plecami na gałąź, która wbiła się tuż pod łopatką. Zatoczył się, zrobił krok, potknął się o nie do końca zapięty pas i ciężko padł na kolana. Łzy napłynęły mu do oczu. Jego skóra płonęła.

– Lordzie Alainie! – pomogła mu, podnosząc, szamocząc się z pasem.

– Nie chciałem... przepraszam... ale psy...

W świetle księżycy jej twarz była tylko bladą plamą z czarnymi oczami.

– Oczywiście musicie iść. – Pamiętała psy i to, kim był. Teraz się go bała, ona, która chwilę temu miała nad nim władzę.

Pośpiesznie wepchnął tunikę za pas, aby się o nią nie potknąć i pobiegł do psiarni, która znajdowała się za głównym budynkiem, wśród stajni.

Psy szalały, szarpiąc mężczyznę, który leżał wśród nich jak szmaciana lalka. Alain wszedł do środka i odciągnął je od nieszczęśnika, który krwawił z wielu ugryzień i

szarpanych ran.

– Won! Won! – Złość, strach i wspomnienie pieszczot służącej dodały mu sił i Alain podniósł mężczyznę i wywlókł go z klatki, skopał Stracha, sprzął Smutka i Furię, które umknęły do kąta i skuliły się, jakby było im wstyd. I powinno być! Jeden z psiarczyków zatrzasnął za nim bramę. Położył mężczyznę na ziemi i zbadał jego ramiona i nogi, które najbardziej ucierpiały. Mężczyzna tarzał się po ziemi, jęcząc i krzycząc, błagając o litość.

Był to jeden z ludzi lorda Godfryda.

– Jak to się stało? – spytał, spoglądając na resztę otaczających go żołnierzy Lavastine’a, najwyraźniej pijanych.

– Gadał takie rzeczy, panie – powiedział jeden, wystarczająco młody i pijany, by być lekkomyślnym. – Gadał rzeczy o was, panie, ale nigdy was nie widział w bitwie z Eikami. Nie widział, jak zabiliście guivre’a i ocaliliście życie hrabiego. Nie miał prawa tak gadać i nie uwierzył nam, naszym słowom, więc doszło do...

To nie były cienie na twarzach żołnierzy, tylko siniaki.

– Do bójki?

– Tak, panie.

– Jak znalazł się w psiarni? Och, na Pana! Ty. – Wskazał na jednego z psiarczyków. – Biegnij i sprowadź miejscową zielarkę. Jest tu taka, prawda? Zapytaj w stajni. – Mężczyzna posłuchał i zniknął.

Żołnierze nie odpowiedzieli od razu. Ale mógł odgadnąć, jak doszło do zajścia. Podczas gdy pozwalał się uwodzić, tutaj rozgrywał się inny spektakl. A teraz, patrząc na łkającego z bólu mężczyznę, jego krew spływającą na ziemię, szukając najgłębszych ran, wiedział, że ten człowiek umrze. Jeśli nie zabije go upływ krwi lub zwykły szok, infekcja dokończy dzieła.

– Na Panią! – W tej chwili nienawidził samego siebie. Mgła pożądania, spowijająca spotkanie pod drzewem, powoli opadała i widział wyraźniej. Być może kobieta naprawdę uważała go za przystojnego. Na pewno uznał ją za pociągającą. Ale nigdy nie rzuciłaby się na niego, gdyby nie był dziedzicem Lavastine’a. Chciała czegoś od niego: miejsca dla brata w jego orszaku. I taką monetą zamierzała zapłacić. Gdyby był zwykłym Alainem, wychowankiem kupca Henriego, nie miałby nic, co mógłby jej dać w zamian. Nawet by na niego nie spojrziała, jak dziewczęta w Lavas, nim nastąpiło lato, prócz tego jednego dzikiego wybryku. A tego lata, stosując się do ścisłych rozkazów wydanych kucharce przez Lavastine’a i powtórzonych przez kucharkę dziewczkom, żadna nie odważyła się do niego zbliżyć w obawie przed gniewem hrabiego. Mężczyzna, który spłodził bękarta, nie zamierzał pozwolić nieślubnemu synowi na podobny wybryk.

– Panie, błagam, wybaczcie nam. – Uklękło przed nim trzech żołnierzy. Odór miodu w ich oddechach nieomal powalił Alaina, kucającego obok rannego. – Ale mówił takie rzeczy! Gadał, że każdy chłopak może twierdzić, że jest bękartem, że każdy szlachcic może obracać jedną czy dwie dziewczki i nic sobie z tego nie robić...

Jak on miał zamiar bezmyślnie zrobić!

– ...więc powiedzieliśmy, że zobaczymy, jak on sobie poradzi, twierdząc, że jest synem Lavastine’a.

Alain odetchnął.

– I wrzuciliście go do klatki.

Nie odpowiedzieli, nie potrzebowali.

Nadbiegli stajenni i zaczęła się przepychanka, padły gniewne słowa. Mężczyzna na ziemi przestał jęczeć i zemdłał.

– Zabiliście go!

– Miłośnicy bękartów! Nasz pan Godfryd to prawdziwy szlachcic!

– Nie rozpoznałbyś szlachcica, gdyby cię ugryzł w...

– Cisza! – wrzasnął Alain, wstając. Potrząsnął bramą, uciszając wszystkich i zawołał Furię i Smutka, dyszące z niecierpliwości. Otworzył bramę, odgonił resztę psów i pozwolił Furii wyjść. Smutek warczał, raz szczeknął i walił ogonem o drewno.

– Zabierzcie go i zaopiekujcie się nim. Wszyscy świadkowie ze mną. Rozstrzygniemy tę sprawę.

Podążyli za nim potulni jak owieczki: psiarczykowie, niektórzy Godfryda, inni Lavastine’a, trzej żołnierze i dwaj zbrojni Godfryda, towarzysze rannego, którzy przyznali się, że go podjudzili. Oprócz psiarczyków wszyscy byli pijani. Furia zagnała ich do drzwi na salę biesiadną. Alain przestąpił próg i natychmiast został otumaniony wiszącym dymem. Denerwujący szmer głosów stanowił kontrpunkt dla tenoru poety.

Na Pana i Panią! Poeta nadal śpiewał. Nic dziwnego, że król Salii kazał mu szukać zatrudnienia gdzie indziej.

W lasach wszystkich dziki zwierz ma leże. W tych ostępach wspaniały bohater, Taillefer, często polował, spuszczając z uwięzi psy, strzały i oszczepy. O samym świcie, kiedy słońce wschodzi, by oblać swym blaskiem wielkie miasto, garść możnych czeka u progu sypialni cesarza, a wraz z nimi czekają jego szlachetne córki. Tumult podnosi się w mieście, hałas niesie się w powietrzu, koń rży do konia, a ogar szarpie się na smyczy. Wszystko ustalone. Młodzieńcy niosą ciężkie oszczepy z ostrymi żelaznymi grotami, a kobiety biegną z siatkami uplecionymi z lnu. Blask otacza cesarza, gdy on i jego córki prowadzą na smyczach czarne ogary, a podniecone psy gryzą każdą napotkaną osobę, oszczędzając tylko swego pana i jego dzieci, ponieważ nawet pies ślepo posłuszny porażony jest jasnością...

* * *

Poeta ostatni ich dostrzegł i nareszcie umilkł.

Lavastine wstał zza długiego stołu w przeciwległym końcu sali.

– Cóż to znaczy, Alainie?

Alain podszedł bliżej z posłuszną Furią u boku. Wszyscy obecni cofnęli się na widok brytana, który dyszał, ukazując zęby.

– Na zewnątrz wywiązała się bójka. Jeden z żołnierzy lorda Godfryda został wrzucony do klatki i poturbowany. Może umrzeć.

Godfryd skoczył na równe nogi. Chwilę później wstała Aldegunda i jej wuj. Na jej znak Godfryd usiadł. Dziewczyna położyła dłoń na ramieniu wuja, jakby chciała sobie przypomnieć, że ma w nim wsparcie.

– Jak to się stało? – spytała.

– Sądzę – odparł spokojnie Alain – że wszyscy za dużo wypili.

– Ale to mój człowiek może umrzeć! – eksplodował Godfryd, znów wstając.

– Siadaj, kuzynie – powiedział zimno Lavastine. Godfryd usiadł. Aldegunda i jej wuj nie.

– Jeśli umrze – rzekła Aldegunda – trzeba będzie zapłacić grzywnę.

– I odpowiedzialni za to zapłacą – odparł Alain, zatrzymując się przed stołem jak błagający o łaskę. Tyle tylko, że z Furią u boku i gniewem wzbierającym w sercu nie czuł się jak ktoś, kto miał prosić o przebaczenie. – Zapłacą stosowną grzywnę temu człowiekowi, jeśli zostanie okaleczony, albo rodzinie, jeśli umrze. Ale on albo jego rodzina też muszą zapłacić.

Godfryd parsknął.

– Niby dlaczego? – zapytała Aldegunda.

Tu i teraz odbywał się sprawdzian charakterów: czy nieślubny syn zasługuje na to, co otrzymał?

– Wszyscy ci ludzie brali udział w bójce albo byli jej świadkami i zaprzysięgną przed waszą diakonisą oraz klerykami hrabiego Lavastine’a, że ranny był niełojalny w stosunku do hrabiego Lavastine’a, pana jego pana.

Nawet pani Aldegunda zaczerwieniła się na te słowa, bo wszyscy zgromadzeni wiedzieli, jakie rzeczy mógł wygadywać upojony miodem mężczyzna: nie przeciw hrabiemu – nikt nie wątpił w hrabiowskie pochodzenie, cnoty i zasługi – ale przeciw hrabiowskiej decyzji.

Zapadła długa cisza.

W końcu Aldegunda skłoniła głowę, przyznając rację sądowi Alaina. Jej wuj usiadł, a ona po chwili podążyła w jego ślady. Lavastine też usiadł i przyjął ofiarowany mu puchar.

Alain skłonił się. Furia wachała jego dłoń, wyczuwając tam coś interesującego: może zapach służącej. O Pani; pojawiła się jak wezwana myślą, stanęła obok Lavastine’a, napełniając jego puchar. Raz krótko spojrzała na Alaina i odwróciła wzrok. Więcej na niego nie patrzyła. Uczta trwała dalej, a poeta, którego głos i dykcja były całkiem przyzwoite, dał się namówić na zaśpiewanie czegoś popularnego.

Dopiero rankiem, kiedy wyjechali z zamku i stracili go z oczu za linią wzgórz i lasem, Lavastine skomentował wydarzenia.

– Cieszy mnie twój spryt.

– Ale...

Lavastine podniósł dłoń, co oznaczało, że nie skończył i nie życzył sobie, by Alain odpowiadał. Alain posłusznie zamilkł.

– Ale nie możesz pomniejszać swych zasług, Alainie. Okazanie męstwa w bitwie przystoi mężczyźnie z twoją pozycją. Nie możesz przechwalać się bez umiaru, ponad to, na co zasługujesz, ale równie zła jest fałszywa skromność. Umiar to cnota zakonników, a nie syna i dziedzica hrabiego, który poprowadzi tych mężczyzn, ich młodszych braci, kuzynów i synów do walki. Musisz wierzyć w siebie, a oni muszą wierzyć, że twoje powodzenie udzieli się im, uchroni przed śmiercią i zapewni dostatek. A to, że Pani Bitew, święta, obdarzyła cię swą łaską, będzie dla nich bardzo ważne. Ale nie możesz pograżać się w pokorze. Nie jesteś mnichem, Alainie.

– Ale miałem nim być – mruknął.

– Już nie! Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Dobry człowiek pamięta i dotrzymuje obietnic. Za jakiś czas, kiedy się zestarzejesz i będziesz miał dziedzica, który zajmie twoje miejsce, możesz udać się do klasztoru i przeżyć resztę swych dni w pokoju. Ale tę przysięgę złożyli za ciebie inni, zanim wiedziano, kim jesteś i jaką rolę masz odegrać. Nigdy nie stanąłeś przed wrotami klasztoru i nie zaprzysiągłeś się Kościołowi. To, że w ogóle myślisz o tym zobowiązaniu, dobrze o tobie świadczy. Ale nie będziemy o tym więcej mówić. Zrozumiałeś?

Zrozumiał.

– Tak, ojciec – odparł. Ogary na smyczach dreptały posłusznie u ich boku.

Lavastine wciągnął w płuca jesienne powietrze.

– Nie ma potrzeby spieszyć się do Zatoki Osna. – Obrócił się, by spojrzeć na swój orszak.
– Nie meldowano, aby Eikowie tam zimowali. Sądzę, że możemy kilka dni przeznaczyć na polowanie.

Rozdział szósty

Dzieci Gentu

1.

Szpadle wbijały się w ziemię. Na policzek Anny padły grudki błota rozrzuconego przez grabarzy, którzy zasypywali najświeższy grób. Tego przejmująco zimnego poranka chowali we wspólnym grobie dwanaścioro uchodźców, między nimi matkę i jej nowo narodzone dziecko.

Anna szła nad strumień, ale trudno było nie zatrzymać się i nie patrzeć. Kilku gapiów w łachmanach drżało na wietrze. Padał deszcz tak zimny, że zdawał się kryształkami lodu i otuliła się szczelniej dziurawą chustą. Tu w obozie trupy chowano nago, ponieważ żywi potrzebowali ubrań.

Dwu albo może trzyletnie dziecko płakało, stojąc na krawędzi grobu. Miało skołtunione włosy, które kiedyś mogły być jasne, brudną twarz, brudną tunikę i bose stopy. A poza tym zdawało się, że zaraz wpadnie do dołu z trupami. Anna postawiła wiadra i ruszyła naprzód, kiedy dziecko poślizgnęło się i zaczęło zjeżdżać na tyłku z pagórka ziemi.

– Spokojnie – powiedziała, łapiąc je za ramię i ciągnąc w górę. – Nie wpadnij tam, dziecko. – Rozejrzała się i zapytała jednego z grabarzy: – Gdzie jest rodzina tego malca?

Wskazał na grób, w którym kobieta i noworodek leżeli razem, związani łachmanami, które uchodźcy mogli poświęcić, by mieć pewność, że matka i dziecko nie zostaną rozdzieleni. Nabral ziemi na łopatę i wrzucił ją do grobu. Pył przykrył woskowe twarze matki i dziecka.

– Nie ma nikogo, kto by się nim zajął?

– Płakało, kiedyśmy przyszli po ciało – powiedział. – I ciągle płacze. Oj, mała – dodał – może i ucieczka dzieci Gentu była błogosławieństwem, ale większość z nich jest teraz sierotami, tak jak to biedactwo. Kto się o nie zatroszczy, skoro nawet nie potrafimy troszczyć się o nas samych?

Dziecko, w bezpiecznej odległości od krawędzi grobu, przywarło do jej uda i sapało, rozmazując smarki po tunice, jęcząc i kaszłąc.

– Rzeczywiście, kto? – spytała cicho Anna. Palcem dotknęła Kręgu Jedności, wiszącego na piersi. – Chodź, maleństwo. Jak ci na imię?

Dziecko nie znało swego imienia i nie potrafiło mówić. Odczepiła jego ramiona od swej nogi i po chwili namówiła je, by ciągnęło jedno z pustych wiader. Z dzieckiem drepczącym u boku dotarła do strumienia, gdzie czekała w kolejce na napełnienie wiader.

– A to kto? – spytała jedna ze starszych dziewcząt, wskazując malca, który warował przy stopach Anny jak wygłodzony pies. – Nie wiedziałam, że masz braciszka.

– Znalazłam go przy świeżym grobie.

– A, faktycznie – powiedział jeden z chłopców. – To pewnie starsze dziecko wdowy Artildy.

– Wdowy? – zdziwiła się Anna. – Była taka młoda. – Kiedy starsze dzieci zachichotały, uświadomiła sobie głupotę tego komentarza.

– Jej mąż był w miejskiej milicji. Pewnie zginął, kiedy weszli Eikowie.

– Znałeś ją? – Anna spróbowała wyciągnąć dziecko zza swych pleców, ale mały znów się rozryczał.

– Umarła – odparł chłopak. – Urodziła dziecko, a potem oboje zachorowali i zmarli.

– Czy nikt nie chce tego dziecka?

Ale inni odchodzili, napełniwszy już swe wiadra, niosąc cenną wodę do obozu lub Steleshamu. Pozwoliła więc dziecku iść za nią do namiotu, który ona i Matthias zwali domem. A poza tym dziecko nie zamierzało spuścić jej z oczu.

– Boże, uchowaj! – wykrzyknął Helvidius, gdy wepchnęła dziecko pod płótno namiotu. Ogień palił się jasno na prowizorycznym kamiennym palenisku, a stary poeta siedział na stołku, pilnując kociołka, w którym nieustannie gotował się gulasz ze wszystkich jadalnych rzeczy, które zdołali zdobyć. Dzisiaj pachniał grzybami i cebulą, doprawionymi ukradzionymi gęsiami kośćmi. Resztki wczorajszego żołądnego kleiku stały przy ogniu w ich jedynej misce. Anna wręczyła dziecku miskę i łyżkę. Zignorowana łyżka wypadła mu z ręki i użyło brudnych palców, by wymieść do czysta letni kleik.

– Co to za stworzenie? – spytał Helvidius.

– Bardziej bezradne od ciebie! – Anna nosiła do garbarni wiadra z wodą w zamian za kawałki skór. – Czy możesz mi pomóc zrobić dla niego jakieś buty?

– Nie przygarniesz chyba tego smarkacza? Ledwo starcza tu miejsca dla naszej trójki.

Anna roześmiała się tylko. Stary poeta wiecznie zrzędził, ale nie bała się go.

– Pozwolę mu zwijać się w kłębek i spać u twoich stóp. Będzie jak piesek.

Zamruczał. Dziecko wylizało do czysta miskę i znów zaczęło zawodzić.

– Psy tak nie skomlą – rzekł. – Ma jakieś imię?

– Jego matka nie żyje, a nikt inny go nie chciał. Pilnuj go, a ja pójdę po wodę.

Chodziła do strumienia jeszcze cztery razy. O tej porze roku, kiedy trwał zimowy ubój, garbarze zajęci byli nowymi skórami, więc Matthias dopilnował, aby Anna zamiast niego nosiła wodę i popiół i zbierała korę w lesie. On zajął się trudniejszą pracą przy wykańczaniu skór, które garbowały się przez wiosnę i lato. Praca jej nie przeszkadzała; rozgrzewała ją i dawała bezpieczeństwo, którego brakowało innym uchodźcom, żyjącym z tego, co znaleźli w lesie albo dostali od pani Giseli.

Ale choć trwał ubój, a mięso suszono i solono na zimę, uchodźcy niewiele z niego dostawali. Raz dziennie diakonisa rozdawała przy bramie razowy chleb, ale nigdy nie starczało go dla wszystkich.

Kiedy Anna wróciła do namiotu po ostatniej wyprawie nad potok, zastała zawodzące dziecko, Helvidiusa bezskutecznie nucącego jakąś głupią melodię z entuzjazmem kobiety oświadczającej się mężczyźnie bez posagu i rozwścieczonego Matthiasa nad garnkiem.

– Co to takiego? – zapytał, kiedy odrzuciła płachtę wejścia. Płótno nie chroniło ich przed zimnem i nie zatrzymywało w namiocie ciepła paleniska i ich ciał. Od biedy dawało schronienie przed deszczem. Annę bolały palce od chłodu i ciągle ciekło jej z nosa. – Skąd to się tu wzięło?

– To dziecko, Matthiasie – powiedziała.

– Widzę, że to dziecko!

– Nie miało dokąd pójść. Nie mogłam pozwolić mu umrzeć! Nie po tym, jak święta Krystyna ocaliła je od śmierci z rąk Eików. – Dziecko pociągnęło nosem i wymamrotało coś niezrozumiałego, nie puszczając kolana starca.

– A do tego śmierdzi! – dodał Matthias.

Rzeczywiście śmierdziało.

– Helvidiusie...

– Nie wiedziałem, że nie potrafi zadbać o takie rzeczy! – zaskomlał starzec. – Jestem poetą, nie niańką.

– Wobec tego będziesz musiał się nauczyć pilnować dziecka, bo cały dzień spędzi pod twoją opieką – odparła kwaśno.

– Pod moją opieką! – wykrzyknął.

– Masz zamiar je zatrzymać? – oburzył się Matthias.

Zapadła nagle cisza.

– Musimy je zatrzymać – powiedziała Anna. – Wiesz, że musimy, Matthiasie.

Westchnął, ale nie odpowiedział i wiedziała już, że wygrała.

– W porządku – powiedział Helvidius z urazą. – Skoro mamy je zatrzymać, musimy nadać mu imię. Moglibyśmy nazwać go Achilleus albo Alexandros, po wielkich aretuzańskich książętach. Albo Korneliusz, jak dariyański generał, który zniszczył dumne Kartiako, czy Teutus z Kallindoi, słynny syn Teuty, królowej wojowniczkii.

Anna przywołała do siebie dziecko i przy wejściu zdejmowała z niego brudny łachman,

przyklepiony do tyłeczka. Zaśmiała się nagle.

– Lepiej wymyśl dziewczęce imię, mistrzu Helvidiusie. Nazwiemy ją Helena, bo czyż Helena nie przetrwała wielu przeciwności losu?

– Helena – powtórzył poeta; jego głos złagodniał, gdy przyglądał się dziecku. – Jasnowłosa Helena o czystym sercu, której nieszczęścia nie zmogły.

Matthias parsknął z niesmakiem, ale jak zwykle baczył, by równo podzielili się gulaszem, czerpiąc pożywienie ze wspólnej miski.

Na dworze było już niemal ciemno, kiedy usłyszeli krzyki od strony drogi. Anna wcisnęła Helenę Helvidiusowi w ramiona i wybiegła z Matthiasem. Usłyszeli hałas i pospieszyli tam, gdzie droga z południowego wschodu biegła wzdłuż garbarni, by ujrzeć przejazd wspaniałego orszaku: szlachciców na koniach i zbrojnych maszerujących za nimi, których nie zdołała zliczyć.

Nawet w półmroku ich odzienie i broń lśniły tak bogato, że mogła jedynie gapić się z zachwytem. Śmiali się, silni, dumni młodzi lordowie, wśród nich kilka kobiet i zdawali się nie zwracać uwagi na ludzi w łachmanach, którzy im się przyglądali.

Brama Steleshamu już się otwarła, a tam, w świetle pochodni, Anna dojrzała panią Gisełę i burmistrza Gentu czekających na gości.

– Skąd jesteście? – krzyknął Matthias, a zbrojny odpowiedział:

– Z Osterburga, od księżnej Rotrudis!

Kiedy wrócili do namiotu i opowiedzieli nowinę, Helvidius był zachwycony.

– To pewnie jeden z krewnych księżnej – powiedział. – Będą potrzebowali poety na ucztach, a gdzie jest uczta, tam można zebrać resztki!

* * *

Rankiem ona i Matthias wstali o brzasku i od świtu zaczęła nosić wodę. Strumień kąsał ją w palce lodowatym chłodem, ale ten ból był niczym w porównaniu z zimną furią, która ogarnęła ją, gdy wróciła do namiotu.

Helvidius i Helena zniknęli, a wraz z nimi zdematerializowała się laska i stołek poety oraz bezcenna skórzana torba, w której Anna trzymała suszone zioła, cebule, cztery pomarszczone rzepy i resztkę żołądź. Kiedy tylko wsadziła głowę do namiotu, rozglądając się, co jeszcze starzec zabrał, koniec oszczepu szturchnął ją w plecy, a ostry głos nakazał jej wyjść.

– Sądziłem, że oczyściliśmy to miejsce – powiedział żołnierz do towarzysza, z obrzydzeniem patrząc na Annę. – Te dzieciaki są brudne jak szczury, wszystkie, jak jeden mąż. – Gapiła się na dwóch żołnierzy: dobrze odżywionych, czystych i ciepło ubranych, którzy stali przed nią. – Ruszaj się stąd, mała; a może jesteś chłopcem?

– Ruszać dokąd?

– Oczyszczamy obóz – powiedział. – Pójdziecie na wschód, gdzie znajdziemy domy dla

was, sierot. A teraz ruszaj się, zabieraj swoje rzeczy albo zostaw je tutaj.

– Ale mój brat...

Tym razem dziabnął ją boleśnie oszczepem.

– Zabieraj, czego potrzebujesz, ale tylko tyle, ile zdołasz unieść. Marsz będzie długi.

– Dokąd...?

– Ruszaj się! – Jego towarzysz poszedł dalej, wpychając oszczep do szalaszów i innych żalosnych schronień, które uchodźcy z Gentu sklecieli w pobliżu garbarni, ale te były już puste. Rzeczywiście cały obóz był znacznie cichszy niż zazwyczaj, ale kiedy postuchała, usłyszała nerwowe głosy dochodzące z drogi na południowy zachód.

Choć w ubraniu miała pozatykanych pięć noży, wiedziała, że opór był bezcelowy. Wczołgała się do namiotu, złapała kociołek i miskę, włożyła jedno w drugie, zwinęła koce i związała je rzemieniem, a potem otuliła chustą, by nieść je na plecach. Zaczęła składać namiot.

– Hej, zostaw to!

– A niby dlaczego? – zapytała, odwracając się. – A jak zacznie padać? Musimy się pod czymś schować!

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Mamy nocować po kościołach, ale tyle was jest... chyba najlepiej będzie mieć jakieś własne schronienie. Jeśli zrobi się zimniej i zacznie padać śnieg... – wzruszył ramionami.

– Czy wszyscy odchodzą?

Nie odpowiedział na więcej pytań i czuła, że czas uciekał. Zwinięty namiot stanowił nielichy ciężar i ledwo szła, niosąc jeszcze wiadra, koce i kociołek.

Na widok uchodźców zrobiło jej się niedobrze ze strachu. Zgromadzili się w poszarpaną linię na drodze, a ona uświadomiła sobie nagle, jak byli młodzi. Na dwadzieścioro dzieci przypadał być może jeden dorosły, wliczając w to żołnierzy, ponurych i zagradzających oszczepami drogę dzieciom. Sam płacz i zawodzenie był oskarżeniem, fala strachu biła od dzieci, które uciekły z Gentu, by teraz wygnano je nawet z tego lichego schronienia, jakie znalazły w Steleshamie.

Anna dostrzegła Helvidiusa. Opierał się ciężko na lasce, a za nim mała Helena siedziała na stołku, dzierżąc na kolanach cenną torbę zjedzeniem. Płakała bezgłośnie, a zielony smark zwisał jej z nosa. Twarz starego poety rozpromieniła się, gdy ujrzął Annę.

– Gdzie Matthias? – spytała, gdy do niego podeszła.

– Nie wiem – odparł starzec. – Próbowałem im powiedzieć, że jestem wielkim poetą, że młody lord wścieknie się, jeśli mnie odeślą, ale mnie nie słuchali i przepędzili! Sądzę, że zamierzają poprowadzić te cztery setki dzieci do marchii. Podejrzewam, że w dziczy zawsze potrzebna jest para rąk zdatnych do pracy.

– Ale to nie są wszyscy.

– Nie, tylko ci, których uznali za bezużyteczny ciężar. Kiedy przybyliśmy tu wiosną z

Gentu, trzecia część dzieci została zabrana przez rolników mieszkających na zachód stąd, bo silne dziecko zawsze jest mile widziane jako pomoc w obojętym. A ci, którzy teraz pracują dla pani Giseli, na przykład kowale, zostają. I kilka rodzin, które chcą wrócić do Gentu, ale tylko te, w których jest dorosły opiekujący się dziećmi. Oj, mała, reszta pomaszkuje na wschód do Osterburga i jeszcze dalej, za Odrę, do Marchii...

– Jak to daleko? – Helena zaczęła głośno płakać i Anna posadziła sobie dziewczynkę na biodrze.

– Miesiąc albo więcej, dwa, najpewniej trzy miesiące drogi. Na Panią w niebiosach, jak mogą uważać, że dzieci tyle przejdą i jak zamierzają je karmić po drodze?

Trzy miesiące. Anna nie mogła wyobrazić sobie tego czasu, szczególnie, gdy nadchodziła zima.

– Ale ja nie chcę iść – powiedziała, płacząc i wpadając w panikę. – Lepiej zostać tutaj, prawda?

Komuś udało się zebrać stado kóz, które kręciły się równie bezładnie jak przestraszone dzieci. Maluchy o twarzach wykrzywionych bólem płakały i szamotały się w ramionach dzieci, które liczyły sobie nie więcej niż osiem czy dwanaście lat. Dorastająca dziewczyna z pęczniącym brzuchem i dobrami doczesnymi na plecach tuliła mocno dwoje młodszego rodzeństwa, na oko sześć – czy pięcioletniego; oni też nieśli koce na chudych ramionach. Dwóch chłopców w wieku Anny trzymało się razem. Dziewczynka otulała stopy małego dziecka szmatami, aby ochronić je przed mrozem i błotem. Rudowłosy chłopczyk siedział sam na zimnej ziemi i szlochał.

– Cudownie ocaleni – wymruczał Helvidius. – A co się teraz z nami stanie?

Młody lord i jego orszak czekali przy bramie Steleshamu. Patrzyli tylko, siedząc na koniach, ale strach w jej piersi zmienił się w gorycz. Patrzyli tylko, ale wykonują rozkaz. Dopadną każde dziecko, które ucieknie do lasu i doprowadzą z powrotem. Pani Gisela stała obok. Anna wyobraziła sobie, z jaką satysfakcją musiała obserwować ten chaos. Niedługo pozbędzie się większości uchodźców, którzy byli dla niej takim ciężarem, a jeśli Helvidius miał rację, zatrzyma tylko tych ludzi, którzy przyniosą jej najwięcej korzyści.

O Pani. Gdzie był Matthias?

– Muszę znaleźć Matthiasa! – powiedziała do Helvidiusa. – Pilnuj... – postawiła Helene na ziemi i dziewczynka zawyla.

– Nie zostawiaj mnie! – jęknął, nagle pobladły i oparł się na lasce, jakby miał zaraz upaść. – Jeśli ruszą... nie sądzę, żebym mógł iść sam tak daleko, z dzieckiem...

– Nie zostawię was! – obiecała.

– Anna!

Matthias nadbiegł wraz z jednym z garbarzy. Rozmawiali w pośpiechu z sierżantem, który cofnął się, czując ostry smród bijący z ich ubrań. Anna, Helvidius i mała Helena zostali natychmiast wyciągnięci z szeregu.

– Tak – powiedział Matthias. – To mój dziadek i dwie młodsze siostry.

– Wobec tego zostaniecie tutaj – rzekł sierzant i odprawił ich, odwracając się i rozkazując żołnierzom ustawić się w szyku, na przedzie, z tyłu i kilku po bokach kawalkady. Anna nie wiedziała, czy w ten sposób zamierzali chronić uchodźców, czy też przeszkodzić im w ucieczce z szeregu.

– Chodź, mały – powiedział garbarz, marszcząc czoło, rzucając spojrzenie na tłum dzieci i odwracając wzrok, jakby nie spodobało mu się to, co widział. – Wracajmy do pracy. – Odszedł.

Anna skoczyła za nim. Nie miała ochoty stać i patrzeć.

– Anno! – zawołał za nią Matthias. – Dostaniemy chatę. Daj tym biedakom namiot i kociołek. Możesz też oddać im jedzenie, te nędzne resztki, które zostały. Zostało nas tak mało, że nie będziemy wiele potrzebować aż do przednówka, a im się to żarcie przyda bardziej niż nam.

Patrzyła, jak żołnierze na przedzie ruszają. Powoli, jak wyładowany wóz, podążył za nimi szereg dzieci, a szloch i płacz nagle sięgnął zenitu.

– Nie potrafię – powiedziała, szlochając. – Jak możesz wybierać? Ty to zrób. – Na oślep wepchnęła namiot, kociołek i jedzenie w ręce Matthiasa, złapała Helenę i pobiegła jak najszybciej ku garbarniom. Nie mogła znieść przyglądania się odchodzącym ku niewyobrażalnym niebezpieczeństwom i niepewności, przerażona myślą, że mogłaby iść z nimi. Pani, co będą jedli? Gdzie się schronią? Co się stanie, gdy zimne jesienne wiatry zmienią się w okrutne zimowe burze? Ilu dotrze w końcu na odległy wschód i co się z nimi stanie, ocalonymi z Gentu i wypędzonymi z azylu przez chciwość kasztelanki i księżnej?

A jednak może było trudno trzymać tu tyle dzieci bez widoków na odsiecz Gentu – bo nikt przecież nie oczekiwał, że młody lord i jego orszak sami wypędzą Eików.

Helena przestała płakać i przytuliła się do niej. Anna zatrzymała się na wzniesieniu i spoglądała na tłum dzieci, setki idących z ociąganiem i rezygnacją, maluchy drepczące za starszymi, z gołymi nogami nie osłoniętymi przed zimnem, żalonymi pakunkami na plecach, które już przyginały dzieci do ziemi. Przed nimi tak daleka droga.

Łzy na moment zaćmiły jej wzrok, kiedy promień słońca zaświecił przez dziurę w chmurach i padł w sam środek tłumy dzieci. Zamrugła, odpędzając zamazaną wizję postaci idącej wśród nich, kobiety odzianej w białą tunikę, z krwią kapiącą z dłoni. Wizja zniknęła. Anna spojrzała na młodego lorda, ze zniecierpliwieniem obserwującego exodus.

Helvidius przykuśtykał do niej, tak wyczerpany nerwowym porankiem, że nogi się pod nim uginały, więc ona i Matthias na wpół nieśli go do garbarni. Mała Helena szła obok, nucąc jakąś nieskładną melodię; kiedy Helvidius i Helena zostali umieszczeni w chatce stojącej przy płocie garbarni, Matthias wrócił do pracy, a Anna poszła po wodę; szereg uchodźców znikł z pola widzenia.

Pozostał tylko opuszczony obóz.

2.

Anna nigdy jeszcze nie widziała z bliska szlachcica. Ani też nie wyobrażała sobie, że stół może się uginać pod ciężarem takiej ilości jedzenia. Nigdy nie widziała, aby ludzie pili i jedli tyle, co ci tutaj: lord Wichman, najstarszy syn i drugie dziecko księżnej Rotrudis, jego kuzyn lord Henryk, ochrzczony tak na cześć króla oraz ich orszak młodych szlachciców i butnych zbrojnych. Młodzieńcy przechwalali się bitwami, jakie stoczą z Eikami w nadchodzących dniach. Żołnierzom, pijącym z takim samym zapałem, jak ich panowie, spieszno było wdać się w bójki na pięści, gdy osłabło już zainteresowanie długimi i skomplikowanymi poematami mistrza Helvidiusa.

Niedługo po odejściu uchodźców burmistrz Gentu, desperacko starający się znaleźć rozrywkę dla wspaniałych gości Giseli, przypomniał sobie, że zostawił dworskiego poetę w obozie i zaczął się zastanawiać, czy starca odprawiono z innymi.

– Biegniesz na jego wezwanie? – zapytał Matthias następnego popołudnia, zdumiony i oburzony. – Po tym, jak cię tutaj zostawił, a resztę służących wprowadził za palisadę?

– Wśród głodu nie ma miejsca na dumę – odpowiedział Helvidius. Każdego wieczoru zabierał ze sobą Annę, by niosła jego stołek i pomogła wspiąć się na wzniesienie, na którym stał dwór, a Helena oczywiście dreptała z nimi, ponieważ nie miał kto jej pilnować, bo Matthias pracował aż do zmierzchu. Garbarze, kowale i leśnicy pracowali ciężiej i dłużej niż przedtem, gdyż musieli się zatroszczyć o ponad siedemdziesięciu ludzi i trzydzieści koni, nakarmić ich i wyposażyć w broń.

Przez wiele kolejnych dni oddziały lorda Wichmana wyruszały na zwiady, szukając Eików, wdając się w potyczki, paląc statki, ze szczegółami opowiadając każde starcie podczas wieczornych uczt. Helvidius szybko wprawił się w zmienianie tych historii w pochlebne peany na cześć odwagi i męstwa lorda Wichmana, które nigdy się młodzieńcowi nie nudziły.

Anna równie szybko zdobyła wprawę w zbieraniu z podłogi na wpół ogryzionych kości, nim rzuciły się na nie lordowskie psy oraz w wyłudzeniu chleba od pijanych żołnierzy. Helvidius, karmiony przy głównym stole, ściągał dla niej jedzenie z półmisek, frykasy, których nigdy wcześniej nie kosztowała: kaszanke, zapiekanki z chleba, pasztet i inne. Helena zadowalała się ssaniem kciuka w kącie przy palenisku i jadła, co jej podano; resztę Anna chowała w woreczku i zanosila rano Matthiasowi: ona, Helena i poeta spali we dworze, ponieważ z nastaniem nocy bramy Steleshamu zamykano.

Podłoga nowego dworu w Steleshamie była najbardziej luksusowym łóżkiem, w jakim kiedykolwiek spała. W środku nigdy nie było zimno, choć jesień przeszła w zimę, a dni stały się krótkie i szare. Policzki Heleny znów się zaokrągliły, a nogi Helvidiusa wzmocniły, choć nadal potrzebował laski.

– Wszystkie ziemie wokół Gentu zmienili w pastwiska, przysięgam – powiedział lord

Henryk, stryjeczny brat Wichmana. Ledwo wyrósł z wieku chłopięcego, miał ciemne włosy, a świeżą bliznę na policzku nosił dumnie jak miecz, miał też skłonności do przechwałek. – Tyle tam bydła trątuje dobre pola uprawne, że można by wyżywić tysięczną armię!

– Dlaczego żadna krowa się do nas nie przybliżała? – spytała pani Gisela.

– Pasą je niewolnicy, a doglądają Eikowie.

– Czy aż tylu wojowników Eików tu zimuje? – zapytał burmistrz nerwowo.

– Nie podjechaliśmy do miasta wystarczająco blisko, by ich policzyć – powiedział Henryk, spoglądając z wyrzutem na kuzyna. – Ale może niedługo to zrobimy, jeśli się odważymy.

Wichman ledwie splunął w odpowiedzi i zawołał do ładnej siostrzenicy Giseli, by nałóż mu kolejny kielich wina. Jak powiedział Helvidius, Wichmana „swędziało między nogami”, choć Anna nie za bardzo wiedziała, co to znaczyło, tyle tylko, że naprzykrzał się siostrzenicy w sposób, który młodkę drażnił, jednak nikt nie zamierzał mu przerwać.

Helena już zasnęła. Anna zwinęła się obok, otoczona mgłą dymu i ciepła, zamknęła oczy, a Helvidius śpiewał, nosowym głosem opowiadając historię Heleny. Ani on, ani żaden ze szlachciców nie nudził się poematem, a słowo szlachcica było rozkazem.

– ...Służący oczyścili stoły, a gdy wniesiono drugie danie, biesiadnicy zaczęli rozmawiać, a ich głosy rozbrzmiały w wielkiej sali niczym zgiełk bitewny. Ale król Sykeus podniósł puchar i kazał się uciszyć. Wniesiono wielkie misy, po brzegi wypełnione winem, a z nich sam król nabrał likworu i podał zgromadzonym.

Zapytał Helenę o historię Ilios. „Piękny i szlachetny gościu, opowiedz od początku...”

Pies obudził Annę, obwąchując jej twarz i zlizując sos z palców. Po ponurym szarym świetle wypełniającym salę stwierdziła, że zbliżał się świt. Helena spała na stosie brudnych szmat, chrapiąc cichutko. Helvidius zasnął na siedząco, położywszy głowę na stole; będzie później żałował, gdy mu mięśnie zeszywnieją.

Musiała się wysikać.

Wstała i ruszyła pomiędzy służącymi, na paluszkach obeszła śpiących żołnierzy, śmierdzących piwem, moczem i potem. Na zewnątrz ruszyła ku latrynom wykopanym pod palisadą, daleko od zabudowań. Niebo szarzało, a gwiazdy błyszczały słabo, znikając w świetle dnia.

Kamienny spichlerz stał jak solidny, wierny sługa, mający w świetle świtu. Wokół rozrzucone były budynki; widziała iskrzące, jasnoczerwone węgle z jednego z nich. Kowale i garbarze pracowali teraz za palisadą, aby smród nie zakłócał snu kasztelanki, jej rodziny, burmistrza Gentu i jego świty oraz szlachetnych gości.

A tutaj, przy latrynach, szlachetny gość naprzykrzał się siostrzenicy pani Giseli.

– Błagam was, lordzie Wichmanie – powiedziała kobieta, wijąc się i próbując uciec do schronienia w budynkach. – Mam wiele pracy.

– A jaka praca może być ważniejsza od tej, którą ja mam dla ciebie, co?

– Panie – wyrwała się z jego uścisku i odskoczyła w bok, próbując zniknąć w ciemnościach. – Wybaczcie, ale nie mogę zostać.

Wściekły, złapał ją za płaszcz i szarpnął.

– Słyszałem, że byłaś wystarczająco dobra dla mojego kuzyna, bękarta Sanglanta. Mnie na pewno zadowolisz!

W pierwszej chwili Anna pomyślała, że to siostrzenica zasyczała i zaraz wybuchnie wściekłością. Potem ujrzała blady strumień światła, wznoszący się nad odległymi czubkami drzew, zwijający w rozległe spirale. Wielka złota bestia wleciała w niebo, a kiedy słońce weszło nad horyzontem, jej ryk rozdarł powietrze.

Siostrzenica wrzasnęła i uciekła. Lord Wichman, nadal zamroczony nocnym pijaństwem, gapił się na niebo, grzebiąc przy pasie w poszukiwaniu miecza. Zatoczył się, a Anna wrzasnęła, gdy smok o złotych łuskach, bardziej oślepiających niż słońce, przeleciał nad dworem. Fontanny płomieni poleciały w górę, lód zasyczał, spotykając ogień. Anna nigdy nie widziała czegoś równie pięknego i przerażającego.

– Smoki! – krzyknął strażnik z murów.

Wichman schował miecz i zaklął. Jego tępa twarz nagle rozpromieniła się z radości, odwrócił się i pobiegł ku stajniom, krzycząc:

– Do broni! Do broni!

Rozległ się alarm, dźwięki rogów zburzyły spokój poranka.

– Smoki! Smoki! – podniósł się krzyk, kiedy zbrojni wytaczali się z sali, a służący prowadzili konie.

Musiała wrócić do Helvidiusa i Heleny. O Pani, musiała dostać się do Matthiasa, który wraz z innymi garbarzami i robotnikami spał poza główną palisadą w chatkach otoczonych jedynie płotem, chroniących tylko przed bydłem, a nie groźniejszymi bestiami. Ale czy cokolwiek chroniło przed smokiem?

Olbrzymi stwór wznosił się leniwie, przy każdym uderzeniu skrzydła jak złota płachta rozpościerały się w powietrzu. Powoli zawrócił i znów nadlatywał. Zanim Anna zdała sobie sprawę z tego, co robi, pobiegła ku drabinie i wspięła się na palisadę, by lepiej widzieć. To było szaleństwo; na Panią, rzeczywiście zwariowała, tak by powiedział Matthias, ale nawet jego musiał ten widok zachwycić. Wydawał się bardziej niezwykły, bardziej cudowny niż demon przykuty w katedrze. Musiała lepiej widzieć. A być może z tego miejsca dojrzy garbarnię.

Podskoczyła, by się wspiąć i zawiesiła ramiona na palisadzie, przytulając się do pni, by wyrzeć na zewnątrz. To co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach.

Strażnicy przy bramie znów wrzasnęli:

– Smoki!

Ale nie wskazywali na niebo.

Poprzez opuszczony obóz, zarzucony szczątkami szałasów i namiotów, zasłany śmieciami i przez wczorajszy deszcz zmieniony w błoto, które zamarzło w nocy, jechała setka konnych. Ich hełmy błyszczały, ozdobione polerowanym brązem. Ich złote kubraki świeciły jasno jak smocze łuski, ozdobione czarnymi złowieszczymi bestiami, które drżały i ruszały się w miarę zbliżania się Smoków.

Z oddali usłyszała mężczyznę krzyczącego wysokim, histerycznym głosem:

– Nie otwierajcie bram! Nie otwierajcie bram!

Iskry szły spod kopyt koni Smoków, galopujących przez obóz. Nad strumieniem ognień objął budynki garbarni. Anna krzyknęła, wskazując palcem, ale nie miało to sensu. Nikt jej nie słyszał.

To wcale nie były Smoki. Widziała już wielkie dziury w kubrakach, błysk kości tam, gdzie porwana kolczuga odsłaniała szkielet albo mięso wyzierające z głębokiej, gnijącej rany. Hełmy zakrywały oczodoły. Skóra opadała z kości, porwana przez poranny wiatr. Nie wydawali dźwięku.

A jednak nadjeżdżali.

Wiele miesięcy temu widziała, jak leżeli martwi w krypcie katedry w Gencie. To wcale nie były Smoki, tylko ich szczątki, ledwie wspomnienie siły, która walczyła przeciw Eikom. Jaka straszliwa magia podniosła ich z martwych?

Brama się rozwarła, a ze Steleshamu wyjechał lord Wichman ze swym orszakiem. Lśnili równie jasno jak wrogowie i nacierali z desperacją.

– Anna!

Spadła, zatrzymała się na krawędzi parapetu i prawie zjechała po drabinie.

– Anno! – Przerażony Helvidius szedł bez laski. – Dziecko, dziecko! Chodź! Eikowie atakują! Chodź się ukryć!

– Gdzie Helena?

– W sali. Ciągle śpi. – Stary poeta płakał ze strachu. – Idź po nią i przyjdź do spichrza, ale pośpiesz się, Anno! Szybko! Nie ma wystarczająco miejsca...

– Matthias!

– Nic nie możemy dla niego zrobić! Biegnij!

Pobiegła przez dziedziniec. Wirująca kula ognia przeleciała obok i upadła w błoto: pochodnia rzucona z zewnątrz. Zgasła, ale usłyszała, jak więcej pochodni spada na dachy. Większość ześlizgnęła się po krawędziach na ziemię i została zdeptana, ale kilka zaklinowało się i zaczęło płonąć.

Kiedy dobiegła do drzwi wielkiej sali, zobaczyła, jak siostrzenica pani Giseli przystawia drabinę do ściany domu. Wspięła się na nią i razem z inną kobietą lały na dach wodę z wiader. Na lewo Anna zobaczyła innych ludzi, na wpół ukrytych za ścianą, starających się ocalić stary dwór, którego strzecha stała w płomieniach.

Musiała przepychać się łokciami, by dostać do środka, bo ludzie biegali na wszystkie

strony, niektórzy w kółko, sparaliżowani przerażeniem. Przewrócił się stół; psy pożerały resztki jedzenia, chłęptały z kałuży piwa.

Helena schowała się w kącie za wielkim paleniskiem i tam siedziała w absolutnej ciszy, wpychając kciuk do buzi. Anna zarzuciła ją sobie na biodro. Była tak lekka, że nie sprawiała kłopotu.

Trudniej było się wydostać, niż wejść. Burmistrz i jego służący kłębili się przy drzwiach, szukając schronienia, a Anna nie mogła się przez nich przebić. Przyciśnięta, potknęła się, padła na kolano i przez jedną straszliwą chwilę myślała, że zostaną stratowane.

Dym zakłuł ją w nos, rozległ się krzyk:

– Pożar! Pożar!

Znalazła szczelinę, przez którą się przepchnęła, przypadła do ściany i przebiegła przez całą salę aż do przeciwległego krańca, gdzie było pojedyncze okno, zamknięte na zimę. Postawiła Helenę, przyciągnęła skrzynię i weszła na nią, a potem otworzyła okiennice. Pociągnęła za sobą dziewczynkę, przełożyła nogę przez parapet i zawisała. Spadły, uderzając ciężko o ziemię w chwili, gdy z góry posypał się deszcz iskier. Mała zaczęła płakać. Anna odtoczyła się, poderwała i zarzuciła sobie dziecko na plecy.

W ten sposób, podczas gdy Helena dosłownie dusiła ją rączkami zaciśniętymi wokół szyi, Anna przebiegła przez chaos panujący na dziedzińcu do kamiennego spichrza. W środku cuchnęło solonym mięsem, piwem i winem, koszykami jabłek, owsa i żyta. Helvidius chował się za skrzynią, płacząc cicho. Anna rzuciła mu Helenę na kolana i po drabinie wspięła się na pięterko. Tam sześciu ponurych mężczyzn stawiło strzały grotem w dół przy ścianach po obu stronach okienek strzelniczych.

– Chodź, mała – powiedział jeden, kiwając na nią. – Ustaw je porządnie – Wyszedł, a ona spieszenie zaczęła ustawiać strzały w szeregu, raz tylko wyglądając przez okienko.

Z tego miejsca widziała aż za bramę. Tam, w kłębowisku przypominającym raczej jarmark w Gencie w jesienny dzień, lord Wichman, lord Henryk i ich jeźdźcy walczyli z Eikami, rąbiąc wokół siebie, parując ciosy toporów. Szereg pieszych parł naprzód, wysoko unosząc tarcze. Wszędzie roili się Eikowie. Wielkie psy Eików skakały po polu bitwy, szarpiąc i rozdzierając. Po straszliwych Smokach nie został nawet ślad.

Młody lord walczył z Eiką, opartym o bok jego konia. Topór zahaczył o zbroję Wichmana, zaczepił się, pociągnął i nagle lord schwytyany, spadł z rumaka i zniknął w ulewie spadających ciosów.

Anna jęknęła głośno i odskoczyła, wpadając na staranny rząd strzał. Upadły z klekotem, ale dźwięk zagłuszyło wycie z zewnątrz: jeźdźcy młodego lorda oszaleli z wściekłości.

Anna zaczęła płakać.

Mężczyzna odepchnął ją i zaczął ustawiać strzały. Z dołu zawołała kobieta.

– Dwór się pali! Ludzie nas zalewają. Co mam robić?

– Wepchnij tu tyle młodych i słabych, ile się da! – odkrzyknął mężczyzna obok Anny. – Ale wszyscy sprawni muszą iść na mury. Jeśli Eikowie się tu dostaną, będzie rzeź. Niech wezmą cokolwiek; każdy, kto może podnieść szpadel albo strzelać z łuku czy pchnąć oszczepem... – Odwrócił się. – Mała, nie bądź niezdara! A teraz poustawiaj porządnie te strzały dla tych, którzy ich będą potrzebować!

Zszedł po drabinie.

Zrobiła, co jej nakazano. Zewsząd dobiegał tylko hałas i zgiełk: gdakanie kur, ujadanie psów, rżenie koni i ludzkie krzyki, ruszać się mogła, tylko udając, że nic się nie stało, że nic nie słyszała. Skupiła się na strzałach, które stawiała przy kamiennej ścianie lotkami do góry.

Dym wciskał się do środka, ale nie mogła, nie odważyła się ponownie wyjrzeć przez okienko. Kobieta w zaawansowanej ciąży wspięła się po drabinie, krew ciekła jej z rozcięcia na czole. Ze stęknieniem przeniosła brzuch nad krawędzią, opadła na czworaki i podniosła się ciężko. Trzymając łuk, zajęła miejsce przy jednym z otworów. Mężczyzna, którego zastąpiła, zszedł na dół.

Chwilę później inne kobiety i jeden niedorostek ustawili się przy okienkach, uzbrojeni w łuki. Chłopak nerwowo bawił się strzałą, obracając ją w palcach. Ludzie wspinali się po drabinie i przytulali, niektórzy w ciszy, inni płacząc, do kamiennych ścian i podłogi, aż w końcu ledwie mogli się ruszać. A nadal próbowali wejść kolejni. Ta masa przerażonych ludzi i tocząca się na zewnątrz bitwa robiły taki hałas, że Anna mogła się tylko skulić, zatkać uszy i modlić. Śwąd palonego drewna i strzechy wypalał jej oczy, serce ze strachu ciężko waliło w piersi. Oddech jej się rwał.

– Chodź, dziecko – powiedziała kobieta ostro. Anna spojrzała w poparzoną, ubrudzoną sadzą twarz siostrzenicy pani Giseli. Tuziny dziurek wypalonych przez iskry znaczyły jej ubranie. – Podawaj mi strzały.

– Do kogo strzelacie? – wyszeptała. Przerazenie wzbierało jej w gardle i w końcu odebrało jej dech; myślała, że upadnie i zemdleje.

Ale kobieta jedynie wycelowała starannie i wypuściła strzałę, a Anna bez namysłu podała jej następną. Naciągała, mierzyła i strzelała, a krzyki przesywały powietrze, ogień ryczał, psy wyły, róg grał długo i wysoko, a odległy męski głos krzyczał:

– Sformować szyk po mojej lewej! Sformować szyk po mojej lewej!

Anna podawała jej strzały jedną po drugiej, a na twarzy młodej kobiety, która naciągała cięciwę i strzelała, malowała się tylko absolutna koncentracja. Tylko raz zamruczała z satysfakcją i raz jęknęła, nagle przerażona tym, co zobaczyła w dole. Ale przelknęła strach jak wszyscy, by nie umrzeć bezradnie. Takie były koleje wojny.

Anna podawała jej strzały, dopóki się nie skończyły.

3.

Wreszcie Eikowie się wycofali, ale Stelesham mocno ucierpiał: jedna czwarta palisady spłonęła lub została zrąbana, stary dwór się palił, a podzamecze legło w ruinach. Stał tylko nowy dwór, choć mocno okopcony. Niektóre dachówki odpadły, a obie pary drzwi wyrwano z zawiasów.

Cud, że cokolwiek przetrwało. Nie było ani śladu Smoków, ale wszyscy zgadzali się, że i oni, i latający smok powstał z magii czarownika Eików, byli iluzją, która miała zasiać strach w ich sercach i uczynić ich niezdolnymi do walki.

Tym razem się nie udało.

– W tym tkwi słabość iluzji – powiedział Helvidius, gdy ukrywający się w spichlerzu ludzie wyszli na zewnątrz, aby ujrzeć straszliwy widok na dziedzińcu. – Kiedy wiesz, że to złudzenie, łatwiej z nim walczyć.

Anna trzymała Helenę na biodrze, idąc ku ruinom bramy. Wpatrywała się w swoje stopy, aby nie widzieć trupów. Wiele ich leżało, ludzi i Eików. Jeśli na nich nie spojrzy, będzie tak, jakby ich wcale nie było.

Żołnierze wtaczali się przez bramę, prowadząc ranne konie, niosąc zabitych lub rannych towarzyszy. Kilku chodziło po polu bitwy, podrzynając Eikom gardła, by mieć pewność, że już nie wstaną. Nagły krzyk podniósł się ze środka, kiedy postać odziana w zbroję, w porwanym i zakrwawionym kubraku, dźwignęła się z ziemi, do której przygniatał ją martwy Eika.

Był to lord Wichman, cudem nietknięty, bo ciosy przyjęła jego zbroja i hełm. Nie uszedł daleko; padł na kolana i zapłakał nad ciałem swego młodego kuzyna, Henryka, który padł przy bramie. Pani Gisela pojawiła się obok. Pocieszony jej obecnością, Wichman wstał i zaczął wydawać rozkazy żołnierzom, skrupulatnie odzierającym trupy Eików z broni, zbroi i wspaniałej kolczugi, którą stwory nosiły na biodrach, zrobionej ze złota i srebra utkanego w misterne wzory.

Anna dojrzała nóż, leżący w kałuży krwi i błota. Przyklękła szybko, podniosła go i wetknęła w spódnie. Kłut ją w tyłek, ale szła dalej.

W oddali płonęły kuźnia i garbarnia. Kilku mężczyzn zaczęło zasypywać ogień.

– Hej, mała – powiedział żołnierz, podchodząc do niej. – Wracaj do środka. Nie wiemy, jak daleko uciekli Eikowie. Mogą w każdej chwili wrócić.

– Czy to naprawdę były Smoki? Nieżywe i gnijące?

– Nie. To byli Eikowie. Tylko wyglądali jak Smoki, dopóki nie podeszli bliżej. Potem przejrzelśmy czar.

– Wygraliśmy?

Parsknął, machając ręką w kierunku zniszczeń.

– Jeśli to nazywasz wygraną. Panie, nie wiem, czy ich pobiliśmy. Raczej dostali to, czego chcieli i czmychnęli.

– A czego chcieli? – spytała. – Mój brat... – Osłabła, gdy zobaczyła płomienie szalejące wśród chatki przy garbarni. Zaczęła szlochać, a Helena, wyczuwając jej strach, rozplakała się.

– Uprawdzili bydło – żołnierz skrzywił się, podnosząc lewą rękę i zobaczyła pęknięcie w jego filcowej kurcie, biegnące od pasa do pachy. Spod niego krew wyciekała na koszulę, ale oprócz tego miał tylko pękniętą wargę i siniejącą pręgę na szczęce. – Widziałem ich. Podejrzewam, że zrobili rajd na bydło i niewolników, nie zamierzali zabić mego dobrego pana Henryka, imiennika króla, niech im obu Bóg błogosławi. – Nakreślił Krąg na piersi i westchnął ciężko. – Dalej, mała, uciekaj do środka.

– Ale mój brat pracował w garbarni...

Zacmokał cicho i pokręcił głową, a potem popatrzył wokół. Dawny obóz wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. Samotna kura obojętnie grzebała w ziemi przy szałasie. Dwa psy kulły się pod osłoną pojedynczego krzaka.

– Dzięki Bogu, że uchodźcy zdążyli odejść. Chodź, zobaczymy, ale pamiętaj, mała, wracasz do dworu, kiedy ci każe.

Kiedy doszli nad strumień, pożar garbarni był już pod kontrolą, choć wciąż się paliło. Ujrzała ciało, zwęglone i czarne, leżące przy dziurach, ale było większe od Matthiasa. Tylko ono pozostało; nie znaleziono innych mieszkańców garbarni.

– Nic tu nie ma, mała – powiedział żołnierz. – Wracaj w bezpieczne miejsce. Popytam. Mówisz, że na imię mu Matthias?

Przytaknęła, niezdolna wydobyć z siebie głos. Helena zawzięcie ssała kciuk.

Powrót w górę ku zniszczonej palisadzie wyczerpał ją, przygniecioną ciężarem. Helvidius odnalazł ją płaczącą tuż przy bramie i zabrał do dworu, kiedy zaczął padać zimny deszcz.

Przyniósł jej mocno rozwodniony jabłecznik i kazał pić, a potem zajął się Heleną, cały czas narzekając.

– Bydło skradzione! Zapasy żywności stratowane, zniszczone albo spalone! Co pocniemy? Jak przetrzymamy zimę, skoro nie ma wystarczająco miejsca dla tych, co zostali? Co pocniemy? Nie mając paszy, lord wróci do domu i kto nas wtedy obroni? Powinniśmy byli odejść z innymi.

Pani Gisela zwołała radę przy palenisku. Postawna kobieta trzymała w jednej ręce topór, jakby o nim zapomniała. Cudza krew znaczyła jej lewe ramię. Za nią, w najdalszym kącie sali, ciężarna, która strzelała, oparła się o ścianę, dysząc, a potem opadła na czworaki, otoczona przez garść starszych kobiet. Chłopiec przyniósł sagan parującej wody, a siostrzenica Giseli pospieszyła, niosąc kawał czystego płótna.

– Lordzie Wichmanie, błagam was – mówiła Gisela – jeśli nie ma wystarczająco paszy dla waszych pozostałych koni...

Ale oczy młodzieńca błyszczały dziko. Trzymając hełm pod pachą, grzał wolną rękę nad paleniskiem, a żołnierz ocierał krew z jego miecza. Na jego podbródku rosła delikatna broda,

tak jasna, jak jego włosy.

– Widzieliście smoka? – spytał. – Czy był prawdziwy, czy to kolejny czar?

Helvidius przykuśtykał, ciągnąc za sobą Helenę uczepioną ubrania.

– Mój panie, jeśli wolno mi coś powiedzieć...

Ale młodzieniec mówił dalej, obojętny.

– Nie, pani, nie pozwolę, aby Eikowie mnie odpędzili! Czy nie ma wśród was wiedzących, którzy potrafią upleść kilka zaklęć ochronnych? Daj je nam, pani, i wyruszmy na Eików, gnębić niby psy szarpiące im pięty!

– Ale straciliśmy ponad połowę bydła! A słyszałam od tych, którzy uciekli do lasu, że połowę moich pracowników wzięli do niewoli!

– Albo psy ich zjadły! – dodał sierżant.

Gisela odłożyła topór i rozejrzała się, szukając wsparcia.

– Nie ma tu burmistrza Wenera? Doradzi wam to samo, co ja. Jak mogę utrzymywać moich ludzi i waszych, lordzie Wichmanie?

– Burmistrz nie żyje, pani – powiedział Wichman. – Jeszcze nie słyszałaś? Jak możesz mnie nie utrzymywać? Jestem wszystkim, co cię chroni przed kolejnym najazdem Eików. I to koniec dyskusji! – wręczył hełm sierżantowi, tupnął, by otrząsnąć błoto z butów i usiadł na ławce, kiwając na siostrzenicę Giseli, by przyniosła mu coś do picia.

Anna zaczęła się trząść. Nagle zrobiło jej się zimno i nie mogła przestać drzeć. Helvidius przykuśtykał i narzucił jej na ramiona zakrwawiony płaszcz, obrębiony cudownym złotym haftem.

– Masz – powiedział. – Temu, który to nosił już niepotrzebny.

Zaczęła płakać. Matthias zginął.

W odległym kącie urywane sapanie ciężarnej kobiety zmieniło się w nagłe westchnienie ulgi. Cichy płacz nowo narodzonego dziecka uniósł się nad hałasem w sali.

– Chłopiec! – wykrzyknął ktoś i natychmiast poproszono lorda Wichmana, by zgodził się na nadanie dziecku imienia Henryk, na cześć zmarłego kuzyna.

O Pani. Matthias zginął.

Nie pojawił się nazajutrz ani następnego dnia pośród trupów wyciąganych z ruin ani pośród żywych, którzy jeden po drugim wypelzali z kryjówek. W obliczu takiej katastrofy strata jednego chłopca nie robiła różnicy.

Rozdział siódmy

Pod księżycem

1.

Biskupina Antonia uważała się za bardzo ważną osobę. Wnuczka świętej pamięci królowej Teodory z Karrone, najmłodsze dziecko świętej pamięci księżnej Ermoldii, córka dwóch ojców, świętej pamięci księcia Pepina z Karrone, który ją począł i świętej pamięci lorda Gunthera z Brixii, który ją wychował, najulubieńsza kleryczka świętej pamięci króla Arnulfa, dwadzieścia lat temu została namaszczona na biskupinę Mainni po tym, jak jej poprzedniczka nagle zmarła. Antonia nigdy nie lubiła czekać.

A teraz czekała w najbardziej odrażającym schronisku, szałasie pasterskim z podłogą z gołych desek, brudnymi ścianami, bez dywanu i z jedną tylko ławeczką. Siedziała na niej, a Heribert stał przy jedynym oknie i wyglądał na zewnątrz przez szczeliny w okiennicach. Nawet ogień się nie palił i było przejmująco zimno. Heribert drżał, chude ramiona trzęsły się pod płaszczem podbitym norkami i dwiema grubymi wełnianymi tunikami.

– Odejdź od okna – powiedziała.

Zawahał się, a ona zmarszczyła brwi.

– Robi się późno – rzekł. – Znów zaczęło padać. Wygląda na to, że to lód, nie deszcz. Jeśli ktoś zamierza przyjść, niech to uczyni jak najprędzej, bo inaczej będziemy musieli spędzić w tym zapomnianym przez Boginię miejscu noc.

– Heribercie!

– Tak, Wasza Miłość. – Nerwowo dotknął relikwii, wiszących w woreczku na piersi i cofnął się od okna.

Dzięki Bogu dach był wystarczająco solidny. Nie przeciekał przez niego deszcz. Pojedyncza latarnia, zawieszona na haku przy palenisku, oświetlała izbę. Antonia nie omieszkała dostrzec, że paliła się od wielu godzin, a oleju nie ubywało. Przypuszczała więc, że ich tajemniczy sprzymierzeniec zamierzał pokazać im, że posiadał – lub posiadała – wiedzę

magiczną. Nie należało z nim zadzierać.

„Jak zadzierają ze mną!”

Antonia nie lubiła, kiedy z nią zadzierano. Bardziej drażniło ją tylko nieposłuszeństwo tych, którzy przyrzekli jej służyć. Rzuciła okiem na Heriberta, kręcącego się przed paleniskiem i zacierającego ramiona. Kichnął i wytarł nos; miała nadzieję, że nie zamierzał chorować. To również ją denerwowało: niektórzy magowie znali sztukę przywoływania zimna lub gorąca. Tych sztuk nie posiadała ani nawet nie odkryła ich sekretów. To, co ją irytowało w tajemniczych słowach, to właśnie ich tajemniczość, trudność wyłuskania ich z jakiegokolwiek manuskryptu czy zakamarków opornego umysłu, w jakich je napotykała.

Wiatr wstrząsnął szafasem, a deszcz załomotał o ściany i dach. Na pewno nikt w taką pogodę nie wypuści się na to odległe wzgórze. Dlaczego musiała odpowiedzieć na wezwanie? Od tygodni prowadzono ich przez odludzia Karrone i północnej Aosty jak głupie owce. Wiedziona znakami tak ulotnymi jak jaskółki, przekonywała się, że tajemnicze wiadomości znikają, kiedy już sądziła, że położy na nich ręce. Ale nie miała dokąd pójść. Nie mogła wrócić do Mainni, jeszcze nie. Dwory Henryka, króla Wendaru i Varre, oraz jej ciotki, Marozii z Karrone były dla niej zamknięte; zostałyby zatrzymana i odesłana na południe, do Darre na sąd skoposy. Wielu pomniejszych szlachciców gościłoby ją przez miesiąc czy dwa, nie wiedząc jeszcze, o co została oskarżona, ale nienawidziła życia na łasce innych.

Jeśli nie mogła się oczyścić, jeśli fałszywe świadectwo innych miało zostać użyte przeciw niej, po prostu poczeka, dopóki nie będzie mogła pozbyć się swych wrogów. Teraz podążała za błędnymi ognikami, które przywiodły ją tutaj, do tej zapomnianej przez Boginię chatynki na smaganym wiatrem, gołym stoku w południowym paśmie Alfaru. Z trudem dotarli w to miejsce; biedny Heribert musiał iść obok jej muła wąską ścieżką. Przypuszczała, że z prawnego punktu widzenia ten szafas leżał w królestwie Karrone albo na północnej granicy jednego z księstw Aosty. Jednak był tak odległy, że władał tu nie książę, tylko wiatr, deszcz i miłosierdzie Boga Jedności.

Skobel odskoczył. Podmuch wiatru uderzył drzwiami o ścianę, tak mocno, że jedna z desek pękła. Heribert zawył. Podniósł rękę.

Wstała powoli. Biskupina Antonia, wnuczka i siostrzenica królowych, nie okazywała strachu. Nawet, jeśli się bała.

Za drzwiami majaczyła rzecz, nie jeden z mrocznych duchów, które nauczyła się przyzywać, ale coś innego, stworzonego z wiatru i światła, drżącego, deszcz zamazywał jego kontury, a wiatr rwał brzegi. Przybrało formę aniołów, których ludzie są jedynie bladymi, bezskrzydłymi kopiami, ale w jego oczach nie było świętego Światła. I Antonia pojęła, że stwór był demonem, ściągniętym z wyższej sfery, aby przez krótki czas zamieszkiwać świat śmiertelnych.

Jeśli ludzka ręka mogła kontrolować coś takiego, na pewno mogła się nauczyć przyzywać podobne stwory. Nakazała Heribertowi ciszę, ponieważ w panice mamrotał modlitwy,

ściskając swój święty amulet.

– Czego chcesz? – zapytała. – Komu służysz?

Postać wyprężyła się, niby schwytna w sieć o drobnych oczkach.

„Nikomiu nie służę, ale jestem tu uwięziony, dopóki nie wykonam zadania”.

Nie miał prawdziwych ust, tylko ich pozór, ponieważ cała jego cielesność była bardziej iluzją niż fizycznością. Słabnący deszcz przenikał przez niego jak przez sito. Za nim, przez niego, niby przez grube szkło, widziała pokręcone drzewa i jałowiec, zniekształcone przez okrągłości i linie. Był niespokojny jak wiatr, szarpiący się w zamkniętym pomieszczeniu. Antonia była pod wrażeniem. Jak bardzo można by ścisnąć tego stwora, zanim zaczęłby wrzeszczeć z bólu? Czy żelazo albo inne ziemskie metale pocięłyby go, czy też całkowicie zniszczyły? Czy woda by go zmyła czy też przepłynęłaby przez niego tak, jak rzeka przez sieć rybacką?

– Nie służysz osobie, która cię uwięziła? – zapytała.

„Nie jest moim przeznaczeniem uwięzienie tutaj, pod księżycem”, odpowiedział, jednak nie z gniewem czy frustracją, które ona pojmowała. Jak pojmowali je ludzie. W jego głosie nie było zrozumiałych dla niej emocji.

– O Pani – wyjąkał za nią Heribert, głosem cienkim z przerażenia.

– Cicho – powiedziała, nie odwracając się. Jego wrażliwość irytowała ją od czasu do czasu, jak teraz. Czasami chłopcy zbyt wiele swej natury zawdzięczali niestałemu i delikatnemu nasieniu ojców, a nie twórczej krwi matek. – Nie skrzywdzi nas. Nie należy do tej sfery, każdy głupiec to dostrzeże. Chodź tutaj i stań przy mnie.

Posłuchał. Od dawna już się jej nie sprzeciwiał. Ale drżał. Blade, delikatne, doskonale wypielęgnowane dłonie zacisnęły się na jej płaszczu, a potem, wyczuwając jej gniew, cofnął je i zaczął obracać pierścienie na palcach, jakby klejnoty osadzone w złocie – wydobyte z ziemi – mogły go ochronić przed postacią stworzoną z powietrza.

– Czego pragniesz, demonie? – spytała i stworzenie skuliło się na dźwięk słowa „demon”, bo każdy, śmiertelnik czy nie, podporządkowany jest temu, kto zna jego imię i istotę.

„Pragnę uwolnić się od tego miejsca”. Znów się wyprostował. Deszcz przestał padać, a wiatr ucichł, ale jego kształt nadal targany był niewidocznymi i niewyczuwalnymi prądami, być może nie pochodzącymi z ziemi, a będące wspomnieniem jego domu w powietrzu, ponad sferą księżyca. „Chodźcie. Zaprowadzę was do tego, kto was oczekuje”.

– Odważymy się z nim pójść? – wyszeptał Heribert, pod którym nogi się ugiwały.

– Oczywiście, że się odważymy!

W ten sposób została ukarana za jeden grzech, jeden moment słabości. Była młodsza i wtedy jeszcze nieodporna na pokusy ciała, choć wyzbyła się ich już od tamtej chwili, dwadzieścia sześć lat temu. Ze wszystkich ludzi ulec właśnie jego słodkim słówkom! Jego jurność była legendarna. Nie mógł po prostu utrzymać rąk przy sobie, niezależnie od okoliczności. Miała szczerą nadzieję, że któregoś dnia pożądanie stanie się jego zgubą.

Dziecko zrodzone z tego związku kochała bezgranicznie, ale też pogardzała nim, bo było słabe. Lecz był jej i zajęła się nim. I będzie się zajmować nadal.

– Chodź, synu – powiedziała twardo. Piszcząc, Heribert podążył za nią. Niebo przecierało się szybko. Chmury przemieszczały się na wschód, rozdzierając o szczyty gór. Za nimi na niebie pokazały się kłęby białych, pierzastych chmurek.

Demon przemieszczał się przed nimi jak burza. Nie szedł ani nie leciał. Jak wiatr przepływał nad ziemią. Jego ludzki kształt wybrzuszał się i zwężał zgodnie z jego naturą lub pogodą w odległym miejscu. Szedł pod górę błotnistą ścieżką, choć nie zostawiał żadnych śladów prócz drgania powietrza. Podążała za nim, zastanawiając się, co się stało z mulem i starym rolnikiem, który doprowadził ją i Heriberta do tego opuszczonego szałas. Było bardzo, bardzo zimno, zbyt zimno, by spędzić noc w górach. Rolnik, przerażony jej rangą, nie zadawał pytań ani nie udzielił odpowiedzi, choć zmusiła go do mówienia; był głupi jak bydło, którego doglądał.

Szli, dopóki Heribert nie zaczął kaszleć, a Antonia nie osłabła. Demon, oczywiście, nie wysiłał się; mógł ich łatwo wyprzedzić, jednak tego nie uczynił. Antonia zastanawiała się, czy takie stwory odczuwają zniecierpliwienie. Czy był bez grzechu, w przeciwieństwie do ludzi? Czy też, jak twierdzili niektórzy w Kościele, nie miał duszy i nie można go było zbawić?

Weszli na polanę pełną stojących kamieni.

– To stary fort – powiedział Heribert zadyszonym głosem; kasłał częściej, gdy się wspinali. Ale usłyszała ożywienie w jego słowach. Uwielbiał stare budowle; gdyby mu nie zabroniła, zostawiłby ją, by kształcić się na architekta i budowniczego w szkole w Darre albo nawet wyruszyłby do odległego Kellai czy Aretuzy, aby zostać tam uczniem. Ale gdyby odszedł tak daleko, nie mogłaby nad nim czuwać. A teraz, oczywiście, nie sprzeciwiał się jej.

Zatrzymał się, opadła więc na zwałonym kamieniu i popatrzyła na ruiny.

– To stary fort dariyański. Poznaję wzór.

– Chodź – rzekła. Demon nie czekał; majaczył na przedzie jak pies, który zwęszył zdobycz. – Chodź, Heribercie. – Z niechęcią oderwał się od niezwykłych ruin, starego fortu zagubionego – lub opuszczonego – w tak odległym zakątku.

Wspięli się wyżej i tam, w sposób niezwykle dla strzelistych gór, równa hala okazała się szczytem wzgórza. Przekroczywszy go, ujrzeli w dolinie poniżej krąg kamieni.

– Korona! – wyszeptał Heribert. Wpatrywał się w nią.

Antonia była oszołomiona. Widziała wiele zrujnowanych kręgów; były dobrze znane w granicznym księstwie Arconii, na którego zachodnim krańcu leżało Mainni; na zachód od rzeki za katedrą rozciągało się królestwo Salii. Ale ten krąg stał prosto, jakby wybudowano go wczoraj. Rzeczywiście przypominał koronę giganta, na wpół zakopaną w ziemi, ale to były wioskowe bzdury, a Antonia pogardzała łatwowiernością prostaków.

Demon spłynął w dół po stoku; pojedyncze gałązki chwiały się na jego drodze, jakby poruszył je wiatr. Wysłała Heriberta, aby odnalazł ścieżkę i tym zarośniętym szlakiem –

biedny chłopak musiał przedzierać się przez takie chaszczce, jakby nigdy nie było tu drogi – zeszli do doliny. Na dole wiatr ucichł, a krzaki ustąpiły miejsca trawie, tak krótkiej, jakby wczoraj pasło się na niej stado owiec.

Demon okrążył kamienie i zatrzymał się przed wąską bramą, utworzoną z dwóch kamieni, na których położono trzeci. Tam, gdzie stało to stworzenie, powietrze gotowało się jak rój przezrzystych owadów. Antonia zatrzymała się w bezpiecznej odległości i poprzez bramę spojrzała na środek kręgu. W kościach i drzeniu ziemi pod stopami czuła moc śpiewającą pomiędzy kamieniami. Ziemia była tu niemożliwie płaska, jakby uklepal ją ludzie albo jakaś inna siła.

Heribert popatrzył najpierw na niebo, potem na krąg i wyszeptał:

– To wejście ustawione na wschód. Czy to coś oznacza?

– Oczywiście, że to coś oznacza – odparła. – Oznacza, że brama otwiera się na wschodzące słońce, prawdopodobnie w zimowe albo letnie przesilenie.

Zadrżał. Kiedy słońce zachodziło za wzgórze naprzeciwko nich, na zachód od niezwyklej kamiennej architektury, kamienie rzucały długie cienie, układające się na trawie w dziwne wzory, niemal napis. Wschód księżyca, ukazującego swą bladą twarz nad odległymi górami, oznajmił nadejście nocy.

„Wejdźcie przez tę bramę”, powiedział demon.

– Oczywiście – powiedziała grzecznie Antonia. – Podążę za tobą.

„Nie idę dalej. Nie mogę wejść do sal z żelaza. Moje zadanie skończyło się, gdy was tu przywiodłem”.

– A jeśli zdecydujemy się nie wchodzić?

Znikł. W jednej chwili powietrze zmaćniało się, a w następnej słońce opadło za wzgórze, a księżyc oświetlał blado krajobraz bez wiatru i pulsacji powietrza, oznaczających obecność demona.

– Co zrobimy? – zaskomlał Heribert, drżąc silniej. – Nie wiemy, co jest w środku. Jak ktoś mógł przywlec takie wielkie kamienie na wzgórze?

– Wejdziemy – powiedziała spokojnie Antonia. – Nie mamy ognia, jedzenia ani schronienia. Zamarzniemy tutaj. Zdecydowaliśmy zdać się na łaskę naszego tajemniczego przewodnika. Musimy iść naprzód. – „A później zemścić się za tak obraźliwe traktowanie”, dokończyła w myślach. Nie mogła dzielić takich uczuć z biednym, słabym Heribertem.

Nie czekała, aby poszedł pierwszy. Inaczej spędziłiby tutaj całą noc, czekając, aż zbierze się na odwagę.

– Złap mnie za płaszcz – powiedziała. – Abyśmy za wszelką cenę się nie rozdzielili.

– Ale to tylko kamienny krąg. Zamarzniemy...!

Kiedy przechodziła przez bramę, ciężki poprzeczny kamień nieomal otarł się o jej głowę; Heribert musiał się schylić. Ale nie wyszli w środku kręgu, z wieczornym niebem nad głową i chmurami pędzonymi przez tarczę księżyca.

Kiedy minęli portal i kamień otoczył ich ze wszystkich stron: miała go pod stopami, nad głową, z prawej i lewej – bez widocznej zmiany weszli w ziemię. Szli przez ciemność rozświetlaną jedynie bladą tarczą księżyca przed nimi, ale gdy wyciągnęła ręce, dotknęła szorstkich kamiennych ścian. Nad nimi wisiał kamienny sufit, a gładka droga prowadziła dalej w ciemność.

Heribert wciągnął powietrze i złapał ją za płaszcz.

– Jesteśmy w tunelu! – wykrztusił.

– Chodź – powiedziała, bardziej zauroczona niż przerażona. – To potężna magia. Przekonajmy się, dokąd nas zaprowadzi.

2.

W powietrzu płoną duchy o skrzydłach z płomienia i oczach jak noże. Poruszają się w eterze wiejącym nad sferą Księżyca i od czasu do czasu ich spojrzenie pada jako błyskawica na Ziemię i spala wszystko, czego dotknie. Ich głos to trzaskanie płomienia, a ciała są połączeniem ognia i wiatru, oddechem słońca przekształconym w umysł i wolę.

To wszystko widzi w wizji wewnątrz ognia. Tutaj biega jak myszka, cicha i ostrożna, kryjąc się w cieniach. Przemierza nieznane korytarze i szerokie tajemne sale, w których pełzają inne stworzenia. Tej jednej zdolności – widzenia poprzez ogień – tato jej nie odebrał, a może zdolność ujawniła się tylko dlatego, że on umarł. Może okazać się jej jedynym ratunkiem, jeśli nauczy się używać jej do szpiegowania tych, którzy na nią polują, ukrywania się przed tym, co zamordowało tatę, czymkolwiek lub kimkolwiek był.

Być może nawet ktoś, kto również potrafi widzieć przez ogień, pomoże jej. Uratuje ją.

O Pani, nikt nie może jej ocalić. Hugo powrócił, jak przyobieczał. Jak głupia była, sądząc, że mu uciekła. Przez cały czas myślała, że wreszcie się od niego uwolniła, ale ani teraz, ani nigdy nie uwolni się od niego w ziemskim królestwie, gdzie jego władza jest olbrzymia, a jej nic nie znacząca; tylko tu, w ognistej wizji, on nie może jej ścigać. Ale w tej wizji ścigają ją inne rzeczy.

Tak bardzo potrzebuje pomocy i nie wie, dokąd się zwrócić.

Pomiędzy nie kończącymi się, pokręconymi korytarzami poszukuje bramy, która doprowadzi ją do czarownika Aoi.

Tam! W cieniu, w ciemnym suchym korytarzu widzi dwoje idących ludzi, szukających jak ona.

Tam! Chłopiec i jego sześciu towarzyszy śpi, głowy złożyli na kamieniu, stopy i kolana zarzucone mają stertami skarbów, naramiennikami ze złota, pierścieniami, klejnotami, pucharami odlanymi z księżycowego srebra i delikatnymi czerwonymi paciorkami, które są smoczą krwią skamieniałą na powietrzu.

Tam! W tunelach ruszają się i pełzną stworzenia, zniekształcone pięści ugniatają ziemię

wydrapaną ze ścian. Jak Eikowie, zdają się stworzeni raczej z metalu i gleby niż wyższych elementów, na zawsze uwięzieni pod ciężarem ziemi, która płynie w ich żyłach i wzmacnia kości.

Kiedy w końcu znajduje płonący kamień, znaczący przejście do starego czarownika, on już nie siedzi obok, zwijając na udzie konopne nici w sznur. Opuścił to miejsce, a ona nie wie, gdzie go znaleźć. Ale musi nadal szukać. Ponieważ on jest jednym z Zaginionych, a nie człowiekiem, zapewne nie obchodzą go ludzkie sprawy, ludzkie intrygi i zazdrość, ludzka żądza władzy i dóbr. Może znać odpowiedź. Może zna wzór ścieżek, który ona chce rozwikłać.

Być może tato zostawił jej tu wiadomość, ukrytą w labiryncie w taki sposób, że tylko ona zdoła ją odnaleźć. Musiał się na to przygotować, wiedząc, że może umrzeć, a ona będzie nadal żyła. Za zamkniętymi drzwiami w jej Mieście Pamięci pali się płomień; czy to ukryta magia taty? Czy też żywa manifestacja zaklęcia, jakie na nią rzucił? Czy gdyby miała klucz, mogłaby otworzyć drzwi? Czy tato ukrył klucz tutaj, pomiędzy salami, których dróg nie pozna, dopóki ich nie przemierzy?

Jednak co się stanie, kiedy otworzy te drzwi?

Podmuch wiatru głaszcze jej kark. Drży. Jej plecy pieką, zupełnie jakby przez samo zbliżenie się, stworzenie poparzyło ją swym trucicielskim oddechem. Czy to właśnie czuł tato? Coś, co się wiecznie zbliżało, wiecznie deptało mu po piętach? Czy wiedział, że go w końcu zabije?

Zaczyna biec poprzez sale w ognistej wizji, choć w ziemskim królestwie jej ciało pozostaje nieruchome, siedząc przed ogniskiem. Ale w tym miejscu stwór jest silniejszy od niej. Zna te ścieżki i poszukuje jej.

– Liath.

Zna jej imię. Ucieka, ale nie ma dokąd. Tato użył swej magii, by ukryć ją przed ich wzrokiem w ziemskim królestwie, ale tutaj wystawiona jest na ich widok, a tam, gdzie ukrywa się przed nimi, czyha na nią Hugo.

Strach skacze i płonie w jej sercu jak ogień. Jest zgubiona. Dysząc, płacząc, zmusza się do zatrzymania. Odwraca się, by spojrzeć na to, co ją goni, ale nic nie widzi, ani cienia, ani stwora czy ludzkiej postaci; czuje tylko, że ją namierzył i zbliża się. Chce jej. Powietrze niesie dźwięk jej oddechu, ciepło jej ciała, do uszu tego, który nasłuchuje.

To – jedno stworzenie albo wiele działających razem – zabiło tatę.

Czuje ich oddech jak powietrze, przez które leci strzała, strzała, której grot poszukuje jej serca. W tym miejscu nie ma broni.

Nie, ma jedną broń: dar od czarownika Aoi.

– O Pani – szepcze, modląc się o siłę. Zamykając w dłoni złote pióro, ucieka z labiryntu.

3.

Boczne ścieżki, cienkie jak oddech umierającego dziecka mamły wzrok Antonii, ale widziała tylko strzępy tego, do czego wiodły; sale wypełnione skarbami; śpiący chłopiec; młoda kobieta uciekająca w panice; niewyraźny obraz starego mnicha z jedną dłonią złożoną delikatnie na książce, a drugą uniesioną, by powstrzymać zaciskające się palce demona, którego bezcielesna dłoń sięgała wprost do ciała mężczyzny, szukając sekretów, które ukrył w sercu. Zaszczekał pies. Zahukała sowa i zaatakowała w ciemnościach. Mężczyzna: nie, elfi książę uzbrojony jak starożytni Dariyanie walczył, by ocalić płonący fort przed najazdem dzikiego ludu Bwr i jego ludzkich sojuszników. Smok spał zaczarowanym snem pod kamienną górą. Młody mężczyzna siedział w słońcu i podziwiał ciche morze. Czy rozpoznała go? Wizja była zbyt krótka, by mogła się przyjrzeć.

Czy były to strzępy przeszłości, przyszłości czy teraźniejszości?

Nie wiedziała. Zgubiła się kompletnie; wiedziała, że istniała tylko dlatego, że syn wisiał jej u piersi. Przynajmniej jego strach był tak wielki, że zamilkł, zamiast wypluwać z siebie modlitwy i psalmy.

Bóg da im bezpieczeństwo lub Bóg da im śmierć.

Jeśli to pierwsze, ona z pewnością odkryje sekrety tego miejsca i posiadzie wiedzę, jak sprowadzać demony z wysokości i jak wtrącać niczego nie podejrzewające dusze w tak upiorne więzienie. Naprawdę spodziewała się, że lada moment pod jej stopami rozstąpi się Otchłań i dostąpi sycącego oczu widoku cierpień potępionych.

A jeśli to drugie, pewna była, że jej dusza i dusza jej syna, rzecz jasna, wstąpią przez siedem sfer do Komnaty Światła, jak dusze wszystkich sprawiedliwych.

Wyrosły przed nią schody. Wiatr pogładził jej twarz. Błady okrągły księżyc zatańczył jej przed oczami i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że spogląda na schody ku światu, na prawdziwe nocne niebo usiane gwiazdami. Za nią Heribert zajęczał cicho, jak kobiety po długim porodzie, kiedy dziecko przyszło wreszcie na świat całe i zdrowe.

Potrząsnęła nim silnie i wspięła się na schody. Szedł tak blisko, że deptał jej po piętach, ale tym razem nie zrugowała go za nieuwagę. Wyczuwała, że po długiej drodze dotarli wreszcie do miejsca, w którym nauczy się tego, co pragnęła wiedzieć.

Schody wyprowadziły ich z ziemi na środek małego kamiennego kręgu, gdzie siedem kamieni stało na trawie w równej odległości od siebie. Z tyłu, niby kulące się bestie, trzy góry majaczyły na tle nieba. Nie wrócili do pierwszego kręgu, to było oczywiste, ale Antonia odgadła, że wciąż znajdowali się w górach Alfar.

Drugą myślą, nieproszoną i nieprzyjemną, było, że nie panowała już późna jesień. Powietrze było wilgotne, noc pogodna i niemal ciepła. Ale księżyc nadal był w pełni i znacznie się przesunął na niebie, odkąd weszli w pierwszy krąg. Szli pod ziemią, prowadzeni odległym światłem księżyca przez wiele godzin; zbliżał się świt.

Kamienny krąg stał na niskim wzniesieniu. W dole, na wpół ukrytych wśród drzew, stało

kilka budynków. Zachodzący księżyc nadal dawał tyle światła, aby mogła dojrzeć resztę doliny: kępę drzew, kilka piędzi zaoranego pola, winnicę, pszczele ule, kurnik i ścianę stajni wybudowanej przy zboczu. W oddali szeptał strumień. Otaczały ich wysokie kamienne ściany, zasłaniając połowę bezchmurnego nieba, na którym świeciły gwiazdy.

Dłoń pogładziła ją po policzku. Podskoczyła.

– Heribert.

Stał trzy kroki od niej, zbyt daleko, by jej dotknąć. Wyglądał na oszołomionego.

– Biskupino Antonio – mówiąca wyszła zza jednego z kamieni i zrobiła gest, który w klasztorным języku znaków znaczył „Witaj”. Nie skłoniła się. – Cieszę się, że zdecydowaliście się pójść za moim posłańcem.

– Kim jesteś? – spytała Antonia, oburzona brakiem szacunku. – To ty doprowadziłaś nas tak daleko? – Miała jeszcze wiele pytań, ale wiedziała, że nie należało zadawać wszystkich naraz.

– To ja sprowadziłam was tutaj, bo uznałam cię za obiecującą.

„Obiecującą!” Antonia parsknęła, ale przygryzła język.

– Możecie mnie nazywać *Caput Draconis*.

– Smocza głowa? Dziwne imię czy tytuł sobie nadaliście.

– Dziwna droga przywiodła tu nas wszystkich, a musimy podążać jeszcze dziwniejszymi i bardziej niebezpiecznymi, jeśli chcemy osiągnąć sukces. Nie jesteś szkolonym matematykiem? – Pytanie było w istocie stwierdzeniem, które Antonia miała potwierdzić.

– Wiem, że konstelacja znana jako Smok znajduje się w szóstym domu wielkiego kręgu zodiaku, zwanego ziemskim smokiem spinającym niebiosą. – Antonia nie lubiła, gdy ktoś tak się z nią bawił. Nie lubiła, gdy przypominano jej, że inni wiedzieli coś, o czym ona nie miała pojęcia.

– Zaiste. I tka on własną moc. Ale gwiazdy podczas swego ruchu nie gromadzą tyle mocy co siedem erratik, które my znamy jako planety: Księżyc, Erekes, Somorhas, Słońce, Jedu, Mok i Aturna. Mówię o górowaniu i dołowaniu węzłów księżycowych, gdzie naczynie przecina ekliptykę. Ekliptyka to ścieżka, po której poruszają się planety, którą zwiemy też ziemskim smokiem spinającym niebiosą. Księżyc wznosi się od północy na południe, jest to więc *caput draconis*, smocza głowa. Opada z południa na północ i jest to *cauda draconis*, ogon. Co dwadzieścia siedem dni w sferze nad nami Księżyc podróżuje od *caput* do *caudy* i z powrotem. W każdym ruchu, który widzimy na niebie, zawarta jest moc, którą należy zgromadzić i wykorzystać.

– Czy to są sekrety zebrane przez matematyków takich jak ty?

Kobieta podniosła ręce, pokazała otwarte i puste dłonie, aby udowodnić, że nie potrzebuje broni wykutej z twardego metalu czy wydartej z ziemi, aby pokonać swych adwersarzy.

– Nauki matematyków są zakazane przez Kościół – dodała Antonia.

– A ciebie wysłano do Darre przed sąd skoposy, oskarżoną o czarnoksięstwo, które jest

zakazane przez Kościół. Słyszałam o tobie, Antonio. Znam twe moce. Potrzebuję ich.

– Męczy mnie ta złowrogość – powiedziała krnąbrnie Antonia. – Czy to ty przywołałaś demona? Czy możesz nauczyć mnie, jak osiąść taką moc?

– Owszem, mogę i jeszcze wielu innych rzeczy. Wielki masz dar do przymusu. Potrzebuję tego talentu, bo sama posiadam go w niewielkim stopniu.

– Ściągnęłaś tu i uwięziłaś demona! Czy to według ciebie posiadanie talentu „w niewielkim stopniu”?

– Owszem, talentu do zmuszania. Wraz z innymi potrafię sprowadzić takie stworzenia, ale nasza umiejętność przymuszenia ich jest bardzo ograniczona. Temu, którego spotkałaś, mogliśmy zlecić tylko jedno zadanie: odnaleźć cię i doprowadzić do kręgu, z którego przysłałaś tutaj. Ale nie potrafię, w przeciwieństwie do ciebie, nakazać duchom czy bestiom zabijać: chyba, że same będą miały na to ochotę.

– Tego właśnie pragniesz? Zabić kogoś?

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Czego pragniesz dokonać, Caput Draconis? – zapytała Antonia, zaciekawiona. Nienawidziła ciekawości. Dawała innym przewagę.

– Pragnę tylko, abyśmy wszyscy zbliżyli się do Boga – wyszeptała kobieta.

– Wspaniały cel – zgodziła się Antonia. Księżyc zaszedł i pojawił się brzask. Zaśpiewał ptak. Gwiazdy bladły. Chmury zgromadziły się wokół drugiego z trzech pokrytych śniegiem szczytów, które zamykały jedno zbocze doliny. Mgła podnosiła się z ziemi i zdawała przybierać kształty o ludzkich członkach, dłoniach i na wpół ukształtowanych twarzach. Zapewne było to tylko złudzenie.

– Ale muszę wiedzieć, czy masz siłę i wolę, by nam pomóc – ciągnęła kobieta, patrząc poza Antonię. – Jakaś ofiara. Jakieś poświęcenie...

Antonia natychmiast się zorientowała i zapłonął w niej ogień gniewu. Podobne przypuszczenie!

– Nie to – odparła. – Nie on. – Nie okazała słabości i nie odwróciła się, by sprawdzić, czy Heribert był cały.

Światła było coraz więcej i Antonia mogła dojrzeć twarz kobiety: blada, miała w sobie coś znajomego, ale podobnie jak z jaskółkami, nie wiedziała, skąd ją znała. Mogła być tak stara jak Antonia lub tak młoda jak Heribert; czas nie zostawił na jej twarzy żadnych znaków. Włosy zakrywała jej chusta ze złocistego lnu. Nosiła jedwabną tunikę ufarbowaną na głęboki błękit i skórzane buty, związane złotą wstążką. Na szyi miała złoty torkwes, oznakę królewskiego rodu w Wendarze, Varre i Salii. Choć wnuczka i siostrzenica królowych, Antonia nie miała prawa do tego symbolu królewskiej krwi. Karrone było księstwem podległym Salii nie dawniej jak trzy pokolenia temu, w czasach królowej Berty Przebiegłej. Berta była pierwszą z rządzących, która nazwała siebie „królową”. Pomniejsi książątka z wielu części Aosty też nie nosili torkwesu. Nie mogli poświadczyć, że początek ich rodom

dała jurność legendarnego cesarza Taillefera.

– Doskonale – powiedziała kobieta. – Nie on. Ale niech to będzie twoja pierwsza lekcja. Dlatego nie jesteś ani caput, ani cauda draconis, ale siódmą i najmniej znaczącą z naszego zakonu. Możesz posiadać tylko tyle mocy, ile jesteś gotowa dać.

Antonia nie zgodziła się, ale zbyt była mądra, by wygłosić sprzeciw. Skinęła na Heriberta, który podszedł do niej. Zauważyła z pewnym zadowoleniem, że choć milczący i na pewno przerażony, trzymał się prosto i dumnie, jak człowiek, który nie kłania się ze strachu. Lub być może zaniemówił, zaczarowany przez tę kobietę. Nie mamrotał modlitwy, jak to miał w zwyczaju, gdy się zdenerwował.

– Czego więc ode mnie chcesz? – spytała Antonia.

– Potrzebuję siódmej. Potrzebuję osoby, która ma naturalny dar przymuszania, jak ty. Próbuję odnaleźć pewną osobę i przywieść ją tutaj, do mnie.

Antonia pomyślała o potędze. Wyobraziła sobie, ile dobrego mogłaby zrobić, mając większą moc, zdolność zmuszania innych do działania tak jak – wiedziała – naprawdę chcieli. Mogłaby przywrócić ład w królestwie, siebie na stolec biskupi, a Sabelle na tron, który jej się prawnie należał. A nawet posunąć się dalej: zostać skoposą i zaprowadzić porządek Boży takim, jaki powinien być.

– Wyobraźmy sobie, że zgodzę się do was przyłączyć. Co się wtedy stanie?

– Aby wstąpić do naszego zakonu, musisz coś dać.

– Co?

– Nie oddasz mi młodzika. Daj mi więc twe imię, tajemnicę, prawdziwe imię, które ojciec wyszeptał ci do ucha, co jest prawem każdego ojca, gdy rodzi się dziecię z jego nasienia.

Antonia zaczerwieniła się, naprawdę rozgniewana. To była impertynencja nawet ze strony kobiety noszącej złoty torkwes. Choć jakim prawem nosiła ten torkwes, Antonia, która знаła królewskie rody pięciu królestw jak własny, nie wiedziała.

– Mój ojciec nie żyje – powiedziała Antonia lodowato. – Obaj moi ojcowie. Ten, który mnie począł, zmarł, zanim mogłam mówić i chodzić.

– Ale znasz je.

Znała.

I pragnęła potęgi. Pragnęła wiedzy. Tyle mogłaby zrobić. Trzeba było tyle zrobić.

Przemówiła w końcu. Mimo wszystko książę Pepin nie pożył długo. Jego złość jej nie groziła, zakopano ją razem z nim.

– Venenia. – Trucizna.

Kobieta z szacunkiem skłoniła głowę.

– Wobec tego zwać cię będziemy Venia, dobroć, na pamiątkę tego imienia i dla uczczenia nowego początku. Chodź, siostrze Venio. – Wysła z kręgu kamieni. Podążyli za nią przez trawę mokrą od rosy. Heribert otworzył usta i uklęknął, by w zamyśleniu dotknąć fiołka.

– Chodź – powtórzyła kobieta, wstępując na wydeptaną ścieżkę, prowadzącą po

łagodnym zboczu ku budynkom w dole. Mężczyzna odziany tylko w tunikę i spodnie wyszedł za bramę i zdmuchnął latarnię. Kozy opuściły zagrodę i szły całym stadem, choć Antonia nie wiedziała, co je gnało ku maciejce i wrzosom.

– Tak pięknie – szepnął Heribert.

Było pięknie, kiedy słońce wstało i światło zalało dolinkę, jej zieloności i brązy, strumyk, który szumiał i perlił się wśród pastwisk. Kobieta uśmiechnęła się do młodego kleryka i szła dalej. Pośpieszył za nią. Antonia zatrzymała się, patrząc na szczyty, gdy wschodzące słońce oblało je swym światłem, a lód załśnił ogniem. Rozpoznała teraz te trzy wysokie szczyty: Żonkę, Mnicha i Lęk. Tuż nad stromym, niemożliwym do przejścia zboczem, na którym tak spokojnie pasły się kozy, leżało schronisko prowadzone przez mnichów od świętego Serwicusza, gościnne dusze troszczące się o podróżnych, którzy odważyli się wyprawić na Przełęcz Świętej Barnarii.

Rozdział ósmy

Żniwa

1.

Alain siedział na Przełęczy Smoczego Grzbietu, w połowie Smoczego Ogonu i patrzył, jak fale wznoszą się i opadają na brzeg. Smutek i Furia siedziały obok, z wywieszonymi jęzorami smakując wiatr od zatoki. Dwaj zbrojni zachowywali dyskretny dystans. Mewa krążyła nad wodą; rybitwa spacerowała ostrożnie przez pianę na kamienistej plaży w dole. Na lewo, tam, gdzie plaża robiła się piaszczysta, leżały łodzie, złożone na zimowy odpoczynek na balach. Daleko wśród fal kołysały się ciemne głowy: foki... albo syreny.

Przyglądał się odległym wyspom, zdobiącym horyzont jak klejnoty, na których rybacy i kupcy mogli się schronić, jeśli sztorm zaskoczył ich na pełnym morzu. Przeżył burzę, która złapała go w tych górach. Odmieniła jego życie.

Po polowaniu Lavastine i jego orszak pojechali do ruin Klasztoru Smoczego Ogonu. Alain nie wyobrażał sobie, co jego ojciec spodziewał się tam znaleźć. Wieśniacy na pewno rozgrabili każdą nietkniętą przez ogień ławkę, stół i strzep odzieży, ule, kamienie z podłogi, łyżki, noże, miski, latarnie, wosk i świece, sól, motyki, szpadle, siekiery, sierpy, haczyki, kosze, gonty, wszystkie piękne małe narzędzia potrzebne skrybom, pergaminowe karty wydarte z książek, których wysadzane klejnotami okładki zostały zerwane i uwięzione przez Eików. Wszystko, co można było odciągnąć, zostało zabrane i wykorzystane lub wysłane do Medemelachy na handel.

Ale widok zniszczonego klasztoru tak zdenerwował Alaina, że Lavastine pozwolił mu pójść naprzód. Alain przeszedłby całą długą drogę wzdłuż górskiego grzbietu do Osny, ale teraz, patrząc na śpiące niżej łodzie, wiedział, że bał się spotkać z człowiekiem, którego przez większość życia nazywał „ojcem”.

Zamknął oczy. Promienie późnojesiennego słońca nie były dostatecznie ciepłe, by ogrzać jego palce. Psy piszczały; Smutek wepchnął wilgotny nos w dłoń Alaina. Położył ją na

szorstkiej skale. Wedle starej historii dariyański cesarz uzbrojony w magię przybył tutaj i przemienił smoka w kamień, w to wzniesienie, od głowy poczynając, przez wielkie plecy, na ogonie, gdzie leżał spalony klasztor, kończąc. Czy pod tymi kamieniami spał zaklętym snem smok? Czy gdyby nie poruszał się, mógłby poczuć puls smoczego serca, czy tylko delikatne ziarna skalne, zmielone przez wiatr, deszcz i czas, zmienione w granulki rozsypujące się pod stopami?

Jako chłopiec wielokrotnie wdrapywał się na skałę, szukając śladów obecności smoka. Nigdy żadnego nie znalazł, a ciotka Bel powtarzała mu więcej razy, niż mógł zliczyć, że pogrążony w marzeniach spadnie niechybnie do wody, miast bezpiecznie żyć. „Świat jest tutaj, Alainie», mawiała, stukając palcami w blat stołu, »A nie tu«, dodawała, pukając go w czoło, »choć czasami wydaje mi się, że twoja głowa i stół zrobione są z tego samego materiału«. Ale uśmiechała się, by jej słowa nie bolały”.

Ale gdyby miał słuch Piątego Syna, wrażliwe psie zmysły Smutka i Furii, czy nie mógłby usłyszeć oddechu smoka, przysgniecionego ziemią? Wyczuć zarysu jego pleców pod skałą, struktury jego łusek w piachu? Dotknąć jego śniącego umysłu, podobnego umysłowi Alaina?

Ziemia pod nim zadrżała i poruszyła się.

Zerwał się na równe nogi, roztrzęsiony i przerażony. Furia zawarczała, a Smutek zawył, jakby zobaczył księżyc. Dwaj zbrojni podbiegli do niego.

– Panie Alainie, nic wam nie jest? Co się stało? – Trzymali się z dala od psów, które obwąchiwały błoto i skałę, ignorując żołnierzy.

– Poczuliście?

– A, tak. – Mężczyźni odwrócili się, kiedy dotarło do nich pobrząkiwanie upręży, stukot kopyt i szmer radosnych głosów. – Macie dobry słuch, panie, założę się, że równie dobry jak psy. Nadjeżdża pan hrabia z innymi.

Hrabia Lavastine i jego towarzysze wynurzyli się z lasu i zaczęli wspinać się stromą ścieżką na grzbiet. Nawet po dwóch miesiącach podróży, walkach z Eikami i gromieniu band rzezimieszków, po tygodniu łowów w gęstym lesie o dzień drogi na wschód, hrabia i jego orszak nadal wyglądali wspaniale, pod sztandarami i odziani w ciemnobłękitne kaftany z wyhaftowanymi dwoma czarnymi ogarami, herbem rodu Lavas. Hrabia Lavastine nie pozwalał żadnemu żołnierzowi w swym przybocznym orszaku wyruszać do boju bez bogatego ekwipunku i każdy człowiek miał przynajmniej hełm ozdobiony niebieskimi wstęgami, oszczep i nóż, a pod kubrakiem watowaną kurtę. Niektórzy, jeśli mogli sobie na to pozwolić albo mieli szczęście znaleźć podobne rzeczy na polu walki, nosili filcowy płaszcz albo kolczugę, skórzany pendent albo i nawet skórzane ochraniacze na nogach i ramionach. W przeciwieństwie do innych możnych, Lavastine był szczodry w dzieleniu łupów i zawsze dawał swym żołnierzom należną im część.

Alain dosiadł konia i posłusznie jechał obok ojca. Przekroczyli smocze plecy i zaczęli zjeżdżać po krzywiźnie karku i łap. Okrągłe wzniesienie w dole, wysokie na trzech mężczyzn,

nazywano smoczą głową; koronował ją pokręcony cis i krzak starych pnących róż, zasadzonych wiele lat temu.

Przy wzniesieniu mieszkańcy Osny czekali, by powitać hrabiego Lavastine'a. Osna była portem handlowym i potrzebowała ochrony. Hrabia zapewniał tę ochronę... za cenę egzekwowaną w dobrach i zaciągu. A ciotka Bel powtarzała: „Należy grzecznie witać się z tymi, którzy mają lepszą broń”.

Wszyscy się na niego gapili. Zażenowany wlepił wzrok w wodze okręcone wokół dłoni, ale wciąż słyszał szepty i swoje imię powtarzane w tłumie.

Przejechali przez palisadę i wzdłuż pól, stając przed kościołem, który był piękny i dumny dzięki datkom najzamożniejszych rodzin w Osnie. Ale ich zamożność była niczym w porównaniu z bogactwem, jakie widział w pałacu biskupiny Konstancji i na królewskim dworze, czy choćby tym, czym cieszył się każdego dnia jako dziedzic hrabiego.

Niezgrabne domy, zbudowane z nie okorowanych pni wzmocnionych błotem i gałęziami wyglądały lichy w porównaniu z pałacami szlachty. Ale czy nie były dobrymi domami, wzniesionymi z porządnego drewna przez dłonie chętnych, prawych ludzi? Zawsze uważał się za szczęściarza, kiedy tu mieszkał, choć zapomniał już, jak bardzo wioska cuchnęła rybą.

Czy to duma sprawiła, że widział skromną wioskę inaczej? Czy też fakt, że poznał szeroki świat?

Diakonisa Miria powitała ich oficjalnie. Hrabia zsiadł z konia, a Alain szybko poszedł w jego ślady, wręczając wodze giermkowi, ale nie puszczać smyczy. Rozejrzał się i ujrzał wiele znajomych twarzy, ludzi z którymi dorastał, ludzi, których dobrze znał...

Ale nie dostrzegł ani jednego członka swej rodziny.

„To już nie jest moja rodzina”.

Nikogo z nich nie było w tłumie.

– Chodźcie, panie – powiedziała diakonisa. – Ufam, że uznacie kwatery w Osnie za godne waszej rangi. – Poprowadziła ich... do domu pani Garii. Żołnierze zostali, aby rozłokować się po innych budynkach.

Dlaczego nie zaszczycali ciotki Bel swą obecnością?

Ze ścieżki miał widok na wejście do domu ciotki. W progu stała kobieta z chochlą w jednej ręce, drugą podtrzymując na biodrze dzieciaka. Nie była to ciotka Bel.

Dlaczego córka starej pani Garii stała w wejściu do domu Bel, jakby należał on do niej?

Popołudnie zmieniło się w wieczór. Garia i jej córki przygotowały ucztę, do której usługiwali jej synowie i wnukowie oraz najbardziej zasłużeni z orszaku hrabiego.

Choć wedle standardów w Osnie była to uczta, daleko jej było do posiłków w zamku pani Aldegundy. Chleb był ciemny, nie jasny; prócz wszechobecnej ryby podano tylko dwa rodzaje mięsa, wieprzowinę i wołowinę, doprawione jedynie pieprzem i ziołami, które można było znaleźć w okolicy; były jabłka zapiekane w miodzie, ale bez sosu, który rozplątywał się

Alainowi w ustach. Zaczerwienił się, myśląc o służącej i tym, czego chciała.

W przerwie między posiłkami pani Garia podeszła, by polecić hrabiemu swego najstarszego wnuka jako przybocznego, stałego członka hrabiowskiej straży.

– Naprawdę ciężko jest, panie, znaleźć miejsca dla wszystkich mych wnuków. Nasza Pani pobłogosławiła mój ród wieloma zdrowymi dziećmi, ale dziewczęta odziedziczą warsztat, a nie mamy jeszcze środków, w przeciwieństwie do innych... – po raz pierwszy jej wzrok spoczął na twarzy Alaina i zaraz uciekł – ...by zbudować nową łódź. A poza tym chłopak ma prawie szesnaście lat. Mam nadzieję, że zaszczycicie nas waszą uwagą.

„Waszą uwagą”.

Kiedy padły te niewinne słowa, wszyscy zaczęli gapić się na Alaina.

– Ja... – odezwał się.

Lavastine podniósł dłoń. Alain umilkł.

– Na wiosnę będę znał moje zapotrzebowania. Przyślę wiadomość przez moją kasztelanę Dhoude, kiedy przyjedzie ze zwyczajową wizytą.

Strach wstał, obnażając kły i pani Garia wycofała się przerażona. Alain uciszył psa i kazał mu leżeć. Smutek otarł się o niego, wsadzając łeb pod dłoń chłopaka, domagając się pieszczot. Zgromadzeni na powrót zaciekawili się stołem.

Po wielu daniach, zamiast rozrywki hrabia Lavastine wypytywał miejscowych o Eików.

Dwa okręty Eików widziano latem po spaleniu klasztoru, kolejne trzy zeszłego lata, ale wszystkie ominęły zatokę Osny, trzymając się za wyspami. Nie dochodziły wieści o spaleniu pobliskich wsi; nikt nie słyszał plotek o zimowych obozach. Leśnik, syn kuzyna Garii, który wypuszczał się daleko, szukając zwierzyny i zagajników solidnych drzew, nie widział nic wzdłuż wybrzeża o dwa dni marszu od wioski ani nic nie słyszał od ludzi napotkanych po drodze.

Lavastine wypytywał kupców szczegółowo i usłyszał od nich bardziej zróżnicowane opowieści. Żaden z nich nie napotkał Eików, ale kupcy handlowali też plotkami. Cztery okręty Eików, czatujące wzdłuż wybrzeża na północ od Medemelachy nagle zawróciły i odpłynęły. Zamek szlachecki w Salii został zdradziecko napadnięty; jedno miasto dwa miesiące opierało się oblężeniu; późnym latem uciekinierzy ze spalonego klasztoru z wyspiarskiego królestwa Alba dobili w skórzanej łodzi do Medemelachy, przywożąc ze sobą mrozącą krew w żyłach opowieści o rzezi i rabunku.

Alain siedział posłusznie i słuchał, ale nie odważył się zadać pytania, na które miał najbardziej ochotę: Gdzie jest Henri? Dlaczego nie zasiadał wśród kupców z Osny? Co się stało z jego rodziną?

„To już nie jest moja rodzina”.

Łóżko pani Garii, najlepsze w domu, oddano hrabiemu i jego dziedzicowi. Służący załadali sienników albo spali na podłodze wokół, a w ciepłym domu, w którym ogień na palenisku płonął przez całą zimną jesienną noc, wszystkim było wygodnie. Zapach starego

drewna, swąd dymu unoszącego się pod belkami dachu, zapach dzieci i kwaśnego mleka oraz zwierząt, znajdujących się po drugiej stronie budynku pocieszał Alaina; przypominał mu dzieciństwo. Przez wiele lat sypiał w podobnym domu i miał dobre sny.

Rankiem odciągnął na bok diakonisę Mirię, podczas gdy giermkowie siodłali konie, a żołnierze przygotowywali się do wymarszu.

– Gdzie są Bel i Henri? Co się stało z nimi i rodziną?

– Alain! – Lavastine dosiadł już konia i niecierpliwie machał na syna.

– Dobry z ciebie chłopak, Alainie, że o nich pytasz – odparła, wyglądając jednocześnie na pełną współczucia, niesmaku i rozbawienia. Po czym przypomniała sobie, do kogo mówiła. – Panie.

– Gdzie oni są?

– W starym domu zarządcy. Wiernie przychodzą każdego tygodnia na mszę, ale wielu nie umie im wybaczyć powodzenia.

– Alain!

– Dziękuję! – Pocałowałby starą diakonisę w policzek, ale nie wiedział, czy taki gest był dozwolony w obecności tyłu gapiów. Skłoniła sztywno głowę.

Dosiadł konia. Kiedy hrabia i jego orszak opuszczali wieś, biegły za nimi dzieci, śmiejąc się, pokazując palcami i krzycząc.

– O co pytałeś? – zaciekawił się Lavastine.

Przejeżdżali obok cuchnących chlewow i zimowych obór dla krów i owiec. Wyjeżdżali przez południową bramę i przekraczali strumień, na którego wschodnim brzegu stała mała garbarnia i wioskowa rzeźnia, gdzie wciąż wrzała praca i szlachtowano zwierzęta, których nie chciano zatrzymać. Alain przyciskał dłoń do ust i nosa, dopóki nie ustawili się z wiatrem. Jeśli smród przeszkadzał Lavastine'owi, nie okazał tego; jego uwaga pozostała skupiona na Alainie.

– Pytałem o moją przybraną rodzinę – odparł w końcu Alain, opuszczając dłoń. – Dowiedziałem się, dokąd poszli.

– Poszli dokądś? – powiedział Lavastine bez zbytej ciekawości, choć niezwykle było, aby dobrze prosperująca rodzina przeprowadzała się.

– Zajęli dom zarządcy... – pospieszenie mówił dalej, bo Lavastine najwyraźniej nie rozumiał, o co mu chodziło. – To mały dwór. Zbudowano go za panowania cesarza Taillefera dla zarządcy, który doglądał tych ziem, zanim jeszcze założono port. Mieszkał tam starzec. Był wnukiem ostatniego zarządcy, ale posiadał niewiele i nie miał służących... pola zdziczały. Nie miał też statku, by go wysyłać, choć przy dworze jest ładne miejsce do cumowania.

– Przejdź do rzeczy, synu, o ile masz taki zamiar.

Ale droga sama wytłumaczyła, w czym rzecz: błotnisty szlak rozdawał się. Szersza lewa odnoga biegła na południe i w końcu łączyła się z traktem, który prowadził do zamku Lavas.

– Droga na prawo wiedzie do domu zarządcy, który leży w zamkniętej dolinie nad zatoką.

– I?

Alain wiedział, że nie wybaczyłby sobie, gdyby ich nie zobaczył.

– Błagam ojciec, czy możemy ich odwiedzić?

Lavastine zamrugał. Wyglądał przez moment jak człowiek, któremu właśnie oznajmiono, że jego żona miała oczekiwanego dziecka powiła szczenięta. Ale ściągnął wodze tuż przed rozwidleniem, a jego posłuszni żołnierze zatrzymali się.

Alain oddychał płytko, desperacko próbując powstrzymać cisnące się na usta słowa, ale nie zdołał.

– Błagam – wykrztusił. – Tylko ten jeden raz.

Alain nie znał żadnych drzwi do duszy i myśli Lavastine'a. Jego zwięzła mowa, ostre ruchy, niecierpliwość i wydajność zlewały się w całość tak spójną, że Alain przypuszczał, iż to, co na zewnątrz, było odbiciem tego, co wewnątrz, jak nauczał Kościół. Tylko frater Agius uczył inaczej: że pozór zewnętrzny maskuje serce wewnątrz, tak jak pobożny Agius aż do końca ukrywał swą wiarę w heretycką doktrynę rozdzierającego noża, śmierci i odkupienia błogosławionego Daisana.

– Doskonale – powiedział Lavastine cierpko. Alain nie mógł stwierdzić, czy hrabia aprobował taki obrót rzeczy, czy też go potępiał i tak naprawdę nie chciał wiedzieć. Musiał zobaczyć ciotkę Bel i Stancy, i Julię, i małą Agnes, i niemowlę, jeśli nadal żyło. Musiał porozmawiać z Henrim, upewnić się, że ten nie...

Nie co?

Nie potępiał go jako krzywoprzysięzcy za to, że nie wstąpił do klasztoru?

Wziął wdech i ruszył naprzód. Jego klacz, przez większość czasu potulna istota, stąpała w powodzi liści zaśmiecających szlak. Lavastine pozwolił mu prowadzić niewielką kawalkadę wąską drogą, wijącą się wśród dębów i srebrzystych brzoź, klonów i buków. Przez gołe gałęzie widział zarys budynków, małą posiadłość, w której skład wchodził dom, stajnie, kuchnia i szopy zbudowane wokół dziedzińca, który służył też za zagrodę. Wynurzyli się z lasu i wjechali na karczowisko otaczające posiadłość; gdzieś nie wykarczowano jeszcze korzeni, gęste poszycie i nowe drzewka pięły się ku światłu, a pomiędzy nimi wycięto poletka, na których ozimina rosła w równych zielonych rzędkach.

Nie od razu rozpoznał młodego mężczyznę, który stał w nie skoszonej trawie na jednym końcu długiego pnia osadzonego na koźlach. Okorowany i ociosywany równo dookoła pień był długi i mocny, dobry na maszt. Na drugim końcu pnia stał Henri, plecami do drogi; Alain natychmiast go rozpoznał. Młodzieniec miał szerokie ramiona żołnierza, a kiedy się odwrócił, Alain uświadomił sobie, że był to wszak jego kuzyn Julien, który wyrósł już na mężczyznę i był pół głowy wyższy niż dwie zimy temu.

Julien dostrzegł kawalkadę i zawołał tak głośno, że najpierw dwójka dzieci, a potem ciotka Bel wyszła na próg; kilku robotników, których Alain nie znał, wynurzyło się z warsztatu. Henri spojrział raz i rozmyślnie wzduszając ramionami, wrócił do pracy. Ale reszta

wyległa na zewnątrz, ciotka Bel, Stancy i mała Agnes, która wyglądała bardziej jak kobieta niż dziewczynka, którą zapamiętał Alain. Stancy trzymała w nosidełku nowe dziecko. Nawet małeństwo wyszło, jasne kręcone włosy spływały mu na ramiona. Kobieta w szatach kleryczki stanęła obok ciotki Bel. Mała dziewczynka, której Alain nie znał, stała z otwartą buzią i uniesioną witką, zapominając o gęsiach, powierzonych jej pieczy. Ptaki powędrowały w stronę lasu, ale tylko Alain to zauważył, ponieważ cała reszta gapiała się na niego.

Ciotka Bel ruszyła naprzód, stając między swą rodziną a orszakiem hrabiego. Z szacunkiem złożyła ręce i skłoniła głowę; nie była równa hrabiemu, ale nie należała też do sług.

– Pani Bello – powiedział Lavastine na powitanie, rozpoznając ją, choć Alain nie spodziewał się, że hrabia znał jej imię.

Kleryczka wymamrotała błogosławieństwo dla wszystkich.

Gęsi, nie zauważone, szły pomiędzy drzewa, podczas gdy dziecko gapiło się na żołnierzy w błękitnych kubrakach i flagi łopoczące na wietrze.

– Gęsi! – wykrztusił Alain, kiedy pierwsza zniknęła mu z oczu. Tłum nagle się poruszył. Gęsiarczka zaczęła płakać, stojąc bez ruchu. Julien pobiegł do lasu, ale to jedynie przestraszyło ptaki i część rozpierzchła się na wszystkie strony, a reszta syczała i kłapała dziobami; jedna uszczypnęła robotnika w palec.

Alain zsiadł z konia i rzucił wodze giermkowi.

– Z drogi – powiedział do robotnika i kilku dzieci. – Leżeć – zawołał do psów, które zaczęły szczekać i szarpać się na smyczach. Posłuchały. – Julien! – parsknął, podchodząc do kuzyna. – Przecież wiesz, że tak się gęsi nie łapie.

– Tak, panie – wymamrotał Julien, czerwony na twarzy.

Alain oblał się rumieńcem. Czy zabrzmiało to aż tak dumnie? Ale gęsi się rozbiegły, a gęsiarka przysiadła na piętach i rozryczała się na cały głos. Przykucnął przy niej.

– Cicho, mała. – Dotknął jej brudnego podbródka. – To ich nie sprowadzi. Ty stań tutaj, przy bramie zagrody i zamknij ją, kiedy tylko wszystkie znajdą się w środku.

Jego piękne odzienie, czysta twarz i dłonie zaszokowały ją; widział to po wyrazie jej twarzy i wzroku, który przesuwiał się z tuniki na twarz, na dłonie i z powrotem. Szloch ucichł i choć łzy nadal spływały jej po policzkach, posłuchała go. Poszedł do lasu i rozpoczął żmudny proces zaganiania zaniepokojonych i rozgniewanych gęsi do zagrody. Mówił cicho i wykonywał ruchy wolno, i po jakimś czasie ruszyły, podejrzliwe i złe, ale nie zamierzające, przynajmniej w tej chwili, rzucać się na ludzi. Wyginając długie szyje, sycząc na żołnierzy i rodzinę, podażyły za Alainem do zagrody i weszły do niej gęsiego. Przy bramie tylko jeden gąsior syknął i cofnął się. Alain obszedł go ostrożnie, przykucnął i nagłym ruchem złapał ptaka od tyłu za nogi, drugą ręką mocno przytrzymując szyję. Wstawił wściekłego, gęgającego ptaka do zagrody, wyskoczył, a gęsiarka zamknęła bramę. Gęsi podporządkowały się, sycząc i uderzając skrzydłami.

Odwrócił się i ujrzał, jak ciotka Bel bezskutecznie powstrzymuje śmiech, a żołnierze i robotnicy gapią się w kompletnym osłupieniu, a ojciec przygląda mu się z wążutkim uśmieszkiem, tym, który zawsze towarzyszył niezadowoleniu.

– Widzę, że nie zapomniałeś wszystkiego, czego się tu nauczyłeś – powiedział ktoś u jego boku. Alain odwrócił się i zobaczył ojca; nie prawdziwego, ale przybranego, Henriego.

Ciotka Bel podniosła głos:

– Panie hrabio, mam nadzieję, że wy i wasi ludzie zjecie z nami posiłek. Moje córki go przygotowują.

Lavastine przytaknął ostro. Nie mógł odmówić. Pogardzenie gościnnością uważano za grzech. Ale kiedy hrabia zsiadł z konia, przywołał do siebie Alaina.

– Jeśli pozwolicie, mój panie – ciągnęła ciotka, a Stancy, Agnes i inne kobiety pobiegły do domu, natomiast robotnicy cofnęli się na przyzwoitą odległość. Julien i Henri wrócili do pracy przy maszcie. – Zamiast oczekiwać w domu, oprowadzę was po dworze. To wasza szczodrość pozwoliła nam polepszyć nasz byt i osiąść tutaj.

– Prawda.

Ciotka Bel trzymała się z dala od psów, które warczały na nią, podczas gdy odziany w wutowane ochraniacze psiarczyk odciągał je od domu. Kiedy żołnierze zabrali konie, by je nakarmić i napoić, Bel oprowadzała Lavastine'a i Alaina; towarzyszyła jej kleryczka, jakby Bel była szlachetnie urodzona. Dom był piękny i duży, choć oczywiście nie tak wspaniały jak forteca Lavastine'a, a otaczał go teren, na którym leżały pola, pastwiska, stały dwa warsztaty i las, i szeroka ścieżka wiodąca do zatoczki, gdzie rodzinna łódź została na zimę wyciągnięta na brzeg i umieszczona na palach pod słomianych dachem.

– Mój brat Henri jest kupcem, panie, i przez wiele lat wysyłaliśmy do Medemelachy materiały i kamienie do żaren. Niedaleko stąd, w górach, jest kamieniołom, z którego bierzemy towar. Dzięki szczodrej zapłacie otrzymanej od was zdołaliśmy nie tylko przeprowadzić się do tego dworu, ale też rozwinąć interes. Wynajęłam robotników do robienia kamiennych naczyń do gotowania i przechowywania jadła. Wyślemy je również do Medemelachy. Za jakiś czas Henri ma nadzieję popłynąć dalej na północ, aż do Gentu, choć tam jest się bardziej narażonym na ataki Eików, a w przyszłym roku zamierza wyruszyć w swą pierwszą podróż na północny zachód, do Alby, do portu Hefenfelthe na rzece Temes.

Lavastine zaczynał wyglądać na zainteresowanego. Jako dobry zarządca swój majątek zawdzięczał w dużej części starannemu dbaniu o ziemię i własność.

– Jeden statek nie może popłynąć w trzy miejsca.

Ciotka Bel uśmiechnęła się.

– Budujemy tej zimy drugą łódź. Oddaliśmy mojego trzeciego syna, Brunona, do terminu u Gillesa rybaka, miejscowego, który zbudował większość łodzi w tej okolicy. W zamian za to szkutnik pomoże memu bratu przy częściach, których tajemnic Henri nie zna.

Lavastine przyglądał się pracy nad masztem. Henri, pocący się mimo chłodu, wyglądał na

obojętnego na wizytę wielkiego pana.

– Ale czy nie jest też prawdą, jak czytali mi klerycy ze Świętych Ksiąg, że „rolnik musi zachować trochę ziarna, gdy piecze chleb, bo nic mu na siew nie zostanie”?

– „A w nadchodzących dniach ni chciwość, ni duma brzucha mu nie napełnią” – dokończyła kleryczka. Była to młoda kobieta, niewiele starsza od Alaina, z krzywymi zębami, dziobami po ospie i radosną twarzą. – Wasza uwaga na słowa Pana i Pani zsyła na was Ich łaskę, panie.

– Zaiste – powiedział Lavastine. – Okazali mi swą łaskę. – Spojrzał na Alaina. Bel cudownym trafem zdawała się nie zauważać tego, co działo się obok. Ruszyła ku kolejnemu warsztatowi, połączonemu z domem krytym przejściem.

– Mamy nadzieję na trzy statki za jakiś czas, panie – powiedziała. – Ale na razie szlaki na północ są dla nas zamknięte przez Eików. Jak mówicie, musimy rozwijać się wolno, aby się nie przeliczyć. W tym pomieszczeniu przędę z córkami. Za jakiś czas będziemy miały cztery krosna. Mamy też nadzieję zatrudnić więcej najemników i rozszerzyć też farmę. Zareczyliśmy moją córkę Agnes z kupcem z Medemelachy. To doświadczony żeglarz. Za jakiś czas przejmie trzecią łódź, o ile Pan i Pani okażą się łaskawi dla naszego przedsięwzięcia.

– Ale Agnes jest za młoda na małżeństwo! – powiedział zaszokowany Alain.

Lavastine odgonił muchę i wszedł do warsztatu tkackiego, otwartego przez kleryczkę.

– Ile lat ma wasza córka?

– Dwanaście, panie. Jej narzeczony zamieszka z nami w przyszłym roku, ale nie pobiorą się, dopóki ona nie skończy piętnastu czy szesnastu lat. Proszę tedy. – Alaina zaczęło irytować, że Bel zwracała się tylko do Lavastine’a, a nie do niego, jakby to on był obcym. Jednak pewne drobne zmiany na jej twarzy, czytelne tylko dla niego, pojawiały się i znikaly, zdradzając przed nim jej myśli i nie wypowiedziane komentarze, zbyt osobiste, by dzielić je z kimś, z kim nie była blisko: podniesiona brew zdradzająca rozbawienie, dołeczek ukrywający rozdrażnienie, zasznurowane usta, za którymi chowała wszystkie oznaki satysfakcji, które uznawała za nie na miejscu. – Kupiliśmy więcej krów i będziemy też eksportować ser. Mamy nadzieję za jakiś czas sprowadzić tu kowala. Jak widzicie, wynajęliśmy tego z Osny, aby dwa razy w tygodniu dla nas pracował. – Weszli do domu, długa sala wypełniona była kobietami i dziewczętami zastawiającymi stół i przynoszącymi półmiski z kuchni. Przy progu Alain dostrzegł nie pomalowaną drewnianą tarczę, hełm i miecz. – Wysyłamy mego najstarszego syna Julieną jako zbrojnego do nowej księżnej Varingii, ponieważ teraz możemy pozwolić sobie na uzbrojenie.

Jego przyobiecali Kościołowi, kiedy ponad wszystko pragnął zostać żołnierzem! Ukłula go zazdrość i zaczerwienił się ze wstydu, ale nikt tego nie dostrzegł. Oczywiście, sprawa z Julienem miała się inaczej. Był dzieckiem ciotki Bel, jej najstarszym synem i na pewno chciała dać mu szansę teraz, kiedy posiadali odpowiednie środki. Chcieli dla niego jak najlepiej; to nie ich wina, że nie wiedzieli, kim naprawdę jest... prawda?

Ciotka Bel nadal mówiła, rozważając różne możliwości ożenku swych dzieci i krewnych. Ku konsternacji i kompletnemu zmieszaniu Alaina, Lavastine zdawał się rozkoszować podobnymi dyskusjami; pytał i dawał rady. I doprawdy traktował ciotkę Bel z podobną atencją, co swoją kasztelanę Dhoudę, kobietę, której zdolność zarządzania domem považał tak bardzo, że zostawiał ją samą na włościach.

– ... A teraz, kiedy mamy więcej interesów, sprowadziliśmy z Salii siostrę Koryntię, aby pisała i czytała nasze listy oraz prowadziła rachunki. Mam też nadzieję oddać córkę Juliana, Blanche, do klasztoru wraz z posagiem. Siostra Koryntia będzie ją uczyła, aby dziecko nie było niepiśmienne.

Córka Juliana, małość, była nieślubna, choć Julien i jego dziewczyna zadeklarowali publicznie chęć ożenku, zanim młoda kobieta zmarła w połogu.

– Dobrze wam idzie – powiedział Lavastine. Wydawał się pod wrażeniem. Alain był wyjątkowo poirytowany. Czuł się wykorzystany, jakby jego rodzina chciała go tylko dlatego, że mogła coś za niego dostać: hojną hrabiowską odpłatę za wychowanie.

Ciotka Bel spojrzała na Alaina i odwróciła wzrok. Była poważna.

– Nie spodziewaliśmy się tego ani nie pragnęliśmy, panie – rzekła, jakby czytała w myślach Alaina. Być może rzeczywiście to zrobiła, kiedy dostrzegła wyraz jego twarzy. Tak dobrze go znała. Zawstydził się. – Ale czy w Świętej Księdze nie jest powiedziane: „Będziesz spożywał owoc pracy swojej”?

– „Będziesz szczęśliwy i bogaty” – zacytowała młoda kleryczka, najwyraźniej chcąc popisać się swoją znajomością Świętych Słów. – „Twe córki będą jak owocująca winorośl, a synowie jak łany zboża. Ta, która dogląda Paleniska i co dzień zapala świecę na pamiątkę Komnaty Światła, otrzyma błogosławieństwo: Będzie bogata jak Sais przez wszystkie dni życia swego i ujrzy dzieci swych dzieci!”

– Proszę, panie hrabio – ciotka Bel wskazała pojedyncze krzesło przy stole. Reszta miała zasiąść na ławach. – Zechciejcie usiąść. – Odwróciła się do Alaina i uczyniła ten sam, pełen szacunku gest. – I wy, panie.

– Ciociu Bel – zaczął, nienawidząc formalności.

– Nie, panie. – Wolał się z nią nie sprzeczać. – Jesteście teraz synem hrabiego i musicie być traktowani jak on. „Bóg stwarza bogaczy i biednych; Oni ich wynoszą i strącają w dół”.

– Jako rzekła prorokini Hanna – dodała kleryczka.

Ciotka Bel odwróciła się do Lavastine’a.

– Wyślę jedno z moich dzieci, aby przyprowadziło drużynę do stołu, panie.

– Ja pójdę – powiedział Alain, choć nie był u siebie. Nie powinien był tego proponować bez zgody ojca. Ale nagle zrozumiał, że nie będzie miał żadnej możliwości porozmawiania z Henrim, bo Henri nie zje z nimi. Nikt z rodziny z nimi nie zje; będą obsługiwać gości. To wszystko.

Żołnierze zaczęli tupać, robiąc zamieszanie przy wejściu.

– Alain! – powiedział Lavastine.

Alain uciekł.

Na zewnątrz Julien i Henri nadal pracowali nad masztem. Kiedy Henri ujrzał nadchodzącego Alaina, wyprostował się i nakazał Julienowi odejść. A potem znów schylił się nad masztem.

Alain zatrzymał się przy mężczyźnie. Tutaj, z dala od zaułków Osny, zapach był inny. Tam wszechobecny zapach ryby suszonej, solonej i wędzonej przenikał uliczki i plac nawet podczas niedzielnych mszy. W domach ryby, dym, pot, pył z żaren, mokra wełna, suszone zioła, kwaśne mleko i oliwa, i wosk do świec mieszały swe zapachy, tworząc jeden, bogaty i znajomy. We dworze nie było tego smrodu, bo miejsce na składowanie jedzenia było w szopie przy kuchni, żarna obrabiało się w osobnym warsztacie, a tkalo w specjalnie do tego przeznaczonym pomieszczeniu. Choć w tym gospodarstwie mieszkało ze trzydzieści osób, nie tłoczyli się razem, prócz zimowych nocy, kiedy wszyscy spali w głównej sali.

Czuł bryzę i słyszał krzyki mew. Oczywiście chlewy cuchnęły, ale zapach ziemi, wiatru i późnojesienny ziąb zapowiadający nadejście zimy górowały nad wszystkim, stapiając się w zapach roślin, zapach życia. Zapach ziemi i możliwości, nawet jeśli był to tylko stary dom zarządcy z czasów cesarza Taillefera.

– Dobrze wam się wiedzie po zapłacie od hrabiego Lavastine’a – powiedział Alain, choć nie zamierzał mówić czegoś podobnego.

Henri wygładził boki bali w równą krzywiznę.

– Tobie też – odparł, nie podnosząc oczu znad rytmicznie wykonywanej pracy. Te słowa, wypowiedziane od niechcenia, uderzyły Alaina prosto w serce.

– Nie prosiłem o to!

– Jak więc do tego doszło?

– Nie sądzisz chyba, że ja...!

– A co mam sądzić? Przyrzekłem diakonisie zamku Lavas, że oddam cię do klasztoru, kiedy skończysz szesnaście lat i dojdiesz do wieku męskiego, a ona nie powiedziała „nie”. Czy gdyby wiedziała, kim jesteś, sądzisz, że tak łatwo by cię oddała?

– Nie wiedziała, że hrabia Lavastine już się nie ożeni! Nie mogła tego wiedzieć siedemnaście lat temu. Sądzisz, że ja go w jakiś sposób zwiodłem, oszukałem, wymyśliłem to wszystko...! Tylko po to, żeby nie iść do klasztoru!

– Co ja mogę sądzić? – spytał Henri. Ani razu nie podniósł głosu. – Jasno powiedziałeś, że nie chcesz wstępować do Kościoła, choć obietnica została złożona w tym samym czasie, kiedy niemowlęciem przyjmowano cię do Kręgu.

– Złożona przez innych – odparował Alain wściekle. – Nawet nie potrafiłem mówić; byłem dzieckiem.

– A potem – ciągnął cicho Henri – po spaleniu klasztoru, poszedłeś na rok na służbę do zamku Lavas i nie mamy od ciebie żadnych wieści, a potem przychodzi zapłata, a ty nagle

zostajesz ogłoszony dziedzicem hrabiego. Poradziłem Bel, żeby ją odesłała.

– Odesłała zapłatę! – Henri mógł równie dobrze dać mu w twarz, jak mówić coś podobnego. – Odesłalibyście ją? – Głos mu się załamał.

– „Przeklęty głodzie złota, do jakichże zbrodni nie powieszysz człowieczego serca?” Kleryczka, dobra wykształcona kobieta, mówię tobie, i bardzo pobożna, cytowała nam historie Heleny, zwaną *Heleniadą*. Wziąłem sobie te słowa do serca i powiedziałem je Bel.

– Nie sądzisz, że ciotka Bel jest chciwa!

– Nie – przyznał Henri. – A działała tylko dla dobra rodziny. Rzeczywiście, dobrze nam pod jej rządami. Ale nigdy nie powinniśmy byli przyjąć tego, co otrzymaliśmy dzięki fałszywym pretensjom. Pan i Pani nie uśmiechają się do tych, którzy kłamią, aby się wywyżżyć.

Powiedział to wreszcie. Alain był oszołomiony. Kiedy się odezwał, zniknęły wszystkie ostre słowa i mógł jedynie szeptać:

– Nie uważasz mnie za syna Lavastine’a.

– Nie – powiedział Henri tak spokojnie, jakby odpowiadał na pytanie o jutrzejszą pogodę. Ale po raz pierwszy odsunął się od masztu i wyprostował, trzymając strug w jednej ręce, by spojrzeć na Alaina. Jego spokojne spojrzenie niszczyło. – A dlaczego miałbym cię za niego uważać?

Smutek i Furia szczeptały i skomlały, szarpiąc smycze, przywiązane do wbitego w ziemię kołu. Wściekły, Alain odwrócił się i pobiegł, zbyt zły, by myśleć, zbyt zły, by zrobić coś poza wyrwaniem kołu z ziemi i zwolnieniem smyczy.

– Bierz! – krzyknął i skoczyły w przód, warcząc, ku mężczyźnie, który tak rozzłościł ich pana.

Lavastine pojawił się na progu domu.

– Alain! – krzyknął.

Smutek i Furia pędziły, skacząc nad kępami trawy i płotami, a Henri stał i patrzył na nie, choć Alain widział, że drży i unosi strug, jakby chciał się obronić. Nic nie mogło obronić go przed ogarami. Nic prócz głosu dziedzica Lavas.

– Stać! – wrzasnął Alain i psy zamarły na wyciągnięcie ręki od Henriego. – Do nogi. – Zagwizdał. Zawarczały na mężczyznę raz i przeciągle, a potem posłusznie obróciły wielkie łby i podreptały do Alaina. Trząś się. I choć ledwie mógł utrzymać smycze, znów uwiązał ogary.

Lavastine podszedł do niego.

– Co to znaczy? – Hrabia spojrział na Henriego, który nie wrócił do pracy, tylko stał bezwładnie przy maszcie i który, jak drzewo pod naporem wiatru, oparł najpierw dłoń, a potem cały ciężar ciała na pniu, zginając się jak stary człowiek.

– N...nic – wyszeptał Alain. Chciał płakać. Nie odważył się.

– Doprawdy – rzekł Lavastine. – Skoro nic, chodź do środka. Nie powinienesz być tak

wybiegać. To wielki zaszczyt dla tej rodziny, że jemy przy ich stole i pozwalamy im nam służyć. – Skinął na jednego ze swych służących. – Przyniesź mój puchar.

Alain poszedł za nim do środka. Nie mógł spojrzeć w prawo ani w lewo. Nie mógł podnieść wzroku i spojrzeć komukolwiek w oczy. Lavastine wziął od służącego swój piękny puchar z orzecha, którego używał w podróży. W drewnie wyrzeźbiono cztery złote rzeki, a całość wypolerowano tak, że lśniła. Hrabia z wdzięcznością dał ten puchar ciotce Bel, która kazała Stancy go napełnić i oddała Lavastine'owi, by napił się pierwszy. Dopiero potem zgodziła się usiąść po jego prawicy i jeść, choć reszta rodziny podawała do stołu.

– Mam nadzieję, że przyjmiecie ten puchar – powiedział Lavastine. – Na pamiątkę waszej gościnności wobec mnie i mego syna.

– Zaszczycacie nas, panie – odparła Bel i napiła się.

Posiłek nie był tak wymyślny jak ten serwowany przez panią Garię, która, było nie było, wiedziała z wyprzedzeniem o przyjeździe Lavastine'a. Ale była wołowina i dobry chleb, wino i jabłka, zabito też i ugotowano kilka kurczaków, doprawiając kozieradką i musztardą. Najważniejsze, że posiłek podano z godnością i dumą, a dla wszystkich starczyło aż nadto.

Henri nie przyszedł.

Alainowi, siedzącemu w ciszy pośród nowego bogactwa rodziny, wszystko smakowało jak proch.

2.

Wpływają do fiordu. Otaczają ich skały, lśniące lodem, śniegiem i szaroczarnym, zimnym kamieniem, kamieniem Matek. Fale uderzają o dziób, opryskując wioślarzy wściekle zimną wodą, tak zimną, że zanurzony w niej człowiek umrze. Nie jego lud, rzecz jasna. Jego lud to SkalneDzieci, dzieci ziemi i ognia, które obawiają się tylko jadu lodowych węży. Każdy inny los prowadzi jedynie do śmierci, a przeciw śmierci są najsilniejsi. Żelazo może ich zabić, ciśnięte z odpowiednią siłą. Mogą utonąć. Ale zimno czy gorąco spływa po ich pięknej skórze, bo czyż nie są naznaczeni bogatymi kolorami ukrytej ziemi, wykuci niby w kuźni z tych samych metali, którymi się ozdabiają?

Podrzuca oszczep w lewej dłoni, kiedy okręt przesuwa się wzdłuż lodowych wysp i przygotowuje się do skoku, gdy osiadzie na kamienistej plaży. Ta dolina, to plemię nie są przygotowani na jego nadejście. Pożalują tego. Ale obnażą przed nim gardła.

Stępka szura po kamieniach. Wyskakuje z okrętu, ląduje twardo i brnie przez pianę do brzegu, a jego psy wyskakują za nim, w ich ślady idzie drużyna. Jego stopy czują lód, śliskie kamienie, a jego psy brną za nim i odzyskują grunt pod łapami. Dopada brzegu i biegnie po śniegu. Za sobą słyszy dyszenie psów i wysilony oddech drużyny. Wierzą w niego teraz. To ich czwarte plemię tej zimy. Zima to dobry czas do zabijania.

Obserwatorzy nad wodą za późno podnoszą alarm. Za późno podnosi się dym, aby

ostrzec tych, którzy mieszkają wzdłuż dróg prowadzących do wyższych partii fjallu. Słyszy nagle zawroźnienie StarejMatki, wyrwanej z transu przez niebezpieczeństwo. SzybkieCórki biegną z długiego domu, niosąc koszyki, gniazda z jajami. Szczuje je psami. SzybkieCórki nie są święte, choć StaraMatka tak. Psy rzucają się na nie, koszyki padają, jaja się rozsypują na zimną ziemię, zginą w śniegu albo zostaną zniszczone przez lód, szpon, kiel lub wiatr. Najsilniejsi przeżyją. Inni zasługują na śmierć.

Wojownicy z fiordu Hakonin chwytają za broń i pędzą do walki jak stado rozwścieczonych kozłów. Ale on dumny jest ze swych ludzi. Nigdy nie widział, aby choć jeden odwrócił się i uciekł. A dziś daje swą odwagę i przebiegłość, by im pomóc. Jego drugi i trzeci okręt przybiły dalej w zatoce i żołnierze wypadają z tyłu, więc SkalneDzieci Hakonin już zostały otoczone. Śmierć spada na nich jak smoki i orły z przestworzy na lup. Tyle, że jeszcze o tym nie wiedzą. Ale kiedy zaczyna się bitwa i zdają sobie sprawę ze swego położenia, walczą zacieklej. Są silni i nieulekli, dlatego odwołuje swych żołnierzy wcześniej niż w innych wypadkach, zostawiając może połowę wojowników Hakonin wciąż żywych, miast wysłać ich wszystkich na kamieniste ścieżki śmierci.

Daje im wybór.

Dumni wojownicy, wszyscy, co przeżyli, są porządnie wychowani. Nie rzucają broni, ale też nie walczą, gdy sytuacja jest beznadziejna. Nie poddają się. Oddają swą śmierć lub życie woli ich StarejMatki i nożowi jej decyzji.

Teraz, gdy wszystko stracone, wynurza się ona z długiego domu. Jest mała, szara i mocna jak skała, którą bardzo przypomina. Jej ruchy są sztywne jak ruchy drzew, których nie zgina sztorm. To specyficzne piękno StarychMatek: są jak góry i klify, poszarpane grzbiety skał przecinających pola i pastwiska, są odbiciem kości ziemi, które spajają cały kraj i dają światu siłę i stałość. SzybkieCórki oddają jej koszyki i zbierają ocalałe jaja, pomiędzy szczątków swych siostr. Zbierają je, by stworzyć nowe gniazda, ale jest ich niewiele, za mało, by plemię mogło przetrwać.

W zagrodach za długim domem ludzcy niewolnicy wyją i jęczą; ten hałas jest drażniący i irtujący, ale powstrzymuje się przed zabiciem ich na miejscu tylko po to, aby uciszyć ten nieznośny zgiełk. Daje znak. Jego żołnierze się rozstępują, tworząc przejście dla własnych ludzkich niewolników. Zebrał ich tak, jak SzybkieCórki zbierają nie stłuczone jaja. We fjallu Waldarnin kazał tym niewolnikom doglądać psów i wojowników, aby ich poniżyć, bo Valdarninowie źle walczyli i niektórzy nawet poddali się, nim poznali wolę StarejMatki. Ale nie poniży Hakoninów; zamiast tego każe swym ludzkim wojownikom, choć nędznym i z drewnianą bronią, pilnować niewolników w zagrodzie. Dobrze mu służyli w tej porze walk. Jest zadowolony, że pomyślał o użyciu tych silnych, którzy nie boją się spojrzeć mu w oczy, pragnących go wyzwąć i na tyle inteligentnych, iż wiedzą, że wyzwanie na nic się nie zda.

– Kim jesteś? – pyta StaraMatka Hakonin. Czeka w progu. To już wspaniały gest, że wychyliła się na niepewne zimowe światło, pod niebo pocięte chmurami i padającym

śniegiem.

– Jestem z fiordu Rikin, piątym synem z piątego miotu Matki Rikin. Jestem synem Krwawego Serca i to przed jego klami obnażycie teraz swe gardła.

– W jakim celu? – pyta, jej głos jest jak skrzypienie kamieni na brzegu pod dziobem łodzi.

Żadna ze StarychMatek nie zadała takiego pytania, tylko jego własna Matka Rikin, nim wyruszył na zimowe łowy.

– Wielu może osiągnąć to, czego nie potrafi garstka – odpowiada jej.

– Służysz Krwawemu Sercu – mówi ona.

– Tak.

– Ktoregoś dnia, jak wszystko co zmieszane z powietrzem i wodą, on umrze – powiada.

– Umrze – potwierdza – bo tylko Matki, które nie są zmieszane z żadnym żywiołem prócz ognia i ziemi pozostają nietknięte przez czas tak długo, jak węgle płoną i żarzą się pod ich skórą.

– Uzbrajasz Miękkich – nie patrzy ku ludzkim niewolnikom. Nie zwraca na nich uwagi, a jej dotyk, jak lodowate wody, jest dla nich śmiertelny.

– Używam broni, którą mogę zgromadzić – odpowiada.

– Nosisz ich znak na sercu – rzecze ona i teraz jej synowie oraz bracia szepczą, widząc, że to prawda, zauważając drewniane koło, które wisi na świeżo wykutym łańcuchu na jego piersi.

– Oznacza me zrozumienie dla ich życia – powiada. – Mogę poruszać się w ich snach.

– Ty jesteś tym, który rozmawiał z MądrymiMatkami. Słyszę to w twoim głosie i widzę je wzrokiem, bo podzieliły się tą wizją ze wszystkimi fjallami. Podzieliły się nią z kośćmi ziemi. Że masz cierpliwość, by odnaleźć mądrość i silne myśli. Ale nie masz imienia. Krwawe Serce to potężny czarownik. Zabrał imię, jak tylko czarownicy potrafią.

Sklania głowę z szacunkiem. Wie, że nie należy sprzeciwiać się starym prawom rządzącym SkalnymiDziećmi. Jest bezimienny, jak przystoi, ale czy Alain Henrisson nie nadał mu imienia? Czy człowiek nie zwał go „Piątym Synem”, sądząc, że to jego imię? Pozostanie cierpliwy. Cierpliwość jest siłą MądrychMatek i siłą ziemi.

Ze skórzanej sakiewki na udzie StaraMatka Hakonin wydobywa nóż decyzji.

– Jeśli moi synowie i bracia będą dla ciebie walczyć – mówi – jeśli pozwolimy naszym psom biec z twoją armią, a naszym niewolnikom pracować dla celów Krwawego Serca, co mi dasz w zamian?

– Pokonałem cię – odpowiada.

– Tym nożem otwieram jaja. – StaraMatka podnosi nóż, aby słońce odbiło się w jego czarnym ostrzu, ułamku obsydianu tak gładkim, że może przeciąć kość i kamienną skorupę jaja. – Tym nożem oddzielam słabych od silnych, jak robią wszystkie me siostry z południa na północ. Ten nóż jest wyborem między życiem a śmiercią, a ty nie możesz pokonać śmierci, bo sam jesteś śmiertelny. Co mi dasz w zamian?

– Czego chcesz? – pyta, zaintrygowany.

– Urodziłam córki – mówi – a jedna zaczyna twardnieć. Jej żebra sztywnieją i niedługo nadejdzie jej czas. Gniazda, które są moje, zniszczyłeś, a ona będzie miała niewielu braci do pracy w polu i walki za dom Hakonin. Nie złożę więcej jaj, a ona jeszcze nie zaczęła. Przyrzeknij mi, że gdy urodzi córki i nadejdzie jej czas założenia gniazd, których musi mieć wiele, by wychować silny klan, poślę po ciebie, a ty przybędziesz odbyć z nią rytuał. Gniazda Hakoninów będą nosić twój znak.

– Tylko samiec, który ma imię, może odbyć rytuał z MłodąMatką – odpowiada ostrożnie. Ale czuje we krwi podniecenie. Te słowa, ta prośba, raz wymówiona, nie może zostać cofnięta. Niebezpiecznym jest brać dla siebie to, co stanowi przywilej Krwawego Serca i innych, bardzo niewielu, samców z imionami. Ale ta StaraMatka wie, jak on wie, że zamierza zostać jednym z nich. Musi być tylko cierpliwy i bezwzględny.

– Wiele pór minie – mówi MądraMatka Hakonin – zanim będę musiała zacząć moją wspinaczkę do fjallu i zanim ona weźmie ode mnie nóż i zasiądzie na moim miejscu. Przyobiecuj mi to i przypieczętujemy umowę: twoje nasienie dla naszych gniazd, nasi synowie i bracia dla twej armii.

– Przyrzekam – odpowiada. – Pieczętuję obietnicę krwią mego brata. – Gwiżdże i podbiega do niego jeden z psów, przeklina go, gdy kłapie na niego zębami i łapie za obroże, by przyciągnąć bliżej. Jego oddech, cuchnący jajami, na których ucztował, uderza go w twarz jak smrodliwy letni wiatr. Podcina mu gardło i krew spływa na ziemię w ofierze. Kiedy pies zwisa martwy, rzuca go na ziemię w jego własną krew, której krople spadły na jego pierś i delikatne sploty złotosrebrnej spódniczki, tysiące maleńkich kóleczek połączonych razem i opływających jego biodra i uda.

StaraMatka nakazuje jednej ze swych SzybkichCórek uklęknąć przed sobą. Potem zbiera w dłoń ciężkie złote włosy córki i obcina je jednym sprawnym ruchem.

– Ten symbol pieczętuje nasze przymierze. Zwiń je, przekuj i noś, kiedy cię wezwę.

Przytakuje, zgadzając się na wymianę. Jej synowie i bracia odsłaniają gardła, a zimowe słońce błyszczy na ich skórze, miedzianej, brązowej, złotej, srebrnej i żelaznej. Uśmiecha się w odpowiedzi, odsłaniając zęby i wprawione w nie klejnoty. Dziś doda kolejny. Jego lud mawia, że klejnoty są jak przechwałki, trudno zachować te, które się pokazało.

SzybkaCórka niesie swe ścięte włosy ku niemu przez podwórzec, przestępując uważnie ciała swych martwych siostr i skorupki jaj nie narodzonych braci. Składa włosy w jego wyciągniętych rękach, a on pilnuje, aby się nie zatoczył pod ich ciężarem. Nigdzie nie istnieje tak czyste złoto, nawet w kopalniach wyrytych głęboko w ziemi przez gobliny. Z tego przekutego złota utka nową spódniczkę, swoją własną, a nie ochłap ojcowskiej siły.

– Alain! – powiedział jego ojciec, a on otrząsnął się z sieci snu i spróbował zetrzeć z siebie jej nici.

Usiadł i ujrzał światło, wpadające przez otwarte okiennice sypialni, którą dzielił z ojcem i psami. W komnatach innych lordów sypiali służący; w Lavas nie.

– Śniłeś – powiedział Lavastine, wstając, aby zamknąć okiennice. Na zewnątrz panował przejmujący ziąb; w komnacie paliły się trzy koksowniki, grzeszny luksus. Kiedy okiennice się zamknęły i w pokoju pociemniało, Alain potarł ramiona, odpędzając sen. Wstał i zaczął się ubierać. Furia piszczała i drapała drzwi.

– Śniłeś – powtórzył Lavastine.

– Owszem. – Alain owinął łydki lnianym płótnem i wciągnął na koszulę wełnianą spodnią tunikę, a na nią grubą tunikę zimową, podbitą futrem fretki.

– Znowu Eikowie. – Lavastine zawsze pragnął wiadomości o Eikach.

Alain zaśmiał się nagle ostrym, krótkim śmiechem, podobnym do śmiechu ojca. Oczywiście Lavastine’a.

Wspomnienie ostatniego widoku Henriego wciąż bolało, ale już nie tak bardzo, nie po dwóch miesiącach. Był zbyt zajęty w zamku Lavas. Życie w fortecy toczyło się w zimie leniwiej, ale nie ustawało. „Następnym razem będzie inaczej. Następnym razem nie zawiódę w bitwie”. Siadywał z ojcem, kiedy Lavastine rozmawiał ze swą kasztelanką, z zarządcami, z klerykami i tymi nielicznymi zimowymi wędrowcami, którzy gościli dzień lub dwa w ciepłych komnatach zamku, zanim podjęli podróż. Alain uczył się, co znaczyło być wielkim panem, jakie gesty wykonywać, jakie grzeczne zdania mówić, jak oceniać gościa i witać go wedle jego statusu.

– Eika – powiedział Alain. – Piąty Syn. Sądzę, że zamierza się ożenić. Ale nie w taki sposób jak my.

Lavastine patrzył na niego w milczeniu, aż Alain poczuł się nieswojo, jakby powiedział coś złego albo skomentował coś w sposób bardziej przystający synowi chłopca niż młodemu hrabiemu.

– Ojczy? – spytał, bo nie lubił milczenia hrabiego. Tak milczał Henri.

Ale Lavastine wykrzywił wreszcie usta w górę, okazując aprobatę.

– To znak. Mówiliśmy o tym wcześniej, ale teraz nadszedł czas działania. Wyślemy mego kuzyna Godfryda na dwór króla Henryka.

Wzmianka o Godfrydzie, którego otwartą niechęć Alain czuł jak pełzanie pająka po skórze, zdenerwowało chłopaka.

– Idziemy – powiedział do psów. Przypiął smycze Furi i Smutkowi, Strachowi i Humorowi, czterem, które miały przywilej sypiania ze swymi panami w komnacie na wieży. Przywiązał końce smyczy do haka w ścianie i zapukał laską w drzwi. Otworzyły się natychmiast, weszli służący, jak zwykle nerwowo popatrując na psy. Przynieśli dwa dzbany parującej wody pachnącej miętą, dwie miski i ręczniki oraz czysty zakryty nocnik.

– Czas cię zaręczyć, Alainie.

– Zaręczyć! – Pozwolił służącym wytrzeć swą twarz. Woda ogrzała ją, dotyk lata, a każdy

skrawek skóry na jego dłoniach został wmyty, aż jego ręce pachniały ogrodem. Zapach ciepła i lata przypomniał mu o Tallii i pochylił się nad stołem, by nie zdradzić swych uczuć nikomu, nawet Lavastine'owi.

– Kiedy Godfryd będzie prosił króla Henryka o wyswatanie cię z Tallią, raz na zawsze zapamięta, jakie porządki teraz panują w Lavas. Potrzebuje przypomnienia.

Nieprzyjemne wspomnienia z wizyty w zamku Aldegundy zniknęły, kiedy wspomniano imię Tallii.

– Tallia – wyszeptał Alain. – Ale ona jest córką diuka i siostry samego Henryka.

– Przyrodniej siostry. Alain, synu, musisz zrozumieć jedną rzecz dotyczącą małżeństwa. Henryk musi wydać dziewczynę za jakieś lordziątko albo zamknąć ją w klasztorze. Dopóki będzie w klasztorze, zawsze istnieje ryzyko, że jakiś lord porwie ją i poślubi wbrew woli Henryka. Król nie chce jej wydać za lorda, którego władza jest już zbyt wielka ani za syna kogoś, komu nie ufa. Potrzebuje mnie i ciebie, ponieważ hrabiowie Lavas nie kłaniają się żadnemu diukowi czy margrabi, a jednak nie jesteśmy tak potężni jak niektóre rodziny w Wendarze i Varre. Ale też nie jesteśmy słabi. Henryk postąpi rozsądnie, pozwalając nam na ten związek. Szczególnie, że ocaliliśmy jego armię, królestwo i życie pod Kassel. Sądzę, że Tallia to niewygórowana zapłata.

– Tak jak złoto i srebro, które dałeś mej przybranej rodzinie, było dla ciebie niewygórowaną zapłatą – powiedział Alain, nagle rozżalony.

– Za wychowanie ciebie? Niewygórowana, doprawdy. Nigdy nie pogardzaj ziarnem zasianym w dobrej glebie, bo żniwa z tego siewu zadecydują, czy dożyjesz przyszłej wiosny. Nie myśl tylko o dniu dzisiejszym, ale też o tym, który nadejdzie. W ten sposób Lavas prosperowało i będzie prosperować pod twoimi rządami.

– Tak – wyszeptał Alain, przekonany, że obietnicy dotrzyma. Nie chciał zawieść Lavastine'a ani teraz, ani nigdy. Nagle poczuł mocną potrzebę posiadania Tallii u swego boku. To nie była sympatia, a na pewno nie wykorzystywanie sytuacji. To było prostsze. Może nie do końca czyste.

– Tallia – powiedział, wypróbując jej imię. Zastanawiał się, jak je będzie wypowiadał, gdy się pobiorą, kiedy będą sami w łóżnicy. Zacerwienił się i szybko podniósł wzrok, przypadkiem dostrzegając uśmiech Lavastine'a.

– I to prędzej niż później – powiedział Lavastine obojętnie. Twarz Alaina płonęła. Czy było na niej wymalowane grzeszne pożądanie? – Najważniejsze jest jak najszybsze zapewnienie twojej sukcesji. – Hrabia odwrócił się do służących i gestem nakazał otwarcie drzwi. Smutek zaszczekał. Humor zapiszczał, waląc ogonem po arrasach okrywających ściany, gdy otwarto drzwi, a służący umykali psom z drogi.

Alain pozwolił służącym nałożyć sobie buty, a potem odwiązał psy i poprowadził je krętymi schodami na zewnątrz, żeby się wybiegały – pod jego nadzorem, oczywiście.

Usiadł na ławce. Zeszłotygodniowy śnieg stopniał, choć nadal było zimno. Zachmurzone

niebo wyglądało jak owsianka. Potarł ręce, by je ogrzać. Służący, widząc to, pobiegł do budynku i chwilę później wynurzył się z rękawicami. Miękkie królicze futro pieściło jego dłonie, gdy je założył.

Kiedy psy biegały, miał kilka chwil dla siebie. Wszyscy trzymali się z dala, Lavastine zajmował się już swoimi sprawami, a Alain dołączył do niego, kiedy tylko odprowadził psy do zagrody. Zamknął oczy i namalował w wyobraźni portret Tallii, czerstwej jak zboże, delikatnej, zginającej się pod naporem wiatru, ambicji jej matki i pochodzenia ojca, ale zawsze się podnoszącej. Wydawała się taka... niedostępna. Taka czysta. Taka święta i niepokalana, ona, która jadła ledwie okruchy chleba, kiedy na jej talerzu leżały pyszności.

Tej nocy, kiedy leżał na łożu obok ojca, zamknął oczy i znów o niej myślał. Przez cały dzień nie zniknęła z jego umysłu. Myśl, że mógł ją poślubić, była tak niewiarygodna jak sen o bękarcie bez ojca wychowanym przez wieśniaków i nagle wyniesionym do rangi dziedzica potężnego hrabiego.

„Bóg wynosi i strąca w dół”.

Ta myśl i obraz Tallii, tak bliskiej jak para jego oddechu, ukołysały go do snu.

Deszcz wymieszany z bryłkami lodu uderza w płótno namiotu. Jego wojownicy nie potrzebują namiotów podczas burzy, choć oczekiwanie jest wtedy znośniejsze. Ale ludzcy niewolnicy tak. Inny wódz pozwoliłby im siedzieć na marznącym deszczu i połowa by umarła. Tak się oddziela silnych od słabych. Ale on nie jest taki jak inni.

Dotyka Kregu na piersi, przesuwa po nim palcem, wspominając gest dziecka, dostrzeżony, nie zapomniany, przy drzwiach do krypty w katedrze w Gencie. Dziecka, któremu pozwolił odejść, bo przypomniało mu o Alainie.

Niewolnicy siedzą w ciepłym kokonie dymu z ogniska, które pozwolił im rozpaścić przy skalnej ścianie pod płótnem namiotu. Jeden mężczyzna patrzy na niego, a potem szybko odwraca wzrok, gdy zdaje sobie sprawę, że zwrócił na siebie uwagę pana.

– Dlaczego się gapisz? – pyta. W snach nauczył się języka Miękkich.

Niewolnik nie odpowiada. Inni spoglądają w bok, garbią ramiona, próbując na swój sposób uniknąć dostrzeżenia, udając, że są niewidzialni, tak jak duchy powietrza, wiatru i ognia są widzialne tylko dla czarowników.

– Powiedz – rozkazuje. Wiatr kąsa go w kark, a igielki lodu rozbijają się na plecach, gdy kuca na końcu namiotu.

– Wybaczcie, panie – odpowiada niewolnik, nie podnosząc oczu, ale nie potrafi ukryć nienawiści w głosie.

– Widziałeś coś. – Otacza ich długa zimowa noc, przykrywa całun burzy lodowej, a wiatr gra do wtóru. W przytłumionym, czerwonym świetle ognia przygląda się niewolnikom wpatrującym się w swe dłonie i kolana, nawet temu, który się odezwał. Temu, którego złapał na patrzeniu. – Dowiem się.

– *Nosicie Krąg Jedności, panie – mówi w końcu niewolnik, wiedząc, że nieposłuszeństwo to śmierć. – Ale nie czcicie Boga.*

Dotyka Kręgu, przesuwa palcem po jego krągłości w zapamiętanym geście.

– *Nie ukrywam Kręgu.*

– *To sposób, w jaki go dotykacie, panie. – Głos mężczyzny nabiera pewnego rodzaju siły. – Przypomniał mi o... o kimś, kogo kiedyś znałem.*

Kogoś, o kim ten mężczyzna nie chce mówić. Znudzony burzą, zirytowany opóźnieniem, ponieważ żaden statek nie może wyruszyć w tych warunkach na morze, zmusza niewolnika, aby mówił dalej.

– *Czy masz rodzinę, co, jak sądzę, jest powszechne u twego rodzaju?*

– *Nie, panie. – Niewolnik w końcu przestaje się bać i pozwala sobie na nienawiść. – Wasi ich wymordowali, całą moją rodzinę: żonę, siostry, nawet moje biedne niewinne dzieci.*

– *A jednak mi służysz. – Interesuje go ten człowiek. Ma w sobie ogień, może nawet upartą moc ziemi. Służący trzymani w zagrodach, którzy od wielu pokoleń żyją między SkalnymiDziećmi, są bardziej jak psy niż ludzie, ale ci nowi niewolnicy, którym dał kije jako broń, lepsze jedzenie i przyzwoitą odzież, pochodzą z południowych ziem i myślą, zanim zaszczekają. Dlatego uważa ich za użytecznych.*

– *Nie mam wyboru, muszę ci służyć – odpowiada niewolnik.*

– *Możesz wybrać śmierć.*

Niewolnik kręci głową.

– *Nosicie Krąg, ale nie znacie Boga. Pani przedzie, a Pan przecina nić, kiedy nadchodzi nasz czas. Nie my wybieramy śmierć. Przychodzi ona z Ich woli.*

Przygląda się innym niewolnikom, zgarbionym i drżącym od zimna. Jedna, na skraju namiotu, wierci się, aż inny niewolnik, bliżej ognia, dostrzeża jej prośbę i zamienia się z nią miejscami, siadając na skraju, gdzie ledwo dociera ciepło płomieni, a wiatr chłłoszcze morderczym zimnem. Po chwili trzeci udaje się w najgorsze miejsce. Pomagają sobie przeżyć. Czy to jest miłosierdzie, o którym mówił Alain Henrisson?

– *Czy masz imię? – pyta.*

Niewolnik waha się. Nie chce podać swego imienia. Inni niewolnicy patrzą badawczo, przestając udawać niemych głupków. Nikt z tych, którym okazał łaskę, nie jest niemy ani głupi; przyglądał się im uważnie, niczym bydłu.

Niewolnik nadal się nie odzywa.

Podnosi dłoń i odslania pazury.

– *Mam na imię Otto – mówi w końcu niewolnik powoli i niechętnie.*

Reszta szepcze i ucisza się wzajemnie. Może poczuć ich nerwowość mimo odoru dymu i zimnej burzy.

– *Czy wszyscy macie imiona? – pyta.*

Ku jego zaskoczeniu wszyscy okazują się mieć imiona. Wypowiadają je, jedno po drugim,

dźwięki wydobywają się z nich tak, jak wydobywa się strzałę z rany: uważnie i z szacunkiem.

Czy wobec tego wszyscy są czarownikami? Nie, przypomina sobie, po prostu są inni. Nie są SkalnymiDziećmi. Są słabi, a jednak mimo tej słabości przetrwają, pomagając sobie.

Chowa pazury i wycofuje się tak daleko, że staje poza płachtą płótna, przywiązaną do kołka wbitego w ziemię przy skale, dającej im schronienie. Płótno łopocze i jęczy na wietrze.

Wychodzi na szalejącą burzę. Lodowaty wiatr wieje mu w twarz, jego dotyk jest jak dotyk tysięcy noży wyrwanych wiatrowi z dłoni i niesionych w dzikie powietrze.

Słucha, kiedy wiatr w niego uderza i kryształki lodu kłują w twarz. Ledwo może dostrzec okręty wyciągnięte na brzeg, jest ich teraz pięć, bo dołączyły do niego dwa nowe z floty Hakoninów. Widzi swych skulonych żołnierzy, z cierpliwością kamienia przeczekujących burzę i psy leżące w sforach jak zwalone głazy.

Słucha. Jego lud mawia, że na tym dalekim zachodnim brzegu w zimie, kiedy sztorm dręczy ziemią i morze, można usłyszeć zawodzenie smoków, PierwszychMatek, które dawno temu parzyły się z żywymi duchami ziemi i urodziły SkalneDzieci.

Ale słyszy tylko wiatr.

CZEŚĆ TRZECIA

OZDOBA MĄDROŚCI

Rozdział dziewiąty

Zimowe niebo

1.

W przejmująco jasne zimowe noce widział gwiazdy poprzez pewne części nie pomalowanego szklanego okna, którego wzory też układały się w gwiazdy, niektóre pięcio-, a inne sześcioramienne. Tej nocy przyglądał się światłu księżyca kładącemu się na zatoce ciemności, którą była noc w katedrze, jego blask był migotaniem zwodniczym jak błędny ognek.

Nagle w jego głowie pojawiło się piekące wspomnienie hrabiny Hildegardy i jej orszaku, umykających do miasta. Wszystko było sztuczką, iluzją. Widział to, co pragnął widzieć, to, co Krwawe Serce pragnął, by widzieli, uciekającą hrabinę i niedobitki jej armii, kiedy tak naprawdę Krwawe Serce rzucił czar na zastępy swych Eików, aby wydawali się ludźmi. W ten sposób Eikowie wdarli się do miasta i sytuacja patowa zmieniła się w rzeź.

Tylko Liath miała wzrok wystarczająco bystry, by przejrzeć iluzję. Gdyby tylko on taki posiadał, znalazłby drogę ucieczki z więzienia. Ale dary od matki nie obejmowały wzroku lepszego niż ludzki. A poza tym psy i łańcuchy nie były iluzją.

Łzy zapiekły go w oczy, tu, w okrutnie zimnej katedrze, ale mrugał, powstrzymując je. Tylko ludzie mogli płakać, psy nigdy. Ludzie mogli z honorem szlochać z gniewu, żalu czy radości. Jemu ten zaszczyt już nie przysługiwał.

Ze łzami nadeszła chmura, szara mgła odebrała mu wzrok, ryk rozbrzmiał w uszach jak tysiące wyjących Eików, tak oszalamiający jak warczenie psów, uwodzicielski niby zgiełk bitewny. Ale ta chmura była szaleństwem. Musiał z nim walczyć.

Powoli, walcząc o każdy oddech, stworzył w myślach obraz jak te, które widział na oknach, malowane sceny z życia błogosławionego Daisana, mające pocieszać i oświecać wiernych. Stworzył jednak nie święty obraz, a zwyczajny, scenę, o którą walczył od wielu dni albo tygodni czy może miesięcy; nie wiedział, jak długo to trwało, wiedział tylko, że jest

zima, a kiedyś, dawno temu, kiedy był wolnym człowiekiem i kapitanem Królewskich Smoków, panowała wiosna.

Zbudował w myślach dwór, taki, w jakich często rezydowały jego Smoki podczas podróży po królestwie, broniąc jego suwerenności i Henryka. O tej porze roku, w zimie, pola byłyby puste, niektóre pokryte ozimną. Winnice i sady byłyby nagie; w piwnicach stałyby skrzynie pełne jabłek, pędzono by jabłecznik. Część zwierząt zostałaby już zarżnięta, mięso uwędzone albo zasolone, by chronić przed zimową jałowością i głodem przednówka.

Dwór, który zbudował, stał na uboczu. Postawił go w myślach jako swoje miejsce odosobnienia, jego ziemie, nie czyjeś. Nie miał nic na własność prócz pozycji syna królewskiego, miecza i oszczepu, zbroi i tarczy, odzienia, namiotu i koni. Wszystko inne otrzymywał z powodu zobowiązań wobec króla albo, od czasu do czasu, jako prezenty od pewnych kobiet. Ale był ostrożny w swych romansach, posłuszny życzeniu ojca, by wybierał mądrze, dyskretnie i przenigdy nie angażował się tam, gdzie mógł sobie napytać biedy.

Teraz nic z tego nie miał, nawet złotego torkwesu noszonego niegdyś na szyi, symbolu królewskiego rodu. Torkwes zdobił teraz ramię Krwawego Serca, był symbolem jego zwycięstwa, a Sanglant nosił żelazną obrożę jak wszystkie inne psy wodza.

Nie może myśleć o tym ponizeniu. Musi myśleć o innych rzeczach albo popadnie w szaleństwo. W myślach szedł przez pola, lasy i pastwiska. Jego ziemie. Chodził po nich, nie mając już bitewnego przydzwiewku, już nie w kubraku i zbroi Smoków, już nie w kapitańskim smoczym hełmie.

Już nie był Smokiem.

W tym miejscu miałby, jak każdy inny szlachcic, orszak, służących i ziemie. W zabudowaniach była oczywiście stajnia dla jego koni, obora, ule, kuźnia i przedziałnia.

Jak każdy inny szlachcic, ożeniłby się. To było trudniejsze do wyobrażenia. Całe życie powtarzano mu bez ustanku, że królewski bękart nie mógł się ożenić. Tylko dzieci z prawego łoża mogły. Gdyby zrobił to bękart, jego czyn mógłby wprawić w ruch machinę nie kończących się intryg, których owoc byłby gorzki jak niezgoda. Tak naprawdę nikt nie spodziewał się, że on pożyje na tyle długo, aby się buntować przeciw temu zakazowi; i tak służył już jako kapitan Smoków dłużej niż ktokolwiek przed nim prócz starego sprytnego Konrada Smoka.

Ale pan na włościach musi się ożenić i spłodzić dzieci, które odziedziczą po nim i jego pani. Zawsze był posłusznym synem. Teraz, pośród psów, naznaczony żelazem, nie złotem, już nie musiał nim być.

Jaka kobieta z dworu Henryka, jaka szlachecka córka byłaby odpowiednia? Kogo by wybrał? Kto wybrałby jego?

Ale kiedy przeszedł przez kuchnię, w której służba przygotowywała wieczerzę, minął salę o szerokich belkach, oświetloną popołudniowym słońcem wpadającym przez wąskie okienka, kiedy przekroczył drzwi do ogrodu, w którym lord znalazłby swą panią zbierającą lecznicze

ziola albo dyktującą klerykowi list, ujrzał, że żadna z dwórek Henryka na niego nie czekała. Żadna córka diuka czy księżnej nie uśmiechała się, czule go pozdrawiając.

Kiedy otworzył drzwi prowadzące do sypialni, kobietą czekającą wewnątrz, na wpeł zaskoczoną, ale wyraźnie zadowoloną z jego obecności, była młoda Orlica. „Liath”.

2.

Było przejmująco zimno, a na zewnątrz, przy dogasającym ogniu wiatr ciął i parzył Liath, która drżała w jego powiewach. Ale nie odważyła się wejść do środka, gdzie możni siedzieli przy stole, do późnej nocy świętując dzień świętej Edany od Ognisk, którą to świętą czczono, wiele pijąc i dobrze się bawiąc. Hathui wróciła z Quedlinhamu i ona mogła stać przy królu. Ale dla Liath lepiej było pozostać na zewnątrz, najdalej jak to tylko możliwe, nawet trzęsąc się w podmuchach nadchodzącej zimy.

Tutaj gwiazdy lśniły z niezwykłą jasnością. Malejący księżyc jeszcze nie wzeszedł. Zimowe niebo było chyba jej ulubionym. Dziecko i Siostry, drugi i trzeci Dom zodiaku, stały wysoko na niebie. Korona Gwiazd, niemal w zasięgu rąk Dziecka, była prawie w zenicie. Niżej Łucznik strzegł ich przed Guivre'em, którego żółte oko jaśniało dokładnie nad jej głową. Ale to nie Łucznik miał pokonać straszliwego Guivre'a, tylko jego niewidoczna towarzyszka, Łowczyni, dzielna Arteme. W Andalli można było ją dostrzec, spoczywającą wśród południowych gwiazd, a Liath widziała nawet raz jej złoty but, zwany przez Jinnitów Suhel, piękną gwiazdą. Tu, na północy, widać było nad horyzontem tylko Łuk i ognistą Strzałę, błękitnobiałą Seirios.

Rozejrzała się za planetami i znalazła trzy. Mądry Aturna, najstarsza i najwolniejsza z wędrujących gwiazd, wędrował przez Siostry, trzeci Dom, a wspaniała Mok przez Lwa. Czerwony Jedu, Anioł Wojny, roztaczał swoje ponure piękno w Pokutniku. Zgubny wpływ, wedle astrologów. Ale tato pogardzał astrologami. Nazywał ich ulicznymi przekupniami, głupimi druciarzami i twierdził, że pojęcia nie mają na temat prawdziwej wiedzy o niebiosach. Ta wiedza go nie ocaliła.

Znów zadrżała w zimowym chłodzie i dorzucała patyków do ognia, dopóki nie zajęły się i płomień nie zaczął się wspinać po stosie. Dym kłuł ją w oczy i nos. Zatarła ręce, by je rozgrzać i ciaśniej otuliła się płaszczem, przygotowana, by przeczekać noc. Do stajni było niedaleko, ale nawet wśród służących i koni nie czuła się bezpieczna. W każdej zamkniętej przestrzeni mógł ją zagnać w róg. Tylko tutaj, pod zimowym niebem, miała dokąd uciekać.

* * *

Debata rozbawiła Rosvitę i w pewnym stopniu zdumiała. Temat był oczywiście wyświechtany: „Lepiej być dobrym czy użytecznym?” Od samego początku swych rządów Henryk popierał podobne spory; jego młodsza siostra Konstancja, teraz biskupina Autunu,

celowała w nich, kiedy przebywała na dworze.

Nie, tym razem doprawdy zadziwili ją uczestnicy. Choć raz księżniczka Sapientia okazała rozsądek i trzymała buzię na kłódkę, pozwalając innym się spierać, podczas gdy ona siedziała na honorowym miejscu po prawicy ojca i płała się w zainteresowaniu dworzan. Jej młodsza siostra Theophanu siedziała w ciszy obok Rosvity z nieodgadnionym wyrazem twarzy; ona też się nie odzywała, choć nigdy nie przemawiała pochopnie. Najmłodsze dziecko Henryka, Ekkehard, słuchał sporu z na wpół otwartymi ustami. Jak jego starsza siostra Sapientia wpatrywał się z czią szeroko otwartymi oczami w młodszego z dwojga dyskutantów. Ekkehard dał się porwać podziwowi, do czego miał skłonność, ale tym razem Rosvita nie mogła zganić jego wyboru.

Trzy lata temu na pewno by to zrobiła, gdyby Ekkehard w ten sposób wpatrywał się właśnie w tego mężczyznę. Ale Hugo, opat Firseburgu i bękart margrabiny Judith zmienił się tak niezwykle podczas pięciu lat nieobecności na dworze, że Rosvita rozpoznawała go tylko po rysach twarzy i włosach.

– Reguła świętej Benedykty nakazuje opatowi i opatce czynić dobro, miast rządzić – odpowiedział Hugo kleryczce Monice, która od wielu lat uczyła całą młodzież w królewskiej scholi, w tym również jego.

– Ale jeżeli rządy dane nam są dla zysków innych, czy nie powinniśmy nauczyć się panować, aby jak najlepiej wynagrodzić poddanych? – Monika, pełna wigoru staruszka, która nie lubiła Hugona, gdy był uczniem, łagodniała w trakcie dyskusji. Rosvita rozpoznała błysk w jej oczach i skrzywienie ust, którymi obdarzała tylko najwybitniejszych uczniów. Hugo był świetny, ale wiedział też, że jest świetny i chciał, aby inni to przyznali, a takiej arogancji nauczycielka pokroju Moniki nigdy nie tolerowała.

Teraz jednak Hugo uśmiechnął się łagodnie.

– Ależ oczywiście – powiedział pokornie. – Chylę czoło przed mądrością mej preceptorki. Czyż nie jest prawdą, że nauczyciel to artysta, który kształtuje swych uczniów jak glinę, w naczynia chwały? Dobry uczeń będzie naśladował nauczyciela i starał się, by stać się podobnym jej doskonałej i wysublimowanej jakości. Uczymy się panować, a pierwszą osobą, nad którą panujemy, jesteśmy my sami. Cnota na zewnątrz stwarza cnotę wewnątrz i tak stajemy się i dobrzy, i użyteczni.

Jak Hugo, tak niegdyś inteligentny, przystojny i arogancki stał się teraz wdzięczny, dowcipny i czarujący, nadal przy tym będąc pięknym? Jego głos był stonowany, ruchy opanowane, maniery wytworne i eleganckie. Dzisiejszego ranka, kiedy królewski dwór opuścił domostwo, w którym nocowali, Hugo własnymi dłońmi rozdał chleb rodzinie żebraków stojących przy drodze. Ani gestem nie zdradzał, że księżniczka Sapientia go interesuje, ograniczając się do zachowań dobrze wychowanego dworzanina podróżującego z królem.

– „Cnoty są błogosławieństwem”. – Monika uśmiechnęła się do niego słodko i zaczęła

cytować *Komentarz do snu Kornelii Eustacji*.

– Zaiste dobry i użyteczny – wyszeptała nagle Theophanu. – Jak widzę, moja siostra jest z nim w ciąży, więc musimy zakładać, że obie lekcje dobrze opanował.

– Theophanu! – jęknęła Rosvita zaszokowana. Zbyt późno dodała: – Wasza Wysokość.

Theophanu nie odezwała się.

Monika recytowała z pamięci ustęp o cnotach zapisany w *Komentarzu*:

– „Mamy więc cztery rodzaje cnót, a typy te odróżniają się od siebie względem pasji. Pasje mamy takie: Lęki i Pragnienia, Radości i Smutki, Gniew i Zazdrość. Cnoty roztropności, umiarkowania, odwagi i sprawiedliwości mitygują pasje. Umysł spokojny i oczyszczony zapomniiał o pasjach, a dla boskiej Myśli, której cnoty błyszczą przykładem, pasje są zakazane”.

Pochodnie i świece syczały; ogień na palenisku płonął równo, podsycany przez służbę. Król Henryk uśmiechnął się do dwojga dyskutantów, choć przez ostatnie miesiące w niespodziewanych momentach można było dostrzec, jak wpatruje się w nicość, nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół. Teraz ziewnął w końcu i nakazał służącym przygotowywanie łóżek. Rosvita, kończąc wino, bawiła się pucharem. Inni udawali się na spoczynek; Theophanu nie poruszyła się.

– Nie lubicie go – powiedziała w końcu Rosvita.

– Wy go nie lubiliście, zanim wyjechał.

– Nie lubiałam – zgodziła się Rosvita. – Jednak bardzo się zmienił. – Patrzyła, jak frater Hugo wycofywał się dyskretnie w kąt, podczas gdy Sapientia czekała, aż jej łóżko zostanie ustawione za parawanem obok łóża ojca. Ruchy Hugona były oszczędne i wdzięczne, a jeśli prawdą było, że cnota najbardziej uwidacznia się w pięknie ciała, zaiste musiał być cnotliwy.

– O Pani – wyszeptała do siebie, łapiąc się na tym, że mu się przygląda. Uważała, że już dawno ma za sobą takie niewyraźne tęsknoty, ale najwidoczniej jej umysł nie był tak spokojny, jak sobie tego życzyła.

– Jest bardzo przystojny – powiedziała nagle Theophanu, wstając. – Czy Psalm nie mówi: „Pani pożąda twej urody”? – Po czym odeszła do swego łóżka, skromnie oddzielonego parawanem od łóżka siostry.

– Obawiam się, że to źle wróży – powiedziała do siebie Rosvita, odstawiając puchar. Wstała. Czy mądra Theophanu nie lubiła fratra Hugona, czy też była zazdrosna, że jej siostra miała szczęście znaleźć takiego towarzysza? Mówiąc bez ogródek, znaleźć takiego kochanka? Zaiste, jak Sapientia mogła mu się oprzeć, nawet wiedząc, że był księdzem i pożądanie go było złe, równie złe, jak fakt, że on dał się uwieść? Była księżniczką krwi i najważniejsze dla niej było zajście w ciążę, aby udowodnić, że tron się jej należał. Można rzec, jak ujęła to Theophanu, że Hugo jedynie wypełniał swe obowiązki i był użyteczny.

Pochodnie po kolei wygaszano, podczas gdy szlachta i służba znajdowała miejsca do spania w sali domku myśliwskiego, do którego przybyli tego popołudnia.

Jutro król zapoluje na jelenie.

Tej nocy niektórzy spali lepiej od innych.

* * *

Liath zdjęła rękawice i palcami zgrabiętymi z zimna wyjęła z sakiewki złote pióro. Instynkt ocalił ją przed podniesieniem białego pióra, które znalazła przy ciele taty tamtej nocy, gdy go zamordowano. Widziała, jakie stwory gubiły takie pióra. Ale to złote pióro, znalezione w popiołach ognia, przez który widziała starego czarownika Aoi, było inne, zbudowane z obietnicy, a nie bólu i strachu.

Przeciągając pióro przez palce, wpatrywała się w ogień, myśląc o Hannie, przywołując w myślach jej twarz, zarys ramion, włosy zaplecione w warkocz, pierścień z pieczęcią Orłów na środkowym palcu prawej ręki. Pewnego razu poprzedniego lata przywołała tak Hannę w pamięci i poprzez wrota w ogniu ujrzała cienie wąskiej ścieżki w górach, startej przez burzę, osuwisko, które zniszczyło drogę. Czy był to tylko jej strach, wyobraziła sobie tę scenę, czy też naprawdę widziała Hannę w górach, zagrożoną przez niespodziewaną burzę?

Gdzie była teraz Hanna? Kiedy się skoncentrowała, obracając w palcach pióro, dostrzegła ruchy wewnątrz płomieni, obrazy widziane poprzez ogień.

Kamień stojący pośrodku polany płonie nienaturalnym ogniem, który nie potrzebuje podsycań i nie parzy. Na płaskiej skale, na której siedział kiedyś czarownik Aoi i rozmawiał z nią, nie ma nikogo. Włókniste pędy roślin leżą na kupce u stóp skały, czekając na jego powrót. Na kamieniu spoczywa lina długości jej ramienia. Dokąd poszedł? Kiedy wróci?

Ale płonący kamień sam jest oknem, które otwiera się i pozwala jej zajrzeć w inne miejsce.

Hanna jedzie z trzema zmęczonymi Lwami u boku przez równinę porośniętą trawą i krzewami. Wschodzące słońce odbija się w jej Orlej odznace. Opuszczają wioskę, garść brudnych chałup krytych trawą; niektóre z dachów są osmalone. Również drewniana palisada poznaczona jest ogniem i śladami walki. Za nią leżą świeże groby, a dalej otwiera się puste pole pokryte śniegiem.

Hanna ma oszronione brwi. W lewej dłoni odzianej w rękawiczkę trzyma złamaną strzałę o żelaznym grocie i szarych lotkach, które nie przypominają piór żadnego ptaka znanego Liath. Ponure Lwy śpiewają, idąc; Liath nie rozróżnia słów, ale nie jest to radosna pieśń. Wieśniacy tłoczą się przy bramie, wykrzykując pożegnania. Odrywa się od nich chłopak, niosący na plecach zawiniątko i biegnie za Lwami. Jego matka płacze, ale pozwala mu iść. Lwy przyjmują go między siebie. Hanna patrzy prosto przed siebie, na zachód, dokąd prowadzi droga.

Dlaczego nie ma z nią Wilkuna? Pióro pieści dłoń Liath, ogień strzela i mruga. Teraz widzi wielką salę oświetloną zimowym słońcem wpadającym przez ogromne szklane okna i tysiące świec, płonących na podobieństwo gwiazd. Mężczyzna wysuwa się do przodu, pokorny

jak ktoś przywiedziony przed oblicze panującego, a kiedy kłania się przed niewidoczną postacią, Liath rozpoznaje go: to Wilkun. Na ścianie za nim widzi wspaniałe freski przedstawiające męczeństwo siedmiorga uczniów: Tekli, Piotra, Mateusza, Marka, Joanny, Łucji i Marianny. Czy to sala audiencji skoposy w Darre?

Wilkun prostuje się, podnosi oczy i spogląda na niewidoczną osobę siedzącą na złoconym tronie. Jego nozdrza drgają z zaskoczenia. Szepcze imię.

– Liath.

Liath rzuciła się w tył, przypominając sobie natychmiast, że w wizji z ognia czaiło się niebezpieczeństwo. Oni jej szukali i mogli dostrzec, że wędrowała w płomieniach.

Ale było za późno.

Dotknęli jej, położyli palce na jej ramionach.

O Pani. To nie ich palce.

To on.

– Liath, moja piękna. – Jego dłonie zamknęły się na jej ramionach i szarpnięciem zmusił ją, by wstała i odwróciła się od ognia, by na niego spojrzeć. Jego twarz była zimna jak wiatr.

– W końcu znalazłem cię samą. – Uśmiechnął się.

Szarpnęła się, ale trzymał ją mocno i nie puszczał. Powstrzymała jęk. O Pani, nie odważy się pokazać mu, jak bardzo jest przerażona. Ściskając pióro za plecami, gapiła się na jego piękną brokatową tunikę i nakazywała sobie być twardą jak kamień.

– Dobrze wyglądasz, moja piękna. I prawdopodobnie to dobrze, że tak niewiele na ciebie patrzyłem przez ostatnie sześć dni, odkąd pojawiłem się na królewskim dworze, bo inaczej okrutnie by mnie kusilo.

Nic nie powiedziała, ale wiedziała, że wciąż się uśmiechał. Czują, choć nie dotykał jej lewą ręką, że jego dłoń zaciska się i otwiera. Dotyk prawej dłoni zmroził jej ramię jak lód przyciśnięty do skóry.

– Nie masz mi nic do powiedzenia, Liath?

Nic nie powiedziała. Nie ruszała się. Była kamieniem, ciężkim, nieczułym.

– Nie jestem szczęśliwy, że mnie zostawiłaś – powiedział swym najdelikatniejszym głosem. – Zaiste, jestem rozczarowany. Ale wybaczam ci. Nie wiedziałaś, co czynisz. To się nie liczy. To, co się zdarzyło tamtego dnia, nic dla nas nie znaczy. Nadal jesteś moją drogą niewolnicą.

– Nie! – wyrwała się, prawie wpadła w ognisko, kiedy jej pięta rozdeptała płonące gałęzie i żar. Nie zwracając na to uwagi, pochyliła się, schwyciła koniec płonącej gałęzi i wyciągnęła ją przed sobą jak miecz. – Jestem wolna od ciebie. Wilkun mnie uwolnił!

Zaśmiał się, zachwycony.

– To jest Liath, którą pamiętam. Ta, którą u mego boku ujrzy dwór, we właściwym czasie, kiedy cię pokażę tak, jak należy cię pokazywać. Ale nikt nas teraz nie zobaczy. – Przyłożył palec do warg, nakazując ciszę. Jego przystojna twarz wyglądała pięknie w świetle

poходni, otoczona zmieniającymi się cieniami. – Uważaj, Liath. – Podniósł lewą dłoń ze wzniesionymi dwoma palcami i wyszeptał słowo. Płonąca gałąź zgasła, jakby zdmuchnął ją nagły powiew wiatru.

Głos w niej zamarł i wydała z siebie tylko delikatny szepet, bardziej oddech niż słowo.

– Dziecinada – powiedział skromnie. – Ale wszyscy od czegoś zaczęli. – Ostrożnie wyjął kij z jej ręki i odrzucił go. – Wilkun cię nie uwolnił. Ukradł cię mnie. Jeszcze nie złożyłem skargi na Wilkuna do króla Henryka, który wyda wyrok. Bądź pewna, że to zrobię, choć niestety muszę poczekać, aż Sapientia urodzi zdrowe dziecko, które przeżyje. Po tym błogosławionym wydarzeniu moja pozycja na dworze będzie ugruntowana. Ale do tego czasu, Liath, nie myśl, że mi uciekłaś. Będziemy razem jeździć, rozmawiać, śpiewać i ucztować, a ty będziesz przy mnie o każdej godzinie każdego dnia.

– Nie jestem twoją niewolnicą – powtórzyła uparcie, poparzona dłoń piekła. – Wilkun mnie uwolnił.

Potrząsnął głową jak mądry ojciec rozważający głupotę dziecka.

– Wilkun? Wilkun chce cię dla własnych celów. Nie sądzisz chyba, że wziął cię i nie wykorzysta?

– Nie w taki sposób. – A potem, przerażona, że mówiła o takich rzeczach, gdy byli sami, znów próbowała uciec.

Był zbyt szybki, a jego uścisk silny, gdy wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

– W jaki sposób, Liath? Nie, nie w ten sposób. On i jemu podobni bez wątpienia mają wobec ciebie inne plany.

– Co wiesz o Wilkunie i jemu podobnych? – O Pani, a jeśli Hugo rzeczywiście coś wiedział i mógł jej to zdradzić? Ile byłaby w stanie mu za to dać?

Ale on tylko westchnął głęboko i pocałował ją w czoło. Drżała, sparaliżowana mdlącym, bezradnym strachem, ściskającym jej żołądek. Nie puścił jej.

– Będę z tobą szczerzy, Liath, jak zawsze byłem. Podejrzewam jedynie, że Wilkun pracuje w zмовie z innymi nieznanymi ludźmi. Wyrzucono go za coś ze dworu, za jakiś czyn, jakiś pogląd, a dobrze wiadomo, że opanował sztukę widzenia poprzez ogień i kamień. Na pewno musi posiadać inne zdolności albo być w zмовie z takimi, co posiadają. Wiem, że zamordowano twój ojca, który usiłował ukryć cię, swój najcenniejszy skarb. Wobec tego ktoś musi cię szukać. Czy ten wniosek nie nasuwa się sam? Jeśli zdolni byli do zamordowania twego ojca, jak możesz oczekiwać od nich litości? Jeśli cię złapią, będziesz szczerze pragnęła, moja piękna, znaleźć się z powrotem w moim łóżku, a na pewno to uczynią, jeśli do mnie nie wrócisz. Mogę cię chronić.

– Nie chcę twojej ochrony. – Próbowała wyrwać się z jego uścisku, wijąc się, ale był zbyt silny. A ona zbyt słaba.

– Jesteś do mnie przywiązana – wyszeptał. – Zawsze będziesz. Nieważne dokąd uciekniesz, zawsze cię odnajdę. Zawsze do mnie wrócisz.

Dostrzegła w mroku postać, prawdopodobnie służącego idącego do wychodka.

– Błagam, przyjacielu! – krzyknęła do niego głosem zdławionym ze strachu.

Hugo wykręcił jej ramię za plecami, przygważdżając ją. Służący odwrócił się, nierozpoznawalny w ciemności, ale ją było widać wyraźnie w świetle ogniska.

– Co się dzieje, przyjaciółko? – zapytał mężczyzna. – Potrzebujesz pomocy?

– Proszę... – zaczęła Liath, ale Hugo przycisnął wolną dłoń do jej gardła i nagle nie mogła mówić.

– Nie, bracie – odparł ostro. – Nie potrzebujemy pomocy. Możesz odejść.

Być może dlatego, że rozpoznał głos szlachcica, szaty księdza, albo dlatego, że posłuszny był tonowi Hugona, któremu nie można się było oprzeć, mężczyzna odwrócił się i zniknął, zostawiając ją.

– Nie – wyszeptała, odzyskując głos, gdy Hugo opuścił rękę.

– Tak – uśmiechnął się. – Jesteś moja, Liath. W końcu mnie pokochasz.

– Kocham kogoś innego – powiedziała ochryple. Pióro, ciągle ukryte, paliło ją w dłoni jak gorący węgiel. – Kocham innego mężczyznę.

Zrozumiała, jaki był dotąd łagodny tylko dlatego, że teraz zbieła z wściekłości i potrząsnął nią dziko.

– Kogo? Kto to jest?

Nie mogąc się powstrzymać, zaczęła płakać.

– O Pani, nie żyje.

– Każdy, kogo pokochasz, umrze, bo ja tak mówię. Bo tak zrobię. Nikogo nie kochaj oprócz mnie, a będziesz bezpieczna.

– Nigdy cię nie pokocham. Nienawidzę cię.

– Nienawiść to druga twarz miłości, moja piękna. Nie możesz nienawidzić czegoś, czego jednocześnie nie kochasz. Moja piękna Liath. Jakże uwielbiam wymawiać twoje imię.

Wierzyła mu. To było najgorsze. Mówił tak przekonująco, jego głos był tak miękki, ale wiedziała, kim jest, widziała przeblysłk tego, kiedy się rozgniewał.

– Będę cię zawsze dobrze traktował – powiedział, jakby usłyszał jej myśli. – Tak długo, jak długo będziesz mi posłuszna.

Znów zaczęła płakać. Puścił ją, widząc, że doprowadził ją do płaczu, ukazania swego strachu i słabości. Uciekła jak zając cudem ocalony ze szponów jastrzębia.

– Dokąd pójdziesz? – zawołał za nią, kpiąc z niej. – Nigdy przede mną nie uciekniesz, Liath. Nigdy.

Pobiegła do stajni, gdzie tyle zwierząt i stajennych zgromadzonych razem nieomal ogrzało powietrze swymi oddechami i potem. Ale jej już nigdy nie będzie ciepło.

3.

Anna drżała, gdy wicher dął wśród drzew. Płatki śniegu opadały; cienka warstwa rozjaśniła ziemię, a wiatr kołysał gałęziami i zwiewał z nich śnieg nagłymi kaskadami bieli.

Było tak zimno.

Tu, w schronieniu pod świerkiem, miała przynajmniej chwilę wytchnienia od wszechobecnego wiatru. Ale nigdy nie było wytchnienia od strachu czy wielkiego głodu, który trwał w jej żołądku jak przeraźliwa Otchłań. Dwa konie również kryły się pod okapem ze świerkowych gałęzi; ich wodze owiązane były niedbale wokół pnia, a one grzebały w ściółce, próbując coś jeść. „Pilnuj koni”, polecili jej dwaj żołnierze lorda Wichmana, kiedy znaleźli ją w lesie. „Jeśli nadejdą Eikowie, odwiąż wodze i uciekaj”.

Nie wiedziała, że była tak blisko Eików. Ukrywała się wśród drzew podczas codziennych wypraw zbierackich, ale każdego dnia musiała szukać coraz dalej od fortecy w Steleshamie, by natknąć się na cokolwiek, co można było wrzucić do wspólnego garnka. W ten sposób, podczas gdy młody lord nudził się poezją Helvidiusa, a pani Gisela chętna była do wyrzucenia każdego, kto „nie zarabiał na swoje utrzymanie”, Anna odpędzała od nich widmo głodu. Byłoby inaczej, gdyby Matthias nie zginął.

Zadrżała. Nie mogła znieść myśli o Matthiasie. Może lepiej byłoby umrzeć wraz z nim, tak bardzo bolała jego nieobecność. Ale stary poeta i dziecko zależeli od niej; musiała wytrwać.

Zatarła dłonie i słuchała. Kazano jej zostać na zboczach wzgórza, by ocaliła konie, jeśli sprawy potoczą się źle. A jednak na szczycie była trawa, pożółkła i sucha w zimie, ale dostatecznie wysoka, by ją ukryć. Czyż nie lepiej by było dla koni i dla niej, gdyby mogła przyglądać się potyczce? A jeśli miecze nie przebiją skór Eików? A gdyby wszyscy żołnierze lorda Wichmana zginęli, Eikowie ruszyli po nią, a ona nie wiedziałaby, że nadchodzą? A gdyby nie mogła uciec albo wodze zaczepiły się o gałęzie? Gdyby spadła z konia? Nie umiała jeździć.

Może lepiej było czekać przy koniach na powrót żołnierzy, pędzących przed sobą schwyte bydło, ale nie mogła znieść czekania jak niedojda.

A poza tym nic, co zobaczy dzisiaj, nie będzie gorsze od tego, co widziała przez cały zeszły rok.

Na czworakach wspięła się na szczyt. Trawa zaszeleściła pod jej ciężarem i Anna zamarła, a potem ruszyła wyżej, sprawdzając dla pewności, czy pierzaste końce traw powiewały nad głową. Na szczycie wzgórza leżał duży szary kamień, pokryty pomarańczowym porostem, lgnącym do niego niby do łuskowatego boku. Zza tego schronienia odważyła się wyrzeć na dolinę.

Pojedynczy szalas stał po drugiej stronie doliny. Bydło pasło się leniwie, pilnowane przez trzech niewolników odzianych znacznie skromniej niż Anna. Opierali się ciężko na kijach. Od czasu do czasu krowa podnosiła łeb znad trawy, aby zamuczyć nerwowo. Kozy pasły się na

wzniesieniu, za którym Anna widziała czubki drzew i zapowiedź moczarów; gdyby się jeszcze trochę poruszyła, mogłaby w oddali ujrzeć wieże Gentu. Kobieta tak słaba, że potykała się co krok, pospieszyła za kozami i zagnała je z powrotem. Anna nie umiała za bardzo liczyć, ale w tej jednej osłoniętej dolinie, gdzie trawa jeszcze pokrywała zbocza, było bardzo wiele krów i kóz. Bez wątplenia bydło skradziono w Steleshamie albo innej pechowej wiosce. Wedle raportów konnych żołnierzy, wiele takich stad pasło się na polach wokół Gentu, dobrej ziemi, która zmarniała pod rządami Eików.

Lord Wichman i jego żołnierze nie najeżdżali; po prostu odbierali to, co ukradli Eikowie.

Kilka drzew roślo na pastwisku, które, sądząc po trawie, długiej i martwej obok świeżej, było kiedyś długimi, wąskimi polami uprawnymi. Ale bydło, trawa i niewolnicy nie przyciągnęli uwagi Anny na długo. W dolinie były też inne rzeczy i nie mogła powstrzymać się od gapienia na nie, a w jej żołądku zbierał ponury, głodny strach.

Wznosząc się ponad trawę, czasami pod drzewem, ale w większości na szczycie łagodnego wzniesienia, stało kilkanaście kamieni, takich samych jak ten, przy którym leżała, ale wysokich i potężnych, nie zwalonych i poszarpanych. Żaden Eika o błyszczącej skórze i śnieżnobiałych włosach, z zębami wysadzanymi klejnotami i ostrym oszczepem nie stał na straży niewolników i cennego bydła. Stał tutaj tylko ten tuzin kamieni, ale niewolnicy nie uciekali mimo swobody.

Nie widziała ani śladu lorda Wichmana i jego żołnierzy.

Znała te kamienie, w jakiś sposób nie były jej obce, identyczne... zagrażające.

Najbliższy niej kamień stał u stóp wzniesienia, na którego szczycie klęczała. Jego poorana powierzchnia oddalona była o strzał z łuku. Czy nie stał dalej, kiedy pierwszy raz wyjrzała? Dlaczego kamienie stały w środku doliny, bez żadnego porządku? Dlaczego różniły się od głazu, za którym się skryła? Dlaczego nie rósł na nich mech?

Przerażona wpatrywała się w kamień. Coś tu nie pasowało. Co mistrz Helvidius mówił o iluzji?

Ale to był tylko kamień.

Sakiewka wciskała się w jej biodro, licha nagroda za godziny szukania. Znalazła kilka garści żołądzi, które można było rozłupać i utrzeć na mąkę, dziką pokrzywę i pietruszkę do zupy oraz martwą wiewiórkę.

Jej myśli powędrowały ku tym szczęśliwym dniom, gdy Matthias pracował w garbarni, a Helvidius co wieczór śpiewał dla lorda, kiedy wyludzała jedzenie od żołnierzy i jedli każdego dnia. Teraz ciągle byli straszliwie głodni, a mała Helena ledwo miała siły, by płakać. Może większym miłosierdziem było pozwolić jej umrzeć z matką i braciszkiem.

Powoli, podczas gdy patrzyła, naprawdę nie widząc, kamień przybrał formę niby zabawki-złudzenia: oszczep, głowa, oczy patrzące w górę, na nią... to wcale nie był kamień, tylko Eika skradający się ku niej ostrożnie, krok za krokiem po wzniesieniu. Przerażenie ścisnęło jej serce. Na karku i rękach pojawiła się gęsia skórka. Chciała krzyknąć, ale z gardła

nie wydobył się żaden dźwięk.

„Znajdą cię, jeśli zaczniesz krzyczeć”, powtarzał Matthias, kiedy kryli się w cuchnącej dziurze w garbarni, a Eikowie i ich psy węszyli wokół. „Leż cicho i nie hałasuj”.

Ale czy krzyk zmieniłby go z powrotem w kamień? Czy krzyk obudziłby ją i uwolnił z koszmaru? Czy nadbiegliby dwaj żołnierze, by ją ratować? Wciąż gdzieś tu byli, szukali, kryli się przed strażą Eików...

Czy też Eikowie już ich zabili?

Czy żołnierze zobaczyli tylko kamienie i atak się nie powiodł? Czy zostali wycięci, kiedy natknęli się na wroga ukrytego pod iluzją nieruchomego kamienia?

Coś poruszyło się w ciemnym wejściu do szopy, jakaś zgarbiona postać. Mniejsza od innych, utykała i znajomo pochylała głowę.

W końcu z jej gardła wyrwał się głośny i przeszywający okrzyk:

– Matthias! – Nie mogła się powstrzymać. Zerwała się na nogi. – Matthias!

Jego imię poniosło się przez dolinę. Większość krów podniosła łby, nieznany dźwięk przebił się przez ich otepienie.

Podchodzący do niej Eika zamarł w miejscu, jakby chciał na powrót zmienić się w kamień, ale było za późno. Promienie gasnącego słońca oświetlały każdy jego szczegół, nie był to sen, tylko okrywająca go iluzja: liściowate, obsydianowe ostrze oszczepu, wygięcie ust i lśnienie zębów; łagodny blask połączonych łusek, które były jego skórą. Tuzin Eików stał w dolinie nieruchomo niby posągi i dopóki pierwszy z żołnierzy nie wyskoczył z ukrycia i nie zaatakował, Eikowie nie uświadomili sobie, że ich iluzja została zniszczona.

Stanęli do walki, ale sztuczka zadziałała na ich niekorzyść. Kiedy do ataku ruszyło pół tuzina żołnierzy, a tętent oznajmił Annie przybycie lorda Wichmana, Eikowie biegali tu i tam, nieomal bez celu, jakby osobno nie byli w stanie myśleć.

Eika poniżej pokonał wzniesienie dwoma długimi skokami, a potem zawahał się, odwracając ku dolinie. Konni wspięli się na wzgórze i runęli w dół w pełnym galopie, prowadzeni przez lorda Wichmana. Wznosząc miecze, dwójkami spadli na swych wrogów. Kolejnych sześciu żołnierzy z oszczepami wyskoczyło z trawy.

Eika z kamiennym toporem rzucił się na oszczepnika. Potężna postać Eiki zasłoniła człowieka, więc Anna widziała tylko jego. Ostrze oszczepu przebiło plecy Eiki; walczący obracali się, teraz obaj widoczni. Przyciśnięte do ziemi drzewce oszczepu pochylało się, gdy mężczyzna próbował odepchnąć Eikę, by uniknąć ciosu topora. Drzewce złamało się i topór spadł ciężko na nogę żołnierza. Dźwięk dotarł do Anny: nie wiedziała, czy słyszy łamiący się oszczep czy miażdżoną kość. Z ziemi mężczyzna zadawał ciosy ułamanym oszczepem i nożem, celując w twarz i szyję Eiki, aż wreszcie ten padł martwy. Eikowie leżeli na całym polu, niektórzy uciekali.

Matthias ukrył się w szopie. Jeden z niewolników poszedł w jego ślady, a dwaj pozostali pobiegli ku wolności.

– Matthias! – wrzasnęła. Musiał teraz uciekać. A jeśli reszta odjedzie, a niektórzy Eikowie zostaną przy życiu?

Eika u stóp wzgórza odwrócił się na dźwięk jej głosu i pobiegł w górę: nie wiedziała, czy po to, by ją złapać, czy też chciał uciec. Nie robiło to różnicy. Nóż w ręce wygłodniałej dziewczynki nie był żadną obroną przed Eiką z oszczepem.

Anna skoczyła. Ześlizgnęła się po krawędzi, biegnąc i zataczając się, ku bezpiecznemu schronieniu pod drzewem, gdzie powinna była zostać przez cały czas. Z oddali usłyszała krzyki lorda Wichmana i jego ludzi.

Ale Eika był znacznie zwinniejszy i szybko znalazł się kilka kroków za nią. Słyszała za plecami jego oddech, czuła obecność; jego długi cień sięgnął, by pochłonąć, wymazać jej cień, który tańczył wśród traw, gdy biegła. I choć było to bezsensowne, nie mogła przestać biec.

Inny dźwięk zagłuszył ciężkie kroki Eiki: tętent kopyt. Wyższy cień, mężczyzna na koniu, zasłonił ich oboje i przesywający krzyk wojenny rozdarł powietrze. Padła na ziemię i przekoziółkowała. Długa cienka linia miecza wyskoczyła z kłębu cieni na trawie i cięła w ciemność. Rozległ się łomot. Jeździec minął ją, zwalniając i zawracając. Zatrzymała się na dłoniach i kolanach, wstała: jej twarz i dłonie były podrapane, zaczynały krwawić. Miała tak urywany oddech, że sądziła, iż nigdy nie nabierze powietrza. Odwróciła się.

Eika leżał za nią rozciągnięty na brzuchu, rozplątany od ramienia po pas. Jego brzydka głowa skrecona była w lewo nieomal całkowicie. Życie szybko gasło w jego oczach. Nie nosił na rzemieniu na szyi drewnianego Kręgu. Nie zawarł przymierza z ludźmi. O Pani, on i jego bracia zabili tak wielu z jej rasy i prawdopodobnie też papę Ottona. Zabiliby Matthiasa, gdyby tylko mogli.

Wstała, pochyliła się i splunęła mu w twarz, choć już nie żył.

– Hej, mała! – Jeździec zatrzymał się przy niej. Rozpiął sprzączkę i zdjął hełm. Zaskoczona, gapiła się na samego lorda Wichmana. Miał oszalałe spojrzenie i dziki uśmiech na ustach. – To ciebie moi ludzie znaleźli w lesie. Dlaczego nie posłaś z uchodźcami, których odesłaliśmy kilka miesięcy temu do marchii? Jesteś przeklętym bachorem, który nieomal zrujnował nasz rajd.

Miał pełne policzki człowieka, któremu nawet w ciężkich czasach nie braknie jedzenia. Przeżona, nie wiedziała, jak się do niego zwracać. Żaden lord nigdy wcześniej nie zwrócił na nią uwagi.

W końcu, jękając się, wydukała:

– Mistrz Helvidius jest moim dziadkiem, panie. – Kłamstwo było wygodne. – Musiałam z nim zostać, bo był zbyt chory, by iść tak daleko z innymi.

Parsknął, chowając miecz.

– Będzie dziś śpiewał pieśń o zwycięstwie. Odzyskaliśmy dzisiaj dobre sześćdziesiąt krów i tyle samo kóz. – Jego uśmiezek był groźny i pewny, wyglądał na gotowego w każdej

chwili ruszyć na kolejny rajd. – Ruszaj – wskazał na zachód. Śnieg padał wokół niego, białe płatki kręciły się na wietrze. – Do Steleshamu kawał drogi.

A potem odwrócił się i pojechał na spotkanie swym sześciu jeźdźcom. Skierowali się na wschód. Anna pobiegła na szczyt wzgórza i tam...

Straciła dech, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Tam! W końcu nabrała powietrza, by krzyknąć:

– Matthias!

Wraz z innymi ocalonymi niewolnikami ustawił się, by pomóc reszcie żołnierzy popędzić bydło do Steleshamu. Słyszając jej głos, podskoczył, rozejrzał się wokół i pokuśtykał na wzgórze.

Rozplakała się, biegnąc w dół na spotkanie. O Pani, zostały z niego tylko kości i skóra trzymająca je razem.

– Jesteś taka chuda – powiedział, przytulając ją mocno. – Och, Anno! Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę.

Szlochała tak strasznie, że nie mogła powiedzieć słowa.

– Cicho – powiedział. – Już się skończyło.

– Wcale się nie skończyło! Nigdy się nie skończy! Nigdy nie odejdą. Zawsze tu będą na nas polować, prawda?

– Cicho, Anno – rzekł poważniej. Ponieważ nauczyła się go słuchać, stłumiła szloch i ucichła. – Myślałem o papie Ottonie – ciągnął. – Myślałem, że jeśli on potrafił przeżyć, mimo że stracił całą rodzinę, to ja też potrafię, wiedząc, że ty żyjesz.

– Ale nie wiedziałeś, czy żyję... widziałeś ich atak...

– Musiałem w to wierzyć!

To ją uciszyło.

– Chodź już. – Wziął ją za rękę. Stado zaczęło dreptać na zachód. – Inni Eikowie przybędą, kiedy ta grupa się zgłosi do głównego obozu. Musimy uciekać. Na Boga w niebiosach, dlaczego byłaś z nimi? Czyżby w Steleshamie zostało tak niewielu ludzi, że wysyłają dzieci do bitwy?

Jak Eikowie zmienieni w kamień, wydał jej się inny od tego Matthiasa, którego znała wcześniej. Wciąż znajomy, jednak nie taki sam. Już nie był chłopcem.

– Nie ma tu psów – powiedziała cicho, żeby coś powiedzieć; w końcu zaczęła się trząść. Stopy ją bolały, a nos miała zimny.

Dołączyli do innych, Matthias kijem pogonił nieposłusznego kozła.

– Psy zabijają krowy i Eikowie więcej czasu spędziliby na strzeżeniu krów przed psami, a nie przed, no cóż, rajdem takim, jak ten. Przy bydle nie spotyka się wielu psów.

– Co się stało z twoją nogą?

Potrząsnął głową i nie odpowiedział.

Reszta dnia zeszła im na dojściu do Steleshamu. Matthias utykał coraz bardziej, aż w

końcu jeden z żołnierzy zlitował się nad nim i wziął go na siodło.

Pani Gisela wpadła w ekstazę, widząc, ile była odebrano Eikom. Natychmiast nakazała służącym przygotować dziękczynną ucztę.

Anna poprowadziła Matthiasa do szopy na podwórzu, w której ona, Helvidius i Helena urządzili dom, a raczej jego namiastkę. Ściśnięta pomiędzy innymi szopami zbudowanymi po ataku, maleńka chatka leżała przynajmniej wewnątrz odbudowanej palisady. Nikt nie sypiał już na zewnątrz; a poza tym Stelesham nie był już tak zatłoczony jak niegdyś.

Helvidius nakazał Annie zająć się Heleną, podczas gdy sam opatrywał nogę Matthiasa, cały czas narzekając na panią Giselę i jej zachowania godne szlachcianki:

– Uczta, kiedy dla najsłabszych nie starcza jedzenia! Biskupina Gentu nakarmiłaby biednych, błogosławiona niech będzie jej pamięć!

Matthias był rozpalony, zbyt niespokojny, by spać i zbyt chory, by zjeść coś więcej niż odrobinę chleba popitą łykiem piwa, ale w końcu zasnął na ich jedynym łóżku z Heleną zwinętą przy piersi. Anna narzuciła na niego wszystkie trzy koce, zdecydowana zmarznąć w nocy.

– Nie – powiedział Helvidius. – Pójdiesz ze mną do dworu. Nie możesz zachorować, kiedy masz tych dwoje pod opieką. Założę się, że podadzą pieczoną krowę. Możesz zbierać kości, zanim psy się do nich dobiorą. – Po tej namowie Anna zostawiła Matthiasa i dziewczynkę, choć niechętnie.

Ale później, w nocy, kiedy Anna siedziała przy palenisku na wpół uśpiona, po powrocie lorda Wichmana ze zwiadu, po tym, jak on i jego ludzie ucztowali, a szczęśliwym służącym przypadły w udziale ochłapy, po nie kończących się serenadach Helvidiusa, chwalejących czyny młodego lorda, nagle zmiana nastroju zmroziła dziewczynkę jak bezgłośny krzyk o pomoc.

Bardzo pijani żołnierze śpiewali nieprzyzwoitą piosenkę, a pani Gisela ruszyła ku ciemnemu końcowi sali. Anna słyszała gniewne słowa, stłumione niby przez grubego koca. W końcu gospodyni wróciła, prowadząc nagrodę, na którą lord Wichman tak długo czekał.

Siostrzenica Giseli, najładniejsza kobieta, jaką Anna widziała, została poprowadzona na środek, odziana we wszystkie piękne szaty, jakie zostały po jesiennym ataku. Twarz kobiety była pozbawiona uczuć; jak Eikowie, wydawała się raczej posągami niż żywą istotą. Lord Wichman uśmiechnął się jednak szeroko i wznosił toast na cześć jej urody kolejnym pucharem wina. Potem wziął ją za rękę i bez oporu poprowadził do swego łóżka z baldachimem, podczas gdy jego żołnierze śmiali się i wiwatowali.

Służący wyszedł z wiadrzem pomyj dla świń. Kiedy otworzył drzwi, nocny wiatr okrył salę nagłym blaskiem, niby oddechem zimowego nieba zmieniającego ziemię w kamień.

Drzwi się zamknęły i jak na komendę żołnierze znów zaczęli pić i śpiewać.

Znacznie później, kiedy nawet najtwardsi zaczęli chrapać, a Helvidius zasnął z głową na ramieniu, Anna usłyszała cichy płacz kobiety.

4.

Oznaką niezwyklej dominacji pożądania nad rodzajem ludzkim był fakt, że niezależnie od obrzydliwej pogody panującej na zewnątrz i stopnia zatłoczenia kwater ludzie zawsze znaleźli sposób, aby angażować się w bardziej lub mniej dyskretne romanse. Niektórzy z młodszych kleryków Rosvity mieli zwyczaj, jednocześnie irytujący i zabawny, śledzenia kto z kim sypiał.

– ...a Villam ma nową konkubinę, co, jak was zapewniam, nie jest niczym niezwykłym, przysięgam jednak, że widziałem, jak ona obdarza swymi wątpliwymi łaskami również lorda Amalfreda. – Brat Fortunatus był jednym z wielu synów silnej i płodnej hrabiny Hesbaye oraz najgorszym plotkarzem wśród kleryków.

– Być może lord Amalfred zabierze ją ze sobą, wracając do Salii i oszczędzi biednemu Villamowi cierpienia z powodu jej dwulicowości – powiedziała siostra Amabilia.

– Och, Villam bez wątpienia ma oko na lepszy kąsek. Przysięgam, że widziałem, jak patrzył na młodą Orlicę.

– Naszą jastrzębionosą przyjaciółkę? – spytała zaskoczona siostra Odila.

– Oczywiście, że nie! Na czarnulkę. Ale wiecie, jakie są Orły i jakiego kodeksu przestrzegają. Orły nie angażują się w podobne sprawy, chyba że między sobą. Ale widziałem inne zdarzenia w innych miejscach, dłonie spotykające się i pieszczące nad misami na stole, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

Siostra Amabilia westchnęła głęboko, a brat Fortunatus wyglądał na zasmuconego, że jego aluzja nie wywołała większej reakcji.

– Mimo wszystko – powiedziała Amabilia zmęczonym głosem – nie jest już nawet w połowie tak ciekawie, jak było za życia księcia Sanglanta.

– Proszę mówić z szacunkiem o zmarłych – rzekła ostro Rosvita.

Brat Konstantyn podniósł wzrok znad moździerza, w którym kruszył cynober potrzebny do wyrobu czerwonego atramentu.

– Nigdy nie widziałem księcia Sanglanta. Odjechał, zanim tu przybyłem.

– Cóż – rzekła Amabilia. – Na dworze działo się znacznie więcej, gdy księżę Sanglant zaszczycał go swą osobą.

– Będę ci wdzięczna – powiedziała Rosvita, odkładając pióro – jeśli nie wspomnisz tego imienia w obecności króla. – Sprawdziła czubek pióra palcem i sięgnęła po nóż do ostrzenia.

– Ale to był tylko wojak – powiedział Konstantyn. – Na pewno nie był tak wspaniale zbudowany, tak czarujący i elegancki, tak uprzejmy i życzliwy, tak spokojny i tak uczony jak ojciec Hugo.

Amabilia parsknęła.

– Ojciec Hugo powinien doglądać swego klasztoru, a nie bawić się w dworaka. Ale ja

jestem na królewskim dworze od ośmiu lat, Konstantynie...

– Jak mi ciągle przypominasz – wymamrotał młody kleryk.

– ...i pamiętam, kiedy frater Hugo był w scholi. Możesz ufarbować ptasie pióra, ale kaczka pod nimi pozostanie ta sama!

– I przez następne osiem lat będziesz ślęczyć nad swą pracą, siostrze, jeśli do niej natychmiast nie wrócisz – powiedziała łagodnie Rosvita.

Mimo kłótności Amabilia miała słodki uśmiech i dobrze go teraz użyła. A poza tym miała też najpiękniejszy charakter pisma, jaki Rosvita w życiu widziała, doskonale pisała minuskułą, kursywą oraz starymi stylami. Z tego powodu, mimo że nie należała do wysoko urodzonej szlachty, przyjęto ją do królewskiej kaplicy; w królewskiej scholi uczyła pisać najbardziej obiecujących studentów.

– Wybaczcie, siostrze Rosvito. Macie rację, ganiąc mnie za moje nieprzystojne przywiązanie do rozrywek świata.

– Rozrywek ludzi – poprawił ją Konstantyn. Był zdecydowanie zbyt poważny jak na swoje piętnaście lat.

– Bóg dał nam oczy, byśmy patrzyli i język, byśmy wypowiadali nasze myśli!

– A pokora uczy nas patrzeć w ziemię i trzymać język za zębami!

– Dzieci – powiedziała Rosvita, nie podnosząc głosu. – Wracajcie do pracy.

Konstantyn zaczerwienił się i pochylił nad moździerzem, dodając biało jaja i odrobinę gumy arabskiej do cynobrowego proszku. Amabilia nie poczuwała się do winy: mimo że krzywo patrzyła na przywary innych, z samą sobą żyła w zgodzie. Naostrzyła pióro i wróciła do pracy: kopiowania cennego *Żywotu świętej Radegundis* dla biblioteki w Quedlinhamie. Reszta kleryków pracowała w przyjemnej ciszy. Rosvita wróciła do swojej *Historii*.

Przeczytała to, co napisała ostatnio: koronację pierwszego Henryka, diuka Saony, na króla Wendaru i jego żony, Lucienny, hrabiny Attomaru na królową; jego mowę do szlachciców i ich zgodę na jego panowanie; kilka pomniejszych rebelii i bitew oraz zbrojną potyczkę z Gisłą, królową Varre. Czerwonym atramentem zapisała pierwszą linię nowego rozdziału, a potem wróciła do czerni.

Henrykowi i jego szlachetnej żonie Luciennie te dzieci się urodziły: pierwsze zwane Arnulfem, ukochane przez cały świat, drugie, dzielne i pomysłowe, zwane Otto, podczas gdy trzecie, Kunegunde, matka klasztoru w Quedlinhamie, była kobietą niezwyklej mądrości i wiedzy. Henryk miał też drugą córkę, zwaną Haduidis, która poślubiła Immeda, margrabiego Estfalii. Lucienna zaśmiała syna, Reginberna. Syn ten został kapitanem Smoków. Walczył z Eikami, którzy w tym czasie pustoszyli Saony i wojnę tą toczył tak bezlitośnie, że uciekli i przez wiele lat bali się nawet podpływać ku wendarskim brzegom.

Kiedy skończyły się te wojny, na południe Saony napadli qumańscy jeźdźcy, paląc miasta, wioski i klasztory. Uczynili rzeź tak straszną, że lepiej pominąć ją milczeniem, niż opisywać słowami. Zdarzyło się jednak, że schwytano jednego z qumańskich księży. Margrabia Immed

przywiódł go do króla, ale ród jego tak bardzo księcia cenił, iż zaofiarował za niego tyle złota i srebra, ile mieściło się na dziesięciu wozach. Król Henryk wzgardził jednak złotem i zażądał pokoju, który otrzymał w zamian za więźnia i inne dary.

Usłyszała na zewnątrz wracających myśliwych: zgiełk koni, psów i głosów na podwórku. Wstała, potrzebując wymówki, by wyprostować plecy i podeszła do drzwi. Na dworze król Henryk śmiał się z komentarza uczynionego przez swego zaufanego doradcę, Helmuta Villama, podczas gdy ojciec Hugo zsiadł z konia i pomagał księżniczce Sapientii. Wokół tłoczyli się dworzanie, a za nimi służący nieśli jelenie, związane przepiórki, tura i dzika.

Sapientia pobiegła ku latrynom, a Hugo odwrócił się, lekko niczym spływający jedwab, by pomóc Theophanu zsiąść z konia; choć będąc dobrą amazonką i mając przy sobie służącego, gotowego ująć jej stopę w dłonie, nie potrzebowała jego pomocy. Ale Hugo był miły dla wszystkich, nie bacząc na ich status. Czy Theophanu trzymała swoją dłoń w jego dłużej, niż to było wskazane? Czy zaczerwieniła się od wiatru, czy od jego dotyku? Cofając się od drzwi i robiąc miejsce dla króla, Rosvita zastanowiła się, co też takiego widział brat Fortunatus i zganiła się natychmiast za podobne myśli.

Dworzanie wleli się do sal, dumni z sukcesów na polowaniu. Ekkehard deptał Hugonowi po piętach jak zakochany szczeniak. Król Henryk usiadł. Służący przynieśli wodę i płótno, by zmyć z jego rąk brud i krew. Na szczęście ten dwór, trzeci, w którym się zatrzymali, był największą z królewskich posiadłości w Lesie Thurińskim; choć wielu ludzi wchodziło, nie tłoczyli się. Wróciła Sapientia, zrzuciła płaszcz i usiadła na honorowym miejscu u boku ojca. Teraz biedacy, którzy pół dnia szli od skraju lasu, zostali wpuszczeni, by otrzymać wynagrodzenie od króla. Przy bocznych drzwiach Ekkehard wraz z Hugonem rozdawali im chleb, a Sapientia przypatrywała się scenie chciwym wzrokiem.

Theophanu, jak zawsze, usiadła obok Rosvity. Jej policzki nadal były zaczerwienione.

– Mam nadzieję, że nie jesteście chora – powiedziała Rosvita, odkładając pracę.

Theophanu rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, a potem natychmiast się opanowała.

– Ufam, że nie zapadłam na żadną chorobę, z której nie będę się mogła wyleczyć. – Bawiła się materiałem tuniki, obracając go między palcami.

Amabilia podniosła wzrok znad swej kopii po drugiej stronie stołu, ale litościwie nic nie powiedziała.

– Gdzie jest moja ulubiona kleryczka? – zapytał król, gdy wszyscy biedni zostali odprawieni. – Rosvito. – Podniosła się posłusznie. – Poczytaj nam, proszę. Coś elokwentnego i przyjemnego dla ucha, co jednocześnie będzie dla nas nauką.

Rosvita skinęła na Amabilię i ta odłożyła pióro, by kleryczka mogła wziąć *Żywot*.

– Czy mam nadal czytać *Żywot świętej Radegundis*, Wasza Wysokość?

Przytaknęła.

Ekkehard, wiercący się u stóp ojca, podskoczył.

– Niech ojciec Hugo czyta. Ma taki piękny głos. Jestem pewien, że więcej się nauczę, tylko słuchając go niż w jakikolwiek inny sposób.

Policzki Theophanu płonęły. Król wyglądał na zaskoczonego. Sapientia triumfowała.

Hugo stał przy drzwiach obok młodej Orlicy, Liath; strzepnął okruszyny z dłoni, ale podniósł wzrok i uśmiechnął się łagodnie, wręczając ręcznik służącemu, nim podszedł.

– Wasza uwaga to zaszczyt dla każdego, Wasza Wysokość – powiedział do Ekkeharda – ale nie jestem wart takiej pochwały. Nasza wspaniała siostra Rosvita zaćmiła mnie już w każdej dziedzinie wiedzy i w dobrych manierach, i tylko ja wiem, jak daleko mi do niej. „Pragnącemu wiedzieć, jaką ścieżką dotrzeć do świętości, odpowiadam »Poznaj siebie samego«,.. – Skłonił się z szacunkiem przed kleryczką Moniką, która siedziała na ławie przy zamkniętym oknie, blisko paleniska, ale daleko od dymu. Jednak Rosvicie wydawało się przez moment, że jego wzrok zatrzymał się na młodej Orlicy, Liath, czającej się przy drzwiach, jakby chciała uciec.

Co ciekawsze, na twarzy Orła malowały się nienawiść, strach i upokorzenie, choć starała się niczego nie okazywać. Nikt inny na nią nie patrzył, a wzrok Hugona szybko się przesunął. Tylko Rosvita na nią spoglądała, wciąż zainteresowana tą książką, być może pochodzącą z kradzieży, i umiejętnością czytania, jaką posiadała dziewczyna.

– Wasza pokora to dobry przykład dla innych, ojcie Hugonie – rzekła Monika.

– Proszę, poczytajcie nam – powtórzył Ekkehard.

Rosvita była zbyt mądra, by protestować. Podała Hugonowi książkę.

– Ja też mam nadzieję, że nam poczytacie, ojcie.

– Jesteście zbyt szczodra – rzekł, ale wziął księgę.

– Istotnie – mruknęła Amabilia.

Rosvita usiadła. Niespokojna Theophanu cały czas bawiła się swą szatą, nie spuszczać wzroku z twarzy starszej siostry.

Henryk wskazał na krzesło przy swoim boku, po stronie przeciwnej do Sapientii. Jeśli ta zmiana go zdenerwowała, nie pokazał tego po sobie; wydawał się tak zadowolony z obecności Hugona, jak Rosvity, która natychmiast zrugła się za tę niemłą myśl.

Hugo otworzył książkę, odkaszlnął cicho i zaczął czytać.

Tak zaczyna się Żywot. Błogosławiona Radegundis przyszła na świat w najwspanialszej z ziemskich rodzin. Pochodziła z królewskiego rodu barbarzyńskiego ludu Athamanni, była najmłodszą córką króla Bassira i bratanicą królowej Hermingardy, ponieważ do tradycji tego kraju należały wspólne rządy sprawowane przez siostrę i brata. Ale Nieprzyjaciel działał tak przebiegle jak złodziej, który pragnie przewidzieć, jakie skarby można wykraść z domu, działając w nieprzeniknionej ciemności. Złodziej dokonuje tego, rzucając miarki piasek w kąty pokoju, wnioskując o wartości przedmiotu z odgłosu wydawanego przez ziarenka, które na niego padają. Tak też stworzenia Nieprzyjaciela sypią piasek złych pokus na skarby ludzkiego

serca, wnioskując, co też mogą skraść.

W tenże sposób królowa Hermingarda nagle utraciła przyrodzoną miłość do brata. Zaprosiwszy jego i gości na ucztę, wszystkich wymordowała. Zdarzyło się, że było między nimi kilku saliańskich lordów i gdy wieść o tej zdradzie dotarła do Salii, ich rodziny były tak rozsierdzone, że zebrały armię, spadły na Athamanni i wybiły ich wszystkich. Przeżyło tylko kilkoro dzieci, pomiędzy nimi święta Radegundis. O nią to spierało się kilku lordów jak o część łupu, a każdy pragnął mieć ją dla siebie. Kiedy wieść o jej strasliwym losie dotarła do cesarza Taillefera, wybawił ją od nich i umieścił pod opieką dworzan w swym pałacu w Baralsze.

Tam uczono ją czytać i zapoznała się z traktatami na temat rolnictwa, spisanyymi przez Palladiusa i Columellinę, nauczyła się prowadzić rachunki oraz innych rzeczy odpowiednich dla damy, która będzie zarządzać posiadłością. Często rozmawiała z innymi dziećmi zgromadzonymi w pałacu o swym pragnieniu, by zostać męczennicą. Sama nosiła biedakom zgromadzonym przed pałacem resztki ze stołów i własnymi rękami myła głowy i dłonie każdego małego żebraka. Często własnymi sukniami czyściła kamienie przed Paleniskiem, a kurz unoszący się nad ołtarzem zbierała w chusteczkę i z szacunkiem wynosiła za drzwi, miast go wymiatać.

Sapientia nagle stłumiła chichot, a potem wykrztusiła:

– Boże, dopomóż, toż to przecież lady Tallia. Czy nie wydaje wam się, że Radegundis była praprababką Tallii?

Henryk odwrócił się do córki, marszcząc brwi.

– Nie mów tak lekko o błogosławionej świętej, Sapientio. Z jej związku z cesarzem nie urodziło się dziecko, a po jego śmierci na całe pięćdziesiąt lat zamknęła się w klasztorze. Nieprzystojnym jest sugerować, że mogła odstąpić od swych ślubów.

Nagle zapadła głęboka cisza, a wszyscy zgromadzeni starali się nie patrzeć na ojca Hugona; najlepszym dowodem na odstąpienie przez niego od ślubów był rosnący brzuch Sapientii. Brat Fortunatus kwiknął i parsknął, tłumiąc śmiech.

Theophanu wstała i podeszła do stołu.

– Teraz ja poczytam, jeśli pozwolicie – rzekła i Hugo uśmiechnął się czarująco, dziękując za ratunek.

– Będziesz się popisywać? – spytała Sapientia.

Książka nie spoczęła jeszcze w dłoni Theophanu, której policzki zaczerwieniły się, jakby siostra ją uderzyła.

– Ja przynajmniej mam czym!

– Dzieci – powiedział Henryk ostro. Odebrał Hugonowi książkę, zamknął ją delikatnie przez wzgląd na okładkę i skinął na Roswitę. – Jeśli możecie, siostro, poczytajcie nam.

– Nie chcę więcej słyszeć tej historii. – Sapientia pogładziła się po brzuchu, wstała niespokojnie i podeszła do ognia. Lordowie i damy rozstąpili się, by ją przepuścić; kilku co

mądrzejszych wymknęło się, unikając zamieszania, ale większość pozostała. Publiczna sprzeczka pomiędzy królewskimi dziećmi ożywi długi zimowy wieczór.

„Niech ich wszystkich zaraza”, pomyślała Rosvita ponuro, idąc po książkę i zgaśniła się za złość. Ale zima mroziła powietrze i rozum oraz serce, a kłótnie, o których zapomniano podczas lata, zbudziły się pod zimowym niebem. Jednak przez dziewiętnaście lat Rosvita nigdy nie widziała, by Theophanu traciła zimną krew, nawet gdy była dzieckiem. Co ją teraz do tego skłoniło i to po tak niewielkiej prowokacji?

– Nie mam tu nic do roboty – powiedziała Sapiaientia, podchodząc z powrotem do ojcowskiego krzesła. – Gdybyś uczynił mnie margrabiną Estfalii, jak obiecałeś, miałabym ziemię, którymi mogłabym zarządzać aż do... – urwała, zaczerwieniła się.

– Siadaj – rzekł Henryk. Nie patrzył na dworzan, ale wiedział, że słuchają. – Nie życzę sobie, byś mnie opuszczała, dopóki pomyślnie nie powijesz dziecka.

Sapiaientia zadrżała, spojrzała w drugi koniec sali, gdzie służący przygotowywali stoły do wieczery i zacisnęła usta.

– Zapytam naszych kleryków – dodał Henryk, uspokajająco kładąc jej dłoń na ramieniu. – Czy nie mamy jakichś kopii tych traktatów rolniczych, może nawet tych wspomnianych w *Żywocie świętej Radegundis*. Mogą ci je poczytać.

Sapiaientia zastanowiła się. Westchnęła.

– To dobry pomysł, ojczu. Ale chcę też jednego czy dwa Orły dla siebie, abym mogła wysyłać ludzi, kiedy tylko będę miała taką potrzebę. Wszak należy się to mojej nowej pozycji, prawda?

– Owszem, byłoby to odpowiednie – zgodził się, świadom jak zwykle, że wszyscy w sali czekali na jego wyrok. Spojrzał na Hathui, która dopiero co wróciła z Quedlinhamu, a potem rozejrzał się wkoło. Miał do swej dyspozycji cztery Orły, znacznie więcej zaś wyjechało z posłaniami lub też mieli inne zadania jak Wilkun i jego młoda towarzyszka, którzy wyruszyli na południe do Aosty, eskortując zbuntowaną biskupinę Antonię.

Theophanu wycofała się w ciszy i podczas wymiany zdań dotarła do drzwi nie zauważona. Rozglądający się Henryk dostrzegł ją, gdy wychodziła na deszcz. Liath stała przy drzwiach, nieruchoma i posłuszna.

– Jest jedna, z którą mógłbym się rozstać – powiedział Henryk. Hathui poderwała głowę. Hugo w ogóle nie patrzył. – Jest młoda, silna i wykazała się w Gencie. Słyszałem też, że jak na zwykłego Orła jest wyjątkowo utalentowana. Moi klerycy twierdzą, że potrafi czytać.

Sapiaientia skrzywiła się.

– Nie chcę takiej, co umie czytać, żeby przypominała wszystkim, że ja nie potrafię, a Theophanu tak. A poza tym jest za ładna. Nie lubię jej. A co z tą, ojczu? – wskazała Hathui.

Po zwykłym ruszeniu brwi Rosvita poznała, że Henryk miał dość: albo Sapiaientii zdradzającej się z brakiem cierpliwości i głupotą przed zgromadzonym dworem, albo tego, że na to pozwalał.

– Możesz wziąć tę, którą ci zaproponowałem, córko, albo żadną.

– Księżniczko Sapientio – wtrącił się łagodnie Hugo. – Przecież dla nas wszystkie Orły są do siebie podobne jak polne myszy.

– Ale ona jest uczona. Wszyscy tak mówią. Kiedy przyjechaliśmy, klerycy nie mówili o niczym innym. Nie pamiętasz?

– Naprawdę tyle mówili o zwykłym Orle? – spytał, a jego ton był doskonałym przykładem wymówki ukrytej za pozorem rozbawienia.

Wzruszyła ramionami, odzyskując godność.

– Pozwólcie mi przekonać się, czy naprawdę jest taka uczona – powiedział Hugo. – Przepytam ją. – Skłonił głowę ku królowi. – Za waszym pozwoleniem, Wasza Wysokość.

Henryk dał znak, młoda Orlica podeszła i uklękła przed nim. Przypominała Rosvicia polną mysz wepchniętą w szpony sowy. Perspektywa takiej rozrywki ożywiła dworzan niemal tak bardzo, jak kłótnia między księżniczkami, której im odmówiono. Ci, którzy wymknęli się, by ogrzać się od innego ognia albo znaleźć łóżka w jednym z alkierzy, wrócili.

– Niech się przekonam. – Hugo złożył razem palce, jakby się zastanawiał. Liath wpatrywała się w królewskie buty. – Potrafisz czytać po dariyańsku, prawda, dziecko?

– T...tak – mruknęła, nie podnosząc oczu.

– Tak?

– Tak, ojcie Hugonie.

– Uważasz się za dobrze wyedukowaną?

Zawahała się.

– Mów – rzekł król. – Nie musisz obawiać się żadnych słów, które szczerze przede mną wypowiesz.

– Tak twierdził mój tato – powiedziała w końcu, wciąż wpatrując się w buty króla.

– Czy to oznacza, tak? – spytał Hugo, najwyraźniej zakłopotany tą odpowiedzią: lub też chciał, by wyznała to otwarcie.

– Tak. – Mimo że powiedziała to cicho, Rosvita usłyszała chyba niemałą dozę dumy w jej głosie.

– Och. Dobrze. Do jakich prac starożytnych się odnoszę? „Jak zauważono, wiele korzeni i bulw posiada wiele sił, oddziałujących nie tylko na ciała żywe, ale również nieożywione”.

Znów się zawahała. Dworacy pochylili się. Czy to niechęć malowała się na jej twarzy? Czy bała się ujawnić swą wiedzę? Skąd wzięła księgę i co ona zawierała?

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz kłamać przed królem – rzekł łagodnie Hugo.

– To z *Rozważań o roślinach* Theophrastusa – odparła w końcu ledwie słyszalnym głosem.

Tłum zamruczał, posyłając sobie mrugnięcia i kuksańce oraz kilka złośliwych spojrzeń w stronę Helmuta Villama. Rosvita zastanawiała się, czy prawdą było, iż Villam złożył ślicznej Orlicy propozycję. Stary margrabia rzeczywiście wpatrywał się w nią jak urzeczoną.

– A skąd to pochodzi? „Pragnącemu wiedzieć, jaką ścieżką dotrzeć do świętości, odpowiadam »Poznaj siebie samego«”.

Zaskoczona podniosła wzrok.

– Nie wiem.

Pokiwał głową, oczekując takiej odpowiedzi.

– Tak pisze Eustacja, powtarzając słowa wyroczni w Talfi: *Gnosi seaton*. Ale, oczywiście, nie znasz aretuzańskiego, prawda?

– Ten, kto mnie uczył, wie, ile aretuzańskiego poznałam – powiedziała tonem tak dziwnym, że Rosvita zaczęła się zastanawiać, kto uczył ją aretuzańskiego: i dlaczego.

Hugo podniósł dłoń wdzięcznym gestem, sugerującym, że to jeszcze nie koniec.

– Znasz trochę dariyański. Czy mówi ci coś słowo „Ciconia”?

– Znaczy ono „bocian” – odpowiedziała natychmiast, jakby raz zwyciężona zamierzała go teraz pokonać.

– Nie, dziecko. Odnoszę się do Tulli Marcii Ciconii, wielkiej oratorki starożytnej Dariyi. Które z jej prac czytałaś?

– Które z jej prac?

– *De officiis*? *De amicitia*? Czy możesz zreferować mi mądrość zawartą w tych księgach?

– Ja... ja nie znam tych dzieł. To znaczy, słyszałam o nich, ale... – urwała.

Skinął głową i spojrzał na Sapientię, jakby chciał zapytać: „Czy na tym poprzestaniemy?”, ale nie przestał.

– Na pewno zapoznałaś się z pismami matek Kościoła?

– Znam *Czyny świętej Tekli* – odparła wyzywająco.

– Jak należy. – Odwrócił się ku Sapientii. – Wasza Wysokość, wy również znacie *Czyny*, prawda?

– A inne dzieci, nie? – spytała Sapientia, urażona.

– *Czyny*, podobnie jak *Pasterz z Hermasu*, są dziełami, których mogą słuchać szlachcice i rolnicy, by się rozwijać. Ale co z pismami, z którymi zapoznaje się uczony kleryk? *Przemowami katechetycznymi* i *Życiem Grzegorza Macriny* z Nyssy? Oczywiście czytałaś te wspaniałe prace?

Pokręciła głową. Kilku dworzan zaczęło szeptać. Ktoś zachichotał.

– *Miasto Boga* świętej Augustyny? Jej *De Doctrina Daisanitia*? *Żywot świętej Pauliny Pustelniczki* Jeremiego? *Dialog z Zurhaim Jinnitą* Justyna Męczennika?

Niemo kręciła głową i gdy król Henryk podniósł dłoń, znudzony jej ignorancją, Hugo wstał. Widownia zamilkła wyczekująco. Biedna Orlica schyliła głowę jak wszyscy poniżani i wpatrzyła się w podłogę.

– Czy nie mówi się – zwrócił się Hugo do Sapientii, zgromadzonych kleryków i dworzan, jak nauczyciel do uczniów – że jinnijski cesarz trzyma ptaka, którego nauczył wypowiadać ludzkie słowa? Nie widzieliście, jak kuglarze zmuszają psy, by chodziły na dwóch łapach?

Taka tresura ani z psa, ani z ptaka nie czyni uczonego. Dziecko odpowiednio wcześniej szkolone potrafi nauczyć się znaczenia słów napisanych na papierze i wymawiać je na głos, ale to nie znaczy, że jego rozum też jest wyszkolony. Sądzę, że mamy przed sobą ciekawostkę. – Uśmiechnął się kwaśno, ale z pewną dozą rozbawienia, jakie dorośli okazują w obliczu przechwałek kłamliwego dziecka. – Ale nieuzdolnioną. Czy nie mam racji, Wasza Wysokość? Jak oszczędzić tę sprawę?

Sapientia, do której się zwrócił, przytaknęła poważnie.

– Oczywiście musicie mówić prawdę, ojcie Hugonie. Wzięcie tego biednego stworzenia pod moje skrzydła może się okazać miłosierdziem.

Henryk wstał, a wszyscy, którzy siedzieli, podnieśli się natychmiast, młody brat Konstantyn niemal rozlał swój czerwony atrament, tak się spieszył, aby nie okazać się niegrzecznym.

– Niech to będzie lekcja, córko, że mądrzy doradcy dobrze nam służą.

– A niektórym lepiej niż innym – wymamrotał Villam tak cicho, że usłyszeli go tylko Rosvita i król.

Usta Henryka drgnęły i skinął na służących. Na drugim końcu sali nagle zaczął się gorączkowy ruch. Dwóch służących wzięło królewskie krzesło i poniosło je na centralne miejsce.

– Sądzę, że możemy zasiadać do stołu – stwierdził Henryk. Poprowadził innych.

Rosvita stała, dręczona ciekawością. Młoda Orlica nadal klęczała. Kilka łez spływało jej po policzkach, ale nie wydała dźwięku, nawet nie uczyniła gestu, by je otrzeć. Po prostu wpatrywała się w kamienną podłogę.

– Orle! – zawołała Sapientia z miejsca przy głównym stole. – Do mnie!

Wstała i bez słowa stanęła u boku nowej pani.

Rozdział dziesiąty

Jeleń w lesie

1.

– Nadal jej nie lubię – powiedziała Sapientia do swej towarzyszki, lady Brygidy, której pozycja najnowszej ulubienicy Sapientii dawała przywilej czesania książęcych włosów każdego wieczoru przed snaniem. – Ta jej skóra. Jest taka... taka...

– Brudna? Mogłaby się częściej myć.

– To nie brud. Nie schodzi. Potarłam ją wczoraj. – Księżniczka zachichotała. – Może to zaginiona siostra Konrada Czarnego albo jego bachor.

– Hmm. Za stara jest na bachora... chociaż nie, jeśli sypiał z jakąś dziewczką, kiedy był w wieku brata Konstantyna. Może to jinnijska niewolnica, która uciekła swemu panu.

– To skąd znałaby nasz język? – spytała Sapientia.

– Matka diuka Konrada nie wstąpiła do klasztoru po śmierci starszego Konrada, prawda? Może to jej drugie dziecko z innym mężczyzną. – Lady Brygida miała niestety nawyk parskania, kiedy chichotała, a chichotała często; miała rozległe włości, ale ani krztyny rozumu. – Nie sądzicie chyba, że ukrywałaby dziecko, gdyby z kochankiem, którego sobie wzięła, było wszystko w porządku.

– Sądzę, że żyje w osamotnieniu. Jednak coś jest w tym, co powiedziałaś, Brygido, ona musi mieć w sobie jinnijską krew, bo oni wszyscy są tacy brązowi. Ale twierdzą też, że musi mieć w sobie krew wendarską, bo inaczej nie umiałaby mówić po naszymu.

– Przecież ojciec Hugo mówił, że każdego ptaka można nauczyć ludzkiej mowy.

Liath zносиła to bez mrugnięcia okiem. Ich głupota i arogancja nic jej nie obchodziły. Hugona nie było w komnacie, a po trzech dniach jako Orzeł Sapientii żyła tylko dla takich chwil łaski.

– Czesz – powiedziała Sapientia. – Kogo powinnam poślubić, Brygido?

– Lorda Amalfreda – odpowiedziała natychmiast Brygida. – Jest bardzo przystojny i w

zeszłym tygodniu własną ręką zabił niedźwiedzia, sama Wasza Wysokość widziała, a poza tym z tuzin lub więcej jeleni. Chciałabym takiego męża. Kiedy odziedziczę po matce, rozszerzę jej włości na wschód i będę potrzebowała u boku silnego wojaka.

– To tylko syn saliańskiej księżnej. Muszę poślubić mężczyznę z królewskimi koligacjami.

– Czy król Henryk nie pošle dla was po aretuzańskiego księcia, skoro wasza matka była wschodnią księżniczką?

Sapientia westchnęła ostro i szarpnęła głową, targając potok czarnych włosów, w którym Brygida zanurzała grzebień.

– Nawet mój Orzeł nie jest tak tępy, Brygido. Prawda, Orle? Dlaczego nie mogę poślubić aretuzańskiego księcia?

Przez trzy dni Liath zdążyła nauczyć się, że Sapientia lubiła udawać idiotkę.

– Nie wiem, Wasza Wysokość.

Choć w tym przypadku wiedziała. Jednak poniżenie przez Hugona nadal bolało, między innymi dlatego, że po części miał rację. Prawdą było, że dobrze czytała i tato wiele ją nauczył – ale kiedy Hugo publicznie obnażył jej ignorancję, uświadomiła sobie, że tato przekazał jej ograniczoną wiedzę. Na pewno znacznie lepiej niż Hugo i wszyscy na dworze poznała wiedzę zgromadzoną przez matematyków, ale jak mogła osądzić, ile tato naprawdę wiedział?

Była młoda i kształcona w biegu, więc jej wiedza przypominała szycie z łuku do ukrytego wroga: strzały rozsypują się szeroko, podążając ku celowi, którego nie widać. Było tyle rzeczy, których nie wiedziała, a które każda osoba wykształcona w królewskiej scholi, szkole katedralnej, w klasztorze musiała znać, aby uznano ją za wyedukowaną. Choć prawdę mówiąc, nie interesowały jej *Przemowy katechetyczne* Macriny czy *Żywoty* pierwszych świętych. Mądrość starożytnych pociągała ją tak długo, jak dotyczyła niebios, magii, historii naturalnej czy praw rządzących światem fizycznym. To, że tato nauczył ją budować miasto pamięci i że zgromadziła w nim wiele wiadomości, na przykład na temat aretuzańskich praktyk dziedziczenia, nie znaczyło, że była wykształcona tak, jak inni to rozumieli.

– Biedactwo – powiedziała księżniczka. – Widzisz, moja droga Brygido, aretuzańskim książętom nie wolno nigdy opuszczać pałacu, ponieważ są takimi barbarzyńcami, że tylko mężczyzna może być ich cesarzem i tylko jeden spośród synów, bratanków i kuzynów cesarza może objąć po nim władzę. Jeśli więc choć jeden umknie z pałacu, może później zażądać tronu, wrócić z własną armią i rozpętać wojnę domową. Dlatego w Aretuzie nigdy nie ma wojen domowych, ponieważ wybierając nowego cesarza, jego matka truje wszystkich książąt krwi z jego pokolenia.

Liath ogarnęła pokusa, by poprawić księżniczkę Sapientię, bo choć częściowo prawdziwa, jej opowieść była wręcz absurdalnie wymieszana: rzeczywiście Aretuzanie jedynie mężczyźni pozwalali nosić tytuł „cesarza”, ale to matka niewiernego jinnijskiego khshayathiya wytruwała wszystkich krewnych, którzy mogli zagrozić pozycji jej syna.

– Czy to właśnie zamierzacie zrobić z Theophanu? – rzuciła od niechcienia Brygida.

Chłód przeszył gardło i kręgosłup Liath, zacisnęła dłonie na pasie. Nie mogła powstrzymać się od patrzenia na w pół otwarte drzwi; dym z zatkniętych na ścianach korytarza pochodni wciskał się do komnaty. Nadchodził on ze swymi towarzyszami. Światło pochodni otoczyło go aureolą, rozjaśniając wspaniałe złote włosy. Nosił długie spodnie, lazurową tunikę wyszywaną pająkami i płaszcz przerzucony przez ramię, spięty piękną broszą w kształcie pantery, złotą i wysadzaną klejnotami. Wyglądał jak szlachcic wracający z polowania; tylko ogolony podbródek zdradzał księdza.

Obie szlachcianki i służący w komnacie w tym samym momencie podnieśli wzrok. Sapientia rozpromieniła się. Brygida uśmiechnęła głupio.

– Wybaczcie – powiedział gładko Hugo. – Nie zamierzałem wam przeszkadzać. – Na znak Sapientii natychmiast postawiono dla niego krzesło, aby mógł usiąść obok niej. Służący przynieśli wodę i ręczniki, by się odświeżył. Nie spojrzał na Liath. Nie musiał.

– Nie rozmawialiśmy o niczym ważnym – rzekła zbyt szybko Sapientia.

– Naprawdę nie, ojcie Hugonie – potwierdziła Brygida. – Słyszałam, że jedziemy teraz do pałacu mego wuja, diuka Burcharda, w Augensburgu, a potem do królewskiego zamku w Echstatt. To dobre tereny łowieckie.

– Szczególnie, jeśli się poluje na żołnierzy – dodała Sapientia, którą zawsze podniecała rozmowa o wojnie – którzy zaatakują Gent.

– Cieszy mnie to słyszeć – rzekł Hugo.

W ten sposób przygotowywali się do snu. W komnacie stały cztery łoża i cztery łóżka polowe. Liath wiedziała, że w każdej komnacie o tej porze rozgrywało się skomplikowane przedstawienie, podobnie jak wtedy, gdy zasiadano do stołu: test rangi, ustalanie, kto będzie spał gdzie i obok kogo, aby wszyscy wiedzieli, kto jest najbardziej, a kto najmniej uprzywilejowany. Sapientia zajęła główne łoże, stojące pośrodku pokoju, a Hugo drugie, tuż obok. Jego bliskość nie wywołała ani jednego komentarza. Brygida spała po drugiej stronie Sapientii, pomniejsze damy stopniowo coraz dalej, a ulubieni i poważani klerycy zajęli łóżka polowe. Liath wycofała się ku drzwiom, licząc, że nadarzy się okazja ucieczki i spędzenia nocy w stajniach albo przynajmniej, jak dwóch ostatnich, na korytarzu.

– To wyjątkowo zimna noc – powiedział Hugo. – Kilku moich służących poszło pomóc ogrzać stajnie. Wszyscy wasi ludzie mogą spać tutaj z nami, Wasza Wysokość, aby nikt nie musiał cierpieć na zimnie.

– Oczywiście! – rzekła Sapientia, zawsze chętna do uchodzenia za wielkoduszną, i wydano rozkaz.

– Orle – ciągnął od niechcienia. – Tu jest miejsce. – Hugo wskazał puste miejsce na podłodze obok swego łoża.

Nie odważyła się sprzeciwić. Ściśle owinęła się płaszczem i położyła. Pochodnie wkrótce wygaszono i leżała w ciemności, od czasu do czasu widząc błysk złotej sprzączki pasów czy

ozdób, zwieszających się z ram łóżek i czekających na ranek. Nie mogła spać, nawet gdy niespokojne wiercenie się dwunastu czy czternastu osób ustało i prawie każdy oddech wydłużył się albo zmienił w ciche pochrapywanie. Jego obecność i monotony, podobny modlitwie szept dokuczały jej Jakby leżała na igłach. Czowała ciężar w piersiach, ale nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem na niego. Jego zacieniona postać siedziała wyprostowana na łóżku, rozkładając dłonie: pomiędzy jego palcami lśniły nici. Wydawał się tkać.

Jakby wyczuwając jej wzrok, poruszył się, chowając dłonie.

– Wasza Wysokość – wyszeptał. – Nie śpicie.

Sapientia ziewnęła.

– Tyle rzeczy zaprzęta mi głowę, kochany. Kogo powinnam poślubić? Dlaczego nie ciebie?

– Wiesz, że to niemożliwe, choć z całego serca tego pragnę. Gdybym nie był bękartem...

– Nie w moim sercu!

– Cicho. Nie zbudź innych.

– A co mnie obchodzi, czy mnie usłyszą? Znają me serce równie dobrze jak ty i pozna je cały dwór, nawet mój mąż, kimkolwiek ten biedny żalony głupiec będzie. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek...

– Wasza Wysokość – przerwał łagodnie. – Twoim przeznaczeniem jako następczyni tronu jest wyjść za mąż, a moim jako bękarta i księdza pozostać w stanie bezzennym. Musimy z radością przyjmować to, co nam Bóg zsyła. Po pewnym czasie okażesz swemu mężowi uczucie i dobrą wolę...

– Nigdy!

– ... Bo wolą naszych Pani i Pana jest, by kobieta wierna była mężczyźnie, a mężczyzna kobiecie, prócz tych, którzy są wierni Bogu i odwracają się od marności, pokus i próżnych przyjemności świata.

– To wszystko, czym dla ciebie jestem...!

– Wasza Wysokość. Błagam, nie wypowiadajcie ostrych słów, bo nie mogę tego znieść. Co jeszcze cię martwi?

Liath nie odważyła się drgnąć, choć w biodro wbijał się jej kamień. Reszta oddychała równo przez sen.

– Theophanu.

– Nie musisz obawiać się Theophanu.

– Łatwo ci mówić, ale...

– Wasza Wysokość. Nie musisz obawiać się Theophanu.

Coś w jego tonie sprawiło, że Liath zadrżała i ton głosu księżniczki zmienił się, jakby zaalarmował ją cichy szelest płaszcza na podłodze.

– Jesteś pewien, że wszyscy śpią? – syknęła.

– Nie usłyszysz nas nikt, kogo musicie się obawiać, Wasza Wysokość. – Poruszył się na

łóżku i Liath usłyszała stłumione odgłosy dwojga ludzi całujących się namiętnie.

– Ach – westchnęła w końcu Sapientia. – Jakże mi tęskno do dnia, kiedy pozbędę się tego ciężaru, daj Boże żywego i zdrowego, i będziemy znów mogli...

– Cicho. – Cofnął się i niewidoczny dla wszystkich, prócz Liath, zaczął rozsnuwać między palcami błyszczące nici, cienkie jak pajęczyna. – Śpij, Wasza Wysokość.

Jej oddech wyrównał się i ucichł, zasnęła. Liath leżała nieruchomo jak kamień, ale przekręcił się na łóżku i znalazł się nad nią, niby głaz leżący na szczycie zbocza, zasłaniający światło delikatnym roślinom. Wstrzymała oddech.

– Wiem, że nie śpisz, Liath. Czy zapomniałaś, że miałem wiele nocy, by cię poznać, kiedy leżałaś obok, przyglądać się twojej twarzy, gdy spałaś albo tylko udawałaś, że śpisz? Wiem, kiedy śpisz, a kiedy nie. I teraz nie śpisz, moja piękna. Wszyscy inni śpią, ale nie ty. I nie ja.

Mógł tak mówić, tylko będąc pewnym, że inni śpią, ale skąd to wiedział? Albo nie obchodziło go to. Dlaczego miało obchodzić? Był opatem wielkiego klasztoru, synem potężnej margrabiny, księdzem wykształconym w królewskiej scholi. W porównaniu z nim była niczym, królewskim Orłem, uciekinierką bez rodziny, której oboje rodziców zamordowano.

– Powiedz, Liath – ciągnął tym samym miękkim, pięknym, przekonującym tonem – dlaczego tak mnie dręczysz? To nieładnie z twojej strony. Nie rozumiem, jaka moc w tobie drzemie, która mnie tak nieustannie gnębi. Musisz to robić celowo, musisz mieć jakiś plan. Co to jest? To?

Poruszył się. Wrzasnęłyby, ale nie mogła, mogła tylko leżeć zmrożona przerażeniem, a potem jego palce dotknęły jej policzka, przesunęły się ku ustom, spoczęły na nich delikatnie, nim ruszyły przez podbródek ku odkrytemu gardłu. Żółć paliła ją na języku.

– Chodź do góry – wyszeptał, przesuwając palcami po jej gardle.

Gdyby poszła do niego teraz, być może przestałby ją dręczyć. Gdyby go uszczęśliwiła, gdyby mu była posłuszna, byłby dla niej dobry.

Myśl zniknęła tak szybko jak woda spływająca z dachu. Przeturlała się, wpadła na śpiącą służącą. Sapientia zamruczała, prawie się budząc, a na korytarzu zaśmiał się mężczyzna.

– Do diabła – szepnął Hugo. Skuliła się, czekając na cios, ale on tylko się odsunął i w końcu usłyszała, jak jego oddech wyrównuje się i pogłębia. Wszyscy inni spali tak spokojnie. Tylko ona pozostała bezsenna.

2.

Poranek nadszedł w samą porę i wymknęła się, gdy tylko dostrzegła poprzez szpary w okiennicach pierwsze oznaki jasności na niebie. Kilka pochodni płonęło przy wejściu do kuchni, gdzie służba przygotowywała południowy posiłek. Mgła zasłaniała palisadę i kłębiła

się w rogach, pokrywając dziedziniec grubym całunem chłodu. Krople lodowatego deszczu kłuły ją w policzki.

Brama była już otwarta, ale nikt jeszcze nie wybrał się do latryn. Większość służby jeszcze nie wstała, a szlachta wolała używać nocników, niż wychodzić tak wcześnie. Ale Liath doskonale widziała w porannej szarudze i pragnęła chwili wolności. Ulżyła sobie i pospieszyła z powrotem, ale kiedy brama zamajaczyła przed nią we mgle, ogarnęło ją takie przerażenie, że mogła jedynie paść na kolana. Ziemia była wściekle zimna; wilgoć przesączała się przez materiał jej nogawic.

Nie widzieli jej, ale ona widziała ich: ukryty przed spojrzeniami ludzi z dziedzińca, Hugo czekał przy bramie na księżniczkę Theophanu. Theophanu wahała się, zaintrygowana, ale oporna, niby na wpół dzikie, głodujące zwierzątko, które podchodzi, a potem się cofa, by znów podejść i obwąchać jedzenie położone przez obcego, podejrzewając pułapkę, ale desperacko pragnąc zaspokoić głód.

Dotykał jej dłoni w poufały sposób, splatając jej palce ze swoimi, ale nie tykając jej inaczej. Przemówił. Odpowiedziała. Potem włożył coś w jej dłoń. Zabłysło, kiedy słońce przebiło się przez drzewa, rozpraszając mgłę okrywającą bramę: jego panterza brosza.

Theophanu umknęła do wewnątrz. On stał, szukając jej, ale wciąż skrywała ją mgła i światło wstającego słońca. Odwrócił się i pomaszerował do wygódek.

Liath zerwała się, skoczyła ku bramie i wpadła na Helmuta Villama. Złapał ją mocno, gdy zatoczyła się do tyłu. Pusty poniżej łokcia rękaw wisiał po drugiej stronie jego ciała; został ranny w bitwie pod Kassel, broniąc króla Henryka przed zakusami jego siostry Sabelli.

– Błagam was o wybaczenie, lordzie Villamie – jęknęła Liath.

– Masz chwilę, jak sądzę, czy też biegasz na posyłki księżniczki?

– Ja tylko wyszłam... błagam o wybaczenie, panie.

– Nie musisz mnie o nic błagać – rzekł, nie wypuszczając jej z objęć i popatrując na nią z błyskiem w oku. Był co najmniej piętnaście lat starszy od króla Henryka, ale nadal zwawy, co było powodem nie kończących się dowcipów na dworze. – To ja powinienem błagać, abyś mnie pocieszyła, ponieważ noce są zimne, a mnie niestety, porzucono i trzęsę się w samotności.

W każdej chwili Hugo mógł wrócić i ją odnaleźć.

– Błagam was, panie, zbyt dobrzy dla mnie jesteście, ale ja noszę Orlą odznakę.

Westchnął.

– Orzeł. W takim razie to prawda. – Puścił ją i przycisnął dłoń do piersi. – Łamiesz mi serce. Jeśli jednak zechcesz je uleczyć...

– Wielki mi honor sprawiacie, panie – odrzekła szybko, cofając się. – Ale jestem zaprzysiężona.

– A ja jestem zmartwiony! – Roześmiał się. – Jesteś równie wygadana, co piękna. Marnujesz się jako Orzeł, przysięgam! – Ale pozwolił jej odejść.

Nie mogła zmusić się do powrotu pod nadzór Sapientii. A poza tym musiała coś sprawdzić. Wyruszyła na poszukiwanie towarzyszek.

Znalazła Hathui siedzącą na bali przed stajniami, polerującą ogłowie przed polowaniem. Wyposażenie leżało u jej stóp; podniosła wzrok, uśmiechnęła się krzywo do Liath i nakazała gestem, by przy niej usiadła.

– Jest dla ciebie dużo roboty. – Wskazała na stosik uprząży powalanej błotem. Światło się zmieniło, rozproszone i srebrzyste, choć słońce jeszcze nie wyjrzało zza drzew. Ręce Hathui, bez rękawiczek, były czerwone od mrozu.

– Muszę wracać – powiedziała Liath. – Jej Wysokość będzie mnie potrzebować, gdy się obudzi. Chciałam tylko...

– Wiem – Hathui rzuciła okiem w prawo, gdzie leżały sakwy. – Ciągłe są w moim posiadaniu.

– Jesteś dobrą towarzyszką – rzekła Liath.

– Jestem twoją towarzyszką w Orłach! – parsknęła Hathui. – I będę od ciebie oczekiwać równie wiele, Liath, kiedy poproszę cię o pomoc. Przytniesz mi znowu włosy? – Jej włosy, krótko ostrzyżone, zaczynały się wic na końcach.

Liath wyjęła swój nóż, sprawdziła go na kosmyku włosów i zaczęła uważnie podcinać końcówki.

– Masz takie miękkie włosy, Hathui – powiedziała. – A nie sztywne jak moje. Są tak delikatne jak dotyk wspaniałej materii.

– Tak mówiła moja matka. – Hathui splunęła na ściereczkę, którą polerowała ogłowie. – Z tego powodu oddałam moje włosy świętej Perpetui, kiedy przysięgłam jej służyć.

– Czy powinnam ściąć włosy? – spytała nagle Liath, przypominając sobie Villama.

– A to co ma znaczyć?

– Ja tylko... po prostu... och, Hathui, kiedy wracałam z latryny, margrabia zapytał mnie, czy... czy, no wiesz...

– Czy opowiedział ci smutną historię, jak to jego ukochana przeniosła się do lorda Amalfreda, a on okropnie marznie w nocy?

Liath parsknęła, a potem roześmiała się, nie mogąc się powstrzymać.

– Tobie też składał propozycje?

– Nie, ale ja mam krótkie włosy, jak zauważyłaś. Owszem, raz, kiedy dopiero co wstąpiłam do Orłów i spędziłam trochę czasu na dworze. Wilkun powiedział mi, że Villam jest jednym z tych mężów opętanych pożądaniem, chociaż to raczej małe ogniste demony zagnieździły się w jego lędźwiach i tańczą całymi dniami i nocami. Słynie ze swego umiłowania do bardzo młodych kobiet, szczególnie nowych. Nie dziwi mnie, że przeżył cztery żony, czy też ma już piątą?

– Ale skoro miał tyle konkubin i kochanek...?

– On ich nie zamęczył w łóżku, tylko zmarł z żalu, bo zawsze skakał w bok i choć jest

dobrym człowiekiem, przebiegłym generałem i mądrym doradcą w innych sprawach, król Henryk na szczęście w tej kwestii go nie naśladował.

– Jak mam go unikać?

– Niemożliwe jest unikanie kogokolwiek na dworze. Ale Villam to dobry człowiek, lepszy od innych i jeśli będziesz w jego towarzystwie skromna i pełna szacunku, aby wiedział, że naprawdę zamierzasz dotrzymać przysięgi Orłów, nie będzie cię więcej molestował. Co masz w tej torbie, Liath?

Nieomal wbiła nóż w kark Hathui.

– Nic. Coś. Książkę.

– Wiem, że to książka. Widzieliśmy ją w Spokoju Serca. Co to za książka, którą ukrywasz jak skradziony królewski skarb i zamierzasz robić to nadal, bojąc się, że gdyby ją odkryto, straciłabyś życie?

– Jest moja! Była taty. Nie mogę powiedzieć ani tobie, Hathui, ani nikomu innemu. Pewnych słów nie należy wypowiadać na głos, bo przyciągają... pewnych słów się nie mówi.

– Magia – powiedziała Hathui, a potem: – Auć!

– Wybacz – Liath przycisnęła do rany rąbek tuniki. – Za bardzo nie krwawi.

– Czy to była kara za ciekawość? – w głosie Hathui brzmiał śmiech, nie gniew.

– Po prostu mnie wystraszyłaś.

– Liath. – Hathui westchnęła, odłożyła ogłowie i odwróciła się. Nad jej ramieniem Liath widziała zabudowania pałacu myśliwskiego, wciąż otulone mgłą. Służący wyprowadzali konie ze stajni. Kobiety oraz mężczyźni wchodzili i wychodzili z latryn. Z kuchni szedł dym, bo zaczęły się przygotowania do obiadu, a służący szarzy od dymu i sadzy nieśli wiadra wody z rzeki za palisadą. – Każda wioska w marchiach ma mądrą albo znachora. Słuchamy tego, co mówią, bo to mądrze słuchać starszych, których jest tak mało. Niektórzy z nich opowiadają tylko historie z dawnych dni, nim cudzoziemcom i plemionom wendarskim przyniesiono Krąg Jedności. Oj, te opowieści są tak straszne i podniecające, że obawiam się o moją duszę, gdy ich słucham. Czasami mi się śnią, choć ich bohaterowie i wojowniczkę to poganie. Hej! – Klasnęła w dłonie, by odpędzić chudego psiaka, który zabrał się za obwąchiwanie jej uprzęży. – W każdym razie niektórzy ze starszych mają moc, o której nikt na głos nie mówi. Ale każdy, kto mieszka na skraju dziczy, wie, że jeśli wywołasz prawdziwe imię stworzeń żyjących za palisadami i polami, możesz przyciągnąć ich uwagę i sprawić, że przyjdą. Tam, skąd przybywam, nazywamy to magią.

– O Pani – powiedziała Liath. Nie potrzebowała obracać się, by wiedzieć, kto się zbliżał.

– O Pani, rzeczywiście. – Oczy Hathui zwięzły się, kiedy spojrzała za Liath. Wstała, skłoniła głowę. – Ojcie Hugonie.

– Księżniczka Sapientia potrzebuje usług tego Orła – powiedział cierpko. Nic nie dodał, ale nie ruszył się z miejsca, dopóki Liath nie odłożyła noża i nie odwróciła się, by pójść za nim.

– Czy to ona ma książkę? – zapytał cicho, kiedy szli przez dziedziniec. – Orły są znane ze swej wierności towarzyszą. Nikt by nie pomyślał, że pospólstwo zdolne jest do takiej lojalności. Liath, jak możesz ufać jej, ledwie wieśniaczce, a nie zaufać mnie?

Nie musiała odpowiadać, bo Sapientia już niecierpliwie czekała, by wyruszyć na polowanie. Zajęła się rzeczami, co nie należało do obowiązków Orła, bo Sapientia miała wielu służących, ale przynajmniej trzymała się z dala od Hugona. W końcu wyjechali, kawalkada możnych na koniach, pieszych służących, psów i psiarczyków oraz królewskich leśniczych, którzy cały rok mieszkali w małej wiosce w pobliżu pałacu. W zamieszaniu, hałasie i okrzykach Liath zauważyła nagły i niepokojący szczegół: Theophanu spięła swój sięgający bioder płaszcz jeździecki złotą broszą w kształcie pantery. Nikt inny zdawał się tego nie dostrzegać, nawet Sapientia.

3.

Na skraju zabudowań las był rzadki. Drzewa rosły do wysokości ramion, potem ścinane na opał do królewskiego paleniska; na wpół zdziczałe świnie umykały ku schronieniu w krzakach i młodych drzewkach. Ale leśniczy szybko poprowadzili ich do starszej, głębszej, nietkniętej części puszczy. Spuszczono psy i rozpoczęło się polowanie.

Pojechali przez wawóz i po stromym zboczu, na którym połowa jeźdźców musiała zsiąść i poprowadzić konie. Rzępy utkwily w ich płaszczach. Utworzył się dystans między grupą najwytrwalszych i najbardziej lekkomyślnych myśliwych a rozsądniejszą resztą. Piesi służący zostali w tyle. Liath ledwo dotrzymywała kroku Sapientii, która będąc w połowie ciąży, zdecydowana była jechać na czele.

Dęby i brzozy straciły już większość liści, choć niektóre ze złocistych i ciemnoczerwonych pozostawały jeszcze na gałęziach. Gdzieś rosnęły grupy iglaków, plamy ciemnej zieleni. Resztki porannej mgły snuły się pomiędzy pniami drzew i opadały w dziury albo kałuże stojącej wody. Nieustannie padał lekki deszczyk.

Przemieszczanie się myśliwych znaczył ciągły hałas wśród ściółki i krzaków. Przedzierając się przez poszycie, wypłoszyli stado kuropatw. Królewscy myśliwi ustrzelili kilka, odciągając psy i ludzi od ptaków. W oddali załomotały gałęzie.

– Łania! – wrzasnął leśniczy. Rozpoczął się pościg.

Grupa prowadząca rozdzieliła się, król Henryk i starsi myśliwi zostawali w tyle, pozwalając młodszym na pościg. Sapientia jechała na czele, Liath ledwo za nią nadążała na wałachu, który był bardziej oporny niż śmigły. Lord Amalfred, lady Brygida, młodzi panowie i panie, krzycząc i wyjąc z podniecenia, pędzili naprzód. Skupiona Theophanu minęła Liath. Panterza zapinka zaślśniła w słońcu pomiędzy gałęziami. Obejrzała się przez ramię i Liath odruchowo zrobiła to samo. Hugo jechał za nimi, ale co dziwne, Liath nie wyczuwała jego obecności, jakby po raz pierwszy nie był świadomy jej istnienia. Pochylał głowę nad siodłem,

jego usta poruszały się bezgłośnie. W lewej dłoni zaciskał mały złoty relikwiarz wiszący na jego szyi na równie szlachetnym łańcuszku.

Sapientia znikła wśród jałowców. Koń lorda Amalfreda spłoszył się, nie chcąc przejść przez kępę rdestu i wściekły mężczyzna dał mu ostrogę.

– Wasza Wysokość! – zawołał leśniczy do Theophanu. – Ścieżka! Tędy!

Mając do wyboru gęste jałowce lub wąską, ale nie zarośniętą ścieżkę, Liath zdecydowała się jechać za Theophanu, ale koń księżniczki był w lasach lepszy od jej wierzchowca, odważny i pewny. Theophanu pognąła naprzód, jakby zamierzała zrównać się i wyprzedzić swą królewską siostrę. Jakby zamierzała wziąć dla siebie to, co pragnęła posiadać jej siostra.

– Z drogi! Z drogi! – krzyknął mężczyzna za nią i Liath skierowała wierzchowca w bok, zanim tuzin szlachciców z lordem Amalfredem przegalopował obok. – Widzę jelenia!

– Jeleń! Jeleń! – podjęli okrzyk inni.

Liath też ją dostrzegła, piękną łanię skaczącą przed nimi, pędzącą wśród drzew. Amalfred i inni naciągnęli łuki, celując.

Ale to nie był jelen. To była Theophanu, jadąca przed nimi pomiędzy drzewami wciąż otulonymi poranną mgłą. To była iluzja. Wspomnienie Gentu uderzyło ją jak cios, wypuściła wodze z dłoni i krzyknęła głośno. Iluzja, którą tylko ona mogła przejrzeć. Nawet Sanglant, który pragnął uwierzyć, nie odważył się na to.

Zaczęła krzyczeć:

– Stać! Nie strzelać! – Wrzeszczała tak głośno, jak tylko potrafiła. – Wasza Wysokość! Powiedzcie coś! Zatrzymajcie konia!

Czy jej ostrzeżenie dotarło tak daleko?

Theophanu ściągnęła wodze swego konia i zaczęła się odwracać, jakby...

– O Pani! – wykrzyknął jeden ze szlachciców. – Zwolnił. Macie szansę. – Skinął do innego jeźdźca. – Księżniczko Sapientio, chodźcie do przodu!

Ale lord Amalfred już naciągnął łuk.

– Ten jest mój!

– Stój! – wrzasnęła Liath, ale Hugo podjechał do niej i położył dłoń na ramieniu. Straciła głos.

Theophanu wciąż się odwracała, podnosząc dłoń na znak, że usłyszała; potem w jednej chwili ogarnęła wzrokiem obraz za sobą. Przeważenie wykrzywiło jej twarz.

Amalfred strzelił. Kolejny lord strzelił. Strzały pomknęły do celu.

Tym razem nie będzie bezsilna! Wyrwała ramię z uścisku Hugona. Błagała Boga, by udało jej się przywołać ogień, tylko patrząc. Niech ogień z wizji płonącego kamienia przejdzie przez nią jak przez drzwi, jakby demon z ognistej sfery sięgnął w dół poniżej księżycy i swymi palącymi dłońmi dotknął pędzących drzewców strzał.

Obie strzały zapaliły się w powietrzu. Theophanu spadła z konia. Wycie i okrzyki ogłuszające Liath zdawały się wybuchać.

- O Boże, księżniczka!
- Cud! Cud!
- Lordzie Amalfredzie, co to miało znaczyć?
- Ale widziałem jelenia. To inni...!

Wszyscy wołali, że oni również widzieli jelenia, Sapientia zaczęła głośno szlochać. Liath zarzuciła wodze na końską szyję, zsiadła i pobiegła naprzód; uderzyła palcami w kłodę, przeskoczyła kolejną i wpadła w stertę gnijących liści, spiesząc do Theophanu.

Włosy księżniczki było potargane, warkocze się rozplotły, tunika zadarła się aż do bioder, twarz miała podrapaną i brudną. Otrząsnęła się i sięgnęła po nóż, kiedy Liath padła na kolana obok niej.

- Rozkazała ci dokończyć dzieła?

Liath podniosła w górę puste dłonie.

- Wasza Wysokość, jesteście ranna?

– Twój głos – oczy Theophanu rozblęły zaskoczeniem. – To ty wykrzyczałaś ostrzeżenie. Co to za podstęp?

- Widzieli jelenia zamiast was, Wasza Wysokość.

- Jestem jeleniem, którego się upoluje i zarżnie. Czy to był wypadek, Orle?

Przyszedł leśniczy, a tłum niczym bezmyślne stworzenie przesuwiał się po lesie, by je otoczyć. Na ścieżce Hugo pocieszał płaczącą Sapientię.

Nadjechał król i Liath słyszała, jak paplają i powtarzają wciąż i wciąż, że cały tuzin i nawet leśniczy widzieli nie Theophanu, ale jelenia.

- Czary – powiedział ktoś.

- Cud – rzekł inny.

– Zbyt wielu młodych durniów chętnych łupów i widzących wizje we mgle – stwierdził Villam z obrzydzeniem.

– Polowanie się skończyło – rzekł król. Giermek pomógł mu zsiąść. Podeszedł do córki i wyciągnął dłoń. Ujęła ją i podniosła się z ziemi. – Jesteś cała? – zapytał Henryk. Villam zmusił bezmyślny tłum do posłuchu, napierając na nich wystraszoną koniem. W oddali dziko wyły psy. Henryk puścił dłoń Theophanu i skinął na myśliwego. – Idźcie za psami – nakazał król – i przynieście do pałacu każde mięso, jakie upolujecie.

Mężczyzna przytaknął. Leśniczy i myśliwi ruszyli sami, choć kilku młodych szlachciców miało widoczną ochotę do nich dołączyć.

– Czy mogę prosić o moment na osobności, ojczy, aby pozbiierać myśli, zanim znów dosiądę konia? – spytała Theophanu.

Nakazał przybocznym cofnąć się i sam też odszedł. Liath zaczęła się oddalać, ale Theophanu skinęła na nią i Liath się zawahała, obawiając się być widzianą z księżniczką, lecz także nie posłuchać.

- Czy to był wypadek? – powtórzyła księżniczka, jej wzrok był zimny, a usta zaciśnięte w

wąską linię. – Czy moja siostra uknuła ten podstęp?

Pomysł, że Sapientia mogła knuć jakąkolwiek intrygę, sprawił, że Liath opadła szczęka.

– Wasza siostra? Nie! Ale to nie był wypadek... – urwała. Powiedziała zbyt wiele.

Theophanu długo milczała. Podrapana i zakrwawiona dłoń powoli podniosła się, by dotknąć panterzej broszy, która spinała jej płaszcz.

– Czy były to czary? I czyje?

– Niczego nie mogę dowieść, Wasza Wysokość. Wiem tylko, co widziałam.

– Albo czego nie widziałas. – Spojrzała na coś za plecami Liath i szybko odwróciła wzrok, zawstydzona. – Czy jestem lepsza niż ci, którzy widzieli jelenia w lesie tylko dlatego, że pragnęli go ujrzyć? – Z nagłym grymasem zerwała broszę z płaszcza i rzuciła ją za siebie, w liście. – Jestem twoim dłużnikiem, Orle. Jak mogę cię wynagrodzić?

Wykrztusiła, nie chcąc tego mówić, ale słowa pełne były szczerości:

– Zabierzcie mnie od niego, błagam was.

– „Łagodność gołębiczy i przebiegłość węża” – wyszeptała Theophanu. – Ale potrzebuję dowodu. – Wciąż blada, grzebała w liściach, aż znalazła broszę. Ostrożnie, jakby była zatruta, włożyła ją za pas. – Zrobię, co w mojej mocy. Odejdź. Nie powinni widzieć nas razem, jeśli to, co podejrzewam, jest prawdą. Nic nikomu nie mów, dopóki ci nie pozwolę.

4.

Henryk był wściekły. Polowanie zjechało wcześniej do dworu w zamieszaniu, które zakłóciło cichy dzień. Również Rosvita miała inne plany: jej klerycy mieli spędzić dzień na pracy. Ale historie, które usłyszała z wielu różnych źródeł, były wystarczająco niepokojące, aby odetchnęła z ulgą, widząc nietkniętą księżniczkę Theophanu. Co dziwniejsze, mimo że jej suknia była w nieładzie, włosy potargane, skóra podrapana i pobrudzona pleśnią i brudem, księżniczka zachowywała absolutny spokój.

– Jakie to wschodnie – mruknął brat Fortunatus. – Wiecie, ci Aretuzańczycy są nieodgadnieni.

– Oszczędź nam tej fałszywej mądrości – powiedziała siostra Amabilia. – Biedna Theophanu! Wzięta za jelenia!

Króla nie uspokoiły zeznania wszystkich świadków. Każdy, nawet myśliwi i leśnicy, którzy pognali naprzód z grupą Sapientii, widzieli jelenia zamiast księżniczki.

„Deszcz nas zmylił”. „Mgła nas zmyliła”. „To przez kształt gałęzi nad jej głową”. I tak gadali, wszyscy mocno zaszokowani wypadkiem.

– Albo w lesie był za nią jeleni i wy głupcy strzelaliście, nie przyjrawszy się! Lordzie Amalfredzie. Lordzie Grimoaldzie. Nie jesteście już mile widziani na tym dworze. Odjedźcie przed zmrokiem. Jutro wszyscy wyjedziemy z tego przeklętego miejsca. Już straciłem jedno z dzieci. Nie zamierzam tracić innych.

Żaden protest, nawet Sapientii, nie mógł zmienić królewskiego zdania. Dwaj młodzi lordowie opuścili dwór w niełasce. Henryk spędził resztę dnia na mszy odprawianej przez ojca Hugona. Król szczególnie modlił się i dziękował świętej Waleni, patronce tego dnia, której cudowna interwencja uchroniła jego córkę przed większymi obrażeniami niż upadek z konia. Przed wieczerzą własnymi dłońmi rozdał chleb żebrakom zgromadzonym za palisadą. Przybyli z wiosek na skraju lasu, słysząc o przyjeździe króla do pałacu myśliwskiego wysuniętego najdalej na południe. Niektórzy z nich kilka dni wędrowali, mając stopy owinięte szmatami, licząc na jedzenie lub błogosławieństwo.

Przy wieczerzy Theophanu błagała ojca:

– Proszę, Wasza Wysokość, pozwólcie mi udać się na pielgrzymkę do klasztoru świętej Walerii, aby odpowiednio podziękować jej za ocalenie mnie od śmierci. Na pewno jej dłoń na mnie spoczęła.

Nie miał zamiaru pozwolić jej wyjechać po takim zajściu, ale ponad tuzin osób potwierdzało cud.

– Wezmę Orła – powiedziała. – W ten sposób wszelkie wieści ode mnie szybko do was dotrą.

– Na znak mej łaski – rzekł król – możesz wziąć moją wierną Hathui, córkę Elsevy, o ile ty i ona powrócicie na dwór w jednym kawałku przed końcem roku. Podróż nie powinna ci zająć więcej niż dwa czy trzy miesiące.

– Nie odbiorę wam tak lojalnej służącej, Wasza Wysokość – odparła tak spokojnie, jakby żadne strzały nie mknęły dzisiejszego poranka ku jej głowie i piersi. – Ale mogłabym wziąć innego Orła... – Jej wzrok spoczął na młodej Orlicy, która stała kilka kroków dalej za krzesłem Sapientii.

Sapientia zerwała się na równe nogi, co wyglądało wyjątkowo niezgrabnie ze względu na jej coraz większy brzuch.

– Chcesz tylko tego, co moje!

– Siadaj – powiedział król.

Sapientia usiadła.

– To prawda – ciągnął Henryk – że Sapientia ma Orła, którego sam jej przydzieliłem na służbę i teraz go jej nie odbiorę. Ale słusznym jest, Theophanu, abyś i ty dostała Orła. Ponieważ wybierasz się w podróż; nawet dwa. Hathui wybierze ich spośród tych, które są na dworze, aby cię zadowolić.

Uczta trwała dalej. Ale zakłócono spokój myśli Rosvity, ponieważ nagle przypomniało się jej, że Sapientia cieszyła się posiadaniem stale u swego boku Orła. Liath była na tym polowaniu i na pewno wszystko widziała; ktoś wspomniał, że widział, jak biegła do księżniczki po upadku. Ale nikt nie nakazał jej zeznawać przed królem, kiedy nawet leśnicy i myśliwi zostali przesłuchani, gdy szlachta przestała mówić. Jak można było dopuścić do takiego przeoczenia? Dlaczego młoda Orlica sama nie wystąpiła?

Dlaczego Theophanu, nieprzenikniona Theophanu teraz ją dostrzegła i nawet usiłowała wziąć do swego orszaku? Aby tylko sprowokować siostrę?

A poza tym, dlaczego Theophanu wybierała się na pielgrzymkę przez kraj skuty mrozem, kiedy mogła z łatwością wysłać służących z wotami złota i srebra oraz jedwabiu, by ozdobić kościół i skarbiec klasztoru?

Dwie strzały wybuchające płomieniem w powietrzu. Każdy poświadczał, że był to cud sprawiony ręką świętej. Ale Rosvita nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

„W przebraniu scholarów i magów”, powiedział do niej zeszłej wiosny brat Fidelis, „kuszą mnie wiedzą”. Dlaczego teraz przypominała sobie te słowa?

Theophanu wiedziała równie dobrze jak inni, z czego słynął klasztor świętej Walerii: jego matki przełożone znane były ze swych studiów nad zakazaną sztuką magii.

5.

Znów padało. Deszcz irytował Sapientę; była szczęśliwa tylko wtedy, gdy działała.

– Przynieś mi wina, Orle – powiedziała, choć miała służących od przynoszenia wina. – I mleka. Chcę mleka. – Wyjazd z Lasu Thurińskiego irytował Sapientę. Jazda na południe do księstwa Saony irytowała Sapientę. Cięża irytowała Sapientę. – Poczytaj mi, Hugo. Tak się nudzę. To nie w porządku, że nie wolno mi pojechać na polowanie tylko dlatego, że mam trochę gorączki. – Ziewnęła. – Jestem zawsze taka zmęczona.

Hugo odwrócił się od wielkiego paleniska w pałacu w Augensburgu. Bardziej niespokojny niż zazwyczaj, bo zawsze był gładki jak nietknięta śmietana w misce, kruszył liście i wrzucał je w płonący ogień. Nie patrzył w kierunku Liath ani nawet jej nie zauważał. Nie musiał.

– Raczej lubię lorda Godfryda – ciągnęła Sapientia, gadając mimo twierdzenia, że jest zmęczona. – Jest dobrym myśliwym i ma doskonale maniery. Ojciec lubi go tak bardzo, że nawet pozwolił mu jechać obok siebie na dzisiejszym polowaniu. Biedna Brygida. Przypuszczam, że chciałabyś, żeby nie był żonaty!

– Jest z Varre – odparła Brygida. – Nie wiem, czy mój wuj Burchard chciałby, abym poślubiła varreńskiego lorda, nie po tym, co się stało z moim kuzynem Agiusem. A poza tym, nie wiem, jakie dziedzictwo Godfryd wniósłby w posagu.

– Biedak. Stracił dziedzictwo na rzecz bękarta! – księżniczka zachichotała.

Hugo nagle podniósł głowę.

– Czy lord Godfryd nie jest dziedzicem Lavas?

– Oczywiście, że nie! – Sapientia uśmiechnęła się z satysfakcją powolnego dziecka, które wreszcie wygrało wyścig z szybszymi kolegami. – Ale nie było cię wtedy na dworze. Ojciec wybaczył hrabiemu Lavastine’owi zdradę i pozwolił mu ogłosić syna z nieprawego łoża dziedzicem.

– Dziedzicem – wymruczał Hugo tonem tak dziwnym, że Liath aż na niego spojrziała.

Kłęknął przy drewnianej misie pełnej suszonych ziół. Pas lnu, poznaczony znakami, których nie mogła odczytać, leżał na jego kolanach i gdy Liath patrzyła, zawiązał go w skomplikowany węzeł.

„Więź”.

Słowo pojawiło się w jej myślach nieproszone. Fragment *Księgi tajemnic*, który sama przepisała z psalterza w saliańskim klasztorze, powstał z miasta pamięci i spłynął na język. Wyszepiała go cichutko.

– Czyś czynił podle tradycji matematyków, że moc posiadasz poprzez wiązanie i rozplątywanie materii tkanej, uczynionej według dróg Księżyca i Słońca, eratyk, gwiazd, ze sobą powiązanych? Takie to sztuki znają demony powietrza, a zapisane jest, że „Cokolwiek działasz w mowie i czynie, rób to zawsze w imię naszych Pana i Pani”. Jeśliś tak uczynił, przed samą skoposą sądzony będziesz.

Było więcej, ale nie przepisała tego, gdyż nie dotyczyło sztuki astronomii. „Czyż czyniłeś więzy, zaśpiewy...”

Hugo spojrział na nią, jakby wyczuł jej myśli i zaczerwieniła się, przestraszona, gdy się uśmiechnął. Nie odezwał się do niej słowem od wypadku w lesie, a to było gorsze od wszystkiego, co się wcześniej działo... ponieważ wiedziała, że czekał na odpowiednią chwilę.

– Ten ungarski ambasador jest taki nieokrzesany – ciągnęła obojętnie księżniczka, podobnie jak inni obojętni byli na poczynania Hugona przy ogniu, jakby odgradził się od ich ciekawości. – Wybiera jedzenie, jakby nie było dla niego wystarczająco dobre! Nie podejrzewasz, że ojciec chce mnie wydać za syna ungarskiego króla, prawda?

– Nie sędzę, Wasza Wysokość. – Hugo wrzucił resztę ziół do ognia i cofnął się, otrzepując biały pył z nieskazitelnej tuniki. Lniany pasek zniknął. – Ungarski król niedawno nawrócił się na wiarę w Jedności, dziękować Bogu, i sędzę, że raczej pragnąłby, aby kobieta w wendarskiego rodu osiedliła się tam i przyniosła ze sobą wiedzę o Kręgu Jedności oraz dała przykład jego ludowi.

– To mogłoby być dobre zajęcie dla Theophanu, kiedy powróci z pielgrzymki. Gdzie moje mleko?

Służący podał wino i mleko. Hugo opuścił salę i poszedł do komnaty dla gości. Sala była ciemna i pełna dymu, gdyż zamknięto okiennice. Na pomalowanych ścianach dla ocieplenia powieszono arrasów wożone przez dwór króla Henryka, tworząc dziwną mozaikę obrazów malowanych i tkanych. Podłogę wyłożono świeżą trzcina. Ogień płonął w trzech kominkach, a lampy oświetlały stół, przy którym pracował tuzin kleryków. Reszta, nawet siostra Rosvita, wyruszyła na łowy.

Wszędzie ustawiono świece w glinianych misach; zapalone rano, płonęły cały dzień i noc. Był pierwszy dzień miesiąca Deciał, zwany Łuczywem: najkrótszy dzień w roku, zimowe przesilenie. Paganie zwali go Dhearc, zaciemnienie słońca i tradycja nakazywała wyruszać

na polowanie niezależnie od pogody, ponieważ tego dnia słońce i światło w osobie panującego pokonywało w końcu mrok i chaos, wcielone w dzikie zwierzęta, które zabijano i zjadano. Święty Piotr Uczeń, który był patronem tego dnia, został spalony na stosie przez niewiernych.

W *Księdze tajemnic* tato napisał: „Kiedy słońce się nie porusza, pewne ścieżki w innych okolicznościach ukryte otwierają się i pewne węzły zbyt splątane rozplątują. W ten sposób, kiedy w inne dni możesz wpleść w ogień pomniejszych życzenia, tak w znacznie większym stopniu możesz ożywić swe życzenia w przełomowe dni roku. Bądź jednak ostrożny”.

„Spleść życzenie”. Ale bądź ostrożny. Przykucnęła przy ogniu. Kominek otaczały dwie kolumny, rzeźbione w łapy i głowy gryfów; dotknęła najbliższej, gładząc lwie pazury. Fragmenty zwęglonych kwiatów leżały na palenisku i otaczających ceglach; potarła je między palcami i powąchała. Lawenda. Na kamieniach leżała jedna pestka jabłka. Unoszący się dym był ciężki i oszałamiający, musiała się cofnąć, aby oczyścić myśli.

Czy Hugo rzucał czary? O Pani, nie żałowała, że uratowała życie Theophanu, ale jeśli Hugo podejrzewał lub inni odkryli, że to ona podpaliła strzały? Czy postawiliby ją przed skoposą? A jednak myśl gnębiła ją jak powracający ból: „Jeśli potrafisz przywołać ogień i widzieć w ogniu, dlaczego nie władasz inną magią? Dlaczego tato kłamał?”

Nie była odporna na magię. Była przed nią chroniona: przed cudzą magią i prawdopodobnie własną. Ale nie знаła sposobu na odkrycie prawdy, nie miała komu zaufać, nikogo, kto by ją uczył. Nagle aluzje i sugestie Wilkuna, jego próby nakłonienia jej, by mu zaufała, stały się bardziej złowieszcze i potrzebne. Szkoda, że go tu nie było.

Hugo wrócił, niosąc książkę. Rozpoznała *Historię Dariyi* Polixena, okładka była jej znana jak własna skóra. Ukradł ją jej; ukradł znacznie więcej. Usiadł obok księżniczki Sapientii, a dwaj służący z lampami stanęli obok. Tuzin kleryków po drugiej stronie sali odłożył pióra i odwrócił się jak kwiaty do słońca, chcąc posłuchać, jak Hugo czyta.

– Będę dziś czytał Polixena – powiedział.

– A co mnie obchodzi taka stara historia, w dodatku o poganach? – spytała Sapientia.

Podniósł brew.

– Wasza Wysokość, na pewno wiecie, że Dariianie, o których się mówi, że byli pół ludźmi, pół elfami, podbili i władali największym znanym imperium. Tylko w opowieściach i mitach dawnych Aretuzan pojawiają się większe i starsze imperia, na przykład Sais pochłonięte przez fale albo stary i mądry lud Gyptos za morzem. Po zniszczeniu Imperium Dariyańskiego te niegdyś potężne ziemie zaczęli nawiedzać dzicy, a barbarzyńscy poganie walczyli o resztki. Raptem sto lat temu cesarz Taillefer odbudował imperium dzięki łasce Pani i Pana, Boga Jedności. Koronował się na świętego cesarza dariyańskiego, ale po jego śmierci imperium upadło z powodu wojen sukcesyjnych.

Twarz Sapientii się rozjaśniła i co niezwykle, wyglądała na zamyśloną.

– Ojciec uważa, że przeznaczeniem naszej rodziny jest odbudować Święte Cesarstwo

Dariyi.

– Tak też się stanie – mruknął Hugo – i wasza rodzina zostanie ukoronowana w Darre przez skoposę, jak Taillefer.

Liath zadrzała. Czy dlatego Hugo próbował zamordować Theophanu? Aby Sapientia nie miała rywalki do tronu cesarskiego, nie tylko Wendaru i Varre?

Odkaszlnęła i zaczął czytać swym pięknym, niemal hipnotycznym głosem:

– Faktem jest, że z części możemy uzyskać tylko wyobrażenie całości, nie zaś gruntowną wiedzę czy odpowiednie zrozumienie. Tylko poprzez przystawianie i porównywanie pewnych części całości możemy zauważyć ich podobieństwo lub odmienność i otrzymać poprawne wnioski.

Czy właśnie to robił tato w pierwszej części *Księgi tajemnic*? Zapisał w niej tyle fragmentów z różnych źródeł, składając je razem, aby lepiej zrozumieć wiedzę ukrytą w niebiosach. Ziewnęła, czując nagłą falę otepiającej senności, a potem otrząsnęła się.

– Kiedy i w jaki sposób lud znany teraz jako Dariianie po raz pierwszy dotarł do Aosty, nie zajmuje mnie. Zacznę za to w chwili, gdy po raz pierwszy Dariianie opuścili Aostę, przekraczając morze ku wyspie Nakrii.

Sapientia chrapała cicho. Zasnęła jak dwie inne służące; reszta zgromadzona wokół również drzemała. Liath przeraziła się nagle, że jeśli natychmiast nie wstanie i nie wyjdzie, również zaśnie.

Z drugiego końca sali odezwał się najmłodszy kleryk:

– Proszę, ojczec Hugonie, przeczytajcie o oblężeniu Kartiako.

Zamieszanie odwróciło od niej uwagę. Wymknęła się, ale źle skreśliła i natychmiast się zgubiła. Pałac w Augensburgu miał dwie główne sale, patio, dziedzińce, baraki, pokoje gościnne, komnaty dla króla i diuka Avarii, skarbiec oraz z tuzin chat dla służby. Wszystko zbudowano z drewna z pobliskiego lasu. Tylko łaźnie i kaplica były kamienne.

Liath zostawiła sakwy w barakach, ale Sapientia trzymała ją tak krótko, że nie miała czasu zapamiętać rozkładu pałacu. Wróciła. Wszyscy w sali zasnęli, a Hugona nigdzie nie było. Wyszła i spróbowała znaleźć baraki, przechodząc przez boczny korytarz, ale wyprowadził ją na mały dziedziniec, gdzie stary ogrodnik drzemał obok pokrytej szronem fontanny. Nie było w niej wody.

Otworzyła się przed nią sala posłuchań. Na ścianach błyszcząły freski, plamy koloru w ciemnej komnacie. Sufit podtrzymywały potężne belki. W sali panowała apatia. Dwóch służących z miotłami w dłoniach chrapało na stopniach prowadzących na podwyższenie, gdzie stał królewski tron, pięknie rzeźbiony: lwie łapy były nogami, orle skrzydła oparciem, a poręcze złowrogimi smoczymi łapami. Kobieta zasnęła przy kominku, naprawiając poduszkę; uklęła się igłą, kropla krwi zastygła na skórze.

Ogarnięta niepokojem, Liath wspięła się spiralnymi schodami prowadzącymi do długiego korytarza. Zbudowany ponad północnym skrzydłem, korytarz zarezerwowany był dla króla,

jego rodziny i posłańców; zapewniał przejście między jednym skrzydłem a drugim bez pokonywania komnat poniżej czy zabłoconych dziedzińców. Pośpieszyła wąskim korytarzem, nie szerszym niż jej rozłożone ramiona. Przypomniła sobie: baraki leżały na północnowschodnim krańcu kompleksu pałacowego.

Zżerał ją lęk, że coś ją śledzi. Poczula oddech na karku, odwróciła się. Koniec korytarza, z którego nadeszła, był pogrążony w ciemności, światło wpadało tylko przez szpary w okiennicach. Schody zatrzeszczały.

– Liath – powiedział głosem stłumionym przez odległość i wąskie ściany. – Dlaczego jeszcze nie śpisz?

Rzuciła się do ucieczki.

Przebiegła korytarz, poślizgnęła się, niemal upadła na drugich schodach, obita sobie kolano, wykręciła palec, łapiąc za gładką poręcz i gnając w dół. W pałacu było ciemno, wszystkie okiennice zamknięto dla ochrony przed chłodem. Większość szlachty wyruszyła na polowanie. W każdej komnacie, do której wpadła, w każdym korytarzu, którym uciekała, spali ludzie.

Nawet w barakach żołnierze spali na siennikach, chrapiąc. Jej przyjaciel Thiadbold i jego towarzysz zasnęli na krzesłach nad szachownicą i kubkami jabłecznika. Za nimi stała drabina prowadząca na strych, gdzie sypiała wraz z innymi Orłami. Ale ponieważ przez ściany sączyło się zimno, a pojedynczy ogień właśnie zgasł, nie mogła zmusić się, by wejść na górę. Gdyby tak zrobiła, znalazłaby się w pułapce.

Podbiegła do Thiadbolda. Jego Lwia tunika zmarszczyła się dziwnie, poddając się jego ciału wykręconemu na krześle i prawej ręce przerzuconej nad oparciem. Jego głowa zwisała, usta miał otwarte. Potrząsnęła nim.

– Proszę, błagam, przyjacielu. Thiadbold! Obudź się!

– Nic, co zrobisz, ich nie obudzi, Liath – odezwał się za nią. Stał w drzwiach jakieś dwadzieścia kroków od niej. Trzymał w dłoni lampę. Światło go ozłacało jak złoto obraz albo łaska królewska cnotliwego człowieka.

– Jestem na ciebie bardzo zły, Liath – dodał łagodnie, nie podnosząc głosu. – Okłamałaś mnie. – Wydawał się bardziej zraniony niż zły. – Powiedziałaś, że nie wiesz nic o czarach, a jednak... – Podniósł wolno dłoń w geście zaskoczenia. – ...Co mam teraz myśleć? Strzały wybuchające płomieniem w powietrzu. Nie śpisz wraz z resztą.

– Dlaczego chcesz zabić Theophanu? – spytała.

– Nie chcę zabić Theophanu – odparł, rozczarowany, że mogła go o coś takiego posądzić. Dał krok.

Na końcu baraku były drzwi. Ale jeśli ona teraz wybiegnie, on dostanie książkę. Na pewno to właśnie tego woluminu cały czas pożądał.

– Liath! Stój!

Nie zatrzymała się, ale gdy dotarła do drabiny, zaczęła się wspinać, dysząc, z sercem tak

zmrożonym strachem, jakby jakaś wielka bestia schwyciła je w swe szpony. Podciągnąwszy się na górę, odwróciła się na kolanach, schwyciła drabinę i pociągnęła.

I została szarpnięta, niemal zrzucona w dół, kiedy Hugo złapał za szczeble i przytrzymał drabinę w dole.

– Nie walcz ze mną, Liath. Wiesz, że to mnie złości.

I tak z nim walczyła, ale choć była silna, on, zaparty na podłodze, miał przewagę. To była przegrana bitwa. To od początku była przegrana bitwa. Kiedy złapał w końcu drabinę, postawił ją na ziemi i wszedł na pierwszy szczebel, wszystko przestało się liczyć. Otwór w podłodze był zbyt mały, aby mogła zepchnąć drabinę.

Poczołgała się w tył, szorując dłońmi o nie heblowane deski, wstała i uderzyła głową o niski sufit. Jej stopy zaplątały się w sprzęt, ale знаła swoje rzeczy, znała je tak dobrze jak dotyk dłoni taty, gdy budziła się w nocy z koszmaru. Złapała skórzane sakwy, przerzuciła je przez ramię. Kołczan uderzył o belkę, potknęła się.

– Liath. – Nie miał lampy, ale nie potrzebowała lampy, by zobaczyć jego cień wynurzający się z dziury w podłodze.

Pochylona, z jękiem wciągając powietrze, dobyte krótkiego miecza.

– Teraz to rozwiążemy. A ty odłóżysz miecz, moja piękna. – Dał dwa kroki, wyciągnął rękę. – Nie wątpię, że możesz mnie przebić, ale co powiesz, kiedy mnie znajdą martwego? Zostaniesz skazana za morderstwo i stracona. Tego pragniesz? Daj mi miecz, Liath.

– Powiem, że użyłeś czarów, by wszystkich uspić i próbowałeś mnie zgwałcić.

Roześmiał się.

– A dlaczego mieliby ci uwierzyć? Wyobrażasz sobie, co powiedziałaaby moja matka, gdyby usłyszała taką historię? Zwykły Orzeł oskarżający syna margrabiny?

Theophanu by jej uwierzyła, ale Theophanu nakazała jej milczeć o czarach. Theophanu miała własne plany, a dla księżniczki Orzeł był po prostu kolejnym służącym.

– Wiesz, że mam rację – dodał przekonująco. – Odłóż miecz.

– Odejdź ode mnie – wyszeptwała. – Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

– Taki ci dałem wybór po śmierci ojca: bądź moja lub martwa. Co wybierasz? – Zatrzymał się, poruszył, mocując z czymś niewidzialnym. Chwilę później zdjął skobel i otworzył okiennicę. Ponure światło zimowego dnia wpadło na strych, oślepiając ją. Kiedy skończyła mrugać i musiała w końcu na niego spojrzeć, uśmiechnął się. Za nim kłębiło się zimne powietrze, lodowaty wiatr wpuszczony tutaj, do jej więzienia, bo więzieniem było dla niej każde miejsce, w którym ją z nim zamykano. Zimno było kajdanami, skuwało ją, wijąc się wokół, mroząc jej serce.

– Cicho, moja piękna – wyszeptał delikatnie. – Nie bój się mnie. Nie skrzywdzę cię. W klasztorze w Firseburgu znalazłem księgę, zamkniętą w skrzyni, którą jedynie opat może otwierać. Wiele się z niej nauczyłem, jak widzisz. „Lawenda na sen”. Jak podpaliłaś te strzały? Wiesz chociaż? Mogę cię nauczyć, co to znaczy mieć moc, wiedzieć, co leży w tobie

i czego możesz użyć. Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze. Dla ciebie i dla mnie.

Rękojeść miecza była jak lód. Przeszedł przez niski strych, schylając głowę i wyjął miecz z jej bezwładnej dłoni. Jego dotyk był ciepły, ale oczy zimne.

W końcu rozpoznała ten szczególny głęboki ton w jego głosie; podczas zimy w Spokoju Serca nauczyła się dobrze, co zapowiadał.

– Nie mogę już dłużej czekać, Liath. Nie ma tu żadnych świadków.

– Dam ci książkę – wyszeptała, głos uwiązł jej w krtani. O Pani, błagała. Ofiarowywała jedyną i najcenniejszą rzecz, jaka jej została, ale utrata jej lepsza była niż to, co chciał zrobić.

Niecierpliwie pokręcił głową.

– Już mi dałaś książkę i podporządkowałaś mi się zeszłej wiosny, zanim Wilkun cię ode mnie ukradł. Długo czekałem, by dostać to z powrotem.

Była zbyt otumaniona, by opierać się, kiedy delikatnie zdjął z niej łuk i sakwy, kiedy położył ją na twardej drewnianej podłodze. Ale kiedy ją pocałował, kiedy jego dłoń powędrowała do jej pasa, rozluźniła go; mimo przerażenia i otepiałej słabości przypomniawszy sobie jedną rzecz.

Drewno płonie.

6.

Droga z powrotem na dwór królewski okazała się tak straszna i pełna trudności, że Hanna zaczęła się zastanawiać, czy Wilkun nie dotarł tam przed nią z wiadomościami o biskupinie Antonii. Oczywiście nigdy nie widziała pałacu w Augensburgu, ale dwaj z trzech Lwów, którzy jej zostali, spalili tam dwa lata temu podczas służby u króla.

Teraz, kiedy niskie chmury wisiały nad wzgórzami pokrytymi cienką warstwą śniegu, widzieli w oddali wioskę i olbrzymi kompleks pałacowy w Augensburgu.

– Dużo dymu – powiedział Ingo, najstarszy z Lwów. – Nawet jak na Łuczywo.

– Na Krew! – zaklął Leo. – Pożar!

Hanna szła, by oszczędzić konia. Teraz go dosiadła i zostawiła Lwy za sobą. Szybko jednak zwolniła, trafiając na zator: ludzie wybiegali z Augensburga, inni – leśnicy i rolnicy – spieszyli do zamku, by pomóc królowi w walce z nieubłaganym żywiołem. Na ile mogli, robili dla niej przejście w ścisku, ale pomimo tego zmuszona była osadzić konia tuż przed niższymi, zewnętrznymi murami. Patrzyła ponad rzeką i wioską po lewej na pałac, wzniesiony na pagórku, chroniony przez własny wewnętrzny mur z jednej a strome zbocze z drugiej strony. Jej koń położył uszy, próbując się cofnąć. Wdychała żrący swąd pożaru.

Hanna widywała wcześniej pożary, ale nigdy nie widziała czegoś podobnego.

Ogień ryczał. Gorący wiatr niesiony od płomieni przypiekał ją nawet tutaj, choć dzień był zimny, a cienka warstwa śniegu leżała na lasach i polach poza miastem. Połowa pałacu płonęła, ściany ognia wznosiły się ku niebu jak drugi mur, odbicie drewnianej palisady.

Popiół spadał na kobiety, które w mieście ładowały swój dobytek na wozy, na dzieci wynoszące niemowlęta z domów, na mężczyzn i kobiety niosących wiadra wody ku płonącemu pałacowi. Wciągnęła popiół do gardła; zakrztusiła się nim.

– Za mało wody! – zawołał Folquin, najszybszy biegacz pośród Lwów. Nadbiegł z tyłu, dysząc ciężko i wsparł się na oszczepie, kaszląc. – Nigdy tego nie wygaszą! Módlmy się, aby nie przeniół się na dachy miasta!

Hanna zsiadła i rzuciła wodze w ręce Lwa.

– Niech młody Stefan weźmie konia i go pilnuje – powiedziała. – A ty, Leo i Ingo za mną. Musimy pomóc tym, którym zdołamy.

– Modłę się, żeby króla nie było w środku... – zaczął, ale spojrzała na niego i zamknęła się, kreśląc Krąg na piersi.

Pobiegła pod górę, szybko wyprzedzając ludzi z wiadrami. Minęła bezładną grupę zmierzającą w dół, niektórych z pustymi wiadrami, innych z wózkami wyładowanymi meblami, książkami, skrzyniami i wszystkim, co udało się ocalić z ognia. Kleryczka przyciskała do piersi wiekowy pergaminowy wolumin; jej twarz poplamiona była popiołem, przez rozdarcie w habicie widać było krwawiącą ranę na prawym ramieniu. Podążali za nią inni klerycy, a każdy niósł coś cennego. Jeden mężczyzna przyciskał do piersi nieoprawione pergaminowe stronicy, ledwie je wszystkie obejmując. Kobieta zrobiła z habitu nosidełko, pełne piór, kałamarzy, podstawek, ryłców i tabliczek wymieszanych razem, atrament przeciekał przez złocisty materiał jej bogatych szat. Najmłodszy potykał się z tyłu, oszołomiony, niosąc wspaniałe orle pióro i maleńki kałamarz z czerwonym atramentem, który wyciekając, plamił mu palce. Płakało dziecko. Służący zataczali się pod ciężarem pościeli wynoszonej z płomieni.

– Przejdźcie! – krzyknął mężczyzna w Lwim kubraku. – Przejdźcie dla księżniczki!

Hanna odsunęła się, kiedy przenoszono obok księżniczkę Sapientię spoczywającą na polowym łożku. Wyglądała na półprzytomną, ale mijając Hannę, jęknęła i zacisnęła obie dłonie na wydatnym brzuchu. Za nią, szlochając albo gdacząc jak przerażone kury, służący dźwigali skrzynie, nie zwinięte gobeliny, nawet wspaniałe krzesło rzeźbione w lwy, smoki i orle skrzydła, w którym Hanna rozpoznała królewski tron.

U bram pałacu ponurzy strażnicy odpędzali ciekawskich i wpuszczali tylko ludzi niosących wodę, jakby taki drobiazg mógł powstrzymać piekło. Wiatr od ognia palił jej skórę, a oczy piekły od gorąca i płonącego popiołu.

– Z drogi! – krzyczała, przepychając się ku strażnikom. – Gdzie jest król?

– Na polowaniu, Bogu dzięki! – odwrzasnął najbliższy strażnik. Nie miał hełmu i części ucha, ale była to dawna rana. Jego rude włosy były brudne od popiołu. – W środku było niewiele, Pan się zlitował, ale na pewno kilku zginęło.

– Mogę coś zrobić? – zawołała. Musiała krzyczeć, żeby usłyszano ją mimo ryku płomieni. Już zachrypla od gorąca i popiołu.

– Nie, przyjaciółko. Tego wroga nie pokonamy. Ale! – wykrzyknął z ulgą. – Jedna z twoich towarzyszek oszalała. Możesz ją uspokoić?

Hanna przepchnęła się za niego i zobaczyła około dwudziestu ludzi: garść w Lwich kubrakach, służących i jednego mężczyznę w ubraniu szlachcica, który kierował resztą. Miał złote włosy i kiedy patrzyła, pospieszył na pomoc dwóm postaciom wychodzącym z dymu: ciemnowłosa młoda kobieta w Orlim płaszczu oblamowanym szkarłatem pół prowadziła, pół ciągnęła mężczyznę w brudnym i nadpalonym Lwim kubraku.

– Liath! – Hanna skoczyła ku ogniu.

Zabrzmiało nagle „pop”, a po nim niski, grmiący huk zasysanego powietrza, podobny tysiącu oddechom. Ludzie wycofywali się z dziedzińca, krzycząc, kiedy dach na tyłach pałacu zapadł się w wielkim, rozkwitającym wirze płomieni, dymu i kłującego, rozgrzanego do czerwoności popiołu. Czterech mężczyzn chwyciło dyszel wozu, wyładowanego po brzegi skrzyniami okutymi metalem: skarbiec królewski.

– Liath! – krzyknął złotowłosy szlachcic, kiedy Liath odwróciła się i zniknęła w gotującym dymie, wracając do płonącego pałacu. Skoczył za nią. Trzech żołnierzy rzuciło się w przód, schwyciło go i odciągnęło od szalejących płomieni.

– Liath! – wrzasnęła Hanna, biegnąc. Niezgrabnie odskoczyła w bok, aby uniknąć rozjechania przez wóz, który nabierał szybkości, ciągnięty przez mężczyznę u dyszla. Jedna mała skrzynia podskoczyła i spadła, otwierając się u stóp Hanny i siejąc w błoto delikatne inkrustowane klamry i sprzączki.

– Panie! Nic nie możecie zrobić! Musicie odejść, panie! – krzyczały Lwy do szlachcica, a on przeklął ich raz, bez przekonania, i zaczął płakać.

O Pani. Zatrzymała się z zaskoczenia, a ogień spopielał drewniane ściany pałacu i piekł jej usta. To był Hugo. Padł na kolana, jakby zamierzał się modlić, ale dopiero gdy Lwy go podniosły, dał się namówić na odprowadzenie w bezpieczne miejsce, a ogień pożarł spiczasty dach, syknął, przeskoczył przestrzeń między budynkami i rozpałił się na dachu czwartego skrzydła pałacu, dotąd nietkniętego. Wszystko spłonie. Wszystko.

– Pani, wybac mi – powiedział Hugo, gapiąc się na płomienie. – Wybac mi moją zarozumiałą wiarę, że opanowałem sztuki, które mi zesłałaś. Wybac mi te niewinne dusze, które niepotrzebnie zginęły. – Spojrzał w górę, zobaczył Hannę i zamrugał, przez moment wydawało się, że ją poznawał.

Prawie zatoczyła się pod jego spojrzeniem. Zapomniała już, jaki był wspaniały.

A potem potrzęsął głową, by ją odprawić i przemówił do siebie, jakby chciał przekonać samego siebie:

– Gdybym tylko wiedział więcej, nie doszłoby do tego. Ale nie mogę pozwolić jej odejść...

– Chodźcie, panie – powiedział służący, ale Hugo go odepchnął.

– Ojczy Hugonie! – Nadbiegł ktoś nowy; był przerażony bliskością ognia. – Księżniczka

Sapientia was wzywa, panie.

Zawahał się, rozdarty. Wstał, ale nie mógł się zmusić do podążenia za służącym.

– Ma bóle...

Zaciskając dłoń, spoglądał na szalejący pożar, przeklął szeptem i ostatni raz spoglądając na Hannę – pytająco? – odwrócił się i poszedł za sługą.

„Liath weszła w to piekło”.

– Nie trać głowy, Hanno – wymamrotała do siebie, przypominając sobie pierwsze słowa Lwa: „Twoja towarzyszka oszalała”. Szczelnie owinęła płaszczem usta i nos i weszła w płomienie.

– Wracaj! – krzyczały te Lwy, które zostały. – Orle!

Jej skóra płonęła, choć płomienie jej nie tknęły. Weszła do wielkiej sali, pełnej dymu i fruwającego popiołu. Nie widziała nic, nikogo, żadnej postaci majaczącej w dymie. Grube belki podtrzymujące strop żarzyły się, ale jeszcze nie paliły. Ściana skrzypnęła, pękła, zajęła ogniem.

Usłyszała krzyk. Liath.

– Na pomoc! Na litość boską, obudź się, człowieku!

Hanna nie mogła nabrać tchu, by dodać sobie odwagi. Ale i tak pobiegła w płomienie. Popiół padał jej na głowę. Ogień grzmiał i podnosił się wokół niby zgiełk bitewny. Dym wypalał oczy, a powietrze było żrące.

Znalazła Liath w korytarzu, wlokącą mężczyznę tak wielkiego i obciążonego zbroją, że cud tylko sprawił, iż Liath dociągnęła go tak daleko.

– Hanna. – Niesamowite, że mogła mówić. – O Boże, Hanno, pomóż mi go wynieść. Są jeszcze dwaj, ale dach się zwałił... – Płakała, choć jak mogła płakać w gorączce, która pożerała wszelką wilgoć?

Hanna nie myślała, złapała Lwa za nogi i razem powlokły go korytarzem, a ogień się zbliżał. Dotarły do połowy sali, gdy belki zaczęły się walić, a tylne ściany trzaskać i znikać.

Tuż przed drzwiami czekało trzech wiernych Lwów, razem z rudowłosym; Ingo i Leo przejęli swego bezwładnego towarzysza, a Liath odwróciła się i znów ruszyła do pałacu.

– Zatrzymajcie ją! – krzyknęła Hanna. Folquin otoczył ramionami młodą Orlicę i podniósł, mimo że Liath kopała, błagała i zanosiła się płaczem, próbując się wyrwać, ale on był barczystym młodzieńcem wychowanym na farmie, silnym jak wół.

– Liath! – wrzasnęła Hanna.

Ale nie miała czasu się z nią spierać. Wycofali się pospiesznie, kiedy zapadły się belki stropowe. Brama, nadal otwarta, była pusta, zatrzymali się za nią, by spojrzeć. Wszyscy uciekli w bezpieczne miejsce. Mieszczanie nieśli wiadra z wodą do domów najbliższych pałacu, oblewając dachy, aby płonący popiół nie zaczął nowego pożaru. Musieli ocalić targowisko.

Usłyszała róg na wietrze, słaby kontrapunkt ryku płomieni.

– Pozwólcie mi wrócić! Pozwólcie mi wrócić! Zostało jeszcze dwóch... co najmniej dwóch... – Liath walczyła i wrywała się, próbowała nawet ugryźć biednego Folquina, którego skórzana zbroja wytrzymała już gorsze ataki.

– Cicho, przyjaciółko – powiedział ostro rudy Lew. – Ten nie żyje, choć dzielnie próbowałaś go ratować. Nie wątpię, że reszta już zginęła. Nie ma sensu narażać życia, by wydobyć ich ciała. Niech Bóg się nad nimi zlituje i niech w pokoju dotrą do Komnaty Światła. – Skłonił głowę.

Folquin delikatnie postawił Liath na ziemi, spojrział na Hannę i na jej skinięcie uwolnił. Liath padła na kolana i siedziała, drżąc, kiedy pałac płonął, a drobny popiół sypał się na nich jak śnieg. Mimo wypraw w szalejący ogień, Liath nie miała na sobie zadrapań czy oparzeń.

– Wciąż jesteśmy za blisko – powiedział Ingo.

Na drodze wszczęło się zamieszanie. Hanna odwróciła się i zobaczyła Hugona idącego w ich stronę. Zamarł, widząc Liath. Jego twarz tak się zmieniła, że Hanna poczuła mróz w kościach, a jednocześnie chciała płakać ze współczucia. Ale nic nie powiedział. Tylko patrzył. To chyba było gorsze. A potem, krzywiąc się z bólu w ramieniu, pokuśtykał drogą. Otoczyli go służący, mieszczanie i klerycy. Ktoś przyniósł krzesło, by go nieść, ale odpędził go. Róg myśliwski zabrzmiał bliżej, wysoki i władczy.

Liath wybuchnęła płaczem i wstrząsana spazmami ledwo mogła oddychać. Hanna kazała swoim Lwom cofnąć się, pomóc innym zebrać wszystko, co mogło zostać uratowane bez zbytniego zbliżania się do ognia: rzeczy, które spadły z wozów albo zostały zrzucone z murów; tarcze, miecze, oszczepy, odzienie, sakwy, rozrzuconą biżuterię, zbrązowiałą i napęczniałą książkę, dwa rzeźbione stołki, sandał, tacę z figurami szachowymi z kości słoniowej. Ogień płonął, ale płomienie zdawały się już mniej gwałtowne; albo może przywykła do palenia na twarzy. Jej dłonie były czerwone, usta tak suche, że po oblizaniu krwawiły.

– Liath – przykucnęła przy przyjaciółce. – Liath, to ja. Hanna. Musisz przestać. Liath! Nic nie mogłaś zrobić, by ich uratować. Próbowałaś...

– O Pani. Hanno! Hanno! Dlaczego nie było cię tu wcześniej? Dlaczego nie przyszłaś? O Boże. O Boże. Wszystko straciłam. Gdzie on jest? Błagam, zabierz mnie od niego. Nie rozumiesz. Ja to zrobiłam. Ja to spowodowałam. Dlaczego tato mnie okłamał? – I dalej tak, szloch zamiast słów, wszystko niezrozumiałe.

Róg zagrał tuż obok i Hanna spojrzała przez ramię, by zobaczyć, jak wspaniałe orszak królewskiego polowania wynurza się z lasu na zachodzie, oświetlany od tyłu zachodzącym słońcem.

W Dhearc, najkrótszy dzień roku, światło zwyciężało w końcu noc. Zapalano świece, by pomóc w tej walce. Ogień zaproszyła zapewne jakaś świeca, która upadła; cóż za gorzka ironia. Ale Hanna mogła tylko powstrzymywać łzy, czując gorąco na policzkach, gdy przytulała Liath i starała się opanować jej drzenie, zawrośnięcie i paplaninę. Ale Liath ciągle

gadała o ogniu, gwałcie, lodzie, mocy i śnie, jakby naprawdę postradała zmysły.

– Liath – powiedziała Hanna ostro. – Musisz przestać! Król nadjeżdża.

– Król – wyszeptała Liath. Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Walczyła zacieklej niż w uścisku Folquina, ale w końcu pokonała atak hysterii i udało jej się zapanować nad sobą. – Zostań przy mnie, Hanno. Nie odchodź.

– Nie zamierzam. – Hanna spojrzała w górę, czując nowy zapach w powietrzu. – Pada? – Ale na niebie było tylko kilka chmur. – Popatrz na pożar. Chyba całe drewno się spaliło. – Rzeczywiście, ogień zaczął przygasać, choć nadal było zbyt gorąco, by podejść bliżej.

– Nie zostawiaj mnie, Hanno – powtórzyła Liath. – Nigdy nie zostawiaj mnie z nim samej, błagam.

– O Pani – mruknęła Hanna, nagle przerażona. – On nie...

– Nie. – Jej głos zamienił się w ledwie słyszalny szept. Aż do bólu ścisnęła dłonie Hanny.

– Nie, nie miał czasu, żeby... – Jej dłonie zadrżały, całe ciało wstrząsnęło się na jakieś straszliwe wspomnienie. – Wezwałam, sięgnęłam po ogień... – Znow się zatrzęsła, nie mogła mówić. Zerwał się wiatr, podsycając płomienie. Zbliżał się orszak królewski. Niewielka grupa wyruszyła mu na spotkanie, by przekazać okropną wieść, choć z tej odległości król mógł się domyślić najgorszego. Powietrze cuchnęło spalenizną.

– Hanno, nie porzucaj mnie – jęknęła Liath. – Potrzebuję cię. – Oparła czoło na ramieniu Hanny. Jej włosy były pokryte sadzą, tak jak ręce, dłonie i każda część ciała. Była tak brudna, że na wszystkim, czego dotknęła, zostawiała lepką warstewkę sadzy. – Nie wiedziałam... nie wiedziałam, przed czym tato mnie chronił.

– A przed czym cię chronił? – spytała zdziwiona Hanna.

Liath podniosła wzrok, a rozpacz na jej twarzy rozdarła Hannie serce.

– Przede mną samą.

7.

Siostra Amabilia ocaliła *Żywot świętej Radegundis*.

Ta pojedyncza myśl pojawiała się tak często w głowie Rosvity, że trudno jej było uczestniczyć w radzie. Brat Fortunatus siedział u jej stóp, wciąż ściskając luźne kartki jej *Historii*, którą złapał zamiast kartularza, nad którym pracował. Podziękowała mu z całego serca, jak na to zasługiwał, biedny dzieciak. Ale choć utrata *Historii* byłaby ciosem, mogłaby ją spisać na nowo z pamięci.

Siostra Amabilia ocaliła *Żywot*. Gdyby spłonął, nie można by go odtworzyć. Brat Fidelis umarł. Prócz przepisanej przez Amabilię części, którą też uratowała z pożaru, została tylko ta jedna kompletna kopia.

Rosvite mdliło od myślenia o tym. A gdyby stracili *Żywot*? Gdyby poszedł z dymem, aby przyłączyć się do swego twórcy Fidelisa, w spokoju odpoczywającego w Komnacie Światła?

– Ale nie poszedł – mruknęła.

Klerycy spojrzeli na nią, zdziwieni, że odezwała się, kiedy król mówił. Uśmiechnęła się do nich krzywo i gestem nakazała ciszę, kiedy Amabilia otwierała usta, by odpowiedzieć.

– ...wysiłkom moich wiernych kleryków, którzy ocalili mój skarb i wiele dworskiego wyposażenia, a szczególnie ojcu Hugonowi. Został do końca, dopóki wszystko, co można było uratować, nie zostało wyniesione. Ryzykował własnym życiem, nie myśląc o sobie. Gdzie jest ojciec Hugo?

– Ciągle z księżniczką Sapientią, Wasza Wysokość – odpowiedział Helmut Villam.

Siedzieli lub stali, gdzie się tylko dało, w sali domu zamożnego kupca. Zeszłej nocy spali na polach i w lesie, w stodołach, stogach i we wszelkich miejscach dających schronienie, w bezpiecznej odległości od ognia. Rosvita szczęśliwa była, że miała słomę za łóżko; większość dworzan i mieszczan wypłoszonych z domów cieszyła się, że znalazła jakikolwiek dach nad głową. Przez pół nocy padał deszcz. Teraz, o poranku, kiedy pałac jeszcze dymił, a deszcz nadal kropił, Henryk uznał, że można już wrócić do miasta i zwołać radę.

Burchard, diuk Avarii i jego diuszesa, Ida z Rowencji, siedzieli obok króla. Burchard wyglądał jak człowiek, który otarł się o śmierć, ale jeszcze tego nie pojął; Ida była poważna, zmęczona i przedwcześnie postarzała, jak każda kobieta, która za szybko straciła dwóch najstarszych synów.

Sam król też wyglądał na zmęczonego. Choć jego namiot ocalono z pożaru, nie spędził nocy spokojnie. Położył się ostatni, bo siedział przy łóżku ciężarnej córki i pierwszy wstał, idąc z kilkoma towarzyszami obejrzeć ruiny pałacu.

Wciąż były zbyt gorące, aby w nie wejść. Ocalało kilka kolumn, resztki dachu chwiały się, gotowe w każdej chwili runąć, a kamienna kaplica była osmalona, ale nietknięta. Wszystkie wartościowe przedmioty: relikwiarz zawierający proch z kości biodrowej świętej Pauliny, złote naczynia na wodę święconą, wyszywany ornat, ocalono.

– Jaka była przyczyna? – zapytał król.

Zarządca pałacu wyszedł z tłumu. Najwyraźniej spał w ubraniu i sam narażał życie w pożarze, bo rękawy miał porozrywane i poplamione sadzą, a kaptur peleryny nadpalony i czarny.

– Nikt nie wie, Wasza Wysokość. Wszystkich świec Łuczywa pilnie doglądano. Zawsze ustawiamy je w glinianych misach, aby nie zaprószyły ognia, jeśli się przewrócą. Niestety, Lwy zeznały, że niektórzy spośród nich zasnęli podczas gry w barakach. Być może przewrócili lampę.

Henryk westchnął.

– Nie widzę powodu, aby kogoś obwiniać, nie kiedy dwunastu ludzi zginęło, niech spoczywają w spokoju. Uznajmy to za znak, że lenimy się w obliczu niebezpieczeństwa, podczas gdy Gent nadal pozostaje w rękach Eików. Rozrywki odwracają naszą uwagę od obowiązków. Trzeba w przyszłości bardziej uważać.

Siostra Amabilia ocalała z pożaru *Żywot świętej Radegundis*.

Książka leżała na kolanach Rosvity, otulona w koc z jagnięcej wełny, najmniejszą rzecz, jaką Rosvita znalazła. Zeszłej nocy spała z księgą przyciśniętą do piersi, choć wywołało to dziwne sny, a dzisiaj nie wypuszczała jej z objęć.

Czy to była niestosowna obsesja? Być może najlepiej byłoby oddać oryginał do klasztoru w Quedlinhamie i zatrzymać tylko kopię siostry Amabilii, aby odpędzić od siebie grzech pożądliwości, ten olbrzymi głód wiedzy, która umarła razem z bratem Fidelisem; jego wiedzy, której część została w *Żywocie* przez niego spisany.

Henryk nagle pochylił się i rozpromienił.

– Oto ojciec Hugo. Jakie wieści?

Hugo klęknął przed królem. Był brudny i potargany. Prawdopodobnie wcale nie spał. Jednak brak dbałości o wygląd w takich okolicznościach dobrze o nim świadczył. On jako jedyny ze szlachty został przy pożarze; dowodził akcją ratunkową; upewnił się, że wyprowadzono z pałacu wszystkich, których się dało.

Być może margrabina Judith, wysyłająca Sapientię na wędrowną, dobrze wybrała, nakazując jej udać się najpierw do młodego opata Firseburgu, swego bękartu. Biedna Sapientia, której imię znaczyło „mądrość”, nigdy tej cechy w nadmiarze nie posiadała; być może, mając takie imię, skazana została na uczuciowość, by odróżnić się od swej mądrej młodszej siostry. Ale w przypadku Hugona mądrze wybrała.

Prawdą było to, co teraz powtarzano na dworze: Hugo był ozdobą „mądrości”. Nawet w takim stanie.

– Księżniczka Sapientia śpi, Wasza Wysokość – powiedział głosem spokojnym i pięknym jak zwykle. – Bóle minęły, ale nadal źle się czuje. Za waszym pozwoleniem wyślę wiadomość do matki. Jej lekarz...

– Tak, poznałem lekarza margrabiny Judith. – Król wskazał Villama. – Ten człowiek ocalał życie mego towarzysza Villama, choć nie ocalał jego ręki. Doskonale, poślijcie po nią albo po Aretuzańczyka, jeśli obowiązki zatrzymają ją w marchii.

– Jakie obowiązki? – wyszeptła siostra Odila.

– Daj spokój – wymamrotał Fortunatus. – Nie przypominasz sobie? Judith wróciła do Olsatii, ponieważ chce wyjść za mąż.

– Znowu? – pisnął Konstantyn.

– Cicho – syknęła Amabilia, choć chwilę później sama nie zdołała się opanować. – Sądziłam, że chciała wyprawić wesele na dworze królewskim.

– Owszem – powiedział zadowolony z siebie Fortunatus, pewien swych źródeł informacji i zadowolony, że wiedział coś, o czym Amabilia nie miała pojęcia. – Ale pan młody nigdy się nie pokazał. Jego rodzina podawała dziwne wymówki, więc margrabina ruszyła, aby się osobiście przekonać, co się dzieje.

– Cicho, dzieci – powiedziała Rosvita.

– ...Sapientia bardzo się przywiązała do swego Orła – mówił Hugo. – I obawiam się, że odesłanie kobiety bardzo by księżniczkę zdenerwowało, szczególnie w jej stanie. Jeśli można znaleźć innego Orła... – Uśmiechnął się grzecznie.

Orlica króla, Hathui, pochylała się.

– Wasza Wysokość, jeszcze nie wysłuchaliście raportu Orła, który przybył wczoraj.

Król przytaknął. Hathui dała znak i młoda kobieta z końca sali podeszła i klękła przed królem.

– Złóż raport – powiedziała Hathui.

Młoda Orlica z szacunkiem schyliła głowę.

– Wasza Wysokość, jestem Hanna, córka Birty i Hansala ze Spokoju Serca.

Spokoju Serca! Rosvita wpatrywała się w młodą kobietę, ale nie dostrzegła podobieństwa do nikogo zapamiętanego z dzieciństwa; tyle lat minęło, odkąd odwiedziła dom i ojcowski zamek. Być może jej brat Ivar znał tę rodzinę, choć było to raczej niemożliwe, chyba, że hrabia Harl osobiście polecił dziewczynę do Orłów.

– Późną wiosną po bitwie pod Kassel wysłaliście mnie z Wilkunem jako eskortę biskupiny Antonii.

– Pamiętam.

– Przywożę złe wieści, Wasza Wysokość. Podczas przeprawy przez góry Alfar burza uderzyła w klasztor świętego Serwicusza, gdzie spędzaliśmy noc. – Opowiedziała o kamiennej lawinie i zniszczeniu klasztornej infirmerii. – Wilkun wierzy, że to nie była zwykła burza. Wierzy, że Antonia i jej kleryk uciekli.

– Nie znalazł ciał?

– Nikt nie znalazł, Wasza Wysokość. Osuwisko było zbyt niestabilne, by je przeszukać.

– Gdzie jest teraz Wilkun?

– Pojechał do Darre, aby oskarżyć biskupinę Antonię przed skoposą. Nie wierzy, że Antonia nie żyje, Wasza Wysokość.

– Już to mówiłaś.

Spojrzała prosto na niego.

– I powtórzę to jeszcze raz, Wasza Wysokość, i jeszcze raz, aż mi uwierzycie.

Uśmiechnął się nagle, pierwszym uśmiechem, jaki Rosvita widziała od wczorajszego powrotu z polowaniem prosto w chaos okropnego pożaru.

– Wierzysz, że Wilkun ma rację?

Zawahala się, przygryzła wargę i podjęła wątek.

– Ja sama byłam tamtej nocy świadkiem takich wydarzeń... Widziałam w burzy rzeczy, Wasza Wysokość, stwory, których nigdy wcześniej nie oglądałam i mam nadzieję już nigdy nie oglądać! To nie były stworzenia, które chodzą po ziemi, chyba, że się je wezwie z... innych, mrocznych miejsc.

Pochylił się. Zaciekawiała go.

– Czary?

– A cóż innego? Widzieliśmy *guivre*'a, którego tylko czarownik potrafi schwytać i kontrolować. Ale to nawet nie były stwory z krwi i kości. Wilkun nazwał je galla.

Wszyscy w sali wzdrygnęli się odruchowo, gdy wymówiła to słowo. Rosvita nigdy nie słyszała o czymś takim, ale pewien ton w głosie dziewczyny, sposób mówienia sprawił, że instynktownie zadrżała. Kiedy jednak rozejrzała się po komnacie, zobaczyła, że ojciec Hugo szybko podnosi głowę, a jego oczy się rozszerzają: z ciekawości? Czy z obrzydzenia?

– Nie mam powodów – rzekł król sucho – by nie ufać Wilkunowi w podobnych sprawach. Jednak, Orle, jeżeli to się wydarzyło podczas przekraczania gór Alfar w lecie, dlaczego dopiero zimą do mnie dotarłaś?

Podniosła dłoń.

– Mogę, Wasza Wysokość?

Zaciekawiony, pozwolił.

Skinęła do tyłu i z tłum wyszło trzech Lwów, by przy niej klęknąć. Oni też wyglądali na zdronzonych, zbroje i kubraki mieli połatane; jeden miał świeżą bliznę na lewym policzku.

– Te Lwy były moją eskortą i poświadczą, że wszystko, co mówię, jest prawdą. Kiedy zawróciliśmy z klasztoru, zastaliśmy drogę zablokowaną przez kolejną lawinę. Musieliśmy więc ruszyć na południe, do granic Karrone, aż doszliśmy do drogi, która prowadziła na północ przez Przełęcz Julier. Ale tam też nie mogliśmy przejechać.

– Następna burza? – spytał Villam, a ojciec Hugo pochylił się do przodu, jakby się obawiał, że nie usłyszy cichej odpowiedzi Orła.

– Nie, panie. Diuk Konrad zamknął przejście.

Henryk wstał i natychmiast wszyscy, którzy siedzieli, podnieśli się, nawet biedny brat Fortunatus, który zwicznął sobie kolano we wczorajszym pożarze.

– Diuk Konrad zamknął przejście? Z czyjego rozkazu?

– Nie znam szczegółów, Wasza Wysokość, tyle tylko, ile dowiedziałam się od strażników. Wydaje się, że diuk Konrad kłóci się o granice z królową Marozią i żadne nie ustąpi. Aby ją pognać, diuk Konrad odmówił przepuszczania jakichkolwiek podróźnych przez przełęcz.

– Aby siebie pognać – mruknął Villam. – Ta przełęcz łączy księstwo Waylandu z Karrone i Aostą. – Z niesmakiem pokręcił głową.

– W każdym razie – powiedziała Orlica, wciąż obrażona wspomnieniem zajścia – nie przepuszczono nas, mimo że noszę Orlą odznakę i pierścień, znaki waszej władzy.

Zapadła cisza, gdy Henryk zastanawiał się nad wiadomością. Kilka szeptów przeleciało przez salę i ucichło. Król usiadł gwałtownie. Rosvita nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

– I co? – spytał spokojnym głosem.

– Musieliśmy podążyć dalej na wschód, aż dotarliśmy do przełęczy Brinne i jeszcze dalej,

aż w końcu przeszliśmy przez góry. Wjechaliśmy do Westfalii, gdzie margrabia Werinhar wspaniale nas nakarmił, dał mi nowego konia i szczerze wyposażył. Ale tyle dróg i szlaków zostało zmytych przez ulewy, że musieliśmy zapuścić się jeszcze dalej na wschód, aż do Estfalii, zanim znaleźliśmy dobry trakt na północ. – Znów się zawahała i spojrzała na Hathui dla dodania sobie odwagi. Starsza Orlica skinęła szybko głową i młodsza ciągnęła: – Wszyscy stamtąd przysyłają przeze mnie wiadomość, Wasza Wysokość. Błagają, abyście ustanowili nad nimi margrabię dla ochrony. Najazdy Qumanów były tego roku najgwałtowniejsze od czasu, gdy wasz pradziadek, pierwszy Henryk, pokonał qumańskich książąt nad Eldarem. – Odwróciła się i dała znak Lwu, najstarszemu z grupy, temu z blizną na policzku.

Wyciągnął ku królowi złamaną strzałę.

Opierzona stalowoszarymi lotkami strzała miała żelazny grot; wyglądała dość niewinnie jak na narzędzie do zabijania, a jednak otaczała ją jakaś aura niby wstrętny zapach albo rzucone odrażające zaklęcie. Te pióra nie przypominały upierzenia żadnego ptaka, jakiego w życiu widziała.

Ale we wschodnich dziczach polowały gryfy. Tak przynajmniej mówiły książki i raporty. Ale Rosvita rzadko ufała raportom łatwowiernych, którzy widzieli jedną rzecz, a przekonani byli, że widzą inną: jak lordowie i damy na polowaniu widzieli jelenia zamiast Theophanu. W małej sali, zatłoczonej taką ilością osób, było duszno, mimo otwartych wysokich okien. Na widok strzały wszystkich ogarnął niepokój. Kilku wymknęło się, ale kiedy wyszli, inni wepchnęli się na ich miejsce.

Henryk wziął strzałę z rąk Lwa i natychmiast przeciął sobie palec o ostre pióra. Stęknął z bólu i wsadził palec do ust, ssąc ranę. Lew natychmiast odebrał mu strzałę.

– Pozwólcie, że ją dla was potrzynam, Wasza Wysokość – powiedział. – Proszę.

– Skąd macie tę strzałę? – spytał król, przyciskając palec kciukiem, by powstrzymać krwawienie.

– Z wioski zwanej Felsig – ciągnęła Orlica. – Nadjechaliśmy rankiem, a o świcie odparli atak Qumanów. Pomogliśmy im odpędzić ostatnich pieszych żołnierzy, którzy, przysięgam, wyglądają tak, że nie mogli się zrodzić z ludzkiej matki, choć nie przypominają Eików. Nasz towarzysz Artur zmarł od otrzymanych ran. Przyprawiliśmy tego młodzika, Stefana, który dobrze się sprawiał w walce. Pragnie wstąpić w szeregi Lwów.

– A ja, najstarszy z nas, uznałem go za zdolnego do służby – dodał Ingo.

– Zróbcie, jak uważacie za stosowne – powiedział Henryk. – Taki dzielny wojak jest mile widziany w szeregach moich Lwów.

– Kogo uczynicie margrabią Estfalii? – spytała z tłumu lady Brygida. Jako siostrzenica Burcharda i Idy mogła mieć nadzieję na tytuł.

– Księżniczkę Theophanu. Księcia Ekkeharda – przemówiło kilka głosów.

Henryk podniósł rękę, by ich uciszyć.

– Pomyślę o tym. Takiej decyzji nie można podejmować pochopnie. Diuku Burchardzie –

odwrócił się do sędziwego mężczyzny. – Czy możecie wysłać oddziały z Avarii do marchii?

Diuk odkaslnął, zanim odpowiedział, jego głos był słaby.

– Nie mam synów w odpowiednim wieku, którzy poprowadziliby taką ekspedycję – powiedział wolno i dobitnie, przypominając wszystkim słuchaczom, że jego drugi syn, Frederic, zginął, walcząc w marchiach, a najstarszy, Agius, zeszłej wiosny poświęcił się, by ratować króla przed straszliwym *guivre'em*. – Z doświadczenia wiem, że przeciw Qumanom trzeba wystawić kawalerię. Musicie odtworzyć Smoki, Wasza Wysokość.

– Ja też nie mam synów w odpowiednim wieku – rzekł Henryk ostro, nawet nie patrząc na biednego Ekkeharda, który nie rzucając się w oczy, siedział za Helmutem Villamem. – Już nie. Ani żołnierzy tak dzielnych, jak ci, którzy polegli w Gencie.

Nikt się nie odważył odezwać, bo diuk Burchard rzucił psom mięso i wszyscy czekali, aż zaczną się zagryzać o resztki. Ale nikt nie próbował sprzeciwić się królowi, nawet Burchard.

– Jakie jeszcze wieści mi przynosisz, Orle? – zapytał Henryk, ponownie skupiając uwagę na klęczącej przed nim młodej kobiecie. – Było już wystarczająco dużo złych. Błagam, powiedz, że nie masz już takich, których nie chcę słyszeć.

Dziewczyna była blada. Teraz pobielała.

– Jest jeszcze jedna – rzekła, niemal się jękając. – Usłyszałam ją, kiedy zatrzymaliśmy się w Lesie Thurińskim, gdzie was szukaliśmy. Dostali ją z Quedlinhamu... – urwała.

– Dalej! – zniecierpliwiał się król.

– W...wieść z Gentu.

– Z Gentu! – Król znów wstał.

– O Pani – szepnął brat Fortunatus, krzywiąc się z bólu.

– Jaka wiadomość?

– Tylko tyle: dwoje dzieci uciekło z miasta. Dzieci mówiły, że demon więziony przez Krwawe Serce wskazał im drogę przez kryptę, ale kiedy leśniczy poszli potem szukać, nie znaleźli ani śladu takiego tunelu.

– Takiego tunelu – powiedział Villam – jakiego uchodźcy z Gentu, wedle ich słów, użyli, by umknąć?

– Nie wiem – odparła Hanna – ale Liath...

– Liath? – spytał król.

– Moja towarzyszka z Orłów. Będzie wiedziała. Była tam.

– Oczywiście – powiedział król. – Później ją zapytam. Mów dalej. – Był bardzo zainteresowany, a jego uwaga skupiła się całkowicie na młodej Orlicy.

– To już prawie koniec. Eikowie wciąż panoszą się w mieście. Sprowadzili niewolników do pracy w kuźniach, zbrojowniach i garbarni, tak mówiły dzieci. Widziały... – zakrztusiła się, a potem zdołała wymówić słowa: – Według raportu, który słyszałam, widziały ciała żołnierzy w krypcie pod katedrą. Kubraki z wyszywanym znakiem smoka.

– Wystarczy – król uciszył ją. Wyglądała na zadowoloną, że pozbyła się tych wieści. –

Jestem zmęczony. Dziś moi zarządcy przygotowują wymarsz. Jutro ruszymy do Echstatt. Diuku Burchardzie, wyślecie pięćdziesięciu żołnierzy do Estfalii. Niech stawi się przede mną młody Rodulf z Varingii i jego dziesięciu towarzyszy. Będzie mógł udowodnić, że jest mi lojalny i oczyścić honor rodziny, splamiony przez swego zmarłego ojca, walcząc dzielnie na wschodzie. Nazwijcie ich Smokami. – Powiedział to twardo, ale ciągnął: – Po jakimś czasie przyjmujemy też innych.

Zamknął na chwilę oczy, zdając się w milczeniu modlić; potem otrząsnął się ze wspomnień.

– Boże, prowadź nas w tej godzinie straty. – Dotknął dłonią piersi, gdzie, jak wiedziała Rosvita, trzymał zakrwawioną szmatkę, pozostałą po urodzeniu syna z nieprawego łoża, Sanglanta. – Teraz musimy myśleć o Gencie. Podnieśliśmy się już po stratach pod Kassel. Był czas na żniwa i dzięki miłosierdziu oraz łasce naszych Pana i Pani, zbiory były obfite. Sabella pozostaje pod strażą biskupiny Konstancji. Potrzebuję tylko armii wystarczającej do zaatakowania Gentu.

Wielu ludzi w sali, w większości młodych mężczyzn, zaczęło krzyżeć:

– Ja pojedę! Pozwólcie mi jechać, Wasza Wysokość! Honor mej rodziny...!

Najnowszy nabytek dworu, miły i zdolny lord Godfryd, przepchnął się naprzód.

– Pozwólcie mi dostąpić tego zaszczytu, Wasza Wysokość – powiedział, kłękając.

Henryk podniósł dłoń i uciszył okrzyki.

– Zima to zły czas dla Orłów, ale dla mych celów muszą wyruszyć. Hathui. Wyślij jednego zadziornego do margrabiny Judith, aby ją wypytał, czy pożyczy lekarza do opieki nad moją córką. Wyślij jednego z misją do Estfalii. Kolejnego do diuka Konrada w Waylandzie z tym posłaniem: „Staw się na dworze, by wyjaśnić zachowanie w stosunku do mego Orła na Przełęczy Julier”. Wybierz czwartego rozważnie i poślij do hrabiego Lavastine’a w Varre.

Lord Godfryd zaskoczony podniósł głowę.

– Ciebie, przyjacielu – powiedział do niego Henryk – zatrzymam jeszcze u swego boku na co najmniej kilka polowań. Niech Orzeł pojedzie do twego krewniaka. Ty możesz wrócić później.

– Dlaczego do hrabiego Lavastine’a? – zapytał zdziwiony Burchard.

Villam, uważnie słuchający króla, uśmiechnął się, jakby usłyszał dowcip zrozumiały tylko dla niego.

– Zyskał syna. Ja mojego straciłem. Niech Lavastine udowodni swoją lojalność i czeka na mnie z armią pod Gentem. Jeśli Bóg da nam zwycięstwo i odbierzemy Eikom miasto, dam mu nagrodę, której oczekuje.

8.

To i tak nie miało znaczenia. A poza tym spowodowała śmierć dwunastu albo więcej

ludzi. Czy Bóg jej kiedykolwiek wybaczy? Czy wybaczy sama sobie?

– Proszę, tato – modliła się z dłońmi złożonymi przy ustach. – Proszę, powiedz mi, co mam robić. Tato, dlaczego mnie nie uczyłeś?

– Ja będę cię uczył, Liath.

Szarpnęła się, kiedy kładł swą czystą, białą dłoń na jej ramieniu. Poderwała się niezgrabnie, odskoczyła z jego zasięgu. Wokół kłębiła się mgła, niski opar okrywający drzewa i wioskę tuż obok królewskiego obozu. Hugo oplótł umysł Sapientii jakimś strasznym zaklęciem i księżniczka nie spuszczała Liath z oczu, jakby była ona talizmanem zapewniającym bezpieczeństwo nie narodzonego dziecka. Liath wstała więc wcześniej i wyszła za potrzebą, a potem trwała w chłodzie zamglonego zimowego poranka, mając nadzieję na moment samotności, ulgi.

Ale Hugo jej nie zostawił. Nigdy jej nie zostawi. Na długo przed nią wiedział, co chronił tato. I chciał tego dla siebie.

– Czy dostałaś nauczkę, Liath? – ciągnął. – Tylu zginęło. – Potrząsnął głową, z dezaprobatą mlasnął językiem. – Tylu zginęło.

– Gdybyś nie rzucił na nich zaklęcia snu... – krzyknęła.

– To prawda – powiedział, zaskakując ją. Urwała. – Zbyt wielkie mniemanie miałem o tej odrobinie, której się nauczyłem. Będę się modlił do Boga o mądrość. – Jego usta wygięły się w górę. Wydawał się przez moment śmiać z samego siebie; ta chwila minęła i szybko, jak spadająca sowa, złapał Liath za nadgarstek. – Nie bądź głupia. Im dłużej będziesz to ignorować, tym bardziej wymknie się spod kontroli. Czy tego chcesz? – Wskazał na wzniesienie, gdzie stał poczerniały szkielet pałacu. – Liath, komu innemu możesz zaufać?

– Powiem królowi, że to ja wznieciłam ogień...

Zaśmiał się krótko.

– Wyobraź sobie, co powie król i jego doradcy, gdy się dowiedzą, że dali schronienie malefikusowi. Tylko skoposa może osądzić kogoś takiego jak ty: potwora!

– Pójdę do Wilkuna...

– Wilkuna! Już o tym rozmawialiśmy. Zaufaj Wilkunowi, jeśli chcesz. Ale teraz ja mam *Księgę tajemnic*. Widziałem, do czego jesteś zdolna i nie znienawidziłem cię za to. Kocham cię za to, Liath. Kto inny cię pokocha lub obdarzy zaufaniem, kiedy dowie się, kim jesteś? Mnie król ufa, Wilkunowi nie. Mogę cię ochronić przed królewskim gniewem i podejrzliwością Kościoła. A kiedy Sapientia urodzi nasze dziecko, będę miał zagwarantowaną pozycję jej najbliższego doradcy tak długo, jak będzie rządzić.

– Nie, jeśli poroni...

Uderzył ją mocno otwartą dłonią w policzek.

– Ja nosiłam twoje dziecko – jęknęła, szarpiąc się, ale nie mogła się wyrwać. – O Pani, cieszę się, że je ze mnie wybiłeś.

Uderzył ją ponownie i jeszcze raz, mocniej, a za czwartym razem zatoczyła się i padła na

kolana, ale sięgnęła po nóż.

– Zabiję cię – powiedziała ochryple. Łzy paliły jej oczy, a z nosa ciekła krew.

Roześmiał się, jakby jej opór go podniecał.

– Panie ojcze! – Z mgły wybiegł służący, rzucając się między Hugona i jej nóż. Skoczył, aby z nią walczyć, ale odrzuciła ostrze, zanim jej dotknął. Co znaczył nóż przeciw magii Hugona, o ile to w ogóle była magia? Hugo rozwinął swą ziemską moc równie skutecznie jak czary.

– Panie ojcze, nic się wam nie stało? – Otepiąta słuchała służącego trzęsącego się nad Hugonem. – Na Boga! Że też Orzeł tak was straszyl! Oddam ją pod straż, dopóki król...

– Nie, bracie. – Hugo przerwał mu z miłym uśmiechem. – Sługi Nieprzyjaciela zamąciły jej w głowie. Dziękuję ci za czujność, ale Pani i Pan są ze mną i nie muszę się jej obawiać, zamierzam ją za to uleczyć. Możesz odejść, ale bądź pewien, że będę cię wspominał w modlitwach. – Skinął na Liath. – Tak jak ty musisz modlić się za jej duszę.

Służący skłonił się.

– Jak sobie życzyacie, panie. – Pokręcił głową. – Jesteście samą dobrocią. – Mrużąc cicho, jakby skrywał dezaprobatę, odszedł.

Łagodność Hugona znikła natychmiast, gdy mężczyzna nie mógł ich już słyszeć.

– Nie prowokuj mnie, Liath i nie kpil z Boga. – Jego głos był twardy jak kamienie pod jej kolanami. Podniósł nóż i użył jego ostrza, by unieść jej podbródek, zmuszając do spojrzenia na niego. – A teraz idź. Księżniczka chce cię widzieć. – A potem, chcąc czynem podkreślić swą moc i jej słabość, obrócił nóż i wręczył jej, rękojeścią do przodu.

Schowała go, wciąż otepiąta. Nos nadal krwawił. Przycisnęła rękę do twarzy, aby zatamować krew i sztywno pomaszerowała do namiotu księżniczki; Hugo szedł tuż za nią. Oczy ją piekły, w głowie łomotało, ale serce pozostało zimne. Nie mogła nic zrobić. Nie miała wyjścia. Być może rzeczywiście potrafiłaby go powstrzymać siłą, gdyby znów spróbował ją zgwałcić... ale wciąż był strażnikiem, a ona jego więźniem.

Sapientia nawet nie zauważyła Liath; plotkowała z lady Brygidą o tym, kto mógł zostać ogłoszony następnym margrabią Estfalii. Ale przy księżniczce stała siostra Rosvita.

– Dziecko – wykrzyknęła na widok Liath. – Co się stało z twoją twarzą?

– Weszłam na grabie. Wybaczcie, siostrze.

– Nie ma potrzeby prosić mnie o wybaczenie, Orle. Wasza Wysokość, wasz ojciec przysłał mnie z zapytaniem o wasze zdrowie.

– Czuję się lepiej – odpowiedziała Sapientia. – Mogę dziś jechać.

– Raczej nie dzisiaj – rzekła miękko Rosvita, z ciekawością spoglądając na Liath. – Wasz ojciec życzy sobie, abyście tu została kolejny tydzień, odpoczywając, zanim wyruszyacie w drogę do Echstatt.

– Nie chcę...!

– Wasza Wysokość – powiedział Hugo cicho.

Sapientia zamarła, patrząc na Hugona z obrzydliwie rozradowaną twarzą i uśmiechnęła się.

– Co radzicie, ojcie Hugonie?

– Zastosujcie się do zaleceń króla, Wasza Wysokość. Musicie zachować całą swoją energię, by szczęśliwie donosić ciążę.

– Tak – poważnie skinęła głową. – Tak, muszę. – Odwróciła się do kleryczki. – Powiedzcie ojcu, że spełnię jego życzenia.

– Powiem. Jeszcze jedno. Król Henryk chce przepytąć waszego Orła o Gent.

Liath czekała głupio i beczynn timer, zanim Sapientia pozwoliła jej odejść. Hugo poprosił o możliwość pójścia do króla. Wyszli razem, Liath, Rosvita i Hugo, kierując się do królewskiego namiotu. Hugo nie zostawiał jej samej nawet na tak krótkim odcinku. Henryk nie spał, siedział na krześle, a służący pakowali to, co zostało z jego rzeczy, do skrzyń, przygotowując się do podróży.

– Oto i Orzeł – powiedział król, przerywając konsultację z zarządcą na temat uzbrojenia nowych Smoków. Wskazał Hathui, która stała w kącie namiotu z Hanną i rudowłosym Orłem, zwanym, jakżeby inaczej, Rufusem. – Złóżysz raport towarzyszom. Jedno z nich pojedzie do hrabiego Lavastine’a. Ojcie Hugonie! Czym mogę służyć?

Zatrzymany przez króla Hugo nie mógł iść za nią.

– Co się stało z twoją twarzą?! – wykrzyknęła Hanna.

– Błagam, Hathui – prosiła Liath szeptem, ściskając dłonie Hathui. – Błagam, jeśli możesz jakoś wpłynąć na króla, daj mi jechać z Hanną, wydostań mnie stąd.

– Przykro mi, Liath. Już zdecydowano.

– Ale jeśli wszyscy dziś wyjedziecie, jeśli mnie zostawicie samą... – Nagle ogarnęła ją fala mdłości, serce waliło, wzrok się zaćmił, już wiedziała, co zaraz nastąpi.

– Tędy – powiedziała Hathui szybko i wypchnęła ją na zewnątrz.

Liath zwymiotowała, wyrzucając z siebie żółć, bo od wczorajszej skromnej kolacji nic nie piła ani nie jadła; kaszląc i drżąc, pomyślała, że równie dobrze mogłaby teraz umrzeć i jej nieszczęścia by się skończyły.

– Dziecko! – Z mgły wynurzyła się Rosvita i dotknęła lekko jej ramienia. – Co cię gnębi?

Oszalała ze strachu nie dbała już dłużej o to, co mówiła i robiła. Padła na klęczki i błagalnie objęła kolana Rosvity.

– Błagam was, siostrze. Macie wpływ na króla! Błagam was, poproście żeby mnie odesłał, dokądkolwiek, z jakimkolwiek posłaniem, dokądkolwiek, byle dalej stąd. Błagam, siostrze.

– Jesteś ze Spokoju Serca – powiedziała nagle Rosvita z zaskoczeniem. Liath podniosła głowę, ale kleryczka patrzyła na Hannę, nie na nią.

– Jestem.

– I ona też – rzekła Rosvita powoli, przenosząc wzrok z Hanny na Liath i znów na Hannę.

– Czy możliwe jest, Orle, że ty także znasz mego brata Ivara?

Hanna zamrugnęła, a potem jak kamień runęła na kolana przed kleryczką.

– Pani! Wybaczcie mi, że nie wiedziałam...

– Nieważne – przerwała Rosvita. – Odpowiedz na moje pytanie.

– Ivar jest moim mlecznym bratem. On i ja ssaliśmy tę samą pierś: mojej matki. Pani, błagam was. – Prośba z ust Hanny brzmiała nienormalnie. Ona nigdy nie błagała. Zawsze radziła sobie z niespodziankami, które na nią czyhały. Hanna była taka opanowana. – To zarozumiałstwo z mej strony twierdzić, że jestem waszą krewną, pani, ale błagam przez wzgląd na więź z waszym bratem, jeśli możecie jej pomóc, zróbcie to.

Liath zdusiła łzy, tak była zdesperowana, zupełnie pozbawiona nadziei.

– Ale dlaczego tak bardzo chcesz opuścić króla? – Rosvita najwyraźniej szukała odpowiedzi i miała problem z ich znalezieniem. – Byłaś z Wilkunem w Gencie. Czy to on zatruł twój umysł przeciw Henrykowi? Jakakolwiek kłótnia Wilkuna z Henrykiem nie została wywołana przez Henryka.

– Nie – jęknęła Liath. – Wilkun nic nie mówił. Nigdy nie powiedział niczego przeciw królowi Henrykowi.

– Święte słowa – wymamrotała Hathui.

– Nie chodzi o króla. – O Pani, ile mogła powiedzieć? Ile odważy się powiedzieć?

– Spokojnie, córko, opanuj się. – Rosvita położyła dłoń na czole Liath, jakby ją błogosławiła. – Jeśli źle ci na służbie u księżniczki Sapientii...

– Tak! – Liath uchwyciła się tych słów. – Tak. Ja nie... Ja nie mogę... Nie pasujemy do siebie, ja...

– Orzeł służy tam, gdzie nakazuje mu król – powiedziała twardo Rosvita.

Uwolnwszy się od króla, Hugo wyszedł przed namiot. Liath zaczęła płakać. Przegrała.

Ale Rosvita wzięła ją za rękę i podniosła.

– Chodź, córko, osusz oczy i usiądź tutaj, pod dachem. Zaczęło padać.

Rzeczywiście zaczęło padać. Liath zauważyła to tylko dlatego, że lodowaty deszcz kapał za kołnierz jej płaszcza i spływał po kręgosłupie.

– Zabiorę ją do namiotu księżniczki Sapientii – powiedział Hugo łagodnie. – Obawiam się, że wcześniejsze uderzenie zaćmiło jej umysł.

– Niech tu przez chwilę odpocznie – odparła Rosvita. O cudzie, Hugo nie naciskał, a Rosvita zostawiła Liath i weszła do królewskiego namiotu. Hathui podążyła za nią, zostawiając przy boku Liath Hannę i skonfundowanego Rufusa. Przełknęła łzy i usłyszała przez płótno głos Rosvity rozmawiającej z królem.

– Czy nie byłoby najsmardzej, Wasza Wysokość – spytała kleryczka – posłać Orła, który był w Gencie, do hrabiego Lavastine’a, aby sam hrabia mógł ją wypytać?

– Rozum przez was przemawia, siostró – odparł król. – Ale moja córka jest przywiązana do Orła, a ja chcę ją rozweselić.

– Nie wątpię, że ojciec Hugo i inni towarzysze potrafią ją rozweselić, Wasza Wysokość.

A hrabia Lavastine będzie potrzebował najlepszych informacji, jeśli ma mieć nadzieję na odzyskanie Gentu, a wy nie możecie sobie pozwolić na pozostawienie miasta w rękach Eików. Nie, kiedy opanowali rzekę i zbliża się czas kolejnego najazdu.

– Prawdą jest – włączyła się Hathui – że Liath wyprowadziła uchodźców przez ukryty tunel, o którym tyłu mówiło. Jeśli ktokolwiek może go odnaleźć, to ona.

Liath nie usłyszała królewskiej odpowiedzi. Hugo obok przeklął cicho.

– Orły – powiedział ostro. – Odejść. – Rufus posłuchał natychmiast, ale Hanna się zawahała. – Won! – Cofnęła się. – Spójrz na mnie – Nie podniosła głowy. – Liath! – syknął, ale nie spojrzała. Niech ją uderzy tutaj, niech wszyscy zobaczą, nawet jego moźni przyjaciele. Niech jej da tę satysfakcję, nawet jeśli i tak w końcu nie będzie to miało znaczenia.

W namiocie przemówił król.

– To dobra rada, siostrze. Hathui, dopilnuj, żeby Orzeł, który przybył z Gentu, pojechał z posłaniem do hrabiego Lavastine’a. Innych roześlij, jak uważasz za stosowne.

– Nie myśl, że mi uciekłaś – powiedział Hugo przekonująco. – Pójdę teraz do króla i powiem, którego Orła Sapientia chce na twoje miejsce. Wiesz, którego wybiorę...

Nie mogła podnieść wzroku. Znowy wygrał.

Uśmiechnął się.

– Twoja przyjaciółka będzie moją zakładniczką, dopóki nie wrócisz. Ona i książka. Pamiętaj o tym, Liath. Wciąż jesteś moja. – Odwrócił się i wszedł do namiotu. Tam słowami jak miód przekonywał króla.

– Liath. – Hanna położyła dłoń na jej ramieniu. – Wstań.

– Zdradziłam cię.

– Nikogo nie zdradziłaś. Jestem Orłem. To coś znaczy. Nie może mnie skrzywdzić...

– Ale Theophanu w lesie...

– O czym ty mówisz? Przestań, Liath! Ja go nie obchodzę, obchodzisz go tylko ty. Nawet mnie nie zauważę, dopóki będę grzeczna. Na Pana i Panią, Liath, przeżyłam Antonię, lawinę, stwory bez ciała i ducha, dwa przejścia przez góry, atak Qumanów, powódzie i twoją histerię. To chyba jego też przeżyję!

– Obiecuj, że przeżyjesz!

Hanna przewróciła oczami.

– Oszczędź mi tego! – powiedziała z obrzydzeniem. – Idź po swoje rzeczy.

Liath skrzywiła się na wspomnienie.

– Spaliły się – szepnęła. – Wszystko się spaliło na strychu.

– To powiedz Hathui, żeby ci wyszykowała nowy sprzęt. Och, Liath, czy ty... czy w końcu straciłaś książkę?

– Nie – zamknęła oczy, usłyszała cichy potok słów w namiocie, śmiech Hugona z królewskiego żartu, złośliwą odpowiedź Rosvity. – Hugo ją dostał.

– Bardzo dobrze – powiedziała Hanna ostro. – Dobrze, że zostają, będę mieć na nią oko.

Czy to nie ja mu ją zabrałam w Spokoju Serca?

Liath otarła nos wierzchem dłoni, a potem nim pociągnęła.

– Oj, Hanno, musisz mieć mnie dość. Ja mam dość samej siebie.

– Nie będziesz miała na to czasu, podróżując cały dzień i utrzymując się przy życiu! Tego ci trzeba! A teraz już idź. Król chce wysłać Orły, gdy tylko konie zostaną osiodłane.

Liath uściskała ją i poszła szukać Hathui.

Ale w końcu, kiedy wyjechała z królewskiego obozu, drogą wijącą się przez wieś, zaciekawiona zawróciła szybko i pojechała na wzgórze, zobaczyć spalony pałac. Hathui nie znalazła łuku, by zastąpić spalony i nie było zapasowych mieczy, bo zbyt wiele ich spłonęło w barakach. Miała oszczep, zapasową wełnianą tunikę, skórzany bukłak, zapasy na drogę i krzesiwo do rozniecania ognia. Nie powiedziała Hathui, że nie potrzebowała narzędzi do rozniecania ognia.

Nie mogła się powstrzymać. Zsiadła przy spalonej bramie i poprowadziła konia w ruiny. Ludzkie hieny przeszukały już zwęglone drewno w pobliżu krawędzi pożaru, to, które wystygło; szukali wszystkiego, co da się zrabować. Liath zarzuciła wodze na szyję konia i zostawiła zwierzę. Ruszyła do ruin, brudząc buty sadzą, nos ją kłuł od smrodu. Lepki strumyczek krwi połaskotał ją w wargę, oblizala ją i pociągnęła nosem, mając nadzieję, że krwawienie w końcu ustanie.

Wiedziała, gdzie stały baraki. Choć w pierwszym dniu pobytu plan pałacu w Augensburgu ją zmylił, poznała drogę podczas pożaru, kiedy rzucała się w płomienie więcej razy, niż mogła zliczyć, na próżno próbując wyciągnąć wszystkie śpiące Lwy.

Tutaj, w tym miejscu, na dziedziniec wyskoczyli ona i Hugo. Miał na tyle przytomności umysłu, by złapać jej sakwy, nim skoczył. To, że skreślił nogę w kostce i ciągle utykał, dało jej niewielką, niewystarczającą satysfakcję.

„Nie będę się winić. On ich uspił. Zmusił mnie do działania, którego skutków nie mogłam sobie wyobrazić”.

Ale to nie było usprawiedliwienie.

Tato miał rację, chroniąc ją. Ale powinien też być ją uczyć. Musiała znaleźć sposób, by sama się uczyć. Musiała znaleźć sposób, by Hugo trzymał się od niej z dala.

Coś zaświeciło, odbijając słońce wśród popiołu i belek. Przeszła nad zwaloną futryną w to, co pozostało z baraków. Wszystko wymieszało się, nie mogła odgadnąć, które deski pochodziły ze ścian, które z podłogi strychu, które z dachu. But złamał deskę i wpadła w dziurę, uderzając stopą o ziemię. Wyciągnęła nogę i delikatnie przeszła nad dwiema belkami, przeskoczyła nad resztkami mieczy, ostrzy oszczepów i wzmocnień tarcz, stopionych razem i wciąż gorących. Zatrzymała się przy trzech klepkach, zamienionych w węgiel drzewny i leżących w idealnym porządku, jedna, druga, trzecia, niby wieko skrzyni. Odsunęła jedną z nich stopą.

Tam, pomiędzy głowniami, popiołem i poczerniałym drzewem leżał jej łuk w kołczanie, nietknięty, pokryty tylko warstewką sadzy. Zaszokowana podniosła go z ziemi i znalazła pod nim swego dobrego przyjaciela, miecz Luciana, też cały, jakby razem oparły się szalejącej ognistej burzy.

– Liath.

Odskoczyła, przyciskając do siebie miecz oraz kołczan i odwróciła się, potykając o zwałoną belkę i spalone drewno.

Ale nikogo za nią nie było.

Rozdział jedenasty

Dusze umarłych

1.

Antonia miała szczerze dosyć wpatrywania się w ogień. Dym gryzł ją w oczy i wysuszał policzki. Ale wiedziała, że nie należy narzekać. Teraz, gdy gorąco paliło jej skórę, patrzyła wraz z pięcioma towarzyszami. Nie posiadała jeszcze sztuki otwierania takiego okna, wizji w ogniu, ale mogła widzieć z innymi. Podczas pierwszych dni w dolinie nawet tego nie potrafiła, a Heribert, choć wielokrotnie próbował, nadal nie mógł widzieć poprzez ogień czy kamień.

Widziała kształty równie niematerialne jak płomień, ale inni zapewniali ją, że te kształty były cieniami prawdziwych form, prawdziwych ludzi i budynków; zapewniali ją, że każde wydarzenie widziane przez okno ognia zdarzało się gdzieś na świecie poza małą doliną. W ten sposób, poprzez swą moc, mogli śledzić wydarzenia – choć i ich zdolność była ograniczona.

Teraz, w odległym miejscu, którego zarysy wyznaczał ogień paleniska, młoda szlachcianka z orszakiem przybyła do bram klasztoru i zażądała wpuszczenia do środka, aby mogła się pomodlić i złożyć dary.

– To księżniczka Theophanu – powiedziała zaskoczona Antonia.

– Cicho, siostrze Venio – rzekła pierwsza pomiędzy nimi, Caput Draconis. – Posłuchajmy jej rozmowy z furtianką.

Antonia nie chciała przyznać, że nic nie słyszała. Nigdy nic nie słyszała w płomieniach, widziała tylko kształty i ludzi, którzy ruszali się i mówili jak w pantomimie. Rozmowa w ogniu trwała i trwała, stara furtianka szczegółowo wypytywała księżniczkę.

Antonia przyglądała się towarzyszom.

Nie podobał jej się zwyczaj zwracania się do siebie na kościelną modłę: „siostrze” i „bracie”. Sugerowało to, że byli sobie równi. A jednak musiała przyznać, że brat Severus był

wykształconym mężczyzną, w którym płynęła szlachecka krew i nosił się dumnie; jego imię odnosiło się do surowych i ascetycznych manier. Siostra Zoe wysławiała się na wzór kleru z Salii, czysto i precyzyjnie. Była bujną piękną o wyzywających wdziękach, które niestety przyciągnęły uwagę Heriberta, wydawała się bardziej kurtyzaną niż zakonnica. Brat Marcus był starszy od Zoe, ale młodszy od Severusa; mały, schludny i arogancki, nieszczęśliwym trafem podsyłał budowlaną obsesję Heriberta i zaangażował go w remont nadszarpniętego zębem czasu zespołu domów, w których mieszkała mała społeczność. Siostra Meriam wyglądała na jinnijską poganę, a nie dobrą daisanitkę; stara i drobna, o kościach przypominających patyki, zachowywała się z tak wielką dumą, że nawet Antonia czuła przed nią respekt.

Oczywiście, żadne z tych imion nie było prawdziwe. Jak Antonia, wszyscy przyjęli je, przybywając do doliny. Nie wiedziała, jak nazywali się wcześniej ani z jakich rodów pochodzili, choć każdy głupiec widział, że siostra Meriam wywodziła się spośród wschodniego pogaństwa. Nie podawali podobnych informacji, ale też nie wypytywali Antonii. Mieli inny cel.

Wizja w ogniu zamieniła się w pomarańczowoniebieską plamę płomieni i trzaskającego drewna. Antonia zamrugła i kichnęła.

– Na zdrowie, siostrze – powiedział brat Marcus. Odwrócił się do innych. – Czy naprawdę księżniczkę Theophanu wzięto za jelenia? Czy księżniczka podejrzewa, że na dworze królewskim czai się czarownik? Czy może podejrzewać naszego brata, który chodzi po świecie?

Ta, która zwała się Caput Draconis, odpowiedziała:

– Przybyła do klasztoru świętej Walerii, bo podejrzewa czary. Ale wątpię, czy podejrzewa naszego brata, podobnie jak wątpię, czy matka Rotgarda podejrzewa, że jej wierna furtianka jest naszym sprzymierzeńcem. Nie wiedzą o nas, bracie Marcusie. Nie kłopotuj się tym.

Skłonił się, przyjmując jej słowa.

– Jak mówisz, Caput Draconis. Ale co z tym podejrzanym czarownikiem, którego istnienie księżniczka Theophanu chce ujawnić matce Rotgardzie?

– Ta księżniczka zbyt szybko wyciąga wnioski – powiedziała Caput Draconis. – Jak możemy być pewni, że ta młodzież w zamieszaniu nie widziała tego, co chciała widzieć i nie pomyliła gałęzi z rogami, a mgły z ciałem jelenia? To właśnie sugerował król, prawda?

– A co ze spalonymi strzałami? – spytała siostra Zoe. – W każdy wypadek oddzielnie może bym i uwierzyła. Dwa naraz i robię się podejrzliwa.

Zmierzchało, ale nie było chłodno, nie w tej dolinie. Złoty torkwes noszony przez Caput Draconis migotał w blasku ognia. Twarz kobiety pozostała spokojna; wieku tej jedynej Antonia nie potrafiła odgadnąć. Ta trudność zastanawiała ją i trapiła w dziwnych chwilach, kiedy budziła się w środku nocy i rozmyślała o wielu innych rzeczach.

Nad nimi słońce zaszło za góry i pojawiły się gwiazdy, jasne ogniki płonące za siódmą sferą, lampy oświetlające drogę do Komnaty Światła. Gwiazdy i konstelacje posiadały nazwy i właściwości. Jak każda wykształcona kleryczka, posiadała nieco wiedzy astrologicznej, ale podczas ostatnich sześciu miesięcy nauczyła się jednej rzeczy: w porównaniu z nowymi towarzyszami o gwiazdach nie wiedziała nic. Ona i Heribert znaleźli schronienie w gnieździe matematyków, najniebezpieczniejszych z czarnoksiężników. Przez pół roku Antonia nauczyła się o gwiazdach i niebiosach więcej, niż sobie wyobrażała.

Sądziła, że to ona ich będzie uczyła, bo czyż Caput Draconis nie przyznała, że ona, Antonia, posiadała naturalny dar przymuszania? Ale wczesne pokazy nie zachwyciły jej widowni. Ona uczyła się czarów, które podporządkowywały jej ludzi, czarów zrodzonych z ziemi, starożytnych i plugawych stworów czekających w ukryciu w głębinach duszy albo w samej glebie. Takie stworzenia chętnie służyły, jeśli twardo się nimi rządziło i dobrze płaciło, zazwyczaj krwią.

– Każdy może rozlać krew – powiedział pogardliwie brat Severus. – Albo czytać z kości jak dziki. – Po tym zajściu odłożyła studiowanie tych czarów na chwilę samotności.

I choć uraził ją, wypowiadając te słowa, sama musiała przyznać niechętnie, że miał rację. Nad wszystkim górowała inna moc, a jej towarzysze długo i owocnie studiowali posługiwanie się magią, ku której zrozumieniu ona uczyniła dopiero pierwsze, niewielkie kroki.

Dlaczego w dolinie zawsze panowała wiosna, podczas gdy nad głowami obracało się zimowe niebo? Ile lat miała naprawdę Caput Draconis, która zachowywała się z godnością kobiety bardzo mądrej i wiekowej, a sądząc po włosach i twarzy, mogła mieć od dwudziestu do czterdziestu lat?

– Płonące strzały – wymruczała Caput Draconis. – Nasz brat Lupus przywiódł osobę, której szukamy, bliżej niż się spodziewaliśmy, ale jeszcze nie w nasze ręce. Dotąd byliśmy cierpliwi, ale wiadomość o płonących strzałach sprawiła, że zastanawiam się, czy nie czas działać.

– Jak działać, siostrze? – Brat Severus podniósł brew ze zdziwienia. Nawet w nocy nosił tylko cienki habit i zawsze chodził boso. Jego gołe stopy przypominały Antonii od czasu do czasu o biednym Agiusie, którego heretyckie skłonności doprowadziły w końcu do nieszczęśliwej śmierci, która dla niej okazała się wyjątkowo niedogodna. Ale bez wątpienia Bóg wybaczy mu jego błąd. Bóg litował się nad słabymi.

– Czas rozpocząć badania – powiedziała przywódczyni. – Są łagodniejsze sposoby perswazji, zwłaszcza że tylko mała odległość dzieli nas od tego, czego szukamy. Bracie Marcusie, wyruszysz do Darre, by być naszymi oczami i uszami w pałacu prezbitera, kiedy nasz brat będzie musiał powrócić na północ. A poza tym ja sama wyjdę na świat, aby przekonać się, czego się tam dowiem.

– Czy to bezpieczne? – spytała Antonia.

– A dlaczego miałyby być niebezpieczne, siostrze Venio? – odezwała się w końcu siostra

Meriam.

Dobre pytanie: Antonia nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

– Nie sugeruję, abys ty wychodziła, siostró – ciągnęła Caput Draconis. – Jeszcze nie wolno ci opuszczać tego miejsca. Ale mnie nic nie ogranicza. Mogę się poruszać anonimowo, jak przysięgam.

– Książę bez orszaku nie jest księciem – rzekła Antonia ostro, wskazując złoty torkwes na szyi kobiety.

Ale ta uśmiechnęła się tylko, niemal z politowaniem.

– Mam orszak. – Podniosła doń i wskazała ciemną dolinę, gdzie zapaliły się nagle niezwykle światła, płonąc bez płomienia, a lekka bryza powiewała niespokojnie ponad drzewami i kwiatami rozkwitającymi bujnie, mimo że ich pora jeszcze nie nadeszła. – Mój orszak potężniejszy jest od każdego, który istnieje na tym świecie. Rozejdźmy się, siostry i bracia. Zegnijmy grzbiety i zacznijmy pracować.

Wstali razem, pomodlili się krótko i odeszli od paleniska.

Poirytowana Antonia musiała przyznać, że Caput Draconis mówiła prawdę. W tej dolinie nie było ludzkich służących, tylko bydła: dojne krowy i kozy, owce dające wełnę, gęsi i kury dla jajek i piór. Nie, doprawdy, ich małej społeczności nie doglądali ludzcy słudzy.

Zostawiła za sobą małą kaplicę i brata Marcusa, kierując się ku nowo zbudowanemu dworowi. Choć ściemniało się szybko, Heribert nadal mierzył i walił młotkiem, wspomagany przez kilku silnych służących. Co niezwykle, przyzwyczał się do nich szybciej niż ona, być może dlatego, że codziennie z nimi pracował, projektując i wznosząc budynki. Ona wciąż czuła się nieswojo. Czasami nie mogła się zmusić, by na nich patrzeć.

Używanie potworności zamieszkujących otchłanie Nieprzyjaciela, aby karać złych, to co innego. Wykorzystywanie siły tych starożytnych stworów, które przed odkupieniem błogosławionego Daisana wypełzały z dziur, by nakłonić słabych do posłuszeństwa, to jedna rzecz. A traktowanie ich jak dobrych sług, wchodzenie z nimi w przymierze to druga, niezależnie od tego, jak piękni byli niektórzy z nich.

Kiedy pojawiła się przy warsztacie, uciekli lub jak smoła wtopili się w ziemię czy też złożyli się w sobie, jak niektórzy to potrafili, znikając jej z oczu. Jeden najbardziej lojalny spośród pomocników Heriberta po prostu wtopił się w belki, układane na przemian w północnej ścianie domu. Wyglądał teraz jak sęk.

– Heribercie – powiedziała z dezaprobatą. – Twoja praca kończy się o zachodzie słońca.

– Tak, tak – odparł niecierpliwie, nie zwracając na nią uwagi. Wkładał wyciętą deskę w zaczep, cmokając z niezadowoleniem na słabe dopasowanie i starannie przycinając wąską krawędź.

– Heribercie! Ile razy mam ci powtarzać, że nie przystoi, abys brudził sobie ręce taką robotą. To praca dla wyrobnika, a nie dla wykształconego, szlachetnie urodzonego kleryka.

Odłożył poziomicę i strug, spojrzął na nią, ale nic nie powiedział. Nie był już tak szczupły

i delikatny: przysłowie mówiło, że to mądrość zdobi, a nie pełne wigoru ciało, przez ostatnie miesiące rozrósł się w ramionach. Jego dłonie były spracowane, pokryte odciskami i bliznami po drobnych rankach i zaleczonych pęcherzach. Teraz każdego dnia wbijał sobie wiele drzazg i bez drgnienia oka sam je sobie wyciągał.

Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Gdyby był dzieckiem, powiedziałaaby, że wyzywająco.

– Chodź coś zjeść – dodała.

– Kiedy skończę, mam – rzekł i uśmiechnął się, bo wiedział, że denerwowała się, gdy ją tak nazywał. Jako dobra kaznodziejka nie powinna była poddać się niskim pokusom i w swoim czasie zemści się na tym, który ją skusił.

– Zanim tu przybyliśmy, nigdy się do mnie tak bezczelnie nie odzywałaś!

Wiatr przyniósł szept i Heribert przechylił głowę, nasłuchując. Czyżby coś słyszał? Czy okropności z nim rozmawiały? A jeśli tak, to dlaczego ona nie słyszała i nie rozumiała ich mowy?

Skłonił głowę:

– Wybaczcie, wasza świętobliwość. – Ale nie ufała już tej łagodności.

Czy Caput Draconis ją okłamała? Zwiodła? Czy zamierzali odebrać jej Heriberta, nie siłą i okrucieństwem, ale pozwalając, by jakieś niegodne myśli zatruiły mu umysł, na przykład pomysł, że mógłby porzucić obowiązki wobec starszych, rodziny, własnej matki, która go urodziła w bólach i krwawiąc, która swej własnej, wielkiej władzy użyła, by go chronić przed wszystkim, co mogło go zranić? Czy sprzeciwi się jej życzeniom tylko po to, by oddać się swym ziemskim i samolubnym pragnieniom zajęcia się tak służalczą pracą jak budowanie i architektura? Czy to była cena, którą przyjdzie jej zapłacić: utrata syna? Nie fizyczna utrata, ale fakt, że przestanie być posłuszny jej życzeniom? Czy będzie musiała stać z boku i przyglądać się jego przemianie w zwykłego rzemieślnika: budowniczego, na litość boską! Nie będzie patrzeć beczynnie, jak oni rzucali na niego swe czary, nawet tak trywialne jak pochlebstwa i fałszywe zainteresowanie jego nic niewartymi obsesjami. Używali go dla własnej korzyści, oczywiście, bo na pewno budynki, w których mieszkali, nie przystawały osobom o ich pozycji. Rozwścieczało ją patrzeć, jak osoby, które miały być jej towarzyszami w pracy i nauce, zachęcały młodego mężczyznę do tych niestosownych zajęć, jakby był dzieckiem zwykłego rzemieślnika.

Ale była mądra i cierpliwa. Czekala. Jej towarzysze byli również potężni i obrażanie ich, dopóty lepiej od niej znali się na czarach, nie miało sensu.

Czekala, obserwowała, słuchała i uczyła się.

Heribert odłożył narzędzia do skrzynki, z czułością przebiegł dłonią po nie wykończonej północnej ścianie i nie ociągając się, poszedł do starej kamiennej wieży, w której jadalni.

Antonia poczekała, aż drzwi się otworzą i zamkną za nim. Stała w przyjemnym wieczornym wietrze, patrząc na niebo. Ta wiedza nie przychodziła łatwo, ale jak ze

wszystkim w życiu, trzeba było tylko złapać wystarczająco silnie, by wydusić posłuszeństwo z tego, co się opierało.

Tej nocy wysoko w górach, gdzie powiewał wiosenny wietrzyk, pewne konstelacje lśniły na niebie, zdradzając prawdziwą porę roku: zimą.

– Nazwij je, siostrze Venio – powiedział brat Severus, wyłaniając się z mroku i stając obok.

– Doskonale – odparła. Nie da się zastraszyć jego oschłym tonem i ponurą miną. – O tej porze roku Pokutnik, dwunasty Dom Zodiaku, wznosi się na niebie... – Wskazała w górę. – ...Podczas gdy dziesiąty Dom, Jednorożec, zachodzi wraz ze słońcem, a Siostry, trzeci znak, wschodzi z nadejściem nocy. Guivre żeruje w niebiosach, a Orzeł spada na jego grzbiet. Łucznik zaczyna wspinać się ze wschodu, a Królowa odchodzi na zachód, jej Miecz, Korona i Berło opuszczają się ponad horyzont na znak jej malejącej mocy.

– Dobrze – powiedział Severus. – Ale nasłuchiłaś się w młodości zbyt wielu astrologów. Łucznik, Królowa, Orzeł: to tylko nazwy nadane gwiazdom, znajome obrazy na niebie. W samych niebiosach mają swe własne cele i nazwy, które są tajemnicą dla tych z nas mieszkających pod sferą wiecznie umierającego księżyca. Ale nazywając je nawet w tak prymitywny sposób, widząc wśród nich nasze lęki i życzenia tak, jak młodzi myśliwi zobaczyli w księżniczce Theophanu uciekającego jelenia, zdobywamy wiedzę wystarczającą do ujrzenia linii mocy, które je wiążą. Z pomocą wiedzy możemy okiełznać moc, która krąży między nimi według geometrii panującej wśród wszystkich gwiazd. Każde połączenie tworzy nowe możliwości i nowe przeszkody, a każda jest unikalna.

Podniósł dłoń i wskazał:

– Popatrz tam, siostrze. Ile planet widzisz i gdzie one są?

Jej oczy nie były już młode, ale wysiliła się.

– Widzę oczywiście Somorhas, Gwiazdę Wieczorną w Pokutniku. Jedu, Anioł Wojny, wszedł dziesięć dni temu w Sokoła. A Mok, pani mądrości i obfitości, ciągle musi być we Lwie, choć jej teraz nie widzimy.

Cała дума, jaką czuła, została zniszczona jego słowami.

– Tam znajdziesz Aturnę, poruszającego się do tyłu przez Dziecko, jego linie wpływów są przeciwne do reszty. Tam: widzisz? Prawie niewidoczna, jeśli nie wiesz, gdzie patrzeć, leży śmigła Erekes, wchodząc w Pokutnika. Księżyc jeszcze nie wstał. Słońce, rzecz jasna, zaszło. Jednak za dwadzieścia dni Mok i Jedu również zaczną się cofać, więc tylko Somorhas i Erekes będą iść naprzód. W ten sposób planety dziś w nocy i każdej nocy tworzą nowe połączenia w relacji z wielkimi gwiazdami niebios. Tam widzisz Oko Guivre'a, a tam Vulneris i Rijila, ramię i stopę Łucznika. Oto trzy klejnoty, szafir, diament i cytryn, główne gwiazdy Pucharu, Miecza i Berła. Torkwes Dziecka wznosi się ku zenitowi, podobnie jak Korona Gwiazd. Jutro wyślemy towarzyszkę w drogę, wspomagając jej szybką podróż przez żelazne sale taką mocą, jaką uda nam się ściągnąć z tych połączeń. Tylko posiadając wiedzę,

potrafimy użyć mocy niebios. Nie sądź, że ta moc przystaje każdemu śmiertelnikowi chodzącemu po ziemi. Tylko nielicznym udaje się ją naprawdę zrozumieć i słusznie działać.

– Dlatego Bóg rękami swej skoposy mianuje biskupiny i prezbiterów, czyż nie tak, bracie? By prowadzić i strzec?

W ciszy zastanawiał się nad tym komentarzem, studiując gwiazdy, szukając czegoś, znaku, omenu. Czekała, zatraciła się w kontemplacji Rzeki Niebios, szlaku błyszczącego pyłu jak wąż otaczającego niebo, każde nikłe światełko to dusza podążająca ku Komnacie Światła.

W końcu Severus odezwał się, powoli i bardziej do siebie niż do niej:

– Jesteś przyzwyczajona do władzy, siostrze Venio. Ale musisz zapomnieć wszystko, czego nauczyłaś się w świecie. Musisz to zostawić za sobą, odciąć się od tego jak my. To jedyny sposób, by opanować to, czego cię musimy nauczyć.

– Jak możemy zapomnieć o świecie, skoro Bóg dał nam sposoby zawracania zbłąkanych na właściwą ścieżkę, pouczenia słabych i karania niegodziwych?

– Czy Bóg nas o to prosił?

– A nie?

– Wszyscy skażeni jesteśmy ciemnością, która jest dotknięciem Nieprzyjaciela, siostrze Venio. Arogancją jest wiara, że potrafimy spojrzeć poza ciemność, która nas okrywa i zrozumieć wolę Boga lepiej niż inni śmiertelni. Tylko tam – wskazał płynącą Rzekę Niebios – zostaniemy oczyszczeni z ciemności i załsnimy tylko jasnością. – Opuścił dłoń. – Czy pójdziemy na kolację?

2.

– Rzeką Niebios – powtarzał tato – nazywana była Wielkim Wężem przez pogańskie plemiona, które żyły tutaj, nim na ziemi te dotarło Święte Słowo.

– Dlaczego zodiak nazywa się ziemskim smokiem, tato? – pytała – kiedy to właściwie dwanaście konstelacji, a nie żadne zwierzę? A jeśli to smok, to dlaczego Rzeką Niebios nazywana jest wężem?

– Mamy wiele nazw dla rzeczy – odpowiadał. – Nawykiem ludzi jest nazywanie rzeczy, aby osiąść nad nimi władzę. Jinna nazywają Rzekę Niebios inaczej: Oddechem Ognistego Boga. W annałach magów babaharskich zwano ją Zawsze Jaśniejącym Mostem Spajającym Przepaść. Dawni mędrcy dariyańscy mówili o niej Droga Pomyślności Pańskiej, bo tam, gdzie Pani stawia swą stopę, kwitną klejnoty.

– A ty co myślisz, tato?

– To dusze umarłych, Liath, wiesz o tym. To ścieżka, po której wspinają się do Komnaty Światła.

– Ale dlaczego nie widzimy jej ruchu, takiego prawdziwego ruchu, przepływu, a nie

przemieszczania się jak wszystkie gwiazdy ze wschodu na zachód? Rzeki płyną. Woda wciąż się porusza.

– To nie woda, córko, tylko światło świętych dusz. A poza tym eter nie podlega takim samym prawom jak ziemskie pierwiastki, choćby wydawało ci się to słuszne.

– Wobec tego czy nasze dusze mają w sobie ogień, że się tak zapalają, gdy dotrą do nieba?

Ale na wspomnienie o ogniu denerwował się i zmieniał temat.

Teraz się zastanawiała. „Doświadczenie to wspaniała rzecz”, powtarzał tato. „Każdy jest mądry po szkodzie”. Wytarła konia i stała przed drzwiami, patrząc na zimowe niebo nie skażone chmurami. Tej nocy było okrutnie zimno; wczoraj spadł śnieg, delikatne płatki jak anielskie pierze, ale na drodze pozostała tylko cienka warstewka.

„Czy nasze dusze mają w sobie ogień?”

Zbudowała w myślach Miasto Pamięci, stojąc z założonymi rękami i dłońmi w rękawiczkach wepchniętymi pod pachy, aby było cieplej, i patrząc na niebo. Miasto leży na wyspie, a wyspa to mała góra. Górę otacza siedem murów, każdy na wyższym wzniesieniu, każdy nazwany od bramy: Róży, Miecza, Kielicha, Kręgu, Tronu, Berła i Korony. Za bramą Korony, na płaskim szczycie, leży plac, a na placu stoi pięć budynków. Z tych pięciu budynków cztery spoglądają w cztery główne kierunki: na północ, południe, wschód i zachód. Piąty, wieża, stoi pośrodku, „pępek wszechświata”, jak czasami żartował tato.

Ale może nie był to żart. W najwyższej komnacie wieży jest pięcioro drzwi, cztery otwierają się w głównych kierunkach. Ale pośrodku komnaty stoją piąte drzwi, które ani się nie otwierają, ani nie zamykają, bo zostały zatrzasknięte; ponieważ stojąc w niemożliwy sposób pośrodku pokoju, prowadzą donikąd.

Tyle tylko, że coś za nimi było. Jeśli w myślach uklękła i spojrzała przez dziurkę od klucza, widziała ogień.

Tato zamknął drzwi i nie dał jej klucza. Miał zamiar ją uczyć, tego była pewna, ale biedny tato, wiecznie uciekający, wiecznie podejrzliwy, wiecznie obawiający się tego, co mogła za nimi zobaczyć, nigdy nie mógł zdecydować, czy nadszedł właściwy czas. I nigdy nie nadszedł.

„Przed pewnymi rzeczami nie da się zatrzaskać drzwi”.

– Tęsknię za tobą, tato – wyszeptała w mroźną noc, jej oddech zmienił się w parę. Spojrzała w górę i jej uwagę przykuła Rzeka Niebios; zastanowiła się nagle, czy to też była para, ciepły oddech wysoko w zimnej sferze gwiazd stałych. Jak zodiak, była kręgiem opasującym niebo, ale opasywała go, przecinając stopy Sióstr i łuk Łucznika sto osiemdziesiąt stopni po drugiej stronie okręgu.

Nagle, widząc nad sobą jasne niebo, uświadomiła sobie, że cały czas wiedziała, jaką Eustację cytował Hugo, ponizając ją przed dworem. Znała oczywiście *Komentarz do snu Kornelii*. Ale zawsze przeskakiwała fragmenty o filozofii i poprawnym rządzeniu ludźmi. Te

rozdziały jej nie interesowały. Tych rozdziałów, w których Eustacja komentowała naturę gwiazd, nauczyła się na pamięć.

Gdzie to było? W myślach przeszukiwała miasto, znalazła poziom, budynek, komnatę, w której spoczywały rozdziały Eustacji, przekopowane wiele lat temu w biskupiej bibliotece w Autunie.

Co zaś się tyczy Rzeki Niebios, wielu pisarzy podawało wyjaśnienia jej istnienia, ale zajmujemy się tylko tymi, które odnoszą się do jej natury. Theophrastus zwał ją Via Lactea, Drogą Mleczną i powiadał, że był to szew, którym połączono dwie półkule niebieskie. Demokryta tłumaczyła, że niezliczona ilość małych gwiazd została na niewielkiej przestrzeni zbita w masę i z powodu takiej bliskości rozsiewają wszędzie światło, co daje złudzenie nie kończącego się promienia. Jednak najszerzej akceptowana jest definicja Posidonosa: ponieważ Słońce nigdy nie przemieszcza się poza granice zodiaku, pozostała część niebios nie zostaje ogrzana jego ciepłem; wobec tego celem Rzeki Niebios, przecinającej zodiak, jest dostarczać gwiazdne ciepła, którym koi resztę wszechświata.

– Orle! Nie musisz stać na zewnątrz. W środku czeka kolacja i ogień!

Otrząsnęła się z zadumy i weszła do środka. Długi dom ze stajniami w jednym końcu i kwaterami mieszkalnymi w drugim był tak ciepły i gościnny jak jego pani.

– Przyznaję, pani Godesti, że jeżdżąc z królewskim posłaniem po Varre, nie zawsze spotykałam się z takim ciepłym przyjęciem jak u was. – Kiedy Liath przyjechała o zmierzchu, rodzina spożywała posiłek, ale ocalili dla niej sporą porcję.

Kobieta zamruczała i nakazała dzieciom iść spać. Oświetlała je pojedyncza latarnia i palenisko, wszystko, na co mogli sobie w zimie pozwolić. Starsza córka pochylała się nad ogniem, wpychając iskry i węgielki do kamiennego kręgu; inna dziewczynka nakładała warzachwią gulasz.

– Wielu w Varre nienawidzi rządów króla Henryka – odparła cicho.

– Wy nie?

Syn postawił przed Liath miskę gulaszu i gorący jabłecznik, a jego matka mówiła:

– Boję się wojny, jeśli wielcy panowie walczą między sobą. Wszyscy się boimy. Ale bardziej się lękam złych zbiorów. I boję się niewidzialnych strzał cieni Zaginionych, tych, którzy zostali, gdy ich kuzyni opuścili świat. Nękają nas chorobami i gangreną.

– Cienie Zaginionych? – spytała Liath. Ta wioska leżała na skraju lasu, a wszyscy wiedzieli, że dziwne stwory z dawnych dni lubiły chronić się wśród drzew.

– Dalej, jedzcie. Zła ze mnie gospodyni, jeśli każę ci mówić, zamiast napelnić żołądek. Nie mamy na co narzekać. To był dla nas dobry rok, szczególnie odkąd nowy pan objął rządy nad tą ziemią.

– Kto jest waszym panem?

– Podlegamy opatowi z Firsebargu.

Liath zakrzuszyła się jabłecznikiem i pośpiesznie odstawiła kubek.

– Wybaczenie. Jest cieplejszy, niż się spodziewałam.

– Nie, to ja przepraszam, Orle. Ostrożnie z gulaszem.

Liath odzyskała oddech i teraz dmuchała na gulasz, aby czymś się zająć. Czy nigdy nie uwolni się od wspomnień o Hugonie?

– Firsebarg leży o wiele dni drogi na północ stąd, prawda?

– Prawda. Zdarzyło się za czasów mej babki, że te ziemie zostały oddane pod opiekę mnichów przez panią w żałobie, aby uczcić pamięć jej jedynej córki. Z tego samego powodu mój brat oddaje dodatkową dziesięcinę w hołdzie dla swej zmarłej żony, aby mnisi modlili się za nią podczas Wielkiego Tygodnia. A reszta z nas płaci podatki dwa razy w roku, bez ociągania, a opat zawsze był miłosierny, jeśli zbiory się nie udawały.

– A tego roku?

– Nie, tego roku w ogóle nie było problemów z naszym panem opatem. Mówią, że jest dobrym ojcem, choć to Wendarczyk. Jest szczodry dla biednych, co sobotę karmi siedem rodzin dla uczczenia uczniów błogosławionego Daisana i kładzie dłonie na chorych. Mówią, że rządzi twardo, ale miłosiernie. Tego roku zbiory były bardzo dobre, bo pogoda była wspaniała: odpowiednio dużo słońca i deszczu, ale żadnych burz, choć słyszeliśmy, że grad zniszczył jęczmień na zachód stąd. To znak łaski Bożej, nie sądzicie?

„Albo zaklinanie pogody”. Ale Liath nie powiedziała tego na głos, zmieniła za to temat. „Jak tato”, pomyślała gorzko i z obrzydzeniem. Ile takich drobnych nawyków przejęła od ojca, dobrych i złych?

– Czy ludzie nadal są źli, pani, że król Henryk pokonał damę Sabelle?

– Pokonał ją? Nic takiego nie słyszeliśmy. Kiedy z nią walczył?

– Poprowadziła rebelię... – Słuchali skupieni, kiedy opowiadała im historię.

– Jak wygląda król? – zapytała córka ze swego miejsca przy ogniu. Z włosami związanymi z tyłu i głową okrytą chustą wyglądała na cichą i skromną, ale przemówiła odważnie. – Czy jest bardzo potężny i przerażający?

– Jest mężczyzną słusznego wzrostu i godnego zachowania. Wydaje sprawiedliwe wyroki, ale jego gniew jest tak srogi jak ogień, którego pilnujesz. – A potem, ponieważ widziała wiele par oczu błyszczących w alkierzach, dzieci i dorosłych, zaczęła opowiadać o dworze królewskim i szlachcicach, którzy z nim podróżowali. Opowiadała im o miejscach, przez które przejeżdżała po drodze, w których oni nigdy nie byli ani o nich nie słyszeli: o Augensburgu, wspaniałym pałacu w Echstatcie, wendarskich wioskach podobnych do tej, lesie Sachsen, opactwie Doardas, klasztorze w Korvei, targowych miastach Gerenrodzie i Gronie, mieście Kassel, w którym sama księżna Liutgarda wypytywała ją o szykowanej ekspedycji do Gentu, by wypędzić stamtąd Eików.

– Słyszałem o demonach zwanych Eikami. – Brat Godesti właśnie wrócił od zwierząt.

Usiadł przy ogniu i słuchał. Mała dziewczynka wypełzła ze swego łóżka i wślizgnęła mu się w ramiona. – Ale myślałem, że to tylko opowieści.

– Nie – rzekła. – Widziałam ich na własne oczy. Widziałam... – urwała.

– Co widzieliście? – spytał syn, przyczołgując się bliżej, jego twarz jaśniała zainteresowaniem.

Opowiedziana historia o upadku Gentu tym prostym rolnikom, którzy nie podróżowali dalej niż do miasta targowego oddalonego o dwa dni drogi, zmieniła się w legendę o starożytnych i wspaniałych czynach, powtarzaną setki razy podczas zimowych nocy. Dziwne, opowiadanie ukoło ból Liath.

– Och, księżę jest taki dzielny i przystojny – westchnęła dziewczyna przy palenisku.

Jej młodszy brat parsknął.

– Ale sobie sztywnego kochasia znalazłaś, Kopciuszk, za wysokie progi na twoje nogi!

– Hej, ty! – powiedziała pani Godesti ostro, pstrykając chłopca w podbródek. – Cicho. Nie mów źle o zmarłych. Jego cień może cię usłyszeć.

– Ale wszystkie dusze wstępują do Komnaty Światła – zaczęła Liath i urwała, słysząc szepty z alkierzy i widząc pospiesznie wymieniane spojrzenia.

Pani Godesti nakreśliła Krąg na piersi.

– Owszem, Orle. Czy napijesz się jeszcze jabłecznika, by przepłukać gardło? To jedzenie nie jest godziwą zapłatą za historie, jakie nam dzisiaj opowiadałaś.

Liath przyjęła jabłecznik i wypła go, czując, jak płonie jej w piersi. Po zjedzeniu dokładki gulaszu owinęła się w płaszcz przy ogniu, na kupce siana pełnej pcheł. Domowy kot, najdrobniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek polowało na myszy, zwinął się w kłębek na jej brzuchu, zadowolony z ciepła jej ciała. Spała niespokojnie i budząc się, widziała coraz to inną osobę klęczącą przy palenisku: dziewczynę, staruszkę, kobietę odzianą jeszcze biedniej od innych, zmieniających się przy doglądaniu ognia podczas długiej, zimowej nocy.

Rankiem, w padającym śniegu tak lekkim, że zdawał się nie dotykać ziemi, wyruszyła dalej. Brat pani Godesti szedł z nią dobrą godzinę, albo i dłużej, aż do lasu, choć próbowała go odprawić, bo nie miał nawet porządnych butów, tylko sandały wypchane szmatami. Ale gdy dotarli do miejsca, w którym jesienne ulewy zmyły drogę na zboczu pełnym drzew, była mu wdzięczna za towarzystwo. Pokazał jej nowy trakt, skrót okrążający szczyt i dochodzący do starej drogi. W lesie było wiele chrustu i żadnych pni, świadczących, że wioskowi przychodzili tu po drewno. Pożegnali się grzecznie.

– Nie wszyscy w Varre byli tacy przyjaźni – powiedziała, dziękując mu.

– Pomagaj podróżnemu tak, jak chciałbyś, żeby tobie pomagano na jego miejscu, tak nas uczyła babcia. – Zawahał się, zmartwiony. – Mam nadzieję, że wiecie, że moja siostra nie miała nic złego na myśli, wspominając ciemne cienie chodzące po ziemi.

– Wożę królewskie wieści, przyjacielu. Nie donoszę biskupinom.

Zaczerwienił się.

– Wiecie, jakie są kobiety. Jeśli nasza prababka tak postępowała, to... – niespokojnie podciągnął zgrzebną tunikę wyżej za pas.

– Mieszkacie blisko lasu. Dlaczego nie mielibyście wciąż widzieć tutaj dawnych bóstw? Zaskoczyła go.

– Wierzycie w Drzewo i Powieszzonego Boga?

– Nie – przyznała. – Ale zawędrowałam z tatą do wielu dziwnych miejsc i... – urwała.

– I? – Czy był ciekawy, czy po prostu zmęczony i zniszczony? Po wieku jego dzieci zgadła, że mógł być od niej starszy ledwie o dziesięć lat, ale wyglądał tak staro jak tato pod koniec życia, postarzały przez ciągłą pracę, zmartwienia i żal po śmierci żony. – Godesti mówi, że gdyby moja droga Adela złożyła Zielonej Pani dary na kamiennym ołtarzu, to by nie umarła, bo Zielona Pani pomaga kobietom w porodzie. Czy stało się tak, bo posłuchała diakonisy z Sorres i odwróciła się od dawnych praktyk? Modliła się do świętej Heleny, kiedy przyszły bóle, ale może Zielona Pani była zła, że nic nie dostała. Czy dlatego Adela umarła?

– Nie znam waszej Zielonej Pani. Ale mieszkałam kiedyś z tatą w Andalli. Kobiety jinnijskie nie modlą się do Pana i Pani, tylko do boga ognia Astereosa, ale przeżywały i rodziły zdrowe dzieci, w każdym razie wiele z nich. Przykro mi z powodu twojej żony. Będę się modlić za jej duszę. Może to nie ma nic wspólnego z Bogiem, oczywiście, Bóg nas wszystkich strzeże – dodała szybko. – Może dziecko nie ułożyło się w niej jak należy. Może ustawiło się stópkami do przodu i nie mogło wyjść. A może jakaś choroba krwi ją osłabiła. Przyczyną mogła być każda z tych rzeczy albo jakaś inna, nie mająca nic wspólnego z Bogiem, tak jak – pokazała za siebie – ta ścieżka została zmyta przez deszcze i osuwisko, a nie dlatego, że stwory Nieprzyjaciela zrobiły wam na złość...

– Błagam! – Pośpiesznie nakreślił Krąg na piersi, a potem kolejny znak, którego nie rozpoznała, ale na pewno był pogański. – Cienie mogą słuchać.

– Cienie?

– Dusze umarłych zbyt niespokojnych, by wsiąść na statek nocy i popłynąć do świata mroku. Albo gorzej jeszcze... – podniósł łaskę, zakreślił nią raz i zniżył głos do szeptu. – ...Cienie martwych elfów. Ich dusze otoczone są ciemną mgłą. Nie mają ciała, ale nie uwolnili się z ziemi. Nie wolno im wstąpić do Komnaty Światła, więc nie mają dokąd pójść, jeśli zginęli na tej ziemi. Nawiedzają głębokie lasy. Na pewno o tym wiecie, skoro tyle podróżowaliście.

– Cienie martwych elfów... – Wpatrywała się w las wokół: bezlistne zimowe drzewa stały na tle szarobiałego nieba, a poszycie było brązowe, ciemnozielone i jasnozielone; iglaki porastały krawędzie otwartego terenu. Wszystko było gęsto zarośnięte, pełne połamanych gałęzi, dzikie pustkowienie nietknięte ludzką ręką. Czy taki był los Sanglanta? Przemierzać ziemię jako cień, ponieważ nie mógł wznieść się przez siedem sfer do Rzeki Niebios i popłynąć wraz z innymi duszami do Komnaty Światła? Czy był teraz przy niej?

A potem otrząsnęła się ostro, a jej koń wierzgnął i rzucił łbem, jakby jej współczując.

– Nie, przyjacielu – ciągnęła. – Błogosławiony Daisan uczył, że Aoi stworzeni zostali z tej samej substancji, co ludzie. Niektórzy spośród starożytnych lordów dariyańskich nawrócili się na wiarę w Jedności. Dlaczego więc błogosławiony Daisan miałby odprawiać elfy z nieba, skoro wiernie służyli Bogu? A nawet jeśli tu mieszkają, dlaczego mieliby sobie nami głowę zawracać? – Nagle Liath uświadomiła sobie, że nie wierzyła, iż dusze zmarłych ukrywają się w lesie. I nie bała się cieni martwych elfów. Oczywiście, wiele innych stworów mogło ukrywać się w lesie, co najmniej niedźwiedzie i wilki. „Nie bać się, to być głupcem, najprawdopodobniej martwym”, powtarzał tato. Ale z dala od Hugona strach nie był już jej stałym towarzyszem.

– Kto wie, co czai się w lesie. – Mężczyzna rozejrzał się nerwowo, przestraszony nawet za dnia, kiedy światło malowało nagie pnie i uparte chmury perłowym połyskiem. – Niedaleko brodu mogą być bandyci. Ale jutro o zmierzchu dojedziecie do dużego miasta zwanego Laar.

Rozstali się. Wydawało się, że mu ulżyło, ale nie wiedziała, czy to z powodu powrotu do bezpiecznej wioski czy też dlatego, że pozbywał się jej i tych niepokojących poglądów. Nie zamierzała obrażać dawnych bogów i świętych. Ale to nie Bóg ani cienie martwych elfów czy na wpół uformowane stwory służące Nieprzyjacielowi spowodowały, że poroniła zeszłej zimy. Naprawdę nie. Spowodował to ten sam opat, którego tak wychwalali wieśniacy.

Śnieg padał przez bezlistne gałęzie. Większość dnia szła, by się rozgrzać i oszczędzić konia. Droga była dobra, biorąc pod uwagę, jak rzadko jej używano. Szeroka na dwie koleiny, nie była zarośnięta i najgorszą na niej pułapką były kałuże pokryte warstwą lodu.

Czy pośpiech w ogóle miał sens? Dotarcie do króla zajęło Hannie miesiące. Nikt się nie dowie, dlaczego ona się spóźniła, a poza tym hrabia Lavastine na pewno nie zbierze armii przed latem. Wiosna, kiedy trzeba było siać, rzeki wzbierały, a drogi zmieniały w błoto, nie była dobrą porą na wymarsz. Eikowie na pewno nie będą atakować w górę Vesperu podczas wiosennych powodzi.

Ale winna była mieszkańcom Gentu jak najszybsze dostarczenie wiadomości. Winna to była pamięci Sanglanta, aby jego śmierć została pomszczona.

Później śnieg zmienił się w zacinający deszcz i uciekła ulewie, chroniąc się pod wielkim świerkiem; jego gałęzie pochylone ku ziemi tworzyły rodzaj jaskini. Przywiązała wierzchowca i zgromadziła na zmarzniętej ziemi gałązki i patyki, otaczając je kręgiem kamieni. A potem, przygryzając wargę, sięgnęła przez ogniste okno, które widziała w myślach i przywołała ogień.

Płomienie wystrzeliły z kupki gałęzi, osmalając konary świerku. Odskoczyła. Koń parsknął, wierzgnął, szarpnął wodze i wypadł z kryjóWKi.

– Do diabła! – zakląła. Pobiegnęła za koniem. Na szczęście szybko się uspokoił i czekał na nią. Mokra i drżąca poprowadziła go z powrotem pod drzewo. Ogień się uspokoił i na wpół

zawstydzona podsyciła go normalnie. Koń skubał to, co zdołał wygrzebać, a ona żuła twardą przylepkę chleba i kawałek kwaśnego sera.

Tej nocy było zimno, ale ogień płonął równo. Co chwila spadały na nią świerkowe igły. Choć spała czujnie, to prowizoryczne schronienie, w którym igły kłuły ją przez płaszcz, a zimowy wiatr wiał w kark i odmrażał palce, było znacznie lepsze od jakiegokolwiek porządnej, cieplej, eleganckiej komnaty dzielonej z Hugonem. Jeśli zima jej dokuczała, to nie ze złośliwości, ale ponieważ los Liath był jej obojętny. Co dziwniejsze, ta ogromna i niepojęta obojętność pocieszała ją. Gwiazdy będą się poruszać niezależnie od tego, czy ona żyje czy umrze, cierpi czy się śmieje. W porównaniu z wiecznością sfery niebieskiej i wielką harmonią raję była tylko pyłkiem, przemijającym tak szybko, że prawdopodobnie demony poruszające się w eterze powyżej tak samo nie mogły pojąć jej istnienia, jak ona nie pojmowała ich. Po latach uciekania z tatą, po tym, co wycierpiała z rąk Hugona, bycie niewartą uwagi jawiło się jako wielka ulga.

Ale nadal nie była wolna. Desperacko potrzebowała preceptora: nauczyciela.

Czy Wilkun mógł ją widzieć przez ogień? Czy Hanna miała się dobrze? Węgłe się żarzyły, a podsycenie ognia było kwestią chwili. Płomienie skoczyły, jasnozłote, gdy wyciągała złote pióro.

– Hanna – wyszeptwała, obracając pióro między palcem wskazującym a kciukiem, wplatając lekki oddech powietrza poruszonego tymi obrotami w języki ognia i wznosząc z tych płomieni bramę, przez którą mogła widzieć...

Sapientia niespokojnie kręci się na krześle, najwyraźniej niezadowolona. Ze wszystkich swych dworzan tylko Hannę toleruje dłużej niż przez chwilę, Hannę przemawiającą uspokajająco i podającą napój w srebrnym kielichu. Nie ma śladu Hugona.

Pióro pieści dłoń Liath, ogień trzaska i szumi. Widzi ciemny strych pokryty sianem. Mężczyzna porusza się, rozpoznaje niespokojnego śpiącego. To Wilkun. Wypowiada przez sen imię i nagle, jakby zawołał go czyjś głos, budzi się, otwierając oczy.

– Wasza Wysokość.

Wzrok Liath zaćmiewa się i wyostrza, widzi łóżko, na którym leży trawiona gorączką kobieta w przepoconym ubraniu. Nie jest już na strychu. Trzy kobiety stoją nad pacjentką, doglądając ją. Po odzieniu Liath rozpoznaje w nich służącą, starszą zakonnice i matkę przełożoną klasztoru.

– Wasza Wysokość? To ja, matka Rotgarda. Słyszycie mnie?

Matka Rotgarda wykręca szmatkę i przewraca cierpiącą, przyciskając mokry materiał do jej czoła. Kiedy w polu widzenia pojawia się twarz, Liath rozpoznaje księżniczkę Theophanu, ale jakże zmienioną, całe życie z niej uleciało, wypalone przez gorączkę. Matka Rotgarda marszczy czoło i mówi coś do służącej, która wybiega. Rozpina tunikę księżniczki i rozchylają, by zbadać pierś młodej kobiety: pot perli się na sutkach, wilgoć ścieka po ramionach i znika

pod pachami. Grzmot serca Theophanu, dziki, nieregularny, zdaje się rozsadzać małą komnatę. Księżniczka nosi dwa naszyjniki: jeden to złoty Krąg Jedności, a drugi – panterza brosza zawieszona na srebrnym łańcuszku.

Matka Rotgarda kładzie broszę na dłoni i przygląda się jej. Obraca i palcem przesuwając napisie zbyt małym, by Liath zdołała go odczytać. Twarz opatki jest bystra, nieustanne marszczenie czoła uczyniło ją surową.

– Czary – mówi do towarzyszek. – Siostró Anno, przynieś mi z ołtarza Święte Słowa i koszyk ziół poświęconych u Paleniska. Nikomu o tym nie mów. Jeśli ta ligatura pochodzi z dworu, to nawet, gdy księżniczka przeżyje, nie będziemy wiedzieć, kto jest naszym wrogiem, a kto sprzymierzeńcem. To zdradza kogoś wykształconego.

Matka Rotgarda wymawia błogosławieństwo, Theophanu jęczy, a wizja zmienia się w przytłumiony blask stygnących węgli.

Deszcz osłabł, a kiedy Liath chowała złote pióro i kulila się z zimna, mrok zamienił się w chłodne oczekiwanie świtu.

„Czary”. Jak potężny stał się Hugo? Czy ona sama przestała być odporna na jego magię? Czy kiedykolwiek była?

Ta niepokojąca myśl była jak ciężar, kiedy siodłała konia i przygotowywała się do drogi. Ujęła wodze i chciała wyjść spod drzewa, ale poczuła ostry ból w piersi. Przycisnęła dłoń do bolącego miejsca... gdzie pod tuniką schowała złote pióro Aoi.

W tej samej chwili, stojąc bez ruchu, wciąż na wpół ukryta pod gałęziami igłaka, usłyszała trzaśnięcie gałązki. Wskoczyła na siodło, wydobyła z kołczana łuk i strzałę. Położyła łuk na udach i ruszyła na zachód, jedną ręką trzymając wodze, drugą broń.

Stado przepiórek poderwało się nagle, wypłoszone z kryjówek. Gapiła się na poszycie, ale nic nie zauważyła. Ale czuła mrowienie na karku: ktoś lub coś obserwował ją z ukrycia wśród drzew.

Pognała konia tak szybko, jak tylko mogła. Następne miasto leżało daleko i nie mogła ryzykować wyczerpania zwierzęcia, a poza tym tu i ówdzie na drodze były dziury, w których łatwo mogło uwięznąć końskie kopyto. Nic nie pojawiało się na szlaku ani przed nią, ani za nią. W lesie widziała tylko splątane drzewa i śnieg spadający z poruszonych gałęzi.

Nagle w leśnym cieniu pojawiły się niewyraźne postacie, biegnące wśród drzew jak wilki, które wyczuły zdobycz.

Coś podobnego syczeniu rozgniewanego oddechu przeleciało obok jej ucha, więc rzuciła się w drugą stronę. Koń się potknął. Strzała utkwiała w pniu pobliskiego drzewa. Była delikatna jak igła i nie miała lotek. Białe zimowe światło lśniło na jej srebrnym drzewcu. A potem, w mgnieniu oka, zmieniła się w mgłę i znikła.

Krzyk rozległ się znikąd i zewsząd jednocześnie: wysokie wycie bardziej podobne wojennemu zaśpiewowi niż wołaniu o pomoc. Niosło się po lesie jak powiew huraganu.

Może jednak czasami lepiej było uciekać niż walczyć.

Galopując drogą, wypadła na przesiekę, zanim jeszcze sobie uświadomiła, że drzewa po obu stronach szerokiego strumienia zostały wycięte. Nad mętym brodem wisiał rozpadający się most.

Grupa mężczyzn blokowała most i dojście do niego. Podnieśli broń, gdy ją ujrzeli. Osadziła konia i gdy tańczył pod nią nerwowo, spojrzała w tył i znów przed siebie, nie wiedząc, czego bardziej się bać. Mężczyźni wyglądali na zaniedbanych i zdesperowanych łajdaków, którymi bez wątplenia byli. Większość miała stopy owiązane szmatami. Kilku nosiło pozostałości zbroi, watowane kubraki obszyte kawałkami skóry. Tylko przywódca miał hełm: brudną i zapleśniałą skórzaną czapkę zawiązaną pod brudną brodą. Ale stali przed nią, wrodzy i gotowi do biegu; byli namacalni, prawdziwi. Nie miała pojęcia, co wydało taki okrzyk.

– Jestem królewskim Orłem! Jadę z królewskim posłaniem. Przepuście mnie.

Odgadli już, że jest sama.

– Król Wendaru – powiedział najbliższy i splunął na ziemię. – Jesteś teraz w Varre. To nie nasz król.

– Henryk rządzi Varre.

– Henryk to uzurpator. Jesteśmy lojalni damie Sabelli.

– Sabella nie jest już księżną. Nie rządzi już Arconią.

Mężczyzna znów splunął, pewnie ujmując oszczep. Rzucił spojrzenie kamratom, uzbrojonym w maczugi z grubych gałęzi. Dwóch zeszło z mostu i zaczęło okrążyć ją z obu stron.

– To, co fałszywy król gada o damie Sabelli, nic tu nie znaczy. Jego błąd, że wysyła tu swych ludzi i myśli, że jego słowo ich ochroni. Lepiej się z tobą obejdziemy, kobieto, jak się poddasz bez walki.

– Nie mam nic, co się wam przyda – powiedziała, podnosząc łuk, ale zaśmiali się tylko.

– Dobre buty, ciepły płaszcz i ładna twarz – rzucił wódz. – Nie wspominając konia i broni. To się nam przyda.

Naciągnęła cięciwę i wycelowała w wodza.

– Każ swoim ludziom się cofnąć albo cię zabiję.

– Kto ściągnie ją z konia, ma pierwszeństwo – rzekł.

Dwaj mężczyźni zaatakowali. Ten po prawej miał pecha i dotarł do niej pierwszy. Kopnęła go mocno w podbródek i kiedy się zatoczył, odwróciła się do drugiego. Naciągnęła cięciwę, trzymając strzałę tuż przed jego twarzą, gdy sięgał po jej but. Zwolniła cięciwę.

Strzała przeszła mu usta. Zatoczył się i upadł.

Nie było czasu na myślenie. Nie mieli łuków. Mogła im uciec.

Zawracając konia, zobaczyła w lesie cienie. Poruszali się jak myśliwi, ale natychmiast zrozumiała, że nie byli ludźmi, kamraci bandytów nie przybyli im na pomoc. Nosili łuki tak

delikatne i lekkie, jakby utkano je z pajęczyny, tysiącrotnie ją zwijając, by stała się mocna jak drewno.

Złapana pomiędzy jednymi i drugimi. Nie miała powodów, by komukolwiek ufać.

Mężczyzna, którego kopnęła, pozbierał się i skoczył ku niej, stękając.

Żywe drzewa w zimie kiepsko się palą... sięgnęła po ogień i wezwała go na stary most.

Bele i deski zapaliły się gwałtownie, ogień trząskał i świszczął. Mężczyźni na moście wrzasnęli, skacząc do zimnej rzeki, brnąc przez wodę ku brzegowi. Koń zarżał i wierzgnął. Cienka srebrna strzała musnęła jego bok i upadła na ziemię. Człowiek, który biegł ku niej, krzyknął ze strachu, a potem padł, szarpiąc srebrną strzałę wystającą mu z gardła.

Ruszyła ku rzece. Mężczyźni odczołgivali się, uciekając przed nią lub tym, co ją ścigało, ukryte w lesie. Omywająca jej uda zimna woda była szokiem, kiedy gnała konia przez strumień. Zwierzę nie potrzebowało ostrogi; miało tyle rozumu, by uciekać. Woda zakryła jego zad i zmyła cienki strumyk krwi, płynący z rany zadanej przez strzałę. Przez moment koń stracił grunt pod kopytami; potem wspinali się na brzeg, przełamując cienką warstwę lodu.

Z tyłu usłyszała krzyk: nie zatrzymała się, by spojrzeć. Na środku drogi, unieruchomiony strachem, stał jeden z bandytów. Przerażony wpatrywał się w płonący most i kamratów padających na drugim brzegu albo umykających z nurtem.

– Sądysz, że król Henryk zostawia Orły bez opieki? – wrzasnęła. Skoczył do lasu, zmykając przed nią albo tym, co szło za nią. Odwróciła się.

Most płonął jak pochodnia. Z lasu nie wynurzały się żadne cienie, a bandyci rozbiegli się. Z mostu nic nie zostanie. Patrząc, zdała sobie sprawę, że nie mogła wygasić ognia – nie wiedziała, jak. Spróbowała sięgnąć, wyobrażając sobie płomienie zmieniające się w żar, a żar w popiół, ale ogień na moście nadal buzował. Przeraziło ją to. Nie mogła go kontrolować.

A potem oni wyszli z lasu. Mieli ciała na kształt ludzkich, nawet zarys starych zbroi, napierśników z brązu ozdobionych kobietami o sępich głowach i cętkowanymi lwami bez grzyw. Ale widziała przez nich drzewa. Byli raczej gęstą mgłą wtłoczoną w obcy kształt, ludzki a jednocześnie nieludzki – i ścigali ją. Jeden podniósł łuk i strzelił, srebrna strzała błyskająca w słońcu znikła w płomieniach. Doszli do brzegu strumienia, trzymając się z dala od ognia pożerającego stary most, ale nie odważyli się przejść przez wodę.

Zawróciła konia i uciekła.

Jechała, szła obok konia, znów jechała, a potem szła obok zmęczonego wierzchowca. I choć zimowe dni są krótkie, ten zdawał się trwać w nieskończoność. Las się nigdy nie skończy.

W końcu o zmierzchu, o cudzie, zmienił się w karczowisko. Świnie umykały jej spod nóg. Pola wykarczowane pomiędzy drzewami jak blizny wskazały jej drogę. Nadal się trzęsła, kiedy doszła do Laar o wschodzie rosnącego księżycy.

Przy zamkniętej bramie krzyknęła:

– Proszę! Jestem królewskim Orłem jadącym z posłaniem od króla. Dajcie mi schronienie!

Brama zaskrzypiała, wpuścili ją. Dobrzy varreńscy wieśniacy nie sprzyjali Henrykowi, ale ona była dziewczyną podróżującą samotnie, a poza tym chcieli usłyszeć od niej wieści.

Diakonisa natychmiast odprowadziła konia i zaaplikowała na elfi postrzał wodę święconą, babkę i szwy, śpiewając nad rannym zwierzęciem psalmy.

– Musiałaś się modlić, córko – powiedziała diakonisa. – To na pewno interwencja świętej Herodii, której dzień dziś wypada, ocaliła cię od zguby.

Liath zostawiła konia pod opieką diakonisy i pozwoliła się odprowadzić do domu, w którym zgromadziło się całe miasto, by popatrzeć, jak dziewczyna jadła zimną kolację. Mieszkańcy wiedzieli o bandytach i cieszyli się, że się ich pozbyli, a jasnym było, że w Laarze wszyscy dawno pogodzili się z atakami bezimiennych stworzeń buszujących w lesie.

– Wiecie, co to jest? – spytała Liath.

– Cienie martwych elfów – odpowiedział gospodarz, który ją przyjął.

– Skazani są na błędzenie po ziemi – dodała starsza – bo nie mogą wstąpić do Komnaty Światła.

– Moja mądra ciotka mówiła mi, że niegdyś władali tu Zaginieni – nadmienił gospodarz.

– Ich cienie nie mogą zdobyć się na opuszczenie miejsca ich wielkiej chwały. Nawiedzają nas więc i próbują wygonić, aby ich ród mógł powrócić i znów tu władać.

Jedna opowieść prowadziła do kolejnej, a oczywiście chcieli wiedzieć, jakie wieści niosła do hrabiego Lavastine'a, o którym słyszeli; jego najbardziej wysunięte na południe włości leżały o dziesięć dni drogi z Laar. Niektórzy nawet widzieli hrabiego i jego armię, wracającą zeszłego lata po bitwie pod Kassel.

– Był z nim jego dziedzic – powiedział gospodarz. – Ładny chłopak, wysoki i szlachetny. Czego król chce od hrabiego Lavastine'a? On w końcu jest Varreńczykiem, a król Wendarczykiem. Może król nie lubi varreńskich hrabiów.

Opowiedziała im o Gencie.

– Ach, Smoki! – rzekła stara kobieta. – Widziałam Smoki wiele lat temu! Byli bardzo wspaniali.

Tej nocy, leżąc przed paleniskiem owinięta w płaszcz, śniła o psach Eików.

Rozdział dwunasty

Czytanie z kości

1.

Zima trwała i kiedy Eikowie zgromadzeni w Gencie znudzili się, Sanglant zaczął tracić swoje psy. Jak Smoki, walczyły za niego, gdy został zaatakowany. Jak Smoki, umierały. Robił, co mógł, by je ocalić, ale to nigdy nie wystarczało.

Eikowie potrzebowali walki i starcia z niewolnikami. Te, które aranżowali, były ohydne. Kilka bójek wszczętych z nim przegrali. Poniżej ich godności było walczyć w kilku przeciw jednemu lub z bronią, podczas gdy on jej nie miał, a on przez te miesiące tak udoskonalił swe umiejętności, że żaden z nich, nieważne jak silny i dzielny, nie mógł go pokonać.

O tym, że Eikowie wciąż najeżdżali, dowiadywał się, gdy jeden z niespokojnych książątek przyprowadzał przed oblicze Krwawego Serca kilku żalonych niewolników albo przynosił garść łupów, ale zdobycze wokół Gentu okrutnie się zmniejszyły po trzech sezonach najazdów. Inni zwoływali zebrania, podczas których ten lub inny dziki opowiadał w ich ostrym języku historie rzezi, czasami ilustrując je niewolnikami, biednymi skazanymi duszami.

Takie pokazy nie robiły wrażenia na Krwawym Sercu. On też był niespokojny. Grał na kościanych fletach. Bawił się swymi mocami, jakiegokolwiek by nie były – Sanglant miał zbyt mało doświadczenia z magią i nie umiał ocenić tego, co widział: lśniących pajęczyn oplatających katedrę światłem; zawodzących smoków, wypełniających wielką nawę uderzeniami ogonów i palącym ogniem, nim rozplywały się we mgle; błyszczących rojów pszczół, które dręczyły Sanglanta, żądłąc go, aż twarz i dłonie mu puchły, tylko po to, by zniknąć wraz z opuchlizną, kiedy Krwawe Serce zmęczył się zabawą i odkładał flety.

Kiedy groziła mu fala szaleństwa, uciekał do swego dworu, wybudowanego przez zimę z takim trudem, jakby własnymi rękami strugał belki i kładł dach. Wizja dworu ratowała go przed czarną chmurą szaleństwa więcej razy, niż mógł zliczyć.

Ale to nie wystarczało.

Czuł dym przynoszony przez wiatr, ognie palone w mieście, a potem ostry swąd palonego drewna. Słyszał, jak Eikowie dzień po dniu grają w swą grę na placu przed katedrą. Zwycięska drużyna zawsze się śmiała i wyła, rzucając trofeum, worek z ohydą zawartością, pod nogi Krwawego Serca. Być może na chłodzie poruszali się bardziej opieszale, ale ani zimno, ani gorąco, ani przenikliwie lodowaty wiatr, ani cisza głębokiego śniegu, ani bicze marznącego deszczu czy tępy ból zimna przenikającego aż do kości nie kłopotowały ich, nie bardziej niż kłopotowałyby skałę.

Zima przechodziła w wiosnę i dni stawały się dłuższe, a on zauważył zmianę w ich wyglądzie. Wielu z nich nosiło skórzane zbroje sporządzone w garbarniach Gentu i uzbrajało się w oszczepy, topory i strzały o grotach wykutych w kuźniach miasta. Dzień i noc słyszał krzyki niewolników, ale nie mógł nic zrobić, by im pomóc.

Mógł tylko obserwować i myśleć. Nadchodziła wiosna. Rzeka niedługo wzbierze. Aż do późnej wiosny niewiele statków będzie mogło popłynąć w górę Veseru. Ale Krwawe Serce gromadził armię. Każdy głupiec by to dostrzegł, nawet szalony. Codziennie Eikowie przybywali i odchodzili. Niektórzy – Sanglant rozróżniał ich teraz – nie wracali, jakby zginęli podczas wyprawy albo wyruszyli znacznie dalej. Chyba nawet Eikowie nie odważali się pokonywać zimą północnego morza, ale kto wie? Byli dzicy, a dzicy mogli poważnie się na wszystko.

Przykuty, mógł tylko patrzeć. Gdy utrzymywał szaleństwo w ryzach i kontrolował psy, mógł myśleć. Mógł planować.

Krwawe Serce nie może wyprowadzić armii z Gentu. Veser wpływał głęboko w ziemię Wendaru i mając wiele statków oraz wolną drogę z Gentu, Krwawe Serce mógł poczynić straszliwe spustoszenie w kraju Henryka.

Nawet Krwawe Serce musiał mieć słabość. Potrzebował tylko bystrego wzroku, jak Liath, by tę słabość znaleźć.

Zaobserwował pewne rzeczy.

Niewielka galeria – chór – biegła nad nawą wzdłuż ściany katedry, ale żaden Eika nigdy tam nie chodził ani się nie wspinał, by spojrzeć z góry na swych braci.

Psy nigdy nie miały szczeniąt i się nie parzyły.

Tak jak on przykuty był łańcuchami do ołtarza, tak kapłan zdawał się przykuty do Krwawego Serca. Jeśli Krwawe Serce siedział na tronie, kapłan nie wychodził z budynku. Jeśli Krwawe Serce opuszczał katedrę, co czynił cztery razy dziennie, kapłan deptał mu po piętach jak pies.

Nigdy nie zauważył, aby Eikowie byli zainteresowani seksem z niewolnikami; być może pogarda dla ludzkich wrogów była zbyt głęboka, by zdobyli się na takie stosunki.

Kapłan nigdy nie rozstawał się z drewnianą skrzyneczką i skórzaną sakiewką. Z sakiewki wydobywał kości, których używał do odczytywania przeszłości. Skrzynki nigdy nie

otwierano.

Niezależnie od tego, ilu Eików tłoczyło się w nawie, nie cuchnęli. Ludzie cuchnęli; Sanglant wiedział o tym doskonale, bo długo żył między nimi. Dwór królewski śmierdzał wieloma stłoczonymi osobami. Wioski i dwory miały swój własny zapach potu, mokrej wełny, dołów na odpadki, gnijącego mięsa, świętej krwi kobiet, nawozu, nie dające się usunąć zapachy garbarni i kuźni, masarni i piekarni, spleciony razem w smrodliwą jedność. Podejrzewał, że Eikowie uważali, iż cuchnął, nawet jeśli był człowiekiem tylko w połowie. Ale nie mył się od miesięcy; nawet psy były czystsze od niego.

O Pani, nie był lepszy od dzikiego zwierzęcia w leśnej jamie, pokrytego brudem, choć dbał o siebie, na ile mógł. Ale to nigdy nie wystarczało.

Kiedy nadejdzie król Henryk? Sanglant pojął, że nie może umrzeć tutaj, pomiędzy psami. Klątwa jego matki też była przekleństwem, bo śmierć jawiła się jako błogosławieństwo: była nim dla jego wiernych Smoków, których kości gniły w krypcie albo, wygładzone i przewiercone, grały Krwawemu Sercu na uciechę. Sanglant wierzył, że jakieś wydarzenie powstrzymało Henryka zeszłej jesieni przed marszem na Gent. Nie, aby ocalić Sanglanta: zemsta stanowiła luksus. Ale Henryk musiał odbić Gent.

A ktoś musiał powstrzymać Krwawe Serce.

Kiedy tylko spojrział bystro na to, czego nigdy nie ukrywano, odpowiedź stała się oczywista. Zaskoczony był, że tyle czasu zajęło mu zrozumienie jej. Wiedział, jak zabić Krwawe Serce, jeśli tylko zdoła podejść wystarczająco blisko.

2.

Ivar tak niewiele się liczył dla matki Scholastyki, że kazała Zasznurowanym Ustom przekazać wiadomość, równą wyrokowi śmierci.

– Nie będziesz więcej narzekać, niewdzięczniku! – fuknął nauczyciel. Nie uśmiechał się, ale Ivar wyczuł w następnych słowach wredną satysfakcję. – Twój ojciec odpowiedział wreszcie na twą nieprzystojną prośbę o zwolnienie ze ślubów. Oczywiście, zostaniesz w klasztorze. Będziesz się modlił w intencji twych krewnych, żywych i martwych. A teraz – uderzył Ivara trzcinką po palcach – wracaj do pracy!

Jaki miał wybór? Codzienna rutyna w Quedlinhamie była w swej monotonii pocieszeniem dla zbolałego serca. Uwieszony na zawsze. Nawet Liath go odrzuciła i to po wszystkim, co obiecał dla niej uczynić.

Monotonia przerywana była tylko raz dziennie, czuł się choć trochę wyrwany z otępienia, w którym pograżyło się jego serce i dusza. A nawet to wydarzenie napotykało na przeszkody.

– Problem polega na tym – powiedział Baldwin – że nie możemy się do niej zbliżyć. Dobrze jest słuchać tego, co mówi, ale zawsze oddziela nas płót.

– A jakie znaczenie ma liche płoty? – zapytał Ermanrich. – Jak możesz w nią wątpić,

Baldwinie? Czy nie słyszysz prawdy w każdym słowie, jakie wypowiada?

– Jak możemy poznać, na ile jest szczerą, skoro widzimy jej twarz jedynie przez dziurę po sęku? A jeśli umieszczono ją tam, by nas sprawdzić?

– Zaiste sprawdzian – wymruczał Zygryd głosem stłumionym przez złożone dłonie przyciśnięte do ust. Skłonił głowę, zamknął oczy i zdawał się krzywić.

Odkąd Tallia przybyła do Quedlinhamu, odkąd zaczęła swym pełnym monotonnej pasji głosem mówić o Odkupieniu błogosławionego Daisana, jego śmierci i odrodzeniu, biedny Zygryd toczył wewnętrzną walkę, która sprawiała mu olbrzymi ból.

Czterej chłopcy nie byli jej jedynymi słuchaczami. Każdego popołudnia zaraz po nieszporach Tallia szła boso spod kolumnady aż do płotu oddzielającego męski nowicjat od żeńskiego. Każdego dnia przez ostatnie trzy miesiące, niezależnie od tego, jak brzydka była pogoda, klękała, okryta tylko szorstkim habitem, i modliła się. Niewielu przyłączało się do niej każdego dnia. Jednym z nich był Ermanrich, klęczący po drugiej stronie płotu, drżąc na śniegu, deszczu, porywistym wietrze i ciężkim mroźnym oddechu zimy, byle tylko usłyszeć jej słowa, a także kilka nowicjuszek, między innymi Hathumod, kuzynka Ermanricha.

Baldwin i Ivar przychodzili jej posłuchać wtedy, kiedy nie wymagało to zbyt wielkich wyrzeczeń. Podczas ładniejszych dni zbierało się też wiele nowicjuszek, tak przynajmniej chłopcy sądzili po odgłosie wielu wstrzymywanych oddechów podczas kazań Tallii, szelestu szorstkich habitów, cichych szeptów i czasem chichotów. Ale nigdy nie chichotano ze słów Tallii. Nikt nigdy nie śmiał się z księżniczki i jej heretyckich nauk.

Lady Tallia nigdy nie podnosiła głosu. Nigdy nie wykorzystywała swej wysokiej pozycji, w przeciwieństwie do syna księżnej Rotrudis, Reginara, ani też nie oczekiwała posłuchu lub szacunku. Wręcz przeciwnie.

Jej odmawianie sobie wszystkiego obrosło wśród nowicjuszek legendą. Nigdy nie nosiła butów, nawet w zimie. Jej dieta składała się wyłącznie z żytniego chleba i fasoli. Nigdy nie piła wina, nawet podczas świąt. Nigdy nie pozwalała postawić przy łóżku piecyka, niezależnie od tego, jak zimno było i w przeciwieństwie do innych szlachcianek nie pozwalała żadnej służącej zajmować się sobą, tylko nalegała, gdy matka Scholastyka na to pozwalała, na usługiwanie służbie, jakby to ona była dziewczką z ludu, a one wysokiego rodu.

Krążyła nawet plotka, że nosiła włosienicę pod habitem, dopóki matka Scholastyka nie zabroniła jej oddawać się tak pyszałkowatemu pokazowi pokory.

– Ciii... – syknął Baldwin. Na kolanach, przyciskając twarz do dziury po sęku, spoglądał na to, co było im zakazane. – Nadchodzi.

Ivar padł na kolana. Zimna ziemia ziębiła przez habit jego skórę i zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do środka. Ale w środku Zasznurowane Usta chrapał przy piecyku, a lord Reginar i jego psy czekali tylko, by zatruć życie każdemu, kto przeszkodził im grać w kości. Drugoroczni nowicjusze pod wodzą Reginara zawsze grali w kości przed nieszporami, jedynej porze dnia, kiedy mieli trochę czasu wolnego.

Tylko w tym czasie Tallia miała okazję i odrobinę prywatności, by mówić.

– Dlaczego więc – wyszeptał Baldwin, odwracając się od płotu i pozwalając Ermanrichowi przycisnąć oko i nos do dziury – jeśli mówi prawdę, nie wygłosi jej przed matką Scholastyką? – Jak większość ładnych i rozpieszczanych dzieci, Baldwin żywił naiwne przekonanie, że dorośli spełnią każdą rozsądną lub pełną szczerą pasję zachciankę.

– Dlaczego więc nie powiedziałaś swoim rodzicom, że po prostu nie podoba ci się szlachcianka, która chciała cię poślubić, zamiast twierdzić, że masz powołanie do bycia księdzem? – zapytał Ivar.

Piękne oczy Baldwina błysnęły.

– To by nie miało znaczenia! Wiesz równie dobrze jak ja, że podobanie nikogo nie obchodzi, kiedy jedna rodzina chce się związać z drugą. Szczególnie zaś nie obchodzi rodziny, która na związku skorzysta.

– Jesteś zbyt sceptyczny, Baldwinie – powiedział Ermanrich.

– W sprawach małżeństwa czy lady Tallii?

Nadeszła kolej na Zygryda. Kiedy nowicjuszek po drugiej stronie klękały, szeleszcząc szatami, kichając i kaszląc, odchylił się i rzekł:

– Oczywiście zostałaby potępiona przez matkę Scholastykę i inne autorytety, gdyby usłyszeli, jak wygłasza taką herezję!

– Cicho – powiedział Ermanrich. – Nie słyszę jej.

Zygryd odsunął się i pozwolił Ivarowi zająć miejsce przy dziurze. Ivar zmrużył oko, widząc najpierw wymieszane twarze i habity. Jak dwanaście cnot, dziewic, w *Pasterzu z Hermas*, tak nowicjuszek i nawet cicha nauczycielka zgromadziły się wokół Tallii, by słuchać. Ivar łączył twarze z cnotami. Tallia byłaby oczywiście Wiarą; Hathumod Prostotą; starsza i spokojna nauczycielka Zgodą. Reszta – nie rzucające się w oczy dziewczęta z włosami okrytymi chustami, z nosami białymi lub czerwonymi z zimna i pobożnie złożonymi bladymi dłońmi – byłyby Wstrzemięźliwością, Cierpliwością, Wspaniałomyślnością, Niewinnością, Miłosierdziem, Dyscypliną, Prawdą i Rozwagą. Ze wszystkich tylko Tallia miała naprawdę interesującą twarz, uszlachetnioną postawą. Ale może to rys fanatyzmu był tak fascynujący. Nie miała w sobie nic z ciepłej urody Liath, ale była jedynym obiektem wartym ciekawości, jaki Ivar widział, odkąd Liath opuściła Quedlinham.

– Śmierć to przyczyna życia – mówiła. – Poprzez poświęcenie błogosławionego Daisana w rytuale, w którym Dariyanie zdierali skórę z żywego człowieka, cesarzowa uwolniła go z jego ziemskiego odzienia. I tak na zawsze został uwolniony ze swego ciała, którego nie potrzebował w Komnacie Światła.

– Ale dlaczego musiał tak zginąć? – zapytała jedna z dziewcząt. – Czy nie cierpiał?

– Cierpiał już z powodu ogromu naszych grzechów. – Tallia podniosła ręce i odwróciła dłońmi ku górze, pokazując słuchaczom. – To tylko skóra ulepiona z gliny, nic więcej. Jak wszystko inne poza Komnatą Światła, skażona jest ciemnością. Nie wracamy do Boga ciałem,

lecz duchem. To nasza dusza wznosi się poprzez sfery do Komnaty Światła.

– Ale jak więc błogosławiony Daisan mógł powrócić na ziemię i znów przebywać pomiędzy swymi uczniami, o czym mówiłaś, skoro nie miał ciała?

– Czyż Bóg nie jest wszechmocny? Dał nam życie. Dał życie kosmosowi... Ach! – Tallia jęknęła, zataczając się i Hathumod, kobieta równie postawna, jak jej kuzyn, podtrzymała ją. – Błogosławiona Pani! – powiedziała Tallia zmienionym głosem, wysokim i bez tchu, a jednak przeszywającym. – Widzę światło jak oślepiający blask aniołów. Przenika on opar mgły zakrywający ponurą ziemię. – Jej głowa opadła w tył, Tallia zemdląca.

Ivar odskoczył od płotu i wpadł na Baldwina, Ermanricha i Zygryda stojących za jego plecami, przypierających go do szorstkiego drewna.

– Co się stało? – zapytał Ermanrich.

Rozbrzmiały dzwony na nieszpory i czterech młodych mężczyzn ruszyło, by z poczuciem winy zająć swe miejsca w szeregu.

Ivar postanowił znieść trzcinę Zasznurowanych Ust, aby przyjrzeć się dobrze szeregowi nowicjuszek wkraczających do kościoła, ale nie ujrzał między nimi lady Tallii... a ona nigdy, przenigdy nie opuszczała okazji do modlitwy.

Ani też nie zjawiała się na swoim miejscu przed nieszporami następnego dnia.

Dwa dni zajęło Ermanrichowi zorganizowanie spotkania na osobności z kuzynką, a wieści, które przyniósł, przeraziły chłopców.

– Hathumod mówi, że Tallię powalił paraliż.

– Diabły w niej zamieszkały przez jej heretyckie słowa! – powiedział Zygryd, obgryzając paznokcie. – Została opętana przez Nieprzyjaciela!

– Nie mów takich rzeczy! – Zdolność Ermanricha do podporządkowywania się bez urazy życzeniom innych, w tym przypadku własnej matki, pozwoliła mu wstąpić do quedlinhamskiego klasztoru z rezygnacją i spokojnym sercem. Teraz jednak nie wyglądał na spokojnego. – Leży jak martwa, mówi Hathumod i tylko najlżejszy rumieniec na policzkach pokazuje, że wciąż żyje. To Bóg ją dotknął, poddaje jej wiarę próbie choroby!

– Jeśli to prawda, że tak mało je, to pewnie zemdląca z głodu – stwierdził Baldwin, któremu nic nie mogło odebrać apetytu. – Moja ciotka mówi, że kiedy rolnicy są zbyt słabi, aby siał, to pewna oznaka głodu. Biskupina zachęca nas do dobroczynności i rozdawania w ciężkich czasach ziarna dla dobra naszych dusz, ale moja ciotka powtarza, że lepiej to robić dla dobra naszych ziem.

– Baldwin! – Biedny Zygryd wyglądał na głęboko urażonego. – Jak możesz mówić takie rzeczy w domu Bożym, niech ci wybaczy twój brak szacunku.

– Mówienie prawdy nie jest brakiem szacunku!

– Spokój! – powiedział Ivar. – Kłócenie się niczym książęta nic nam nie da. – Ale opanował go nagły strach i nie wiedział dlaczego.

Nie wiedział dlaczego, ale on i inni codziennie o tej samej porze klękali przy płocie, licząc na wieści. Wieści nadeszły w najbardziej porażający sposób cztery dni później, kiedy Tallia we własnej osobie, wspierając się na Hathumod, powoli podeszła do swego miejsca. Tam uknęła na świeżym śniegu, jakby był wiosennymi kwiatami, złożyła dłonie na piersi i zaczęła się modlić.

Jej usta były bezbarwne. Ręce zwinęła jak szpony, wbijając paznokcie w dłonie. Choć jej ciało było słabe, głos miała mocny.

– Chwalmy Boga! Dzięki błogosławieństwu Świętej Matki i Jej błogosławionego Syna wszyscy dostąpimy życia wiecznego, jeśli tylko głosić będziemy Święte Słowo poświęcenia i odkupienia. Pokonało mnie światło i gdy leżałam, powalona niemocą zesłaną z Bożej ręki, miałam wizję.

Jej twarz była tak czysta, delikatna i blada, że zdawała się niemal eteryczna, jakby jej ciało zostało odsączone i tylko siła nieśmiertelnej duszy utrzymywała ją na tym świecie. Niezwykła delikatność jej ciała, spleciona z ogniem we wzroku nadała jej piękno, którego wcześniej nie miała, tak przynajmniej pomyślał Ivar, wpatrując się w nią intensywnie, zanim Ermanrich stuknął go między łopatki i zażądał swojej kolejki przy otworze.

Choć nie powinni byli patrzeć.

– Moja dusza została poprowadzona przez ducha ognia aż do miejsca, gdzie spoczywają anioły. Tam dostąpiłam wizji nagród, jakimi Bóg obdarzy wszystkich Go kochających, a w które nie wierzą niewierni i wyznawcy fałszywego Słowa Jedności. – Podniosła pięści. Z wielkim wysiłkiem, krzywiąc twarz z bólu, rozprostowała spuchnięte palce.

Ivar jęknął głośno, podobnie jak wszystkie nowicjuszeki zgromadzone po drugiej stronie płotu.

Jej dłonie krwawiły, a na każdej rysowała się cienka szkarłatna linia biegnąca ku środkowi, jakby nóż zrobił pierwsze nacięcia, aby oddzielić skórę od ciała. Krew spływała z jej dłoni i barwiła śnieg szkarłatem.

Ivar zatoczył się w tył, zasłaniając oczy rękami.

Ermanrich przycisnął twarz do płotu:

– Cud! – wyszeptał.

Zygryd, spojrzawszy przez dziurę, był zbyt oszołomiony, by mówić.

Baldwin tylko stęknął.

* * *

Nawet nie miesiąc później, kiedy śnieg wreszcie stopniał i zakwitły pierwsze fiołki, pnąca róża wyrosła w miejscu, które splamiła krew Tallii. Na dzień świętej Joanny Posłanniczki pojedynczy pąk rozwinął się w szkarłatny kwiat.

– To znak – wymruczał Zygfryd i tym razem Baldwin się nie sprzeciwił.

Minał prawie rok, odkąd Ivar ukląkł przed wrotami i został nowicjuszem. Po raz pierwszy od tego dnia wchodził do wielkiego kościoła w Quedlinhamie, nie rozmyślając nad swym żalem. Jego serce było przepełnione tajemnicą i zachwytem.

3.

Alain ujrzał ją z daleka. Zatrzymał się, przywołał psy i nakazał im usiąść w półokręgu wokół siebie.

– Idźcie – powiedział, podczas gdy jego eskorta, zwykły orszak złożony z psiarczyków w watowanych kaftanach, sześciu zbrojnych i kleryka, który został sprowadzony do majątku, aby czytać Alainowi na głos różne traktaty na temat zarządzania i rolnictwa, gapiała się ze szczytu łagodnego wzgórza na niezwykle zjawisko: Orła, który szedł, zamiast jechać konno. – Ulryku i Robercie, zejdźcie i doprowadźcie ją do mnie.

Bezpieczniej było przyprowadzać do niego nową osobę; kiedy zbliżał się z psami, wszystko mogło się zdarzyć.

Cienka warstwa śniegu pokrywała zimowy pejzaż błyszczącą bielą, przeciętą tylko ciemną linią południowej drogi i szkieletami drzew owocowych, wyciągających nad nią gałęzie. Z tego punktu widział za sobą wieżę Iavas, ale nie miasto, tylko dym wznoszący się ku czystemu niebu. Tego dnia przypadało świętej Oyi, pierwszy Fevrua (tak rano poinformował go kleryk), a pogoda była ładna. To dobry znak dla tych dziewcząt, które w zeszłym roku krwawiły po raz pierwszy; teraz zasiądą w kościele na ławkach dla kobiet, a wystarczająco zamożne rodziny mogły nawet zacząć myśleć o zaręczeniu ich z odpowiednim mężczyzną. Za trzydzieści dni przypadnie pierwszy dzień miesiąca Yanu, nowego roku i wiosny.

W nowym roku, jeśli Bóg pozwoli, on się zaręczy.

– Na Panią! – zaklął kleryk, a reszta mężczyzn zamruczała, równie zdziwiona. Alain również nie spuszczał oka z Orła, który spotkał się z dwoma żołnierzami i ruszył wraz z nimi pod górę. Nigdy nie widział, aby Orzeł przybywał inaczej niż konno, bo Orły musiały poruszać się szybko, a jak to lepiej osiągnąć, niż dosiadając konia? Ale nie tylko tym ta Orlica zadziwiała.

Młoda, miała najbardziej zdumiewającą cerę, tak brązową, jakby dopiero co wkroczyła w zimowy pejzaż z kraju, w którym przez cały rok dzień i noc płonęło letnie słońce. Na plecach nosiła łuk i kołczan, u boku przypasała miecz, przez ramię przerzuciła skórzaną sakwę z jedzeniem i szła krokiem dobrego żołnierza piechoty. Ale było w niej jeszcze coś, czego nie potrafił nazwać. Miała w sobie pewną jasność, ciepło... to nie miało sensu, a jednak poraziło go jak dostrzeżenie w buzi dziecka podobizny matki.

– Autun! – powiedział nagle głośno. – Była jednym z Orłów, który przyjechał do Autunu po bitwie pod Kassel. Przywiozła wieść o upadku Gentu.

Psy zaczęły piszczeć.

Uciekały ze zwieszonymi łbami, skowycząc, byle dalej od niej, gdy się zbliżała. Najpierw Radość, potem Strach, a po nich reszta próbowały czmychnąć, pokorne jak szczenięta wystraszone przez grom; zostały tylko Smutek i Furia, choć i one wierciły się niespokojnie.

– Siad! – nakazał i reszta psów niechętnie posłuchała. Ale kiedy Orzeł do nich podszedł, stary Strach padł na brzuch, przeturlał się i obnażył gardło.

– Jaka słodka psina! – zawołała Orlica. – Uwielbiam psy! – Pochyliła się, by go pogłaskać.

Strach, przerażony, klapnął zębami, przewrócił się i chwiejnie stanął na nogi, a reszta psów natychmiast się zerwała i zaczęła dziko ujadać. Odskoczyła. Jego orszak odruchowo zrobił to samo.

– Siad! – rozkazał Alain. – Siadajcie! – szarpnął Smutka i Furię. – Strach! – Osadził starego psa, uspokajając pozostałe. Ale nawet, kiedy go posłuchały, nadal piszczały i warczały, chowając się za Alainem.

– Panie! – patrzyła na psy oszołomiona. Alain nigdy nie widział tak niebieskich oczu, jasnych jak ognisty Seirios, płonący na niebie koniec łuku Łowczyni. – Błagam was o wybaczenie...

– Nie, nie przejmuj się tym. – Ale reakcja psów zastanowiła go. – Masz wieści dla mego ojca?

– Tak, dla hrabiego Lavastine'a.

– Jestem jego synem.

Była zaskoczona.

– Nie zamierzałam przerywać wam spaceru, panie. Jeśli jeden z waszych ludzi zaprowadzi mnie do hrabiego...

– Sam to zrobię.

– Ale, panie...

Machnięciem ręki uciszył sprzeciwy kłeryka. Ich celem dzisiejszego poranka było małe opactwo w Soisins, założone przez pradziadka Alaina po śmierci jego pierwszej żony przy porodzie i rozbudowane przez drugą żonę pradziadka po tym, jak hrabia zginął w bitwie.

– To jest ważniejsze. – Nikt się z nim nie spierał. – Idziemy. – Powiedział to raczej do psów niż ludzi; gdzie szły psy, tam szła i reszta. – Chodź obok mnie – rzekł do Orła.

Rzuciła okiem na psy.

– Przykro mi, że je przestraszyłam. Nie wyglądają na bardzo... przychylne gościom.

Alain usłyszał za plecami szepty żołnierzy i wyobrażał sobie, co mówią.

– Czasami nawet mnie zaskakują, ale nie zrobią nikomu krzywdy, dopóki jestem obok. – Zawahała się lekko, po czym podeszła do niego. Natychmiast, warcząc nisko, wszystkie psy przebiegły na drugą stronę, masa czarnych ogonów i łap wymieszanych razem. Były tak zajęte unikaniem jej, że ledwo zauważyły psiarczyków i żołnierzy, którzy rozstąpili się w

pośpiechu, robiąc im miejsce.

– Co się stało z twoim koniem? – zapytał.

– O Pani! – Spojrzała za siebie, jakby spodziewała się, że ktoś ją śledzi. – Elfi postrzał, panie.

– Elfi postrzał!

– Piętnaście dni na południe stąd. Prawie przestałam liczyć dni. – Opowiedziała poplątaną historię o bandytach i cieniach w lesie. – Jedna z ich strzał trafiła mojego konia w bok, zadrapała go, ale mimo że pobłogosławiła go diakonisa z Laar, biedne stworzenie zachorowało i zdechło.

– Ale jesteś królewskim Orłem! Na pewno mogłaś zażądać nowego konia.

– I zażądałabym, gdybym była w Wendarze. Ale tutaj nikt nie dał mi świeżego wierzchowca w zamian za chorego.

– I to na ziemiach mojego ojca? – Był oburzony. – Tak nie służy się królewskim posłańcom! Dopilnuję, aby tutejszym diakonikom przypomniano o ich obowiązkach.

– Popieracie króla Henryka, panie? – spytała, szczerze zaskoczona.

Mógł sobie jedynie wyobrazić, jakie przyjęcie zgotowano wendarскому jeźdźcowi, choć z taką cerą na pewno nie wyglądała na Wendarkę, w tej części Varre.

– Robię to, co jest słuszne – odparł twardo – i mam nadzieję, że moja ciotka... że moi starsi nigdy się nie rozczarują, słysząc, że odmówiłem nieznanemu gościu.

Uśmiechnęła się; uśmiech rozpromienił jej twarz i natychmiast zapragnął zobaczyć go znowu.

– Jesteście mili, panie.

– Czy błogosławiony Daisan nie mówił: „Jeśli kochasz tylko tych, którzy ciebie kochają, jakiej nagrody oczekujesz?”

Znow się uśmiechnęła.

– Prawdę mówiąc, panie, wielu z tych, którzy przez ostatnie piętnaście dni ofiarowali mi strawę i dach nad głową, nie miało konia na wymianę. To ci, którzy takie konie mieli, byli najmniej gościnni.

– To się zmieni – obiecał jej. – Jak masz na imię, Orle?

Zaskoczona, potknęła się, zatoczyła, by złapać równowagę.

– Wybaczenie, panie. Tylko nie... niewielu szlachciców pyta...

Oczywiście. Orły wykluwały się pomiędzy pospólstwem. Żaden szlachetnie urodzony pan czy pani nigdy nie zapytałby takiego o imię. Zdradził swe wychowanie, a jednak dlaczego miałby się wstydzić zwykłej uprzejmości?

– Ja mam na imię Alain – rzekł, aby ją ośmielić. – Nie chciałem cię urazić. Tylko trudno zwracać się do ciebie przez cały czas „Orle”.

Schyliła głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Miała piękny profil, oświetlony teraz porannym słońcem. Ale pomimo rzucającej się w oczy witalności, jej wigor skrywał

delikatność, wydawało się, że w każdej chwili może się załamać. „Boi się”. Ta myśl objawiła mu się z taką siłą, że musiała być prawdziwa, choć nie mógł jej wypowiedzieć na głos. „Ona żyje w strachu”.

– Nazywają mnie Liath – wyszeptała i zdawała się zadziwiona własnym głosem.

– Liath! – To imię coś dla niego znaczyło. Pamiętał je. – Liathano – rzekł cicho, dając krok.

Zalała go fala wspomnień.

Stoi w starych ruinach, jasne gwiazdy Sobótki lśnią nad nim jak klejnoty rzucone w niebiosy. Czerwone oko Węża błyska w górze. Od dalekiej ściany odrywa się cień, wchodzi na kamienną drogę. Okryty pancerzem, uzbrojony w lancę, na jedno ramię ma zarzucony biały płaszcz. Za nim ryczą płomienie, fort płonie, zaatakowany przez barbarzyńców. Szuka kogoś, ale natyka się na Alaina.

– Dokąd poszła Liathano? – pyta cień.

Liathano. Zaskoczony, Alain odzywa się.

– Nie wiem – mówi, ale w odpowiedzi słyszy jedynie tętent galopujących kopyt, pogłos odległych krzyków, słaby dźwięk rogu na wietrze.

Postawił stopę.

– Co powiedzieliście? – zapytała Orlica.

Otrząsnął się, a Furia i Smutek idące obok obróciły swe wielkie łby, by na niego spojrzeć. Smutek szturchnął go barkiem w udo; Alain zatoczył się, roześmiał i czule podrapał go po głowie.

– Nie wiem – powiedział, mrugając, bo słońce wydało się nagle dwa razy jaśniejsze. – Po prostu słyszałem już to imię.

Przez chwilę sądził, że dziewczyna odskoczy i ucieknie. Zamarła jednak, gapiąc się na niego, kiedy też się zatrzymał, a psy grzecznie siadły za nim. Radość zaskomlała cicho. Drużyna również stanęła, trzymając się z daleka od psów i Orła.

– Nie – rzekła w końcu, raczej do siebie niż do niego, głosem tak cichym, że tylko on i psy go słyszały. Wydawała się przede wszystkim zaskoczona. – Nie mogę się was bać.

Biedne stworzenie. Czy sądziła, że powinna się bać wszystkich?

– Chodź – powiedział łagodnie, pokazując jej drogę. – Musisz być zmęczona i głodna. W zamku mojego ojca znajdziesz miejsce, w którym odpoczniesz. Nic ci tutaj nie grozi.

Usłyszawszy to, wybuchnęła płaczem.

* * *

„Nic ci tutaj nie grozi”.

Młody lord zadbał, aby dostała coś do zjedzenia i wino, zanim zaprowadził ją po

schodach na piętro, do ojca. Była zbyt oszołomiona, zbyt zaskoczona i zawstydzona swym nagłym wybuchem płaczu na drodze do zamku Lavas, aby znaleźć słowa, więc nie mówiła nic.

Z hrabią poczuła się pewniej.

– Co cię sprowadza na moje ziemie, Orle? – zapytał. Oczywiście, nie poprosił jej, by usiadła ani nie zapytał o imię.

– To posłanie przywożę wam od króla Henryka: „Miasto Gent nadal tkwi w rękach Eików. Jego obrońcy zginęli. Tamtejsza hrabina i jej najbliżsi krewni również zginęli, a armia została rozbita. Ziemie wokół miasta są spustoszone. Nadszedł czas, aby odzyskać miasto, nim Eikowie narobią więcej szkód. Za swą szczerść przede mną w Autunie, po bitwie pod Kassel, zostaliście nagrodzeni synem. Ale nie mogłem wtedy wyruszyć Gentowi na pomoc z powodu zdrady Sabelli, którą zdarzyło wam się wspierać. Dowiedźcie swej lojalności wobec mnie, podejmując się tego zadania. Przyprowadźcie armię na spotkanie ze mną pod Gentem, w Lucjany w lecie. Jeśli odzyskacie dla mnie Gent, przy mojej pomocy lub bez niej, otrzymacie sprawiedliwą nagrodę i obdarzę was moją łaską”.

Lavastine uśmiechnął się lekko. Nie był to ciepły uśmiech, ale też nie zimny jak Hugona, jedynie praktyczny jak na widok dobrych zbiorów.

– Gent – zamyślił się. – Chodź, chodź, Alainie, siadaj. Nie stój tam jak służący.

Na szczęście psy odprowadzono do bud, wszystkie z wyjątkiem dwóch. Te dreptały posłusznie za młodym lordem, który usadowił się na pięknie rzeźbionym krześle obok ojca. Jeden z ogarów ułożył się na hrabiowskich butach. Drugi ziewnął potężnie i padł na podłogę przy jednym z trzech koksowników ogrzewających komnatę. Po dwóch miesiącach podróży przez skuty zimą kraj Liath doceniała ciepło panujące w pokoju, trzymając się z dala od przeciągów. Gobeliny spływały po ścianach. Trzy miękkie dywany leżały na podłodze. Było jej tak ciepło, że miała ochotę zdjąć płaszcz i wierzchnią tunikę, ale bała się, czy nie zostanie to uznane za brak szacunku.

– Gent – powtórzył Lavastine. – Długi marsz z tych ziem. Ale nagroda może być szczodra. – Spojrzał na swego kapitana, który stał wraz z innymi zaufanymi sługami. Liath rozpoznawała żołnierza na pierwszy rzut oka; jak hrabia, ten mężczyzna był bystry i miał silne, kwadratowe ramiona, które przypomniały jej, szybko i boleśnie, o Sanglancie. – Ilu zbrojnych możemy zebrać po siewach?

– Wybaczcie, panie hrabio – powiedziała Liath. Zaskoczony hrabia spojrział na nią, podniósł dłoń na znak, że może mówić dalej. – Król Henryk przysłał także to posłanie: „Możecie prosić o pomoc moją rodzinę. Konstancja, biskupina Autunu i księżna Arconii, wystawi oddziały. Rotrudis, księżna Saony i Attomaru, wystawi oddziały. Liutgarda, księżna Fesse, wystawi oddziały. Wyruszę teraz na południe, by zgromadzić armię na nadchodzącą bitwę i spotkam się z wami pod Gentem, chyba że przeszkodzą mi wydarzenia na południu albo na wschodzie. Tylko silna armia zdoła pokonać Eików”.

– Ach – rzekł Lavastine. – Kapitanie, co o tym sądzicie?

– Do Gentu daleka droga – odparł kapitan. – Nie wiem dokładnie, jak daleka, ale leży on głęboko na ziemiach Wendaru, na północnym wybrzeżu. Słyszeliśmy w Autunie wiele opowieści, że wódz Eików jest czarownikiem, że przywiódł do Gentu sto okrętów i tysiąc dzikusów.

– Byłaś w Gencie – powiedział nagle młody lord. „Alain”. Tak miał na imię. Przedstawił się jej jak równej. Nie mogła się powstrzymać od spoglądania na niego. Wysoki, szeroki w ramionach, z ciemnymi włosami i jaśniutką brodą, która wyglądała niemal jak brak zarostu, wcale nie przypominał ojca. O Pani. Przemawiał do niej tak łagodnie, jakby namawiał zranione zwierzę do wejścia do schronienia.

– Byłaś w Gencie? – spytał Lavastine, nagle nią zainteresowany. Przedtem była jedynie jak pergamin, instrumentem do przekazywania słów.

– Byłam tam do końca.

I znów musiała opowiadać okropną historię upadku Gentu. A jednak powtarzanie jej w prawie każdej wiosce, w której nocowała przez ostatnie dwa miesiące, złagodziło ból. Nie mogło być inaczej, skoro mówiła o tym raz za razem. „Jeśli uderzysz głową w mur wiele razy”, powtarzał tato z gorzkim uśmiechem, kiedy była na siebie wściekła za popełnienie błędu, „w końcu przestanie boleć”.

Lavastine wypytał ją szczegółowo o położenie miasta, ukształtowanie terenu, wjazd z zachodu, z północy i południa, o których niewiele wiedziała i ze wschodu, którego nigdy nie widziała. Zapytał ją o rzekę, jak blisko ujścia leżało miasto, jak usytuowana była wyspa, na której zbudowano Gent, jak mosty zostały przerzucone nad wodą i jak w stosunku do drogi i wybrzeża postawiono bramy i mury.

– Ten tunel – rzekł. – Rolnik twierdził, że jaskinia kończyła się ścianą.

– Owszem, panie hrabio. Nie ma powodu, aby mu nie wierzyć. To, że tunel się pojawił i ktokolwiek ocalał, było cudem.

– Ale tunel się pojawił – powiedział Lavastine.

– A ty ocalałaś – dodał młody lord i zaczerwienił się.

Ojciec spojrział na niego ostro, zmarszczył czoło, a potem obojętnie pobawił się uszami psa leżącego u jego stóp.

– Dhoudo – odezwał się do kobiety siedzącej po jego lewicy, jedynej osoby w komnacie dostępującej takiego zaszczytu. – Czy możesz przetrwać kolejne lato bez tak wielu ludzi? Jeśli wyruszymy po siewach, nie wiem, czy zdołamy wrócić na żniwa.

– Wiele zależy od pogody – odpowiedziała. – Ale mimo wszystko zeszłoroczne zbiory były udane, a zima łagodna. Możemy tego dokonać, jeśli ogłosicie zaciąg po świętej Sormas... o ile uważacie, że warto.

– Łaska królewska i sprawiedliwa nagroda. – I on, i szlachcianka popatrzyli na młodzieńca. – Orle, gdzie jest lord Godfryd?

– Lord Godfryd pozostał na dworze, by polować z królem. Dołączy później i spotka się z wami, gdy zbierzecie wojsko.

– Czy król był pewien, że się zgodzę?

– Powiedział, panie hrabio, że da wam nagrodę, o którą prosiliście.

Młody lord miał skłonność do rumienienia się ognisćie, jak teraz. Liath nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego. Ale w tej chwili niewiele ją obchodził wstyd wysoko urodzonych. Chciała tylko stać w tej komnacie, ukryć się w tym bezpiecznym zamku aż po kres swych dni.

– Tallia! – rzekł Lavastine tonem człowieka wietrzącego zwycięstwo. – Da nam Tallię. – Wstał. – Niech się stanie. Orle, wrócisz do króla i powiesz mu, że niniejszym przyrzekam uwolnić Gent od Eików.

4.

Wspina się starą ścieżką wśród jodeł, sosen i brzoź. Szybko zaczyna dominować brzezina, a potem nawet te drzewa znikają, kiedy wynurza się na fjallu, wysokim płaskowyżu, domu MądrychMatek. Na tej wysokości wiatr duje wściekle, szarpiąc jego śnieżnobiałe włosy. Warstwa szronu pokrywa ziemię.

Wysłała go tutaj StaraMatka, która jest jednocześnie jego matką i ciotką.

– Rozmów się z nimi, niespokojny – rzekła. – Ich słowa są mądrzejsze od moich.

Znajduje najmłodszą z MądrychMatek jeszcze na szlaku, jej potężna postać sunie w górę na spotkanie z innymi. Widzi je w oddali jak przysadziste filary, otaczające dziurę wypolerowaną do połysku przez świecące nici, oznaczające sieć lodowych węży. Ale dziś nie zamierza ryzykować jadowitego ukąszenia węży.

Zatrzymuje się przy najmłodszej z nich, która nie dotarła jeszcze do miejsca rady. Choć przekazała nóż decyzji jego StarejMatce, nim się wyklął, tak wiele lat zajęło jej dotarcie tutaj, podczas gdy dla niego był to poranny spacer. Ale ona, jak jej matki i matki jej matek, zrobiona została z tej samej materii, co kości ziemi. Nie ma powodu, aby poruszać się szybko; ujrzy więcej lat, niż on może sobie wyobrazić, i długo po tym, jak jej kości całkowicie stwardnieją, jej myśli nadal będą przemierzać ziemskie połacie, nim ostatecznie odejdzie na zawsze do niebieskiego fjallu.

Kłęka przed nią, nie przynosząc jej w ofierze niczego twardego ani trwałego, jedynie rzeczy cenne przez swą delikatność i ulotność: małeńki kwiat, który rósł w uskoku skalnym; lok puszystych włosów niemowlęcia Miękkich, które umarło zeszłej nocy; resztki skorupki jaja z fiordu Hakonin; delikatną kość ptaszka, na której kapłan wyryłby znaki i wraz z innymi rozrzucał na kamieniu, by odczytać tropy przyszłości.

– MądraMatko – mówi. – Usłysz moje słowa. Daj mi odpowiedź na pytanie. – Przemówiwszy, czeka. Trzeba mieć cierpliwość do rozmów z MądrymiMatkami i to nie tylko z powodu lodowych węży.

Jej przemieszczanie jest tak powolne, że nie może dostrzec ruchu, ale gdyby przybył tu w następnym tygodniu, pokryty porostami kamień, leżący tuż obok jej potężnych nóg, byłby już o palec za jej plecami. W pewien sposób ich głos i słuch należy do innej rachuby czasu. Być może naprawdę, skoro nie są już przywiązane nożem do świata plemion, trudno im zrozumieć słowa własnych wnuków, którzy mówią i ruszają się szybko, a żyją krótko, nie dłużej niż czterdzieści obrotów słońca.

Jej głos rozbrzmiewa tak cicho, jak najniższy dźwięk spadającej w oddali lawiny, że musi wysilić się, by ją usłyszeć.

– Mów. Dziecko.

– StaraMatka miała wieści z południa. Krwawe Serce wzywa armię, wszystkie SkalneDzieci, które do niego pójda, na wyprawę przeciw Miękkim. Jeśli wezmę statki, które zebrałem i popłyną z wiatrem na południe, czy nadal będę w niełasce? Czy lepiej zostać tutaj, niewiele ryzykując, czy popłynąć tam, ryzykując tak dużo?

Wiatr hula na kamienistym płaskowyżu. Ziemię otaczają skały, jedyna ozdoba pasująca do komnaty mądrości najstarszych Matek – wszystkich prócz PierwszychMatek, które dawno temu znikły. Poniżej drzewa szumią i szepczą, chór głosów na nieustannym wietrze. Powoli zaczyna padać śnieg. Z roztopami nadejdą wiosenne deszcze, a potem droga na południe stanie otworem.

Jej głos rezonuje w ziemi pod jego kolanami, choć prawie go nie słyszy:

– Niech. Cię. Poprowadzi. To. Co. Pierwsze. Objawi. Się. Twoim. Oczom.

Jego miedzianoskóra dłoń wciąż leży na jej twardej ręce. Czuje ostre klucie, jakby w pobliżu uderzyła błyskawica i natychmiast cofa dłoń. Ofiary złożone na jej odwróconej ręce topią się i wnikają w jej skórę jak miód w mokrą ziemię, powoli lecz nieubłaganie. Posłuchanie skończone.

Podnosi się posłusznie. Odpowiedziała i nie ma potrzeby iść dalej do fjallu, w kły wiatru, aby ukłęknąć przed innymi obok dziury, w której wszyscy spoczną, gdy czas się dopełni.

Odwraca się i odchodzi przez biel i ciemną zieleń zimowego lasu. Za lasem idzie pomiędzy pastwiskami, domami swych braci i najstarszych wujów, zagrodami ich niewolników. Wszystko to jest znajome jego oczom; widział to przedtem wiele razy; owce i kozy drżące na wietrze, wygrzebujące trawę spod śniegu; krowy zagonione do obórek, odgrodzone od psów; świnię umykającą wśród drzew; niewolników w ich żalonych zagrodach.

Ale kiedy podchodzi do własnego domu, nowo wybudowanego ze świeżego drewna i torfu, widzi dziwną procesję wijącą się wśród drzew. W milczeniu idzie za nimi. To niewielka grupa niewolników, sześciu; jeden niesie tobolek owinięty w cenny materiał. Trudno jest ich od siebie odróżnić, ale dwoje rozpoznaje z daleka: samca zwanego Otto i samicę-kapłana o imieniu Urszula. Tych dwoje jest jak wódz i StaraMatka dla reszty jego Miękkich niewolników; podczas zimy obserwował ich działania wśród innych, formowanie plemienia i

zaciekawia go to. To też go ciekawi.

Pośród drzew leży przecinka. Kilka kamiennych znaków, grubo ciosanych, wbitych jest w ziemię. To miejsce niewolników i zostawia je w spokoju, jak to czynią inne SkalneDzieci. Niewolnicy mają swoje zwyczaje, choć bezużyteczne. Teraz widzi, co zamierzają zrobić. Wykopali dziurę w ziemi i wkładają w nią ciało niemowlęcia, które umarło w nocy. Kapłanka śpiewa cienkim głosem, a inni płaczą. Smakował lzy Miękkich: są słone jak wody oceanu. Czy to możliwe, aby ich okrągły bóg nauczył ich czegoś o prawdziwym życiu wszechświata? Jak inaczej mogliby pokrywać zmarłych ziemią, nawet jeśli wtedy kapią wodą? Czy taką ofiarę składają? Nie wie.

Ale patrzy. Czy to wydarzenie ma go poprowadzić? Co przepowiada pogrzeb? Jego własną śmierć, jeśli powróci do ojcowskiej armii? Czy śmierć Miękkich, których zaatakuje Krwawe Serce?

Zaryzykuj mało lub zaryzykuj dużo.

W końcu, patrząc przez gałęzie na małą szlochającą grupę, zdaje sobie sprawę, że zawsze znał odpowiedź na swe pytanie. Jest zbyt niespokojny, by zostać. Śmierć to jedynie zmiana istnienia; nie jest ani początkiem, ani końcem, niezależnie od tego, co myślą Miękczy. Wróci do Hundse, do Gentu.

Żalobnicy mijają go na wąskiej ścieżce. Jedna z nich, kobieta o pustych oczach i ciele drobniejszym od innych, nadal płacze słonymi łzami, choć reszta próbuje ją pocieszyć. Czy dziecko pochodziło z jej ciała? Czy są tacy sami jak zwierzęta, które też wkładają swoje młode do ciała matki i potem je wydalają? Ale choć Miękczy przypominają zwykłe bydłeta, nie sądzi, aby to była cała prawda o nich. Mówią jak ludzie. Spoglądają w górę na niebieski ffall i zastanawiają się, co nakazało im stąpać po ziemi. Tak postępują prawdziwi ludzie. I robią coś, czego nie widział u innych stworzeń: ani SkalnychDzieci, ani zwierząt, ani małych ziemskich kuzynów, ani wstrętnych morskich bydłat.

Płacz.

Alain obudził się w głębokiej ciszy fortecy Lavas, uspięnej w ciemnej i chłodnej późnozimowej nocy. Coś go gnębiło niby pies drapiący w drzwi. Furia spała. Kiedy wstał, Smutek szczechnął cicho i zerwał się, ruszając za nim. Reszta psów leżała skulona tu i tam na dywanie i obok łóżka. Strach uwalił się na nogach Lavastine'a i obaj równo chrapali. Alain narzucił tunikę. Usłyszał coś, a może była to tylko pozostałość jego snu.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i położył dłoń na pysku Smutka. W korytarzu i na schodach było zimno. Przez klatkę schodową ciągnął powiew ciepłego powietrza z sali. Poszedł za nim i w końcu, wśród głębokiej ciszy kamienia i sali usłyszał to, czego szukał: płacz.

Był tak cichy, że znalazł jego źródło, gdy był już pośrodku sali, zauroczony czerwonym żarem na palenisku. Służący i żołnierze spali w alkowach; inni wrócili do swoich chat za

palisadą albo w wiosce. Ale przy ogniu leżał pojedynczy zwinięty kształt, przypominający zapomniany tobołek z praniem, i drżał.

Orlica płakała samotnie na legowisku przy ogniu.

Smutek zaskomlał nerwowo.

– Siad! – wyszeptał Alain, zostawiając psa pośrodku podłogi, szybko uderzającego ogonem. Podeszedł do Orła.

Nie zauważyła go, dopóki prawie jej nie dotknął. Potem, jęcząc głośno, zdusiła szloch, skoczyła na nogi i sięgnęła po płonąca głownię.

– Cicho – powiedział. – Nie bój się. To tylko ja. Alain. Nie poparz się.

– O Boże – wymamrotała, ale cofnęła dłoń od ognia i wytarła nią nos. Nie za dobrze widział jej twarz, ale mógł wyczuć słoność jej łez w zadymionym powietrzu.

– Dlaczego płaczesz? – spytał.

– O Pani – wyszeptała. – Wyjazd nie był taki zły. Ale teraz muszę wracać.

– Dokąd wracać?

Pokręciła głową, próbując osuszyć łzy, ale wbrew jej woli nadal płynęły.

– Nieważne.

– Oczywiście, że ważne!

Tak długo milczała, że zaczął myśleć, iż sam będzie musiał przemówić albo że czymś ją obraził.

– Dlaczego miałyby to was obchodzić? – spytała w końcu z wahaniem.

– Każdego powinno obchodzić, gdy widzi swych krewnych w rozpacz.

– Nie jesteśmy krewnymi, ja i wy – wykrztusiła. – Nie mam krewnych.

– Wszyscy jesteśmy synami i córkami Boga. Czy to nie wystarczające pokrewieństwo?

– Nie... nie wiem. – Poruszyła się niespokojnie i wyciągnęła dłonie w kierunku ognia, by je ogrzać. Odruchowo sięgnął po kilka polan z sągu przy drzwiach i dorzucił do ognia. Obserwowała go w ciszy.

– Nie chcesz wracać – powiedział, siadając naprzeciwko i przyciągając kolana do piersi. – Widziałem cię – dodał – kiedy przyjechałaś z Gentu, gdy król był w Autunie. Ciebie i drugiego Orła. Nie znam jego imienia.

– Wilkun.

– Czy Orły nie są twoją rodziną?

– W pewnym sensie.

– Naprawdę nikogo nie masz?

– Moja matka umarła jakieś dziesięć lat temu. I tato zginął. – Słyszał gorzko tego wyznania w opanowywanym na siłę głosie. – O Pani, prawie dwa lata temu. Był dla mnie wszystkim.

– A mnie ojcowie obrodzili – rzekł, nagle uświadamiając sobie, jakie miał szczęście.

– Jak ojcowie mogą obrodzić? Jak można mieć więcej niż jednego?

Zwiesił głowę, ze wstydem wspominając gniew, z jakim opuszczał Henriego kupca podczas ich ostatniego spotkania, jak źle się zachował. Czy Henri kiedykolwiek wybaczy mu tę pychę i gniew?

– Wychował mnie jeden, dobry człowiek, wyrastałem, nazywając go ojcem. A niedawno dostałem drugiego.

– Ach, tak. – Odwróciła się, jej twarz była niemal widoczna w ciemności. – Król Henryk dał Lavastine’owi prawo do uznania was jego dziedzicem. Prawda?

– A przedtem byłem ledwie bękartem – odparł lekko, ale choć żołnierze i służący Lavastine’a już go zaakceptowali, wspomnienie wizyty w posiadłości lady Aldegundy i lorda Godfryda wciąż bolało.

– Kto był waszą matką? – spytała, a potem powiedziała zmieszana: – Wybaczcie, panie. Nie mam prawa pytać o takie rzeczy.

– Nie, nie. Ja zadawałem pytania tobie. Ty możesz wypytywać mnie. Była tu służącą, zaszła w ciążę z moim ojcem i została odsunięta, gdy się ożenił.

– Historia stara jak świat – rzekła ostro. – Szlachcice nigdy nie pytają, czy ktoś ma ochotę na ich zaloty. To ostatnia rzecz, o której myślą. – A potem, kiedy on był tak oszołomiony jej oskarżeniem, że mógł jedynie mrugać oczami zażawionymi od dymu, skuliła się, jakby spodziewała się ciosu. – Przepraszam. Wcale tak nie myślę. Wybaczcie.

Alain mógł tylko łapać oddech, otumaniony tą nową i nieproszoną myślą, że doszedł do siebie, dopiero gdy pchła z siennika ugryzła go w kostkę.

– Nigdy o tym nie myślałem – przyznał ze wstydem. – Być może też go kochała, to możliwe, albo czegoś od niego chciała. Ale może wcale jej nie obchodził i nie miała wyboru. – Wywołana tą myślą, kolejna zaświtała mu w głowie. – Czy na dworze jest szlachcic, który w ten sposób cię dręczy? Czy król lub Orły nie mogą niczego zrobić, aby go powstrzymać?

– O Pani – wyszeptowała i ponieważ znów zaczęła płakać, wiedział, że zgadł. – Orły nic nie mogą zrobić. A król nie zrobi nic, bo on jest sprytniejszy od króla i wszystkich pań i panów na dworze. Nie widzą jego, tylko to, co on im pokazuje. Nie ma nikogo, kto mi pomoże. To syn margrabiny. Nie mam nikogo, kto by mnie obronił!

– Ja cię obronię – rzekł Alain. – W końcu jestem dziedzicem hrabstwa Lavas. To coś znaczy.

Nagle złapała jego dłonie. Choć w sali panował chłód, jej skóra była gorąca.

– Błagam was, panie, jeśli możecie cokolwiek zrobić, jeśli możecie mnie tutaj zatrzymać, wysłać kogoś za mnie na dwór królewski...

– To co? – zapytał Alain, zaskoczony pasją w jej głosie. – Czy ten szlachcic jest ci aż tak wstrętny?

Od razu go puściła.

– Nie rozumiecie – rzekła gwałtownie. – Nie mam rodziny, tylko Orły. Nawet gdybym żywiła wobec tego mężczyzny jakieś cieplejsze uczucia, a nie żywię, gdybym została jego

konkubina, wyrzucono by mnie z Orłów. I gdzie bym poszła, gdyby się mną znudził? Nie miałabym nawet schronienia wśród Orłów. Boże dopomóż, to nie ma znaczenia. On się nigdy mną nie znudzi. Nigdy nie da mi spokoju.

Przestraszył się, że znów zacznie płakać. Pewny siebie Orzeł, którego rano ujrzał na drodze, był tylko odległym wspomnieniem. Został jedynie strach i łzy.

– To co mówisz, nie ma sensu! Najpierw mówisz, że boisz się, że cię odrzuci, a potem, że obawiasz się, iż nigdy tego nie zrobi. Albo jedno, albo drugie i po prawdzie, przyjaciółko, sądzę, że masz rację, bardziej obawiając się pierwszego rozwiązania. Jeśli będzie się tobą zabawiał przez kilka lat, dopóki nie znajdzie sobie młodszej i ładniejszej, to nie masz rodziny i wsparcia, kiedy się tobą znudzi. Jeśli nigdy się tobą nie znudzi, to na pewno będziesz żyła w dobrych warunkach przez resztę życia, a on zadba o dzieci, które przyjdą na świat.

Zaczęła jednocześnie płakać i zanosić się śmiechem. Oszałała?

– Brzmicie jak pani Birta. Zawsze znajdowała najpraktyczniejsze wyjście.

– Tego mnie nauczyła ciotka Bel, kobieta, która mnie wychowała. Nie ma sensu martwić się, że lis zadusi kurczaki, kiedy kurnik jest zamknięty, za to dom się pali.

Szloch i śmiech zmieniły się w urywany chichot.

– To brzmi jak powiedzonka mojego taty. Ale nie rozumiecie. Nie możecie zrozumieć. Przykro mi. Przepraszam, że zakłóciłam wasz nocny spoczynek.

– Ale ja chcę zrozumieć! – rzekł, zły, że uznała, iż go nie obchodziła. Sięgnął i znalazł jej dłonie, owinięte skrajem płaszcza. – Jest w tobie tyle strachu, Liath. Przed czym uciekasz? – Bez namysłu pochylił się i pocałował ją w czoło. Sterczące włosy połaskotały go w nos. Jej ciało zeszywniało i natychmiast puścił jej dłonie i cofnął się. Smutek zawarczał cicho i podpełzł do przodu, ale nie za blisko.

– Wybacz! – powiedział Alain. Co go naszło? To, co teraz czuł, w niczym nie przypominało grzesznej tęsknoty, którą odczuwał, gdy tylko pomyślał o Tallii. Wiedział po prostu, że musiał znaleźć sposób, aby ochronić Liath, tak jak wiedział, że musiał ocalić Eikę tamtej strasznej nocy, kiedy Półgłówek został poświęcony zamiast księcia.

Jego oczy przywykły już do mroku i mógł ją całkiem nieźle widzieć, siedzącą prosto i sztywno; jej płaszcz opadał na ziemię, warkocz wepchnięty był pod kaptur. Kiedy odwróciła głowę, by spojrzeć w ogień, jej oczy zabłyśły błękitem.

Potrzebowała jedynie zachęty.

Powoli, mając nadzieję dodać jej odwagi własną otwartością, opowiedział swoją historię. Wszystko kompletnie pomieszał, bo przeskakiwał od jednego tematu do drugiego, obserwując jej twarz w blasku ognia, by widzieć, jak zareaguje. Opowiedział o Piątym Synu i psach, o zamordowaniu Półgłówka przez biskupinę Antonię, o guivrze i śmierci Agiusa. O wizji, którą miał w starych dariyańskich ruinach, o cieniu, który wypowiedział imię „Liathano”, a potem znikł w wirze ognia, dymu i bitwy. O snach, które wciąż miał, łączących go z księciem Eików.

Kiedy doznał do końca, wysunęła dłoń, by ogrzać ją przy węglach.

– Artemizja opisuje pięć rodzajów snów: sen zagadkowy, wizję proroczą, sen wieszcz, koszmar i zjawę. Trudno ocenić, którego wy doświadczyliście. „Zagadkowego”, bo znaczenie snów ukryte jest za dziwnymi kształtami i zasłonami...

– Ale one wcale nie przypominają snów. Jakbym widział jego oczami, jakbym był nim.

– Eikowie nie są jak my – rzekła cicho. – Snują magię, o której nie mamy pojęcia.

Komentarz zaskoczył go i zadał pierwsze pytanie, jakie mu przyszło na myśl:

– Znasz się na magii?

Milczenie trwało tak długo, że stało się jak żywe stworzenie, które kryjąc się w cieniach, nie wiedziało, czy uciec w absolutną ciemność czy też podejść do czystego, jasnego światła. Niespodziewanie, niskim, niemal monotonnym głosem i urywanymi zdaniami, punktowanymi ciszą, zaczęła mówić.

Opowiedziała mu o ledwie pamiętanym dzieciństwie, o nagłej ucieczce z ojcem ze spokojnego domu po zabójstwie jej matki. Opowiedziała o wielu latach wędrówek po odległych krainach i choć mówiła jak ktoś, kto żył w nieustannym lęku, bolało go słuchanie tak naturalnej opowieści o dalekich i ciekawych miejscach, które zawsze były jego marzeniem. Co dziwniejsze, zdawało mu się, że w jej słowach wyczuwa pragnienie bezpiecznego schronienia, ścian klasztoru, w którym mogłaby osiąść, podczas gdy przeżywała przygody, których on zawsze pożądał i wiedział, że to płonne mrzonki. Widziała Darre i dzikie wybrzeże wschodniej Aosty. Popłynęła do Nakrii i przechadzała się po ruinach umarłej Kartiako. Zwiedziła bajeczny pałac władcy Qurtuby w jinnijskim królestwie Andalla i przemierzała plac targowy Medemelachy w Salii. Na własne oczy widziała stwory i cuda, o których nigdy nie słyszał, nawet od kupców w Osnie, najbardziej bywałych ludzi, jakich znał.

Ale zapłaciła za to. Straciła ojca, zamordowanego w nocy za pomocą magii, która nie zostawiła znaku na jego ciele. Nawet teraz potwory deptały jej po piętach, niektóre nieludzkie, a jeden aż nazbyt człowieczy. Pożądając wiedzy magicznej zawartej w *Księdze tajemnic* oraz sekretów, które skrywała w sobie, święty człowiek Kościoła uczynił ją swą niewolnicą – i gorzej jeszcze.

Alain jęczał, słuchając o nieszczęściu, z którego wybawiły ją Orły. Ale nawet im nie mogła zaufać, szczególnie zaś Wilkunowi. Nie mogła ufać nikomu prócz Orlicy zwanej Hanną, która teraz stała się w jakiś sposób więźniem ojca Hugona. Prócz księcia Sanglanta, którego poznała w Gencie i który nie żył. Prócz, być może, czarownika Aoi, którego widziała przez ogień, ale nie miała pojęcia, gdzie przebywał. W końcu, znów dręczona przez ojca Hugona, odkryła najstraszliwszy sekret: w niej samej spoczywała moc czarnoksiężka, zaklęta w jej kościach i krwi, nad którą nie miała żadnej kontroli.

– Nie wiem, co z tym zrobić. Nie wiem, co to znaczy ani co to jest, ile tato zamknął, a o ilu rzeczach nigdy nie wiedział. Wiem tylko, że starał się mnie chronić. Co się stanie, jeśli wrócę na dwór? Hugo trzyma Hannę jako zakładniczkę, aby mnie zmusić do powrotu. A jeśli

nie wróćę, co się z nią stanie? O Pani, nie wiem, co robić! Nie wiem, co się stanie z Hanną. Ale jeśli wróćę na dwór królewski, Hugo znów mnie uwięzi. Nie ma już dokąd uciekać. Tak się boję.

– Może więc musisz przestać uciekać – stwierdził rozsądnie.

Zaśmiała się ostro.

– I pozwolic, żeby mnie znaleźli? Żeby Hugo mnie złapał?

– Odnajdź siebie. – Odpowiedź była niejasna, jak większość odpowiedzi. Ale wyczuwał, że zbliżyli się już do pytania, a dopiero gdy odkryją pytanie, mogą zacząć poszukiwać ścieżki, która doprowadzi ją do odpowiedzi.

– *Gnosi seaton* – wymruczała. – „Poznaj samego siebie”. Tak mówiła prorokini dawnych bogów w świątyni w Talfi.

„Jego dłoń”. Wspomnienie snu opanowało go tak nagle, że musiał zakryć oczy.

– „Niech cię prowadzi to, co pierwsze objawi się twoim oczom”. To wcale nie był pogrzeb. To była jego ręka. O to jej chodziło.

– Jaki pogrzeb?

Otrząsnął się z pozostałości zapomnianego snu.

– Mój sen o Piątym Synu, który miałem tej nocy.

– Ja mam tylko koszmary – rzekła Liath głosem tak cichym, że zagłuszał go nawet trzask płonących bierwion. – Nigdy nie miałam prawdziwej wizji, oprócz tych w ogniu, a i to nie jest tak naprawdę wizja, tylko przejście.

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, zdjął ramię z szyi i otworzył małą skórzaną sakiewkę. Położył delikatną czerwoną różę na dłoni, aby mogła ją obejrzeć. Błyszczała niezwykle w ogniu.

Wpatrywała się w nią.

– Róża Uzdrawiania – szepnęła. Jej głos zadrżał, załamał się i pociągnęła nosem, powstrzymując łzy. Nie próbowała jej dotknąć.

Płatki parzyły mu dłoń. Szybko schował różę do sakiewki. A potem, drżąc lekko, wziął kolejną głównię i wrzucił ją do ognia. Zadymiała, zajęła się i rozjarzyła, gdy zatańczyły po niej płomienie.

Otarła nos wierzchem dłoni i spojrzała na niego. Wyciągnęła rękę, zawahała się, a potem położyła dłoń na jego ramieniu. Jej dotyk był tak delikatny, że mogło go wcale nie być, ale Alain zrozumiał, że ten zwykły gest oznaczał, iż na zawsze zdobył jej zaufanie.

5.

Kiedy pojawiły się pierwsze promienie słońca, wślizgnął się na górę. Ona zasnęła kilka godzin temu. Nie mógł się jednak zmusić, by ją zostawić i pilnował jej i ognia przez resztę nocy.

Ojciec nie spał i czekał na niego.

– Alainie. – Odsunął Stracha na bok, zwiesił nogi z łóżka, wstał, przeciągnął się, a potem ze zmarszczonym czołem przyjrzał się synowi. – Otwórz okiennice.

Alain posłuchał. Zimne powietrze kąsało jego skórę jak rój os.

– Zamknij – powiedział Lavastine, przyjrzawszy mu się. – Czy nie rozmawialiśmy o tym? Ze wszystkich ludzi ty musisz najbardziej uważać.

– Na co uważać?

– Mam nadzieję, że nie powiesz mi, iż poszedłeś do latryny, skoro mamy tutaj świetny nocnik, który służący rankiem opróżnia? – Alain zaczerwienił się, pojmując wreszcie, gdzie wedle przekonań ojca spędził większość nocy. – Gdzie byłeś?

– W sali, rozmawiałem z...

– Rozmawiałeś?

– To wszystko!

– Być może nie powinienem być tyle od ciebie wymagać. Rzadko zdarza się mężczyzna, który w młodości oparł się ładnej buzi. Gdyby Bóg chciał, abyśmy pozostali czyści jak anioły, stworzyłby nas innymi, tak mi się wydaje.

– Ale ja nie...

– Czy to Orzeł? Wiesz, że składają przysięgę. Nie wolno im się wiązać w ten sposób z nikim, kto też nie jest Orłem pod karą wyrzucenia ich z zakonu. Ale ty jesteś przystojny, wygadany, a ona z dała od króla. Wszyscy mamy swoje słabości.

– Ale my nie...!

– A więc to był Orzeł.

– Rozmawiałem z nią. Wiesz, ojcze, że zawsze mówię prawdę! Usłyszałem jej płacz i poszedłem tam, pocieszyłem ją, to wszystko. Nie możesz znaleźć innego posłańca zamiast niej?

– A dlaczego miałyby nie wracać na dwór? To jej obowiązek.

– Ma wroga na dworze.

– Orzeł ma wroga na dworze? Dlaczego mieliby choćby zwracać na nią uwagę, chyba że ściągnęła na siebie królewską niełaszkę?

– To nie tak. Na dworze jest szlachcic, opat, który chce ją zmusić, by została jego konkubina.

– Doprawdy. – Lavastine podszedł do okna i znów je otworzył, stając w powiewie mroźnego powietrza. Patrzył na zewnątrz, przyglądając się czemuś na dziedzińcu. Nikt nie wątpił, że to Lavastine tu rządził. Nie był tak wysoki i mocno zbudowany jak król Henryk ani też jego własny kuzyn Godfryd, ale nawet na bosaka, odziany jedynie w lnianą koszulę chroniącą przed zimnem, posiadał władzę, absolutną pewność, że wszystko, na co patrzył, należało do niego. Jego piaskowe włosy poznaczone były siwizną; nie był już młody, ale też nie stary jak mężczyźni zbliżający się do końca swych dni. Alain także pragnął posiadać taką

pewność siebie, aby zwykłym otwarciem okiennic potwierdzić swą zdolność do zajmowania należnego mu miejsca w świecie. Miała ją ciotka Bel i jego przybrany ojciec, Henri. – To chyba nawet zrozumiałe, jeśli szlachcic jest natrętny. Jeśli zostanie jego konkubina, straci swą pozycję Orła. A potem, gdyby się nią znudził, nie miałaby innego wyjścia niż powrót do rodziny, o ile by ją przyjęli.

– Ona nie ma rodziny.

– Wobec tego to jeszcze rozsądniej z jej strony, że opiera się podobnemu związkowi. Podziwiam jej pragmatyzm. Lepiej jej jest w Orłach. – Zamknął jedną okiennicę, pozwalając strumieniowi zimnego powietrza wpadać do komnaty i przywołał Stracha, Mocarza, Grozę i Radość, po czym przywiązał je do koła w ścianie. – Ale nadal czegoś nie rozumiem. Dlaczego zwierzyła się tobie?

Alain zawahał się. Przez chwilę chciał odpowiedzieć: „Bo jest dzikim stworzeniem jak psy i ufa mi”, ale było to tak niesłychane, że wiedział, iż nie może rzec czegoś podobnego.

– Nie wiem.

Lavastine zauważył jego wahanie.

– Jeśli ta Orlica ci się spodobała... rozumiesz, dlaczego nic się nie może wydarzyć, Alainie. Ze wszystkich ludzi ty musisz najbardziej uważać...

Jak nie uważał, kiedy uwodziła go służąca w zamku pani Aldegundy. Tylko dzikość psów ustrzegła go wtedy przed poddaniem się najniższym instynktom! Czy nie wyciągnął z tego żadnych wniosków?

– Nie mógłbym... Jeśli mam poślubić lady Tallię... – To było zbyt wiele. Usiadł ciężko i ukrył twarz w boku Smutka. Mocny zapach psa odpędził wszystkie nieczyste myśli, a przynajmniej większość, bo nie mógł odegnać obrazu Tallii. Dlaczego te myśli były nieczyste? Czyż pożądanie nie pochodziło od Pana i Pani, czyż nie zesłali go ludzkości, aby kobieta i mężczyzna mogli mieć ze sobą dzieci?

– Czego byś nie mógł, skoro masz poślubić Tallię? – spytał zaciekawiony Lavastine.

– Ona jest taka święta, taka czysta. Nie byłoby w porządku, gdybym przyszedł do niej... mniej czysty niż ona.

– Pobożne uczucie, Alainie i jestem z ciebie dumny. Dobrze, że Orlica dziś odjedzie. Gdyby ci się spodobała, mogłoby się okazać, że trudno jest dotrzymać przyrzeczenia danego przyszłej narzeczonej.

Chwilę zajęło Alainowi zrozumienie tej uwagi. Potem poderwał głowę. Psy kłębiły się wokół niego, liżąc po rękach.

– Precz! – powiedział, zirytowany ich czułościami. – Ale ja nie... nie pomyślałbym o tym... – Urwał. Przy otwartym oknie widział wyraźnie twarz ojca i zrozumiał: to nie Alaina kusila młoda Orlica, tylko Lavastine'a.

Czy w ten sposób Alain został poczęty? Przez młodego mężczyznę, który widząc młodą kobietę, postanowił mieć ją w swym łóżku niezależnie od jej woli?

– Czy w pismach Matek Kościoła nie jest powiedziane, że wszyscy musimy wstępować czysti do małżeńskiej łóżnicy? – spytał, przerażony odkryciem ciemnej strony Lavastine’a. Henri kupiec nigdy nie wywołał żadnego skandalu.

Lavastine skłonił głowę i spojrzał w bok.

– Słusznie przypominano mi o moich błędach.

– Wybacz, ojcze. – Jak mógł w ogóle wykrztusić takie oburzające słowa, nawet jeśli były prawdą?

Ale Lavastine tylko uśmiechnął się krzywo i przeszedł komnatę, by dotknąć włosów Alaina niczym modlący się relikwiarza.

– Nigdy nie przepraszaj za mówienie prawdy. Bądź pewien, że dostałem nauczkę w tych sprawach. Nauczyłem się zadowalać dziwkami i mężatkami, do których można się dyskretnie zbliżyć.

– Ojcze! Ale Matki Kościoła nakłaniają nas...

Hrabia roześmiał się ostro i zawołał do siebie Radość. Ostatnio zrobiła się niespokojna; pewnie zaczynała się grzać. Psy stawały się coraz bardziej poirytowane.

– Nie jestem tak silny, synu. Wszyscy musimy poznać ograniczenia naszej siły. Inaczej wypalimy się, dążąc do czegoś, czego nigdy nie osiągniemy. – Przywiązał Radość z dala od innych i zmarszczył czoło, potem gwizdnął na Furię i Smutka. Humor jak zwykle chował się pod łóżkiem. – Wpuść służących, Alainie – rzekł krótko, wskazując na drzwi.

– Ale co z Orłem, ojcze?

Lavastine padł na kolana. Złapał Humora za zadnie łapy i wyciągał z kryjówki, podczas gdy pies skomlał i usiłował lizać hrabiego. Stęknął, podniósł go i zaciągnął pod ścianę, a Humor zwałił się na niego całym ciężarem, próbując przeszkodzić panu.

– Przekłety uparciuch – poklepał go czule po karku. Odwrócił się. – No cóż, chłopcze, zatrzymamy Orła z nami, to jedyny słuszny wybór, prawda? Zna teren w pobliżu Gentu. Chodziła po tym mieście i pamięta jego ulice oraz mury. Przeszła ukryty tunel. Na co nam jej znajomość Gentu, jeśli podczas ataku będzie z królem Henrykiem? – Podniósł rękę i wyciągnął palec wskazujący niczym diakonisa napominająca wiernych. – Ale nie będzie żadnego...

– Nawet o tym nie myślałem!

Lavastine uśmiechnął się słabo.

– Być może nie myślałeś. W każdym razie jeszcze.

– Wobec tego ty złóż tę samą obietnicę! – odparł Alain, wciąż stojąc przy drzwiach.

Radość zaszczekała i natychmiast wszystkie psy zaczęły wyc i szczekać.

– Cicho! Przestańcie hałasować, wy nieszczęsne kreatury! – huknął hrabia, ale nie był naprawdę zły. Tak jak zorientował się nagle Alain, nie był zły z powodu słów syna. Odnalazłszy dziecko, którego tak długo pragnął, choć pogodził się z tym, że nigdy go mieć nie będzie, hrabia nie mógł się zdobyć na zruganie go. Ani nawet nie miał na to ochoty, choć

żądanie było impertynenckie.

– Doskonale. Zostanie z nami... nietknięta. Po świętym Sormasie pomaszujemy na Gent. A kiedy odbijemy miasto, zabierzemy Tallię i wrócimy do domu.

„Zabierzemy Tallię”. Zabrzmiało to tak, jakby Tallia była skrzynią złota albo kielichem wysadzonym klejnotami, cennym skarbem, który król da w nagrodę. Czyż nie tym właśnie się stała, kiedy jej rodzice popadli w niełaskę i stracili swą pozycję? Ale ich czyny nie odbierały jej dziedzictwa matki ani królewskiej krwi, łączącej jej z domem panującym Wendaru i książęcym rodem, który niegdyś władał Varre.

Służący delikatnie zapukał w drzwi.

– A jeśli nie uda nam się odbić Gentu? – zapytał Alain.

Lavastine spojrział na niego takim wzrokiem, jakby przemówił w obcym języku.

– Alainie, to są dzicy! A my jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Gent padł, bo był nie przygotowany i miał zbyt mało obrońców. Nam się to nie przydarzy. Chodź. Zbyt dużo czasu zmarnowaliśmy, rozprawiając o zwykłym Orle, który bez wątplenia jest dla nas bardziej użyteczny, fruując, jak mu natura nakazuje, niż przywiązany w jednym miejscu, abyśmy mogli podziwiać jego urodę. Rozpocznijmy dzień.

6.

Od dawna nie mówił, jedynie odpowiadał na kpiny i przywoływał psy. Wiele czasu mu zajęło – godziny, może dni – odnalezienie słów, które wyraziłyby jego wolę.

Ale wysiłał się, składając je razem. Nigdy nie powiedział, że nie walczył do ostatniego tchu. Nie pozwoli, aby Krwawe Serce i psy pokonali go.

– Krwawe Serce.

Czy to był jego głos? Ochrypli i skrzypiący, brzmiał brutalnie w porównaniu z lekkimi, płynnymi słowami Eików, którzy w brzydkich, twardych jak metal ciałach zakłeli głosy tak miękkie jak dźwięk fletów, na których grał Krwawe Serce.

Krwawe Serce poruszył się na swym tronie, ożywając.

– Czy to mój książę psów do mnie przemawia? Sądziłem, że zapomniałeś, jak się mówi! O co chcesz prosić?

– Nie zabijesz mnie, Krwawe Serce. Ani twoje psy.

Krwawe Serce nie odpowiedział, pieszcząc ostrze topora leżącego na udach i gładkie kościane flety, wepchnięte za spódniczkę z błyszczących srebrnych i złotych łańcuszków. Być może był zirytowany.

– Naucz mnie twojego języka. Niech twój kapłan nauczy mnie odczytywać kości, jak on to robi.

– Dlaczego? – spytał Eika, ale chyba był rozbawiony. Albo zły. – Dlaczego miałbym to zrobić? Jesteś tylko psem. Dlaczego miałbyś chcieć?

– Nawet pies szczeka i dla zabawy szarpie kość – powiedział Sanglant.

Krwawe Serce słysząc to, roześmiał się hałaśliwie. Nie odpowiedział. Za to wyszedł szybko, aby obejść garbarnie i kuźnie Gentu, aby jak co dnia udać się nad rzekę.

Ale następnego dnia kapłan usadowił się tuż za zasięgiem łańcuchów Sanglanta i zaczął uczyć go języka Eików, rzucać i odczytywać delikatnie rzeźbione kości, które nosił w sakiewce. Każdego dnia, uspokojony stłumionym głosem i żywym zainteresowaniem Sanglanta – bo czym innym miał się książę interesować? – kapłan podchodził coraz bliżej.

Nawet pies potrafił być cierpliwy.

CZEŚĆ CZWARTA

POSZUKIWACZ SERC

Rozdział trzynasty

Spojrzenie za zasłonę

1.

Z powodu trudnego górzystego terenu, pomiędzy księstwami Avarii i Waylandu nie było żadnych dróg odpowiednich dla królewskiego orszaku. Orzeł pojechał prosto na zachód z pałacu w Echstatcie, szlakami nieprzejezdnymi dla ciężkich wozów transportujących królewski dobytek. Po kilku tygodniach w Echstatcie, dwór ruszył na północ, do biskupstwa w Wertburgu, Starą Drogą Awarską. Choć nie był to trakt tak uczęszczany jak Hellweg, Czysta Droga, biegnąca przez serce Saony i Fesse, król z orszakiem poruszali się po nim bez specjalnych problemów, aczkolwiek powoli.

Stare fortece, dwory i włości kościelne zapewniały dach nad głową i jedzenie. Pospólstwo ustawiało się wzdłuż szlaku, aby przyglądać się przejeżdżającemu królewskiemu dworowi. Według Ingo, sądząc z ich entuzjastycznego powitania, król nie zawitał w te strony od dobrych pięciu lat. Dla Hanny ich powitanie przypominało wszystkie inne, które widziała, tak jak i te ziemie, wzgórza, lasy, miłe dla oka pola i wioski, kościoły i posiadłości. Jednak te wzgórza były strome i wysokie, podczas gdy w Spokoju Serca dzicz ustępowała miejsca wrzosowiskom; dominowały tu świerki i buki, a ona była przyzwyczajona do gąszczy dębów, wiązów i lip; a wieśniacy mówili dialektem, który ledwie rozumiała.

Każdy dzień na dworze królewskim fascynował Hannę jakąś nowością. Heroldowie jechali naprzód, by oznajmiać przyjazd króla do następnego miejsca noclegu. Oddział służących i żołnierzy parł przed głównym orszakiem, oczyszczając drogę ze śniegu i gałęzi. Na początku zaś w chwale jechał król i jego możni towarzysze. Za nimi maszerowała coraz większa armia, rosnąca z każdym dniem, bo szlachta przyłączała się do Henryka lub przysyłała swe oddziały. Dalej biegła horda służących, później toczyły się wozy, kołysząc się i podskakując na wyboistej drodze, ślizgając się na lodzie i wpadając w dziury. Pochód zamykała centuria Lwów.

Oczywiście, ciągnęli za nimi żebracy oraz kobiety i mężczyźni mający nadzieję nająć się do pracy. Oszuści, prostytutki, bezdomni służący, ludzie chcący wnieść skargi do króla i młodzieńcy liczący na pracę albo łupy po bitwie, wszyscy oni wlekli się za królewskim orszakiem; na miejsce jednych pojawiali się drudzy.

– Zawsze tak jest? – zapytała Hanna Hathui. Opuścili Echstatt piętnaście dni temu. Teraz ona i starsza Orlica zatrzymały konie na szczycie wzgórza, z którego widać było Wertburg na północy i drogę na południu, wijącą się między polami i żywopłotami, by zniknąć w lesie. Jadąc na przedzie, miały dobry widok na królewski orszak, długą i kolorową procesję rozciągniętą poniżej. Maruderzy wciąż jeszcze wylaniali się z lasu. Król wjeżdżał na wzgórze. Sapientia w bardzo zaawansowanej ciąży jechała obok ojca na łagodnej klaczy, towarzyszyli im Helmut Villam, siostra Rosvita i ojciec Hugo. Z bram Weitburga wyjechała już na spotkanie króla procesja prowadzona przez biskupinę i miejscowego hrabiego.

– Na roztopy będziemy w Mainni – powiedziała Hathui. – Jest tam kilka pałaców, w których przeczekamy powódzie. Trudno jest podróżować wiosną. Jak sobie radzisz, Hanno?

Hanna poważnie zastanowiła się nad odpowiedzią; doskonale wiedziała, o co pytała Hathui.

– Radzę sobie całkiem dobrze. Księżniczka Sapientia nie jest zła; wszystko, czego jej potrzeba, to mądry towarzysz i własne pola, jak mawiała moja matka.

– Stałaś się jej obrońcą?

– Rzeczywiście jest popędliwa, dumna i bezmyślna, ale z tego co słyszałam, długo żyła w cieniu swojego brata, Sanglanta...

– Owszem – przyznała Hathui.

– ...A jeśli teraz ma wielu towarzyszy, to obawiam się, że liczą oni głównie na to, że król Henryk ogłosi ją następczynią tronu, nie zależy im na samej Sapientii. Nic dziwnego, że ona... no cóż, jak powiedziała moja matka, skoro chowasz dziecko na ochłapach, na pewno podczas uczyty zwymiotuje z przejedzenia.

– Mądra kobieta z twojej matki – powiedziała Hathui z ponurym uśmiechem. – Ale nie o księżniczkę pytałam. Co z ojcem Hugonem?

– Nie obchodzę go – rzekła w końcu Hanna, wiedząc, że się czerwieni. – Nie zwraca na mnie uwagi. – Dlaczego więc, znając go na tyle, chciała czasami, aby było inaczej?

– Gdybym nie słyszała zeznań Liath, trudno by mi było uwierzyć w to, o co go oskarża.

– Być może się zmienił.

Hathui rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Tak sądzisz?

– Jest taki... miły i delikatny, mówi tak łagodnie. Taki sprytny i pracowity. Sama widziałas, jak kładł ręce na chorych i rozdawał jałmużnę ubogim. Wiernie służy księżniczce Sapientii i troskliwie jej doradza.

– A spróbowałby inaczej!

Hanna wyszczerzyła zęby.

– Jeśli to jego dziecko, nic dziwnego, że jest z nią tak blisko. Ale nie wydaje się... tą samą osobą, którą był w Spokoju Serca.

– Jest teraz wśród swoich.

– Prawda. W Spokoju Serca byliśmy tylko chłopami, których ledwo zauważał.

– Prócz Liath.

– Prócz Liath – powtórzyła Hanna.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ona może kłamać? – zapytała Hathui obojętnie. Przed nimi procesja biskupiny rozwinęła sztandary i flagi z herbami miasta i hrabiego. Za nimi idący z królem zaczęli śpiewać.

Chmury pokrywały niebo i było zimno, ale nikt nie mógł się smucić, obserwując to wspaniałe przedstawienie. Hanna odwróciła twarz pod wiatr i patrzyła, smakując bryzę na ustach. Ręce jej marzły mimo rękawiczek, ale nie chciała być nigdzie indziej, kiedy król i jego orszak wspinali się na szczyt wzgórza. Ich pieśń rozbrzmiewała wokół.

– Ona nie kłamie, Hathui. Widziałam, jak ją przynieśli tego dnia, gdy poroniła. Wiem, co on jej zrobił. I ukradł jej książkę.

– Niektórzy powiedzieliby, że książka należała do niego, skoro wykupił długi jej ojca. Ona była jego niewolnicą.

– I wielu jest takich, którzy używają niewolników, jak im się podoba i nikt ich za to nigdy nie obwinia. A jednak ja uważam to za złe. Nigdy nie życzyła sobie jego względów. Czy to w porządku, że ją zmusił do sypiania ze sobą tylko dlatego, że jest synem margrabin, a ona nie ma rodziny, która by ją chroniła? – powiedziała to bardziej gorzko, niż zamierzała.

– Niektórzy powiedzieliby, że tak – zauważyła Hathui. – Ty i ja, nie. Ale to nie my rządymy tym królestwem.

Hanna chciała coś dodać, ale się wstydziła: Hugo był samolubnym, aroganckim szlachcicem o nieposzlakowanych manierach kleryka i anielskim głose, ale czasami najpiękniejsze kwiaty są najbardziej trujące.

– A jednak nie możemy się oprzeć podziwianiu ich – wymamrotała.

– Co? – Hathui spojrzała na nią krzywo, a potem litościwie zawróciła konia. – Chodź, król nadjeżdża.

Cofnęły się, przepuszczając chorążych i króla, a potem włączyły się do pochodu, śpiewając.

Król i dwór celebrowali w Wertburgu dzień świętej Herodii, a przewodziła im biskupina. Po tygodniu stołowania się u biskupiny trzy dni jechali na północ, do Hammelbergu nad rzeką Malnin, gdzie schronili się we włościach klasztornych. Cztery dni spędzili na drodze Hefelsten, aż w Aschfenstanie dotarli do drogi Malnin. Skręcili na północny zachód i pięć dni trzymali się rzeki, dopóki nie dojechali do Mainni, gdzie Brixia, część królestwa Salii, graniczyła z Arconią i biegła ku Fesse. Kiedyś w Mainni rządziła biskupina Antonia. Teraz

król Henryk wyniósł na tron biskupi siostrę Odilę, krewną tamtejszego hrabiego.

Ich przybycie do miasta zbiegło się z dniem, w którym obchodzono nawrócenie się świętej Thais. Była prostytutką, zanim przejęła wiarę w Jedności i zamurowała się w celi, z której wyszła dopiero po dziesięciu latach, by umrzeć. Hanna słyszała kilku kleryków plotkujących, że Henryk najpierw oferował biskupstwo siostrze Rosvicie, ale ta odparła, że nie jest jeszcze gotowa zamurować się żywcem, bo musi wiele miejsc odwiedzić, aby skończyć swą *Historię*. Zasugerowała, że siostra Odila była odpowiednią kandydatką i Henryk poszedł za jej radą, jak zwykle. Mianowanie zostało, oczywiście, uzgodnione ze skoposą, ale nie mieli jeszcze wieści z Darre na temat procesu wytoczonego Antonii.

– Ciekawe, jak się ma Wilkun – powiedziała Hanna do Hathui wiele dni później, podczas uczty na cześć świętej Rozalii; święta, mieszkająca w małej wiosce pod Darre, namalowała cykl fresków na temat życia błogosławnego Daisana, które tak uradowały Pana i Panią, że od tamtej chwili obrazy jaśniały świętym światłem.

– Wilkun ma się dobrze, jak się dowiedziałam. – Hathui zgarniała słomę z biskupiej stajni na stertę, na którą narzuciła płaszcz, owijając się kocem. Na dole stało tyle zwierząt, że stryzek okazał się ciepłą, choć cuchnącą sypialnią. – Zastanawiam się, co u Liath. Rok się prawie kończy, a nie mamy żadnych wieści od hrabiego Lavastine’a.

– Sądzisz, że hrabia odmówi marszu na Gent?

– Nie wydaje mi się. Pytanie, czy król zdoła się z nim tam spotkać. – Hathui ułożyła się wygodnie na sianie. – Z Mainni możemy pojechać na północ do Gentu... albo na południe do Waylandu.

– Dlaczego król miałby jechać do Waylandu?

– Sama na to odpowiedz, Hanno!

– Żołnierze diuka Konrada zawrócili mnie z Przełęczą Julier. Czy to tak poważna zniewaga, że król wyruszy na diuka?

– Wszczywanie zwady, bez królewskiego pozwolenia, z królową i królem Karrone? Pamiętaj, że król Karrone to młodszy brat Henryka. A diuk Konrad też nosi złoty torques, oznaczający pochodzenie z królewskiego rodu. Jego pradziadek był młodszym bratem pierwszego Henryka.

– Sądzisz, że zamierza się zbuntować jak Sabella? Na pewno jego roszczenia do tronu nie mają tak silnych podstaw jak jej.

– Nie wiem, co zamierza szlachta. Ich problemy są inne od tych, na których mnie wychowano. Mam nadzieję – dodała – że król Henryk da Estfalii dobrego margrabię, mężczyznę lub kobietę, zdolnego zatrzymać najazdy Qumanów i chronić rolników. Kogoś, kogo nie interesują dworskie intrygi.

– To nie wszystkich szlachciców interesują dworskie intrygi?

Hathui wyszczerzyła zęby.

– Wszystkich nie pytałam. I tak by mi nie odpowiedzieli. Cichaj, plotkarko. Chcę spać.

Rankiem przybył posłaniec od hrabiego Lavastine'a: nie była to Liath. Sapientia leżała na kanapie, podczas gdy przybocznicy uwijali się wokół, a nowy lekarz, świeżo przybyła pożyczka od margrabiny Judith, sprawdzał jej puls, przyciskając dwa palce do książęcej szyi tuż poniżej szczęki. Hanna zauważyła, że księżniczka lubiła zamieszanie, jakby ilość otaczających ją głosów i ruchu odzwierciedlała jej ważność. Za kanapą przechadzał się Hugo, raczej jak uwięzione zwierzę niż miły i mądry doradca. Pod pachą trzymał książkę Liath. Przez dwa i pół miesiąca od katastrofy w Augensburgu Hanna rzadko widywała go bez książki w dłoniach; jeśli się z nią rozstawał, zamykał ją w małej skrzynce noszonej przez służącego.

– Dlaczego ona nie wróciła? – zapytał w przestrzeń. Podniósł wzrok i ujrzał Hannę.

Hanna zamarła. Nie mogła się poruszyć, nie wiedząc, czy cieszyć się z jego uwagi, czy też się jej obawiać.

Sapientia ziewnęła i odruchowo pogłaskała się po wielkim brzuchu.

– Naprawdę, ojczyźnie Hugonie, wolę moją Hannę. Jej głos jest taki uspokajający. Tamta była zbyt nerwowa. Lepiej się przysłuży Gentowi w oddziałach hrabiego Lavastine'a niż naszym.

Hugo patrzył na Hannę ze zmarszczonym czołem. A potem, z widocznym wysiłkiem, przeniósł uwagę na księżniczkę Sapientię.

– Mądrze radzicie własnemu doradcy, Wasza Wysokość – powiedział zmienionym głosem.

Sapientia uśmiechnęła się, zadowolona.

– Lepiej martwić się, czy wyruszymy na południe do Waylandu i diuka Konrada, czy na spotkanie z Lavastine'em w Gencie. I co zatrzymuje moją drogą Theophanu? Pewnie w klasztorze świętej Walerii zmieniła się w zakonnice. – Jej faworytki zachichotały. Hugo się nie śmiał, ale kiedy rozmowa zbiegła na ostatnie wiadomości od diuka Konrada, których nie było, przyłączył się w swój zwykły elegancki sposób, delikatnie napominając złośliwych i popierając tych, którzy uważali, że król Henryk znajdzie pokojowe rozwiązanie wszelkich powstałych nieporozumień.

– Prawdą jest – zauważył – że niekiedy trzeba użyć siły, aby zdobyć to, co ci się należy, ale Bóg dał nam również mądrość i spryt, na które słusznie wskazujemy jako na cnoty dobrego doradcy. Lepiej zrobimy, zbierając nasze siły, by powstrzymać najazdy Eików i Qumanów, niż marnując je na walki między sobą.

Król Henryk najwyraźniej podzielał to zdanie. Dwór nie wyruszył na południe do Waylandu. Ale kiedy zaczęły padać wczesne wiosenne deszcze i rzeki wezbrały na roztopy, jego doradcy uznali, że podróż do Gentu jest jeszcze zbyt trudna. Czekać, aż drogi staną się przejezdne, odwiedzali królewskie posiadłości, które otaczały Mainni, odległe od siebie najwyżej o trzy dni drogi. Dwór świętował Mariany i Nowy Rok w Salfurcie, pościł w Wielkim Tygodniu w Alsheim i ruszył na północ, aby na świętą Barbarę i świętego Eryka być w Ebshausen. W drodze z Ebshausen do pałacu w Thersie Sapientia poczuła pierwsze bóle.

– Ale Thersa jest taka wygodna. – Narzekała, wyglądając jednocześnie na niezadowoloną

i przestraszoną, kiedy król ogłosił, iż pojedą do pobliskiego klasztoru świętej Hipolity. – Chcę jechać do Thersy!

– Nie – powiedział Henryk z takim wyrazem twarzy, że każdy uważny obserwator od razu wiedział, że nie ma co się z królem spierać. – Modlitwy siostrzyczek ci pomogą.

– Mogą się za mnie modlić niezależnie od miejsca, w którym będę!

Hugo ujął dłoń Sapientii i spojrzał na króla.

– Wasza Wysokość, to prawda, że pałac w Thersie jest znacznie większy i lepiej przygotowany na przyjęcie królewskiego porodu...

– Nie! Powiedziałem!

Sapientia zaczęła szlochać, trzymając się za brzuch, a król wyglądał, jakby za moment miał wybuchnąć. Hanna podeszła i pochyliła się, szepcząc księżniczce do ucha:

– Wasza Wysokość, nie ma znaczenia, w jakim łóżku leżycie, dopóki Bóg jest dla was łaskawy. Modlitwy zakonnic was wzmocnią, a posłuszeństwem zaskarbicie sobie ojcowskie łaski.

Szloch Sapientii ucichł i kiedy minął skurcz, złapała ojcowskie dłonie.

– Oczywiście, masz rację, ojczu. Pojedziemy do świętej Hipolity. Mając taką patronkę, dziecko na pewno wyrośnie mocne, duże i odważne, jak na żołnierza przystało.

Henryk rozpromienił się widocznie i przez resztę drogi do klasztoru w deszczu zajmował się córką, która robiła dzielną minę, kiedy bóle narastały.

Sapientia została wniesiona do klasztoru w towarzystwie dwóch służących i siostry Rosvity, które miały być świadkami oraz lekarza, którego, jako eunucha, uważano za równego kobietom. Wszyscy inni czekali w sali, pozostałości ze starego, z czasów Taillefera, pałacu, którym teraz zarządzały siostrzyczki. Henryk spacerował. Hugo siedział w kącie i leniwie kartkował książkę.

– Jest wąska w biodrach – powiedziała Hanna nerwowo, przypominając sobie porody, które przyjmowała jej matka. Nie wszystkie rozwiązania były szczęśliwe.

– Popatrz na to. – Hathui oglądała rzeźbienia na belkach wzdłuż sali. Poczerniałe od warstw sadzy, popękane po latach wilgoci i suszy, przedstawiały czyny świętej Hipolity, której siła i męczeńska odwaga zanosły Święte Słowo Boga pogańskim plemionom, żyjącym w tych lasach setki lat temu. – Doprawdy pomyślny to omen dla dziecka, które potwierdzi zdolność Sapientii do rządzenia i zostanie kapitanem Smoków, gdy dorośnie.

Hanna przyglądała się starej sali. Służący wymiatali kurze za drzwiami. Oba paleniska pełne były popiołu, który trzeba było wynieść w wiadrach, zanim rozpalono nowy ogień. Mimo tylu ludzi zgromadzonych w sali zimno ją otepliało. Wciąż słyszała, jak echo, cichy płacz siostry zajmującej się wyżywieniem klasztoru, oplakującej stratę tak wielkiej części skromnych zapasów: wiele jedzenia i picia potrzeba było do zaspokojenia apetytu króla i jego kompanii.

– Dlaczego król nie chciał, żeby Sapientia rodziła w Thersie? Wszyscy mówią, że Thersa to znacznie większe miejsce, a jego zarządca potrafi wyżywić dwór.

– Spójrz. – Hathui odsunęła się od młodszych kleryków, którzy zbici w grupę szeptali między sobą. Mokrymi palcami starła kurz i brud z jednej płaskorzeźby. Na starej belce głęboko w drewnie wyryto scenę. Postać odziana w habit zbliżała się, w jednej ręce trzymając oszczep, drugą wyciągając do przodu, do cofających się przed nią członków plemienia; stylizowany płomień wisiał tuż nad jej ręką. Za nią posuwało się wiele groteskowych stworów, najwyraźniej nie ludzi, ale nie wiadomo było, czy śledzą świętą, czy też wiernie podążają jej śladem, czekając na błogosławieństwo.

Kiedy klerycy odeszli, Hathui opuściła głos:

– Lepiej nie mówić o tym głośno. Nieślubny syn Henryka, Sanglant, urodził się w Thersie. Tak powiedział mi Wilkun. Elfia kobieta, matka księcia, była tak chora po porodzie, że niektórzy obawiali się, że umrze. Dwór nie ruszał się przez dwa miesiące, ale kiedy ona wreszcie wstała z łóżka, odeszła i nigdy jej więcej nie widziano. Mówią, że znikła z powierzchni ziemi.

– Ale dokąd mogła pójść? – zapytała Hanna. – Dokąd takie stworzenie może pójść? Na wyspę Alba?

– Ja to tylko słyszałam. To wcale nie musi być prawda.

– To wcale nie musi być nieprawda – odparła Hanna z namysłem, przyglądając się kolejnej płaskorzeźbie. Ta sama postać – rozpoznała habit i symbol ognia przed dłonią świętej – zbliżała się do łukowatej bramy, z której wynurzało się stworzenie wielkości człowieka z kręgiem stylizowanych piór na plecach, wyglądających jak skrzydła; nosiło też pas z czaszek. W następnej scenie Hanna zobaczyła tę samą bramę, zmniejszoną, umieszczoną w kamiennym kręgu, który najwyraźniej się rozpadał, jego moc została pokonana przez odwagę świętej.

– Jak umęczono świętą Hipolitę? – spytała.

Hathui uśmiechnęła się ponuro.

– Zmiażdżono ją skałą, jak widać tutaj. – Wskazała na ostatnią płaskorzeźbę. Stały w dalekim końcu sali. Pod przeciwległą ścianą buzował ogień i Villam nakłonił w końcu Henryka, by usiadł i napił się wina.

Księżniczka rodziła całą noc. O świcie następnego dnia, świętego Sormasa, trzynastego dnia miesiąca Avril, powiła zdrową dziewczynkę.

I zapanowała wielka radość.

Henryk wezwał do siebie Hugona.

– Dowiedliście, że jesteście dobrym doradcą mej córki – powiedział, wręczając mu piękny złoty puchar ze swego skarbcza.

– Mam teraz nadzieję, że będzie zdolna objąć po mnie rządy.

– Bóg pobłogosławił wasz ród i dom, Wasza Wysokość – odpowiedział Hugo i choć wiele komplementów składano tego dnia, żadnym czynem czy słowem nie okazał nieprzystojnej dumy z wydarzenia, do którego się walnie przyczynił. Nie wyglądał też na

świadomego nowej pozycji, jaką dawały mu szczęśliwe narodziny.

Tego wieczoru, zachęcony przez siostrę Rosvitę, czytał na głos z *Żywotu świętej Radegundis* radosną przypowieść, dość zaskakującą w biografii świętej, jak to pobożna młoda kobieta, zdeterminowana w swym ślubie, że pozostanie nietknięta i w ten sposób zbliży się do niebiańskiej czystości, została oszołomiona wielką szlachetnością cesarza Taillefera. Zalecając się do niej, przełamał jej opór. Miłość dla jego cnót i honoru zmiękczyła jej serce i pobrali się, gdy tylko osiągnęła odpowiedni wiek.

– Już czas pomyśleć o małżeństwie Sapientii – powiedział Henryk, gdy czytanie się skończyło. – Król Salii ma wielu synów.

– Kiedy księżniczka Sapientia odzyska siły, dobrze by było wysłać ją do Estfalii – zasugerował Villam. – Zdobyłaby trochę doświadczenia w rządzeniu.

– Lepiej zatrzymać ją przy mnie, kiedy podróżujemy – odparł Henryk tonem sugerującym, że nie życzy sobie żadnych sporów. – Ale Estfalia potrzebuje margrabiego. Może pošlę tam Theophanu... – podczas gdy król się zastanawiał, radosna uczta szybko mijała. Po raz pierwszy od miesiąca, od chwili, kiedy usłyszał straszną wieść o śmierci Sanglanta, Henryk się radował.

Dwór ucztował trzy dni, ponieważ potrzeba było tak wspaniałej biesiady, aby porządnie podziękować Bogu za błogosławieństwo zesłane na dwór królewski. Sapientia była zbyt słaba, aby się pojawić, a poza tym zwyczaj nakazywał kobiecie tydzień leżeć w łóżku i nie przyjmować żadnych gości. W ten sposób nie zostanie skażona żadną przyniesioną z zewnątrz chorobą ani złymi myślami.

Hanna po raz kolejny osłupiała na widok ilości jedzenia i picia, jaką konsumował dwór. Wyobrażała sobie, co powiedziałyby jej matka, ale jej matka równie dobrze mogła rzec, że jeśli królowi się dobrze powodzi, to i królestwo kwitnie.

O Pani, o tej porze zeszłego roku ona i Liath właśnie opuściły Spokój Serca, odjeżdżając z Wilkunem, Hathui i biednym dzielnym Manfredem. Dotknęła Orlej odznaki. Gdzie była teraz Liath?

2.

Liath przykucnęła, obejmując kolana ramionami. Ziemia była zbyt mokra, aby usiąść, wszystko było wilgotne. Błoto pokrywało koła wozów i w płatach odpadało od dna, kiedy trzęsły się na drodze. Gałęzie moczyły każdego, kto był na tyle głupi, by ich dotykać. Trawa pokryta była rosą, a z drzew wciąż kapało, nawet jeśli nie było deszczu.

Choć czekali z wymarszem do pierwszego dnia miesiąca Sormas, nadal było za mokro jak na wyprawę wojenną. Ale nikogo to nie smuciło, kiedy w perspektywie mieli taki łup.

– Możesz to zrobić? – wyszeptał Alain. Trzymał się trzy kroki za nią. Smutek i Furia dysząc, siedziały o rzut kamieniem od nich.

Nie odpowiedziała. Fakt, że psy nadal do niej nie podchodziły, kazał jej się zastanowić, czy potrafią wyczuć tę okropną siłę, która w niej tkwi. „Drewno płonie”. Zadrzała. Czy kiedykolwiek nauczy się ją kontrolować? Musiała spróbować.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział. – Niedługo zaczną mnie szukać.

– Cicho. – Podniosła dłoń, a on cofnął się jeszcze o krok. Psy skomlały. W drewnie tkwi dążenie do zapalenia, wspomnienie ognia. Być może, jak pisała Democrita, małe niewidoczne bierwiona, wygładzone tak, aby mogły się o siebie zaczepiać, tworzą wszystkie rzeczy we wszechświecie; niektóre z nich w drewnie muszą należeć do żywiołu ognia. Gdyby tylko mogła sięgnąć przez ogniste okno i wezwać do nich ogień, przypomniałyby sobie płomień...

I zapaliły.

Drewno zajęło się gwałtownie. Płomień wystrzelił i oblizał gałęzie najbliższego drzewa. Liath odsunęła się od spopielającego gorąca. Psy zawyły i odczołgały się, warcząc.

– Wielki Panie! – zaklął Alain. Znów się od niej cofnął i nakreślił na piersi Krag, dla ochrony.

Liath opadła na kolano i wpatrywała się w ogień. Płomienie biły w niebo. Gałęzie syczały. Trawa w zasięgu przejmującego gorąca kurczyła się i czerniała. Tylko wtedy, gdy było mokro, odważała się wezwać ogień; tylko wtedy bezpiecznie było porwać się na coś, czego skutków nie mogła kontrolować.

Zaczął kropić deszcz. Alain naciągnął kaptur na głowę i z wahaniem dał krok w przód. Liath wpatrywała się w ogień i w myślach splatała szalejące płomienie w bramę, która pozwoli jej widzieć inne części świata.

– Hanna – wyszeptała. „Tam”. Widok był raczej szeptem niż rozwijającą się wizją. Hanna stoi u boku Hathui; wszystko inne jest cieniem. Ale Liath widziała po ramionach Hanny, po nagłym uśmiechu, jakim obdarzyła starszą Orlicę, że wszystko było w porządku. Hugo jej nie skrzywdził.

Sięgnęła do płaszcza i wydobyla złote pióro. Zalśniło ogniście, jasnymi iskrami, odbijając płomienie. Alain wymamrotał przekleństwo. Psy zawarczały.

– Podobne do podobnego – wymruczała. – Niech to nas połączy, starszy.

Jak odrzucona kotara odsłania izbę, tak ryk ognia bez zapowiedzi zmienił ton. Wokół niej zabrzmiał niski ton jak odległy grzmot. Zasłona rozdzieliła się i w niej, a raczej poza nią ujrziała czarownika Aoi.

Zaskoczony, podnosi wzrok. Na wpół spleciony konopny sznur zwisa z jego ręki.

– *Cóż to? – pyta. – To ciebie wcześniej widziałem. Widzi przez ogień płonący przed nią, podsycany drewnem, ale widzi też poprzez ogień płonący na stojącym kamiennym bloku. Ta tajemnica ją pociąga. Musi się odezwać, nawet jeśli zwróci na siebie uwagę tych, którzy jej szukają. Ale mówi nie to, co zamierzała.*

– Jak rozpalasz kamień? – pyta.

– Głupie pytanie – odpowiada. Zaczyna zwijać sznur na udzie. Ale wydaje się myśleć. Patrzy na nią bez uśmiechu poprzez zasłonę ognia, ale nie jest nieprzyjazny. – Jesteś z ludzkiego rodu – mówi. – Jak tu przyszedłeś? Widzę, że mój dar do ciebie dotarł.

Mocno ściska złote pióro, identyczne jak te, które ozdabiają jego skórzane naramienniki.

– Dotknęłaś tego, czego ja dotknąłem. Nie wiem, jak odczytać te znaki.

– Błagam – mówi. – Potrzebuję pomocy. Zrobiłam ogień...

– Zrobiłaś? – Jego uśmiech jest krótki i ostry. – Ogień istnieje w większości rzeczy. Nie robi się go.

– Nie, nie. – Mówi szybko, bo nie wie, ile ma czasu, zanim przerwą jej i Alainowi, a ten człowiek, nie człowiek, ten Aoi jest jedynym stworzeniem, którego może zapytać. – Wezwałam go. To tak, jakby żywioł ognia leżał uspijony w drewnie, nagle przypomniał sobie swoją moc i ożył.

– Ogień nigdy nie śpi. Ogień spoczywa w większości rzeczy, w jednych głębiej niż w innych.

– W takim razie w kamieniu leży głębiej, niż mogę sięgnąć. Dlaczego ten kamień się pali? Nieruchomieje, konopna lina owija się wokół jego uda.

– Dlaczego zadajesz pytania, dziecko?

– Bo potrzebuję odpowiedzi, starszy. Potrzebuję nauczyciela.

Podnosi linę i przesuwa ją między palcami. Białe muszle na jego krótkim płaszczu klekoczą cichutko, jak szelest wiatru w koronach drzew. Odwraca się, raz spogląda za siebie i znów na nią.

– Czy prosisz mnie, żebym cię uczył?

– A kto inny ma mnie uczyć? Będziesz mnie uczyć? – Ogień nie płonie tak dziko, jak nadzieja, która wzbiera w jej sercu.

Zastanawia się. Muszle, kamienie i paciorki błyszczą w świetle ognia. W każdym uchu nosi okrągły jodełkowy kolczyk. Jego włosy, zebrane w kity, są czarne jak noc i nie ma brody. Patrzy na nią ciemnymi oczami, nie mruga.

– Znajdź mnie, a będę.

Na początku nie może się odezwać, jakby głos jej wydarto. A potem, z wysiłkiem, przestraszona, wyrzuca z siebie słowa:

– Jak cię znajdę?

Podnosi dłoń, odkładając sznur i pokazuje płonący kamień.

– Przejdź. Brama jest już otwarta.

Podnosi się, daje krok, ale gorąco jest zbyt wielkie. Nie może podejść bliżej.

– Nie mogę – mówi, prawie szlochając. – Nie mogę. Jak się tam dostanę?

– Jedno konopne włókno nie jest mocne. – Owija pojedyncze włókno wokół palca. Szarpie i przerywa je w połowie. Potem owija skończony sznur na dłoni. – Splecione razem tworzą

mocną linę. Ale na zrobienie liny potrzeba czasu, tak jak potrzeba czasu na splecenie razem włókien wiedzy, aby powstała mądrość.

Nagle wstaje, rozgląda się, jakby coś usłyszał.

– Nadchodzą.

W tej chwili widzi za nim ścieżkę, która wiję się dziwnie wśród drzew. Pochód podąża tą ścieżką, podobny do orszaku króla Henryka, ale krótszy. Żywe kolory tak poraża ją jej wzrok, że nie wie, co tam idzie. Widzi jedną rzecz: okrągły sztandar na drzewcu, kolistą złotą materię ozdobioną jaskrawymi zielonymi piórami, szeroką jak rozłożone męskie ramiona. Obraca się niczym koło u wozu. Jego blask ją poraża.

– Musisz odejść – mówi twardo czarownik. Oblizuje palce i sięga nimi w ogień, jakby chciał zgasić knot. Wilgoć syczy i pryska, padając jej na twarz. Odskakuje, mruga, a potem z westchnieniem pochyla się znów. Ale zasłona opadła.

Widziała tylko szalejący ogień i mgiełkę pary wodnej unoszącą się w chłodne wiosenne powietrze.

– Liath! – Na jej łokciu zamknęła się dłoń, ale to był tylko Alain, klęczący obok. – Myślałem, że wejdiesz prosto w ogień.

Oblizwała palce i skierowała je ku ogniu, jakby chciała go zgasić, ale nic się nie stało.

– Gdybym tylko mogła.

– Słuchaj... – zaczął, próbując ją pocieszyć, podczas gdy psy warczały na płomienie.

Wyrwała się z jego uścisku i cofnęła. Skóra na jej twarzy była spieczona; gdy jej dotknęła, poczuła ból.

– Widziałam czarownika Aoi. Powiedział, że będzie mnie uczył, jeśli znajdę drogę do miejsca, w którym się znajduje.

Podejrzliwie rzucił okiem na ogień.

– Czy możesz zaufać Zaginionemu? Oni nawet nie wierzą w Boga Jedności!

– Może dlatego – odparła wolno, sama starając się zrozumieć. – Jestem dla niego ciekawostką, to wszystko. On niczego ode mnie nie chce, w przeciwieństwie do innych.

– Ale dlaczego widzisz go przez ogień?

– Nie wiem.

– To tajemnica, podobnie jak moje sny – zgodził się, miłosiernie zapominając o pytaniu. Podniósł dłoń, wchłaniając ciepło. – Ale parzy! – stwierdził. Liath zwiesiła głowę, zawstydzona, sądząc, że on zda sobie sprawę, jaką straszliwą rzecz uczyniła i będzie nią pogardzał, bo wiedział, czym była: dzieckiem czarowników, nieuczonym, ignoranckim i bez kontroli. – Pomyśl tylko, co mogłabyś zrobić takim ogniem!

– A nie zrobiłam już wystarczająco? – spytała gorzko, rozmyślając o Lwach, które zabiła.

– Nikt z nas nie jest bez grzechu – przypomniał. – Ale mogłabyś się nauczyć robić coś pożytecznego...

– Podpalić Eików – odrzekła kwaśno. – Spalić Gent i gnijących tam nieszczęśników!

– Nie mów tak! Gdybyś mogła ich tylko wystraszyć, przegonić...

– Oj, Alainie! Walczyłeś z Eikami. Ogień ich nie przestraszy.

– A poza tym, jak nam doniesiono, w mieście są niewolnicy. Gdyby miasto się spaliło, zginęliby. – Zmarszczył czoło i spojrzał na nią. – Musimy powiedzieć mojemu ojcu.

– Nie! – Co do tego nie miała wątpliwości. – Gdyby król się dowiedział, że to ja spaliłam pałac w Augensburgu, gdyby biskupiny się dowiedziały, jak sądzisz, co by ze mną zrobili?

Zakłopotany zajął się strzeptywaniem z płaszcza spopielonej kory.

– Potępiliby cię jako maleficusa i posłali na sąd skoposy – powiedział opornie. – Ale ja bym cię bronił! Ufam ci.

– I oskarżyliby mnie, że cię zaczarowałam. Nie, nigdy nie zaufają maleficusowi, który wzywa ogień. I dlaczego mieliby wierzyć, że nie potrafię go kontrolować? Uznaliby, że nie chcę albo że moja skaza czyni mnie bardziej niebezpieczną.

– Nie możesz go kontrolować? – Zerknął nerwowo na szalejące płomienie.

– Nawet nie umiem go wygasić – powiedziała z obrzydzeniem. – Mogę go tylko zapalić.

– Ale musisz powiedzieć memu ojcu, Liath. Nie potępi cię. Zbyt wiele ma na sumieniu, by rzucać kamieniami w innych.

– Ale może mi rozkazać wezwać ogień na Gent, prawda? Gdyby kazał, a ja mogłabym tego dokonać, ilu niewinnych niewolników zginęłoby w płomieniach?

Zawahał się. Wyraz jego twarzy świadczył, iż obawiał się, że miała rację, że hrabia Lavastine poświęciłby paru niewolników, nawet jeśli kiedyś byli to wolni chłopci, aby tylko wziąć Gent. Aby tylko zdobyć szlachetną narzeczoną dla syna.

Z mgły, dymu i pary usłyszeli krzyk.

– Odkryli, że mnie nie ma – powiedział Alain. – Ty idź od tyłu. Nie zorientują się, że znikłaś. Jeśli znajdą ten ogień, nie skojarzą go z tobą.

– Tak, panie. – Nie wiedziała, czy jest wdzięczna, czy rozbawiona jego zapobiegliwością. Nie miał w sobie arogancji szlachcica, a jednak, podobnie jak tato, nosił się z niewytłumaczalną godnością i można go było tylko poważać.

Skoczył do przodu, wyrwał z ognia dwie główne i cofnął się.

– Nie ma powodu, aby biedni żołnierze mieli marznąć na deszczu. Rozpalimy ogniska. Idź!

– Jak to wytłumaczysz? – spytała, ale uśmiechnął się tylko, kpiąc bardziej z siebie niż z niej.

– Jestem hrabiowskim dziedzicem. Nikt prócz ojca nie będzie mnie wypytywał, a nie ma powodu, by on się o tym dowiedział. Idź już. Nie powiem ani słowa o tym, co dziś widziałem.

– Skoczył w las w kierunku głosów. Psy pobiegły za nim.

Została przy ogniu, ale wiedziała, że gdyby teraz w niego zajrzała, nie rozstąpiłaby się żadna zasłona, nie otworzyły żadne wrota. Z westchnieniem poszła okrężną drogą do obozu. O

Pani. Kolano miała przemoczone; workowata nogawica albo przylegała do jej nogi, albo odklejała się tylko po to, by znów przylgnąć, zimna i lepka.

Ale ta niewygodność niewiele znaczyła wobec tego, co zaproponował jej czarownik Aoi: „Znajdź mnie”.

3.

Rosvicia wydawało się, że rozpoznała książkę, którą nosił ze sobą ojciec Hugo. Jednak w tak elegancki sposób trzymał ją zawsze blisko siebie, wpychał do rzeźbionej skrzyni, którą jeden ze służących za nim nosił, zamykał delikatnie, jakby bezmyślnie, kładł dłonie na okładkach, na wpół ją skrywając, że nigdy nie zdołała się dobrze przyjrzeć. Nie miała całkowitej pewności, że była to rzeczywiście ta sama książka, którą Liath nosiła zeszłej jesieni, tego samego dnia, gdy Sapientia wróciła na dwór królewski.

Rosvita nienawidziła ciekawości, ale zaakceptowała swą przywarę, być może nawet zbyt łatwo.

Po siedmiu dniach dziewczynka została namaszczona wodą święconą i pachnidłami oraz otrzymała imię zaproponowane przez ojca: Hipolita, po błogosławionej świętej. Silne dziecko płakało głośno, oburzone zimnym dotykiem wody na swej skórze i zaczerwieniło się od stóp do głów. Sapientia opuściła odosobnienie i poprosiła Henryka, by pozwolił na czterodniową podróż dworu do Thersy, która była znacznie przyjemniejszym miejscem niż klasztor.

Nic nie mogło zepsuć dobrego humoru Henryka. Ale Rosvita widziała już, że mężczyzna lub kobieta trzymający na rękach dziecko ich dziecka odczuwał triumf w obliczu zwycięstwa nad kruchością życia na ziemi. Zgodził się bez kłótni. Cały dwór po raz kolejny spakował dobytek i odjechał. Pani i Pan byli łaskawi: pogoda podczas krótkiej podróży była łagodna i słoneczna. W Thersie zatrzymali się na trzy tygodnie, aby matka i jej dziecko mogły nabrać sił przed podróżą na północ do Gentu.

– Być może już czas, by pogrzebać jego pamięć – powiedział cicho Henryk do Rosvity pewnego wieczoru, a ona tylko wyszeptała słowa zachęty.

I tak się stało. Niewielka kompania, składająca się z króla Henryka, Helmuta Villama, Rosvity i trzech kleryków, ojca Hugona, oddziału Lwów i Orła wyruszyła następnego ranka. Droga prowadziła przez zielone pola do wioski, której mieszkańcy wylegli, by ich powitać. Ojciec Hugo rozdawał scetty gospodarzom; król Henryk błogosławił małe dzieci, podawane ku niemu przez matki i ojców, kładąc dłonie na każdej brudnej główce. Nie używana ścieżka wiodła do brzegu strumienia. Kępy traw kołysały się w wysokiej wodzie. Strome brzegi były nieco podmyte, ale tylko Lwy się zamoczyły; jeźdźcy przejechali brodem.

Ruiny leżały w nieładzie na zboczu łagodnego wzgórza, ukoronowanego kamiennym kręgiem. Kiedyś stały tu budynki. Czy zostały pobudowane przez tych samych ludzi, którzy wzniesli kamienny krąg, czy też była to późniejsza forteca, chroniąca – albo powstrzymująca

– wpływ kamiennej korony? Biorąc pod uwagę strumień w pobliżu i dobre ziemie, można się tu było osiedlić, co udowodniała determinacja wieśniaków: niewielu ludzi z własnej woli zamieszkiwało w pobliżu kamiennych kręgów, chyba że mieli ku temu poważne powody.

Henryk zsiadł z konia i z Villamem u boku ruszył do ruin.

– Dwaj mężczyźni, wciąż oplakujący stratę synów – powiedziała siostra Amabilia. – A biedny Villam stracił syna w kamiennym kręgu.

– Naprawdę? – zdziwił się brat Konstantyn. – Nigdy nie słyszałem tej historii.

– Wydarzyła się, zanim do nas przybyłeś – odparła słodko Amabilia, nigdy nie przepuszczająca okazji, by przypomnieć poważnemu młodzieńcowi, że był nie tylko młody, ale także, że jego matka popierała Sabelę. – Młody Berthold był wspaniałym młodzieńcem, prawdziwym scholarem, jak sędzę, i wielka szkoda, że nie pozwolono mu wstąpić do Kościoła, bo miał się żenić.

– Co się z nim stało?

Brat Fortunatus przewrócił oczami, podekscytowany możliwością plotkowania.

– Zabrał ze sobą swych przybocznych, aby zbadać kamienny krąg nad klasztorem w Hersfordzie... – urwał, wytrzymując spojrzenie Konstantyna i zniżył głos do szeptu: – ...i więcej ich nie widziano.

– Cicho! – powiedziała Rosvita, zdziwiona ostrością swego głosu. – Berthold był dobrym chłopcem. Nie należy kpić sobie z jego straty i rozpaczy ojca. Dalej. – Zobaczyła, że Hugo usiadł na starym murze z dala od innych i otworzył książkę. – Możecie się rozejrzeć, jeśli chcecie. Bracie Konstantynie, pragniesz pewnie sprawdzić, czy nie ma na kamieniach starych inskrypcji dariyańskich, które mógłbyś odczytać. Nie zbliżajcie się do króla, chyba że was o to poprosi. – Król wraz z Villamem zniknął w kamiennym kręgu, pół tuzina Lwów i ulubiony Orzeł deptali im po piętach. – Idźcie. – Rozbiegli się jak pszczoły szukające miodu. Rosvita podniosła się i obojętnie przemierzyła ruiny, omijając kamienie i hałdy ziemi, aż dotarła do Hugona.

– Ojczy Hugonie. – Powitała go, siadając na gładkim murze. – Musi was cieszyć lojalność waszej matki, przysyłającej swego lekarza z tak daleka, aby zajął się księżniczką Sapientią.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął, delikatnie zamykając książkę; zdołała dostrzec tylko nierówne kolumny szerokiego pisma.

– Rzeczywiście, siostrze. Ale wierzę, że moja matka zamierza powrócić na dwór królewski, gdy tylko zakończy swe interesy w Austrze.

– Ach, tak, jej ożenek. Macie jakieś nowe wieści? – Ponieważ jej klerycy znalazłyby nowe wieści, gdyby tylko nadeszły, był to czysty blef i wiedziała o tym. Być może on również, ale trudno jej było w nim czytać, zawsze był tylko i wyłącznie grzeczny oraz dobrze ułożony.

– Niestety, żadnych. Ale być może – uśmiechnął się z nagłą złośliwością – brat Fortunatus usłyszał już to, co dla nas nadal pozostaje tajemnicą.

Roześmiała się. Hugo bardzo przypominał ojca. Niewolnik z Alby, którego margrabina

Judith miała za kochanka, nadal przebywał na dworze, kiedy za ostatnich dni króla Arnulfa pojawiła się na nim Rosvita. Żadna młoda kobieta, nawet zakonnica, nie mogła go nie zauważyć, ale po bliższym poznaniu okazał się głupi i próżny. W końcu zginął w wypadku na polowaniu i chłopiec, którego spłodził kilka lat wcześniej, został oddany Kościołowi. Hugo nie miał czystej, zapierającej dech urody ojca, ale był na tyle przystojny, że nic dziwnego, iż Sapientia go uwiodła. Jeśli, oczywiście, uwodziła tylko jedna strona, w co Rosvita wątpiła. Pomimo swej arogancji, Hugo był zawsze posłusznym synem; stając się faworytem i doradcą Sapientii, umacniał pozycję matki pośród wielkich książąt królestwa.

– Mamy piękny dzień, prawda, ojcze Hugonie? – Uniosła twarz do słońca.

– Przykro mi tylko, że król się smuci w taki wspaniały dzień. – Wskazał na kamienny krąg. Widać było Henryka i Villama, poruszających się wolno pomiędzy kamieniami. Henryk przyciskał do twarzy starą szmatkę, od czasu do czasu podnosząc ją do oczu.

– Musi złożyć księcia na spoczynek w swym własnym sercu – powiedziała, zapominając na moment o swym zadaniu. – Zanim książę spocznie w górze – wskazała niebo.

– A może? – spytał nagle Hugo. – Jest w połowie elfem, a mówi się, że po śmierci wędrują po ziemi jako mroczne cienie.

– Tylko Bóg może odpowiedzieć na to pytanie. Wy i Sanglant byliście rówieśnikami, prawda?

– O, tak – rzekł ostro.

– Ale wy uczyliście się w królewskiej scholi, a on nie.

Hugo spojrzał w bok, ku kamieniom. Był wysoki, lecz nie tak wysoki jak Sanglant i jasnowłosy, podczas gdy Sanglant był ciemny. Jako kapłan nie miał brody i tylko w tym przypominał zmarłego księcia; poza tym różnili się kompletnie. Rosvita doskonale wiedziała, że Sanglant był jako chłopiec ulubieńcem dworu; Hugona tolerowano, zazdrozczono mu, niekiedy podziwiano z urazą, ale nigdy go nie lubiano – aż do teraz.

– Mówienie źle o zmarłych nie przynosi chwały – powiedział w końcu. Jego dłoń poruszyła się na książce, przypominając o niej Rosvicie.

– Prawda, ojcze Hugonie – rzekła, dostrzegając swą szansę. – Co to za książkę ze sobą nosicie?

Zamrugnął. Potem spojrzał na książkę, silniej zacisnął palce na jej popękanej skórzanej okładce i popatrzył na Rosvitę.

– To książka, którą od pewnego czasu studiuje.

– Jakie to ciekawe. Przysięgłabym, że widziałam ją, zanim księżniczka Sapientia wróciła na dwór. Zanim wy z nią wróciliście. Tak. – Udała, że się zastanawia, a potem ostrożnie odwróciła wzrok, podziwiając ruiny, drzewa, strumień i wioskę w oddali, jakby książka zainteresowała ją tylko przelotnie. Po chwili pławienia się w wiosennym słońcu i przyjemnej ciszy, odwróciła się do niego, jakby przypomniała sobie o rozmowie: – Muszę się mylić. Widziałam książkę podobną do tej w posiadaniu jednego z Orłów. Jak ona miała na imię? Te

Orły wszystkie się mieszają.

Podniósł na nią oczy, ale nic nie powiedział. Znalazła kępkę białych kwiatów, wyrastających ze szczeliny między kamieniami. Zerwała je i przycisnęła skromny bukiet do nosa.

– Liath – powiedział w końcu tak ostro, że ją zaskoczył.

– A tak, Liath – wykrztusiła, opuszczając kwiatki. – Ciekawe imię, aretuzańskiego pochodzenia, jak sądzę. – Nie odpowiedział. – Nie służyliście jako frater na północy, ojcze?

– Owszem, w miejscu zwanym Spokój Serca, na południe od miasta handlowego Freelas.

– A to dziwny zbieg okoliczności. Ten Orzeł, Liath i jej towarzysza, Hanna, która jest teraz Orłem Sapientii, pochodzą ze Spokoju Serca.

– Wy również stamtąd pochodzicie, prawda, siostrze?

– Tak.

– Jesteście drugim dzieckiem hrabiego Harla, jak mniemam.

– Oczywiście musieliście poznać mego ojca i jego rodzinę, skoro tam mieszkaliście.

– Spotkałem ich – powiedział z lekką pogardą, której zwykle nie okazywał Rosvicie, ulubionej kleryczce pośród królewskich doradców, starszej w Kościele i kobiecie.

– To wy zainteresowaliście królewskie Orły tymi dwiema kobietami? To wielka wspaniałomyślność.

Jego miły wyraz twarzy się nie zmienił, ale w oczach pojawił się niedobry, twardy blask.

– Nie, to nie ja. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Gdyby obok uderzyła błyskawica, Rosvita mniej by się zdziwiła. Wspomnienie wizyty w Quedlinhamie zeszłej jesieni tak ją wstrząsnęło, że wypuściła z ręki kwiatki, które rozsypały się po jej habicie, kamieniach i ziemi.

Ivar, rozmawiający z Liath w ciemnym schronieniu bocznej komnaty w bibliotece klasztornej. Liath powiedziała: „Kocham innego mężczyznę”. To rozwścieczyło Ivara. Jakie imię wtedy wypowiedział?

„Hugo”.

Liath nie zaprzeczyła, powiedziała tylko, że on nie żyje. Teraz, kiedy Hugo spoglądał na nią niewinnie jak baranek, zła była na siebie, że nie wypytała Ivara bardziej szczegółowo.

– W takim razie jestem zmieszana i proszę o wybaczenie, ojcze Hugonie – rzekła w końcu. – Sądziłam, że musieliście znać te dwie kobiety i mego brata Ivara, gdy byliście w Spokoju Serca. Stąd ma ciekawość o książkę, przypominającą tę, którą nosiła Liath.

Bawił się książką, mocniej przyciskając do uda i westchnął głośno, jakby podjął ciężką decyzję.

– Ukradła mi ją. Ale, jak widzicie, odzyskałem ją.

– Ukradła wam ją! – Podejrzuwała co prawda, że Liath ukradła skądś książkę, ale potwierdzenie przypuszczenia nie było przyjemne. – Jak ją ukradła? Kiedy?

Zamknął na chwilę oczy. Rosvita nie mogła sobie wyobrazić, jakie myśli przebiegały mu

przez głowę. Jak książka, jak komnata ukryta za zasłoną, był przed nią zamknięty. Zrezygnował całkowicie z habitu opata i nosił jak każdy szlachcic wyszywaną tunikę, krótką pelerynę spiętą złotą broszą, nogawice ze srebrnymi lampasami oraz miecz; rozpoznawano w nim kapłana jedynie po braku brody i elokwencji.

– Nie jest mi łatwo o tym mówić – rzekł w końcu. – Głęboko mnie to boli. Ojciec tej młodej kobiety umarł poważnie zadłużony. Spłaciłem dług, bo tak nakazuje miłosierdzie, zresztą sama o tym wiecie, będąc pobożną kapłanką, siostrze. W ten sposób stała się moją niewolnicą. Nie miała rodziny i niestety, żadnych perspektyw, więc zatrzymałem ją przy sobie, by chronić.

– Doprawdy – wymamrotała Rosvita, rozmyślając o Ivarowych wyznaniach miłości. Oczywiście syn hrabiego nigdy nie mógłby poślubić dziewczyny bez rodziny, a do tego czyjejs niewolnicy! Nigdy nie powinien był nawet o tym myśleć. – To piękna dziewczyna, wielu to dostrzegło, a poza tym posiada żalostną namiastkę wykształcenia. Wystarczy, by przyciągnąć uwagę niewłaściwych osób.

– Rzeczywiście. Ale, że w ten sposób mi odpłaciła... – Urwał.

– Jak wobec tego została Orłem?

Zawahał się, wyraźnie nie chcąc mówić dalej.

– Wilkun – rzekła i wiedziała, że trafiła, kiedy jego usta zacisnęły się.

– Wilkun – przytaknął. – Zabrał to, co nie było jego.

– Ale tylko wolni mężczyźni i kobiety mogą wstąpić do Orłów.

Elegancki, pewny siebie Hugo wyglądał przez moment jak człowiek porażony smutkiem.

– Zmuszono mnie.

– Dlaczego nie powiecie królowi? Na pewno wysłucha waszej skargi.

– Nie oskarżę człowieka, którego tu nie ma i nie może mówić za siebie – odparł rozsądnie Hugo. – Wykorzystywałbym Wilkuna tak, jak on wykorzystał mnie, w pewnym sensie, kiedy zażądał wspomnianej młodej kobiety do służby królewskiej, nie pytając króla o zdanie w tej sprawie. Nie chcę też być uważany za człowieka, który nieprzystojnie wykorzystuje... – znów uśmiechnął się złośliwie. – Bądźmy szczerzy, siostrze Rosvito. Mój zażyły związek z księżniczką Sapientią.

– Nikt by was nie obwinił, gdybyście teraz wnieśli sprawę do króla. Wszyscy się zgadzają, że wasze mądre rady zmieniły na lepsze zachowanie księżniczki.

Hugo skromnie skłonił głowę:

– Ja bym się obwinił.

4.

Gromadzili armię i przyglądał się temu, bezradny. Po kacie, pod jakim przez okna katedry wpadało światło i po ciepłe, wkradającym się do wielkiego kamiennego budynku, kiedy

otwierano drzwi, domyślił się, że wreszcie nadeszła wiosna. Wiosenne powodzie były niewielkie i wiatry pozwalały Eikom przyplýwać z północy.

I z północy przybywali setkami, zbierając się u stóp tronu Krwawego Serca jak śmieci wyrzucone przez przyplýw.

Tego dnia, gdy powrócił zbuntowany syn, wiedział, że musi działać. Skoro buntownicy wracają, oznacza to, że gotują się wielkie sprawy, tak wielkie, że przyciągają nawet tych, których wcześniej skazano na wygnanie. Nawet kapłan, kucający tuż poza zasięgiem łańcuchów Sanglanta, ucząc go czytania kości, odwrócił się i gapił na niespodziewany widok młodego księcia Eików, noszącego na szyi drewniany Krąg.

– Dlaczego wróciłeś? – zarzycał Krwawe Serce w ludzkim języku, wyzywając szczupłego Eikę, który stał przed nim dumny i nieruchomy.

– Przyprowaǳiłem osiem okrętów – odpowiedział syn, wskazując Eików stojących za nim, reprezentujących, być może, żołnierzy zgromadzonych na zewnątrz. W Gencie było teraz zbyt wielu Eików, aby pomieścić ich w katedrze. Wyczuwał ich metaliczny zapach, przenikający powietrze. – Dwa z Hakoninu, dwa ze Skaninu i jeden z Valdarninu. Trzy pozostałe przyplýnęły ze mną z Rikinu. Powiększłą liczbę twojej armii.

– Dlaczego miałbym cię przyjąć, skoro mój głos i rozkaz posłały cię do domu bez honoru?

Sanglant zmierzył odległość między sobą i kapłanem, potem poklepał się po wiszących na nim łachmanach, które kiedyś były ubraniem. Wsunął dłoń pod materiał i wyjął brązową Orłą odznakę. Rzucił ją jednemu z psów po lewej. Nagły ruch i warczenie psów, które rzuciły się, by walczyć o odznakę, przestraszyły kapłana wystarczająco. Odskoczył w bok.

Przez chwilę znalazł się w zasięgu rąk Sanglanta.

Skoczył. Kiedy jego dłoń zamknęła się na kościstym ramieniu Eiki, wyrwał spod tuniki nóż. Mocno szarpnął kapłanem i puścił jego ramię, wrywając małą drewnianą skrzynkę spod jego łokcia. A potem skoczył ku schronieniu wśród psów, szczekających jak opętane, podczas gdy z gardła Krwawego Serca wyrwał się ryk wściekłości i wszyscy Eikowie w katedrze zaczęli naraz wyc i skrzeczeć, psy zawtórowały im, ogłuszając Sanglanta. Miał tylko chwilę na działanie, nim go obezwładnią.

Nie było czasu na finezję, jak zwykle w bójce. Ciął dziko zamek skrzynki. Nóż, rzadko używany, nadal miał dobre ostrze. Zamek pękł, drewno sypnęło drzazgami, a on ciął i ciął, z całej siły, a potem oderwał wieko i wysypał zawartość na podłogę.

Nie wiedział, jak wygląda serce Eiki. Ale gdzie indziej trzymałby je Krwawe Serce, jak nie przy sobie? Co innego mógłby nosić kapłan w drewnianej skrzynce, z którą nigdy się nie rozstawał?

Ale wszystkim, co wypadło na podłogę, był kłęb puszystych piór i białe, bezwłose stworzenie mniejsze od jego dłoni. Z zaczątkiem oczu i uszu, ogonem i czterema kończynami wyglądało jak przedwczesny pomiot z nieczystej matki, przejrzysta, bezbarwna rzecz o

niezidentyfikowanych rysach oraz pochodzeniu. Z mdlącym plaśnięciem upadła na podłogę i leżała tam, nieruchoma.

Martwa.

Nigdy nie ufaj pozorom śmierci.

Podniósł nóż.

Oberwał drzewcem oszczepu, a kiedy odwracał się, poczuł drugi cios, oszczep przeszył mu plecy tuż pod żebrami. Rzucił się w przód, uderzył nożem, a jego psy zaatakowały napastników. Ale jego wzrok się zaćmił; świat przed nim kołysał się i kręcił.

Promień słońca padł na kamienną podłogę, jego złota poświata oblała maleńkiego trupa. Embrion zatrzęsł się, skulił.

Ożył.

Umknął, kiedy ostrze noża Sanglanta dziabnęło kamienie w miejscu, gdzie leżał.

Krwawe Serce wrzeszczało z wściekłości.

Ostrze oszczepu zostało wyrwane z jego ciała i zatoczył się w przód, by nie upaść; szarpnęło nim, gdy łańcuchy rozwinęły się na całą długość. Kapłan skowyczał dziko, ścigając chudą, śmiertelnie białą istotę, która umykała pomiędzy nogami Eików, usiłujących zagrozić jej drogę.

Krwawe Serce, wciąż rycząc, otoczony swymi psami, odrzucał na bok swych żołnierzy, przepychając się. Krew spływała Sanglantowi po plecach, ciekła po pośladkach i udach. Zatoczył się i padł na kolana, wznosząc nóż.

– Pies! Psi syn! Serce, w które chciałeś uderzyć, leży daleko stąd, ukryte pomiędzy kamieniami fjallu Rikin! Za to świętokradztwo zapłacisz krwią!

Krwawe Serce uderzył, ale Sanglant był szybszy. Zerwał się i wraził nóż w ramię wodza Eików, naciskając, gdy dwie sfory psów rzuciły się do przodu. Jego i Krwawe Serce otoczył wir kłów, ogonów i pazurów.

W zamieszaniu Krwawe Serce złapał Sanglanta za żelazną obrożę i podniósł go w górę. Drugą ręką chwycił dłoń Sanglanta wciąż ściskającą nóż i wykręcił mocno.

Chrupnięcie kości i fala gorącego bólu nieomal odebrały mu przytomność. Ale nie wypuścił noża, dopóki Krwawe Serce nie wyrwał go z własnego ramienia, a potem z uścisku Sanglanta. Rzucił mężczyznę w tył, obrócił nóż, chwytając łuskowatą ręką rękojęść wysadzaną klejnotami, wściekle uderzył w szalejące po obu stronach psy i skoczył pomiędzy nie.

Sanglant wymacał brązową Orlą odznakę i dźwignął się na nogi. Trzymał przed sobą tę niewielką tarczę jak talizman, ale na nic się to zdało. Krwawe Serce wpadł w bezmyślną furję. Eika raz za razem wbijał nóż w pierś Sanglanta.

Czasami pozostałości kolczugi odbijały uderzenia, ale te strzępy nie mogły go uchronić. Nóż przebijał go, rozdzierając wnętrzności, niszcząc, aż jego psy rzuciły się, wyjąc i gryząc, a Krwawe Serce musiał się przed nimi bronić. Puścił Sanglanta, który nie mógł stać, nie mógł

klęknąć, tylko paść na podłogę, podczas gdy jego psy powstrzymywały tłum, który wyjąc, zbierał się, by patrzeć na jego śmierć. Mógł się tylko przyglądać, jak topory i oszczepy spadają na wszystkie psy bez wyjątku, rozdzierając je, jak zielono zabarwiona krew, wnętrzności i mózg pokrywają jego ciało, podłogę, wszystko. Czuł tylko napór ciał i uderzenia potężnych ogonów, kiedy ostatnie z jego psów zgromadziły się wokół niego, broniąc go aż do gorzkiego końca – jak jego Smoki.

Płakałby nad ich lojalnością, ale nie miał łez.

Krwawe Serce nadal wył z gniewu, wrzeszcząc na kapłana, uciszając Eików, aby mogli odnaleźć ohydne stworzenie, które uciekło ze zniszczonej skrzynki. Tłum uciszył się, znieruchomiał i się rozdzielił.

W ten sposób, porzucając go dla ważniejszego łupu, zostawili Sanglanta. Ból obmywał go jak woda, powódź osiagająca apogeum w chwili, gdy czerń zasnęła mu wzrok i walczył o zachowanie świadomości, a potem cofająca się, ujawniając każde miejsce, w którym ból drążył.

Słyszał oddech swych psów, tych, które dyszały w agonii, i tych niewielu, które nadal żyły. Ostatnie sześć stało wokół niego, chroniąc go przed wspólnym wrogiem. Otoczony murem psów, leżał tam, oddychając płytko i czekał, aż oślepiający ból się skończy.

5.

Nie potrafił się zmusić do otwarcia oczu. Ale wiedział, że otaczały go ciała rozrzucone wokół jak śmieci. Niektóre z psów nadal żyły i warczały, gdy czyniono jakiś ruch w jego kierunku. Tak trudno było się obudzić i lepiej było nie budzić się wcale. Może lepiej było bez oporu zsunąć się w zapomnienie.

O Pani. Czy zostanie przyjęty do Komnaty Światła? Czy też z powodu krwi matki skazany był na wieczne błąkanie się po ziemi jako cień bezduszny?

Z oddali albo we śnie słyszał podobne fletom głosy Eików mówiących po wendarsku, przerywane kpiącymi, ostrymi tonami Eików wykrzykujących we własnym, twardym języku. Kilka słów już znał. We śnie rozpoznawał ich więcej niż kiedykolwiek, ale taka była natura jego snów.

– Widziałem tę armię w moich snach. – To płynny wendarski.

– Nie lepszy jesteś od psa, jak śmiesz tak mówić przed wielkim? – To mowa Eików.

– Moje sny są prawdziwsze od twoich przechwałek, bracie! Nie odrzucaj darów, które ci wręczyły MądreMatki, tylko dlatego, że nie są zrobione z metalu lub złota.

– Jak mam wierzyć, że twoje sny są prawdziwe, słaby? – A to Krwawe Serce.

– Jestem silniejszy, niż się wydaje, a me sny nie są tylko prawdziwymi snami, są życiem na jawie jednego z ludzi. Maszeruje z tą armią, a ja maszeruję z nim, widząc jego oczami.

Trącił go jeden z psów, sprawdzając, czy żyje, a on jęknął tak głośno, że echo jęku

rozłupało mu bólem czaszkę, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. Zapadła ciemność. W nieskończoność tonął w czarnej chmurze bezlitosnego bólu, który wił się i błyszczał jak nóż, który wiele razy wbito w jego ciało. W końcu ciemność rozjaśniła szarość poranka. Światło błyskało tu i tam w otaczającej wszystko mgłę.

Zasłona rozstąpiła się.

Kobieta wygląda młodo i jest z pewnością piękna. Nosi spódniczkę z frędzlami uszytą ze skóry tak cienkiej i miękkiej, że układa się i wiruje przy każdym ruchu. Podwójny pas czerwonej farby biegnie z grzbietu jej lewej dłoni do zagłębienia łokcia i dalej, do ramienia. Jej włosy są jasne, choć karnacja tak brązowa jak jego; odstawiają twarz i z tyłu głowy są związane malowanymi skórzanymi paskami ozdobionymi paciorkami, przytrzymującymi piękne zielone pióro. Masa złotych, turkusowych i jaszczurkowych naszyjników zwiesza się z jej szyi niemal do pasa. Nie nosi koszuli ani płaszcza, tylko naszyjniki, zakrywające i odkrywające podczas ruchu jej piersi.

Ale pomimo piękna i finezyjnej gracji, cierpliwie wykonuje brutalną robotę: zakrzywionym kościanym narzędziem wygładza grube kawałki drewna na drzewce oszczepów. Obsydianowe ostrza leżą na wiklinowej macie tuż obok, pomiędzy nimi spoczywa lina.

Czy wydał jakiś dźwięk? Podnosi wzrok, jakby go usłyszała, i w tejże chwili, kiedy nagle strzała słonecznego blasku przebija się przez drzewa i oświetla jej ramiona, dostrzega go.

– Chroni mnie, Sharatango! – wykrzykuje. – Dziecko! – Znika z pola widzenia, rzuca drzewce i kościany strug, sięga ku kamiennym ostrzom leżącym na macie.

– Jeszcze nie czas, by umierał – mruczy do siebie, choć on dokładnie słyszy każde słowo w języku, którego nie powinien znać, a jednak doskonale rozumie. Ona łapie jedno z wąskich ostrzy, podnosi je wysoko nad głowę, wołając czystym, silnym głosem. – Przyjmij tę ofiarę, Ta-Która-Nie-Będzie-Mieć-Męża. Przywróć życie jego członkom.

Przeciąga ostrzem po dłoni. Krew wzbiera, kapie z rany i rozbryzguje się w powietrzu, gdy kobieta potrząsa dłonią, strząsając na niego krew. Za nią jakiś głos wykrzykuje nagle, przerażone pytanie. Kropla wilgoci spada mu na usta, rozplywa się i kiedy ostry smak spływa mu do gardła, zasłona zamyka się w wirujący wzór szarości i mrugających gwiazd.

– Znam cię – szepcze.

Ale jego głos zostaje zagłuszony węszeniem psów, a rozpoznanie znikło wraz z ostatnimi pasmami mgły. Cisza jak kamień zapadła w olbrzymiej nawie katedry.

Przerażenie opanowało go z nagłą siłą. Czy umarł? Czy widział, poza zasłoną żyjących, jedną ze swej rasy czy też cień bez duszy na zawsze schwytywany w iluzję życia?

Zawsze sądził, że przekleństwo matki chroniło go przed śmiercią. O Panie, to nie była prawda. To nigdy nie była prawda. Po prostu miał szczęście.

O ile można to nazwać szczęściem.

Wyteżył wszystkie siły, nasłuchując, ale słyszał tylko psy. Czy wszyscy odeszli? Czy opuścili miasto, płynąc na wyprawę w górę rzeki, do serca Wendaru? Jak długo tu leżał,

umierając i wracając do życia?

Zbliżające się ku niemu kroki były lekkie jak wietrzyk szeleszczący wśród suchych liści w lesie.

Nigdy nie powiedzą, że nie walczył do ostatniego tchu.

Zadrzał, ale nie mógł poruszyć rękami. Jego psy zawarczały, grożąc gościowi. W jego nozdrza uderzył zapach gnijącego mięsa, dławiąc się, przełknął konwulsyjnie. Usłyszał mokre plaśnięcie mięsa rzucanego na podłogę i nagle wszystkie psy odbiegły, drapiąc pazurami posadzkę, by walczyć o resztki. Kroki zbliżyły się. Leżał tam, sparaliżowany i bezbronny, przełykając, jakby ten ruch mógł przenieść się na bezwładne ręce i pozwolić mu na obronę.

Udało mu się otworzyć oczy, gdy szczupły książe Eików noszący Krąg kucnął obok niego. Ruchy Eiki miały w sobie arogancję stworzenia cieszącego się doskonałym zdrowiem.

– Zabijesz mnie teraz? – zapytał Sanglant. Zaskoczony usłyszał swój głos, ochrypliwy i słaby. Walczył, by unieść rękę, by poruszyć ramionami i ledwo poczuł mrowienie w karku. Jedna ręka podskoczyła, ta ze złamanym nadgarstkiem.

Książe Eików tylko zamrugał. Jego miedziana twarz była bez wyrazu. Miał skośne oczy jak obsydianowe ostrza, wąskie nozdrza i podbródek. Jego śnieżnobiałe włosy były jasne jak słońce wpadające przez okna katedry. Wąskie usta pozostawały zaciśnięte, gdy się zastanawiał.

– Nie. Jesteś wyzwaniem mojego ojca, nie moim. Ja chcę tylko wiedzieć, dlaczego wciąż żyjesz. Nie jesteś jak inni Miękczy. Oni już by umarli od takich ran. Dlaczego ty nie umarłeś?

Sanglant stęknął. Ból był dotkliwy i będzie go jeszcze przez jakiś czas odczuwał, ale przyzwyczał się do niego. Poruszył łokciem i z kolejnym stęknięciem oparł się na nim. Patrzył na Eikę, który zdawał się jedynie... ciekawy? Sanglant sam był ciekawy.

– Co to było? – wyszeptał. – Ta rzecz w skrzyni.

Eika spojrzał na psy, ale wciąż kruszyły kości. Jeden podniósł łeb i zawarczał, ale ponieważ nie zanosilo się na przemoc, skupił uwagę z powrotem na ochłapach mięsa.

– A czy wszyscy przywódcy twojego ludu nie noszą ze sobą trofeum z pierwszej zdobyczy? – Uniósł miedzianołuską dłoń, obrócił powoli, odsłaniając zaostrzone kościane pazury, wyrastające z kłykci. – To znak siły ich rąk.

– To była jego pierwsza zdobycz? – Ogarnęło go obrzydzenie i na moment zapomniał o bólu, szarpnięty falą mdłości.

– Tak to z nami jest. Ci, których przeznaczeniem jest dorośnięcie do wieku męskiego, udowadniają swą męskość, zabijając jednego z braci z gniazda. Wy tego nie robicie?

– To nie było martwe. To biegało.

Eika uśmiechnął się nagle, obnażając białe ostre zęby, lśniące od klejnotów.

– To, co martwe, może zostać ożywione czarami. W ten sposób Krwawe Serce broni się przed synami i innymi, którzy próbowaliby go zabić.

Czucie wróciło w nogi i poruszył stopą. Złamany nadgarstek był sztywny, ale cały.

– Broni? Jak?

– Wszyscy boimy się klątwy, nawet najwięksi wodzowie.

– Bądźcie wszyscy przeklęci – wymruczał Sanglant. Obrócił się, zadając cios.

Ale Eika roześmiał się i odskoczył lekko, kiedy psy, zaalarmowane, porzuciły jedzenie i pobiegly ku księciu.

– Stop – powiedział Sanglant i psy usiadły, skowycząc nerwowo, a potem wróciły do ochłapów. – Przyszedłeś ograbić mnie z tej odrobiny, jaka mi została?

Eika otrząsnął się z obrzydzeniem.

– Żaden Eika nie chciałby rzeczy tak brudnych. Masz. – Kopnął coś na podłodze i brązowa Orla odznaka przeleciała po kamieniach, zatrzymując się na biodrze Sanglanta. Zakrzepła krew przywarła do jego skóry, a w każdym razie do brudu pokrywającego jego skórę. Cały był brudny i cuchnący, prócz tych miejsc, które psy próbowały wylizać. Strzępy spodniej tuniki były przezroczyste, niemal szklane, bo od miesiący moczyły się w pocie. To, co zostało z kubraka, miało na sobie tyle zaschniętej krwi i płynów, że odpadało płatami przy najlżejszym poruszeniu, a sam materiał był sztywny od brudu.

Księżę Eików patrzył, a potem potrząsnął głową i cofnął się.

– I ty byłeś dumą ludzkiej armii? – spytał. – Jeśli to ty jesteś ich najlepszym żołnierzem, żadna armia, jaką zgromadzą, nie będzie wystarczająco silna, by nas pokonać.

– Żadna armia – wymamrotał Sanglant gorzkie słowa.

– Nawet ta, która rozbiła obozowisko na wzgórzach ku zachodzącemu słońcu, nie może być wystarczająco silna, by nas pokonać.

– To prawda? Czy król Henryk przybył do Gentu z armią?

– Henri – zastanowił się Eika, nazywając króla po saliańsku. Odszedł, nie odpowiadając.

– O Pani – wyszeptał Sanglant, czołgając się na rękach i kolanach. – Jak długo to już trwa? Panie, zmiłuj się nade mną. Nie jestem zwierzęciem, by tarzać się we własnym brudzie. Oszczędź mi tego upokorzenia. Zawsze byłem twym wiernym sługą. – Spróbował stanąć na nogi, ale nie miał siły. Jeden z psów podszedł do niego i widząc jego słabość, ugryzł. Ledwo miał siłę, by go trzepnąć, a pies zaskowyczał i odczołgał się, gryząc pozostałe zwierzęta, które podbiegły, wyczuwając jego własną słabość.

Co uczynił źle? Taki był pewien, że Krwawe Serce trzymał swe serce w drewnianej skrzynce: miejsce samo się narzucało. Ale Krwawe Serce powiedział: „Serce, którego szukasz, leży ukryte pomiędzy kamieniami fjallu Rikin”.

O Pani, wdzięczny był, że katedra była pusta, że Eikowie odeszli. Nie mogli zobaczyć jego upokorzenia. Nie mogli zobaczyć, jak płakał z bólu, starając się stanąć prosto jak człowiek.

Rozdział czternasty

Wir niebezpiecznych prądów

1.

Diakonisa lorda Wichmana każdego ranka odprawiała mszę i tego dnia zakończyła ją zwyczajową modlitwą:

– Od furii Eików, uchowaj nas, Boże.

Po mszy Anna przystanąła przy garbarni, by rzucić okiem na Matthiasa, jak to czyniła każdego ranka, przypominając sobie, że naprawdę żył.

Nie miał się dobrze, ale żył. Ani słowem nie narzekał; nigdy nie powiedział, że bolała go noga, choć ledwo mógł na niej stanąć. Nigdy też nie dowiedziała się, jak złamał piszczel. Nie mówił o swym uwięzieniu przez Eików. Po uratowaniu cierpiał okrutnie od gorączki i opuchlizny, ale w końcu wyzdrowiał, choć noga zrosła się krzywo, była brzydka i blada. Utykał jak starzec, opierając się ciężko na grubej lasce i musiał przenosić ciężar ciała na zdrową nogę, by usiąść na stołku, gdy zdzierał włosy i resztki mięsa ze skór rozciągniętych na drewnianych ramach. Miał do tej pracy dobrą rękę i wykonywał ją szybko, więc pozwolono mu wrócić do odbudowanej garbarni mimo kalectwa. Karmiono go tam dwa razy dziennie.

Anna schowała się, zanim ją dostrzegł; nie lubił, gdy wyprawiała się do lasu, ale jej znaleziska i ochłapy, jakie dostawał Helvidius za swój śpiew i poezję, pozwoliły im przetrwać zimę oraz wczesną wiosnę. Teraz, kiedy wiosna rozkwitała w lato, można było zebrać pierwsze jagody, wydłubać grzyby z wilgotnych jam i zebrać masę roślin na łąkach i w cieniu drzew. Niektóre owady też były jadalne i jak przekonała się Anna, im człowiek bardziej głodny, tym bardziej były one smakowite.

Mała Helena rosła, ale nigdy nie powiedziała zrozumiałego słowa. Helvidius nieustannie narzekał, ale karmiony regularnie, choć skąpo i co noc sypiający na twardym łóżku, odzyskał siły i mniej potrzebował laski niż Matthias.

To właśnie Matthias najbardziej Annę martwił.

– To że przetrwałem, to błogosławieństwo Boże. – Nie mówił nic więcej.

Za palisadą pospieszyła ścieżkami prowadzącymi na zachód przez pola, na których pracowali mężczyźni i kobiety. Wielu z nich – mężczyzn i kobiet jednak – rozebrało się dla wygody do przepasek biodrowych; pod piekącym słońcem nie było miejsca na pobożną skromność. Anna też chętnie zdjęłaby tunikę, ale w lesie potrzebowała ochrony przed insektami i cierniami. Upał i niedawne deszcze sprawiły jednak, że dary natury obrodziły, a dziś szczególnie los się do niej uśmiechnął. Znalazła słodkie jagody i garść grzybów. Zebrała liście kopru, pietruszki i szczypioru oraz mech na łóżka. W południe zawędrowała na zachodnią drogę.

O tej godzinie szeroki trakt był cichy, spokojny i jasny. Niewielu odwiedzało Stelesham, choć pani Gisela często wspominała wspaniałe dni, zanim Eikowie napadli na Gent, kiedy to szlachta zamieszkiwała steleshamski dwór, a kupcy rozpływali się nad wspaniałymi materiałami utkanymi przez tutejsze kobiety. Nikt, widząc teraz Stelesham, nie pamiętał o chwale przeszłości. Anna nie była pewna, czy pani Gisela mówiła prawdę, czy tylko opowiadała historie jak Helvidius. Ale wszystkie historie Helvidiusa były prawdziwe, tak twierdził, tylko wydarzyły się bardzo dawno temu.

Anna stała w słońcu. Takie spokojne chwile zdarzały się rzadko i należało się nimi rozkoszować dopóty, dopóki zagrożenie Eikami wisiało nad nimi jak miecz. Anna przypuszczała, że w końcu Eikowie zgromadzą armię i zmiotą Stelesham z powierzchni ziemi, ponieważ było ich tylu, co much na padlinie. Lord Wichman każdego dnia wyruszał ich nękać, ale już stracił jedną trzecią żołnierzy, których przyprowadził i mimo że młodzieńcy z odległych wiosek przyłączali się do niego w nadziei na łupy, to nie mógł liczyć na to, że wiecznie będzie odpierał Eików – nie, skoro był tylko śmiertelnikiem, a jego przeciwnik dzikusem i jeszcze czarownikiem na dodatek.

Ale jaki miało sens zastanawianie się nad tymi okropnościami? Westchnęła, otworzyła oczy i z przyjemnością popatrzyła na drogę.

Nikt jeszcze nie przeszukał pobocza i rosnącego wokół lasu. Znalazła i narwała wiele wiesiołka, ponieważ można go było mieszać ze słomą rzucaną na podłogę, by odpędzić pchły. Odkryła pokrzywy porastające zagłębienie, tkwiące korzeniami w wodzie. Owinęła rękę szmatą i zerwała tyle liści, ile mieściło się w jej przeładowanym szalu. Potem wepchnęła kraj spódnicy za pas i zaczęła zbierać liście mleczy. Wepchnęła je razem z koniczyną do nosidełka.

Nucąc nie melodyjnie, nie usłyszała tego, czego powinna była nasłuchiwać. Poczuła to przez podeszwy stóp, zagrzebane w przyjemnie miękkiej ziemi: łoskot maszerującej armii. Zbyt późno ich usłyszała, szcęk zbroi, pomruk głosów, rzenie koni i nagłe szczekanie psów. Eikowie otoczyli wszystkie drogi wokół Steleshamu i teraz zbliżali się z zachodu, którego nikt nie chronił.

Przyciskając do siebie skarby, skoczyła ku schronieniu wśród drzew.

– Hej tam, dziecko!

Zawołał ją ludzki głos, więc zawahała się i spojrzała przez ramię za siebie.

„Nigdy się nie wahaj”, powtarzał Matthias.

Ale tym razem Matthias się mylił.

Zatrzymała się, rozrzucając wiesiołek i zagapiła się.

– Jak daleko do Steleshamu, mała? – zapytał głos, ale nie był to duch, tylko człowiek z krwi i kości, odziany w skórzaną kamizelę i grubą skórzaną czapkę. Niósł tarczę i oszczep. Szło z nim wielu innych. Anna była zbyt oszołomiona, by mówić.

„Żołnierze”. Prowadzeni przez szlachcica dosiadającego pięknego siwego wierzchowca, zbliżali się bez lęku i tylko ci na przedzie dostrzegli ją, balansującą na skraju dołu porośniętego pokrzywami. Powiewały nad nimi trzy sztandary: dwa czarne psy na srebrnym polu; czerwony orzeł; szara wieża, nad którą wznosił się czarny kruk.

Armia wreszcie przybyła.

* * *

Tego wieczora ani ona, ani Matthias, ani Helena nie dostali się do sali, by przyglądać się szlachcom, ponieważ zgromadził się taki tłum: część nowo przybyłych żołnierzy, mieszkańcy Steleshamu, którzy chcieli rzucić okiem na lorda i jego syna, że musieli obejść dwór i podsłuchiwać zebranych przez dziury w ścianach.

Pomimo hałasu uczyta Anna usłyszała Helvidiusa, intonującego znajome już wersy z *Heleniady*.

– Goście króla Sykaeusa umilkli i każdy zwrócił twarz ku Helenie. Czekali z niecierpliwością, aż przemówi, opowie historię swych cierpień i upadku Ilios.

– Patrz – wyszeptał Matthias.

Z sali wynurzyła się młoda kobieta. W ciemności jej cera miała dziwny odcień, jakby wtarła sadzę w skórę. Nosila szary płaszcz obrębiony szkarłatem i spięty broszą z podobizną orła.

– To królewski Orzeł! – wymruczał Matthias, pozbawiony tchu z podziwu. – Jest wysłanniczką samego króla! Którym ja bym został, gdybym miał szansę. – Jego głos zgorzkniał. – Gdybym nie był kulawy.

Uciekając od ścisku, Orlica przepchnęła się przez tłum i zatrzymała się kilka kroków od siostrzenicy pani Giseli, która również wyszła na zewnątrz.

– Do diabła! – zakląła Orlica. – On znów zarzyna Virgilię!

– O kim mówicie? – spytała siostrzenica, ocierając oko i odwracając się, by spojrzeć na drugą kobietę.

– O starym poecie. Ale sędzę, że nie powinnam na niego narzekać. To cud i miłosierdzie, że przeżył Gent.

Siostrzenica patrzyła na Orła z żalem, w końcu, z wahaniem, przemówiła:

– Byliście tam do końca.

Twarz Orła nagle znieruchomiła jak posągi Eików, jak siostrzenica, kiedy wręczano ją Wichmanowi w nagrodę.

– Byłam, niestety. Książę dzielnie zginął.

– Oczywiście – odparła siostrzenica. Przygryzła wargę, a potem wyciągnęła dłoń i dotknęła delikatnego haftu obrębiającego płaszcz.

– Doskonała robota – powiedziała Orlica. – Wiele się zmieniło w Steleshamie.

– Owszem. – Siostrzenica rozejrzała się i widząc w zasięgu głosu jedynie troje dzieci, pochyliła się. – O Pani. Jeśli znacie jakiś sposób, dzięki któremu będę mogła przyłączyć się do armii i pomaszerować z nimi, byle dalej stąd... – urwała, zostawiając pytanie nie wypowiedziane.

Orlica podniosła brew, zaskoczona prośbą.

– Hrabia Lavastine nie zezwala na żadne markietanki ani żebraków, nic co opóźniłoby marsz armii albo osłabiło go podczas spotkania z Eikami w polu.

– Potrafię strzelać z łuku, prac, gotować dla dwudziestu mężczyzn, naprawiać podarte ubrania...

– O co chodzi?

To bezpośrednie pytanie zaszokowało siostrzenicę; umilkła. Potem łzy wezbrały w jej oczach i popłynęły po policzkach.

– Moja ciotka oddała mnie lordowi Wichmanowi, żeby robił ze mną, co mu się spodoba – odparła ochryłym szeptem. – Orle, błagam was, uwolnijcie mnie od niego, jeśli możecie!

Orlica stała jak porażona, ale chwilę później otrząsnęła się z odrętwienia.

– Dopilnuję, żebyś była od niego wolna, zanim jutro wyruszymy.

Siostrzenica skuliła się, kładąc rękę na brzuchu.

– O Panie, noszę jego dziecko. Co się z nim stanie?

– Nie bój się – rzekła ostro Orlica. Położyła dłoń na ręce kobiety, zaciskając palce na spłowiałej spódnicy dziewczyny. – Porozmawiam z lordem Alainem. Jeśli chcesz, dziecko zostanie obiecane Kościołowi. Jestem pewna, że matka lorda Wichmana je wyposaży, wiedząc, że zostało poczęte przez jej syna.

– To byłby wielki zaszczyt – wyszeptała siostrzenica, jednak nadal się garbiła, choć uwolniła dłoń z uścisku Orła. – I lepsza przyszłość dla dziecka od tej, jaką ja mu mogę zapewnić i jakiej sama się spodziewam. O Pani. Co się ze mną stanie?

– Nie dał ci prezentu?

– Chodzi wam o poranny podarek. Jeśli nie mamy się żenić, po co miałby mi cokolwiek dawać?

– Szlachetny pan lub pani czasami obdarzają kochanka jakimś dowodem ich łask, prawda?

– Czy ich względy nie są wystarczającym dowodem? – Siostrzenica zaśmiała się ostro,

pochylając, jakby ją zabolalo w boku. – Nie, przyjaciółko, to ja byłam darem dla niego. Szlachcic jego pokroju tylko żonę by tak zaszczycił, świętując skonsumowanie małżeństwa. Nawet księżę mnie nie obdarował... – Urwała i przez chwilę nie mogła mówić.

Orlica zamknęła oczy.

– Ale dobroć i delikatność same w sobie są darem – dokończyła siostrzenica cicho. A potem usłyszała głos pani Giseli, wykrzykujący jej imię. – Dziękuję – dodała głosem pełnym łez. Pobiegła do sali.

Orlica oparła się o ścianę, nie otwierając oczu. Zapadł zmrok i widząc ją w ten sposób, kształt przyciśnięty do ściany, bardziej cień niż kobietę, Anna mogła sobie wyobrazić, że Orzeł był częścią budowli. Potem, nagle, młoda kobieta zadrżała, ożyła i odepchnęła się od ściany. Wyprostowała ramiona pod płaszczem, wzięła wdech i zaczęła przepychać przez tłum, który rozstępował się, by ją przepuścić.

* * *

Najpierw pomyślała, że byli w namiocie sami i oblała ją fala adrenaliny raczej niż strachu. Czego od niej chciał? Było bardzo późno. Uczta dopiero co się skończyła.

Psy zgromadzone wokół jego krzesła warknęły i uciekły, by trzymać się od niej jak najdalej; ujrzała, jak podniósł brwi, zdziwiony ich zachowaniem. A potem kapitan wyszedł z cienia i stanął u boku pana.

– Panie hrabio – powiedziała. – Przyszłam, jak nakazał mi wasz porucznik. – Nadal była otumaniona, bo wyrwano ją ze snu. Nie dodała tej myśli, wiedząc, że zostanie uznana za impertynentkę. Nie tolerował impertynencji.

– Siad, Strach – powiedział. Stary pies, śliczne stworzenie pomimo napawającego lękiem wyglądu i wzrostu, posłusznie usiadł. Przywołał inne do porządku, stanowczo, ale bez okrucieństwa czy ostrości. Z jego tonu wywnioskowała, że nie traktował ich z miłością, jak ukochanych dzieci, tylko z bezmyślną pewnością, z którą odnosi się zazwyczaj do własnego ciała.

Dwie latarnie oświetlały namiot wystarczająco, by widziała szerokie legowisko w rogu, zasłonięte przejrzystą tkaniną, połowy stół z miską i dzbanem oraz błyszczącą słabo kolczugę, wiszącą na drewnianym wieszaku w przeciwległym kącie. Do namiotu wszedł służący, niosąc świecę, która razila ją w oczy. Hrabia podniósł dłoń, służący oblizał dwa palce i uchwyciwszy knot, zgasił płomień. Zabrał dzban i wyszedł.

Hrabia spojrział na nią. Wyraz jego twarzy zaniepokoił ją. Nauczyła się już rozpoznawać to męskie spojrzenie, zdradzające zainteresowanie nią jako kobietą, ale pojawiło się i znikło jak zgaszony płomień świecy. Ten mężczyzna nie działał pod wpływem impulsu, nie pozwalał, by jego żądze i obsesje wzięły nad nim górę. Gdyby tato posiadał takie cechy, być może zostaliby w Qurtubie, zamiast uciekać z powodu jego głupoty; być może jego choleryczność nie wpędziłaby ich w Autunie w takie kłopoty, że zostali wygnani z miasta;

mógł chyba lepiej zacierać za nimi ślady, przewidzieć nadejście zabójcy oraz uratować siebie i ją w Spokoju Serca.

Natychmiast poczuła się źle, snując takie zdradzieckie myśli. Tato był, jaki był. Zrobił, co mógł. Chronił ją tak długo, jak tylko zdołał.

A gdyby wszystko nie zdarzyło się tak, jak chciał Los, Przeznaczenie i Bóg, nigdy nie spotkałaby księcia Sanglanta, choć tak mało czasu im dano.

– Orle. – Hrabia nakazał jej podejść bliżej. – Czego chcesz od mego syna?

Zbyt zaskoczona, by podejść, wpatrywała się w niego.

– Niczego nie chcę od waszego syna, panie.

– Ale jasnym dla mnie jest, że cię chroni – hrabia pochylił się do przodu, spoglądając twardo. – Nie życzę sobie, aby sytuację skomplikował jego bękart!

Liath łapała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Jeden z psów zapiszczał.

– Cicho, Mocarz – nakazał hrabia. Znow na nią spojrział. – Moi służący donieśli, że dawał ci pieniądze.

– To nie dla mnie!

Podniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć: „A dla kogo?”.

Zaczerwieniła się.

– To dla siostrzenicy pani Giseli.

– To kochanka lorda Wichmana, prawda?

– Nie z własnej woli!

Strach warknął, a hrabia uspokajająco położył dłoń na białym pysku psa.

– Ach – rzekł, zaczynając pojmować. – Przypomniało ci to twoją własną sytuację na dworze.

Zawstydzona, stała się zła i lekkomyślna.

– Wasz syn jest najszczerzą osobą, jaką w życiu spotkałam. Nie powinniście go podejrzewać o ukrywanie przed wami czegoś, czegoście mu zabronili. Nie musicie się mnie obawiać. Dawno temu oddałam serce mężczyźnie, który nie żyje. A poza tym złożyłam przysięgę Orłów.

– Wystarczy – powiedział, ostrze w jego głosie było prawie niewyczuwalne. Ale zrozumiała jego zamiary i skłoniła głowę, pokazując, że nie zamierzała mówić dalej, przynajmniej na ten temat.

– Nie mamy zbyt wiele czasu. – Spojrział na swego kapitana. – Alain wkrótce wróci, a musimy skończyć przed jego powrotem. Ten tunel do Gentu... – Skinął na kapitana. Żołnierz trzymał w dłoniach kawałki drewna. Ukłękął przed swym panem i rozłożył je: oto dwie wieże oznaczające miasto; kawał rzemienia udawał rzekę.

– Orle, podejdz tutaj i umieść tunel tam, gdzie się znajduje w stosunku do miasta, jak najdokładniej możesz sobie przypomnieć. Lord Wichman mówi, że tutaj jest linia wzgórz... –

Kapitan rozłożył połamane patyki, zaznaczając wzgórza. – I ujście rzeki, więc z dwoma kanałami, ale tylko jednym spławnym i prawdopodobnie bezbronnym...

Musiała wydać z siebie dźwięk lub stęknęcie.

Spojrzał na nią z grymasem niecierpliwości.

– Masz pytania? Mów!

– Wybaczcie, panie. – Rozejrzała się po namiocie, ale ona, hrabia, psy i kapitan byli jedynymi osobami, które się w nim znajdowały. – Czy nie powinniśmy poczekać na powrót lorda Alaina, zanim zaczniemy rozmawiać o planach?

Na twarzy hrabiego załśniła irytacja, ale zamiast odpowiedzieć, wyjął drewnianą rękawicę z rąk kapitana i położył je pod wzgórzami, w zasięgu wzroku od miasta, tworząc owalną linię fortyfikacji. On nie musiał się jej tłumaczyć. Poza tym zastanowiwszy się i tak poznała odpowiedź. Alain dzielił sny z księciem Eików. Jeśli jeden mógł śnić o życiu drugiego, dlaczego nie miałyby być na odwrót? Lavastine nie mógł zaryzykować zdradzenia swych zamiarów Krwawemu Sercu, nawet jeśli znaczyło to, że będzie musiał oszukiwać swego syna.

– Orle – wręczył jej sztywny kawałek sznurka. – Czy możesz wyobrazić sobie to i stworzyć obraz?

Wzięła sznurek i przykucnęła, patrząc na krajobraz.

– Widziałam mapy w pałacu kalifa w Qurtubie. Wiem, jak je czytać.

– Qurtubie! – Ale hrabia powiedział to tak cicho, że uznała, iż lepiej nie odpowiadać. Nie była pewna, ile Alain powiedział ojcu i nie chciała ryzykować, że zdradzi hrabiemu, iż Alain ukrywał przed ojcem jej sekrety.

Po długiej przerwie położyła jeden koniec sznurka między dwiema wieżami oznaczającymi Gent i pociągnęła go na zachód, umieszczając drugi pomiędzy patyczkami, które symbolizowały wzgórza nad korytem rzeki. Zmarszczyła czoło i cofnęła nieco patyki.

– Równina jest tutaj szersza. Lord Wichman musi lepiej ode mnie znać ukształtowanie terenu, ponieważ od miesięcy grasuje na tych ziemiach.

– Lord Wichman jest dzielny, ale głupi. Wykorzystam go, jak uznam za stosowne. – Hrabia przyjrzał się małej mapce, a potem przemieścił linię umocnień tak, że opierała się na wzgórzach, niedaleko końca tunelu.

– Ujście rzeki – wyjaśnił, dotykając miejsca palcem i najwyraźniej zapominając o lordzie Wichmanie. – Gent. Ufortyfikowany obóz. Sekretny tunel. Eikowie mają okręty, żołnierzy i stada. Zwiadowcy Wichmana donieśli, że na plaży pod Gentem spoczywa czterdzieści siedem okrętów. Z doświadczenia wiem, że każdy okręt mieści około trzydziestu Eików. Wraz z lordem Wichmanem będę miał około siedmuset żołnierzy, z czego trzecią część stanowi kawaleria.

– Ale to oznacza, że oni mają dwa razy więcej żołnierzy od nas! Czy nie powinniśmy poczekać w Steleshamie na króla Henryka?

– Kto wie, kiedy przybędzie król Henryk? – zapytał kapitan. – A jeśli przeszkodzi mu

inny konflikt? Nie, dziewczyno, nie możemy czekać na armię, która może nigdy nie przybędzie. A na pewno nie w takim dworze, gdzie nie ma wystarczająco dużo żywności, by nakarmić armię, a poza tym Eikowie mogą nas w każdej chwili napaść. Możesz być pewna, że mają zwiadowców w tych lasach, obserwujących nas, jak nasi obserwują ich.

– Zostawię tutaj posłańca, aby powiedział Henrykowi, gdzie jesteśmy, o ile król przybędzie – dodał hrabia. Dziwne podniecenie rozświetlało twarz Lavastine'a; był człowiekiem, który nareszcie znalazł drogę prowadzącą do tego, czego pragnie. – Krwawe Serce może mieć większą armię – rzekł – ale ja mam plan.

* * *

– Widzieliście, jak hrabia Lavastine wychwalał wczoraj moje pieśni! – mistrz Helvidius nie mógł opanować podniecenia. – Hrabiowie Lavas to potężni magnaci w Varre, praktycznie diukowie, jeśli wziąć pod uwagę ich władzę. Oczywiście nie są spokrewnieni z domem królewskim. Ale niewątpliwie szlachcic o jego pozycji będzie chciał mieć w swym orszaku poetę tak utalentowanego jak ja.

Anna stała niczym porażona.

– Opuuszczasz nas?

– Pani Gisela nie docenia mej poezji. I straciła większość majątku w tej wojnie. Lepiej mi będzie zaczepić się w nowym dworze. – Zawahał się.

Liście sałaty zebrane wczoraj leżały w wyszczerbionej kamiennej misie, wydobytej z ruin garbarni po ataku Eików. Anna wymieniła wiesiołek na kubek jęczmienia z zeszłorocznych skromnych zbiorów i Helena przeżuwała teraz wiosenne placki z jęczmienia wymieszanego z posiekaną pietruszką, liśćmi mlecza i czubkami pokrzyw, ugotowanych w worku, a potem usmażonych na smalcu na metalowej płytce nad paleniskiem.

– Oczywiście możecie pójść ze mną – skończył, ale w jego głosie wyczuła niechęć.

– Ale Matthias nie może chodzić, na pewno nie za orszakiem takiego lorda. A ja nawet nie wiem, gdzie jest Varre. Biedna mała Helena pewnie też nie ujdzie tak daleko, a nie wyobrażam sobie, aby takim jak my ustąpili miejsca na wozie.

Helvidius zamruczał, poirytowany i zaczął obgryzać paznokcie. Zawsze miał czyste ręce, co wzbudzało podziw Anny.

– E, co mi tam. Pewnie i tak wszyscy zginą, walcząc z Eikami o Gent. Ale może zaśpiewam im dzisiaj. Podejrzewam, że rano wymaszerują.

Po tym wszystkim, co ona i Matthias dla niego zrobili, jak Helvidiusowi mogła choćby przyjść do głowy myśl o porzuceniu ich? Jak będzie mogła zbierać owoce w lesie, jeśli zabraknie kogoś, kto zaopiekuje się Heleną? Ale nie powiedziała tego na głos. Wzięła trzy małe placki, dwie garście świeżej zieleniny, zawinęła je w kraj szala i pomaszerowała do części Steleshamu cuchnącej garbarnią.

I tak zatłoczony, wielki steleshamski dziedziniec był teraz zapchany armią hrabiego

Lavastine'a. Biwakowali tam, gdzie znaleźli miejsce, omijając tylko studnię, a i tak nie wszyscy pomieścili się wewnątrz. Część została za palisadą, okopując się wokół niej na wypadek ponownego ataku Eików.

Ale żaden z żołnierzy Lavastine'a nie zwracał na nią uwagi, omijali ją tylko, kiedy przepychała się między nimi i ludźmi ze Steleshamu, którzy oferowali chleb i jagody w zamian za wieści. W garbarni znalazła Matthiasa siedzącego na stołku. Zatrzymała się, by na niego popatrzeć. Jego twarz była blada jak bezbarwne zimowe niebo, ale pracował gorliwie. Poczekala, aż oskrobał sierść ze skóry umieszczonej przed nim i zawołała go po imieniu.

Odwrócił się, uśmiechnął, a potem zmarszczył czoło, kiedy rozwinęła szal i dała mu jedzenie.

– Dzisiaj będzie chleb i owsianka. Sama powinnaś to zjeść.

– Ja mam dość – odparła i choć raz była to prawda. – Ty nigdy nie dostajesz wystarczająco. Wiesz, że to prawda, Matthiasie. Nie spieraj się ze mną.

Był tak zmęczony i głodny, że tym razem się nie sprzeczał, tylko jadł. Skończywszy skąpy posiłek, spojrział przez ramię; jego oczy rozszerzyły się, złapał laskę i dźwignął się na nogi.

– Matthias! – wykrzyknęła, ale dał znak dłonią i skłonił głowę. Odwróciła się.

O Pani! Dotknęła Kręgu, przesunęła po nim palcem i się zagapiła. Lord Wichman mógł być synem księżnej, ale nie był nawet w części tak wspaniały jak ten szlachcic i jego syn, którzy nawet zdrożeni wyglądali dostojnie jak sam król. Lord nie był tak wysoki i potężny jak Wichman, który szedł obok, ale nosił się z tą samą żywą i oczywistą dumą, jaką widziała u głównego garbarza w Gencie, kiedy Matthias pierwszy raz szedł do pracy: taki mężczyzna lub kobieta znali swój teren i rządzą na nim żelazną ręką. Garbarz na pewno już nie żył; nie widziała go wśród uchodźców w Steleshamie i Anna przypuszczała, że został w Gencie podczas ostatniego ataku, by bronić swej ukochanej domeny.

Lord miał włosy bezbarwne jak piasek, wąską twarz, jasne niebieskie oczy i ostry wzrok. Zatrzymał się, by porozmawiać z jednym z pracowników, wskazując skórę leżącą na belkach i zapytał, czy garbarnia miała jakieś skóry wyprawione wystarczająco, aby jego armia mogła ich użyć do naprawy swych zbroi. Lord Wichman skrzywił się, nie mając cierpliwości do tak przyziemnych rozmów i odwrócił się do panicza, stojącego u boku Lavastine'a.

– Nie gap się! – wyszeptał Matthias, szturchając ją wolną ręką.

Helvidius powiedział, że hrabia podróżował z synem. Ale ten młodzieniec był o pół głowy wyższy od hrabiego i miał czarne włosy, a nie jasne. Nosił watowany kubrak z wyszytą srebrną i złotą nitką podobizną psa, a dwa wielkie, czarne, groźnie wyglądające ogary szły pokornie przy jego nodze. Jemu i jego ojcu towarzyszył Orzeł. W świetle dnia Anna ujrzała, że karnacja kobiety nie miała koloru sadzy, tylko miodowozłotą barwę miękkiej skóry, którą bogaci kupcy brali na rękawiczki.

Posłaniec od króla; szlachcic i jego syn; nawet lord Wichman, który po wielu miesiącach

ciągłych potyczek z Eikami wyglądał przy swych towarzyszach niechlujnie. Zgromadzeni odjęli Annie dech, ale straciła go całkowicie, kiedy młody lord obrócił się, jakby świadomy jej wzroku i spojrzał wprost na nią.

Skuliła się, wiedząc, że nie powinna się gapić.

– Anno! – ale ostrzeżenie Matthiasa przyszło zbyt późno.

Młody lord podszedł do niej, psy dreptały za nim i schylił się, by dotknąć drewnianego Kręgu.

– Biedne dziecko – powiedział łagodnie. – Wydaje mi się, że widziałem cię na drodze, kiedy tu maszerowaliśmy. Jesteś z Gentu?

Mogła tylko pokiwać głową.

– Jesteś jednym z tych dzieci, które uciekły przez tunel?

– Tak, panie – odpowiedział przytomnie Matthias. Anna straciła głos. Czarne psy dyszały, wywieszając jęzory, tak blisko, że spodziewała się, iż zaraz przeskoczą swego pana i rozerwą ją na strzępy. Ale nie ruszały się, nie wydały nawet dźwięku. Po prostu siedziały i patrzyły na pana oczami koloru płynnego miodu.

Lord uniósł Krąg z jej piersi i przyglądał mu się uważnie.

– Nosilem kiedyś podobny Krąg, ale już go nie mam.

– Co się z nim stało? – spytał lord Wichman, który, bardziej niespokojny od psów, podszedł do panicza. Spojrzał obojętnie na Annę; nie rozpoznał w niej dziewczynki, którą zrugął podczas zimowej potyczki kilka miesięcy temu.

Usta lorda wygięły się w uśmiech tak ulotny jak uwaga Wichmana.

– Dałem go księciu Eików. – Puścił Krąg i Anna, nie spuszczać z niego wzroku, zdrzała lekko, jakby pozbawiona jego dotyku straciła oparcie dla stóp.

„Księciu Eików”.

Niemożliwe. Chciała zapytać, ale się nie odważyła. Powinna była zapytać, ale się bała.

Młody lord patrzył teraz na Matthiasa.

– Pani w niebiosach – powiedział cicho. – Jesteś ranny, jak mi się zdaje?

Matthias z szacunkiem schylił głowę, próbując nie stracić równowagi.

– Przez jakiś czas byłem niewolnikiem wśród Eików, panie. – Jego głos był zadziwiająco spokojny. – Lord Wichman uwolnił mnie podczas jednego ze swych rajdów, panie – dodał, wiedząc, że rozsądek nakazywał schlebiać wszystkim szlachcicom w zasięgu słuchu.

– Wtedy odniosłeś ranę, wśród Eików? – spytał panicz. Miał ciemne oczy i ekspresyjną twarz, pełną litości, gdy położył dłoń na brudnych i matowych włosach Matthiasa. – Biedne dziecko. Szkoda, że nie wyleczono cię, jak na to zasługujesz.

– Jestem już mężczyzną! – odparł ostro Matthias.

Anna jęknęła.

Lord Wichman parsknął i wybuchnął śmiechem.

Ale młody lord tylko przytaknął.

– Jesteś, ciężka dola cię nim uczyniła. Jak masz na imię, przyjacielu?

To przerosło nawet Matthiasa, który stracił całą odwagę.

– M...Matthias, panie.

– A to twoja siostra? – Lord zdjął dłoń z głowy Matthiasa i uśmiechnął się do Anny.

– Moja siostra Anna. Skrót od Joanny, panie, uczennicy błogosławionego Daisana.

– Rzeczywiście. Dlaczego tu zostaliście, skoro słyszeliśmy od zarządczyni, że większość uchodźców, dzieci, została wysłana na wschód?

– Nasz dziadek był zbyt słaby na tę podróż, więc zostaliśmy, gdy wszyscy inni odeszli.

– Będę się modlił, żeby Pan i Pani nad wami czuwali.

Dopiero, gdy odszedł, Anna zaczęła płakać łzami cichymi jak deszcz spływający po murze.

– Anno! – Matthias położył dłoń na jej ramieniu. – Anno! O co chodzi? Przestraszyli cię? Psy były wielkie i groźne, prawda, ale to nie są psy Eików. Nie musisz płakać.

Oniemiała.

Otworzyła usta, by przemówić, ale nie mogła wykrztusić słowa ani scalić go w powietrzu. Było coś, o co powinna była zapytać i nie zapytała, coś, co powinna była zrobić, ale nie zrobiła, coś, czego miała dokonać, ale odwróciła wzrok jak naźarci kupcy odwracają wzrok od głodującego żebraka, nie chcąc go widzieć.

– Anno! – Matthias złapał ją za ramiona i oparł się na niej, kiedy przerażony nią potrzasał. – Anno! Co się dzieje? O Pani, to nie były psy, prawda? – Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Szlachcice zniknęli, idąc z powrotem do dworu.

To nie były psy. Ale nie mogła mu tego powiedzieć.

Przerażony, złapał swą laskę i pokuśtykał do chatki, ciągnąc ją za sobą, ale Helvidiusa i Heleny nie było.

– Anno, powiedz coś do mnie!

W przeciwieństwie do Orła, którego zeszłej nocy błagano z całego serca, nie odezwała się. Nie zadziałała. Jak ryba wyrzucona z wody na piach, mogła się tylko bezradnie rzucać. Była dojmująco zawstydzona i bała się – tak się bała.

– Pani, miej nas w opiece! – wyszeptał Matthias. – Muszę cię zabrać do zielarki. Diabeł wlał ci do gardła i ukradł głos.

Złapała jego dłoń i ścisnęła, aż się skrzywił. Gwałtownie pokręciła głową, aby zrozumiał. To dłoń Boga poraziła ją niemotą, a nie Nieprzyjaciela czy jego sług, rozrzuconych po świecie i knujących przeciw ludziom.

Ale Matthias zawsze był uparty.

Rankiem armia odeszła, prowadzona przez hrabiego Lavastine'a i jego syna, a lord Wichman i jego nieposłuszni żołnierze przyłączyli się do niej. Siostrzenica pani Giseli stała w cieniu i liczyła srebrne scetty w wypchanej sakiewce.

Kiedy armia zniknęła z leśnej drogi, Matthias zabrał Annę do zielarki. Stara kobieta

wysłuchała jego opowieści i wzięła nóż w zamian za kurację: ohydnie cuchnącą mieszaninę, którą posmarowała gardło Anny i bardziej znośną herbatkę uwarzoną z babki i kosaćca, której Matthias koniecznie chciał spróbować pierwszy. Anna posłusznie wypiała resztę, ale dzień minął, a jej się nie poprawiło.

Wieczorem Matthias zabrał ją do diakonisy lorda Wichmana, która wolała zostać w osadzie, niż jechać na wojnę. Szlachetnie urodzona kobieta spojrzała na nich nieufnie, uważając zapewne za obdarte dzieciaki chodzące na żebry.

– Ona nie może mówić, dobra diakoniso – oznajmił Matthias, popychając Annę naprzód.

– Wiele dzieci jest zbyt słabych lub głupich, by mówić – odparła cierpliwie diakonisa. – Albo złapało chorobę, choć to się częściej zdarza w zimie. Może oberwała w głowę podczas którejś z potyczek.

– Nie, dobra diakoniso – Matthias nigdy nie dawał za wygraną. Inaczej nie przeżyliby w Gencie. – Aż do wczoraj mówiła tak dobrze jak ja.

– Wobec tego idźcie do zielarki.

– Już byliśmy.

– Zatem wszystko w rękach Boga. – Nieme dziecko pomiędzy tak wieloma rannymi mało obchodziło diakonisę, choć była to dobra kobieta. Pomodliła się nad Anną, dotknęła jej głowy i gestem nakazała odejść.

– Ty jeszcze nie, dziecko – odezwała się do Matthiasa, który ruszył za Anną. – Pamiętam cię. Eikowie poważnie cię zranili, prawda? Kilka miesięcy temu przyszedłem do ciebie z ostatnią posługą, ale dzięki Bogu przeżyłeś. Naprawdę sądziłam, że będziesz kulawy do końca życia. Widzę, że Bóg cię w międzyczasie wyleczył. Musimy być wszyscy wdzięczni za to błogosławieństwo, że niektórzy, mimo ciężkich czasów, przetrwali z nietkniętym ciałem i umysłem.

Anna tak przerażona była utratą głosu, że ledwie zauważała Matthiasa. A on był tak zajęty zamartwianiem się nad nią, że na siebie nie zwracał uwagi. Ale teraz ją oświeciło jak blask wschodzącego słońca: Matthias nie utykał.

Pośpiesznie podwinął znoszoną i brudną nogawicę i stali tam, gapiąc się na jego łydkę, podczas gdy diakonisa uśmiechała się łagodnie, nieświadoma, jak znaczący, jak niemożliwy wręcz był dla nich widok jego nogi.

Skóry nie znaczył już strup; na jego łydce nie było już straszego, nienaturalnego zgrubienia w miejscu, gdzie kość została złamana i zrosła się krzywo. Noga była prosta, gładka i silna.

Nie był już kulawy.

Ale czekało na nich jeszcze jedno cudowne wydarzenie.

Cztery dni później z zachodniej drogi podniósł się krzyk:

– Król! Król jedzie do Steleshamu!

Anna i Matthias, jak każda żywa dusza w Steleshamie, wylegli na drogę, by widzieć, jak król Henryk i jego orszak, gotowi na wojnę, wjeżdżają do zniszczonego dworu.

Wspaniałość królewskiego dworu każdemu odebrałaby mowę. Oczywiście, król jej nie zauważył. Była tylko kolejnym brudnym dzieckiem z plebsu, stojącym boso w pyłe przy drodze.

Jakiż wspaniały i przystojny mężczyzna z niego był, prosty i dumny, silny i poważny! Ubierał się jak inni lordowie, nie strojnziej, ale można go było wziąć tylko za króla.

Na pewno kiedyś wróci jej głos. Na pewno kiedyś, jeśli doczeka i zostanie babcią, będzie opowiadać tę historię gromadzie wnuków siedzących u jej stóp i zadziwionych, że taka pokorna istota jak ona dostąpiła zaszczytu oglądania króla we własnej osobie.

2.

– To mnie zrujnuje! Już się pozbyłam większości moich zapasów, wyposażając hrabiego Lavastine’a. A teraz mam nakarmić tę horde i pozbyć się reszty jedzenia?

Pani Steleshamu była w furii i Rosvite wysłano, by ją uspokoiła. Na zewnątrz, chroniona palisadą i okopem, armia rozbijała obozowisko. Najwyraźniej, wyprzedzani przez hrabiego Lavastine’a i jego wojsko oraz przyprowadzając zarządczynię o histerię, nie mogli liczyć na biwakowanie w Steleshamie dłużej niż jedną noc. Rosvita musiała przyznać, że siodło zaczynało ją męczyć.

Po połogu Sapientii ruszyli na północ spokojnym, ale równym krokiem, z wozami terkoczącymi za nimi i armią rosnącą z każdym dniem, rekrutującą żołnierzy we wszystkich zamkach, gdzie spali i jedli.

– A lord Wichman odjechał – ciągnęła pani Gisela, a jej ładna siostrzenica stała z tyłu i przysłuchiwała się biadoleniom, jej spokojna twarz znamionowała kogoś, kto nauczył się przystosowywać do sytuacji. – Kto nas będzie chronił przed Eikami?

– Sądzę – odrzekła Rosvita – że skoro dwie armie wyruszają przeciw Eikom, a margrabina Judith oraz księżna Rotrudis mają przybyć lada dzień z południowego wschodu, nie musicie obawiać się napaści, dobra pani.

Ale gospodyni tylko zaszlochała i złapała siostrzenicę za ramię.

– O Panie! Ale hrabia i jego siły wyprzedzają was o kilka dni, siostrze! Cztery dni zajmuje dojazd do Gentu, a główna droga jest zaniedbana i niebezpieczna. Eikowie mogli już ich wszystkich zarznąć i jedzą ich kości na kolację!

– To przynajmniej przygotowanie jednej kolacji masz z głowy – powiedziała uszczypliwie siostrzenica, wyszarpując ramię z uścisku ciotki.

Siostra Amabilia i brat Fortunatus, stojący za plecami Rosvity, zakwiczeli nagle jak prosięta i gdy Rosvita odwróciła się, ujrzała, jak zakrywają usta rękawami szat. Fortunatus zaczął kaszleć. Amabilia zaparskała, bezskutecznie usiłując stłumić śmiech; wtedy, na

szczęście, pojawił się brat Konstantyn i pokłócił się z młodą kobietą o dowcipkowanie sobie ze spraw, które wcale śmieszne nie były.

– Proszę, bracie – wtrąciła się szybko Rosvita – ukojmy lęki dobrej pani Giseli. Trzeba nam tylko prostej kolacji, jak sądzę, bo pani nie jest wszak kasztelanką na szlacheckich włościach, aby suto zastawić stół...

Tego było dla gospodyni za dużo. Zmuszona do działania przez tę obrazę jej godności i zamożności, odwróciła się do siostrzenicy i rozkazała, aby natychmiast zarżnięto pięćdziesiąt krów, sto kurczaków i...

Rosvita i jej klerycy umknęli do stołu, ustawionego dla nich w sali.

– Zabrzmiało to, jakby zamierzała zabić każde kurczę w warowni – powiedziała siostra Amabilia. – Zastanawiam się, czy cokolwiek zostanie dla tych nieszczęśników, którzy się tu gnieźdzą.

– Nie będzie żadnych nieszczęśników – odparł brat Fortunatus – jeśli król Henryk nie wypędzi Eików z Gentu.

Rosvita pozwoliła im się spierać i wyszła na zewnątrz.

Znalazła tam Villama siedzącego na ławce, patrzącego na sprzątanie wewnętrznego dziedzińca, aby królewski namiot mógł stanąć na gruncie wolnym od śmieci. Jego ręka spoczywała na biodrze. Pusty rękaw przypięto do ramienia, aby nie powiewał. Uśmiechnął się i wskazał na ławkę obok siebie. Usiadła.

– Jesteście dziś poważni, panie – powiedziała, zauważając zmarszczone czoło.

Wzruszył ramionami.

– Trudno mężczyźnie, nawet tak staremu jak ja, obserwować zbliżanie się bitwy i wiedzieć, że nie pójdzie się do boju i nie ma się syna, który może walczyć.

– Prawda. – Nie spojrzała na jego ramię, utracone w bitwie pod Kassel, ale z pewnością utrata ręki nie była dla niego takim ciosem jak utrata syna, Bertholda, tyle miesięcy temu, ponad rok, na wzgórzach wokół klasztoru w Hersfordzie. Potem podążyła za jego wzrokiem i nie mogła powstrzymać westchnienia.

– Ona chyba nie zamierza tak szybko po porodzie stanąć do bitwy?

Księżniczka Sapientia siedziała na polowym krześle pod markizą, otoczona przez ojca Hugona, swych faworytów, Orła, służących oraz mamkę, która zajmowała się małą Hipolitą. Żywe dziecko nawet teraz głośno płakało, a zbrojmistrz dopasowywał sztywną skórzaną kurtę do figury księżniczki, która przez ciężę sporo przytyła.

– Od porodu minęły prawie dwa miesiące – powiedział Villam.

– Prawie dwa miesiące! – Rosvita strzepnęła kurz z obrąbka habitu i wygładziła go. – Muszę przyznać, że mi się to nie podoba, choć w widoczny sposób odzyskała siły. – Ponieważ Sapientia nie musiała zajmować się dzieckiem, szybko przywykła do swej nowej pozycji: niekoronowanej następczyni tronu.

Villam pokręcił głową.

– Nie wystarczy jej, doprawdy, że prawem płodności potwierdziła, iż jest warta tronu. Nadal musi udowadniać posiadanie zdolności do wydawania rozkazów i przewodzenia, a to jest najlepszy sprawdzian.

– I łatwo go zdać – uśmiechnęła się cierpko Rosvita.

Prawda: Henryk ani nie koronował, ani nie namaścił Sapientii, ale wszędzie ją z nim widziano, jechała obok niego w orszaku, siedziała przy nim na radach i ucztach, pozwolono jej mówić, gdy trzeba było namówić wendarskie panie, aby wystawiły oddziały do marszu na Gent. Niemowlę, które było ładne i silne, wywoływało sensację wszędzie, gdzie się pojawiło, więc Sapientia cały czas, prócz nocy, trzymała je przy sobie, jakby chciała przypomnieć wszystkim o swym osiągnięciu... i swej nowej pozycji następczyni tronu zgodnie z prawem płodności.

– Sądzę, że nie musimy się obawiać, siostró – dodał Villam, ze zwykłą bystrością odczytując jej milczenie. – Uspokoila się podczas ostatnich miesięcy. A ojciec Hugo jest wystarczająco mądry, by jej doradzać.

– Doprawdy?

– Wątpicie w niego? – szczerze zdziwił się Villam. – Bardzo się zmienił.

– Zapewne – zgodziła się obojętnie, bo patrząc na Hugona stojącego pokornie u boku księżniczki, znów nie mogła się powstrzymać od rozmyślań nad książką.

O Pani, jakże ta myśl ją gryzła. Gnębił ją ten mysi głód dzień i noc, a nawet tego wieczoru, gdy zasiadała na radzie wojennej pod szerokim dachem królewskiego namiotu. Mała i nieładna sala w Steleshamie uznana została za wystarczającą dla gospodyni, ale na pewno nie dla króla i jego szlachetnego orszaku, więc przeniesiono się do namiotu, zatłoczonego teraz ściśniętymi ciałami.

Sapientia siedziała po lewicy króla, Villam stał po prawicy. Wokół nich zasiadła szlachta wystarczająco ważna, by zażądać lub błagać o wpuszczenie na nocną naradę, błyszczała wśród nich młoda księżna Liutgarda z Fesse, która dołączyła do króla kilka tygodni temu na północny wschód od Kassel; ojciec Hugo; zięć Villama, lord Gebhar z Weller Gass; najnowszy hrabia Hesbaye, gruby miły mężczyzna, o którym mówiono, że jest dzielnym rycerzem; lady Ida z Vestrimarku, która jako kuzynka zmarłej hrabiny Hildegardy chciała osobiście pomścić śmierć krewnej i zażądać jej ziem; oraz cała gromada synów, mężów i bratanków ważnych magnatek, które wysłały męskich krewnych, by je reprezentowali.

Z królewskich dzieci jedynie Sapientia towarzyszyła ojcu. Theophanu nie powróciła jeszcze z klasztoru świętej Walerii, nie mieli też od niej żadnych wiadomości, choć może szukała ich w Waylandzie, jeśli rozminęła się z posłańcem, wysłanym do klasztoru z wieścią o Gencie. Ekkehard wraz z resztą dzieci ze scholi został pod opieką mnichów z Ebenu w pałacu w Weraushausen, jakieś dziesięć dni na południowy zachód od Steleshamu. Chłopiec błagał, aby pozwolono mu się przyłączyć do marszu; w końcu był już prawie dorosły, a to doświadczenie naprawdę nauczyłoby go moresu, ale Henryk zostawił go z innymi – dla

bezpieczeństwa.

Służący przyniósł wino i podał puchar niespokojnym wielmożom.

– Jesteśmy jedynie cztery dni za hrabią Lavastine'em! – zawołała księżna Liutgarda, jak zwykle porywczo. – Mówię, maszerujemy tej nocy!

– I dotrzyjmy tam kompletnie wyczerpani? – spytał Villam.

– Lepsze to od dotarcia tam i znalezienia armii porąbanej na kawałki! Księżyc jest prawie w pełni, będziemy widzieć wystarczająco dobrze, by maszerować nocą!

– Ale droga wiedzie przez las – powiedział Henryk, kończąc dyskusję. – Ja też uważam, że należy się spieszyć, ale nie potrzeba nam lekkomyślności. Posłałem już jeźdźców, by zaalarmowali hrabiego Lavastine'a. Pójdziemy równo, nie męcząc się.

Zbyt niespokojna, by zostać, gdy jej umysł wędrował w tak irytujący sposób, Rosvita wstała i wyszła. Tuż za wejściem stał królewski Orzeł, Hathui, wpatrując się w niebo.

Krok był drastyczny, ale Rosvita i tak się na niego zdecydowała: rozejrzawszy się wokół, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje, zapytała kobietę, co wie o sprawie.

– Książka? – powiedziała Hathui, wyraźnie zaskoczona. – Wiem o książce. Liath zawsze ją ze sobą nosiła i z tego co wiem, należała do niej. Sądzę, że mogła ją ukraść ojcu Hugonowi.

– Ale nie uważasz, że to zrobiła?

– Wilkun nie wierzył, że ona ją ukradła, choć nawet przed nim ją ukrywała. Wszyscy wiedzieliśmy, że ją ma, ale Wilkun nigdy nie zażądał, by nam ją pokazała. Raz mi powiedział, że miała prawo ukrywać książkę przed nami, skoro tak chciała.

Wilkun. Rosvicie wydawało się, że zbyt wiele tajemnic otaczało zwykłego Orła, choć wedle wszelkich wieści Wilkun zwykły nie był.

– Podróżowaliście przez Spokój Serca, kiedy natknęliście się na Liath i Hannę? Król zawsze potrzebuje Orłów, to prawda, i sądzę, że Wilkun mógł je uznać za nadające się kandydatki.

– Nie, siostrze. Wilkun szukał Liath. I ja, i Manfred zostaliśmy wysłani na poszukiwanie dziewczyny odpowiadającej jej opisowi, ale dopiero gdy się ponownie spotkaliśmy, powiedział nam, że ją znalazł. Kiedy jechaliśmy razem do Spokoju Serca.

– Manfred?

Rosvita nie mogła odczytać wyrazu twarzy Orła, ale jedno ramię kobiety zdrząło, jakby coś ją zabolalo.

– Nasz towarzysz. Zginął w Gencie.

Tak Bóg przypominał, że nawet silni żyli krótko, a żałoba trwała.

– Dołączę jego imię do mych modlitw.

– Dziękuję, siostrze! – Przez chwilę Rosvita myślała, że Hathui naprawdę zamierza złapać ją za rękę jak towarzyszkę, ale miast tego wsadziła jedną dłoń za pas, a drugą otarła coś z oczu. – Aby pamiętano go na ziemi i zaśpiewał w Komnacie Światła.

Ale los anonimowego Orła, choć tragiczny, nie zaprzętał długo myśli Rosvity. Zaczęła

już zastanawiać się nad tym, co wiedziała. Czy przybierało nowy i być może bardziej interesujący kształt?

– Wilkun pojechał do Spokoju Serca, by znaleźć Liath. Znał ją?

– Tego nie wiem, siostrze.

– Ojciec Hugo twierdzi, że ukradła mu książkę, gdy była jego niewolnicą – powiedziała Rosvita, zła jak nigdy. W historię Hugona było łatwo i wygodnie uwierzyć, nie stała w sprzeczności z tym, co powiedziała Orlica, a poza tym on był synem margrabiny. Ale Hathui opowiadała z punktu widzenia Orła i brzmiała wyjątkowo prawdziwie. – Dlaczego mam uwierzyć tobie, zwykłej chłopce, a nie synowi margrabiny?

Hathui uśmiechnęła się ironicznie.

– Bóg sprawia, że słońce świeci i na chłopca, i na szlachcica. Pan i Pani równo nas wszystkich kochają, pani.

– Ale Pan i Pani postępują wedle własnej woli, rozdając ludziom, co Im się spodoba. Jednym dają więcej, innym mniej. Czy możemy twierdzić, że nie zasługujemy na to, co otrzymujemy? Że to Oni obdarzają wybranego darami łaski, które odróżniają go od innych?

Ale Orlica wzruszyła ramionami, bynajmniej niezmiészana.

– Wszystkie dary dostajemy od Boga. Bez tych darów, choćby nie wiem jak szlachetni, jesteśmy tylko pyłem. I przed Bogiem wszyscy jesteśmy równi, a słowo honoru chłopki nie różni się od słowa szlachcica.

Rosvita była zaskoczona, słysząc kobietę z plebsu mówiącą tak szczerze, ale nie mogła zaprzeczyć.

– Mądrość przez ciebie przemawia, Orle.

Hathui położyła palec na ustach, jakby powstrzymywała się od powiedzenia czegoś nieprzystojnego. Wiatr podrywał z ziemi pył, który i tak podniósł się po przejściu tylu ludzi. Szybko, za szybko, Eikowie ożywią noc i wielu z tych, którzy wyruszyli z armią, zginie. Rosvita zadrżała, choć nie było zimno.

– Jeśli pozwolicie, siostrze, powiem jedną rzecz.

– Pozwalam.

– Dlaczego miałabym kłamać?

– Przynajmniej chronić swą siostrę Orła.

– Prawda. A przyznaję, że jestem kobietą dotrzymującą przysięg. Postawcie sobie pytanie: dlaczego ojciec Hugo miałby kłamać?

– To zależy od tego, co jest w tej książce. Wiesz?

– Nie wiem. Nie umiem czytać, a Liath nigdy nikomu jej nie pokazywała, może prócz Hanny.

Hanna. Ivar ssał z tej samej piersi, co Hanna, stając się mlecznym bratem młodej kobiety. W pewnym sensie Hanna była więc krewną Rosvity, choć urodziła się wśród chłopów, a Rosvita pochodziła ze starego i szlachetnego rodu.

Hanna mogła wiedzieć. Ale by z nią porozmawiać, musiałaby wyrwać młodą kobietę ze szponów Sapiientii, bo Sapiientia wszystkie stworzenia trzymała blisko siebie, jakby bała się, że gdy da im więcej przestrzeni, uciekną na wolność albo do kogoś lepszego.

Ale nie było nikogo lepszego, by stać się następcą króla Henryka. Sapiientia rzeczywiście uspokoiła się podczas ostatnich miesięcy. Może porady ojca Hugona kierowały ją ku „mądrości”, na cześć której została ochrzczona. Mogła jeszcze wyrosnąć na królową.

Zamyślona, Rosvita wróciła do namiotu i usłyszała Henryka oznajmiającego nieuniknione:

– Wyjeżdżamy jutro rano, gotowi do bitwy. Ponieważ możemy zostać napadnięci podczas marszu, od razu zajmujemy pozycje. Księżna Liutgarda obejmie oddziały na przedzie, które rozwiną się w lewą flankę. Jej Wysokość księżniczka Sapiientia dowodzi oddziałami tworzącymi prawą flankę. Ja jadę w środku i dowodzę centrum, a margrabia Villam zawiaduje strażą tylną oraz rezerwami.

Decyzja zapadła. Zgromadzeni szlachcice wydali z siebie westchnienie, gdy spotkanie się skończyło. Wreszcie, po długich oczekiwaniach zmierzają się z Eikami.

3.

Hrabia Lavastine wysłał pluton piechoty na północny wschód, przed swą armią. Dowodzony przez sierżanta Fella i wzmocniony oddziałem lekkiej kawalerii z Autunu, prowadził cztery wozy, na których spoczywały części maszyny oblężniczej oraz wielki łańcuch, wykuty na wiosnę przez kowali w zamku Lavas.

– Orzeł też – powiedział hrabia – aby mogła mi złożyć raport, że wasze wysiłki zakończyły się powodzeniem.

Trzy dni maszerowali ostro, widząc tylko zniszczone pola uprawne, zmienione w dzicz, a potem rozbili obóz na szczycie wzgórza nad zachodnim kanałem Veseru. Tego kanału używały wszystkie okręty, ponieważ wschodni, oddzielony kamiennym językiem, był zbyt płytki i przed ujściem do morza zmieniał się w bagno.

Rzemieślnicy z Autunu wzięli się szybko do pracy, zrąbując drzewa i budując dwie maszyny, przez starożytnych Dariyan zwane balistami. Zajęli się też małą katapultą. Jako ramienia użyli przysadzistego drzewka, pozbawionego kory, konarów i liści.

Praca posuwała się szybko. W czasie, gdy Liath i reszta konnych sprawdzali teren, znajdując jedynie kilka spalonych wsi, ogołocone z trawy pastwiska bez bydła i zniszczoną wieżę, wybudowaną przez starożytną rasę, w przeszłości strzegącą rzeki, balisty nabierały kształtu.

Przez cały następny dzień inżynierowie konstruowali maszyny. Było tak gorąco, że wszyscy, kobiety i mężczyźni, rozebrali się do przepasek biodrowych, pocąc się w promieniach słońca. Sierżant Fell i kilku jego ludzi, którzy walczyli z Eikami na północnym

wybrzeżu Varre, patrolowało rzekę. W południe, podczas odpływu, rzeka przy ujściu była płytka, jej deltę przecinały jedynie kanały biegnące ku morzu.

Późno w nocy, przy świetle rosnącego księżyca, robotnicy wzięli się do pracy z kolejnym odpływem. Na krańcu suchego łądu rozebrali się i ruszyli poprzez odkryte piaski i kamienie, ciągnąc zaostrzone na końcu bale. Gorąco dnia wisiało w nocnym powietrzu, czyniąc je tak ciężkim, że Liath z wdzięcznością przyjęła dotyk zimnej wody na skórze, kierując się ku głównemu nurtowi rzeki. Gładkie kamienie przesuwwały się pod jej stopami. Czuła morską sól. Woda przepływała, brązowa od mułu i śpiewała o długiej podróży z gór na południu. Gałąź otarła się o biodro Liath.

Na płycznach, gdzie woda podczas odpływu nie sięgała wyżej niż do kolan, ciągnięcie bali nie sprawiało problemu, choć prąd był bystry i ustawienie belki pod właściwym kątem wymagało sporego wysiłku. Jak lance ustawione pod kątem, by powstrzymać szarżującą kawalerię, podobnie i te trzeba było zagrzebać w ziemi tak, aby kil okrętu wbijał je głębiej. Bale wystawały łokieć nad wodę i sierżant Fell twierdził, że okręt Eików nie przepłynie nawet podczas przypływu.

– Tutaj, towarzysko! – zawołała kobieta. Liath ruszyła naprzód, woda podniosła się wokół jej ud i zadrzała, gdy otoczył ją zimny prąd, ciągnący w stronę morza. Mężczyzna, widząc jej zmagania z rzeką, wyciągnął ramiona i razem wydostali się na tratwę, zakotwiczoną kawałkiem ciężkiego łańcucha. Pomogła pięciu ludziom, spychającym do wody belkę tak grubą w obwodzie jak jej talia. Inni ciągnęli z brzegu kamienie, które miały unieruchomić belkę od strony morza, a potężny mężczyzna o ramionach kowala wbijał ją młotem w dno. Wleczono więcej kamieni, aż w końcu Liath, stojąc na nich, mogła dotknąć szczytu belki, ślizgając się na zatopionych głazach.

Księżyc rzucał blask na scenę; jego światło spowijało wody srebrzystym blaskiem, który bezustannie mrugał na powierzchni rzeki płynącej do morza. Nad głowami wiele gwiazd zostało przez nie zaćmionych, ale od razu rozpoznawała trzy klejnoty letniego nieba lśniące wysoko nad głową, diament, szafir i cytryn. Rzeka Niebios, w przeciwieństwie do wód opływających jej biodra, stała się jedynie bladą mgłą. W bezksiężycowe noce rozciągała się jak w zenicie szarfa, sięgając aż do zwojów Węża na południowym horyzoncie. Pokutnik i Orzeł z rozłożonymi skrzydłami wstawał na wschodzie; Smok zachodził. Zamknęła oczy. Prąd szarpał ją jak rozpacz.

– Utrzyma się – stwierdził sierżant Fell, ściągając ją na ziemię. Odsunął się, by ocenić efekty ich pracy. – Ruszajcie się. Trzeba więcej ustawić w poprzek. Odpływ już się skończył, więc mamy tylko kilka godzin, zanim woda będzie za wysoka, żeby skończyć zadanie wyznaczone nam przez hrabiego. Nie możemy wbić pali w głębokie kanały, więc te tutaj będą musiały przyjąć cały ciężar na siebie.

W końcu, gdy woda się podnosiła, a u ujścia rzeki wirowały niebezpieczne prądy, ustawili pale na całej jego szerokości, omijając jedynie najgłębsze kanały, w których prąd był

zbyt wartki, by ryzykować. Potem wszyscy zgromadzili się jak foki, ociekając wodą i drżąc z zimna, i razem, do wtóru wielu stęknień i jęków, przeciągnęli przez rzekę łańcuch i przymocowali do belek.

O świcie skończyli pracować i ustawili maszyny na miejscu, ukryte za krzakami, kamieniami i chrustem, ale wycelowane prosto w kanał. Wyczerpana Liath wytarła się tuniką, ubrała i zwinęła na słońcu przy baliście, składając głowę na dłoniach. Zasnęła natychmiast.

I jeszcze szybciej obudziło ją potrząsanie za ramię. Zerwała się na nogi, sięgając do miecza, ale sierżant Fell przyłożył palec do ust i kazał jej iść naprzód.

– Przygotuj się – powiedział, nim poszedł budzić innych, głosem tak cichym, jakby się bał, że Eikowie go usłyszą. – Zobaczmy, jak pułapka działa.

Wyprostowała się i zmrużyła oczy, bo raziło ją zachodzące słońce. Księżyc wschodził nad wzgórzami.

Liath osiodłała konia, założyła kołczan na plecy i położyła się na brzuchu na szczycie wzgórza, patrząc na zbliżający się okręt. Płynął z prądem, ale pod wiatr. Tuzin wiosł wioślarzy poruszał się miarowo, pchając go prosto na zatopione pale. Słońce na wodzie było złote jak ogień.

– Spokojnie, chłopcy – usłyszała Fella poniżej, przemawiającego do inżynierów gotujących balistę. – Cierpliwości. Czekajcie. Czekajcie. Już jest w samym środeczku i... teraz! – Okrzyk sierżanta zabrzmiał jak uderzenie kowalskiego młota.

Zagrzmiało, kiedy uruchomiono balistę i wielki, okuty żelazem pocisk śmignął w powietrzu. Wszyscy zamarli. Okręt zatrzymał się, gdy uderzył w łańcuch i zaczął się obracać, gnany prądem. Pocisk znikł w wodzie; Fell nanosił poprawki, gdy pocisk z drugiej balisty śmignął i spadł do wody bliżej bezradnego okrętu. Pierwsza załoga cofnęła swą maszynę, gotując się do strzału. Tym razem trafili w środek pokładu, zmiatając wioślarza i przebijając dno. Odgłos miażdżonego drewna i wrzaski Eików dotarły do brzegu, gdy czwarty pocisk zmiotł kawałek burty. Usłyszała, jak w końcu spuszczone katapultę, i jęknęła. Zdawało się, że samo słońce uderzyło płonąca łańcuch, strzałą z ognistych wyżyn, upierzoną gęstym dymem... ale to nie była słoneczna strzała, tylko wyrzucona z katapulty kula płonącej smoły. Spadając na okręt, bryzgnęła płomieniami na wioślarzy i deski.

Fell dowodził ustawieniem drugiej balisty, podczas gdy załoga ładowała, a okręt tonął. Trafił go kolejny pocisk i płonąca kula. Żagiel, złożony na pokładzie, zajął się ogniem. Eikowie opuścili okręt. Skakali do wody i płynęli do brzegu, zmagając się z prądem. Sierżant Fell zostawił załogi i ześlizgnął się po klifie do czekających poniżej żołnierzy. Liath pobiegła do konia, wskoczyła na niego i ruszyła za tuzinem jeźdźców na brzeg. Tam czekał Fell z sześcioma oszczepnikami i pięcioma łucznikami.

Pierwszy Eika stanął w wodzie do pasa, gdy łucznik starannie wycelował i nieomal natychmiast spuścił strzałę, która przeszła oko Eiki mrugającego w słońcu. Trzy psy wylazły z rzeki, szczerząc się i wyjąc; natychmiast zajęli się nimi oszczepnicy, dziabiąc i kłując tak

długo, aż stwory padły, skowycząc i w końcu zamarły.

– Na lewo! – krzyknął jeździec. Liath oderwała się od reszty i w dole rzeki natknęła się na dwóch Eików. Wycelowała szybko i strzeliła, trafiając jednego z nich w serce. Drugi rzucił się na nią ze wzniesionym toporem, zamierzając ją posiekać. Dała koniowi ostrogę, a rozczarowany Eika zawył, próbując dotrzymać jej kroku. Chwilę później, powstrzymywany przez wodę, zwolnił, by poszukać innego łupu. Liath nałożyła strzałę, ściągnęła wodze i obróciła się w siodle. To był łatwy cel. Strzeliła.

Za nią na brzegu rzeki leżał z tuzin ciał, woda przepływała ponad nimi jak nad wyrzuconym śmieciem. Sierżant Fell gonił za ostatnim żywym nie uzbrojonym Eiką. Fell wznosił topór i zakrzyczał dziko, zadając cios zdezorientowanemu wrogowi. Widok był niemal śmieszny. Ludzie Fella wrzeszczeli zachęcająco, ale żaden nie rwał się do pomocy. Eika mógł mieć twardą skórę, ale topór rozłupał mu czaszkę i padł, wydając z siebie ohydny skrzek.

Liath patrzyła, jak Eikowie oświetleni przez zachodzące słońce wynurzyli się po drugiej stronie rzeki i natknęli się na patrol zostawiony tam zeszłej nocy. A reszta spłonęła z psami i okrętem albo utonęła.

Wokół siebie i powyżej słyszała wiwaty rzemieślników, kowali i żołnierzy. Prąd uderzał okrętem o łańcuch i pale, aż ten pękł i zaczął się rozpadać, płomienie pluły i syczały, gdy na pokład wdzierała się woda. Na brzegu sześciu żołnierzy Fella znów się rozebrało i powlokło ciała Eików za barykadę, gdzie wrzucili je do wody. Trupy poszły na dno jak kamień.

4.

Księżna Liutgarda prowadziła awangardę równym krokiem i pierwszego wieczora po wyruszeniu ze Steleshamu tabor został w tyle, jego wozy zagrzebały się na błotnistym odcinku drogi. Mężczyźni z rezerwy Villama rzucili się je wykopywać, a czekająca w wyższym, suchym miejscu Rosvita dostrzegła zbliżającego się znajomego Orła.

– Orle, proszę! – zawołała. – Jakie wieści?

Młoda kobieta osadziła konia.

– Szpica rozbiła obóz na noc, pani. Król rozkazał, żeby armia się nie rozdzielała, inaczej Eikowie rozniosą nas na strzępy. – Nerwowo spojrzała za siebie, na drogę, którą przybyła. – Jadę z wieścią dla księżniczki Sapientii, pani.

– Nie zatrzymam cię długo. – Wyraz twarzy Orła powiedział jej, że dziewczyna chciała jechać, ale nie odważyła się sprzeciwić. – Ufam, że kilka chwil ci nie zaszkodzi. Hanna, prawda? – Młoda kobieta przytaknęła. Miała czystą, mocną twarz i cudownie jasne włosy w kolorze siana. – Przypominam sobie, że twoja towarzyszką, Liath, miała kiedyś książkę...

Hanna zbieła.

– Książka! – Rozejrzała się wokół jak zwierzę szukające drogi ucieczki z płonącego lasu.

Koń pod nią zatańczył, a ona ściągnęła wodze z wyuczoną, ale niezdatną determinacją kogoś, kto późno nauczył się jeździć i bardzo chce opanować tę sztukę.

– Widzę, że wiesz, o której książce mówię. Czy ukradła ją ojcu Hugonowi?

– Nigdy! – Rosvita nie знаła nikogo, kto potrafiłby udać taką pasję i pewność. – Książka nigdy nie była jego. To on ukradł ją Liath, podobnie jak ukradł jej wolność, gdy była bezradna.

– Bezradna?

– Jej tato umarł, zostawiając długi i wtedy...

– Raczej nie można jej nazwać bezradną, skoro była w takim wieku, aby przejąć długi ojca. Ale nie o to pytałam, Orle.

– Zawsze ta książka – mruknęła Hanna. „Ta książka” miała najwidoczniej długą i interesującą historię, a reakcja Hanny tylko pogłębiła determinację Rosvity, by odkryć prawdę. – Przysięgam wam na naszych Pana i Panią, honor i cnotę błogosławionego Daisana, że to jest książka Liath, a nie ojca Hugona. Przedtem należała do jej ojca i on jej ją dał.

Przysięga była imponująca.

– Ale jeżeli Liath była niewolnicą ojca Hugona na mocy wykupu długu, wszystko co posiadała, stało się jego.

– Nie miała jej, kiedy ją kupował. Nie została wyszczególniona na liście długów i własności. Ukryłam dla niej tę książkę. O Pani! – Zaklęła słowami, których bez wątpienia nauczyła się od żołnierzy, po czym się zaczerwieniła. – Wybaczcie, pani.

– Moje dziecko, musisz do mnie mówić „siostrze Rosvito”.

– Tak, pani. Czy mogę wam zadać pytanie, pani?

Rosvita niemal parsknęła śmiechem. „Czy mogę wam zadać pytanie?” Ale jednocześnie Hanna odmawiała uznania prawa. Jak ktokolwiek mógł twierdzić, że ojciec Hugo ukradł wolność Liath, skoro legalnie wykupił jej dług?

– Dlaczego was obchodzi... – a potem nagle wzruszyła ramionami, jej twarz zmroczniała i odwróciła wzrok. – Czy mogę zanieść moje posłanie, pani?

– Jedź – westchnęła Rosvita. Oczywiście, Hanna miała zamiar zapytać, dlaczego Rosvitę obchodziła książka, ale najwyraźniej stwierdziła, że już zna odpowiedź.

Czy uczyniono niesprawiedliwość? Jednak opowieść ojca Hugona nie różniła się zbyt od tej, prócz fragmentu o sprawiedliwości. Kto miał słuszość? Czyjej sprawy broniłby Bóg?

Brat Fortunatus nadszedł od strony zagrzebanych wozów, jego habit był ubłocony.

– Oto stołek, siostrze Rosvito.

– Zaskakujesz mnie, bracie! Mimo skłonności do plotek masz dobre serce. – Usiadła z ulgą, a on zaśmiał się i wrócił nadzorować żołnierzy wyciągających wozy z błota.

Po jakimś czasie wozy ruszyły, prócz jednego, który zagrzebał się aż po osie. Jego zawartość została rozdzielona na inne albo rozdana żołnierzom, aby nieśli ją na plecach. O zmierzchu dołączyli do głównej grupy.

Po obu stronach drogi ustawiono czujki. Ścięto drzewa, aby ustawić ogrodzenia na wypadek ataku, a za nimi Rosvita widziała tylko fragment obozowiska. Ją i resztę kleryków zaprowadzono do królewskiego namiotu, stojącego pośrodku, ale choć księżniczka Sapientia towarzyszyła ojcu, bez ustanku gadając o nadchodzącej bitwie, ojca Hugona nie było. Rosvita bez problemu wycofała się i dowiedziała, w której części obozu stacjonowali żołnierze dowodzeni przez Sapientię. Było już ciemno, ale miała służącego z pochodnią, a poza tym księżyc unoszący się nad drzewami stał niemal w pełni. Jego światło padało na szeroką przecinkę, na której służący Sapientii ustawili jej podróży namiot.

Ojciec Hugo klęczał pod płótnem, sam prócz kilku strażników, którzy rozmawiali przy ognisku. Było cicho i spokojnie.

Hugo klęczał na dywanie, spod którego wystawały połamane źdźbła trawy. Modlił się.

Gdzie była książka?

Ukryta w ciemności pozostawała anonimowa. W takim miejscu każdej pani i kapitanowi towarzyszył służący z pochodnią, a poza tym pilnowała, aby nie wchodzić w krąg blasku rzucanego przez płomienie i uniemożliwić rozpoznanie jej habitu. Patrzyła i szukała... I znalazła książkę wepchniętą pod jego lewe kolano, prawie ukrytą pod fałdami tuniki.

Skończył się modlić, usiadł i umieścił książkę w świetle rzucanym przez dwie latarnie. Odległe kumkanie żab w niewidzialnym bajorku szło w zawody z równie intensywnymi rozmowami setek żołnierzy, szepczących o nadchodzącej bitwie i furii Eików.

Delikatnie otworzył książkę.

Coś w niej tkwiło, coś, czego ona nie miała prawa zobaczyć. Czula to w kościach. Czy Liath ukradła książkę Hugonowi, czy Hugo Liath? Czy powinna wierzyć zeznaniom Orłów, czy syna margrabiny zaprzysiężonemu w Kościele?

Nagle poruszył się, zamknął książkę, cofnął się i spojrzał w otaczającą go ciemność.

Wokół niej zaś zatańczył wir powietrza jak prąd obracający łódką. Uczucie, że Hugo ją widział, wiedział, że ona, Rosvita, była tutaj, choć w żaden naturalny sposób nie mógł być tego świadomy, opanowało ją tak silnie, że choć nie zamierzała, dotknęła ramienia służącego i odeszła.

I to szybko.

Dopiero kiedy znalazła się z powrotem w królewskim namiocie i pierwszy łyk piwa schłodził jej gardło, zaczęła się zastanawiać, dlaczego uciekła i czy była to jej własna decyzja.

5.

Ivar podciągnął nogi pod ławkę i ziewnął. Jeśli wysunął stopy z sandałów, mógł palcami dotknąć powierzchni kamiennej posadzki. Pot zbierał mu się na karku w miejscu oświetlanym przez słońce. Naprzeciw niego nauczyciel nudził o *Homiliach* pracowitej skoposy Gregorii, nazywanej „Wielką”.

Powolna fala letniego upału opływała salę. Z tyłu pierwszorocznicy siedzieli naprawdę bardzo cicho; może wszyscy posnęli. Ivar nie odważył się odwrócić, aby nie zwracać na siebie uwagi Zasznurowanych Ust. W ławkach na przedzie Reginar i jego sfera sumiennie pochylała się nad zadaniami.

Pomniejszyli się o jednego tej wiosny, kiedy to w qumańskim rajdzie tragiczną śmierć poniosły dwie starsze siostry pewnego chłopca, który stał się jedynym spadkobiercą matki. Lord Reginar rezonował gorzko na temat przeznaczenia, które pchnęło go do klasztoru, podczas gdy jego starsi bracia mogli walczyć z barbarzyńcami, a po tej tyradzie Ivar po raz pierwszy poczuł coś na kształt współczucia dla aroganckiego młodego lorda. Jego narzekania zapewniły mu jedynie rozmowę w cztery oczy z ciotką, matką Scholastyką, z której wyszedł tak grzeczny i posłusznie pokorny, że Ivar zaczął się zastanawiać, czy opatka nie rzuciła na niego czarów.

Ivar znów ziewnął. Upał wysysał energię z jego ciała, a głos nauczyciela był równie irytujący jak brzęczenie wszechobecnych much. Na zewnątrz usłyszał ujadanie psa i rzenie konia. W klasztorze było tylko kilka koni, wobec tego zapewne przyjechali goście, aby modlić się w kościele albo spędzić tu noc przed wyruszeniem w dalszą drogę. Nie mógł się jednak zmusić do zazdrości, jak niegdyś, że ci niewidzialni ludzie na zewnątrz mogli do woli poruszać się po świecie.

„Czymże jest świat”, mówiła Tallia, „w porównaniu z poświęceniem błogosławionego Daisana? Jak mało znaczą nasze przyziemne zazdrości i egoistyczne żądze przy jego cierpieniu, które za nas zniósł!”

Odległy, choć znajomy głos – on sam rok temu – gnębił go czasami. „A co z Liath? Co z twoją obietnicą daną Liath?” Ale nic nie mógł zrobić w sprawie Liath, nie mógł się odwołać do sądu instancji wyższej niż jego ojciec; matka umarła wiele lat temu, a wszelki spadek, który mógłby odziedziczyć, został krótko po jej śmierci rozgrabiony przez rodzeństwo.

Jak Ermanrich pogodził się ze swym losem.

Spojrzał w bok na towarzyszy.

Baldwin siedział z podbródkiem na dłoniach i uważnie wpatrywał się w nauczyciela, choć Ivar poznał go już dostatecznie dobrze, aby dostrzec, że marzył o niebieskich migdałach. Ermanrich kichnął, po czym otarł nos w rękaw habitu i wrócił do zabawy rysikiem. Nawet Zygfryd był niespokojny; miał nawyk bawienia się koniuszkiem ucha, kiedy myślał o czymś innym niż to, co widział przed sobą.

O Pani. Ivar wiedział, o czym myśleli. Wiedział, o kim wszyscy myśleli.

Drzwi do sali skrzypnęły. Kiedy nauczyciel zamilkł, wszystkie głowy podniosły się, by zobaczyć, kto mu przerwał. Do sali wszedł brat Metodiusz z miną tak ponurą, że Ivara nagle zdjął lęk, iż stara królowa, której się pogorszyło, umarła.

Metodiusz odwołał nauczyciela. Rozmawiali cicho. Ivar rozprostował ramiona i spojrzał na słowa wyryte na tabliczce: *docet, docuit, docebit*. Myśląc o Tallii, napisał: *nos in veritate*

doucerat. „Ona pouczała nas o prawdzie”.

Baldwin kopnął go w stopę. Ivar podskoczył i podniósł wzrok, kiedy brat Metodiusz zasygnalizował: „Chodźcie ze mną w milczeniu”.

Wstał i posłusznie ruszył za innymi po schodach, ale natychmiast stało się jasne, że wezwano tylko jego, Baldwina, Zygfyda i Ermanricha. Być może Zygfyd wiedział, czemu, a Ermanrich dowiedział się czegoś od kuzynki, ale Ivar nie odważył się zapytać, kiedy brat Metodiusz nakazał im ciszę.

Szybko zaczął się obawiać najgorszego: Metodiusz zaprowadził ich do komnaty matki Scholastyki, wepchnął do środka, a sam stanął przy drzwiach jak strażnik baczący na więźniów. Nikogo innego nie było w komnacie.

Obie okiennice otwarto, a pyłki kurzu fruwały w strumieniach światła. Zakonnica pracowała w herbarium. Ze swojego miejsca Ivar nie mógł odgadnąć, pielęła czy zbierała, widział jedynie zgięte plecy i powolne, miarowe ruchy osoby pogodzonej ze swym miejscem w świecie i rozumieniem Boga.

Ivar nie był pogodzony.

Baldwin pociągnął ukradkiem za rękaw Ivara i leciutko pochylił głowę w prawo. Poprzez otwarte drzwi widać było inny pokój z prostym łóżkiem. Na nim leżała stara królowa, gasnąc szybko; tak przynajmniej głosiła plotka. Postać w habicie, z chustą zarzuconą na głowę, klęczała w nogach łóżka, składając dłonie w modlitwie. Ivar stęknął, zaskoczony. Nawet z chustą okrywającą pszeniczne włosy dobrze znał tę postać; śnił o niej po nocach.

Nagle pojawiła się matka Scholastyka, zasłaniając Tallię; przekroczyła próg i zamknęła drzwi. Klamka opadła ze słyszalnym stuknięciem. Natychmiast wszyscy czterej nowicjusze pokornie padli na kolana. Ivar usłyszał, jak matka przechodzi przez pokój i siada na krześle. Na zewnątrz grały świerszcze, ich powolny rytm przerwał nagły śpiew ptaka.

– Herezja – powiedziała matka Scholastyka.

Wszyscy czterej jak jeden spojrzeli na nią z winą w oczach. Nie powiedziała nic więcej, jej twarz pozostawała nieruchoma, niczym wykuta w marmurze, gdy w ciszy na nich patrzyła. Za nią na parapecie okiennym usiadł kos. Obnosił się czarnymi piórami, pomarańczowym dziobem i kółkami wokół oczu tak dumnie, jak pyszny żołnierz nosi swój kubrak. Skakał po parapecie, a oni gapili się na niego. Ermanrich zakaszłał i ptak odleciał, kierując się ku ogrodowi.

– Wszyscy zostaliście skażeni słowami dziewczyny, która nawet nie złożyła ślubów. Nie jest tak? Czy przysięgniecie przede mną, że nie skaziły was jej fałszywe nauki? Czy przysięgniecie, że nie kusila was fałszywa wizja błogosławionego Daisana?

Każde słowo brzmiało jak tętent podkutych żelazem kopyt rumaka ruszającego do bitwy. Ivar skulił się pod ciężarem jej gniewu. Ermanrich zaszlochał. Ze złożonymi dłońmi i skromnie skłonioną głową Baldwin wyglądał jak żywcem wyjęty z obrazu przedstawiającego pobożnego grzesznika, którego dobroć przejawia się w urodzie, modlącego się do Boga o

odpuszczenie grzechów, których jest niewiele i wszystkie lekkie.

Ale żaden z nich, nawet jej ulubiony młody Zygfryd, w wieku sześciu lat przeznaczony do nauki na łonie Kościoła, nie podpełzł, by złożyć przysięgę, o którą prosiła.

Nie mogli.

Słyszeli, jak Tallia mówiła o swych wizjach. Na własne oczy widzieli znaki nacięć na jej skórze, stygmaty naśladujące rany odniesione przez błogosławionego Daisana podczas męki.

Widzieli cud róży.

Matka Scholastyka podniosła się z krzesła jak anioł Boga, gotujący się do zniszczenia niegodziwych.

– Nie mówcie mi, że wierzycie w to, co ona głosi! Że sami wyznajecie tę herezję! Broń nas, Pani i Panie!

– B...błagam was, matko – zaczął Zygfryd, jękając się lekko. Wahał się, był blady. – Gdybyście tylko posłuchała tego, czego naucza lady Tallia, gdybyście jak my widziała cud... Na pewno dobre biskupiny na synodzie w Addai źle pojęły całą sprawę, kiedy wydawały osąd. To było prawie trzysta lat temu. Zwiódło je...

– Cisza!

Nawet Baldwin się cofnął.

– Dzieci. – Przypomniała im, kim byli. – Czy rozumiecie, że karą za herezję jest śmierć?

Ale Zygfryd był uparty, choć maskował to swą niekłamaną skromnością. Szedł przez życie zainteresowany tylko książkami i nauką, ale kiedy raz przekonał się do jakiegoś pomysłu, nie rezygnował.

– Lepiej głosić prawdę i umrzeć, niż milczeć i żyć.

– Cud! – powiedział nagle brat Metodiusz z głęboką pogardą, choć matka Scholastyka nie pozwoliła mu się odezwać. – W tym ogrodzie rosły róże, zanim je przenieśliśmy, by postawić płot. Który nie spełnił swego zadania!

– Nie, bracie, nie obwiniaj płotu. Służył Bogu i spełniał swe zadanie dobrze aż do teraz i nadal będzie to robić. To skażenie herezją zapuściło korzenie pomiędzy szeregami nowicjuszy. Ale kiedy wiemy, jak szeroko się rozpleniło, możemy je wyrwać z korzeniami. Tylko ci czterej młodzi mężczyźni zostali skażeni. Zostaną zamknięci w odosobnieniu. Bracie, ty dopilnujesz, aby z nikim nie rozmawiali, dopóki nie zostaną odesłani.

– Owszem, dopilnuję – powiedział brat Metodiusz z takim naciskiem, że Ivar poczuł ciężar kładący mu się na serce. Metodiusz, drobny człowiek w średnim wieku, którego wiedza była szeroko poważana, choć był tylko mężczyzną, zawsze dotrzymywał danych obietnic.

– Odesłani? – spytał Baldwin, załamując się. – Wysłacie nas do domu? Błagam was, matko...

– Już za późno na posłuszeństwo – padła ostra odpowiedź, ucinająca prośby.

Ermanrich stęknął, ukrywając myśli. Zygfryd zwiesił głowę tak nisko, że Ivar nie mógł

dostrzec jego twarzy.

Pomyślał o domu, ale nic już dla niego nie znaczył. Co by tam robił? Polował? Walczył z Eikami? Poślubił dziedziczkę? Poszukał własnej posiadłości w marchiach?

Po wysłuchaniu słów Tallii, po ujrzaniu cudu, te zajęcia wydawały się takie... trywialne. Niezależnie od tego, co brat Metodiusz mówił o krzewach różanych, Ivar potrafił rozpoznać cud, kiedy go zobaczył. A zobaczył. Oczywiście matka Scholastyka i brat Metodiusz nie chcieli, aby cud okazał się prawdziwy, ponieważ wywróciłoby to do góry nogami podstawy ich wiary.

Wierzyli w Ekstazę, kiedy to błogosławiony Daisan pościł i modlił się przez siedem dni, poszukując odkupienia dla całej ludzkości, a Pan i Pani w swej łasce wzięli go prosto do nieba. Nie chcieli uwierzyć, że błogosławiony Daisan cierpiał i umarł na ziemi, a odkupiła go moc Pani, bo on jedyny spośród wszystkich rzeczy na ziemi był nieskażony ciemnością, ponieważ był Synem Boga, Matki wszelkiego życia.

– Nie zostaniecie odesłani do domów – powiedziała matka Scholastyka, nie łagodniejąc. – Każdy z was zostanie wysłany w inne miejsce. To skażenie jest chorobą, która dotknęła was wszystkich. Stado owiec łatwo zniszczyć, kiedy jest w nim jedno bezmyślne stworzenie gotowe skoczyć ze skały, a inne pójdą za nim. To, co teraz czujecie, to tylko przelotna fascynacja. Z pomocą ciężkiej pracy, odosobnienia i modlitwy odnajdziecie drogę ku prawdzie. Bądźcie pewni, że ojcowie miejsc, do których was wysyłamy, zostaną ostrzeżeni o skazie, jaką w sobie nosicie. Będą was strzegli pilnie i ze współczuciem, bacząc, byście nie przekazali innym tej zarazy i sami się od niej uwolnili.

Ermanrich znów zaczął szlochać.

– A co z moją kuzynką Hathumod? – Jego nos był czerwony.

– Ma swój cel. Nie tobie go znać. – Skinęła na Metodiusza, który gestem nakazał ciszę. Ermanrich przełknął łzy, kichnął i otarł oczy. Baldwin drżał. Ivar nie czuł nic prócz łaskotania w kolanach; jego lewa stopa częściowo zdrętwiała.

– Ermanrich wyruszy do opactwa w Firseburgu. Baldwin zostanie jednym z braci u Świętego Galia. – Baldwin zdławił delikatne westchnienie ulgi. – Ivar zaś oddany będzie do klasztoru pod wezwaniem świętego Walaricusa Męczennika.

Ermanrich jęknął:

– Ale to przecież na wschodzie, w marchiach!

– Nie – wymruczał Baldwin. – Jeszcze dalej. Leży na terytorium Redarich, poza granicami królestwa.

– Cicho – powiedziała matka Scholastyka tonem tym groźniejszym, że delikatnym. – Nie pozwolono wam mówić.

– Zygryd – ciągnął Metodiusz tym samym zimnym głosem – pozostanie tutaj, w Quedlinhamie, pod naszą opieką.

Zostali rozrzućeni na cztery strony świata: Ermanrich na zachód, na krańce Varingii,

Baldwin na południe w góry Waylandu, a sam Ivar na wschód, poza marchie, do kraju barbarzyńców, najłagodniej określanego mianem „niebezpieczny”.

– A co z Tallią? – spytał Zygryd. Podniósł wzrok znad dłoni; miał zacięty wyraz twarzy. Ze wszystkich czterech Zygryd był najbardziej sceptyczny i rozdarty, ale jego wiara, raz zdobyta, była niezłomna. O Pani, pomyślał Ivar nagle, co się stanie z biednym Zygrydem, gdy trzech towarzysze nie będą się o niego troszczyć?

Ale w tej samej chwili matka Scholastyka spojrzała łaskawiej na swego ulubionego nowicjusza, mimo iż nie posłuchał jej rozkazu milczenia. Na innych spoglądała surowo, jej włosy były zakryte, białe szaty spływały do podłogi, na szyi lśnił złoty torkwes przypominający o ziemskiej władzy, na palcu zaś pierścień mówiący o łasce boskiej, jednak jej surowa twarz łagodniała, gdy patrzyła na Zygryda.

– Jej los nie powinien cię interesować, dziecko. Nie ma dla niej miejsca w tych murach. Niech król się z nią rozprawi, jak uzna za stosowne.

Zygryd spuścił oczy i nie odezwał się już.

Ivar nie wiedział, o czym myśleć. Próbował zająć myśli Liath, ale ta wymykała się. Wymknęła się dawno temu, ale Tallia pozostała. Tallia pragnęła pozostać, a Liath nie; nawet nie chciała z nim uciec. Nie miała wiary. Kiedy o niej myślał, przypominał sobie wyraźnie tajemnicę, bo nie była piękna w przyjęty sposób, tylko niepodobna do żadnej kobiety, jaką w życiu spotkał. Pamiętał jej ciepło, które przyciągało uwagę; wiedział, że nadal ją kocha. Ale czy błogosławiony Daisan nie mówił, że pożądanie było fałszywą miłością, a prawdziwa jest ta, której spokój trwa do końca? To nie o ciele Tallii śnił nocami, tylko o zjadłej sile jej pasji. Chciał trwać przy tak silnej miłości.

Za drzwiami zabrzmiały głosy. Zawiasy zaskrzypiały i brat Metodiusz opuścił pokój. Chwilę później wrócił z siostrą podkomorzyną, kobietą zazwyczaj nieporuszoną, która teraz zdawała się podniecona.

– Wybaczcie to najście, matko – powiedziała siostra, ze zmarszczonymi brwiami spoglądając na nowicjuszy.

– Nie przyszlabyś, gdybyś nie miała powodu. O co chodzi?

– Wiedzieliście o naszych gościach, którzy rankiem przysłali służącego z wieścią o swym przybyciu?

Matka Scholastyka przytaknęła. Podniosła swe sówie pióro i położyła je równolegle do arkuszy pergaminu, na których pisała.

– Czy otrzymają wszystko, co przystoi ich randze?

– Oczywiście, matko!

Opatka podniosła wzrok, ewidentnie zaskoczona, że podkomorzyna była tak roztrzęsiona, iż przysłała do komnaty i nie mogła potraktować drobnej wymówki z humorem.

– Uspokój się, siostrzo. Nie wątpię, że oni i ich pani wracają na dwór królewski. Właśnie!

– Spojrzała na brata Metodiusza i jak dwa ciała wiedzione tą samą myślą, popatrzyli na

zamknięte drzwi, prowadzące do komnaty chorej królowej. – Mogą zabrać ze sobą Tallię.

– I Ivara – dodał Metodiusz. – Bo w końcu wróci na wschód. Obarczymy ją bezpieczeństwem chłopaka, a jej ludzie dopilnują, aby dotarł bezpiecznie do świętego Walaricusa.

– Tak. Sama ją ostrzeżę o herezji, będzie wiedziała, by na nią uważać i trzymać go z dala od ludzi słabego serca, których może skusić.

Ivar nadal słyszał głosy na korytarzu, jeden wybijający się nad inne, niecierpliwy i zadziwiająco głośny w zaciszu ziem klasztornych, władanych przez ciszę i pokorę.

Siostra podkomorzyna bezradnie wskazała na uchylające się drzwi.

– Ale ona czeka na zewnątrz, matko. Teraz. Nie mogłam jej powstrzymać, choć powiedziałam, że jesteście w samym środku bardzo poważnej rozmowy. Nikt inny nie byłby tak bezczelny... – Urwała, odzyskując powściągliwość i postawę kobiety zaprzysięgłej Kościołowi. – Twierdzi, że ma do was sprawę. Ważną sprawę.

– Do mnie? – Tak rzadko widywało się zaskoczoną matkę Scholastykę, że Ivar na chwilę zapomniał o własnych kłopotach i pragnieniach. Ważną sprawę?

Drzwi się otwały. Ona nie czekała na zewnątrz. O Pani, czy ona w ogóle nie miała szacunku dla władzy Kościoła?

Weszła na czele grupy służących, lordów, dam i bogato odzianych dworzan, prawdziwego stada. Wszyscy śmiali się i gadali, ponieważ przypominając sobie o szacunku, jaki byli winni wspaniałej opatce, będącej jednocześnie królewską siostrą. Wszyscy pokłonili się lub uklękli, jak przystało. Wszyscy oprócz niej. Ivar gapił się z otwartymi ustami.

– O Boże – wyszeptał Baldwin ledwie słyszalnym głosem. – O Boże, oszczędź mi tego.

Ona okazała się wielką damą w średnim wieku, wspaniałą szlachcianką odzianą tak okazale, jakby sama była królewską siostrą. Miała wzrost, siłę, wigor i wiele srebrnych włosów; bez wątpienia miała też dzieci starsze od młodzieńców kłęczących na podłodze, być może nawet wnuka. Nie była brzydka i obnosiła się z arogancją wielkiej księżnej królestwa tak naturalnie, jak nosiła lekki letni płaszcz, wyszywany pięknie w ptaki i kwiaty, na tunice dojazdy konnej i złoto wykończonych nogawicach, ale nie wzbudzała sympatii. Niewątpliwie nie obchodziło jej, czy ją lubiono; szlachcice jak ona żądali szacunku i zaszczytów należnych ich pozycji, nic więcej, nic mniej.

– Kto to jest? – syknął Ermanrich z drugiej strony Ivara.

– Margrabina Judith – powiedziała ostro matka Scholastyka. Nie skłoniła głowy na powitanie. Margrabina także nie.

Baldwin zakrztusił się cicho, jakby kość utkwiła mu w gardle. Zbladł, choć nawet strach nie mógł zaćmić jego przynoszącej pecha urody.

– Witam was – ciągnęła matka Scholastyka cierpko – i ofiarowuję gościnę w Quedlinhamie. Jesteście tu w drodze na dwór króla Henryka? Obawiam się, że królowa

Matylda jest zbyt chora, by przyjmować gości.

– Zasmucona jestem, słysząc to i będę się modlić za jej szybkie ozdrowienie. – Margrabina Judith mówiła tonem kobiety, która zawsze dostaje to, czego chce i kiedy chce. – Ale do Quedlinhamu sprowadza mnie inna sprawa. Sprawa doprawdy droga memu sercu, jako że jestem już wystarczająco stara, potężna i obdarzona potomkami, aby robić to, na co mam ochotę.

„Matka Hugona”. Ivar nie widział w niej podobieństwa do syna prócz wzrostu i niemal pogardliwej wyższości, z jaką spoglądała na opatkę.

Obok niego Baldwin drżał jak liść szarpany wiatrem.

Matka Scholastyka podniosła otwartą dłoń, aby zachęcić margrabinę do kontynuowania wypowiedzi, ale ta obróciła się i niby bazyliszek przeszywający wzrokiem ofiarę, nim uderzy, popatrzyła prosto na Baldwina.

– Przybyłam – rzekła – po mego narzeczonego.

Baldwin wybuchnął płaczem.

6.

Lavastine zdecydował się rozbić obóz na niskim wzgórzu, oddalonym o milę od Gentu. Stał z dłonią na ramieniu Alaina, patrząc na pola, które dawno zdziczały, a młoda pszenica i żyto na próżno usiłowały przebić się przez masę chwastów. W oddali widać było stada krów i owiec, ale wszystkie o kawał drogi od pozycji Lavastine’a. Eikowie widzieli, gdzie znajdowała się armia.

– Sądzisz, że Eikowie pozwolą nam czekać?

Lavastine nie odpowiedział od razu. Poniżej żołnierze zaczęli kopać okopy w połowie wzgórza. Za nimi rozbrzmiewały uderzenia toporów; na płaskim szczycie wzgórza ścinano drzewa.

– Popatrz tam – Lavastine wskazał pola przed nimi i odległe stada. – Intensywnie tu wypasali. Eikowie przekształcili te dobre ziemie w pastwisko. Dziwne, są do nas tak podobni, a jednocześnie tak różni. – Wschodni brzeg był szaroniebieski, horyzont znaczyły chmury, a mgła podnosiła się wzdłuż brzegu rzeki, szczególnie wokół dalekich murów miasta i kwadratowej wieży katedry. – Chodź.

– Ojczy, czy to rozsądne, abym brał udział w naradzie wojennej? A jeśli książę Eików widzi moje życie w swych snach tak, jak ja widzę jego podczas godzin spoczynku?

Za plecami Lavastine’a słońce zniżało się ku horyzontowi, poznanemu tutaj wierzchołkami drzew, które wskazywały, gdzie zaczynał się wyższy teren nad korytem rzeki. Płonęły ognie, dym wznosił się w niebo, oznajmiając ich obecność. Wraz z zapachem pieczonego mięsa i z tym nagłym, ostrym przeniesieniem zmysłów Alain poczuł syczenie ognia i smak soków, spadających by zasyczyć i wyparować na drewnie, spalonym w masę

zarzących węgielków. Muchy kłębiły się nad resztkami padliny; Alain szarpnął się, próbując strzepnąć je z ramienia, nim się powstrzymał; kupa odpadków nie była widoczna z hrabiowskiego namiotu. Piąty Syn obdarował go nadnaturalnie czułymi zmysłami, podobnie jak wymieniając z Alainem krew wiele miesięcy temu, dał mu zdolność widzenia w snach fragmentów swego życia.

Lavastine wpatrywał się w miasto na wschodzie, które teraz było prawie niewidoczne z powodu mgły i zapadającego zmierzchu. Jego uśmiech był wąski jak błyski na rzece.

– Będziesz uczestniczył w radzie, jak przystoi młodemu lordowi, który pewnego dnia przejmie wielką odpowiedzialność, zostając hrabią Lavas. – Kiedy używał tego tonu, Alain dobrze wiedział, że spory nie miały sensu.

Razem wrócili do namiotu, w którym czekali już kapitanowie armii. Lavastine usiadł i nakazał Alainowi zasiąść na połowym krześle po swej prawicy. Wszyscy inni nadal stali, nawet lord Godfryd, którego puste spojrzenie denerwowało Alaina.

Alain przyglądał się mężczyznom i jednej kobiecie zgromadzonym przed nimi. Kapitan Lavastine'a stał oczywiście po lewej stronie hrabiego: zaufany człowiek i dobry wojak. Lord Godfryd wsławił się u boku kuzyna dwa lata temu, kiedy odparli Eików na północno-zachodnim wybrzeżu; na pewno sprawi się równie dzielnie teraz, kiedy gra szła o wyższą stawkę. Lord Wichman miał miesiące praktyki w walce z Eikami, ale był lekkomyślny, arogancki i buntował się przeciw dowództwu Lavastine'a – jednak nie miał odwrotu. Kapitan biskupiny Konstancji, wysłany jako jej pełnomocnik, był synem hrabiny Autunu: lord Dedi był niemal rówieśnikiem Lavastine'a, zmęczonym, lakonicznym dobrym dowódcą. Księżna Liutgarda z Fesse przysłała swą daleką kuzynkę z oddziałem kawalerii; ta młoda kobieta miała ostre spojrzenie niczym miecz i po drodze wdała się w co najmniej trzy bójki, raz łamiąc nos pijanemu lordziątku – jednemu z przybocznych Wichmana – który zapytał ją, dlaczego walczy miast się rozmnażać. Alain podejrzewał, że lord Wichman miał na nią ochotę, ale oczywiście nie mógł zniewolić szlachcianki tak bezkarnie jak córki chłopa.

Z tyłu stało kilku sierżantów, którzy dowodzili wolnymi chłopami, zgromadzonymi w piechocie. Jeden z nich zabił muchę.

Lavastine gwizdnął, wielkie czarne psy podeszły do niego. Strach ułożył się na stopach hrabiego, a Mocarz, Radość, Groza i Wiarus wpychały mu pyski pod dłonie, domagając się pieszczot, zanim poszły w ślady Stracha. Smutek i Furia zasiadły po obu stronach Alaina, a Humor uwalnił się na jego butach. Tak ułożone stanowiły wspinały orszak.

Hrabia spojrzał na Alaina, a potem położył dłonie na opancerzonych kolanach, milknąc na moment i patrząc na każdego kapitana. Odważni lub przynajmniej lekkomyślni, wytrzymywali ten wzrok... wszyscy prócz Alaina.

O Pani, czy to rozsądne, aby on uczestniczył w naradzie i słuchał planów Lavastine'a? Ale nie odważył się sprzeciwić życzeniom ojca, nawet jeśli oznaczało to, że Piąty Syn mógł użyć tego, czego się zaraz dowie, przeciw Lavastine'owi i jego armii. Nawet jeśli to

oznaczało, że Eika ujrzy w snach przenikliwy, inteligentny wzrok hrabiego.

Rozejrzawszy się po kapitanach, Lavastine mówił:

– Wiemy, że wiele klanów Eików opanowało miasto pod wodzą Krwawego Serca. Biorąc pod uwagę wszystko, czego dowiedzieliśmy się od lorda Wichmana, który dzielnie z nimi walczył przez ostatnie miesiące... – urwał, by wskazać młodego lorda, który napuszył się i rzucił okiem na lady Amalię, aby upewnić się, czy usłyszała – ...oraz zeznania uchodźców i naszych własnych zwiadowców, musimy zakładać, że siły Eików są liczniejsze od naszych. Musimy też zakładać, że Krwawe Serce o tym wie.

– Nie widzieliśmy zwiadowców Eików – zaprotestowała lady Amalia. – Gdybym ich spotkała, rozjechałabym i wypatroszyła jak psy, którymi są.

Wichman parsknął.

– Nie spotkałaś Eików ani ich psów. To, że Eików nie widzimy, nie znaczy, że ich nie ma.

– Magia i iluzje! Nie widziałam czegoś podobnego i nie wierzę, że istnieje. Dzicy nie mogą władać magią.

– Zobaczysz to wkrótce, Pani Niedowiarek...

Lavastine podniósł rękę i ucichli, choć Wichman kręcił się niespokojnie, słuchając jednym uchem i pożądliwie spoglądając na dzielną i dumną panią Amalię, która nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Cała jej uwaga skupiona była na hrabim.

– Krwawe Serce wie również, że czekamy na Jego Wysokość króla Henryka, który niedługo przybędzie, daj Boże. Sądzę, że Krwawe Serce nie wycofa swej armii, dopóki uważa, że może żerować na tej ziemi, wobec tego musimy być czujni i oczekiwać, że wielkie czyny przed nami.

Spojrzał na kapitana, a potem przeniósł wzrok na sierżantów stojących cicho z tyłu.

– W nocy musimy postawić palisadę. Chcę, żeby wszyscy, którzy mogą, pracowali na zmianę przez całą noc, dopóki nie powstanie wał ziemny i głęboki okop, który ochroni nas przed atakiem Eików. Ci, którzy nie pracują, odpoczywają. Zwycięstwo przyjdzie do nas dzięki dzielnym sercom, mocnym ramionom i błogosławieństwu Bożemu, jeśli Oni się do nas uśmiechną i ześlą nam zwycięstwo. – Lavastine wstał na znak, że narada została zakończona. – Idźcie do siebie. Rozmówię się z każdym z osobna przed końcem nocy.

Lord Godfryd zawahał się, gdy inni wychodzili.

– Czy takie działanie jest rozsądne? Powinniśmy zaatakować, dopóki możemy ich zaskoczyć, albo wycofać się i czekać na króla Henryka. To byłoby rozsądniejsze.

Hrabia czekał, milcząc nieprzyjemnie, aż Godfryd poczuł się nieswojo.

– Uznajesz moje dowództwo, kuzynie, czy też je odrzucasz? – spytał.

Godfryd zaczerwienił się i klęknął.

– Jadę z wami, mój panie.

– Wobec tego idź tam, gdzie poprowadzę.

Godfryd przytaknął i rzucając Alainowi ostatnie spojrzenie, wyszedł. Zostali tylko Alain, hrabia i kapitan.

Kapitan ostrożnie podszedł do hrabiego, nie spuszczać psów z oka, ale one tylko zawarczały cicho, nawet się nie ruszając.

– Wiecie, panie, że kiedy się odzywam, mówię ze szczerego serca.

– Dlatego ufam twoim radom – odparł Lavastine, krzywiąc leciutko usta, co u niego uchodziło za przejaw rozbawienia. – Mów.

– Radzę, abyśmy się wycofali do Steleshamu i poczekali tam na króla i jego armię. Kiedy już połączymy nasze siły, Eikowie nie będą mogli nas pokonać.

Lavastine i kapitan byli tego samego wzrostu, choć kapitan miał szersze ramiona i silną budowę kogoś, kto wiele maszerował i rąbał drewno. Stary Strach podszedł do niego, obwąchując dłoń, i Alain pojął, jak odważnym człowiekiem był kapitan, który nawet okiem nie mrugnął.

– Siad, Strach – powiedział Lavastine. – Dziękuję za radę. Mam wielki szacunek dla twego obeznania z wojaczką, dobry kapitanie, ale nie wiemy, jak daleko za nami jest król Henryk i czy w ogóle wyruszył do Gentu. Modliłem się, abyśmy jakimś cudem spotkali go na tym polu, ale ponieważ tak się nie stało, musimy się tu utrzymać do jego przybycia lub zwyciężyć własnymi siłami. Dałem słowo, że odbiję Gent.

– Panie – kapitan zakaszał, robiąc wrażenie niespokojnego; może to z powodu bliskości psów. Spojrzał na Alaina, chyba się zaczerwienił i odwrócił wzrok. Humor zaskomlał i zamerdał ogonem. – Panie, modlę się, żeby króla nie witała wasza głowa zatknięta na murach Gentu. Można złamać słowo, kiedy naraża się życie i kraj.

– Nie. – Lavastine odwrócił się, by spojrzeć na dolinę rzeki. Było zbyt ciemno, aby dostrzec błysk rzeki i odległe mury miasta, ale wstawał księżyc w pełni, lśniąć pośród mgieł na wschodzie. – Wartość przysięgi jest znacznie większa niż ziemskie dobra i życie. Porozmawiamy przed świtem. Idź do swego obozu i miej wiarę.

Kapitan posłusznie skłonił głowę.

– Mój panie hrabio – rzekł do Lavastine'a, a potem obracając się: – Panie Alainie. – Odszedł.

Czy rozsądne było siedzenie tutaj i czekanie na króla, kiedy mrowie Eików gnieździło się w Gencie? Rada kapitana zdawała się rozsądna, gdy zapadała noc, a znad rzeki podniósł się wiatr. Róg namiotu urwał się i zaczął łopotać, służący pośpieszył, by go przytwierdzić.

Ale wydawało się, że hrabia wiedział, co robi. Nie było to nic nowego. Lavastine posiadał jasny umysł i był absolutnie przekonany o słuszności swych poglądów, a poza tym zazwyczaj miał rację.

Lavastine odwrócił się do Alaina, jakby zapomniał już o poprzedniej rozmowie.

– Alainie, chcę, żebyś dowodził obroną tutaj, w samym środku obozowiska. Wszystkie dowodzone przeze mnie oddziały będą widzieć sztandar na szczycie wzgórza. Wszystkie będą

przeć tutaj, jeśli sprawy potoczą się źle.

– Potoczą się źle? Sądziłem, że zamierzasz poczekać tutaj aż do przybycia króla Henryka.

– Owszem. – Wyraz twarzy Lavastine’a, spoglądającego na wieczorną mgłę, był nieodgadniony. Wielki księżyc wynurzył się już z oparów i teraz lśnił na wschodnim niebie. Alain widział jedynie kilka jasnych gwiazd. – Ale Eikowie wiedzą, że tu jesteśmy i nie brak im obycia w bitwie. Musimy być gotowi na ich atak. Jeśli polegnę, ty musisz poprowadzić żołnierzy.

– Jeśli polegiesz!

Lavastine zdawał się go nie słyszeć.

– Jeśli zaatakują środek, przedrą się przez okop i wał, uformuj piechotę w jeża z tarcz, oszczepów i toporów. Eikowie rozbiją się o niego jak fala o brzeg. Jeśli jeż padnie... słuchasz mnie, Alainie?

– T...tak, ojczu. – Słuchał, owszem, z rosnącym przerażeniem.

– Boisz się, synu? – spytał hrabia łagodniej.

– T...tak, ojczu. Nie będę kłamał.

Hrabia wyciągnął dłoń i niezdarnie dotknął policzka Alaina, głaszcząc go prawie jak swoje ukochane psy.

– Bać się to nie wstyd, Alainie. Wstyd dopiero, kiedy strach zaćmiewa ci zdolność myślenia. A teraz słuchaj uważnie. Ty i ludzie w środku będziecie bronić sztandaru. Z woli Pani będziesz wiedział, że cały czas jestem z tobą. Zostawię ci Szarą Grzywę. Sam pojedę na bułanku.

– Ale gdzie ty będziesz? – spytał Alain, zaniepokojony i zmieszany rozkazami.

– Teraz idę na inspekcję obozu i pracy przy umocnieniach.

W połowie wzgórza, wyrastającego z pól jak bańka, płonęły pochodnie. Mężczyźni pracowali tam pilnie i w ciszy, przerywanej tylko rozkazami, nagłymi wybuchami śmiechu i stęknieniami, kiedy wydobywano kamienie, które umacniały rosnący wał ziemny. W oddali, jak muchy po południu, Alain słyszał łopaty wbijające się w piach, szum ziemi spadającej na wał, który będzie ich pierwszą osłoną przed atakiem Eików.

– Okop i wał nas osłonią – mruknął Lavastine, opierając jedną dłoń na ramieniu Alaina, a drugą na potężnym łbie Stracha – ale to nasze serca, nasza determinacja i spryt zapewnią nam zwycięstwo. Zapamiętaj to, Alainie.

Zostawił Alaina z psami, zawołał służącego i ruszył na inspekcję swej armii.

Alain przywołał psy i uwiązał je wokół namiotu, wszystkie oprócz Furii i Smutka, które siedziały przy nim spokojnie. Stał przez chwilę, patrząc na księżyc w pełni. Czy te poszarpane cienie na wschodzie były zarysem murów i wież Gentu? Kiedy zaśnie, znów ujrzy miasto. Czego dowie się od niego Piąty Brat? Czy Lavastine powiedział mu coś takiego, co Krwawe Serce chciałby wiedzieć?

– Wybaczcie, panie Alainie – pojawił się przed nim kapitan Lavastine’a, z szacunkiem

skłaniając głowę. – Ludzie będą pracować na zmianę przez całą noc. O świcie skończymy wał i fosę, choć nie jestem pewien, czy możemy im ufać. Widzieliście tych Eików, panie. Walczyliście z nimi i zarabaliście paru. – Uśmiechnął się, wspominając jesienną potyczkę, a jego pochwała rozgrzała serce Alaina i dodała mu odwagi. Kapitan towarzyszył Lavastine'owi tak długo, ponieważ nie próbował pochlebstwami wkraść się w niczyje łaski.

Lavastine nie tolerował głupców i pochlebców; byli mu zbędni.

– Choć modłę się, żeby do tego nie doszło, nadal twierdzą, że Eikowie przeleżą przez ten wał jak myszy do spichrza. Ale cóż, wasz ojciec hrabia wie, co robi. – Powiedział to z absolutną pewnością. – Zostawimy trzy wyjazdy dla konnych, każdy zastawiony wozami. Wszystko idzie zgodnie z planem. Radzę wam trochę odpocząć, panie. Kiedy zacznie się bitwa, najbardziej będziecie potrzebować przytomnego umysłu.

Alain przytaknął.

– Dobrze, kapitanie – rzekł, ale jego słowa brzmiały słabo. Czuł się bezradny i co gorsza bezużyteczny. Wielu z tych ludzi było weteranami niezliczonych potyczek z Eikami. A teraz, po jednej bitwie, w której zabił guivre'a i tak już rannego i zdychającego, oraz jednej potyczce, w której nie mógł zadać ciosu, a jednak wychwalano go za odwagę, został dowódcą – choć czuwał nad nim stary wiarus.

Ciężar odpowiedzialności przygniatał mu ramiona jak kolczuga. Ale nie miał się komu zwierzyć, tylko Orłowi, a Lavastine wysłał ją wraz z grupką zbrojnych na poszukiwanie króla Henryka. O Pani, nie mógł nawet ochronić biednej Liath.

– Chodźcie, panie – powiedział kapitan, który nadal stał obok. – Pamiętam, kiedy sam byłem chłopakiem. Nie ma sensu zamartwiać się nadchodzącym przypływem, bo nadejdzie, czy tego chcecie czy nie. Po prostu zejdziesz z plaży, jak powiadał mój staruszek.

Alain uśmiechnął się.

– Zupełnie jak moja ciotka... – Urwał, bo bolało go mówienie o ciotce Bel, która już nie była jego ciotką, ale żołnierz tylko skinał głową i wskazał Alainowi wejście do namiotu, przy którym czekali już służący.

To był jego obowiązek. Stał się synem i dziedzicem Lavastine'a i tej nocy oraz w nadchodzących dniach, niezależnie od tego, czy Eikowie zaatakują, miał zadania do wykonania.

Odprawił kapitana i wszedł do namiotu, a Smutek i Furia deptały mu po piętach. Położył się na posłaniu, nie zdejmując zbroi i kaftana, kładąc obok hełm, miecz i tarczę. Za namiotem słyszał parskanie koni, ten oddział zbrojnych dowodzony przez kapitana zostanie z nim na wzgórzu. Jego dłoń spoczęła na głowie Smutka. Furia zapiszczała, obróciła się parę razy i wreszcie położyła.

Być może nie będzie bitwy. Jeśli Henryk przybędzie na czas, może zawrzeć pokój z Krwawym Sercem. Może Krwawe Serce też śnił o pokoju.

Ale w snach nie znalazł pokoju.

* * *

Posiniaczony i wciąż słaby po utracie krwi, siedział w łańcuchach milczący jak kamień i słuchał narady wojennej Eików. Otaczało go sześć psów. Drapały kamienną posadzkę, wyczuwając podniecenie. Krew i śmierć: czasami Sanglant zastanawiał się, ile psy rozumiały, jak inteligentne naprawdę były. Nie miały głosu, ale nie działały bezmyślnie, choć nie były tak przebiegłe jak ludzie czy Eikowie.

Krwawe Serce rozmawiał ze swym synem, tym w niełasce.

– Jedna armia – powiedział Krwawe Serce.

– Znacznie mniej liczna niż nasi ludzie, jeśli moje sny są prawdziwe, a wierzę, że są.

– Wierzysz – rzekł Krwawe Serce. – Jaki sztandar powiewa na czele tej armii? Ten królewski? – Pochylił się do przodu, obnażając pazury, poznaczona bliznami twarz lśniła metalicznie. Zapach jego oczekiwania wisiał nad zgromadzonymi żołnierzami.

– Czarny pies na srebrnym tle – odparł syn. – Czerwony orzeł. Wieża otoczona przez kruki.

Sanglant zamknął oczy, walcząc z bólem. Jeśli wiercił się na posadzce, by ułożyć się wygodniej, kamienie ocierały go do krwi. Jego rany się zagoiły, ale dotknięcie magii Aoi wyostrzyło mu zmysły, więc każde zetknięcie skóry z kamieniami albo szorstką sierścią psów czy twardym metalem łańcuchów przeszywało jego ciało płomieniem, każdy zapach, a szczególnie jego własny, drażnił go, każdy kęs jedzenia, które mógł wygrzebać z resztek wyrzucanych przez Krwawe Serce i jego synów, przyprawiał go o mdłości.

Czarne psy na srebrnym polu. To hrabia Lavas. Tyle zdołał wygrzebać z pamięci. Czerwony orzeł: Fesse. Wieża otoczona przez kruki: jego ciotka Konstancja, jeśli nadal była biskupiną Autunu.

Ale nie król Henryk.

Rozprostował ramiona, wypróbując ich siłę. Psy zawarczały cicho, wyczuwając ruch.

Krwawe Serce westchnął i cofnął się.

– Tak donoszą też moi zwiadowcy. Wobec tego wodzem tej armii nie jest król. Ale i tak go czuję w kościach jak zepsuty oddech. – Kiedy się uśmiechał, jego wysadzane klejnotami zęby lśniły w świetle wpadającym przez zachodnie okna. Spojrzał na więźnia. – Ale nie przybędzie na czas. Mała armia, ta pierwsza, która nas kłopotuje. – Dotknął kościanego fletu za pasem, wyjął go i podniósł do ust. – Przeżuję każdy kawałek małej armii, kiedy do mnie przyjdzie i pozwolę psom walczyć o resztki.

– Wszystkim prócz ciebie – znieacka uderzył syna, który zatoczył się i musiał opędzać się od atakujących go psów, sfory Krwawego Serca, która nie uznała Sanglanta za przewodnika.

Psy księcia rzuciły się naprzód z obnażonymi zębami, ale skopał je i niechętnie usiadły, podczas gdy Krwawe Serce przyglądał się tej rozrywce z ohydym uśmiechem.

– Ty! Wróciłeś tu bez mojej zgody, więc nie posmakujesz krwi w nadchodzącej bitwie. Zostaniesz za nami, wciąż w niełasce i będziesz patrzył, jak twoi bracia z gniazda biegną ku chwale rzezi.

Syn nie zaprotestował, ale wyraz jego twarzy zmienił się na chwilę, nim wycofał się przy akompaniamencie wycia i śmiechu swych braci.

Krwawe Serce zaśmiał się, rozpierając na tronie. Podniósł flet i zaczął grać, a za nim, w wielkiej nawie, szelest, dzwonienie i stękanie Eików gotujących się do bitwy wypełniało przestrzeń harmoniami tak złożonymi jak hymn śpiewany przez wiernych.

Na zewnątrz, niby pulsujące echo, zaczęły bić bębny.

7.

Liath i dziesięciu lekkich zbrojnych z tarczami i oszczepami ruszyło na południe o świcie następnego dnia po zniszczeniu okrętu Eików. Jechali przez las i dawne pola, teraz zmienione w pastwiska; niektóre zdziczały po zeszłorocznym wypaleniu. Zatrzymali się przy strumieniu płynącym do Vesperu, aby napoić konie i zjeść.

Szybko zawrócili w głąb łądu, by uniknąć patroli Eików. Trudny teren nad równiną nie pomagał im w jeździe. Wjechali zbyt głęboko w las, rosnący od brzegów rzeki aż po wzgórza, aby widzieć nurt czy jakikolwiek znak, że zbliżali się do Gentu.

Kiedy zatrzymali się o zmierzchu, kapitan odciągnął ją na bok.

– Jak daleko do Gentu? – spytał.

– Nie wiem. Dzień albo dwa od ujścia rzeki, tak nam mówiła pani Gisela, ale w Steleshamie nie było nikogo, kto odbyłby taką podróż i zastanawiam się, czy tej jednodniowej podróży z Gentu do morza nie odbywali łódką, płynąc z prądem.

Harcownicy pochodzili z terenów otaczających Autun i przysięgli wierność biskupinie Konstancji. Teraz, uśmiechając się krzywo, kapitan Ulryk wskazał księżyc w pełni wschodzący nad drzewami.

– Jeśli będzie wystarczająco dużo światła, aby odnaleźć szlak, możemy jechać dalej. Nie podoba mi się tutaj. Bóg jeden wie, czy Eikowie nie wyskoczą zza drzewa.

Wobec tego po odpczynku pojechali dalej, nerwowi i uważni.

Noc była długa.

W ciszy przedświt, kiedy księżyc chował się za drzewa, przebili się przez zarośnięty trakt i wyjechali na spalone gospodarstwo.

– Poznają to miejsce – syknęła Liath przez zęby. Poprowadziła ich przez łąkę ku smutnym pozostałościom budynku i tam, na przesiece, miała wystarczająco dużo światła, aby przyjrzeć się krajobrazowi.

– To wejście do jaskini! – wykrzyknęła. – Patrzcie tam! – Wzgórza były oświetlone blaskiem znad wschodniego horyzontu, ale skaliste zbocze nadal pozostawało w cieniu. – Ze

szczytu można dojrzeć miasto. Kto pójdzie ze mną do jaskini? Będę potrzebować pochodni, kiedy tam wejde.

Żaden z mężczyzn nie palił się do tego zadania, ale kapitan wybrał „ochotnika”, zostawił sześciu ludzi przy koniach i z jeszcze dwoma wspiał się na wzgórze.

– Chodź, Erkanwulfie – rzekła do swego towarzysza, szczupłego młodzieńca o jasnych włosach. – Nie wierzę, że boisz się ciemności.

– Nie, proszę pani – odparł grzecznie, ale jego głos drżał. – Nie lękam się ciemności. Ale moja dobra matka kiedyś mi opowiadała, że dawni bogowie uciekli do jaskiń, kiedy diakonisy i fratry przyszli do naszego kraju i wypędzili ich z wiosek, rozstajów i kamiennych kręgów. Skąd mam wiedzieć, że tutaj nie było tak samo?

– Nie widziałam, żebyś się krzywił, walcząc z Eikami, przyjacielu. Na brzegu jednego sam rozplatałeś.

– Owszem, ale to dzicy, prawda? I mogą umrzeć jak ja czy wy, nie ma więc powodów obawiać się śmiertelnika. – Wyczuła uśmiech w jego głosie; było za ciemno, by go dojrzeć. – Chyba, że on ma topór, a ty nie. – Zachichotał, pewnie przypominając sobie sierżanta Fella. Ale skwapliwie podążył za Liath, która przedarła się przez krzaki i znalazła wejście do jaskini.

Używając hubki i krzesiwa, Erkanwulf zapalił pochodnię nasyconą smołą, kiedy wchodzili do jaskini. Westchnęła, widząc pojawiający się płomień. Czy rozpaliby pochodnię, dotykając jej? Próba nadal wydawała jej się zbyt niebezpieczna.

Młodzieniec ruszył już do przodu, ośmielony obecnością ognia.

– Zobaczcie – zawołał przez ramię, jego cień tańczył po ścianach, gdy szedł ku tyłowi jaskini. – Nie ma wyjścia. To nie ta jaskinia.

– Nie. – Przestała się niepotrzebnie zamartwiać; nie potrafiła rozwiązać zagadki swej magii, dopóki nie znalazła nauczyciela. Tato powtarzał: „Zbierz dojrzałe zboże, zamiast się gapić na kielki”. – Wiem, że to właściwe miejsce. – Podeszła do niego i zatrzymała się. To była skała, szorstka kamienna ściana, która zamykała się nad nimi...

... a jednak czy ta ściana nie wibrowała, czy coś nie niszczyło jedności kamiennej zapory?

– Nie – powiedziała, gdy ściana się przed nią rozpląnęła. – Popatrz, tam widać przerwę. – Dała krok naprzód, a Erkanwulf krzyknął:

– Wejdziecie w ścianę...!

Wymacała pierwszy stopień, a wokół niej zawirował prąd powietrza, jak wspomnienie prądów w ujściu Vesperu do morza. Wyczuła wilgotne kamienne korytarze, suchy zapach starej ziemi, święte szczątki zmarłych, którzy leżeli w krypcie katedry i, oczywiście, cuchnącą obecność Eików w samej katedrze oraz krew tych wszystkich, którzy polegli.

„Sanglant”. I biedny Manfred, i inni, którzy padli wraz z Gentem.

Erkanwulf westchnął. Płomień pochodni przyżył jej plecy, odsunęła się, gdy Erkanwulf podszedł.

– Na Pana! Jest, jak mówiliście! Nigdy bym go nie dojrzał w tych cieniach. Na Panią! Myślicie, że dawne duchy je przed nami ukryły?

Odwróciła się i zobaczyła, jak się cofa, w świetle pochodni jego twarz była złota. Rozejrzał się wokół, jakby się spodziewał, że zaraz spadnie na niego jakiś skrzat z łukiem gotowym do strzału. Roześmiała się.

– Nie, przyjacielu Erkanwulfie. Pamiętaj, że na własne oczy widziałam wizję świętej Krystyny i do końca życia jej nie zapomnę. Sądzę, że to ona ukryła wejście, aby tylko potrzebujący mogli je odnaleźć. Chodź już. Mamy wieści dla hrabiego Lavastine’a...

– Ale najpierw musimy go znaleźć – odparł młodzieniec, wychodząc. Zgasił pochodnię, rzucił ją czekającemu towarzyszowi i wspiał się za nią na szczyt. Słyszała, jak dyszał i stękał, ślizgając się na żwirze. Czy to jego ciężkie kroki tak dudniły?

Kiedy dotarła na szczyt, zdziwiło ją, w jaki sposób dźwięk wirował wokół niej, niby powiew wiatru znad dalekiej rzeki. To nie był ani grzmot, ani tupot stóp, tylko uderzenia bębnow Eików. Jak mogła je tutaj słyszeć, jeśli bitwa jeszcze się nie zaczęła?

Kapitan Ulryk z dwoma towarzyszami klęczał na krawędzi, patrząc na wschód, wszyscy w identycznej pozycji: osłaniali oczy przed promieniami wschodzącego słońca. U ich stóp wzgórze opadało ku dolinie. Na wschodzie, lśniąc jak klejnot, wiała się rzeka i choć Liath wiedziała, gdzie leżał Gent, zasłaniał go oślepiający blask słońca.

– Popatrzcie tam – Erkanwulf wskazał na południowy wschód. – Widzicie tamto wzgórze?

„Tamto wzgórze” leżało nieco na południe, niedaleko od nich. Z tej wysokości przypominało raczej wyrzuczenie, pozbawione drzew, za to na czubku pokryte namiotami i sztandarami.

– To sztandar Lavas i wieża Autunu – powiedział Erkanwulf.

– Jesteś pewien? – spytał Ulryk, podnosząc się.

– A niby co innego? Wiecie, kapitanie, że mam bystry wzrok.

– Dzięki Bogu – szepnął kapitan.

Wzgórze leżało na tyle blisko, że choć uwijające się wokół postacie zdawały się maleńkie, Liath wyraźnie widziała umocnienia w jego połowie, przypominające koronę. Obóz Lavastine’a był oddalony od Gentu o dobrą milę na południowy zachód. Teraz, gdy słońce się podniosło, ujrzała miasto i wijącą się pod nim rzekę, małe łodzie jak dziecięce zabawki cumowały na wschodnim brzegu.

– Dzięki Bogu, że nadal tu są – zapytała – czy że w ogóle tu są? – Liath ocieniła oczy dłonią. Bębny były jak odległe fale zapowiadające sztorm, jak bicie serca armii.

Ulryk zachichotał.

– Dzięki Bogu, że Lavastine nie wziął miasta bez nas. Inaczej zgarnąłby całą chwałę i podatki jako lenno.

Erkanwulf westchnął

– Już się bałem. Sądziłem, że zobaczymy całą armię leżącą pokotem na...

– Cicho, chłopcze – ofuknął go Ulryk, nakreślając Krąg na piersi. – Takie gadanie przynosi pecha.

– Przynajmniej mamy spokojny dzień – odparł Erkanwulf. – Tego się nie spodziewaliście.

– To cisza przed burzą – rzekł Ulryk złowieszczo.

– Raczej grzmot przed burzą! – powiedziała Liath.

Nikt się nie odezwał. Spojrzeli zaskoczeni najpierw na nią, a potem na czyste niebo.

– Nie słyszycie ich – rzekła nagle.

– Czego nie słyszymy?

– Bębnów!

– Bębnów?

Nikt z nich nie słyszał i nikt nie widział: mrówki wysypały się z bram odległego o milę Gentu. Ale to nie były mrówki.

Zamknęła oczy, ogarnięta tak mdlącą falą przecucia, że zachwiała się pod jej naporem. Erkanwulf złapał ją za łokieć, a ona otworzyła oczy, strząsnęła jego dłoń i ostro przemówiła do kapitana:

– Przysięgam wam, kapitanie, na mój Orli wzrok, że widzę to, czego wy nie widzicie. Eikowie właśnie teraz wychodzą z Gentu, aby zaatakować hrabiego Lavastine’a. Musimy ostrzec hrabiego. Natychmiast!

Być może sprawił to jej ton. Może usłyszane w Steleshamie opowieści o straszliwych iluzjach, które wyprzedzały Eików, gdy dzicy napadli na warownię. A może nawet powtarzana setki razy jej własna opowieść o upadku Gentu.

Nikt się z nią nie spierał, choć Erkanwulf wypatrywał sobie oczy, dopóki Ulryk nie schwycił go za ramię i nie szarpnął w tył.

– Dalej, chłopcze! Słyszaleś Orła!

Nikt nie słyszał bębnów. Nikt nie widział nadchodzących Eików. Nikt prócz niej. I tylko ona mogła ostrzec Lavastine’a – i przekonać go, aby jej uwierzył.

Rozdział piętnasty

Furia Eików

1.

Alain obudził się o świcie i wyszedł z namiotu, zastając na zewnątrz ojca siedzącego pod markizą i sączącego wino. Hrabia spuścił Stracha z łańcucha, a stary pies złożył łeb na kolanach Lavastine'a i spoglądał na pana z uwielbieniem.

– Dobrze spałeś? – Lavastine podał Alainowi puchar.

– Dość dobrze. – Wino spłynęło do żołądka Alaina rozgrzewającą falą. Furia zaskomlała, wężąc na wschód.

– Miałeś sny?

– Tylko koszmary o Eikach gotujących się do boju. Kłębili się wszędzie jak szarańcza. Ale Piąty Syn nie opuścił katedry.

– Wydaje się więc, że Eikowie nie mają zamiaru atakować. Przynajmniej nie tego ranka. Wszystko jest spokojne.

– Mój panie! – nadbiegł kapitan. – Dostrzeżono oddział jakichś dwunastu jeźdźców, galopujących z północy.

Lavastine zerwał się i pomaszerował na północny kraniec wzgórza. Alain wepchnął puchar w ręce służącego i pośpieszył za ojcem. Wspiął się na prowizoryczną platformę i stamtąd widział wyraźnie umocnienia otaczające wzgórze oraz, na północy, tuzin jeźdźców cwałujących ku ich pozycjom. Kiedy grupa dotarła do pary czekających zwiadowców, jeden z jeźdźców zwolnił, by przekazać nowinę. Zwiadowcy natychmiast zawrócili konie i podążyli za resztą na wzgórze.

– Jadą z czymś ważnym – stwierdził spokojnie Lavastine. Skinął na służącego. – Moja broń. I jeszcze jeden kielich wina. – Jak Alain nosił już kolczugę i miecz.

– To Liath! – Alain zobaczył szkarłatny błysk Orlego płaszcza.

Lavastine pochylił się do kapitana.

– Przyrowadź do mnie Orła, gdy tylko znajdzie się w obozie. Niech się zbierze reszta kapitanów. – Kiedy obrócił się do Alaina, spojrział na niego z powagą, od której zakręciło się chłopakowi w głowie bardziej niż od wina; straszliwe przecucie ścisnęło mu żołądek. – Nieważne, co zostanie powiedziane czy też przemilczane, musisz mi ufać, Alainie. Twoim zadaniem jest obrona wzgórza. – Jego wzrok objął pola rozciągające się ku rzece i Gentowi, spokojne i ciche w blasku słońca. – Jaki cichy poranek – dodał miękko.

Na dole podniosły się głosy, zgiełk podnieconych rozmów i krzyków. Kapitan wjechał na wzgórze, za nim Liath. Jej koń pokryty był pianą i służący odprowadził go, gdy tylko zsiadła.

– Panie hrabio!

Uniósł dłoń, nakazując ciszę i policzył kapitanów: lorda Godfryda, lorda Wichmana, lady Amalię, lorda Dediego z Autunu. Sierżanci już się zgromadzili.

– Orle, składaj raport.

Słowa popłynęły tak szybko, że Alain ledwo mógł je zrozumieć: iluzja, która wydawała się brakiem iluzji? Eikowie atakujący w tej chwili? Przy każdym zdaniu zerkała na wschód, wyraz jej twarzy był tak oczywisty, że Alain mógł odczytać każdy najdrobniejszy grymas i rozszerzenie oczu. Nie bała się tego, co ponoć widziała, nawet w połowie tak bardzo, jak przyjęcia jej rewelacji przez słuchaczy.

Wszyscy patrzyli. Nie mogli się powstrzymać, jej spojrzenie kierowało ich oczy ku cichej i pustej równinie, leżącej między ich pozycjami a odległym Gentem.

Nic tam nie było, żadna armia nie biegła w jej stronę, żadne bębny nie wybijały rytmu.

Nic, tylko spokojne pole oświetlone słońcem.

– O Pani – wyrzuciła w końcu Liath, widząc ich sceptyczne spojrzenia.

Alain wystąpił naprzód.

Widząc go, wyciągnęła ręce jak żebrak. Smutek i Furia, warcząc cicho, schowały się za niego, a stary Strach zaskomlał i umknął za hrabiego.

– Lordzie Alainie! Musicie mi uwierzyć. Są w połowie równiny. Pokonają nas, jeśli nie będziemy gotowi, o ile nie zaleją nas swą masą! – Schwyciła Alaina za ramię. Furia ugryzła ją, a Lavastine zaczęła protestować przeciw takiej swobodzie, ale Alain odwołał Furię i jednym spojrzeniem uciszył ojca. – Nie widzicie? – krzyknęła, wskazując na wschód.

– Błagam cię, Pani Bitew, pozwól mi patrzeć jej oczami. Pozwól mi widzieć sercem, a nie zwykłym wzrokiem – wyszeptał.

Często podczas letnich upalnych dni nad kamieniami i polami drżało powietrze. Tak i teraz przez równinę przeszło drżenie, obraz spokoju zaćmił się i zmienił, chmura pyłu podniosła się i zakryła słońce...

Tam! Oddziały Eików zbliżały się, biegnąc równym, pochłaniającym dystans krokiem, za nimi dudniły bębny, ich tarcze były żółto-niebieskimi plamami. Pokonali już trzy czwarte odległości między miastem a obozem; chmura kurzu znaczyła ich przejście. Było dwanaście albo i więcej oddziałów, każdy oznaczony oszczepami przybranymi w pióra, kości i kolorowe

wstążeczki związane razem. Każdy oddział liczył ponad stu Eików i przy każdym biegły psy.

– Panie, zmiłuj się! – krzyknął Alain. – Jest ich co najmniej trzy razy więcej od nas!

– Tam nikogo nie ma! – ucięła lady Amalia.

– I żadnej iluzji – dodał lord Wichman.

– To właśnie jest iluzja – powiedziała Liath zdławionym głosem, patrząc na Alaina z nadzieją w oczach.

Wichman parsknął.

– Miałem już do czynienia z tymi Eikami – zaczął – i zawsze najpierw pojawiał się jakiś straszny widok... – Urwał, gdy hrabia Lavastine stanął obok Alaina.

– Co widzisz, synu? Ja, podobnie jak inni, nic.

Alain mógł tylko wyszeptać:

– To prawda. Ona mówi prawdę.

– Nie to planowałem – rzekł hrabia jakby do siebie. A potem, nie zmieniając wyrazu twarzy, odwrócił się do swego kapitana. – Do broni! Dąć w róg! – Kapitan dał znak i natychmiast rozbrzmiał dźwięk rogu, wysoka nuta odbita echem od dalekich wzgórz. Obóz wypełnił się ruchem: żołnierze przygotowywali się do walki i biegli ku wałowi ziemnemu u podnóża pagórka oraz temu przy szczycie, wykorzystującemu pochyłość dla lepszego efektu.

Wtedy, dopiero wtedy oczy hrabiego rozszerzyły się ze zdumienia, gdy patrzył na wschód. Jego wzrok sposepniał, analizując ataki Eików. Położył dłoń na ramieniu Alaina i przez trzy oddechy stali tak razem, a Eikowie zalewali pola w dole. W końcu odzyskał równowagę, gdy kapitanowie zaczęli przeklinać i wzdychać, w końcu przejrzawszy iluzję. Dźwięk bębnowy niósł się w powietrzu jak grzmot.

– Moi kapitanowie! – Lavastine zwrócił na siebie ich uwagę i się zatrzymał. Do platformy podbiegł służący i podał mu hełm oraz puchar wina. Hrabia podał puchar zgromadzonym.

– Więcej jest Eików, niż się spodziewałem, ale nie wszystko stracone. Nasz plan pozostaje taki sam. Alain, zostań na wzgórzu. Ty i większość naszej armii utrzymująca wzgórze jesteś kowadłem. Ja z kawalerią będę młotem. Gdybyśmy zostali wcześniej ostrzeżeni, mielibyśmy większe szanse na zaatakowanie ich nieświadomych od tyłu, ale mimo wszystko naszą jedyną nadzieją jest kawaleria, która zgniecie ich w polu. Zgromadźcie jeźdźców. – Każdy napił się z pucharu, wznosząc toasty za odwagę i siłę, po czym odeszli. Został tylko kapitan i Orzeł wraz z osobistymi służącymi Lavastine'a, gotowymi i uzbrojonymi w oszczepy, z tarczami przerzuconymi przez plecy.

– Alainie – podniósł puchar do ust i podał go synowi. – Wróć do ciebie poprzez oddziały Eików i spotkamy się tutaj. Niech cię Bóg błogosławi, synu. Ufaj naszemu kapitanowi, który z tobą zostanie. Ufaj swym instynktom. Jesteś urodzonym żołnierzem.

Sięgnął i pocałował Alaina w czoło. Zaskoczony, Alain padł na kolana przed hrabią, złapał jego rękę i ucałował.

– Nie klękaj przede mną – powiedział zirytowany hrabia, podnosząc go. – Jesteś mym

dziedzicem i musisz klękać jedynie przed Bogiem.

– Nie zawiodę cię, ojcze – rzekł Alain, zaskoczony, że w ogóle mógł mówić.

– Oczywiście, że nie! Orle, do mnie.

Liath rzuciła spojrzenie przez ramię, tylko jedno, biegnąc za hrabią. Psy szczekając i w podnieceniu machając ogonami, zgromadziły się wokół Alaina, patrzącego na odchodzącego ojca.

* * *

Jazda zgromadziła się na zachodnim zboczu wzgórza, ukryta przed wzrokiem Eików, taką przynajmniej nadzieję miała Liath. Spróbowała ocenić ich liczbę, pewnie około trzystu konnych. Za nimi piechota okopująca się na wzgórzu liczyła sobie dwa razy tyle. Kiedy schodziła ze wzgórza z hrabią, wypytywał ją o resztę zadań.

– Ujście rzeki jest zamknięte. Jeden okręt Eików został już zniszczony. Znaleźliśmy tunel.

Lavastine patrzył, jak oddziały formują się pod swymi chorągwiami: czarne psy Lavas za nim, czerwony orzeł Fesse za lady Amalią, lord Wichman i jego ludzie na czele złotego lwa Saony, lord Dedi z kruczą wieżą Autunu i guivre'em Arconii.

– Jak daleko stąd do tunelu?

– Widziałam, jak Eikowie wychodzą z Gentu, a zdażyłam tu przed nimi – Słyszała zbliżający się ku ich pozycjom łoskot bębnow i niski, ogłuszający ryk. – Leży tuż za tym wzgórzem – podniosła dłoń, wskazując – po drugiej stronie zagajnika.

– Dobrze się spisałaś, Orle.

Teraz on podniósł dłoń, widząc, że kawaleria była gotowa.

O Pani. Gdyby tylko hrabia poczekał w Steleshamie, może Henryk by dotarł. Ale on miał plan, który, jak większość planów, okazał się do niczego. Zamierzał spotkać się z Eikami na polu bitwy, zmuszając ich do działania ustawieniem machin oblężniczych, a potem zmierzyć się z nimi, wysyłając kawalerię, podczas gdy piechota użyłaby tunelu, aby wejść do miasta, ale teraz plan spalił na panewce. Jego piechota została przygwożdżona; gdyby zostawili konie i poprowadzili jezdnych przez tunel do Gentu, skazaliby tych na wzgórzu na zagładę. Choć na pewno miasto było puste. Atakując z zaskoczenia od wewnątrz, zdobyliby miasto i prawdopodobnie utrzymali je, zamykając bramy przed Eikami, ale do tego czasu Eikowie rozprawiliby się już z obozem, dowodzonym przez jedyne dziecko Lavastine'a.

Jego ludzie patrzyli wyczekująco, gdy zawahał się, nim ruszył. Czekali, trzy setki, konie drżały, lance wznosiły się na tle nieba i wzgórza.

Opuścił rękę i w ciszy, nie licząc tętentu kopyt, ruszyli, rozsypując się szeroko, by mieć jak najwięcej miejsca na manewry. Nad nimi, ze wzgórza, rozbrzmiały krzyki, a chwilę później szcęk broni poniósł się po dolinie jak grzmot.

* * *

Ryk Eików zagłuszył nawet oszalały łoskot ich bębnow, kiedy się zbliżali. Alain stał na szczycie wzgórza, by widzieć wszystkie swe siły.

– A to co? – jęknął, spoglądając w kierunku Gentu. Wydawało mu się, że kopuła ognia wzniosła się i zakryła miasto, ale taka rzecz nie mogła istnieć; słońce musiało zaświecić mu w oczy.

Z dołu dobiegł rozkaz strzelania, ale pierwsza seria strzał nie przyniosła efektu, odbijając się od wielkich okrągłych tarcz i twardej skóry Eików. Padło tylko kilku, a wraz z nimi garść psów. Strzały utkwily w ich ramionach i szyjach lub zaplątały się w błyszczące metalowe zwoje, „spódniczki” splecione z setek połączonych stalowych lub brązowych kółeczek – ale nadal nadszali.

W odpowiedzi wysłali serię oszczepów, toporów i kamieni z tylnych szeregów, a oddziały na przedzie już szturmowały okopy. Ludzie ukryli się za tarczami i darnią.

Prowadzący Eikowie skoczyli przez okopy na ściany z ziemi i zaczęli rąbać palisadę. Kilku próbowało prześlizgnąć się między balami, odwracając tarcze, ale ich pachy i żołądki przeszły oszczepy; spadli z wału martwi. Na lewo oddział Eików twardo napierał na drewniane pale, żelaznymi ostrzami zmuszając tarczowników do opuszczenia muru. Zbrojni wycofywali się, walcząc, a za nimi zgromadzili się łucznicy, zasypując Eików strzałami.

Eikowie nacierali ze wszystkich stron, wszędzie próbując sforsować wał. Ponieważ południowe zbocze wzgórza było strome, wrogowie mieli problemy z podejściem do ściany. Ze swej platformy poza zasięgiem oszczepów i strzał, Alain widział ludzi rzucających w Eików kamieniami i drewnianymi palami. Północny stok był łagodniejszy i tam Eikowie nacierali na „bramę”, zastawioną wozami wyrwę w umocnieniach. Eika uzbrojony w maczugę o kamiennej głowni rzucił się całym ciężarem ciała na wóz zamykający wejście i uderzył człowieka z taką siłą, że rozłupał mu tarczę i powalił mężczyznę na kolana. Dwie strzały wystawały już z piersi Eiki. Zranił go z tuzin mieczy i oszczepów. Stworzenie znów skoczyło, rozkładając ramiona jak do lotu. Żołnierz ustawił swój oszczep na sztorc i siła upadku nadziała Eikę wprost na ostrze, które przeszło na wylot przez jego pierś, a oszczepnik padł pod ciężarem trupa. Za nim wspięli się kolejni Eikowie, wyjąc i wrzeszcząc.

– Tam! – krzyknął Alain, kiedy we wschodniej linii obrony pojawiła się wyrwa, ale kapitan już działał, posyłając tam rezerwy. Czy niczego nie mógł zrobić? Tylko patrzeć, jak żołnierze walczyli, krwawili i umierali?

Przy północnym wale, bronionym przez to, co pozostało z piechoty lorda Wichmana, bystry sierżant uzbrojony w długą włócznię trzymał się blisko wejścia. Jego chorąży skakał tu i tam, wykrzykując słowa zachęty z Pism i w pewnym momencie zasłonił chorągwią twarz Eiki, aby go zmylić, gdy reszta rzuciła się z toporami i mieczami.

Alain zdawał się tam siedzieć przez wieczność, powstrzymując się. Ojciec kazał mu czekać na właściwy moment. Jeśli zadziała zbyt szybko, nie będzie rezerwy w chwili, kiedy

naprawdę będą jej potrzebować. Ale gorzej było stać i patrzeć. Czy gdyby ci ludzie, którzy umierali, by go ochronić, wiedzieli, że w bitwie nie potrafił zadać ciosu, a na wojnie był tchórzem, z równą ochotą oddawaliby życie za jego sztandar? Czy zasługiwał na ich szacunek i zaufanie?

Dźwięk pękającego drewna oznajmił przełamanie palisady na wschodzie. Pale, osłabione uderzeniami toporów i mieczy, ciągnięte przez Eików, poddały się i atakujący wpadli do obozu. Na południu umocnienia wciąż się trzymały, ale na północy wozy zagradzające wejście zostały rozniesione na strzepy. Sfora psów wdarła się przez wyłom i rzuciła na ludzi, którzy usiłowali stworzyć ścianę z tarcz i zamknąć wyrwę.

Dwa psy zaatakowały złoty lwi sztandar Saony. Chorąży opuścił sztandar, aby uczynić z niego włócznię i trzymając kij w prawej ręce, odparł atak, ale jeden z psów zaszedł go z boku i przewrócił, a drugi złapał flagę w zęby i szarpał nią dziko. Mężczyzna nie wypuszczał sztandaru. Leżał bezradnie rozkrzyżowany, lewą ręką ściskając drzewce, a prawą oganiając się od napastników.

– Lordzie Alainie. – Kapitan wskoczył na platformę. Koń Alaina, ulubiony Szara Grzywa jego ojca, cierpliwie czekał obok. – Zabierzcie swych ludzi do północnej bramy. Ja będę bronił wschodniej.

Decyzja wreszcie zapadła. Alain dosiadł konia i podniósł rękę, jedyny sposób porozumiewania się w zgiełku otaczającej ich bitwy. Zaatakował, wiodąc za sobą dwa tuziny ludzi i siedem psów.

Przy północnej bramie siła Eików przełamała tarcze. Ludzie cofali się, a wyrwa wypełniała się Eikami i ich psami. Nadbiegał Eika, wyszczerzając zęby w szale bitewnym, miał zęby wysadzane klejnotami i białe jak kość włosy zebrane w gruby warkocz. Alain opuścił lancę i ruszył, ale to było jak zabawa, jak sen bez furii, bez ognia; atakował w imię tych, którzy zginęli, odpierając Eików, ni mniej, ni więcej.

Eika zapał się, w ostatniej chwili odbił lancę i sięgnął swym oszczepem o kamiennym ostrzu ku końskiemu gardłu.

Alain ostro spał konia i oszczep ledwie musnął grzywę Szarej Grzywy, uderzając w prawe ramię Alaina, chronione zbroją. Drzewce poszło w drzazgi. Wstrząs wyrzucił Alaina z siodła, jego tarcza trafiła Eikę w twarz. Z łoskotem uderzył w ziemię, tracąc oddech. Rzuciła się na niego sfora psów, gryząc, drąc jego tarczę, skacząc po nim. Ocaliła go jedynie zbroja. Próbował dosięgnąć miecza, ale leżał na nim. Spróbował się obrócić, ale wielki zaśliniony pies wylądował mu na piersi, przygważdżając do ziemi i sięgnął ku gardłu Alaina.

Smutek przybiegł pierwszy. Jego rozpedzony ciężar odrzucił psisko Eików na bok, a Smutek rzucił się na niego, gryząc i drapiąc, nie zwracając uwagi na ranę na swym wielkim, czarnym łbie. Potem wślizgnęła się Furia, cicha i śmiercionośna, a pies Eików padł w konwulsjach z pooranym ciałem; jego życie wsiąkało w piach.

Smutek rzucił się już do gardła kolejnego psa, kręcąc łbem na wszystkie strony, dopóki

przeciwnik nie zdechł.

A potem zaatakowała reszta psów, masa czarnej sierści i wściekłości, która zaćmiła wzrok Alaina. Podniósł się na nogi, dobywając miecza. Łzy płynęły mu po twarzy.

– Pani Bitew, nie zapomnij o mnie, błagam cię.

Nigdy w życiu się tak nie bał. Strach zaszczekał na alarm, Alain ledwo zdołał się odwrócić, podnosząc z kolan, aby odbić tarczą uderzenie topora, które znów posłało go na ziemię. Zza jego pleców wyleciał oszczep, trafiając Eikę w twarz, krusząc jego wysadzane klejnotami zęby. Nadchodziła jego gwardia, zbierając się wokół, krzycząc do siebie, odwołując Alaina. Jeden z nich uderzeniem topora odrąbał Eice rękę w nadgarstku, i choć stworzenie próbowało uciec, wyjął z bólu, siła jego nacierających braci pchnęła go prosto na Alaina.

Alain uderzył go słabo, bardziej odruchowo i w samoobronie. O Pani, dziki był bezradny, bezbronny, a z rany tryskała ohydna zielonkawa krew. Oszczepnik znów uderzył, trafił Eikę w gardło, dobijając go. Kiedy padł pod stopy Alaina, przepchnęło się kolejnych dwóch. Alain mógł jedynie parować ciosy, opierać się naporowi Eików, podczas gdy jego ludzie zadawali rany oszczepami i toporami.

– Do tyłu, lordzie Alainie! – krzyczeli. – Za nas!

Płacząc ze wstydu, cofnął się, psy podążyły za nim między nogami żołnierzy. Jeź rozstał się, by wpuścić go do środka.

Na całej północnej linii wał padł, otwierając drogę do środka i w całym obozie ludzie Lavastine'a wycofywali się z umocnień, by ramię przy ramieniu stanąć przeciw naporowi Eików.

Alain modlił się, by jego ojciec przybył jak najszybciej.

2.

Ciężka jazda ustawiła się w trzy otwarte szeregi, oddalone od siebie o dwadzieścia kroków, z Lavastine'em i jego sztandarem pośrodku pierwszego szeregu. Linia szeroka na prawie stu jeźdźców wiała się poprzez wzgórze. Na początku ruszyli kłusem od północnej strony. Kiedy wróg pojawił się w polu widzenia, pierwszy szereg rozpoczął szarżę, wiodąc za sobą drugi i trzeci.

Chorągiew Lavas przebiła się przez tylne oddziały Eików. Lance uderzały, rozłupując głowy i tarcze, przełamując linię Eików w stu miejscach. Sam Lavastine na przedzie parł bez ustanku, jego stalowy miecz błyskał w słońcu, gdy podnosił go między kolejnymi ciosami. Drugi i trzeci szereg dudnił za nimi, zabijając dezorganizowanych Eików. Liath jechała za Lavastine'em i jego strażą; gdy szarża zwolniła, schowała miecz do pochwy i sięgnęła po łuk. Na początku niewielu jeźdźców padło, ale teraz, gdy zwalniali, Eikowie gromadzili się wokół każdego jeźdźcy oddzielonego w ścisłości od towarzyszy; biedacy, ściągani z koni, znikali w

łapach Eików.

„Tam”, Liath ich ujrzała, czerwony orzeł Fesse otoczony przez grupkę żołnierzy lady Amalii, wściekle uderzających wokół, kiedy jeden po drugim ich konie padały, a oni sami tracili oparcie. Kary koń kopał Eików i ich psy, lady Amalia zaś siedziała twardo na jego grzbiecie. Straciła lancę i tarczę i teraz wściekle rąbała wokoło mieczem, zasłaniając się jego ciosami.

Czerwony orli sztandar zadrzał i padł, zalany potopem i wielki ryk triumfu podniósł się pośród oddziałów Eików. Z tyłu złoty lew Saony nie ustawał ani na chwilę, Wichman i jego ludzie wykorzystywali każdą lukę wśród Eików, uderzając we wszystko, co się ruszało, a potem zawrócili i runęli w środek, by ratować czerwonego orła.

Lavastine przeprowadził swych jeźdźców i nakazał przegrupowanie. Za nimi lord Dedi w czarnym kubraku pod sztandarem kruczej wieży, poprowadził atak na tych Eików, którzy usiłowali zewrzeć szeregi, rozpadając się pod naporem koni.

Liath trzymała się z dala od walki, bo nie miała zbroi. Kilku Eików ruszyło na nią, sądząc zapewne, że łucznik był łatwym łupem, ale wszyscy padli przesycając na wylot.

Gent na wschodzie był cichy. Jego bramy stały zamknięte na głucho i wyczuwała tam uważny wzrok, serce napawające się triumfem: Krwawe Serce. Jego sztandarów nie było wśród Eików w polu; nie stapał po tej skrwawionej ziemi. Wiedziała to. Czekał i obserwował poprzez swą magię, a Eikowie walczyli za niego. Dlaczego miałby próbować swej siły w polu? Zabił już księcia Sanglanta, najlepszego spośród nich. Ci tutaj jedynie zawadzali, byli szczurami, które można zdeptać, czekając na prawdziwy łup: na króla.

Coś poruszyło się po jej prawej. Odrzuciła natychmiast te ponure myśli, szybko nałożyła strzałę, naciągnęła cięciwę i strzeliła do atakującego Eiki. Czy to też była jego magia, odebrać wrogom odwagę, gdy czuli, jak raduje się swym nieuniknionym zwycięstwem? Czy to nie tym właśnie była iluzja, siłą narzucania innym swej woli, sprawianiem, że widzieli to, co chciało się im pokazać?

Najwięcej Eików szturmowało wzgórze. Nie widziała ani śladu Alaina i jego gwardii, tylko sztandar piechoty wciąż powiewający na szczycie. O Pani! Eikowie przedarli się przez wały. Jazda nie zniszczyła tylnych szeregów wroga, tylko je gdzieniegdzie nadwreżyła. Kiedy Lavastine dawał sygnał do ponownego ataku, wiedziała, że stracili już impet i nie mogli pomóc uwięzionym na wzgórzu.

Szarża ruszyła naprzód, rozpedziła się i Liath skuliła się w siodle, gdy runęli na tyły wroga. Przed nimi atak lorda Dediego utworzył wyrwę, ku której jechał Lavastine z kuzynem i swymi ludźmi u boku.

Chorągiew Fesse znikła wśród morza nacierających Eików. Za nimi złoty lew Saony przegrupował się i zaatakował tylko po to, by wycofać się szybko, zmienić pozycje i znów zaatakować, powoli i bez ustanku posuwając się na wschód, aż chorągiew znalazła się między Eikami a miastem.

Chorągiew Lavas, a z nią lord Godfryd, Liath i większość ludzi dotarła wreszcie na otwartą przestrzeń, ale gdy Liath odwróciła się, krzyknęła. Lavastine, nie z własnej woli, uwięziony w ścisku, został w tyle wraz z sześcioma ludźmi, rąbiąc dziko wokół. Lord Godfryd zawołał do niego, ale równie dobrze mógł próbować przekrzyczeć wodospad.

Pies Eików rzucił się na rumaka Lavastine'a, rozrywając mu brzuch; koń stanął dęba, a w jego piersi utkwily trzy oszczepy. Lavastine zniknął w tumultcie.

Bez wahania lord Godfryd i jego ludzie runęli na Eików, pędząc z taką furją, że pierwsze szeregi wroga roznieśli na kopytach. Eikowie otaczający Lavastine'a, którym spieszo było do łupu, zostali wycięci w pień.

Liath gapiała się, trzymając w dłoni strzałę, na Godfryda wciągającego kuzyna na siodło i wywożącego w bezpieczne miejsce. W hełmie Lavastine'a były dwa wgłębienia. Hrabia ześlizgnął się z konia, szarpał się chwilę z hełmem, wreszcie zerwał go z głowy i z obrzydzeniem rzucił na ziemię. Zakaszłał, wciągając powietrze. Po lewej stronie twarzy, gdzie twarz zakrywała kolczuga, spływały strużki krwi, a uderzenie wbiło w policzek metalowe kółeczka.

Służący przyprowadzili hrabiemu wierzchowca bez jeźdźca.

Nadjechał lord Dedi, gotowy by atakować.

– Hrabio Lavastinie! Na Boga, już myślałem, że was dostali!

Dwa oddziały Eików zwarły szeregi pod straszliwymi sztandarami i puściły się klusem za umykającymi jeźdźcami.

Lavastine przeczesywał wzrokiem pole.

– Gdzie jest Krwawe Serce? – spytał. Gniew bił z jego twarzy, a potem zmienił się we wściekłą koncentrację, gdy obserwował panujący chaos. Z jazdy zostały tylko dwa jego oddziały i odległa chorągiew Saony. – O Panie – szepnęła. – Czy mój sztandar nadal powiewa nad wzgórzem?

Wszyscy: Liath, lord Godfryd, lord Dedi, otaczający ich ludzie i w końcu Lavastine, ocierający krew z oczu, odwrócili się. W tejże chwili wysoko na wzgórzu drzewce sztandaru złamało się i padło wśród Eików.

Lord Godfryd pochylił się do przodu.

– Kuzynie, dzień należy do Krwawego Serca. Zgromadźmy nasze siły i wycofajmy się do Henryka. Możemy zapobiec rzezi tych, którzy nadal są na wzgórzu i osłaniać ich ucieczkę na zachód, jeśli nadjedziemy z odpowiedniej strony.

– Gdzie jest Krwawe Serce? – spytał znów Lavastine, patrząc na Liath.

Wskazała Gent.

– Wydaje nam się tylko, że dzień jest stracony – powiedział hrabia ochryple. – To iluzja rzucona przez Krwawe Serce, czarownika. – Krew spływała z jego głowy, brudząc włosy, a jedna z dłoni poznaczona była krwią z rany na ramieniu. – Musimy mieć wiarę.

– Wiarę! – krzyknęła Godfryd. – Bardziej by się nam przydał rozsądek! Trzeba było

poczekać na króla w Steleshamie!

– Jak długo? Czym się żywiąc? Nasze zapasy były skromne, a ten kraj jest wyczerpany wojną i zaniedbany. Nie, Godfrydzie, podjąłem decyzję, którą uznałem za najrozsądniejszą. A teraz musimy użyć jedyne go wyjścia, jakie nam zostało. Musimy uderzyć od tyłu, albo wszystko stracimy, łącznie z tym, co dla mnie najdroższe. – Znow spjrzał na wzgórze, gdzie walka była zajadła, a sztandar stracony, po czym z wysiłkiem oddalił się, jakby chciał wyrzucić ten obraz z myśli. Ten drobny gest pokazał, ile syn naprawdę dla hrabiego znaczył. Lord Godfryd skrzywił się, jakby go zrugano.

– Lordzie Dedi – ciągnął Lavastine z pewnością człowieka, któremu zależy tylko na jednym i nie ma czasu do stracenia. – Weź swych ludzi i jedź przyłączyć się do Saony. Nie pozwól Eikom wrócić do bram Gentu. Godfrydzie, weź połowę ludzi z Lavas, chorągiew i tych z Fesse, których zbierzesz i dołącz do lorda Dediego. Reszta za mną. – Jego wzrok, ostry jak sztylet, spotkał się z oczami Liath. – Orle, jak długo muszą odpierać Eików, abyśmy wzięli bramy od wewnątrz?

Spojrzała na niebo, oceniając pozycję słońca.

– Co najmniej do południa.

– Postanowione. Wyglądajcie nas przy bramie. Jeśli się nie pojawimy, ocal tych, których zdołasz i dołącz do Henryka. Niech Bóg będzie z wami.

Odgłos jeźdźców ustawiających się w nowym szyku zabrzmiał wokół niej jak chlupot wody tamtej nocy nad Vesperem.

– Orle – rzekł Lavastine. Krew pokrywała jego twarz i włosy. Na policzku pojawiły się siniaki. Za ich plecami łomot bębnow rozrywał powietrze, a szczęk broni, zawodzenie oraz krzyki ludzi i Eików niosły się nad polem walki jak nieczysty, nieuchwytny upiór. Hrabia podniósł rękę, aby przygotować oddział, który szedł z nim, ale nie spuszczał oczu z Liath. – Prowadź, Orle. Od twego wzroku zależy teraz nasze zwycięstwo.

3.

Krótko po południu przez kolumnę armii króla Henryka i tabor przeszła słyszalna fala podniecenia i strachu.

– Hej! Hej! – wykrzyknął posłaniec, Hathui, ulubiony Orzeł Henryka we własnej osobie, osadzając konia przy wozie, na którym zgromadzono dobytek kleryków. Miała donośny głos, który z łatwością niósł się wśród hamujących wozów; powożący ściągali lejce koni i wołów, pochylali się, by posłuchać. Służący Rosvity stanął i położył dłoń na nozdrzach muła, na którym jechała. Reszta kleryków, dosiadająca osłów albo idąca na piechotę, też się zatrzymała.

– Jeździec przyniósł wieść, że pod Gentem rozpoczęła się bitwa. Tabor ma jechać tak daleko, jak zdoła do zmroku, a armia pomaszeruje naprzód.

– Orle! – zawołała ją Rosvita, nim kobieta odjechała. – Jak daleko jesteśmy od Gentu?

Orzeł zmierzyła kleryczkę surowym wzrokiem, po czym uśmiechnęła się ponuro.

– Za daleko, obawiam się. Zwiadowczyni, która przyjechała, wzięła konia swego towarzysza, aby zmieniać wierzchowce i przybyć szybciej. Ale i tak oba konie padły, gdy do nas dotarła. Bitwa zaczęła się około tercji, jak sądzi, a jechała aż do teraz mimo dwóch koni. – Orlica odruchowo spojrzała w niebo. Rosvita zmrużyła oczy, gapiąc się na blask słońca. Seksta już minęła, choć nie zatrzymali się, by odśpiewać psalmy.

– Prawie trzy godziny temu – mruknęła, a godziny słoneczne latem były długie.

– Kiedy byłam dziewczynką, ostro wywijałam kijem! – odezwała się nagle siostra Amabilia. Zakręciła swą laską wyjątkowo przekonująco jak na kobietę, która ostatnie dziesięć lat spędziła na studiowaniu pism kościelnych.

– Wobec tego świetnie, że zostajecie z taborem – powiedziała Orlica, wpatrując się już w dal, próbując dostrzec rezerwę maszerującą za wozami. – Jeśli z diabelską pomocą uda się Eikom wyslizgnąć z naszej sieci i zaatakować was, idących za armią, infantka Hipolita potrzebować będzie silnych obrońców. Muszę jechać, siostró. – Skłoniła się Rosvicie i odjechała.

Podniósł się hałas, gdy woźnice, służący i straż zaczęli mówić na raz. W końcu jednak ruszyli. Chwilę później Orlica znów pogalopowała ku początkowi orszaku; za nią podążał Villam z rezerwą jazdy. Zatrzymał się obok Rosvity, a służący znów unieruchomił muła, aby mogła porozmawiać z margrabią.

– Zostawiłam moją piechotę, około setki ludzi, aby was strzegła. Jeśli nie dotrzecie do Gentu przed zmierzchem, ustawcie wozy w krąg. Jedźcie rankiem. Pod żadnym pozorem nie podróżujcie rozproszeni. Księżniczka Hipolita zostanie oddana pod waszą opiekę.

– Jedźcie z Bogiem, lordzie Villamie – rzekła Rosvita, czyniąc znak Jedności nad nim i jego wojskiem. – Ujrzyjcie zwycięstwo, nim słońce zajdzie.

– Dojedźmy tam, nim słońce zajdzie – mruknął Villam. Skinął na kapitana, który dał rozkaz wymarszu. Chwilę później Villam i jego kawaleria zniknęli w lesie, a wozy toczyły się dalej. Rezerwa piechoty podbiegła do nich i kapitan rozkazał swym ludziom rozstawienie się wokół taboru; Rosvita wyobrażała sobie, że w taki sposób pasterze otaczają wielkie stada bydła w dziczy, chroniąc je przed wilkami.

Samotność szybko stała się dziwna i niepokojąca. Po dwóch dniach od wyruszenia ze Steleshamu przestała słyszeć odległe dźwięki armii przed nimi i rezerwy z tyłu. Teraz, kiedy już nie dochodziły do jej uszu, zaczęła za nimi tęsknić.

– Hej! – rozległ się okrzyk na szpicy zwiadowczej. – Ludzie przed nami!

Niespokojna grupa służących czekała na nich przy trakcie. Rosvita widziała wreszcie, jak daleko księżna Liutgarda i księżniczka Sapientia doprowadziły swe oddziały, nawet maszerując normalnie. Zgromadzeni mężczyźni i kobiety powitali ich z ulgą i wyjaśnili, że byli cywilami, którzy z jakiegoś powodu jechali wraz z armią. A co najważniejsze, byli

między nimi osobiści służący Sapientii wraz z jej namiotem i dzieckiem, bezcennym niemowlęciem, którego istnienie dało Sapientii prawo do rządzenia po Henryku.

Nie było wśród nich ojca Hugona.

Rosvita natychmiast dostrzegła jednego z jego służących, mnicha zwanego bratem Simplicusem, który przybył z Hugonem z Firseburgu. Opierał się o drzewo z dala od reszty i nerwowo przeczesywał rzednące włosy. Pięknie rzeźbiona skrzynia spoczywała u jego stóp, jedną krawędzią opierając się o kamień, aby można ją było łatwo złapać i podnieść.

– Bracie – zawołała, wskazując, że powinien do niej podejść. Podskoczył, zaskoczony jej uwagą, i podniósł skrzynię. Z pewnym wysiłkiem doniósł ją do Rosvity; był niewielkim człowieczkiem o rozbieganych oczach kogoś, kto wiecznie się martwi.

– Gdzie jest ojciec Hugo? – zapytała łagodnie.

Ze stęknieniem postawił skrzynię, krzywiąc się i opierając ją o stopę.

– Pojechał z armią – ciekło mu z nosa. Rozejrzył się wokół i wytarł go w rękaw habitu, kręcąc się nerwowo pod jej wzrokiem. – Błagałem go, by tego nie robił, siostró. Jestem świadomy tego, że brat Kościoła powinien chodzić w pokoju i... – urwał, najwidoczniej dochodząc do wniosku, że nie zamierzała go zganić, iż nie udało mu się odwieść pana od decyzji, którą Hugo najwidoczniej podjął już dawno. – A...ale odział się w zbroję i hełm, i z mieczem na plecach pojechał za księżniczką.

– Bez wątplenia ojciec Hugo ma doświadczenie w walce – powiedziała, chcąc go pocieszyć. Z pewną trudnością udawało jej się nie patrzeć na skrzynię. – Nawet podczas bitwy jego obecność może być pomocna księżniczce, gdyby potrzebowała rady. Wiele dobrych kapłanów i kapłanek walczyło, kiedy sytuacja była beznadziejna. – Ale nie myślała teraz o bitwie. Z jakiegoś dziwnego powodu przypomniał jej się wygłoszony wiele miesięcy temu komentarz siostry Amabilii: „Możesz ufarbować ptasie pióra, ale kaczka pod nimi pozostanie ta sama!”.

Uśmiechnęła się.

– Bracie Simplicusie, dołączcie do nas podczas podróży. Połóżcie skrzynię na wozie, abyście szli bez obciążenia. Wygląda na duży ciężar.

Aha, kusilo go. Rozpoznała to spojrzenie. Rzucił okiem na skrzynię, skrzywił się, gdy przygniotła mu stopę, wciskając się głębiej w błotnisty grunt. Najpierw przesunął dłoń po rzadkich włosach, potem nerwowo podrapał się w ogolony podbródek, omiótł las ostrożnym spojrzeniem i w końcu zaczął się bawić dwoma łańcuszkami na szyi.

– Zastanawiam się – rzekła Rosvita obojętnie – czy za drzewami chowają się Eikowie. Niestety, obawiam się, że w każdej chwili mogą wyskoczyć z lasu i rzucić się na nas.

Podskoczył, niemal śmieszny w swym przerażeniu, co nie znaczyło jednak, upomniała się, że nie miał powodów, by się bać.

– Nie, nie odważę się, siostró – rzekł w końcu. – Ojciec Hugo nakazał mi nie wypuszczać jej z objęć.

– Doskonale – stwierdziła i dała znak kapitanowi. Tabor ruszył naprzód.

Oczywiście, po chwili Simplicus się zmęczył. Nie wyglądał na silnego mężczyznę, bez wątplenia lekka służba u Hugona rozleniwiła go. W końcu, gdy tak szedł, przenosząc wzrok z jednej strony drogi na drugą, z twarzą, na której malował się zrozumiały strach, że jeśli zwolni, zostanie z tyłu i poniesie straszliwą śmierć z ręki Eików, bandytów czy innych stworów żerujących w lesie, Rosvita namówiła go, by postawił skrzynię na wozie. Szedł obok z ręką na krawędzi, czasami sprawdzając, czy skrzynia przypadkiem nie znikła, czasami opierając się i odpoczywając. Nie zaproponowała mu jazdy na wozie albo jednym z kuców, choć kilka szło luzem.

Szli równym krokiem, ale trakt był wąski i zaniedbany, a poza tym wozy nie poruszały się tak szybko jak konie i żołnierze.

Nadszedł zmierzch i kapitan znalazł odpowiednią polanę. Nadzorował ustawianie wozów w kręgu, czyniąc z nich prowizoryczne umocnienia. Do środka wpędzono bydło i na tej ograniczonej przestrzeni, śmierdzącej wołami i końskim nawozem, pełnej woźniców, koniusznych i służących przerażonych przebywaniem tak daleko od króla, a jednocześnie zadowolonych ze stosunkowo spokojnego biwaku, rozbili spartański obóz. Rosvita poprowadziła nieszpory.

Służący księżniczki Sapientii szybko postawili jej namiot. W tym schronieniu umieścili niemowlę. W krótkiej przerwie między nieszporymi i kompletą Rosvita poszła złożyć mu wyrazy szacunku.

Mała Hipolita spoczywała w ramionach mamki z absolutnym spokojem. Jak na takie małe dziecko, miała zaskakująco bystry wzrok, ciemne włosy po matce i niebieskie oczy po ojcu. Gulgotała radośnie, najedzona i uśliniona. Szczególnie zaś lubiła łapać różne rzeczy: palce, biżuterię, ubranie, trzonki łyżek i raz nawet nóż, który szybko jej odebrano, zdążyła nim jednak pomachać przy akompaniamencie pisków mamki i śmiechu służących; Rosvita w końcu wysupłała delikatnie niebezpieczne narzędzie z pulchnych paluszków.

– Oj, ona odgoni Eików! – zachichotała jedna ze służących.

– Módlmy się za jej bezpieczeństwo – powiedziała Rosvita surowo, a kobiety natychmiast spoważniały. Chętnie uklękły obok niej i odśpiewały kompletę nad dzieckiem, aby zapewnić mu w nocy boską ochronę.

Potem przeprosiła i wyszła, znajdując rozkazy wykonane i podróżny namiot rozbity. Służący zapalił lampę i powiesił ją na głównym maszcie, a światło rzucało niespokojne cienie na płócienne ściany i dywan rozłożony na trawie. Siostra Amabilia położyła się już na swym pościeli i chrapała leciutko. Reszta kleryków, siedząca przed namiotem przeznaczonym dla mężczyzn, otaczała wóz i rozmawiała cicho, nie bez pewnej nerwowości w głosach.

Rosvita ruszyła do uzdrowicieli i wyblagała u zielarki napar, coś na ukojenie nerwów i sprowadzenie snu. Nie musiała się zbytnio męczyć, by namówić brata Simplicusa do wypicia go i zostało nawet trochę dla brata Fortunatusa. Żałowała, że oszukała Fortunatusa, ale w

przeciwnieństwie do Amabilii i Konstantyna sypiał lekko.

Wróciła do namiotu i długo klęczała przy posłaniu, modląc się, by Bóg wybaczył jej to, co zamierzała zrobić.

Kiedy wreszcie wyszła z namiotu, obóz był cichy jak każdy inny, a jasny księżyc świecił wysoko na niebie.

Brat Simplicus zdecydował się spać na zewnątrz przy wozie, na rozłożonym płaszczu. Noc była ciepła i przyjemna. Delikatnie uklękła obok i wyjęła jego dwa naszyjniki: jednym okazał się piękny srebrny Krąg Jedności, a drugim płócienna sakiewka, związana gałązką czarnego bzu, pachnąca lukrecją i przyprawą, której zapach zakłuł Rosvitę w nos, ale której nie potrafiła zidentyfikować. Dlaczego mnich Kościoła Daisanickiego nosił pogański amulet? Wepchnęła oba przedmioty pod jego habit.

Nie było klucza. Hugo miał klucz.

Skrzynia doprawdy była ciężka, ale Rosvita była silną kobietą, choć jej plecy nie posiadały już takiej giętkości jak niegdyś. Zniosła ją do namiotu i rzuciła na posłanie; gruby materac wytłumił dźwięk ciężkiego przedmiotu uderzającego o ziemię.

Spojrzała za siebie. Siostra Amabilia nadal chrapała. Potem sprawdziła wieko. Oczywiście, było zamknięte, ale tego się spodziewała.

W świetle latarni wsunęła nóż między wieko i zamek. Nie puściło. Krzywiąc się, zbadała dziurkę od klucza. Wepchnięto w nią gałązkę jałowca, jak klucz. Sięgnęła po nią, złapała śliskie igły i wyciągnęła. Opuszki zapiekły, cicho przeklinając, upuściła gałązkę i przyłożyła bolące palce do ust, lizając je, dopóki ból nie ustał.

Odpięła broszkę z płaszczu i wsunęła igłę w zamek. Była cierpliwa i w końcu znalazła miejsce, na które należało nacisnąć. Zamek puścił z cichym pyknięciem. Natychmiast spojrzała za siebie, ale siostra Amabilia nawet nie zadrzała. Rosvita podniosła wieko.

Książka.

Otulona w kawałek zgrzebnego lnu, leżała na wierzchu zawartości skrzyni: pięknie haftowanej męskiej tuniki i bładozłotej damskiej sukni wierzchniej – dziwne, żeby szlachcic coś takiego ze sobą woził – oraz dwóch innych książek.

Ale nie miała czasu, by rozszyfrowywać ich tytuły w mdłym świetle rzucanym przez latarnię. W tej chwili, w tym miejscu nie mogła pozwolić sobie na ciekawość. Podniosła księgę i obróciła ją. Litery na grzbiecie zalśniły. *Księga tajemnic*.

Amabilia zachrapała i się obróciła. Rosvita szarpnęła się w tył, zaskoczona. Krzywiąc się, owinęła książkę w płótno i wepchnęła pod posłanie, a potem zamknęła wieko i włożyła rękawiczkę, zanim podniosła gałązkę jałowca i wsunęła z powrotem w zamek.

Czy to była magia, czyniona w pośpiechu? Wiedziała co nieco o magii i ziołach, ale nie tyle, aby zorientować się, czy ojciec Hugo wykorzystał ich moc. Niech się Bóg zlituje, jeśli tak.

A potem zganiła się za myślenie podobnych rzeczy o dobrym księdzu Hugonie. Dowiódł,

że był dobrym doradcą, choć niekoniecznie czystym. Był wykształcony i wygadany.

I ukradł *Księgę tajemnic*.

– Wcale nie jest lepszy ode mnie – wymruczała. Pochyliła się, zgięła kolana i ze stęknięciem uniosła skrzynię, zataczając się lekko pod jej ciężarem. Z jakiegoś powodu wydawała się teraz cięższa.

Położyła ją na wozie, przesunęła dłonią po zamku i drewnie, aby upewnić się, że nie zostawiła śladów włamania, których mógłby szukać brat Simplicus, i wróciła do namiotu.

Nie widziała żadnych strażników, ale zapewne rozstawiono ich po zewnętrznej stronie wozów. Obóz był cichy, słyszała jedynie odgłosy lasu w nocy, szept wiatru w gałęziach drzew, granie świerszczy, pohukiwanie sowy.

Tylko księżyc był świadkiem jej grzechu.

Kiedy Rosvita weszła do namiotu, siostra Amabilia zamrugła i przetarła zaspane oczy, jakby chciała je oczyścić.

– Co robicie, siostrze?

– Jestem po prostu niespokojna – powiedziała Rosvita. – I opróżniałam pełny pęcherz. Śpij dalej. Będziemy jutro potrzebować sił.

Amabilia ziewnęła, wymacała laskę leżącą obok niej na ziemi i uspokojona jej obecnością zasnęła.

Po prostu niespokojna. Po prostu kłamczucha.

Po prostu złodziejka.

Więcej niż połowę życia spędziła w Kościele, służyła wiernie i teraz siedziała drżąc pod latarnią, w namiocie w środku lasu, w nocy. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście mogła słyszeć wycie Eików i krzyki umierających niesione wiatrem szarpiącym połami namiotu i wiejącym wśród masztów?

– Siostrze Amabilio? – wyszeptała. Nie było odpowiedzi.

Wyjęła książkę spod posłania i otworzyła ją na kocu, gdzie padało miodowozłote światło. Miała problemy z widzeniem, szczególnie że jej oczy nie były już takie młode i bystre, ale kartkując książkę, odkryła natychmiast, że okładki skrywały trzy tomy, oprawione razem. Trzecia i ostatnia księga została spisana na sposób niewiernych, na papierze i w języku Jinna, którego nie potrafiła odczytać. Druga, w samym środku woluminu, była z papirusu tak kruchego, że obawiała się, iż rozpadnie się pod jej dotknięciem. Ona też napisana została w języku, którego nie mogła odczytać, ale w tym przypadku nie rozpoznawała nawet liter. „Ukryj to”, napisano po aretuzańsku na górze pierwszej strony środkowego manuskryptu i wydawało się, że są tam inne aretuzańskie głosy, ale w tym świetle nie mogła ich odczytać.

Wróciła do pierwszej strony pierwszej księgi, zrobionej z dobrego pergaminu, zapisanego po dariyańsku, co zauważyła, nim jeszcze dostrzegła znaczenia słów i dziwne pismo. Ktokolwiek to napisał, był bez wątpienia wykształcony w Kościele, bo litery sunęły w dół strony z aostańską precyzją. Ale „Q” kręciły się dziwnie, „S” miało saliańskie zawijasy, a „T”

i „TH” sztywne, silne słupki kleryka wykształconego w Wendarze. W większości przypadków po kaligrafii potrafiła odgadnąć, gdzie skryba odebrał wykształcenie; ta osoba pisała taką mieszaniną stylu, że ona – lub on – mogła pochodzić zewsząd i znikąd jednocześnie.

To było bardzo dziwne.

Ale dziwniejsze i bardziej niepokojące były same słowa.

Z rosnącym przerażeniem przeczytała pierwszą sentencję.

Poprzez sztukę matematyków odczytujemy połączenia w niebiosach i ściągamy w dół siłę wiecznie poruszających się sfer, aby sprawić naszą wolę na ziemi. Zapiszę teraz wszystko, co wiem o tej sztuce. Strzeż się ty, który to czytasz, inaczej jak ja wpadniesz w pułapki knowań tych, którzy próbują użyć mnie do swych własnych celów. Strzeż się Siedmiu Śpiących.

Na zewnątrz trzasnęła gałązka i Rosvita podskoczyła, zamykając książkę i wpychając ją pod koc. Boże, zmiłuj się. Drżała jak grzesznik, porażony z woli boskiej atakiem epilepsji.

Sztuka matematyków.

Najbardziej zakazana ze sztuk czarnoksiężskich.

4.

Zostawili konie z sześcioma ludźmi kapitana Ulryka z lekkiej jazdy autuńskiej. Niektórzy z nich mieli ze sobą pochodnie; Lavastine nakazał ściąć gałęzie pobliskich krzewów, aby każdy mężczyzna niósł dwie pochodnie.

Liath weszła do jaskini i wzięła jedną. Nie miała już czasu na zastanawianie się nad darem, który posiadała, przed którym chronił ją tato. Zależało od niego życie Alaina – o ile jeszcze żył.

„Drewno płonie”. Pochodnia rozjarzyła się, płomienie objęły ją, podniósł się kwaśny dym. Lavastine szedł za nią i gdy się obróciła, napotkała jego wzrok.

– To sztuczka – powiedziała szybko. – Orła sztuczka.

– W życiu o takiej nie słyszałem – odparł, ale wezwał czterdziestu ludzi, którzy mu towarzyszyli, w większości lekką kawalerię ściągniętą z pola i co czwarty mężczyzna odpałił swoją pochodnię od ognia Liath.

Postawiła stopę na schodach. Lavastine szedł tuż za nią, potem jego ludzie, a za nimi młody Erkanwulf i reszta żołnierzy autuńskich. Kapitan Ulryk zamykał pochód. Z każdym krokiem w dół światło dnia szarzało, słabło, znikało w zapomnieniu. Pod podeszwami czuła szorstki kamień, choć od czasu do czasu natrafiała na strumyczek, wypływający z jakiejś niewidocznej szczeliny w skale, gdzie zbierała się wilgoć. Trzymała pochodnię przed sobą, by widzieć stopnie w dole. Były umieszczone tak równo, że musiała się powstrzymać, by nie

zbiec po nich, nabierając zbyt wielkiej szybkości. O Pani, czy Alain jeszcze żył na wzgórzu, czy też on i jego oddziały poddały się już furii ataku Eików? Raz usłyszała za sobą okrzyk potykającego się mężczyzny; zwolniła, czekając, podobnie Lavastine, który szedł za nią krok w krok. Napięcie otaczało go jak druga skóra i z niecierpliwością syczał przez zęby, ale nie powiedział ani słowa, gdy mężczyzna na górze pozbiierał się; znów zaczęli schodzić.

Ale po stu lub więcej równych schodach nawet najostroźniejsi nabrali odwagi i zaczęli przyspieszać, kierując się w dół, ciągle w dół.

Doszli do podstawy schodów, a tunel biegł dalej w ciemność tak gęstą, że zdawała się żywa. Poszła dalej, aby zgromadzeni za nią mieli wystarczająco dużo miejsca, ustawiając się dwójkami. Rozległy się szepty i po chwili pojawił się Erkanwulf, niewyraźny w świetle pochodni.

– Pozwolili mi iść na szpicy obok was – rzekł – ponieważ powszechnie wiadomo, że mam bystry wzrok.

– Dziękuję.

– O Panie, ale ja tu nic przed nami nie widzę! Jesteście pewna, że nie ma tu wykopów ani dziur, które nas pochłoną?

– Poprzednio żadnych nie było. Ale nie jest powiedziane, że żadna się nie otworzyła.

Parsknął.

– Dziękuję wam, Orle, za spokój wlany w me serce.

– Naprzód – powiedział Lavastine z tyłu. – Idźmy szybko. Zachowajcie odległość między sobą, ale niezbyt wielką, abyśmy nie wpadali na siebie w razie ataku.

Najpierw szła ostrożnie, ale droga przed nią była cicha i czarna jak smoła, zastałe powietrze wirowało i wznosiło się podczas ich marszu; poza tym nie było ani śladu życia. Wszystko wokół, oświetlane pochodniami, było takie samo, jak zapamiętała: gładkie ściany, ubita podłoga, jakby dawno temu chodziły tędy tysiące stóp, sufit na wyciągnięcie ręki. Od czasu do czasu słyszała stuknięcie ostrza oszczepu o kamień i ciche przekleństwo żołnierza opuszczającego broń. Trzymała pochodnię w lewej ręce, a swego dobrego przyjaciela, miecz Luciana, w prawej. Pochodnia paliła się bezustannie, podobnie jak pozostałe. Erkanwulf szedł po jej lewej, ogień oświetlał drogę. Ale po chwili zaczęła wysuwać się przed niego, pewna drogi. Lavastine za nią szedł szybko, a jego oddział trzymał się dzięki sile jego woli.

– O Panie – wyszeptał Erkanwulf. – Tu jest kompletnie ciemno, Orle. A jeśli cała ta skała się na nas zawali?

Liath czuła tylko metaliczny zapach ziemi, powiew z odległej kuźni i spleśniałą wilgoć miejsca od dawna ukrytego przed słońcem.

– A dlaczego miałyby się teraz zawalić, skoro stała tu tak długo?

– Pochodnie płoną tak silnie – dodał Erkanwulf. – To jest niesamowite, naprawdę.

– Cicho – powiedział Lavastine za nimi, choć nie dało się zagłuszyć kroku tak wielu ludzi w tunelu, w każdym razie nie za pomocą żadnego z darów, które posiadała.

Szli równo i bezustannie. Uświadomiła sobie teraz, że wyjście z Gentu trwało tak długo, bo szli wolno, a uchodźcy byli w większości przestraszonymi dziećmi, słabymi i rannymi. Mając za sobą czterdziestu silnych żołnierzy, mogła prowadzić szybkim krokiem.

– A to co? – wymruczał Erkanwulf w chwili, gdy uświadomiła sobie, iż daleko przed sobą widzi migotanie ognia. Kiedy się zbliżyli, ujrzała, że rzeczywiście był to ogień: ściana płomieni rozciągająca się od ściany do ściany, od podłogi do sufitu, trzaskająca i płonąca w tunelu z dziką zajadłością bandy tańczących demonów ognia.

– Pokonani! – rzekł wściekle Lavastine.

Liath patrzyła. Pokonani. Ale dlaczego w takim razie Eikowie nie użyli tunelu jako zasadzki na ludzi Lavastine'a, kiedy armia przybyła?

– Cofnij się – kazała Erkanwulfowi. Ruszyła naprzód z pochodnią wyciągniętą dla osłony, ale gdy zbliżyła się do ściany ognia, ta rozviała się przed jej oczami i stała się mgłą, szeptem, wspomnieniem, niczym więcej.

– Orle! – Poczwała, jak Erkanwulf skacze do przodu, by ją schwytać, gdy wstąpiła w płomienie. Krzyknął. Zatrzymała się, odwróciła, by go zbesztać i ujrzała wyraz ich twarzy, przynajmniej tyle, ile zdołała dostrzec w świetle pochodni. Tylko Lavastine patrzył nieporuszony. Erkanwulf zatoczył się w tył, ręką osłaniając twarz od żaru. Reszta szeptała albo krzyczała, zasłaniając oczy, by nie widzieć potworności: młodej kobiety płonącej żywcem.

– To iluzja – powiedziała.

Erkanwulf padł na kolana, dysząc i kaszląc.

Lavastine podszedł do niego. Nie wyobrażała sobie, jakiej to wymagało odwagi. Czy zrobiłaby to samo, gdyby musiała zaufać słowom kogoś innego? Wokół niej duch ognia szumiał i pluł, przenikając skałę i powietrze.

– Jeśli Krwawe Serce strzeże tego tunelu iluzją – rzekł hrabia – czy nie znaczy to, iż o nim wie?

– Być może. Ale dlaczego w takim razie nie zastawił w nim zasadzki? Nie, hrabio, sądzę, że ogień jest na górze, na polu, a iluzja jest jednolita. Widzieliście kiedyś astrolabium? Model sfer niebieskich?

– Mów dalej – ponaglił Lavastine.

– Jak w górze, tak i na dole. Jego iluzja może być złożona z jednej części i dlatego istnieje zarówno pod ziemią, jak i na niej. Możliwe, że te iluzje widzą wszyscy zbliżający się do miasta, a Krwawe Serce, rzucając je, nie wie, że sięgną aż tutaj.

– Możliwe też, że za nią czekają jego żołnierze.

Zamiast odpowiedzieć, przeszła przez ogień. Mężczyzna skrzeknął i został natychmiast uciszony. Za ścianą płomieni rozciągał się cichy i ciemny tunel. Odwróciła się i wcale nie dostrzegła ognia, tylko mgłę i ludzi czekających po drugiej stronie.

– Nic. – rzekła. – Chyba że Krwawe Serce kazał swym ludziom czekać na nas na

schodach. Trudno byłoby walczyć na nich i wygrać.

– Wobec tego lepiej się nadają na zasadzkę – skwitował Lavastine. – Ale nie mamy wyboru, musimy iść naprzód. – Dotknął biednego, przerażonego Erkanwulfa stopą. – Chodź. Ona widzi prawdę. Musimy jej zaufać.

– Musimy zaufać świętej Krystynie – powiedziała nagle Liath. – Bez jej interwencji nigdy nie znaleźlibyśmy tunelu. Żar was nie poparzy.

– Nie potrafię przejść – zaszlochał Erkanwulf, nadal osłaniając oczy dłonią.

– Nie, chłopcze! – powiedział Ulryk z tyłu. – Pomyśl o lordzie Wichmanie i jego opowieściach. Widzieli iluzje w Steleshamie, ale to były tylko wizje.

– Ja poprowadzę. – Lavastine ścisnął mocniej miecz i wszedł w ogień.

A jednak Liath poczuła, jak drżał, stając przy niej. Jeden po drugim, z coraz większą odwagą, jego ludzie poszli za nim. Tylko nieliczni zamykali oczy, przechodząc przez iluzję.

Ruszyli dalej.

Po jakimś czasie potknęła się na krawędzi otchłani bez dna, zbyt szerokiej, by ją przeskoczyć. Ale na jej oczach dziura zamieniła się w kamienną podłogę, wysypaną kamyczkami i poznaczoną odciskami stóp, od miesiący nietkniętych wiatrem czy tropami innych istot, nawet tych żyjących w ciemnościach.

Tym razem, gdy ruszyła przez ziejącą przepaść, Lavastine szedł tuż za nią, choć Liath zauważyła, że dając pierwszy krok nad olbrzymią wyrwą, zamknął oczy.

– Zamknijcie oczy! – zawołała przez ramię. – Zamknijcie oczy i idźcie. Stopy was nie okłamią.

Żołnierze podążyli za nimi, szurając stopami, dopóki nie przekroczyli otchłani. Ich pewność siebie rosła. Pochodnie płonęły równo, nie spalając się.

– Czy jesteś magiem? – spytał cicho Lavastine obok niej. – Dlaczego posiadasz moc widzenia przez iluzję? Skąd ona pochodzi?

„Jak mogę ją wykorzystać dla swych celów?” Nie wypowiedział tych słów, ale słyszała je w tonie jego głosu.

– Mój ojciec... rzucił na mnie zaklęcie – powiedziała, mając nadzieję, że kłamstwo było wystarczająco prawdziwe, aby Bóg jej nie pokarał.

Lavastine nie odpowiedział. Nie mogła sobie wyobrazić, co myślał; rozumiała go mniej niż wszystkich spotkanych w życiu ludzi.

Szli dalej, brnąc przez ciemność ku krypcie i Eikom. I Krwawemu Sercu.

Liath prowadziła ich i nie oglądała się w tył.

5.

Odpychany wciąż do tyłu, Alain utrzymywał swą pozycję w drugim szeregu tarcz, pochylając się nisko, by oszczepnicy stojący za nim mogli zadawać ciosy. Zaparł się mocno,

aby zapewnić oparcie tym, którzy w pierwszym szeregu przyjęli na siebie cały impet ataku Eików. Miał tylko siłę, bo bez wątplenia wszyscy już widzieli, że nie umiał walczyć.

Eikowie cofnęli się i w tej krótkiej chwili rozejrzał się po wzgórzu. Zachodnie i południowe szeregi nadal utrzymywały wał, ale na wschodzie, naprzeciw Gentu i przy północnej bramie, gdzie Alain rzucił swą rezerwę, armia padła i teraz wał zbudowany z ciał i stali stawał opór kamiennym Eikom. Alain miał nadzieję, że ktoś zajmie jego miejsce w szeregu, aby mógł znaleźć punkt, z którego będzie obserwował pole poniżej i ruchy ojca, ale ludzie z tarczami znaleźli się już na przedzie i nie było nikogo, kto mógłby ich zastąpić.

Eikowie zbierali siły. Oni też wystawili rząd tarcz, okrągłych i pomalowanych w złowieszcze żółte i niebieskie węże, splecione w spirale. Oba szeregi oddzielało dwadzieścia kroków. Prócz wystrzelonej od czasu do czasu strzały czy rzuconego kamienia, albo Eiki dobijającego jakiegoś nieszczęśnika, którego nie zabrano z pola, psów rwących ciała na strzepy, Eikowie pozostawali nieruchomi.

Panie, zmiłuj się. Jeden z czarnych ogarów leżał niezgrabnie skulony i na oczach Alaina psy rzuciły się na niego, by rozszarpać zwłoki. Alain nie wiedział, który to był. Czuł nacisk otaczających go psów, ale nie odważył się spuścić wroga z oczu, by je policzyć. Dobosze Eików przesunęli się do drugiego szeregu i zaczęli wybijać rytm powolnych uderzeń serca. Przyspieszyli i Eikowie zrobili się niespokojni jak psy wyczuwające łup, ale nadal trzymane na krótkiej smyczy. Bębnienie stało się głośniejsze i szybsze, a potem przekształciło się w ogłuszający grzmot, gdy Eikowie zaatakowali.

Wokół Alaina żołnierze mocno się zaparli. Oszczepnicy oparli się o nich, wysuwając oszczepy pomiędzy nimi w pierwszym szeregu, tworząc linię grotów, na które nadzieją się Eikowie siłą rozpędu.

Eikowie uderzyli. Alain zadrzał, wrócił do poprzedniej pozycji i cofnął się. Podparł tarczę rękojęścią miecza, ale nawet wtedy wraz z innymi oddawał pole pod powolnym naciskiem. Okrągłe tarcze Eików napierały na obrzeża, najpierw pokonując lewą, potem prawą flankę. Walczył, kiedy ciężar Eiki spadł na jego tarczę. Gdyby tylko mógł się mocniej zaprzeć w ziemi... oparł się o niego pies, dodając siły, ale pomimo wszystko jego buty zaszurały w pyle, gdy go odepchnięto. Pies zadrapał, zaskomlał i uciekł.

Nad jego głową śmigały oszczepy i topory, ale nie radziły sobie z tarczami Eików. Szereg cofał się, cofał ku środkowi obozu, aż chorągiew z czarnymi psami, ustawiona na szczycie wzgórza, zniknęła w tłumie.

Eikowie zdobyli skraj obozu i to dało ludziom chwilę wytchnienia, ponieważ wrogowie zatrzymali się, by łupić skrzynie i torby.

Wschodnie i północne szeregi spotkały się i złąły, a ponad hałasem Alain usłyszał nagle głos kapitana, wykrzykującego rozkazy. Kapitan niósł sztandar, skoro chorągiew została stracona, i zagrzewał nim oddziały do boju, niosąc go wszędzie tam, gdzie walka była najkrwawsza i wydawała się przegrana.

– Utrzymać szereg! – wrzasnął Alain, ale tylko stojący tuż obok mogli go usłyszeć, a oni już robili, co mogli, aby chronić życie swego pana.

W końcu wraz ze sztandarem zbliżył się kapitan.

– Lordzie Alainie! – krzyknął. – Niech się cofnie, niech się cofnie! Teraz zewrzeć szyk, chłopcy. Przejść na prawą... – Kiedy Alain wycofał się ze ścisku na zakurzone tyły, których już niewiele zostało, kapitan zaczął wrzeszczeć: – Zgubiłem was z oczu! O Panie, co by powiedział pan hrabia, gdybym...

– Gdzie jest mój ojciec? – krzyknął Alain.

Kapitan machnął ręką na wschód.

– Tam. Widziałem chorągiew lorda Wichmana, ale między niego i wzgórze wbiegł oddział Eików, a słońce świeci tak, jakby specjalnie chciało nas oślepić. Musimy ufać naszym mieczom i Pani.

Ze wzniesienia Alain widział równinę. Eikowie kłębili się na niej jak muchy. Na prawo mały oddział konnych, niosący chorągiew Autunu, zamierzał atakować – albo uciekać. Nie widział ani śladu lorda Wichmana ze złotym lwem Saony, ani chorągwi Lavas.

Nieziemska kopuła ognia skrywała Gent, jasna jak słońce wysoko nad nimi. Minęło już południe i słońce zaczęło swój powolny marsz ku zachodowi. Ale czekało ich jeszcze długie popołudnie i nie kończący się letni zmierzch.

Gwizdnął i nawet w zgiełku bitwy psy usłyszały go i przybiegły do jego stóp: Smutek i Furia, oba poranione, krwawiące, ale całe, waliły go ogonami po nogach; Groza szła z trudem, szczekając dziko, a krew lała się z rany na jej zadzie; Radość miała paskudną wyrwę na grzbiecie, a jedno z jej uszu zwisało w strzępach; Mocarz utykał, pysk Stracha ociekał zielonkawą posoką Eików. Dziwne, Wiarus był nietknięty. Ale brakowało Humora. A Szara Grzywa znikł.

Nie było czasu na łzy.

Poklepał je szybko, a psy polizaly go radośnie. Kto kogo podtrzymywał na duchu? Wyprostował się i spróbował zrozumieć, co widzi.

Wschodnie i północne szeregi znikły, okopy zajęli Eikowie. Przez chwilę widział tylko zamieszanie na zachodzie i południu, gdzie Eikom się nie wiodło. Tutaj, przy szczycie wzgórza, Alain i jego oddział przyglądali się wrogom rabującym obóz Lavastine'a. Tam, gdzie poprzedniej nocy dowódcy omawiali strategię, panoszyli się teraz dzicy. Alain mógł dojrzeć pojedynczych Eików, nieco większych od reszty i odzianych w błyszczące, złote i srebrne kolcze spódniczki do kolan, mieniające się w promieniach słońca. Każdy z nich, a nie było ich wielu, przechadzał się po polu walki nonszalanckim krokiem. Każdy miał przy sobie sztandar, groteskowy kij przybrany piórami, kośćmi, skórami i innymi nierozpoznawalnymi przedmiotami. To byli książęta jak Piąty Syn: liczni synowie Krwawego Serca.

Zawyli i powolny rytm bębnow przyspieszył. Eikowie porzucili lupy, psy skopano i zmuszono do posłuszeństwa, a szeregi znów się zwartyły.

Zaatakowali, wyjąc. Wielki księżę Eików wywijał wysadzaną obsydianem maczugą i pędził na ich czele. Kapitan Lavastine'a rzucił się naprzód, by powstrzymać uderzenie, ale było to bezcelowe. Szereg ludzi rozpadł się, kiedy dwaj tarczownicy zostali przewróceni. Kapitan pchnął drzewcem sztandaru i ugodził księcia w głowę, w sam środek łuskowatego czoła. Stworzenie zachwiało się i rąbnęło maczugą w drzewce, łamiąc je, potem złapało poszarpany koniec, z całej siły pociągnęło kapitana i powaliło go na ziemię. Z drzewcem wciąż wystającym z czoła i sztandarem Lavas spływającym na ramiona jak płaszcz, Eika gnał przed siebie, rycząc.

Mężczyźni krzyczeli i cofali się, szereg zamienił się w chaos. Ale Alain postąpił w przód, by ściąć Eikę z całych sił. Eika złapał miecz gołą dłonią, ostrze przecięło skórę, ale nie uczyniło większych szkód, pociągnął Alaina, pchnął na ziemię i uniósł maczugę, by zadać śmiertelny cios.

„Jestem z tobą, Alainie. Dotrzymałeś złożonej mi obietnicy”.

Maczuga spadła, ale on był cieniem, a ona życiem, które mieszkało w świetle. Była tutaj, istota o wyjątkowym i straszliwym pięknie, dzierżąca miecz, który niósł wojnę i śmierć.

Przeturlał się i cios księcia uderzył w ziemię, wzbijając kurz, który zazgrzytał Alainowi w zębach. Cięła Eikę w tył nóg, rozrąbując ścięgna i Eika padł. Zdawała się tańczyć, gdy się podniosła, i drugim ciosem, szybkim jak błyskawica poprzedzająca grom, ucięła dzikiemu głowę.

Alain cofał się z nią, ale tylko po to, aby zebrać szereg wokół siebie – wokół niej. Tam, gdzie rozstępowały się tarcze, linia się łamała albo ludzie tracili ducha, tam musiał iść, cień jej światła i ona szła wraz z nim. W jej obecności żołnierze odzyskiwali wiarę, walczyli z nową zajadłością, wykrzykując jego imię:

– Lord Alain! Lord Alain!

Bo tam, gdzie stała, gdzie była Alainem, żaden wrogi atak nie mógł się powieść. Ale nawet Pani Bitew nie mogła pokonać tysięcy, ciągłego napływu dzikich Eików i ich wygłodzonych psów.

Eikowie szli naprzód. Bębny grzmiały, aż nie słyszał nic prócz nich, nawet szczęku mieczy i tarcz, krzyków rannych i wycia psów. Nie mógł być we wszystkich miejscach naraz, a gdzie go nie było, szeregi padały.

Eikowie napływali na wzgórze ze wszystkich stron i szybko zaczęli ich miażdżyć. Bębny dudniły. Nagle zmieniły rytm i siła wibracji go ogłuszyła, a ziemia pod jego stopami drżała, gdy szereg tarcz rozpadł się w tuzinie miejsc i bitwa zmieniła się w chaos.

Stała się rzezią, w której ludzie walczyli desperacko o zachowanie życia. Eikowie napływali zewsząd. Przerazenie złapało Alaina za gardło, gdy uświadomił sobie, jak niewielu żołnierzy jeszcze stało – a ci, którzy padli, nie mieli szans z psami.

Nawet Pani znieruchomiała, patrząc. Otoczyły go ogary, skowycząc. Smutek złapał w zęby jego poszarpany kubrak i pociągnął na zachód i tak, z Panią i Alainem tuż za nią, szli

przez wzgórze krok po kroku, prąc ku schronieniu w lesie. Ludzie padali za nim i wokół niego, szukając schronienia, bezpieczeństwa wśród tych, którzy jeszcze zostali, garstka żołnierzy wyrąbywała sobie przejście w masie Eików. Walczyli o każdy krok pod naporem wroga. Nie mieli wyjścia prócz ucieczki w las, ponieważ ich wzgórze, obóz i dzień zostały stracone.

Wszystko zostało stracone.

Nie widział już równiny, tylko otaczającą ich horde Eików.

Pani, prowadząca ich, wyrąbywała ścieżkę na zachód, aż dotarli do „bramy”, zagrodzonej strzaskanymi wozami i ciałami poległych. Bębnienie przyspieszyło, a z każdym uderzeniem rosła determinacja Eików, by powstrzymać ich odwrót. Tutaj, przy bramie, oddział się zatrzymał. Słońce uderzało w nich młotem gorąca.

Oddychając głośno, jakby byli stworzeniem o tysiącu paszcz, Eikowie przesunęli się, znieruchomieli i zawyli, a ich ryk rzucił ludzi na kolana w promieniach bezlitosnego słońca.

Pani rozjarzyła się. Tylko Alain ją widział, gdy stojąc za nią, wznosił desperacko miecz.

– Trzymajcie się! – krzyknął. – Bóg jest z nami!

Ale nikt go nie usłyszał.

6.

Nie liczyła schodów, tylko przeklinała każde szczęknięcie zbroi, szept i poruszenie mężczyzn za sobą. Ale Eikowie nie czekali na nich w miejscu, gdzie schody wznosiły się i otwierały na kryptę. Potknęła się na nagrobku i upadła na jedno kolano, kiedy reszta wynurzała się za nią w ciszę ciemności.

Erkanwulf pomógł jej wstać.

Każdy najlżejszy ruch i szept padał ciężko na moką ziemię i był zwielokrotniany przez spokój czekających umarłych.

– Cicho – powiedział Lavastine. – Słuchajcie.

Nasłuchiwali, ale nie słyszeli niczego prócz własnych oddechów.

– Teraz. – Nie musiał mówić głośno. W mroku słuch się wyostrzał. – Musimy otworzyć bramy Gentu. I jeśli zdołamy, zabić Krwawe Serce. Moje doświadczenie z Eikami mówi mi, że idą oni za wodzem wojennym i kiedy on zginie, walczą między sobą jak psy.

Wokół nich w gęstej ciszy leżały nagrobki. Pochodnie roztaczały wokół poświęcę. W zacienionym zagłębieniu, nie oświetlonym przez kopczą pochodnię, Liath zauważyła błysk czegoś białego, znajomego, ale nie do rozpoznania.

– Kapitanie Ulryku, weź piętnastu ludzi. Ja wezmę piętnastu ludzi. Musimy dotrzeć do zachodnich bram Gentu różnymi drogami. Orle. – Skinęła głową. – Zostawiam siedmiu ludzi pod twoją komendą. Jak to mówią stare bajki: wyślij maga, aby zabić innego maga.

– Ale panie hrabio...! – zaprotestowała.

Uniósł dłoń, by ją uciszyć.

– Twoim zadaniem jest wytropić i zabić Krwawe Serce.

– Tak, panie hrabio – rzekła posłusznie. W tejże chwili niosący pochodnię odwrócił się, światło rozlało się i rozjaśniło korytarz prowadzący do tego kąta.

Kości. Nie umieszczone w spokoju uświęconego grobu, tylko rozrzucone jak liście w lesie, wymieszane kości zapełniały odległe kąty krypty. Idąc ostrożnie do kolejnej sali, wiedziała, że to kości Smoków. Zapach wapna kłuł ją w nos. Eikowie wiedzieli, że trupy należy posypywać wapnem. Nie pozostało wiele zgnilizny z powodu wilgoci i gliniastego podłoża... a od upadku Gentu minął ponad rok. Czaszki uśmiechały się do niej; oczodoły krwawiły ciemnością. Białe żebra wystawały spod podartych kubraków i napierśników pociętych na kawałki szczurzymi zębami. Palce szkieletu zacisnęły się na jej butach, poślizgnęła się na kości udowej i niemal upadła.

– Panie, zmiłuj się! – jęknął za nią Erkanwulf. – Patrzcie! Odznaka królewskich Smoków! Wystarczający powód, aby zabić Krwawe Serce.

Ostrożnie stąpali pomiędzy szczątkami elitarnej jazdy królewskiej. Przynajmniej Eikowie, z niepojętych powodów, zawlekli ich tutaj i pozwolili zgnić pomiędzy świętymi zmarłymi.

Nie odważyła się przyglądać zbyt uważnie, bojąc się, że dostrzeże smoczy hełm, znaczący szczątki Sanglanta. Jej wspomnienia były takie czyste, takie silne, jego żywa twarz spoglądająca na nią w ciszy krypty, jego podbródek, gładki jak u kobiety, pod jej palcami; on, stojący dumnie i pewnie pośrodku tłumu, który groził złupieniem pałacu; jego ostatni skok do bitwy, gdy wszystko zdawało się stracone. Nie mogła się zmusić, by ujrzeć to piękno obrócone w proch. Przestała patrzeć na szczątki, szukając tylko miejsca do postawienia stopy, by nie naruszyć spokoju tych nieszczęsnych dusz.

Z każdym krokiem cel był coraz jaśniejszy: stała się narzędziem zemsty za to, co zrobiono jemu i jego Smokom. Dodawało jej to odwagi, gdy zbliżała się do schodów prowadzących do katedry.

Jej buty zaszurały po najniższym stopniu, podniosła głowę i zobaczyła pajęczyny na ścianie, świecące jak siatki utkane z księżycowego blasku. Odwróciła się:

– Pójdę na zwiady – wyszeptała.

– Twoja grupa wyjdzie za tobą – odparł Lavastine. – Nie możemy narażać się na schwytanie tutaj.

– Pozwólcie mi iść samej – rzekła. – Gdyby mnie złapali i odgadli, skąd wyszłam, będziecie mieli równe szanse. Eikowie nie widzą w ciemności lepiej od ludzi... – i gorzej niż ona, ale nie odważyła się tego powiedzieć – ...i będziecie mieli większe szanse, by ich odeprzeć... i uciec z powrotem tunelem.

– A co z psami? – wyszeptał Erkanwulf. – A jeśli nas wyczują?

– Tym bardziej powinniście zostać tutaj, gdzie wilgoć i wapno stłumią wasz zapach.

– A jeśli nie wiedzą o tunelu – rzekł cicho Lavastine – nie będą mieli powodów, by tu

zaglądać. Jeśli cię złapią, będą szukać gdzie indziej i dadzą nam czas na wyjście i dotarcie do bram. – Skinął głową. – Ruszaj.

„Ruszaj”. Na chłodno rozważył jej śmierć i uznał, że może mu się przydać.

Ale Liath tylko uśmiechnęła się ponuro, dała pochodnię Erkanwulfowi i wspięła się po schodach.

Żołnierze czekający poniżej szybko stracili ją z oczu na krętych schodach, ale nawet wspomnienie światła pochodni wystarczało, by oświetlić drogę. Słyszała stłumione kroki idących za nią mężczyzn. Chwilę później delikatny prostokąt blasku wskazał drzwi do nawy, ale minęła je i wspięła się węższymi schodami prowadzącymi na chór.

Tam, na wąskiej platformie, położyła dłoń na grubym żelaznym pierścieniu i przyłożyła ucho do drzwi. Za nimi usłyszała cichą, drażniącą melodię, lekką jak powietrze. Żelazny pierścień był śliski i pokryty kurzem. Napała ramieniem. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Światło dzienne oślepiło ją i musiała policzyć do dwudziestu, zanim jej oczy przywykły nawet do wąskiego promienia, który oświetlał teraz kamienną kolumnę, wokół której wiły się schody. Z nawy napłynął dźwięk fletu.

Wyciągnęła przed siebie miecz i otworzyła nim drzwi. Chór był pusty; balkon nie szerszy od rozłożonych ramion biegł aż do przeciwległej ściany nawy. Posadzkę pokrywała warstwa kurzu. Gobeliny, których kolorowe obrazy zostały mocno przykurzone, wisiały na ścianach poniżej drugiego rzędu potężnych okien, przez które świeciło słońce, a wszędzie w strumieniach światła tańczyły drobinki kurzu. Kilka gobelinów, na wpół opadłych pod własnym ciężarem, dotykało podłogi, a ich końce zostały wystrzępione przez myszy lub szczury.

Dała krok i ruszyła cicho. Jakiś ruch przestraszył ją i zamarła. Ale to była tylko mysz, wystarczająco odważna, aby w biały dzień wypuścić się na chór. Ten widok dodał jej odwagi. Skoro myszy biegały tu tak swobodnie, najprawdopodobniej nikt na chór nie zaglądał.

Wysunęła się jeszcze dalej, przytulając się do ściany i przymknęła drzwi, zostawiając jedynie szczelinę. Po każdym kroku powstawał wyraźny ślad na zakurzonej posadzce.

Przykucnęła i zaczęła przemieszczać się wzdłuż solidnej barierki. Sufit piął się wysoko i spinał nawę. Muzyka fletów rozbrzmiewała pod nią, za nią i wokół niej. Nie odważyła się spojrzeć na okna, obawiając się, że blask słoneczny ją oślepi, a potrzebowała oczu, by patrzeć w dół. Kołczan zahaczył o barierkę, wstała lekko i spojrzała.

Tam, w promieniach słońca wpadających przez zachodnie okna, Krwawe Serce siedział na tronie.

Grał na fletach wykonanych z kości, i zadrżała, słysząc muzykę rozlegającą się w powietrzu i kręcącą wokół, jakby była żywym zwierzęciem. Wtedy zrozumiała: tkał na flecie, tkał tę iluzję, która go chroniła.

Obok niego, prawie w cieniu, kuczał chudy kapłan Eików, którego zapamiętała. Nagi, oprócz przepaski na biodrach, kołysał się w przód i w tył do rytmu melodii. U jego stóp stała

drewniana skrzynka, na której malowanym wieku trzymał ochronnym gestem pazurzystą łapę.

I były psy, całe sfory tu i tam, ziewające, leżące na kupach z wywalonymi jęczorami, ich ślina spływała na kamienną posadzkę. Obok ołtarza Krwawe Serce zrobił sobie wysypisko, gromadząc śmieci, szmaty, odpadki, kości i stare zardzewiałe łańcuchy, przymocowane do najświętszego miejsca w katedrze. Skrzywiła się, widząc święte miejsce udekorowane w taki sposób, ale bez wątpienia Krwawe Serce radował się, bezczeszcząc błogosławione Palenisko Pani.

Uklękła, położyła miecz na zakurzonej podłodze i z sercem rozgrzanym strachem oraz nieubłaganą, palącą determinacją, wyjęła Poszukiwacza Serc. Chwilę później dobyła strzałę i założyła ją luźno na cięciwę.

Wokół niej wirowało światło, błogosławiony Daisan szedł przez swych siedem cudów przedstawionych w szkle. Blask był wszędzie, tęcze tańczyły w powietrzu nawy, znikając, gdy poruszyła się lekko i wracając, kiedy przyjęła poprzednią pozycję. Podniosła się z kucek, cicha jak powiew poranka albo niepowsztrzymana dłoń przeznaczenia.

Wspomnienie piękna katedry powróciło z podwójną siłą. Tam biskupina odprawiała mszę. Tam zgromadzili się wierni, wstając, by zaśpiewać. Tam, przed ołtarzem, klęczał Sanglant i jego Smoki tego ostatniego poranka ich życia, zanim wyruszyli na spotkanie śmierci.

Głosy. Zamarła, obracając głowę i nasłuchując. Niech Lavastine i jego ludzie jeszcze nie wychodzą!

W zasięgu jej wzroku pojawił się Eika, przemierzający chłodną nawę. Nosił wyróżniającą wszystkich książąt kolczą spódniczkę do kolan zrobioną ze złotych i srebrnych łańcuszków, migającą, kiedy przemieszczał się w słonecznym świetle, a jego tors zdobił starannie wymalowany wzór krzyżowy, ten sam, co na piersi Krwawego Serca. A co dziwniejsze, na szyi nosił drewniany Krąg Jedności.

Książę Alaina! Czy to możliwe?

W zaskoczeniu musiała zaszurać butem o podłogę.

Książę zatrzymał się i na chwilę spanikowała, nie ruszając się, z umysłem pustym i zamkniętym jak drzwi. Ale on stanął tylko po to, by spojrzeć na stertę odpadków przy ołtarzu, która zadrzała, przebudzona szurnięciem lub zapachem ukrywającej się Liath albo muzyką fletów, by okazać się psami i jakimś odrażającym stworem, na pewno nie człowiekiem, zakutym w ciężkie łańcuchy i odzianym w strzępy kubraka ozdobionego czarnym smokiem.

Jednak w przeciwieństwie do demona posiadał ciało i wagę; miał potargane czarne włosy, tak splątane i zbite, jak włosy brudnych ascetów, którzy wyrzekli się trywialnego utrzymywania ciała w czystości. Miał ręce i nogi, dłonie i stopy bardzo ludzkie oraz skórę ciemną od brudu. Było to odrażające stworzenie, tak brudne i plugawe, że równie dobrze mogło się okazać groteskową iluzją zrodzoną z czarnej magii Krwawego Serca. Przynajmniej taką miała nadzieję. A potem obróciło się, napinając ramiona i ujrzała jego twarz.

– Pani, zlituj się – wyszeptała, porażona szokiem tak głębokim, że zapomniała o wszystkim, wszystkich i celu, dla którego tu przybyła: wodzu Eików, siedzącym pod nią bez ruchu, łatwym celu. – Sanglant.

Wstał już z kłębowiska i w chwili, gdy z odrzuconą głową smakował powietrze jak pies, wiedziała, że ją usłyszał.

Wiedziała, że rozpoznał jej głos.

Panie i Pani, miejcie litość. W pułapce. Ponad rok więziony przez Krwawe Serce.

Wyglądał bardziej jak zwierzę niż człowiek.

Gardło ją piekło i myślała, że zwymiotuje.

Wstała.

– Nie! – krzyknął, rzucając się w przód na długość łańcuchów, nie wiedziała, na Krwawe Serce czy kapłana. Kapłan złapał skrzynkę i odskoczył, gdy Sanglant został szarpnięty w tył przez łańcuchy. Jego psy zawarczały i skoczyły w nawę. One nie były przykute.

Krwawe Serce odjął flet od ust i wyszczekał rozkaz w swym ostrym języku. Kilku żołnierzy pobiegło ku księciu, wyjąc i wrzeszcząc w nieludzkim narzeczu.

Miała tylko jeden strzał.

Z tyłu i z dołu słyszała wybuch krzyków, tupot stóp, szcęk stali, wrzaski mężczyzny i wycie Eików, gotujących się do walki.

Lavastine nie poczekał na nią lub usłyszał krzyk Sanglanta. To już nie miało znaczenia.

Jeden strzał. Wycelowwała, przygotowała się do spuszczenia cięciwy, doskonały cel, idealny śmiertelny strzał w serce...

Łuk zniósł na lewo.

Przez chwilę, jakiej potrzebuje osoba w niebezpieczeństwie na zaczerpnięcie oddechu, zawahała się.

A potem poddała.

– Poszukiwaczu Serc, prowadź mą dłoń – wyszeptała. Pozwoliła mu poprowadzić swe ramię i patrzyła, jak ostrze strzały przesuwają się z piersi Krwawego Serca przez drewnianą szkatułkę na kolanach kapłana i wznosi się, by utkwąć pośrodku jego chudego, łuskowatego torsu.

Tam.

Wypuściła strzałę.

Ostrze utkwilo w ciele. Kapłan przycisnął dłonie do piersi i padł w tył, a skrzynka spadła z jego kolan i roztrzaskała się na podłodze.

Z okrutnym, świdrującym uszy rykiem, Krwawe Serce zerwał się z tronu, zatoczył i padł na kolana. Kościane flety rozsypały się wokół. Jeden pękł.

– Kapłan! Zdrajca! – Ryknął ponownie, krzyk bólu i furii odbił się echem w nawie, uderzając o sklepienie. Jedno okno pękło na tysiące odłamków, z wysokości posypał się deszcz szkła.

– Bracie z gniazda! – krzyknął. Zielonkawy płyn spływał z jego ust, padł i poczołgał się, próbując dotrzeć do drewnianej skrzynki albo starego kapłana, leżących w zasięgu łańcuchów księcia. Sanglant dopadł ich pierwszy, ale kapłan wstał już niezgrabnie, złamał drzewce strzały zagrzebanej w piersi i odczołgał się, byle dalej od rąk księcia i czarownika. Sanglant kopnął skrzynkę poza zasięg wyciągniętych palców Krwawego Serca.

– Bracie z gniazda! – Głos Eiki był przerywany bulgotaniem, jakby w nietkniętej piersi przelewała się krew. Psy skoczyły, by go gryźć, wyczuwając jego słabość, ale odpędził je i zerwał się na nogi, strumienie krwi spływały mu po podbródku. – Na więź między nami zaklinam cię, byś mnie pomścił. Niech twa klątwa spadnie na tego...

Złapał się za gardło, zataczając w przód, a kapłan umykając, uczynił jakiś gest od uroku i wymówił słowa, których Liath nie zrozumiała. Na chórze nagły wir podniósł kurz, okrążył ją rój niewidzialnych, kłusujących owadów, a potem znikł, jak porwany wiatrem. Krwawe Serce na ślepo uczynił jeszcze jeden desperacki ruch...

I padł, martwy, u stóp Sanglanta.

* * *

Na zachodnim zboczu wzgórza, gdzie Eikowie wzięli wdech, gotując się do ataku i zmiecenia z powierzchni ziemi niedobitków piechoty Lavastine'a, bębny uderzyły raz.

I umilkły.

Rozdział szesnasty

Niewidzialny łańcuch

1.

– Kapitanie Ulryku, do bramy! – wrzasnął Lavastine, przekrzykując nagły harmider wycia i jęków, które przerwały ciszę zapadłą po śmierci Krwawego Serca. W nawie rozbrzmiały odgłosy walki, kiedy Lavastine i jego ludzie wypadli z kryjówek.

Dobyla kolejnej strzały, widząc, jak sam hrabia ciął wokół siebie mieczem, unosząc tarczę, a trzech rozszalałych Eików odpychało go w tył. Obok niego padł żołnierz. Lavastine był następny, powalony na kolana siłą ich ataku.

Sanglant skoczył naprzód, widząc szlachcica w niebezpieczeństwie. Liath jęknęła, przygotowując się na szarpnięcie łańcuchów, a potem krzyknęła zdumiona.

Nie było łańcuchów. Wszystkie, prócz żelaznej obroży, opadły na ziemię, krusząc się, jakby miały sto lat, i obracając w pył. W końcu zamieniły się w kupki kurzu wokół ciała Krwawego Serca.

Nalozyla strzałę na cięciwę, ale Sanglant i pół tuzina psów włączyli się do bójki, nim zdołała wystrzelić. Sanglant walczył gołymi rękami. Bez namysłu przelozyła nogę przez balustradę, zamierzając zeskoczyć, ratować go...

Zaatakował nagle i brutalnie jak psy Eików. Rozložyl dwóch barbarzyńców i na jej przerażonych oczach rozerwał zębami gardło jednego z nich. Eika zamierzył się na niego, ale pies wskoczył między nich i przyjął na siebie cios przeznaczony dla księcia, a reszta sfory otoczyła niedoszłego zabójcę, obalając go na posadzkę. Inni Eikowie uciekli. Psy pożerały ciała: trzech Eików i jednego człowieka. Lavastine zerwał się na nogi i wraz z Sanglantem znikli z jej pola widzenia, biegnąc do wielkich drzwi. Przelozyła nogę z powrotem i stała, dysząc, zaszokowana, usiłując się uspokoić.

– Orle! – zawołał Erkanwulf od drzwi. – Musicie uciekać! Mają przewagę liczebną, musimy się wycofać przez tunel!

– Padnij! – wrzasnęła, podniosła łuk, Erkanwulf opadł na czworaki, i strzeliła do Eiki mającego za chłopakiem. Eika padł, stękając z zaskoczenia i stoczył się po schodach. Pobieгла, ciągnąc za sobą Erkanwulfa i dobyła miecza, trzymając Poszukiwacza Serc w lewej ręce.

– Za mną – nakazała. Musieli przeskoczyć martwego Eikę, aby zejść po schodach. Nie wiedziała, co ich czekało na dole, ale na ostatnich stopniach przed drzwiami do nawy jej nos zdobył o tym niejakię pojęcie.

Za otwartymi drzwiami ustawił się Lavastine ze swoimi ludźmi. Szereg Eików czekał wśród śmieci leżących na posadzce nawy, ale żaden się nie poruszał. Ustawili się w szerokim półkolu, aby odciąć dostęp do wrót katedry i uniemożliwić żołnierzom manewrowanie w samej szerokiej nawie.

Tuż obok drzwi stworzenie, które było Sanglantem, zmuszało do posłuszeństwa pięć psów, waląc je po mordach, aż skowycząc, padły na podłogę i odsłoniły przed nim gardła. Z ich pysków spływała krew po niedawnej uczcie.

Książę śmierdział. Nie można ująć tego inaczej: odór owinał się wokół niej jak coś namacalnego, rzecz, w którą można włożyć ręce. Odkoczył, gdy pojawiła się w drzwiach. Jego usta były wymazane krwią. Jego odzienie, to, co z niego zostało, zwisało w strzępach, a sztywny od brudu materiał wżarł się w kolczugę; podczas swych podróży widywała wielu żebraków i biedaków, ale nigdy tak straszliwie zaniedbanych. Trudno było uwierzyć, że wciąż był człowiekiem, przypomnieć sobie, jak niegdyś wyglądał. Był tak brudny, że musiała odwrócić wzrok, ale zdążyła dostrzec wyraz jego twarzy. Wstydział się tego, czym się stał.

– Boże, zlituj się – wyszeptał za nią Erkanwulf. – Co to jest?

– Cicho. – Wymknęła się zza drzwi.

Psy zawarczały, ale trzymały się z dala, wyszczerzając kły na przemykającego Erkanwulfa. Sanglant trzepnął je, ale nic nie powiedział. Czy w ogóle potrafił mówić?

– Wycofujemy się – nakazał Lavastine. – Na zewnątrz jest ich ponad setka. Ale kapitan Ulryk i jego grupa poszli przed nami. Musimy mieć nadzieję, że uda im się przedrzeć do bramy.

– Krwawe Serce nie żyje – powiedziała Liath.

Lavastine skinął szybko głową.

– Przygotować się do odwrotu – rzekł. Zauważyła już brak trzech ludzi; Eikowie zasłaniali trupy poległych w pierwszym starciu, nie wiedziała więc, gdzie padli. – Książę Sanglancie, musicie pójść pierwszy, razem z Orłem. Musimy zapewnić wam bezpieczeństwo.

Szereg Eików drgnął i rozdzielił się, ukazując książętko noszące na piersi Krąg. Wyszczekał rozkaz w ostrym języku Eików i jego żołnierze cofnęli się, a książę postąpił kilka kroków do przodu.

Erkanwulf wręczył Liath kolejną strzałę z kołczanu; wycelowała w księcia, mierząc w serce.

Znów się odezwał, nadal w języku Eików i wojownicy zaczęli równym krokiem opuszczać katedrę. Liath gapiała się na nich, kompletnie oszołomiona.

Powoli, ostrożnie, Lavastine postąpił w przód.

– Oboje was widziałem w snach Alaina – powiedział księżę doskonałym wendarskim, wskazując ostrzem oszczepu najpierw hrabiego, potem Liath.

– Piąty Syn! – szepnął Lavastine.

– Ty mnie kiedyś schwytałeś, ale on mnie uwolnił. Z tego powodu teraz cię oszczędzę. – Oparł drzewce oszczepu na podłodze i arogancko przechylił głowę lub może przyszła mu do głowy nagła myśl. W porównaniu z Sanglantem był wspaniałym stworzeniem, nie przystojnym – Liath podejrzewała, że nigdy nie dopatrzy się piękna w tych ostrych, metalicznie lśniących twarzach – ale zapierającym dech w piersiach. Jego oczy były lśniące jak obsydian. Złote naramienniki wiły się na jego bicepsach jak węże. Uśmiechnął się do nich, ukazując klejnoty wprawione w zęby, a przy każdym poruszeniu jego metalowa spódniczka dźwięczała cichutko jak odległe dzwony szepczące sekrety. – Powiedz, hrabio Lavas, czy Alain mnie okłamał? Król Henryk nie przybył, a ty nie zamierzałeś na niego czekać, jak powiedziałeś Alainowi.

Lavastine zawahał się, ale był coś winny księciu Eików w zamian za ocalenie ich życia.

– Wizje nie kłamią. Nie powiedziałem mu o wszystkich moich planach.

– Ach. – Piąty Syn gwizdnął, a psy zgromadziły się wokół jego nóg. One również uctowały na trupach, może nawet na Krwawym Sercu. Strzępy materiału zwisały z ich jęzorów, a kapiąca ślina miała barwę ochry. Większość jego żołnierzy wyszła już z katedry, zostawiając w niej jedynie poszarpane trupy. – Jesteś mądrym wrogiem, hrabio Lavas. Tym gorzej dla ciebie, że armia Henryka nie nadeszła wcześniej.

Nie odwrócił się, by odejść; aż tak im nie ufał. Wycofywał się tyłem, nie spuszczać z nich oczu, dopóki nie dotarł do wielkich wrót skąpanych w słońcu. I znikł.

Sanglant skoczył. Lavastine rzucił się za nim, ale księżę nie pobiegł za umykającym Eiką, tylko ku ołtarzowi, gdzie leżało ciało Krwawego Serca. Stary kapłan znikł; zostało jedynie złamane drzewce strzały. Sanglant obrócił skrzynkę do góry nogami i w powietrzu zawirował kłęb puchu. Co on w Imiona Boże wyprawiał? Kaszłał i desperacko rył w kłębie piór, niczego nie znajdując, a potem poddał się i ukląkł przy ciele Krwawego Serca. Z wyciem zdarł złoty torkwes z ramienia martwego czarownika.

Pięć psów, zgromadzonych wokół niego i obwąchujących ciało, poderwało łby i zawyło dziko do wtóru.

– Lepiej stąd uciekajmy – powiedział Lavastine. – Idziemy do bram.

– Czy to... stworzenie... to naprawdę księżę Sanglant? – zapytał Erkanwulf, a kilku innych zawtórowało mu.

– Cicho! – uciął Lavastine, a oni umilkli z własnej woli, bo księżę zbliżał się do nich z orszakiem psów, szczekających i szczerzących zęby. Trzymał oszczep i krótki miecz, zabrane

trupom. Liath nie mogła znieść patrzenia na niego, ale wciąż patrzyła. Nie potrafiła uwierzyć, że żył, ale jednak, czy ta... rzecz... naprawdę mogła być człowiekiem, który padł w Gencie ponad rok temu?

Skręcił, zanim dotarł do Lavastine'a i jego ludzi, jakby nie chciał podchodzić zbyt blisko i dotarł do wielkich wrót katedry. Tam zatrzymał się nagle, jakby łańcuchy szarpnęły go w tył. Jakby nie miał odwagi iść dalej.

– Chodźcie – powiedział Lavastine do księcia, przeprowadzając swój oddział w bezpiecznej odległości od psów. Kilku mężczyzn zatkało nosy dłońmi, o ile mogli dosięgnąć je pod hełmami. Hrabia wyszedł na schody przed katedrą. Dziedziniec stał pusty w zamglonym popołudniowym blasku. – Musimy się spieszyć. Mój syn...

Urwał, niezdolny do mówienia. W oddali Liath usłyszała dźwięk rogów i wściekłe wrzaski Eików.

Nawet nie patrząc, wiedziała, że Sanglant opuścił schronienie w katedrze: czuła jego smród. Ale odezwał się. Jego głos był ochryple, jakby zardzewiał, bo dawno go nie używał – ale przecież jego głos zawsze tak brzmiał.

– Rogi – rzekł, odrzucając głowę, by słuchać. – Należą do wojsk króla.

2.

Za każdym uderzeniem padali Eikowie. Kiedy Pani szła przez nich, niektórzy patrzyli Alainowi w oczy, wyczuwając zagładę, a inni rzucali swą broń i uciekali. Nawet ich dzika furia nie mogła sprostać gniewowi Pani, a na pewno nie bez pomocy przejmującego bicia w bębny, które umilkło.

Ale było ich nadal więcej, nawet rozproszonych, niż ludzi, którzy zostali z oddziałów Alaina. Kiedy księżę Eików zwołał swe oddziały i pchnął je ponownie na ostatni szaniec piechoty, ona rzuciła się na księcia poprzez szalejącą walkę i zabiła go. Jego siły załamały się, rozpadły i uciekły przed nią, podczas gdy ludzie Alaina wyli z radości i rąbali ze zdwojoną siłą, ale nawet wtedy Eikowie wciąż nadchodzili. Było ich tak wielu, a ich łuskowata skóra tak trudna do przebicia.

„Nie mamy szans, by się przedrzeć”.

A potem rozległ się krzyk z ostatniego szeregu utrzymującego się na wzgórzu:

– Fesse! Sztandar Fesse!

I usłyszeli rogi i tętent kopyt jazdy.

– Henryk! – krzyknął mężczyzna, a inni podnieśli wielki zgiełk:

– Król! Król!

Z nową nadzieją runęli naprzód, rąbiąc i siekąc Eików. Sztandary Eików chwiały się, cofały i padały. Dzicy zawahali się. Niektórzy wycofywali się w szeregach, inni dalej walczyli, ale powoli znikali ze wzgórza, a Alain wyrwał się ze ścisku i pobiegł na

wzniesienie.

To była prawda! Tam, gnając przez pole, zbliżała się chorągiew Fesse i sztandar samej księżnej Liutgardy. Dalej oddział kawalerii pod flagą księżniczki Sapientii przebijał się na wschód, wycofując się ku brzegowi rzeki, ścigany przez Eików pragnących dotrzeć do swych okrętów. Długie popołudniowe cienie zakrywały zachodnią drogę, ale z lasu wynurzała się masa żołnierzy pod sztandarami króla Henryka.

Nogi się pod Alainem ugięły i zatoczył się, padł, podtrzymany jedynie przez pchające się ku niemu psy, które lizały go i piszczały. Poślizgnął się na błocie i ciężko upadł na tyłek.

– Lordzie Alainie! – Żołnierz złapał go za ramię i pochylił się troskliwie. – Mój panie! Tutaj! Wody dla naszego pana!

Otoczyli go, a psy po raz pierwszy w życiu siedziały cicho, pozwalając żołnierzom przynieść wodę, zdjąć Alainowi hełm i oblać jego twarz.

– Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś walczył tak zaciekle! – wykrzyknął jeden z jego żołnierzy.

– Zaprawdę, bylibyśmy martwi, gdyby nie wy, panie. Blask od was był, naprawdę!

Skrzywił się i dźwignął na nogi.

– Zwycięstwo! – krzyknęli, wiwatując wokół niego. Alain zmrużył oczy, ale większość walki toczyła się teraz poza zasięgiem jego wzroku. Eikowie byli w odwrocie.

A Pani Bitew znikła.

– Chodźcie – powiedział do psów. Zaczął wspinać się na szczyt.

– Zwycięstwo! – Śpiewali jego żołnierze, a odległe granie rogów oznajmiło przybycie króla na pole bitwy.

Wzgórze pokrywały trupy Eików, ale na każdego martwego Eikę przypadał jeden martwy żołnierz Alaina.

Garstka żyła, drżała, jęcząc, a niektórzy wkrótce umrą, nie zyskawszy przywileju szybkiej śmierci. Wokół niego kłębiły się ogary: Smutek, Furia, Groza, Mocarz, Radość, Wiarus i Strach; poobijane i zakrwawione przeżyły, gdy tylu innych poległo, także i biedny Humor.

W końcu wspiął się na szczyt i zastał obóz w strzępach, namioty zwalone i podarte stopami walczących w bitwie, którzy nie zwracali uwagi na drobiazgi, rozwalone skrzynie, worki, których zawartość leżała rozrzucona po trupach i zrytej ziemi. Z namiotu Lavastine'a nic nie zostało. Z prowizorycznej drewnianej platformy, naprędce wczoraj budowanej, utrzymało się tylko kilka desek. Alain wspiął się na nie.

Z tego punktu na szczycie wzgórza mógł dojrzeć sztandary armii Henryka, ale nie było wśród nich tych, które powiewały o świcie nad odchodzącym Lavastine'em.

– Błagam, panie, zejdźcie stamtąd! – zawołał jeden z jego ludzi. – Eikowie ciągle tu są i mają łuki!

Alain zeskoczył i potknął się na drzewcu oszczepu. Zatoczył się, poszukał oparcia i złapał za czyjś kubrak. Martwy mężczyzna przetoczył się bezwładnie na plecy. Był to kapitan

Lavastine'a. Stratowany sztandar leżał u jego boku.

Alain podniósł sztandar z pyłu i wznosił wysoko nad głową, ale gdy jego ludzie wiwatowali, on płakał.

3.

Gnali, jakby ich diabli gonili, ale awangarda pod dowództwem księżnej Liutgardy trzymała się przed nimi i jej przypadł honor przybycia pierwszej na pole bitwy.

Ale księżniczka Sapientia nie miała zamiaru zrezygnować z części należnej jej chwały. Po pierwszym przejeździe przez pole bitwy, kiedy zdawało się, że Eikowie dobrowolnie rzucają się pod kopyta ich koni, Sapientia osadziła wierzchowca i miłosiernie przez chwilę łapała oddech i przyglądała się chaosowi.

Bo gdzie Hanna nie spojrzała, panował chaos. Nigdy nie widziała tylu ludzi zgromadzonych w jednym czasie i miejscu ani nie słyszała takiego zgiełku, wycia i krzyków, zmieszanego ze szczękiem broni. Tkwiąc tuż obok Sapientii, była przynajmniej pod dobrą ochroną. Ojciec Hugo i kilku zaprzysiężonych żołnierzy otaczało księżniczkę, chroniąc ją przed śmiercią.

Hanna nie wiedziała, czy gorzej jest przyglądać się bitwie z daleka, czy też znaleźć się w samym środku jej zwodniczych, śmiertelnych prądów. Najchętniej i jedno, i drugie zamieniłaby na kolejną lawinę w górach Alfar.

– Okręty! – wrzasnęła w końcu Sapientia z pożądlivym triumfem w głosie. – Do okrętów! Tam ich zatrzymamy!

I ruszyli, znów gnając przez pole bitwy. Odległe sztandary znaczyły pozycje innych oddziałów, niektóre się cofały, inne parły naprzód, ale Sapientia nie zwracała uwagi na resztę bitwy. Chciała uniemożliwić Eikom dotarcie do okrętów. I rzeczywiście, gdy dojechali do brzegu rzeki, znaleźli się z dala od starć toczących się wokół wzgórza i na polu pod nim, a musieli rozprawić się tylko z nielicznymi grupkami uciekających Eików. Udało im się to bez trudu.

Okręty znajdowały się na zachodnim i wschodnim brzegu rzeki, ale interesował ich tylko zachodni, którego bronili. Osiem okrętów spuszczone już na wodę; zmierzały w dół rzeki. Pół tuzina ciał unosiło się za nimi.

– Wysłać ludzi, aby spalili wszystkie okręty, do których dotrą! – rozkazała księżniczka, wskazując na jednego z kapitanów.

– Wasza Wysokość! – zawołał ojciec Hugo. – Czy łamanie naszego szyku jest rozsądne? Nie możemy pozwolić, żeby przyparli konie do brzegu. Stracimy mobilność.

– Ależ oni są wszyscy w rozsypce – odparła Sapientia. – Jakże to ma teraz znaczenie, skoro i tak jest nas więcej? – Wykonano jej rozkazy. Wokół okrętów wybuchły starcia i szybko podniósł się dym, a płomień zaczęły lizać maszty.

Ostrzeżenie, dęcie w róg, rozbrzmiało z oddalonych szeregów. Hanna stanęła w strzemiach, aby spojrzeć, a to, co ujrzała, zmroziło ją i zaczęła się trząść pomimo upalnego dnia.

Rzeczywiście, Eikowie umykali w nieładzie z pola bitwy – ale nie wszyscy, nie ci, którzy byli ranni, martwi, umierający, niektórzy zaś w chaosie nie stracili głowy. Szybkim i niepowstrzymanym krokiem do brzegu rzeki zbliżał się oddział Eików liczący sobie kilka setek wojowników, idących w szyku i niosących przed sobą sztandary. Otoczeni ścianą tarcz najeżoną oszczepami, odganiaли od siebie atakujących od tyłu ludzi. Czy z tych sztandarów zwisały kości? Całe szczęście, że z tej odległości nie mogła być tego pewna.

– Zewrzeć szyk! – krzyknęła Sapientia, ale było za późno; zbyt pewna siebie pozwoliła swym oddziałom rozproszyć się.

– Wyślij Orła po pomoc! – zawołał Hugo. – Jeśli zostaną zaatakowani od tyłu, podczas gdy my natrzemy z tej strony...

– Nie! – krzyknęła księżniczka, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, ilu jeźdźców z nią zostało. Reszta pośpiesznie dosiadała koni i najeżdżała od brzegu. Jednego postrzelono z okrętu; spadł z konia. – Nie będą mówili, że błagałam o pomoc, kiedy tylko pojawiły się kłopoty. Niech nam dopomaga święta Perpetua! Kto ze mną? – Unosząc miecz, pognęła konia prosto na szeregi Eików. Rumak wojenny nie spłoszył się na widok błyszczących oszczepów i toporów.

– Do diabła! – zaklął Hugo, kiedy przybocznicy ruszyli za nią. Złapał Hannę za ramię, zanim podążyła w ich ślady. – Jedź do króla! – A potem z obnażonym mieczem podążył za księżniczką w ścisk bitwy.

Eikowie rozciągnęli się już na północ, odcinając możliwość ucieczki w tym kierunku. Sapientia znikła w zamieszaniu, Eikowie pochłonęli jej oddział. Kilku jeźdźców uciekało z pola bitwy, porzucając ją; inni skoczyli za nią w gęszcz napierających Eików, jedna strona walczyła o życie, druga o honor. Za chwilę Hanna też zostanie uwięziona przez napór zbliżającego się ku brzegowi rzeki starcia.

Pognęła konia na południe wzdłuż brzegu do ruin Gentu i podczas gdy oszczep obijał jej się o biodro w rytm galopu, zaczęła się modlić.

4.

Sanglant prowadził ich przez ulice równym truchtem. Piąty Syn wycofał swe oddziały, ale inni Eikowie przemykali przez Gent, uciekając z pola bitwy, gdy bębny umilkły, a Krwawe Serce i jego iluzje umarły.

W bezlitosnym świetle słonecznym księżę wydawał się bardziej żalony niż imponujący. Jednak był też szokującym widokiem, otoczony pięcioma potwornymi psami, jakby tylko one pozostały z dumnych Smoków. Kiedyś był królewskim Smokiem. Teraz, prócz kształtu i

książęcej dumy w ruchach prawie niczym nie różnił się od psów.

Ale nie zapomniał, jak zabijać.

Ich potyczki były krótkie i choć Lavastine stracił trzech ludzi w katedrze, nie stracił żadnego, gdy prowadził ich Sanglant. Eikowie równie często uciekali na sam widok oszalałego księcia, co stawali do walki.

Bramy były otwarte, a na moście spotkali się z Ulrykiem i większością jego ludzi, gapiących się na równinę, gdzie wciąż szalała bitwa. Chmury pyłu i ukształtowanie terenu zasłaniały widok.

– Panie hrabio! – krzyknął Ulryk, rozpoznając ich oddział.

– Uwaga! – wrzasnął jeden z jego ludzi. Zasypał ich grad strzał. Dwóch żołnierzy padło, jeden przyciskając dłoń do uda, drugi z przeszytym gardłem.

Sanglant zawarczał i skoczył wraz z psami w zarośla, w których chwilę wcześniej Liath dostrzegła czterech skulonych Eików. Przygotowała się do strzału...

Ale nie było potrzeby. Sanglant powalił dwóch, a jego psy rzuciły się na resztę, choć jedno zwierzę zostało cięte tak poważnie, że jego towarzysze natychmiast rozerwali mu gardło.

– Tam! – krzyknął Lavastine. Liath oderwała wzrok od Sanglanta, aby ujrzeć oddział zbrojnych wyjeżdżających z chmury kurzu zakrywającej pole bitwy. Żołnierze natychmiast zaczęli krzyżeć i machać rękami, a po chwili zatrzymał się przy nich lord Godfryd. Zostało mu ledwie dwudziestu ludzi i wiódł kilka luzaków.

– Kuzynie! – wrzasnął, zeskakując z konia i radośnie klepiąc Lavastine’a po ramieniu. – O Panie! Jużem myślał, że nie żyjesz!

– Jakież wieści o tych, co zostali na wzgórzu?

Lord Godfryd wzruszył ramionami. A potem, robiąc coraz większe oczy, gapił się na zjawę, która w ciszy i tym bardziej przerażająca, złapała jednego z luźnych koni i dosiadła go.

– Pani, zmiłuj się! – jęknął. – Co to jest?

Książę odrzucił oszczep i pogalopował ku najgęstszej chmurze pyłu.

– Orle! Bierz konia i jedź za nim. Król zażąda mej głowy, jeśli on da się zabić. Wątpię, aby był przy zdrowych zmysłach. – Po tym chłodnym osądzie Lavastine odwrócił się do kuzyna. – Czy król przybył?

– Nie wiem, kuzynie. Tam jest rzeź, a większość z naszych ludzi już poległa.

– Dobrze się sprawiłeś, przetrzymując tak długo. – Słowa Lavastine’a nie były jednak pochwałą; podobnie jak jego wcześniejszy komentarz na temat zdrowych zmysłów Sanglanta były jedynie stwierdzeniem faktu. – Orle! – jego wzrok spoczął na niej, stojącej z otwartymi ustami i niezdolnej do działania. – Jedź!

Łatwiej jej przyszło wykonanie rozkazu niż myślenie. Dosiadła podprowadzonego wierzchowca i opuściła ich w chwili, gdy wywiązała się utarczka z kolejną grupą nadbiegających Eików.

Chaos.

Poprzez szalejącą bitwę jechała śladem Sanglanta, który sam był ruchem. Eikowie uciekali w rozsypce lub wycofywali się w uporządkowanych oddziałach, jazda szarżowała, formowała i znów szarżowała, rozbijając ich, wyrzynając tych, co uciekali i trując bez końca tych, którzy się opierali.

Sanglant kierował konia w sam środek walki. Niewątpliwie był dzielny; być może również obłąkany. Po tym, jak zebrał grupę konnych, którzy zostali odcięci od swego kapitana, usłyszała jego imię niesione wiatrem nad zgiełkiem bitewnym niby talizman. Ona próbowała jedynie trzymać się z dala od Eików, ponieważ w tej zadymce szanse na czysty strzał były nikłe, w przeciwieństwie do możliwości oberwania toporem w plecy, choć większość Eików zdawała się uciekać, by chronić życie. Tyle tylko mogła zrobić, by nie spuścić Sanglanta z oczu.

Poprzez ścianę kurzu ujrzała chorągiew Fesse. Potem znikła, powiewając na wietrze, gdy chorąży galopował w innym kierunku za księżną i oddziałami.

Tyle już przejechali, że nie wiedziała, gdzie się znajduje. Oczy jej łzawiły od kurzu i blasku zachodzącego słońca. Przed nią żołnierz schylił się z konia i przeszył jednego z psów Sanglanta, zawrócił i znów, z oszczepem gotowym do ciosu, zaatakował kolejnego psa, który, niczego nieświadomy, pędził za księciem.

Ale Sanglant nie był nieświadomy. Ostro osadził konia i walnął żołnierza płazem miecza po ramionach. Mężczyzna potoczył się na ziemię, a psy rzuciły się na niego tylko po to, aby natychmiast je odwołano. Liath nie słyszała, co książe krzyczał, widziała jedynie, jak przerażony żołnierz wdrapuje się na konia.

A potem rogi.

– Do księżniczki! Jest otoczona!

– Do mnie! Zewrzeć szyk! – krzyknął książe, jego ochrypły tenor wzbił się ponad zgiełk bitwy. Zapamiętały w walce nie był już tak straszny jak wtedy, gdy ujrzała go jako więźnia Krwawego Serca, dziką, przykutą bestię. Ludzie nadjeżdżali, by ustawić się za nim i gdy kompania się zbierała, wrzeszczeli radośnie, pewni zwycięstwa. Tam, gdzie chorągiew księżniczki Sapientii została uwięziona wśród Eików wyrabujących sobie drogę ku rzece, popędził Sanglant i jego odnowiona jazda, roznosząc wroga, którego napotkali na swej drodze.

– Król! Król Henryk nadjeżdża!

Liath nie widziała księżniczki, bo całe skrzydło się załamało. Ale kiedy linia Eików rozpięchła się w popłochu, ujrzała Sanglanta wyrrywającego się z walki i odjeżdżającego na północny zachód poprzez zaniedbane pola, skapane w popołudniowym słońcu. Przedarła się przez ścisk i pogalopowała za nim.

Jechał, nie oglądając się za siebie. Trzy psy Eików gnały za nim, a ona była za daleko, by wykrzyknąć ostrzeżenie. Za sobą usłyszała jeźdźców, obróciła się i ujrzała około tuzina

mężczyzn, noszących kubraki jazdy, którą zebrał podczas bitwy.

Przed nimi linia drzew i krzewów znaczyła koryto dopływu Veseru. Straciła go z oczu, gdy wpadł między drzewa. Gdy znalazła porzuconego konia, rozsądnie zsiadła i poczekała, aż pościg zatrzymał się przy niej.

– Mój Boże, Orle! – powiedział mężczyzna, sądząc po zachowaniu i zbroi, kapitan. – Czy to był książę Sanglant? Myśleliśmy, że nie żyje!

– Był w niewoli – odparła.

– I przetrzymał rok. – Wokół niej ludzie zaczęli szeptać. Słyszała w ich głosach melodię zachwytu, tworzącą, jak przypuszczała, początek kolejnej opowieści o odwadze, przebiegłości i sile Sanglanta. – Ale dokąd poszedł?

Ruszyli jego śladem, zaznaczonym strzępami brudnych kawałków kubraka, tuniki i nogawic, rzeczy, które niegdyś stanowiły jego odzienie, a teraz zamieniły się w cuchnące gałgany. Na brzegu rzucił swój miecz i złoty torkwes. Prąd nadal niósł patyki, trawę i nawet zakrwawioną rękawicę, szybko przesuwającą się wzdłuż przeciwległego brzegu, ale tam, gdzie zakręcił strumienia i zwalony pień utworzyły sadzawkę, Sanglant skoczył do wody głową naprzód.

Kiedy do niego dotarli, skrupulatnie odrywał z siebie ostatnie fragmenty odzienia, które wżarły mu się w skórę. Trzy psy Eików poszły za nim i teraz gwałtownie szarpały cuchnące strzępy, te, które zdołały złapać, nim porwał je prąd.

– Mój książę! – Kapitan ruszył do przodu, a na jego okrzyk psy zawyły i runęły na brzeg.

Sanglant szczerknął na nie. Nie było na to innego słowa; to nie była wypowiedziana komenda. Natychmiast posłuchały i zadowolily się siedzeniem pół w wodzie, pół na kamienistym brzegu, warcząc na każdego, kto się zbliżał, gdy książę nabierał garście piachu i szorował swą skórę i włosy, jakby zamierzał się obedrzeć do żywego mięsa.

– Pani, uchowaj – odezwał się jeden z żołnierzy, jakby mówił za wszystkich. – Jaki on jest chudy.

Ale jakby szorstki rzeczny piasek posiadał zdolność objawiania prawdy, z szorowania wynurzał się znajomy kształt: mężczyzna, którego pamiętała, choć odziany zaledwie w wodę i to jedynie do pasa.

„Nigdy nie będę kochała nikogo prócz niego”.

Mówiąc tak dawno i lekkomyślnie, przysięgając przed Wilkunem, na co się skazywała?

Odwrócił się. Jeśli dostrzegł ją wśród czekających na brzegu, nie dał tego po sobie poznać. Wyciągnął rękę.

– Nóż.

Ale kapitan zdjął własną zbroję i odzienie, po czym zbliżył się ostrożnie, trzymając tunikę i nóż. Psy wyszczerzyły zęby, ale Sanglant wyszedł z głębszej wody i odwołał je.

Liath nie mogła przestać patrzeć. Teraz, kiedy był już mniej więcej czysty, widziała, że choć jego włosy były długie i splecione, nadal nie miał brody, nawet po roku niegolenia się.

Nie miał włosów na piersi, ale poniżej pasa w każdym szczególe przypominał normalnego mężczyznę. Szybko odwróciła wzrok, bo to nie była już praca z żołnierzami sierżanta Fella przy ujściu rzeki, gdzie wszyscy byli równi sobie i nie mogli pozwolić sobie na wstyd, skoro wykonywali rozkazy. On nie był dziwadłem, żeby się na niego gapić, a przynajmniej nie powinien być za takie uważany.

Kiedy znów podniosła wzrok, odział się już w tunikę, zwykłą szatę z dobrego, mocnego płótna, przepoconą pod pachami i na karku, ale w porównaniu z jego poprzednimi rzeczami wydawała się godna księcia. Wisiała na nim, choć była odrobinę za krótka; przewyższał masywnego kapitana o pół głowy, a mimo swej chudości nadal był duży. Teraz zaczął ciąć nożem włosy.

– Wybaczcie, mój książę – rzekł kapitan. Jego głos łamał się, jakby mężczyzna miał za chwile wybuchnąć płaczem z żalu. – Pozwólcie, że wam je zetnę.

Sanglant znieruchomiał.

– Nie – powiedział. A potem, w końcu, jakby dopiero po oczyszczeniu się ze smrodu więzienia odważył się ją dostrzec, spojrzał tam, gdzie stała na wpół ukryta pomiędzy innymi. Cały czas wiedział, że tu była. – Liath.

Jak mogła nie podejść? Nóż miał dobre ostrze, a ona wiele razy podcinała włosy taty, choć teraz było zupełnie inaczej.

Ukląkł nagle z ostrym westchnieniem. Otoczka dawnego zapachu, smrodu uwięzienia, nadal wisiała wokół niego i zapewne jeszcze przez jakiś czas nie zniknie, ale jego bliskość była do zniesienia. O Pani, jego włosy były szorstkie i zbyt matowe, aby je uznać za naprawdę czyste, ale kiedy czasami musiała go obrócić, by ciąć pod lepszym kątem, dotykała jego skóry i musiała zagryzać wargi, aby powstrzymać drżenie i kontynuować.

– Co to jest? – otarła grzbiet lewej dłoni o szorstką żelazną obrożę, otaczającą jego szyję. Skóra pod nią została setki razy otarta do żywego i nawet teraz krwawiła.

– Zostaw.

Zostawiła. Nikt nie odważył się podejść, aby podnieść miecz i torkwes, kiedy psy strzegły tych skarbów.

Długie promienie słoneczne rozszczepiały się na zajączki połyskujące na wodzie. Czarne strąki zaśmiecały ziemię wokół. Zaalarmowane przedzieraniem się przez krzewy i hałasami w wodzie, umilkły wszystkie ptaki, prócz czajki, która wśród trzciny gorliwie wyśpiewywała swe niezadowolenie. W oddali zagrał róg i umilkł. Konie parskwały i drżały. Ktoś zaszeptał. Inny sikał, choć tylko go słyszała, nie widziała, bo dyskretnie oddalił się w krzaki.

– Jego serce – wyszeptał nagle Sanglant. – Skąd wiedziałaś, że ukrył swe serce w ciele kapłana? Czyje serce leży w takim razie we fjallu Rikin? Pewnie kapłana.

– Nie rozumiem. – Ale chyba zaczynała pojmować. Powiedziała to raczej, by mówić dalej, by słyszeć jego głos. Nie sądziła, że jeszcze usłyszy ten głos.

– Nie można go było zabić, bo nie miał serca. Ukrył je. On... – urwał tak nagle, jakby

pomiędzy jednym słowem a drugim stracił zdolność mówienia.

– Gotowe – rzekła szybko, byle tylko cokolwiek powiedzieć, rozdarta między obietnicą intymności, jaką ją obdarzył i absolutną niewiedzą, jakim był teraz człowiekiem i jak bardzo różnił się od tego mężczyzny, w którym się zakochała w oblężonym Gencie. – Będzie musiało wystarczyć, chyba że chcesz, abym cię uczesała, bo mam nadzieję, że w mojej sakiewce nadal jest grzebień. – Po czym zaczerwieniła się, przeklinając swe pochopne słowa; tylko matki, żony i służące czesały włosy mężczyzny, jeśli nie robił tego sam.

Zamiast odpowiedzi wstał i obrócił się, ale nie po to, by na nią spojrzeć. Ona również się obróciła, słysząc trzask łamanych gałęzi. Zbliżał się kolejny oddział.

Żołnierze już kłęczeli. Była zbyt ogłupiała, zbyt zaskoczona, by pójść w ich ślady i dopiero w ostatniej chwili, kiedy król wynurzył się spośród drzew, padła na kolana, jak należało.

Król podszedł i zatrzymał się niczym wrośnięty w ziemię jakieś dziesięć kroków od księcia. Zapadła cisza, przerywana jedynie szeptem strumienia i bulgotaniem wody przepływającej przez zwałony pień – i szeptem królewskiego orszaku, który szedł za władcą przez zagajnik i gapił się teraz na scenę przed sobą.

Słońce schowało się za wierzchołki najwyższych drzew. Wszystko skąpane było w łagodnym blasku letniego późnego popołudnia, pierwszej godziny zapadającego zmierzchu. Kiedy cisza się przeciągała, czajka umilkła, ale inne ptaki, zachęczone spokojem, zaczęły nawoływać i śpiewać: w koronach drzew rozległo się cienkie „zaj-zaj-zaj”, a wśród krzewów monotonne „cziczcz”. Przeleciał dzięcioł, zniżając się i znów wznosząc, żółty błysk na tle zielonego listowia. Liath wciąż trzymała nóż w jednej i pukiel czarnych włosów Sanglanta w drugiej ręce.

W końcu król przemówił:

– Mój synu. – Był to zaskakująco szorstki dźwięk, ale gdy ujrzała łyzy spływające mu po policzkach, zrozumiała, że szorstkość wypływała z głębin wspomnianego smutku i nowo rozkwitłej radości.

Nie powiedział nic więcej, tylko zdjął pięknie wyszywany krótki płaszcz, rozpinając złotą broszę wysadzaną szafirami i własnymi rękami narzucił go na ramiona Sanglanta jak służący. Z tak bliska Liath widziała królewskie dłonie, drżące z potężnej emocji: niezwykłego i niemal nie do zniesienia bólu, spowodowanego ujrzeniem ukochanego syna żywego.

Sanglant padł na kolana, wyczerpany lub porażony uczuciem i złożył mokrą głowę w ojcowskich rękach, jak grzesznik szukający odkupienia albo dziecko pragnące pocieszenia.

– Dalej, wstań, synu – rzekł król urywanie. Zaśmiał się cicho. – Słyszałem już wiele opowieści o twojej odwadze na polu bitwy i tym, jak zebrałeś rozproszone oddziały.

Książę nie podniósł wzroku, ale gdy się odezwał, wylała się z niego taka nienawiść, że samą jej siłą mógłby roznieść w pył całą kompanię Eików:

– Zabiłbym ich więcej, gdybym mógł.

– Niech Bóg się nad nami zlituje – wymruczał Henryk. Ujął Sanglanta pod ramię i pomógł mu wstać. – Jak udało ci się przetrwać?

Jakby w odpowiedzi – jedynej, jakiej potrafił udzielić – Sanglant odwrócił głowę i spojrzął na Liath.

5.

Psy pierwsze wyczuły, że nadchodził. Porzuciły Alaina, wszystkie, nawet Furia i Smutek, aby zbiec po zboczu, szczekając radośnie, wściekle merdając ogonami. Grupa jezdnych zbliżała się do zrujnowanego obozu. Alain ruszył w dół pomiędzy martwymi i umierającymi, by spotkać się z hrabią Lavastine'em.

Przy okopach, gdzie Eikowie leżeli na stosach, a nieliczni ludzie, którzy przeżyli, szukali wśród trupów rannych, których można było jeszcze odratować, Alain wręczył postrzępiony sztandar Lavastine'owi.

– Sądziłem, że nie żyjesz – powiedział i wybuchnął płaczem.

Lavastine podniósł brew.

– Przecież ci powiedziałem, że wrócę przez armię Eików i tutaj się z tobą spotkam. Chodź, synu. – Ujął go pod ramię i powiodł w dół, z dala od strasznej pracy, która ich jeszcze czekała: rozebrania i spalenia martwych Eików oraz wyprawienia porządnego pochówku setkom poległych żołnierzy. Dolina rzeczna nie przedstawiała sobą lepszego widoku: zupełnie, jakby powódź zalała pole i okopy, niosąc ze sobą falę trupów i zostawiając je w zakolach, wzdłuż niewidzialnych strumieni, które niegdyś były rwącym nurtem.

– Humor nie żyje. – Alain przełknął łzy, aby złapać oddech i przyznać się do słabości. – I dobry kapitan też. Zgubiłem Szarą Grzywę. Eikowie mieli przewagę liczebną. Tak niewielu przeżyło...

– Zaskakuje mnie, że w ogóle ktokolwiek przeżył. Nie mów tak, Alainie. Zapewniam cię, że bogato wyposażymy wdowę po kapitanie i będziemy go szczerze opłakiwać. Szarą Grzywę zaś znaleźli na polu, wrócił do mnie bez szwanku. A co do Humora... – Zajął się klepaniem pozostałych psów, głaskaniem ich po olbrzymich łbach i pozwolił im wylizać się do woli, aż skaczące wokół psy uspokoiły się i usiadły. Czyżby płakał? Ale znad rzeki zerwał się wiatr i łąza znikła, a może nigdy jej nie było.

Podeszli ci żołnierze, którzy zostali z piechoty Lavastine'a, aby wychwalać odwagę Alaina i rozwodzić się nad jego wielkimi czynami, kiedy bitwa zdawała się przegrana: jak sam powalił potężnego księcia Eików, jak lśnił podczas walki nieziemskim blaskiem, niewątpliwie zesłanym ręką boską.

Słuchanie pochwał zawstydzalo Alaina, ale Lavastine przytaknął poważnie i zaborczo położył dłoń na ramieniu syna. Tylko lord Godfryd, który zsiadł z konia i przyłączył się do kuzyna, wykrzywił twarz.

– Musimy jechać do obozu królewskiego – powiedział Lavastine. – Mamy jeszcze wiele do zrobienia.

– A to nam nie wystarczy? – Alain zatoczył ręką krąg, wskazując obóz.

– Że zabiliśmy Krwawe Serce i odparliśmy Eików? Na to właśnie liczyłem i wszystko poszło tak, jak chciałem.

– Jak chciałeś, kuzynie! – Lord Godfryd dał krok w przód. Niedobitki kawalerii, składającej się ze stu pięćdziesięciu ludzi, kiedy dwa dni temu maszerowali przez dolinę, tłoczyły się za nim. Alain naliczył ledwie trzydziestu, brudnych i zakrwawionych jak sam lord Godfryd.

Twarz Lavastine'a była pokryta kurzem, a jeden policzek znaczyły okrągłe ranki i małe siniaki tam, gdzie kolczuga została wbita w skórę. Znalazł na ziemi hełm i oparł na nim stopę. Wiatr szarpał mu włosy i rozwinął sztandar Lavas, sprawiając wrażenie, jakby czarne wyszywane ogary nagle złapały trop. Wyciągnął gałązkę z jasnej brody i z obrzydzeniem rzucił ją za siebie. Wiatr przyniósł zapach krwi i śmierci. W powietrzu krążyły już kruki, ale na polu bitwy nadal było zbyt wielu żołnierzy szukających rannych albo odzierających ciała Eików z kolczych spódniczek, aby padlinożercy rozpoczęli ucztę.

– Nie chodzi o mych dobrych żołnierzy – rzekł w zamyśleniu hrabia. – Żałuję, że zginęli, jak zawsze. Ale wzięliśmy Gent bez pomocy Henryka. Wobec tego będę miał przywilej dania go królowi w prezencie, gdy się spotkamy.

– Aż tak jesteś ambitny? – spytał lord Godfryd.

– To nie moja ambicja. Myślę o synu.

Wszyscy zauważyli, że Godfryd zbladł, ale nikt nie skomentował.

– Moja armia wzięła Gent – ciągnął Lavastine. – To mi daje do niego prawo.

– Ale na pewno dzieci hrabiny Hildegardy odziedziczą te ziemie – zaprotestował Alain.

– Jeśli miała dzieci. Jeśli przeżyły zimę najazdów Eików. Jeśli jej krewni są na tyle silni, aby przekonać Henryka. Jeśli jednak Henryk jest po mojej stronie, Alainie, dlaczego nie wziąć Gentu, którym, jak sobie przypominam, zarządza teraz król i nie ofiarować go lady Tallii w wianie? W ten sposób wejdziemy w posiadanie miasta jako części posagu lub też porannego prezentu, ponieważ to ona powinna cię obdarować. Pamiętaj, Alainie, jako córce księżnej to jej przysługuje prawo do obdarowania ciebie, syna zwykłego hrabiego... – wszyscy słyszeli ironię w jego głosie – ...porannym prezentem. Choć ty, oczywiście, możesz dać jej jakiś drobiazg. Mam rację, Godfrydzie?

Godfryd skłonił się, przyznając mu rację, ponieważ ziemie i majątek jego żony Aldegundy były znacznie większe od tego, co on mógł mieć – chyba, że odziedziczyłby, jak na to niegdyś liczył, hrabstwo Lavas.

– Wiele krwawych starć zaczęło się, kiedy panna młoda i pan młody tej samej rangi starali się zaćmić siebie nawzajem wyszukanymi porannymi podarkami. Jeśli szlachcic pośledniejszego rodu sprawi bogatszy podarek swej żonie pochodzącej z lepszej rodziny niż

ona jemu, może to uznać za zniewagę. Dlatego nie poprosimy otwarcie o Gent. Jednak poprzez Tallię wciąż będziemy mogli żądać tej krainy i części podatków zebranych od kupców i z portu.

Ich orszak był niewielki: trzydziestu jeźdźców, może sześćdziesięciu pieszych, ale dumny. Szli w gasnącym świetle długiego, letniego zmroku poprzez pole bitwy ku miejscu, w którym król rozbił obóz. Królewski sztandar powiewał, szarpany wieczorną bryzą, na szczycie namiotu Henryka.

Przed nim ustawiono stoły, przy których świętowano zwycięstwo ucztą, na którą zarżnięto głównie barany i krowy z jednego z wielu stad, które za panowania Eików rozpleniły się na polach uprawnych zmienionych w pastwiska. Był też chleb, niezbyt stary, przywieziony ze Steleshamu i kilka innych smakołyków, zachowanych specjalnie na tę okazję. Król musi wynagrodzić swą armię, szczególnie po takim triumfie.

Z Alainem u boku Lavastine klęknął przed królem i dumnie, nawet arogancko ofiarował mu Gent, należący do hrabiego, bo to jego oddziały zdobyły bramy. Henryk spodziewał się Lavastine'a. Krzesło po prawicy króla stało puste i to właśnie honorowe miejsce wskazał Henryk hrabiemu.

Nieznajomy mężczyzna o wychudzonej, przerażonej twarzy i brązowej skórze siedział po lewicy króla. Był odziany lepiej niż wszyscy szlachcice i Alain słyszał, jak służba szeptała, że jest to syn, którego król był stracił. Zamiast złotego torkwesu oznaczającego ród panujący nosił na szyi żelazną obrozę niewolnika. Nie odzywał się.

Alainowi przypadł w udziale zaszczyt stania za królem i nalewania mu wina. Z tego miejsca Alain widział i słyszał możnych spierających się między sobą, poirytowanych głodem i ulgą po bitwie wygranej wielkim kosztem.

Po prawej stronie Lavastine'a, wyrzucona ze swego zwykłego zaszczytnego siedziska, księżniczka Sapientia skarżyła się swej odległej kuzynce, księżnej Liutgardzie:

– Zrabował moją chwałę!

– A ja słyszałam coś zupełnie innego. Ponoć cała twoja flank padła, a on przybył na czas, aby poprowadzić twoje siły, bo ty nie byłaś do tego zdolna!

Nigdzie nie było śladu doradcy Sapientii i prześladowcy Liath, ojca Hugona. Liath stała w cieniu obok jednej z Orłów, silnie zbudowanej kobiety, która od czasu do czasu podchodziła do króla, by wyszeptać mu wieści przynoszone przez zwiadowców. Otaczała ramieniem plecy Orlicy o słomianych włosach, którą Alain zapamiętał z bitwy pod Kassel. Wraz z towarzyszką rozglądały się po zgromadzonych, jakby sprawdzając, kogo brakuje.

Armia Henryka poniosła lekkie straty, za wyjątkiem skrzydła dowodzonego przez księżniczkę Sapientię, które miało pecha znaleźć się między uciekającym księciem i jego statkami, po czym zostało zmiecione przez wyjątkowo wściekłych i zdeterminowanych Eików.

Prócz Lavastine'a i jego kuzyna przeżyło niewielu szlachciców, dowodzących armią

prowadzoną na Gent. Lord Dedi zginął; ciała lady Amalii jeszcze nie odnaleziono. Lorda Wichmana wyciągnięto żywego z prawdziwego kopca ciał, padłych wokół jego ostatniego szańca, ale leżał w namiocie poważnie ranny i nie wiadomo było, czy przeżyje. Kapitan Ulryk z Autunu przyprowadził większość swej lekkiej jazdy nietkniętą.

Ale to los zwykłych ludzi, bezimiennych i nawet nie wspomnianych podczas tego zgromadzenia, gnębił Alaina. Wychowany w wiosce, wiedział, jaki straszny żal zapanuje w domach, gdy przyjdzie ta wiadomość, a którego świętujący zwycięstwo możni nie dostrzegali. Kto będzie orał ich pola? Kogo poślubią ich ukochane? Jaki syn zajmie miejsce poległego, który nigdy nie powróci?

Było wystarczająco jasno, aby widzieć wniesione i ustawione przed królem półmiski, ale rozpalono już pochodnie. Księżyc wstał nad ruinami Gentu i kiedy zapadał zmierzch, oświetlał swym ponurym blaskiem pola, na których leżeli bezimienni polegli ludzie i Eikowie.

Przed królem i jego odzyskanym synem postawiono półmisek.

Bez ostrzeżenia książę rzucił się na mięso, jakby był głodującym psem, któremu rzucono ochłapy. Zgromadzeni jęknęli, ktoś zachichotał i szybko umilkł. Z tyłu zaczęły wściekle szczekać psy, a ogary Lavas, przywiązane w pewnej odległości od obozu, zawarczały i rozszczekały się, rzucając wyzwanie.

Książę poderwał się natychmiast. Tłuszcz kapał mu z ust. Król położył dłoń na jego rękawie. Alaina zdjęła taka straszna litość dla biedaka, że wepchnął się między Henryka i Sanglanta i zrobił z siebie widowisko, nalewając wina, byle tylko odwrócić uwagę od księcia.

Tego było trzeba. Z wysiłkiem, widocznym w drzeniu rąk, książę znów zaczął jeść, bardzo, bardzo powoli i z taką starannością, że wszyscy wiedzieli, iż ledwo się powstrzymywał przed pożarciem swej porcji jak dzikus.

– Wasza Wysokość – powiedział Lavastine, łapiąc spojrzenie Alaina i ruchem głowy sygnalizując, że młodzieniec mógł już odejść. Osiągnął cel. – Poniósłszy wielkie straty w ludziach, odbiłem Gent z rąk Eików i zabiłem stwora, który tak długo więził waszego syna.

– Owszem – rzekł król, z pewnym trudem odrywając wzrok od syna i spoglądając na hrabiego.

– Rozmawialiśmy o związku między moim synem a lady Tallią.

– Jesteście bardzo szczerzy, hrabio Lavastinie.

– Zawsze będę, Wasza Wysokość. Wiecie, czego pragnę i ile zapłaciłem, by to zdobyć.

– Ale czy wiecie, czego ja pragnę – odparł król – i czego od was zażądam, nim spełnię wasze życzenie?

– Nie, Wasza Wysokość, nie wiem, ale z chęcią wysłucham...

Król rzucił okiem na Alaina.

– Przystojny chłopak. Słyszałem dziś wiele pochwał na temat jego odwagi i zdolności bitewnych. To, że utrzymał wzgórze mimo naporu Eików, jest niewiarygodne. Nie mam

żadnych obiekcji co do jego małżeństwa z moją siostrzenicą Tallią... o ile wy złożycie mi przysięgę, że wy i wasz dziedzic będziecie wiernie wspierać wszystkie moje przedsięwzięcia.

Nim Lavastine zdążył odpowiedzieć, książę zerwał się z krzesła i pobiegł w ciemność. Król zaczął się podnosić.

– Nie, Wasza Wysokość – rzekł Alain, który nagle zrozumiał, co się stało. – Ja do niego pójdę, jeśli pozwolicie.

Król skinął głową. Alain ruszył za księciem.

Nie uszedł nawet sześciu kroków, gdy dogoniła go Liath.

– Co się stało? – zapytała, niespokojna jak pies podczas burzy.

– Nic poważnego – odparł, delikatnie dotykając jej ramienia. – Najlepiej będzie, jeśli pójdę sam. Myślisz, że chce, byś go widziała w złym stanie?

Po chwili skinęła głową i wróciła na stanowisko.

Alain i kilku zbrojnych znalazło księcia na skraju obozu. Wymiotował. Kiedy skończył, zaczął się trząść, opierając na rękach.

– O Boże – wyjąkał do siebie. – Nie pozwól, żeby mnie zobaczyli.

Alain dał krok w przód i położył dłoń na jego ramieniu. Książę szarpnął się, warcząc jak pies.

– Spokój – rzekł Alain zdecydowanie, jak do własnych ogarów, a książę otrząsnął się i zdawał przychodzić do siebie. – Jeśli głodowałeś, nie możesz natychmiast napychać żołądka tłustym jedzeniem, a przynajmniej tak twierdziła moja ciotka Bel. – Wciąż się krzywił, wymawiając to imię. – Moja była ciotka – dodał, by uspokoić gryzące sumienie.

– Kim jesteś? – zapytał książę. Miał dziwnie ochryply głos, który sprawiał, że mężczyzna wydawał się porażony żalem, podczas gdy tak naprawdę był jedynie wyczerpany i chory. Opanował się jednak na tyle, aby otrzeć usta wierzchem dłoni.

– Jestem synem Lavastine’a.

Psy znów zaczęły szczekać; książę uniósł głowę, by węszyć, a potem szarpnął się w tył i znów stał się człowiekiem.

– Niech Bóg się nade mną zlituje – wyszeptał. – Czy nigdy się nie wyzwolę z łańcuchów, w które zakuł mnie Krwawe Serce?

– To przez tę obrozę. – Alain nie wiedział, dlaczego mówił tak swobodnie, ale jego, w przeciwieństwie do króla, na wpół dziki książę nie przerażał. – Dopóki ją nosisz na szyi, na pewno nie uwolnisz się od dotyku Krwawego Serca.

– Dopóki ją noszę, pamiętam o tym, co mi zrobił. Pamiętam o tym, czym byłem i jak mnie nazywał. – Mówił tak gorzko. Alaina bolało jego cierpienie.

Ale nawet on nie potrafił powstrzymać ciekawości.

– Jak cię nazywał?

Książę jedynie pokręcił głową.

– Wróć już. Nie zapomnę dobroci, jaką mi okazałeś.

Wrócili do miejsca, gdzie król siedział, sącząc wino, a kompania jadła z samozaparciem ludzi gnębionych ciekawością, ale wiedzących, że monarcha nie zniesie pytań. Książę usiadł z przesadną uwagą i jeszcze uważniej pociągał wina i jadł kawałeczki chleba i mięsa. Ale czasami jego nozdrza rozdymały się, podnosił głowę i rozglądał się wśród zgromadzonych, jakby usłyszał komentarz, który go rozgniewał. Reszta uczyty upłynęła w spokoju. Jedli z apetytem i bez ociągania wypili całe wino.

– Dobrze się spisałeś, synu – powiedział Lavastine, kiedy wracali do namiotu zabranego szlachetkom z królewskiego orszaku. – Jestem z ciebie dumny. O Panie, książę Sanglant bardziej przypomina jednego z psów niż człowieka. Ale przypuszczam, że to krew matki go skaziła. – Podrapał Stracha za uszami, a stary ogar zamruczał w ekstazie. Alain opatrywał ranę na jego zadzie. Owinął już łapę Mocarza i przemył skałeczenia Furii i Smutka. Wiarus spał, a Radość cierpliwie czekała na swoją kolejkę.

Opatrzono już rany Lavastine'a i hrabia, Alain oraz psy byli sami w namiocie. Na zewnątrz słyszał hałasy, kiedy znoszono rannych z pola, zwiadowcy pojawiali się i znikali, ludzie obłupiali i palili ciała Eików, czujki się okrzykiwały.

– Musiał strasznie cierpieć – powiedział Alain, drapiąc Stracha pod brodą.

– Ale żyje. Mówią, że przybył otoczony psami Eików, tak mu wiernymi jak niegdyś Smoki. Jak ci się to podoba?

Alain roześmiał się.

– A dlaczego ma mi się nie podobać, skoro siedzę tutaj wśród tych wiernych bestii?

Lavastine parsknął.

– Prawda. – Przeciągnął się, krzywiąc. – Kiedy byłem w twoim wieku, kości mnie nie bolały nawet po takim dniu jak dzisiejszy. Co za dziwne stworzenie z tego księcia Eików, żeby nas tak wypuścić w katedrze, skoro mógł nas wszystkich pozabijać. To było bardzo rozsądne z twojej strony, Alainie, że go wypuściłeś.

– Nawet jeśli oznaczało to poświęcenie Półgłówka? – stary wstyd nadal palił.

– Kto to jest Półgłówek? – Lavastine ziewnął, znów się przeciągnął i przywiązał psy, a potem wezwał służącego, by zdjął mu buty. – Wiesz, co się stało z Orłem?

Alain widział, że przypominanie ojcu o Półgłówku nie miało sensu.

– Wróciła do swych obowiązków.

– Mądrze zrobiłeś, zdobywając jej lojalność. Wydaje mi się, że kiedy się ożenisz, pozycja lady Tallii pozwoli ci mieć Orły w swym orszaku. Musisz poprosić o tę. Tkwi w niej jakaś moc. Dobrze byłoby ją wykorzystać dla naszych celów, jeśli tylko zdołamy.

„Ożenisz się z Tallią”. Reszta słów Lavastine'a przemknęła wokół niego jak letnia bryza i znikła. „Ożenisz się z Tallią”.

Lavastine rozprawiał nad planami Henryka sprowadzenia Tallii na dwór, ale jego słowa gdzieś ginęły. Kiedy psy się uspokoiły i rozłożono posłania, Alain położył się obok ojca i

zamknął oczy, a pod powiekami natychmiast pojawiły się straszliwe sceny bitewne. Róża płonęła mu na piersi jak węgielek. Powoli ból przemijał. Wśród pochrapywania psów i równego oddechu ojca ohydne obrazy zmieniały się w wizję Tallii z rozpuszczonymi pszenicznymi włosami i bladą twarzą zwróconą w jego stronę. Jego żona. Związana z nim przysięgami wypowiedzianymi przy świadkach i pobłogosławionymi przez biskupinę.

Spał i śnił.

Tej nocy pomaga mu wiatr i prąd. Czuje morze i ujście rzeki, nim podpłyną zbyt blisko. Cumuje swe osiem okrętów na zachodnim brzegu i wysyła na zachód zwiadowców, aby stali na straży na wypadek, gdyby Miękkim zdarzyło się wysłać żołnierzy, by szukać uciekających SkalnychDzieci. Bez wątplenia są zbyt zajęci zabijaniem tych, którzy umykają w rozsypce. Niewątpliwie są zbyt zajęci grzebaniem swego rodzaju, bo żaloba odciąga ich od ważniejszych celów.

Nieszczęście spowodowane śmiercią Krwawego Serca zapewne uderzy w SkalneDzieci, ale tylko głupiec nie wyciągnąłby z niego korzyści. Żaden z ambitnych synów Krwawego Serca nie zabiłby czarownika, nie ściągając na siebie jego zemsty. Teraz przeznaczenie dopadnie kogo innego.

Stary kapłan siedzi na dnie łodzi i śpiewa głupoty, wycierając krew płynącą mu z piersi i oblizując palce.

– Jak to zrobiłeś? – pyta stare, zwariowane stworzenie. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Dlaczego cię to ciekawi? – mówi stary kapłan, który zazwyczaj odpowiada pytaniem na pytanie.

– Krwawe Serce znalazł twe serce ukryte we fjallu Rikin. Wymusił na tobie wymianę, ukrycie jego serca na miejscu twojego.

– Czy ktokolwiek teraz odnajdzie me serce? – zawodzi stary kapłan.

Bez wątplenia jest na wpół szalony. To cena, którą płacą za swą moc tacy jak on.

– Co się stało z twoim sercem? – pyta ponownie. – Jak udało ci się ukryć serce Krwawego Serca w twej piersi, skoro miało zostać ukryte we fjallu?

– Czy on myślał, że jest sprytniejszy ode mnie? – parska kapłan, w jego zamglonych oczach przez chwilę migoce spryt. Stworzenie jest bardzo stare; to najstarszy samiec, jakiego widział. – Czy on myślał, że zabiorę moje stare serce na pole bitwy? Mógłbym zostać zabity!

– Czy ty boisz się śmierci? A klątwa brata z gniazda...

– Klątwa! Klątwa! Czy ja wyglądam jak pisklak? Odwróciłem klątwę. Ukradłem głos Krwawego Serca i dokończyłem ją za niego. Ha! Ha! – Zaczyna śpiewać, ale pieśń jest dziwna, jak rzeka płynąca pod górę. – „Niech ta klątwa spadnie na tego, czyja dłoń pokierowała ostrzem, które przeszło jego serce”. Tralalalala!

Nie wyciągnie już ze starego nic sensownego, więc sprawdza łańcuchy, którymi go przykuł, zanim wyda rozkazy swym żołnierzom. Połowie z pozostałych z nim kuzynów

nakazuje strzec okrętów. Drugą połowę zabiera ze sobą, biegnąc na północ po szczytach klifów aż do ujścia rzeki.

Piąty syn z piątego miotu wie, jak wyciągać wnioski z raz danej nauczki: człowiek zwany hrabią Lavastine'em pojmał go, gdy jego okręt wpadł w pułapkę u ujścia rzeki Vennu. To się nie powtórzy. Jeśli u ujścia rzeki czeka na nich pułapka, będzie na nią przygotowany.

Wyczuwa zapach ludzkich żołnierzy na długo przed dostrzeżeniem wiele mówiących zarysów niewielkich umocnień ustawionych na wzgórzu i ukrytych za przemyślną płataniną gałęzi i zielska. Niektóre z roślin oplecionych na wałach są jeszcze żywe, choć kiedy liże powietrze, na języku osiada mu intensywny zapach zgnilizny.

Jego kuzynowie kręcą się i warczą niespokojnie, ponieważ nie pozwolił im walczyć, gdy opuszczali Gent. Smakuje ich niezadowolenie, ale nie nauczyli się jeszcze cierpliwości. Nauczają się jej tej nocy albo zginą.

Podnosi rękę i nakazuje im się rozstawić. Piasek pod jego stopami jest śliski, piasek, szorstka trawa i rośliny, które potrafią przetrwać mimo wszechobecnego wichru. Uderza oszczepem o tarczę i z głębi fortu dobiega go odgłos gwałtownej szamotaniny ludzi gotujących się do bitwy.

– Słuchajcie mnie! – woła. – Wyślijcie swego przywódcę na rozmowę, bo moje siły są liczniejsze! – Smakuje powietrze, poszukując ich esencji. – Jest was tylko trzydziestu, a ja mam ponad setkę swoich. Daję wam wybór: walczcie z nami i zgińcie tej nocy albo wycofajcie się z waszego fortu na południe i zachód, do obozu waszego rodzaju i żyjcie.

– Jak możemy ci zaufać? – odkrzykuje jeden z nich, widoczny tylko jako cień hełmu na tle nieba i wyczuwalny w unoszącym się w powietrzu zapachu upartości.

– Ja jestem tym, którego lord Alain uwolnił w zamku Lavas. Przysięgam wam na honor tego pana, że nie uczynię wam krzywdy... jeżeli natychmiast opuścicie to miejsce, oddając je mnie!

Mężczyzna splota, choć plwocina nie dosięga tak daleko.

– Ty, Eika, przysięgasz na honor naszego dobrego lorda Alaina!

Uparte stworzenie! Nie ma czasu do stracenia. Niedługo przyplynie reszta okrętów.

– Wobec tego, jeśli macie wśród was dzielnego człowieka, wyślijcie go do nas, a ja zostanę zakładnikiem pod jego nożem, dopóki reszta nie odejdzie. Kiedy już się oddalicie, podążę za wami nie niepokojony. Ale musicie działać natychmiast albo zaatakujemy.

Rozmawiają. Nie słyszy ich, ale zapach ich strachu opanowuje powietrze, jest ostry na języku. Musieli się już zorientować, że są otoczeni i w mniejszości.

Oczywiście, w końcu się zgadzają. Nie mają wyboru prócz śmierci, a Miękczy zawsze walczą o życie, nawet jeśli muszą wieść żywot psa. Jak stary kapłan obawiają się śmierci i przejścia do fjallu niebios, a ten strach można wykorzystać przeciw nim.

Wynurza się jeden z nich. Daje dwa kroki w przód i pozwala człowiekowi przyłożyć sobie nóż do gardła, a reszta odmaszerowuje szybko w szyku w noc szarą od światła księżyca. Jego

żołnierze zalewają fort i idą na brzeg. Szczekają do niego. W forcie są maszyny; z niecierpliwością wpatruje się w mężczyznę przed sobą, który w końcu opuszcza nóż i cofa się powoli.

– Pamiętam cię – mówi mężczyzna, a potem odwraca się i ucieka, jakby oczekiwał strzały w plecy. Jeden z jego kuzynów natychmiast podnosi łuk i namierza łatwy cel. Skacze do przodu i zbija łuk.

Głupi kuzyn klnie.

– Jesteś słaby, pozwalając im uciec!

Tylko chwilę zajmuje zabicie go za to nieposłuszeństwo. Potem odwraca się do innych.

– Pytajcie, jeśli musicie, ale mi się nie sprzeciwiajcie. Zamierzam dokonać tego, czego nie dokonał Krwawe Serce, ponieważ nie chciał pozwolić, aby kierowały nim nauki Mądrych Matek.

Czeka, a krew spływa mu na stopy, ogień ożywiający kuzyna rozlewa się po ziemi i wsiąka w nią. Nikt się nie odzywa.

– Rozejść się – nakazuje, bo wie już, co hrabia tu przygotował. Przebiegły człowiek ten hrabia, godny wróg.

Wkrótce zaczynają przyplływać inne okręty, uciekając od śmierci Krwawego Serca, końca jego armii i władzy. Obserwuje nieporuszenie ich przybycie z czarnym przyplływem.

Chwilę później Vesper pełen jest szczątków, a niektóre zawracają przed łańcuchem, by wylądować na zachodnim brzegu. Tych, którzy nie obnażą przed nim gardel, zabiją jego żołnierze.

Wkrótce będzie musiał odczepić łańcuch, aby sam mógł bezpiecznie przepłynąć i dotrzeć do fiordu Rikin z łupami, ale przynajmniej tej nocy zniszczy tylu rywali, ilu zdoła.

Z tych, którzy zgromadzili się w Gencie, niewielu przeżyje – a ci, którzy przeżyją, będą należeć do niego.

Jego żołnierze wykonują swe zadanie szybko i skutecznie. Wspina się na mały port i z tego miejsca obserwuje, jak serce Starego Samca, księżyc, zapada na zachodzie za horyzontem, a gwiazdy, oczy najstarszych Matek, patrzą z błyszczącą obojętnością na przepływające wody i cichą ziemię. We fjallu niebios, dolinie czarnego lodu, wieją zimne wiatry, a ich szeptane rozmowy trwają całe życie. Ale i tak są piękne.

6.

Zapadła noc, ale Liath nie mogła spać.

Wysłała Hathui na spoczynek i sama zaoferowała się stanąć na warcie, bo jeden Orzeł zawsze strzegł ze strażnikami królewskiego namiotu.

Księżyc był dziś po pełni i widziała tylko najjaśniejsze gwiazdy. Ale nie mogła się wystarczająco skoncentrować, aby je obserwować i odczytywać ich sekretne obroty w języku,

którego nauczył ją tato, w języku matematyków.

Sanglant żył.

Żył.

Tak się zmienił.

A jednak nie zmienił się wcale.

– Orle.

Szept dobiegał z cienia, tak cichy jak równy oddech wiatru wiejącego pomiędzy namiotami. Zesztywniała i odwróciła się, by poszukać jego źródła.

Z mroku wynurzyli się dwaj strażnicy z pochodniami. Trzeci mężczyzna prowadził muła, a na grzbiecie zwierzęcia siedziała kobieta w szatach kleryczki. Ale nie podjechała na tyle blisko, aby żołnierze przy królewskim namiocie dostrzegli jej twarz.

Liath ostrożnie poszła jej na spotkanie.

To była siostra Rosvita, zdenerwowana i nieswoja.

– Nie jesteście w taborze?

Rosvita pozwoliła, by służący pomógł jej zsiąść i gestem odprawiła jego oraz strażników. Cofnęli się, stając kilka kroków dalej.

– Jestem, ale musiałam go opuścić i przyjechać tutaj, a księżyc świecił wystarczająco jasno.

– Ale w lesie wciąż mogą grasować jacyś Eikowie!

– Nie jesteście tak daleko, jak się obawiałam. Nie widzieliśmy Eików. Muszę z tobą pomówić, Orle. To łaska Pańska, że trafiłam od razu na ciebie.

Ku kompletnemu zaskoczeniu Liath, kleryczka wyjęła z sakwy przy siodle muła pakunek owinięty w płótno i wyciągnęła go przed siebie. Liath od razu wiedziała, co to jest.

– Jak to zrobiliście? – wyszeptała, ledwo mogąc się odezwać.

– Czy wiesz, co w niej jest? Nie, nie kłopotz się odpowiedzią. Widzę, że wiesz. Wiem, że potrafisz czytać po dariyańsku... – Kleryczka mówiła szybko, najwyraźniej poruszona, choć Liath zawsze widywała ją spokojną. – Dlaczego miałabym ci ją oddać?

Była dwa razy młodsza od kleryczki. Łatwo mogła wyrwać jej książkę i uciec. Ale nie zrobiła tego, choć nie potrafiła też dać zadowalającej odpowiedzi.

– To wszystko, co mi zostało po tacie!

– Czy twój tato był matematykiem?

Kłamstwo nie miało sensu. Rosvita najwyraźniej czytała książkę.

– Tak.

– Czym ty jesteś, Orle? – zapytała kleryczka.

– Sierotą – odparła głucho. – Mam tylko Orły. Błagam was, siostró, nie stanowią dla nikogo zagrożenia.

Rosvita spojrzała na gwiazdy, jakby pytając je, czy Liath mówiła prawdę, czy też przebiegle ją zwodziła. Ale gwiazdy rozmawiały jedynie z tymi, którzy znali ich język, więc

nie otrzymała odpowiedzi.

– Nie odważę się jej zatrzymać – wyszeptała.

– Jak ją zdobyliście?

– Nieważne.

– Czy potraficie... ile już...? – ale bała się pytać. Za nimi trzech eskortujących kleryczkę gwardzistów zbliżyło się do siebie, pijąc coś ze wspólnej flaszki. Wydawało jej się, że wyczuła miód, ale tak wiele zapachów roztaczało się i mieszało w powietrzu, że nie miała pewności, czy była to słodycz sfermentowanego miodu, czy też odór krzepnącej krwi.

– Nie potrafię czytać po jinnijsku, choć ty tak. – To nie było pytanie. – A czwarty język jest mi nieznanym. Miałam tylko chwilę, by spojrzeć na aretuzański i dariyański, ale nie potrzebowałam więcej, by rozpoznać, co widziałam. Niech cię Pani broni, dziecko! Dlaczego jeździsz jako zwykły Orzeł?

– To mi zostało zaoferowane.

– Przez Wilkuna?

– Wybawił mnie od Hugona.

Księżyc wywabiał z twarzy Rosvity jakikolwiek wyraz, jednak kleryczka tylko pokręciła głową i po prostu podała książkę Liath.

Złapała ją i przycisnęła do piersi.

– Sądzę, że naprawdę należy do ciebie – wyszeptała Rosvita z wahaniem. – Boże, spraw, żebym się nie myliła. Ale musisz do mnie przyjść i porozmawiać o tej sprawie. Twoja nieśmiertelna dusza jest w niebezpieczeństwie. Kim jest Siedmiu Śpiących?

– Siedmiu Śpiących – wymruczała Liath, wywołując wspomnienia. „Strzeż się Siedmiu Śpiących”. Tak napisał tato. – Wiem tyle, ile napisano w książce.

– Nigdy nie słyszałaś historii, zapisanej w *Historii eklezjastycznej* Euzebiusza?

– Nie, nie czytałam Euzebiusza.

– Podczas prześladowań daisanitów przez cesarza Tianothano, siedmiu młodych ludzi ze świętego miasta Sais ukryło się w jaskini, aby zebrać siły przed czekającym ich męczeństwem. Ale jaskinia zamknęła się cudownie, a oni zasnęli.

– Na jak długo?

– Euzebiusz tego nie podaje. Ale nie tylko tam zetknęłam się z tym mianem. Czy słyszałaś o bracie Fidelisie z klasztoru w Hersfordzie?

– Nie.

– „Odwiedzają mnie diabły w przebraniu uczonych i magów” – zacytowała Rosvita, doskonale pamiętając rozmowę – „kuszając mnie wiedzą w zamian za wyjawienie sekretów Siedmiu Śpiących”.

– Czy oni byli...? – Liath urwała. Wiatr szeleścił w płótnie namiotów i nagle przypomniała sobie demona, który śledził ją na pustej drodze. Zadrzała. – Nie wiem, co robić – wymruczała, znów się bojąc. Tato zawsze powtarzał: „Najgorszy wróg to wróg

niewidzialny”.

Jak to miała w zwyczaju, Rosvita wyciągnęła rękę jak diakonisa udzielająca błogosławieństwa.

– Są inni, którzy mogą ci doradzić lepiej ode mnie. Musisz poważnie pomyśleć nad udaniem się do klasztoru świętej Walerii.

– Jak mogę? – wyszeptała Liath, przypominając sobie wizję oschłej matki Rotgardy. – Sztuki matematyków są zakazane.

– Zakazane i potępione. Ale głupotą ze strony Kościoła byłoby nie zgłębiać tajników tej magii. Matka Rotgarda od świętej Walerii nie jest preceptorką, u której chciałabym studiować. Jest niecierpliwa i niedobra. Ale nigdy nie słyszałam, by szeptano, że kusi ją wiedza, którą posiada. Jeśli nie możesz się zmusić, by mi zaufała, jedź tam, błagam cię. – Spojrzała na służących. – Muszę wracać do taboru, inaczej zorientują się, że mnie nie ma. Ranek szybko nadchodzi.

Zatrzymała się, patrząc na Liath, jakby chciała czytać w jej duszy. Potem odeszła.

Liath była zbyt oszołomiona, by się poruszyć. Ramiona ją bolały od ściskania książki, a jeden róg boleśnie wbijał się jej w żołądek, uciskając żebra. Oddychała zgodnie z rytmem nocy. Przeraził ją błysk bieli i obróciła się, by zobaczyć, jak wielka sowa bezszelestnie ląduje na ziemi tuż za kręgiem światła rzucanego przez latarnię zawieszoną u wejścia do namiotu króla Henryka. Spojrzała na nią wielkimi złotymi oczami i równie nagle poderwała się do lotu, znikając w ciemności.

– Liath.

Oczywiście, że wiedział.

Nie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Nie zniosłaby tego.

– Ukradłaś książkę – powiedział raczej z zaskoczeniem niż oskarżycielsko. – Opuściłem pole bitwy, kiedy tylko stało się jasne, że wygraliśmy i przejechałem całą drogę do taboru, aby przekonać się, że znikła. Jak ci się to udało? Jakiej magii użyłaś?

Nie odwracała się, by na niego spojrzeć ani nie odpowiadała, więc złapał ją za ramię, odwrócił i uderzył tak mocno, że straż stojąca przy namiocie popatrzyła w ich stronę. Ale rozpoznali sylwetkę szlachcica, jego postawę, odzienie i wiedzieli, że ona była jedynie zwykłym Orłem. Odkaszlęli i odwrócili głowy w drugą stronę. To nie była ich sprawa.

Wściekły, złapał ją za łokieć i pociągnął, ale jej stopy wrosły w podłoże. Nie mogła się szarpać, nie mogła walczyć, nie mogła uciec. Policzek piekł.

O Pani, czy rzucał na nią czary? Ale w takim razie przed czym chronił ją tato, jeśli nie przed tym? Dlaczego nigdy nie ochronił jej przed Hugonem?

– Niech cię zaraza, Liath – powiedział, ześlizgując się w otchłań gniewu. – To jest moja książka, a ty jesteś moją niewolnicą. Powiedz mi to. Powtarzaj za mną, Liath: „jestem twoją niewolnicą, Hugonie”. Nigdy mi nie uciekniesz.

Czy Hugo spenetrował jej duszę wystarczająco głęboko, czy zabarykadował jej serce w

zamrożonej wieży tak dokładnie, że mógł kontrolować resztę wedle własnej woli?

Była bezradna. Nigdy się nie uwolni. Kiedy jego chwyt się zacieśniał, jej buty zaszurały po ziemi, słabła, spadała; zaczęła osuwać się w ciemność.

– Powiedz to, Liath.

Zbyt sparaliżowana strachem, by płakać, wyszeptała jedyne słowo, jakie przeszło jej przez gardło:

– Sanglant.

7.

W nocy wychodziły szczury, by żerować na kościach. Odgłosy ich pazurów na kamiennej posadzce nieustannie wrywały go z drzemki.

Ale nie chciał otwierać oczu. Dlaczego Bóg dręczył go, zsyłając takie sny? Dlaczego matka go przeklęła, dając życie? Lepiej było umrzeć, niż śnić, że Krwawe Serce nie żyje. W ten sposób Krwawe Serce więził go jeszcze bardziej, skuwając desperacją.

W pobliżu zaskomlały psy, bijąc ogonami o ziemię. Jeden zawarczał.

– Cicho, synu – powiedziano głosem jego ojca. Dłoń dotknęła jego włosów, gładząc je delikatnie, jak to wiele lat temu robił jego ojciec, gdy był pogrążony w malignie po stracie niani, kobiety, która go wykarmiła i odchowała. Umarła na febrę i choć całymi dniami siedział przy jej łóżku, nie zwracając uwagi na jej szeptane prośby i rozkazy ojca, by ją zostawił, bo inaczej zarazi się i umrze, nie odszedł – ani nie zachorował.

„Żadna znana ci zaraza go nie dotknie”.

Dłoń gładząca teraz jego włosy była ciepła i ciężka.

Zerwał się, warcząc i cofnął się, widząc nie chłodną nawę katedry, tylko wewnątrz namiotu z konturami zatartymi przez łagodne światło latarni. Jego ojciec siedział na krześle polowym przy posłaniu, na którym on spał. Dwaj służący spali na podłodze; poza tym byli sami.

Król nie cofnął ręki, tylko odgarnął kosmyk włosów z oczu Sanglanta.

– Cicho, dziecko – powiedział miękko. – Śpij dalej.

– Nie mogę – wyszeptał. – Zabiją mnie, jeśli zasnę.

Henryk lekko pokręcił głową, drobny gest w ciemności.

– Kto cię zabije?

– Psy.

Król westchnął ciężko i stanowczo położył rękę na ramieniu Sanglanta.

– Już nie jesteś więźniem Krwawego Serca, synu.

Sanglant nie odpowiedział, ale jego dłoń powędrowała ku żelaznej obroży. Henryk złapał tę dłoń i odciągnął ją od szorstkiego metalu niewolniczej obroży.

– Nie, dziecko, nie. Zdejmiemy ją. – Napluł na czystą lnianą szmatkę i dotknął otarć na szyi Sanglanta, gdzie żelazo wżarło się w skórę. Złoty torkwes zamigotał na szyi Henryka,

gdy król się pochylił i zniknął w mroku, kiedy się cofnął, przyglądając się synowi. Poraził oczy Sanglanta jak błyskawica: symbol krwi królewskiej, który dał Henrykowi prawo do ubiegania się o tron, a osoba Sanglanta, jego bezpieczne przyjście na świat, potwierdziło jego prawo do władania po ojcu, Młodszym Arnulfie.

– Chodź – rzekł król. – Jeśli nie możesz spać, to zjedz trochę. Kazałem przynieść jedzenie...

– Żebym najadł się w samotności i nie narobił sobie wstydu? – Ale nie miał zamiaru warczeć jak atakujące psy. Jęknął i skrył twarz w dłoniach.

Henryk zaśmiał się cicho.

– Czasami zachowywałeś się tak w dzieciństwie, Sanglancie. Wcale nie jest źle być czujnym jak pies. Czasami wydaje mi się, że książęta nie są lepsi od psów, które podążyły za tobą z Gentu, walcząc między sobą. Niektórzy z nich rozerwaliby mi gardło, gdyby mieli szansę lub gdybym okazał przy nich najmniejszą oznakę słabości.

– Piękny lord ze wspaniałym orszakiem – rzekł Sanglant gorzko, przypominając sobie zniewagi Krwawego Serca.

– Choć możemy im teraz poderznąć gardła, skoro są w łańcuchach...

– Nie! – Zerwał się na równe nogi. Wyprostowany górował nad ojcem. – Były mi wierne. Jak moje Smoki...

– Siadaj! – rozkazał Henryk. Sanglant zatoczył się, wciąż wyczerpany i zdeorientowany, padł na drugie krzesło. Tuż przy nim stał stolik, a na nim koszyk chleba i miseczka świeżo zebranych jagód. – Ale nie zabijemy ich, skoro możemy je trzymać w łańcuchach, bo służący powiadają, że one przegryzają skórę, aby ci służyły jako przypomnienie.

Sanglant podniósł miseczkę i przystawił do nosa, ale świeży zapach jagód sprawił, że żołądek mu się ścisnął. Odstawił ją i urwał kawałek chleba. O Panie, był taki głodny, ale nie mógł się napychać. Na początku musiał jeść niewielkie porcje, aby nauczyć na nowo żołądek, jak trawić.

– Przypomnienie czego? – zapytał, aby się powstrzymać przed pożarciem chleba.

– Książąt i szlachty królestwa.

– A dlaczego miałbym chcieć o nich pamiętać? – Wciąż obracał chleb w palcach. Fascynował go widok jedzenia, które mógł wziąć lub zostawić, zgodnie z własną wolą.

Henryk pochylił się do przodu i zniżył głos jak spiskowiec. Sanglant znieruchomiał z chlebem uniesionym do ust.

– Musimy poruszać się powoli i z wielką ostrożnością planować każdy krok, jeśli masz zostać królem po mojej śmierci.

Sanglant odłożył chleb.

– A dlaczego miałbym chcieć być królem?

Henryk zaczął odpowiadać, ale wiatr przyniósł inny, bardziej niepokojący dźwięk: głos Liath, jej strach i desperację. Wołała go.

Zerwał się tak gwałtownie, że odepchnięte krzesło zachybotało i przewróciło się. Wypadł na zewnątrz, zanim usłyszał, niby echo swego wyjścia, uderzenie krzesła w ziemię. Gwardziści rozpięchli się, zaskoczeni, ale on wiedział, dokąd biegnie.

Jakiś szlachcic odważył się ją dotknąć.

Sanglant złapał go za ramię i oderwał od niej, zanim, słysząc jej okrzyk, opanował się i spojrzał na tego człowieka.

Wiele lat minęło, ale tej twarzy nigdy nie zapomniał.

– Hugo. – Otworzył dłoń, a mężczyzna strząsnął ją i cofnął się pospiesznie. Był wściekły; Sanglant czuł jego gniew.

– Wybaczone, panie książę. Ten Orzeł służy księżniczce Sapientii i właśnie ją odprowadzałem.

– Włokąc ją wbrew jej woli?

Głos drugiego mężczyzny zmienił się, złagodniał, uspokoił, ale jego ton sprawił, że Sanglantowi włosy stanęły dęba.

– Nie, ona chce pójść ze mną. Prawda? Prawda, Liath?

W odpowiedzi Liath przesunęła się w bok i przytuliła do piersi Sanglanta. Pakunek, który trzymała, boleśnie uciskał mu żebra.

– Liath! – powiedział Hugo rozkazująco. Ale nawet w dawnych dniach w królewskiej scholi młody lord Hugo wymagał posłuszeństwa i nienawidził tych, którzy nie chcieli albo nie musieli mu się podporządkować. – Liath, pójdiesz ze mną! – Z jej gardła wydobył się raczej jęk niż prośba i ukryła twarz w piersi Sanglanta.

Nie mógł się powstrzymać. Zawarczał nisko, a zza królewskiego namiotu zawtórowały trzy psy, które mu jeszcze zostały. Hugo, przestraszony, cofnął się jeszcze o krok, a potem opanował się i uśmiechnął słodko.

– Wiesz, jak cię niektórzy teraz nazywają, prawda? Księciem psów.

– Trzymaj się od niej z daleka.

Ale Hugo jedynie zmierzył go wzrokiem i sardonicznie uniósł brew.

– „Nie dawajcie psom tego, co święte”. – Po czym odwrócił się i odszedł, arogancko wzruszając ramionami.

Nie poruszyła się. Bez namysłu położył dłoń na jej ramieniu i przyciągnął bliżej. Zaskoczona, podniosła głowę.

Długo znosił głód. Śnił o niej, ale była jedynie kształtem, zapamiętanym cieniem, w który jego własna potrzeba i rozpacz wlały światło. Teraz dotknął jej policzka, jak ona niegdyś dotknęła go w ciszy krypty. Nie odpowiedziała, nie cofnęła się, ale czuł jej rytmiczny oddech. Jego własny nie był tak spokojny.

– Wyjdź za mnie, Liath – powiedział, bo tylko to potrafił jej teraz rzec. Czyż nad strumieniem nie obcięła mu włosów? Czyż nie oswobodziła go z łańcuchów Krwawego Serca? Czyż jej wspomnienie nie było wszystkim, co powstrzymywało go przed

popadnięciem w szaleństwo?

Płótno u wejścia do namiotu zawiroowało i król wyszedł w noc, nagle pełną zapowiedzi świtu: śpiewał ptak, drzewo odcinało się na szaro, nie na czarno na tle nieba, księżyc zaszedł i gwiazdy bladły.

Henryk zatrzymał się, gdy Liath go dostrzegła i natychmiast cofnęła o krok od Sanglanta.

– Wasza Wysokość! – powiedziała tonem złodzieja, przyłapanego z ręką zanurzoną w skrzyni z królewskim skarbem.

Jego twarz zamieniła się w kamienną maskę. Ale głos był czysty, spokojny i rozkazujący:

– Orle, już czas powiadomić mego syna Ekkeharda i innych z królewskiej scholi, którzy zostali w moim pałacu w Weraushausen, że jesteśmy bezpieczni, a Gent odbity. Możesz odejść.

– Panie królu – zaczął Sanglant.

Liath zadrżała i cofnęła się jeszcze o krok.

– To mój obowiązek. Muszę jechać.

Pozwolił jej odejść. Nie zatrzymałby Liath wbrew jej woli, nie po tym, kiedy sam był więźniem. Szczerze się w tej chwili nienawidził za to, czym się stał. Książę psów: tak go teraz nazywali, tak nazywał go Krwawe Serce. Dlaczego miałyby pamiętać to, co kiedyś czuła, lub co sądził, że czuła, kiedy po raz pierwszy spotkali się w Gencie?

Zawsze był posłusznym synem.

Wciąż się wahała, nerwowo spoglądała na króla, aż wreszcie podskoczyła do niego w nagłym impulsive i wepchnęła mu w ramiona pakunek.

– Opiekuj się tym, błagam – szepnęła tak cicho, że tylko on usłyszał. A potem odwróciła się i odeszła w szarzejący świt.

Patrzył za nią. Podniosła dłoń, by przerzucić warkocz i kołysał się na jej plecach ruchem tak kuszącym i atrakcyjnym, że nie mógł od niego oczu oderwać.

– Wracaj do środka, synu – powiedział Henryk, jednocześnie rozkazując i prosząc. W głosie ojca pojawił się ton, którego na początku nie mógł zinterpretować, ale powoli pojawiały się stare wspomnienia dawnych utarczek i wreszcie nadał mu właściwą nazwę.

Zazdrość.

– Nie – odparł. – Nie mogę wrócić do środka. Tak długo byłem w zamknięciu... – Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz słyszał trele ptaków o świcie? Widział najjaśniejsze gwiazdy wtapiające się w leniwą szarość poprzedzającą poranek? Oddychał świeżym powietrzem, choć skażonym odległym zapachem ognia i śmierci?

Chwilę przed tym, nim zniknęła mu z oczu wśród odległych namiotów, zatrzymała się i odwróciła, by na niego popatrzeć, a potem rozplynęła się w budzącym do życia obozie.

– Zapomniałem, jakie słońce jest jasne – rzekł, nie odrywając wzroku od miejsca, w którym ją widział po raz ostatni. – Jakie słodkie powietrze.

– Co ona ci dała? – zapytał Henryk.

„Obietnicę”. Ale nie powiedział tego na głos.

Epilog

Szli nie tylko ze Steleshamu, ale też z otaczających go wiosek, ludzie, którzy dostrzegli możliwość rozpoczęcia życia od nowa w Gencie albo uprawiania ziem pod miastem. Zaludnili drogi, kiedy tylko rozeszła się wieść, że czarownik Eików zginął, a jego armia została rozbita. A kiedy plotka dotyczyła zwycięstwa i możliwości zbiccia fortuny, słowo podróżowało szybko jakby niesione na skrzydłach ptaków, wyśpiewujących swe trele.

– Wrócimy – powiedział Matthias. – Będą potrzebowali robotników w garbarni. Na Pana i Panią, nie wiem, co zrobimy z tobą i Heleną! Dwie niemowy! – A potem przytulił ją, pokazując, że nie był zły. Bał się; Anna wiedziała o tym i wiedziała też, że miał rację. Musieli wrócić do Gentu. Musieli odnaleźć papę Ottona, który ocalił ich dawno temu.

– Mistrz Helvidius będzie za ciebie mówił, prawda, mistrzu? – ciągnął młodzieniec. – Nieważne, że nie umiesz mówić.

Ale stary poeta się skrzywił.

Siedzieli na belce w ruinach budynku, spalonego podczas najazdu Eików na warownię zeszłej jesieni i przyglądali się ruchowi na drodze. Mężczyźni ciągnący wozy, obładowane kobiety, dwie obdarte diakonisy, objuczone osły i od czasu do czasu bogata kobieta z wozami zaprzęzonymi w woły i orszakiem służących. Wyglądało na to, że przechwałki pani Giseli, twierdzącej, że Stelesham był kiedyś prosperującą warownią przy głównym trakcie, okazały się prawdą, a nie bujdamy kobiety pożądamcej statusu i pieniędzy.

Ich małe pakunki leżały przy belce, ale pomimo całej swej niecierpliwości Matthias nie mógł się zdecydować na postawienie stóp na drodze, a mistrz Helvidius nawet nie wyniósł swego skromnego dobytku z chaty.

– Armia powraca – rzekł Helvidius. – Jest z nią wielu szlachciców, którzy nie dalej jak cztery dni temu słyszeli moje deklamacje. Na pewno będą chcieli mieć w orszaku poetę o moich zdolnościach.

– Opuścisz nas? Nie pójdziesz z nami?

Anna położyła dłoń na poszarpanym rękawie Matthiasa.

– Co miałbym robić w Gencie? – wyjęczał Helvidius. – Burmistrz i jego krewni nie żyją.

Nie wiem, jaka pani zażąda prawa do zbierania podatków, czy też król zatrzyma miasto dla siebie. Mówili, że król zamierza założyć tam klasztor pod wezwaniem świętej Perpetui, Pani Bitew, w podzięce za ocalenie jego syna. Mnisi nie pozwolą mi śpiewać o Waldradzie i dzielnej Helenie! – Odczepił od swojego kolana grube paluszki Heleny i podał ją Annie, ale ona nagle ukucnęła, aby wygrzebać z błota biedronkę, która cudem uniknęła zmiżdżenia przez sandały poety. – Nie, Gent już nie będzie taki sam. Muszę gdzie indziej szukać dla siebie miejsca.

– A co z nami?! – zapytał Matthias, zrywając się na równe nogi. – Umarłbyś tej zimy, gdybyśmy cię do siebie nie wzięli!

Anna złapała go za rękę i wolną dłonią pokazała „Nie”. Jedna z kleryczek w orszaku lorda Wichmana wysłuchiwała ich prośb i nauczyła ją prostych znaków migowych, używanych w klasztorach, aby mogła się porozumiewać.

Matthias warknął i usiadł z ponurym wyrazem twarzy.

Usłyszeli kolejny głos:

– A idź sobie! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, wychowałam cię po śmierci twojej drogiej matki, nauczyłam cię wszystkiego, co sama wiedziałam o tkaniu, karmiłam przy własnym stole...!

– Zrobiłaś ze mnie kurwę, kiedy ci pasowało!

Scena w bramie Steleshamu posiadała dramatyzm i napięcie, których brakowało, gdy Helvidius śpiewał *Złoto Hevelów* przed pijaną i nieuważną publicznością.

– Nie jesteś już moją krewną, ty niewdzięczne dziecko! Nie oczekuj gościny pod moim dachem! Okradasz mnie!

– Zabieram tylko to, co dostałam w spadku po matce. – Wypowiedziawszy te słowa, siostrzenica Giseli odwróciła się do ciotki plecami i ruszyła drogą. Na plecach niosła zrolowane ubrania oraz materiały i w przeciwieństwie do większości podróżnych wiodła za sobą orszak: trzy kobiety, które pracowały w warsztacie tkackim u młodego mężczyzny, niedawno ożenionego z jedną z nich. Młodzik ciągnął wózek wyładowany kadzią farbiarską, owczymi skórami, częściami krosien, a także pomniejszymi przedmiotami, upakowanymi w torbach, garnkach i koszykach; kobiety niosły dziecko, mniejsze części krosien i zgrempowaną wełnę.

– Obyś zdechła! – wrzasnęła za nimi Gisela.

Anna doznała naglego przecucia, że oto nastał czas, by odejść. Wstała, złapała tobołek i nakazała Matthiasowi zrobić to samo. Był tak silny, że nie sprawiało mu problemu niesienie tobołka i Heleny, która ważyła tyle, co jej radosny śmiech i chwytne kończyny. Być może, pomyślała Anna, w jakiś sposób oddała swój głos w zamian za kulawą nogę brata; nie była to taka zła wymiana.

Helvidius nie poszedł za nimi. Helena zaczęła płakać.

Szloch dziecka zainteresował siostrzenicę idącą kilka kroków przed nimi. Zatrzymała swą

grupę i spjrzała na dzieci.

– Poznając was – powiedziała. – To wy byliście ostatnimi, którzy wyszli z Gentu. Chodźcie z nami. – Zwróciła się do Matthiasa: – Pewnie znasz Gent na tyle dobrze, by mi doradzić.

– Doradzić, w czym? – zapytał chłopak ostrożnie.

– Zamierzam otworzyć warsztat tkacki. Na wschód od miasta są dobre pastwiska dla owiec, więc łatwo będzie kupić wełnę. A do Gentu zawsze zawijają statki handlujące z innymi portami.

Matthias zastanawiał się.

– Pomogę wam – rzekł w końcu – ale musicie zatrudnić moją siostrę Annę i pozwolić naszej małej Helenie mieszkać z innymi dziećmi. – Wskazał na śpiące niemowlę, owinięte w chusty i przywiązane do pleców matki.

Anna wściekle szarpnęła go za rękaw, ale nie zwracała na nią uwagi.

Siostrzenica uśmiechnęła się.

– A ty, Panie Interesowny? Nie, już pamiętam: pracujesz w garbarni.

– Owszem.

– Doskonale. Sądzę, że dobijemy targu, na którym oboje skorzystamy. Pójdziecie z nami? – Uśmiechnęła się do Anny tak triumfalnie, że dziewczynka mogła tylko odpowiedzieć uśmiechem. Była to na pewno piękna kobieta, ale kryła w sobie coś jeszcze; stalowy błysk w oczach sugerował, że poradzi sobie niezależnie od tego, jakie kłody świat jej rzuci pod nogi.

Matthias pytająco spjrzał na siostrę. Ta po prostu pokazała „Tak”.

Ale nie mogła powstrzymać łez, gdy odchodzili ze Steleshamu. Mimo wszystko smutno jej było zostawiać Helvidiusa i jego opowieści.

Drugiego dnia, gdy szli drogą przez las, usłyszeli dobiegającą ze wschodu pieśń.

Wychwalajmy Boga.

Ich miłość wszystko wytrzyma.

Kiedy byłem w potrzebie, wezwałem Panią

Jej odpowiedź mnie uwolniła

Kiedy jechałem do bitwy, wezwałem Pana

I choć wróg otaczał mnie jak pszczoły miód

Choć atakował mnie jak ogień drewno

Odparłem go z imieniem Pana na ustach.

Podróźni przed nimi pośpiesznie usuwali się z drogi. Oni poszli w ich ślady, schodząc na pobocze. Anna przejrzała rośliny na skraju lasu, ale wszystko zebrali już ludzie przed nimi albo dwie armie, które niedawno tędy przejechały. Mogła się zapuścić dalej w las, szukając jagód i grzybów, ale nie zdążyła tego zrobić, bo wśród drzew zamigotały kolory, a zza

zakrętu wynurzył się wielki orszak. Znieruchomiła na widok takiej wspaniałości i gapiła się wraz z innymi.

Otwórzcie przede mną bramy zwycięstwa.

Będę chwalił Boga

Bo stali się moim wybawieniem.

Dziękujmy Bogu

Bo Ich miłość jest wieczna.

Przed głównym orszakiem niesiono sześć sztandarów. Łopotały od czasu do czasu i Anna dojrzała tylko fragmenty zadziwiających i niepokojących stworzeń, które na nich wyszyto: czarnego smoka, czerwonego orła, złotego lwa, jastrzębia, konia i jeszcze jednej bestii, której groźnego profilu nie umiała nazwać. Za nimi podążał mężczyzna, niosący srebrzystą chorągiew ozdobioną dwoma czarnymi ogarami.

Anna nigdy nie wyobrażała sobie, że zobaczy króla dwa razy! Ziemia wibrowała pod ciężarem kawalerii. Patrzyła zachwycona, jak król, otoczony szlachetnymi towarzyszami, przejeżdżał obok. Obok monarchy jechał młody lord, który rozmawiał z nimi w Steleshamie. Choć inni śmiali się i rozmawiali radośnie, lord Alain był ponury, ale przynajmniej nietknięty. Odwrócił się i przez moment myślała, że ich zobaczył, ale on tylko przemówił do chudego, ciemnego mężczyzny u swego boku.

– *Saglat!* – wyszeptała siostrzenica Giseli, jakby się modliła. Osloniła twarz rąbkami szala, by się ukryć, ale Anna nie dostrzegła lorda Wichmana wśród królewskich towarzyszy.

Rozpoznawała tylko króla i lorda Alaina; szlachciców było zbyt wielu i zbyt bogato odzianych, by jej oczy mogły ich rozróżnić.

Za królem szli żołnierze, a za nimi jechały wozy, podskakując na wyboistym trakcie. Zakrzuszyła się podniesionym przez nie pyłem i osłoniła usta dłonią. Po przejściu takiej armii drogą szło się lepiej i przybyli do Gentu już późnym popołudniem czwartego dnia.

Dziwne uczucie, wchodzić do Gentu po moście, którego nigdy nie przekraczała w odwrotnym kierunku. Gent zmienił się całkowicie od tych miesięcy, kiedy się w nim ukrywali i wydawało się, że ten koszmar nigdy się nie wydarzył. Po ulicach przechadzało się niewielu ludzi w porównaniu z przelewającymi się tu niegdyś tłumami, ale poza murami miasta już rozbrzmiewały uderzenia młotów. Cieśle i kamieniarze zabrali się za naprawy; подростki wносиły śmieci. Kobiety prały pleśniejące gobeliny albo rozwieszały żółknące płótno i nadjedzone przez mole ubrania, by się wywietrzyły. Dzieci wyciągały meble z opuszczonych domów, a kozy, których miały pilnować, ucztowały w zapuszczonych ogródkach warzywnych.

Gent pachniał latem, słońcem i potem.

Najpierw poszli do garbarni, ale i ona, i leżąca obok kuźnia były opuszczone; garstka

mężczyzn szukała w śmieciach broni. Narzekali, że siły królewskie zrabowały wszystkie ostrza oszczepów, toporów i kolczugi. Kilka martwych psów Eików leżało tu i ówdzie, pokrytych muchami. Kruki już im wydziobały oczy.

Matthias znalazł szopę, w której sypiali niewolnicy, ale choć wywracał prymitywne posłania i badał najdrobniejsze strzępy ubrań, nie znalazł ani śladu papy Ottona. Na zewnątrz usłyszeli głosy i wybiegli, zastając siostrzenicę Giseli na rozmowie z brudnym mężczyzną, który miał na rękach wiele mówiące plamy po barwnikach.

– Sądzę, że niektórzy martwi mieszczanie mogą mieć rodzinę, która przybędzie upomnieć się o spadek – mówił mężczyzna. – Ale kto wie, czy ta rodzina mówi prawdę? A poza tym, czy wiadomo, kto tu co zostawił?

– Dlatego uznałam, że warto zaryzykować – odpowiedziała, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Pod brudem krył się młody mężczyzna, szeroki w barach i bez tego okropnego spojrzenia pozbawionego nadziei, które tak często widywała u niewolników. – Mogę wziąć sobie dom w mieście, nie martwiąc się, że potem ktoś przyjdzie i mnie wyrzuci. Widziałam, jak niewielu uciekło z Gentu. Aha – zobaczyła Matthiasa i Annę i przywołała ich gestem. – To są te dzieci, o których mówiłam.

Zacmokał i zrobił niemal komiczną minę, wyrażającą zaskoczenie.

– Ukryliście się tutaj, w garbarni? To cud, że przeżyliście i uciekliście. Kiedy nadszedł koniec, bardzo niewielu nas tu zostało...

– Pracowałeś tutaj? – spytał Matthias. – Jako niewolnik Eików?

Mężczyzna splunął.

– Tak. Dzikusy. Ukryłem się, gdy rozgorzała bitwa. Reszta uciekła, jak mniemam. Ale ja nie mam do czego wracać. – Rzucił okiem na siostrzenicę Giseli i wyprostował ramiona pod okrywającą go przetartą i brudną tuniką. – Pomyślałem sobie, że zacznę od nowa w garbarni. Chłopcze, znasz się na rzeczy?

– Czy kiedykolwiek... – wykrztusił Matthias, szczypany przez Annę. – Czy znałeś niewolnika imieniem Otto?

– Nie, dziecko, nigdy o takim nie słyszałem, ale niedawno tu przybyłem. Dlatego przeżyłem.

Matthias westchnął i podniósł Helenę, przytulając ją do siebie mocno i ukrywając zapłakaną twarz w jej brudnej sukience.

Ale Anna tylko zacięła usta, nie tracąc nadziei. To nie znaczyło, że papa Otto nie żył. Mógł uciec, mogli go zabrać gdzie indziej...

– Chodźcie – rzekła raźnie siostrzenica Giseli. – Wiedzieliście, jak niewielka była nadzieja, że odnajdziecie tego biedaka. Musimy już iść. – Zerknęła na nowego znajomego. – Ale wrócę z Matthiasem. To dobry pracownik i bardzo bystry. Tylu ludzi wraca, że najlepiej wybrać sobie warsztat teraz, zanim zajmą nam najlepsze.

Tuż za pałacem burmistrza, na starym targowisku, znaleźli warsztat odpowiednich

rozmiarów, z podwórcem, studnią i wyjściem na główną ulicę. Służące zaczęły zmiatać i myć, a mężczyzna poszedł po glinę i wapno, aby załatać i pobielić ściany. Anna nabrała wody ze studni i wypełniła kadź farbiarską, a siostrzenica Giseli poszła rozejrzeć się, jakie naczynia i utensylia uda jej się zwinąć z kuchni pałacowych.

– Chodź – wyszeptał Matthias do Anny. Grabił dziedziniec grabkami znalezionymi wśród zardzewiałych i połamanych narzędzi, ale teraz odłożył je i pociągnął siostrę za rękaw. – Chcę zobaczyć, czy demon wciąż tam jest i czy znajdziemy tunel. Zaraz wrócimy.

Zastanowiła się. Inni byli zajęci. Nikt ich nie będzie szukał, a nawet jeśli, to co to kogo obchodzi, że poszli do katedry pomodlić się za duszę papy Ottona, który ocalił im życie?

Spacer do katedry był znacznie krótszy niż droga naokoło, którą odbyli wiele miesięcy temu, uciekając z miasta. Mogli wejść na schody w świetle dziennym. Zmierzch otaczał wszystko mgiełką. Wieża katedry rzucała długi, pochylony cień na schody, gdy wspinali się ku wielkim drzwiom. Przed nimi leżała kupa świeżych śmieci i gdy ostrożnie zajrzeli do środka, ujrzeli dwie diakonisy cierpliwie wymiatające wszystko, co leżało na podłodze i czyniło ją podobną do poszycia leśnego, pełnego opadłych gałęzi. Nie było ani śladu demona i zrobiło się za ciemno, aby zapuszczać się do krypty. Anna stwierdziła, że wcale nie chciała tam wchodzić, a mała Helena, widząc czarną klatkę schodową, zaczęła szlochać.

– Może tak będzie najlepiej – mruknął Matthias. – Chodźcie, wracamy. Hej tam! – Helena, która cofnęła się od drzwi do krypty, wybiegła na zewnątrz, a gdy Anna i Matthias ją dogonili, znaleźli dziewczynkę brodzącą w chmurze puchu, który pokrywał kupę śmieci.

– Potrzebuje moresu, biedactwo – rzekł Matthias. – Wiesz, Anno, chociaż jesteś niema, to przynajmniej masz równo pod sufitem. Obawiam się, że biedna Helena nie. – Podniósł ją i zszedł po schodach, a dziecko wyrzucało z siebie niezrozumiały protest.

W puchowej kulce coś było. Anna szturchnęła to stopą i kulka natychmiast poruszyła się, zadrzała i otwarła. Bezwłose stworzenie wielkości jej dłoni plasnęło o niższy stopień.

To nie był szczur, nawet zdeformowany szczur. Leżało tam, białe martwą białością rzeczy, która nigdy nie zaznała słońca, jego groteskowe członki rozrzucone były we wszystkich kierunkach. Nie miało oczu, tylko wypustki tam, gdzie oczy próbowały się uformować.

Ale przynajmniej było martwe.

Cień się przesunął i długi, złoty promień zachodzącego słońca dotknął ohydny małego trupa.

Zadrzał. Poruszył się. Zwinął. I ożył.

Anna wrzasnęła.

Umknął natychmiast, jakby głos go przeraził albo nadał mu rozpęd. Mrugnęła i natychmiast straciła go z oczu.

Matthias, dziesięć stopni niżej, odwrócił się i spojrzał na nią. Helena ucichła.

– Co się stało, Anno?

Ale nie mogła mu odpowiedzieć.

Nota bibliograficzna

Pozwoliłam sobie na daleko posuniętą swobodę w traktowaniu znanej nam historii – ale to co najmniej połowa przyjemności z pisania fantasy. W każdym razie chciałabym tutaj wymienić te nieliczne źródła, bez których krajobraz „Korony Gwiazd” byłby znacznie uboższy.

Cytaty z Biblii pochodzą z *The New English Bible* (Oxford University Press, 1976). Niektóre ze słów błogosławionego Daisana zostały wzięte z Nowego Testamentu, inne z *The Book of the Laws of Countries: Dialogue on Fate of Bardaisan of Edessa* (Van Gorcum & Co., 1965) przetłumaczonego przez H.J.W. Drijversa. Poza tym książka Drijversa *Bardaisan of Edessa* (Van Gorcum & Co., 1966) służyła mi nieocenioną pomocą przy tworzeniu Kościoła Jedności.

Do *Historii* Rosvity posłużyła mi *Historia Sasów* Widukinda z Korwei, dostępna w przekładzie Raymunda F. Wooda (rozprawy UCLA, 1949).

Żywot prawdziwej świętej Radegundy, królowej merowińskiej, przytoczono w *Sainted Women of the Dark Ages* pod redakcją i w tłumaczeniu Jo Ann McNamara, Johna E. Halborga i E. Gordona Whatleya (Duke University Press, 1992).

Zainspirował mnie również *Komentarz do snu Scypiona* Makrobiusza, przetłumaczony przez Williama Harrisa Stahla (Columbia University Press, 1952); *Eneida* Wergiliusza, tłumaczenie W.F. Jackson Knight (Penguin Books, 1958); *Powstanie Cesarstwa Rzymskiego* Polibiusza, tłumaczenie Ian Scott-Kilvert (Penguin Books, 1979) oraz *Karol Wielki i papież Leon* nieznanego autora, prawdopodobnie Einharda, tłumaczenie Peter Godman w *Poetry of the Carolingian Renaissance* (University of Oklahoma Press, 1985). *Medieval Handbooks of Penance* Johna T. McNeilla i Heleny M. Gamer (Columbia University Press, 1938) i *The Liturgical Context of Early European Drama* (Scripta Humanistica 1989) Salvatore Paterno zapewniły mi kolejne materiały źródłowe dotyczące Kościoła i społeczeństwa wczesnego średniowiecza.

Muszę również wspomnieć *The Rise of Magic in Early Medieval Europe* Valerie J. J. Flint (Princeton University Press, 1991) i *Popular Religion in Late Saxon England* Karen

Louise Jolly (The University of North Carolina Press, 1996), skąd czerpałam olbrzymią ilość informacji na temat magii i jej zastosowania oraz *Roads to Paradise: Reading the Lives of the Early Saints* Alison Goddard Elliott (University Press of New England, 1987), fascynującą analizę żywotów świętych późnej starożytności i wczesnego średniowiecza. *The Origins of Courtliness* (University of Pennsylvania Press, 1985) i *Envy of Angels* (University of Pennsylvania Press, 1994) C. Stephena Jaegera dały mi, mam nadzieję, wgląd w kulturę dworską i kościelną okresu Ottonów, którą oczywiście zaadaptowałam do własnych niecných celów.

Na koniec muszę wspomnieć o pracach Karla Leysera, szczególnie zaś o wspaniałej *Rule and Conflict in an Early Medieval Society* (Basil Blackwell, 1989), skarbcu inspiracji dla pisarza fantasy.

Aneks

Miesiące

Yanu
Avril
Sormas
Quadrii
Cintre
Aogoste
Setentre
Octumbre
Novarian
Decial
Askulavre
Fevrua

Dni tygodnia

poniedziałek
wtorek
środa
czwartek
piątek
sobota
niedziela

Godziny kanoniczne

jutrznia (ok. 3.00 rano)
lauda (świt)
pryma (wschód Słońca)
tercja (trzecia godzina, ok. 9.00 rano)
seksta (szósta godzina, ok. południa)
nona (dziewiąta godzina, ok. 3.00 po południu)
nieszpory (pieśń wieczorna)
kompleta (zachód Słońca)

Domy Nocy (Zodiak)

Jastrząb
Dziecko
Siostry
Ogar
Lew
Smok
Waga
Wąż
Łucznik
Jednorożec
Uzdrowiciel
Pokutnik

Wielcy księżęta królestwa Wendaru i Varre

Diukowie Wendaru:

Saony
Fesse
Avarii

Diukowie Varre:

Arconii
Varingii
Waylandu

Margrabiowie Terytoriów Wschodnich:

marchiii Villamów
Olsatii i Austry
Westfalii
Eastfalii

Królestwa znane Wendarczykom

Salia
Aosta
Karonne
Alba
Cesarstwo Aretuzy
Andalla (niewierni)
Imperium Jinna (niewierni)
Polenie (poganie)
Ungria (poganie)

Ważne sobory kościelne

77 *Sobór w Darre*: biskupina Dariyi (później nazwanej Darre) zostaje ogłoszona główną biskupina lub skoposą Kościoła Dasanickiego.

243 *Sobór w Nisibii*: zakaz adopcji w celu dziedziczenia.

285 *Drugi sobór w Nisibii*: mimo zdecydowanego sprzeciwu, prezbiterowie zostają uznani za równych biskupinom. Skoposa Joanna II zaprzecza, aby jej upór w tej sprawie wiązał się z młodym prezbiterem, jak głosiła plotka, jej synem z nieprawego łoża, którego karierę w Kościele wspierała.

327 *Sobór w Kellai*: pod kierownictwem skoposy Marii Joanny zgromadzeni prezbiterowie i biskupiny ustalają, że Pan i Pani nie zabraniają tego, co jest potrzebne, wobec czego magia nie jest odrzucana przez Kościół tak długo, jak jest przez niego nadzorowana. Tylko magia związana z przeznaczeniem oraz poznaniem przyszłości zostaje potępiona i zakazana.

407 *Wielki sobór w Addai*: wiara w Odkupienie – męczeństwo błogosławionego

Daisana, cierpiącego za grzechy ludzkości i wzięcie go do nieba – uznana jest za herezję, podobnie jak twierdzenie, że jest on prawdziwym Synem, jednocześnie Boskimi Ludzkim, Bogini. Skoposa Gregoria (zwana Wielką) ostrymi słowami oświadcza, że jedyną właściwą wiarą jest wiara w Peniter, sześciodniowy post błogosławionego Daisana, po którym dnia siódmego, osiągnąwszy Ekstazę, stan całkowitej jedności z Bogiem, został żywcem wzięty do Komnaty Światła (Przemienienie) oraz że sam błogosławiony Daisan nigdy nie twierdził, że ma matkę lepszą niż inni śmiertelnicy: boską duszę z czystego światła, zamkniętą w ciele zmieszanym z ciemnością.

499 *Sobór w Aretuzie*: cesarz Aretuzy odmawia uznania supremacji skoposy Lei I w Darre. Bratanek cesarza zostaje ogłoszony Patriarchą. Uznają oni większą herezję addajską: półboskość Daisana, jednak nie wyznają wiary w męczeństwo.

626 *Sobór w Namone*: przewodzi mu skoposa Lea III, której poprzedniczka, Lea II, namaściła w roku 600 króla Taillefera na cesarza odbudowanego Świętego Cesarstwa Dariyańskiego; sobór narwoński potwierdza postanowienia soboru z Kellai, jednak specjalnie mierząc w potężne córki Taillefera, potępia sztuki matematyków, tempestarich, augurów, harolich, sortelegich, i maleficusów oraz magię, której nie czyni się pod auspicjami Kościoła.